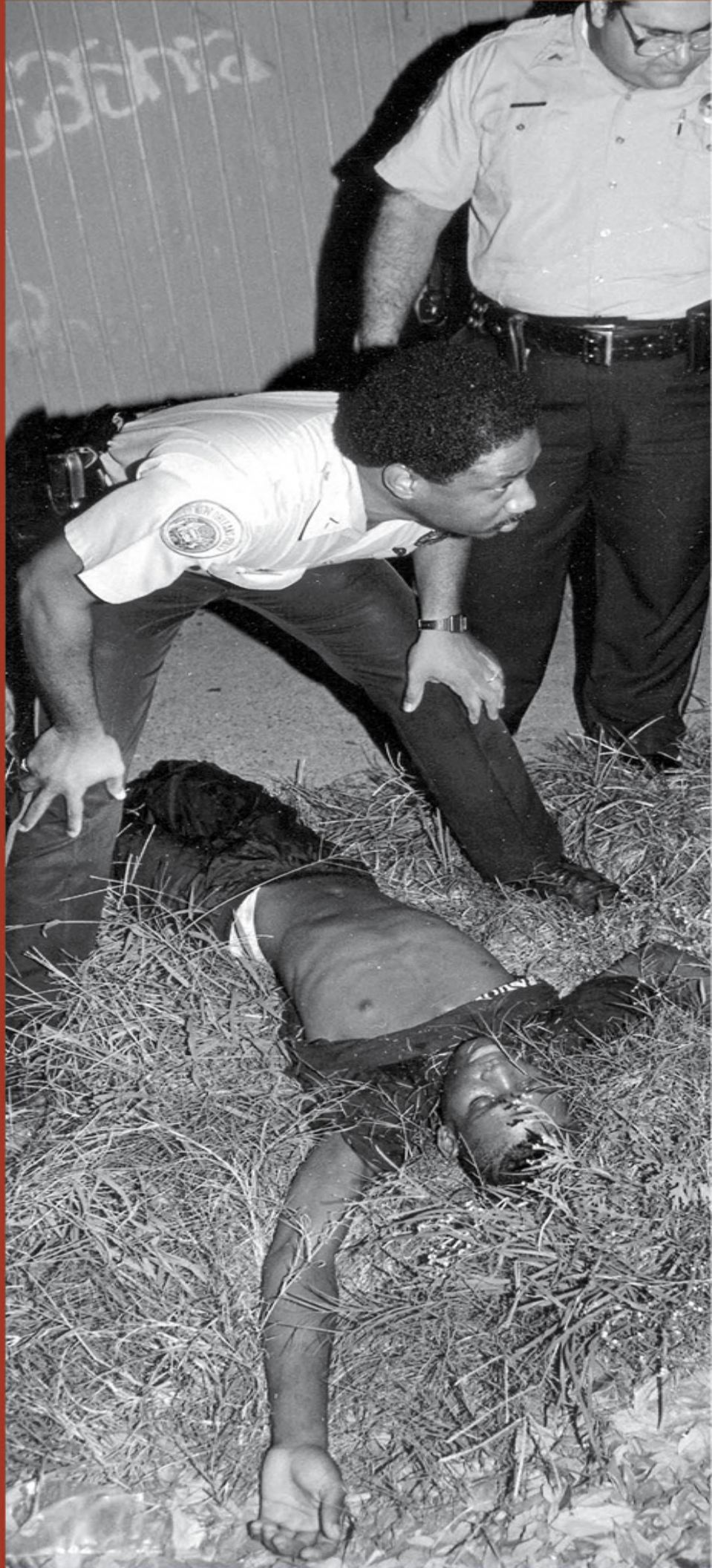


# Jill Leovy

## WSZYSCY WIEDZĄ O ZABÓJSTWACH CZARNYCH W AMERYCE

*Materiał dowodowy pozostały po morderstwie dokonanym na ulicy był zwykle bardzo skąpy. Większość takich spraw określano słowami „zgarnąć i wywieźć”, co oznaczało, że ranną ofiarę odwożono karetką do szpitala, gdzie stwierdzano jej zgon. Fizyczne dowody składały się zwykle z kilku łusek, butów i kawałków ubrań rozciętych przez ratowników medycznych. Badania laboratoryjne nie odgrywały większej roli w tego rodzaju śledztwach. Nie trzeba wyszukanego sprzętu laboratoryjnego, by stwierdzić, że ktoś zginął w wyniku postrzału.*



SERIA AMERYKAŃSKA

Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*

Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*

Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero*

Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*

Johnny Cash *Cash. Autobiografia*

Allen Ginsberg *Listy*

Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*

William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*

Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia.*

*Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary*

Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*

S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów*

David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*

Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu*

Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*

Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*

Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z węzami w południowych  
Appalachach*

Rick Bragg *Jerry'ego Lee Lewisa opowieść o własnym życiu*

Scott Carney *Śmierć na Diamentowej Górze.*

*Amerykańska droga do oświecenia*

Hampton Sides *Krew i burza. Historia z Dzikiego Zachodu*

James Grissom *Szaleństwa Boga.*

*Tennessee Williams i kobiety z mgły*

Patti Smith *Pociąg linii M*

Billie Holiday *Lady Day śpiewa bluesa*

Dan Baum *Dziewięć twarzy Nowego Orleanu*

JILL LEOVY

# WSZYSCY WIEDZĄ

O zabójstwach czarnych w Ameryce

Przełożył Janusz Ochab



Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Ghettoside: A True Story of Murder in America*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Fotografia na okładce © by Andrew Lichtenstein / Getty Images

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © 2015 by Jill Leovy

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2017

Copyright © for the Polish translation by Janusz Ochab, 2017

Redakcja Anna Brynkus-Weber

Korekta Ewa Polańska / d2d.pl, Małgorzata Tabaszewska / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Agnieszka Fryszak / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-505-0

# SPIS TREŚCI

*Seria*

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Dedykacja*

*Motto*

## CZĘŚĆ I Plaga

1 Krąg rozpacz

2 Zabójstwo

3 Strefa getta

4 Szkoła tragedii

5 Początki

6 Sprawa poszlakowa

7 Dobrzy ludzie i tępaki

8 Świadkowie i niepisane prawo

9 Powiadomienie

## CZĘŚĆ II Sprawa Bryanta Tannellego

10 Syn miasta

11 To mój syn

12 Zabójstwo Dovona Harrisa

13 Nic gorszego

14 Zadanie

15 Wszyscy wiedzą

16 Świadek

17 Baby Man

18 Gangsterskie porachunki

19 Dobro świadka

20 Utracone dusze

21 Ze strony ofiary

22 Otwarcie

23 „Musimy się modlić o pokój”

24 Ci, których zabrakło

*Epilog*

*Od autorki*

*Podziękowania*

*Wybrana bibliografia*

*Przypisy końcowe*

*Przypisy*

*Kolofon*

Dla Christophera

Kiedy się jednak widzi biedę i cierpienie, jakie przynosi, trzeba być szaleńcem, ślepcem  
lub łajdakiem, żeby się na nią zgodzić.

Albert Camus, *Dżuma*, przeł. Joanna Guze



# CZĘŚĆ I

Plaga<sup>1</sup>

## Krąg rozpacz

Detektyw policji w Los Angeles John Skaggs trzymał pudełko z butami na uniesionej wysoko ręce, niczym kelner tacę.

Pudełko zawierało sportowe buty z cholewami, które niegdyś należały do czarnego nastolatka, niejakiego Dovona Harrisa. Piętnastoletni Dovon został zamordowany w czerwcu minionego roku, a jego buty leżały od tego czasu, niemal przez dwanaście miesięcy, w szafce z dowodami.

Czterdziestoczteroletni Skaggs był głównym śledczym w tej sprawie, która wkrótce miała wejść na wokandę.

Mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, jasnowłose, energiczny detektyw w drogim jasnym garniturze wyróżniał się spośród większości mieszkańców Watts, południowo-wschodniej dzielnicy Los Angeles.

Wyszedł z ostrego światła poranka, skręcił w wąskie przejście wiodące wzdłuż ściany zwieńczonej drutem kolczastym i stanął przed grubymi stalowymi „drzwiami getta” – wzmocnionym skrzydłem drzwiowym z siatką z perforowanego metalu. Tego rodzaju drzwi, podobnie jak tynkowane ściany i kraty w oknach, stanowiły jeden z najbardziej charakterystycznych elementów małej architektury Los Angeles. Detektyw zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

W korytarzu za progiem stała korpulentna czarnoskóra kobieta. Skaggs podszedł bliżej i wręczył jej pudełko z butami.

Kobieta wpatrywała się w karton z niemą rozpaczą. Skaggs, przechodząc obok, zwrócił uwagę na jej ściągniętą bólem twarz.

– Cześć, Barbaro – powiedział. – Masz dziś kiepski dzień?

Tak właśnie działał Skaggs – nie bawił się w wymianę uprzejmości, lecz od razu przechodził do rzeczy.

Każdy jego ruch był wypełniony energią i celowością. Podczas rozmowy pobrzękiwał kluczami, machał rękami lub kołysał się na palcach. Owe ruchy nie były nerwowe, lecz rytmiczne i zrelaksowane, niczym gimnastyka rozgrzewającego się biegacza. Zmuszony do bezruchu, na przykład podczas rozprawy sądowej lub spotkania, Skaggs zastygał w pozie człowieka poddanego ciężkiej i bolesnej próbie, z pięścią przyciśniętą do ust, co ukazywało uwięzioną w nim energię wyraziściej niż jakikolwiek tik nerwowy.

Oddawszy pudełko Barbarze Pritchett – i nie otrzymawszy odpowiedzi na swoje pytanie – przystanął na środku dywanu w salonie. Pritchett wciąż milczała, z pochyloną głową wpatrywała się w zawartość pudełka.

Miała czterdzieści dwa lata i nie cieszyła się najlepszym zdrowiem. Niedawno zdiagnozowano u niej cukrzycę, a lekarz namawiał ją, by częściej wychodziła na zewnątrz i więcej spacerowała. Jednak ponieważ jej syn został zastrzelony zaledwie kilka przecznic dalej, Pritchett bała się wychodzić z domu. Całymi dniami leżała w ciemności, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, a nawet do mówienia. Tego ranka jak zawsze nosiła dużą luźną koszulkę z podobizną Dovona. Zewsząd otaczały ją pamiątki po zmarłym synu: trofea sportowe, zdjęcia, kartki z wyrazami współczucia, dyplomy, przytulanki.

Pritchett bardzo ostrożnie położyła pudełko na poręczy fotela obitego sztuczną skórą i powoli podniosła jeden but. Był znoszony, czarny, oblepiony kurzem ulic Watts, za mały, by jego rozmiar uznać za męski, i za duży, by należał do dziecka. Kobieta oparła się o ścianę, przysunęła otwartą cholewę do ust i nosa, po czym wzięła głęboki wdech, wciągając w nozdrza zapach buta. Potem zamknęła oczy i zapłakała.

Skaggs stał nieruchomo z boku i obserwował, jak Pritchett ugina nogi w kolanach i osuwa się powoli po ścianie, z twarzą wciąż wciśniętą w but. Opadła ciężko na zielony dywan. Pomarańczowy kapeć zsunął jej się z nogi. Jej szloch mieszał się z radosną paplaniną prezenterki z kanału Fox 11 widocznej na ekranie telewizora w drugim rogu pokoju.

Skaggs pracował jako detektyw w wydziale zabójstw od dwudziestu lat. W tym czasie odwiedził tysiąc takich pokoi – każdy z nich krył w sobie

wielki telewizor, drobiazgi nawiązujące do afrykańskich korzeni mieszkańców i niezmierny smutek.

Tworzyli razem dziwną parę: wysoki biały gliniarz i szlochająca czarna kobieta. Skaggs, podobnie jak większość policjantów z Los Angeles, sympatyzował z republikanami. W nadchodzących wyborach zamierzał głosować na Johna McCaina. Jego roczne zarobki wyrażały się w sześciocyfrowej kwocie, mieszkał na przedmieściach w domu z basenem. Można powiedzieć, że był archetypicznym białym o blond włosach, różowawej cerze i szkocko-irlandzkich rysach. Watts już dwukrotnie buntowało się przeciwko obecności takich właśnie symboli – białych okupantów w policyjnych mundurach – więc ze względu na tego rodzaju historyczne skojarzenia obecność Skaggsa w tej okolicy wydawała się tym bardziej niezwykła.

Pritchett z kolei miała korzenie typowe dla większości mieszkańców Watts. Była wnuczką zbieraczki bawełny z Luizjany. Jej matka poszła śladem dziesiątek tysięcy czarnoskórych obywateli Luizjany, którzy w latach sześćdziesiątych wyemigrowali na zachód, a sama Pritchett urodziła się w Los Angeles kilka miesięcy po zamieszkach w Watts. Mieszkała w wynajętym lokalu, do którego dopłacało jej państwo, i była zwolenniczką demokratów – jesienią tego samego roku płakała ze wzruszenia, gdy w CNN mówiono o wyborczym zwycięstwie Baracka Obamy, i bardzo żałowała, że jej matka nie dożyła tej chwili.

Pomimo tak licznych różnic Pritchett i Skaggs mieli ze sobą wiele wspólnego – oboje należeli do wąskiego kręgu Amerykanów, których życie zostało na różne sposoby ukształtowane przez dziwaczne zjawisko: plagę morderstw wśród czarnych mężczyzn.

Zabójstwa dziesiątkowały czarnoskórą populację Stanów Zjednoczonych od ponad wieku. Jednak była to w najlepszym wypadku osobliwość, mało znaczący element głównego nurtu historii. Cierpienia tysięcy ludzi, którzy w tragicznych okolicznościach tracili swoich bliskich, były praktycznie niewidoczne. Dyskusje dotyczące tego zjawiska były powierzchowne, rzadko też szacowano jego koszty.

Działania amerykańskiego społeczeństwa zmierzające do walki z epidemią zabójstw ograniczonych głównie do środowiska czarnoskórych mężczyzn okazały się nieudolne, fragmentaryczne, niedofinansowane, wypaczone różnego rodzaju uprzedzeniami na tle politycznym, ideologicznym i rasowym. Gdy w końcu rzeczywiście zwrócono na ten problem uwagę, skupiano się głównie na spektakularnych wydarzeniach – masowych strzelaninach, zabójstwach celebrytów – niekoniecznie związanych z ludźmi, którzy ginęli najczęściej, czyli z czarnoskórymi mężczyznami.

To właśnie oni byli najbardziej poszkodowaną grupą. To wśród nich najczęściej dochodziło do aktów przemocy – stanowili zaledwie sześć procent populacji kraju, a zarazem niemal czterdzieści procent ofiar zabójstw. Ludzie dużo mówili o przestępczości w Ameryce, ale zwykle pomijali ten aspekt – nie zauważali, że większość zamordowanych to nie kobiety, dzieci czy starcy ani też osoby zabite w szkole lub w miejscu pracy. W istocie były to legiony czarnych mieszkańców Ameryki, w wielu przypadkach bezrobotnych i powiązanych ze światem przestępczym. Mordowano ich każdego dnia, w każdym mieście, a ich liczba rosła w tysiące, rok po roku.

Dovon Harris był typowym przykładem takiej ofiary. Jego śmierć wzbudziła niewielkie zainteresowanie mediów i należała do spraw, które rozwiązywano najrzadziej. W komisariacie Johna Skaggsa przez lata zgromadzono masę dokumentów dotyczących takich morderstw – na półkach zalegała trudna do oszacowania liczba niebieskich teczek z nazwiskami czarnych mężczyzn i chłopców. Większość z nich zginęła z rąk innych czarnych mężczyzn i chłopców, którzy nadal cieszyli się wolnością<sup>2</sup>.

Według starych niepisanych zasad policji w Los Angeles sprawa Dovona była morderstwem bez znaczenia. „NHI – No Human Involved” [Bez udziału ludzi], mawiali o takich przypadkach policjanci. „Dobór naturalny”, żartowali niegdyś prokuratorzy z centrum miasta, ubierając w nowe słowa popularne od lat przekonanie, że zabójstwa czarnych nie mają większego znaczenia. „Życie czarnuchów jest teraz tanie”<sup>3</sup>, stwierdził pewien biały

mieszkaniec Tennessee w okresie rekonstrukcji<sup>[1]</sup>, gdy spytano go, dlaczego zabójstwa wśród czarnych budzą tak małe zainteresowanie.

Kilka lat później świadek zeznający przed Kongresem powiedział, że gdy w Luizjanie giną czarni mężczyźni, „[...] wspomina się o tym, czasem na piśmie, czasem tylko ustnie, ale nic się z tym nie robi. Nie prowadzi się żadnego śledztwa”<sup>4</sup>. W artykule wstępnym z gazety wydanej w Luizjanie pod koniec XIX wieku napisano: „Jeśli Murzyni dalej będą się zabijać, nie pozostanie nam nic innego, jak uznać, że opatrność postanowiła wytępić ich w ten sposób”<sup>5</sup>. W 1915 roku urzędnik z Karoliny Południowej tak tłumaczył ułaskawienie czarnego mężczyzny, który zamordował swojego pobratymca: „To sprawa, w której jeden czarnuch zabija innego czarnucha – nic nowego”<sup>6</sup>. W latach trzydziestych ubiegłego wieku antropolożka Hortense Powdermaker przeanalizowała działania wymiaru sprawiedliwości w stanie Missisipi i doszła do wniosku, że „podejście białych i sądów [...] do przemocy wśród Murzynów jest pobłażliwe”<sup>7</sup>. Zespół antropologów, złożony z przedstawicieli różnych ras, który w tym samym okresie prowadził badania w miejscowości Natchez w stanie Missisipi, stwierdził, że „biali nie uważają okaleczenia lub śmierci Murzyna za coś ważnego”. Pewien szeryf urzędujący w Alabamie w tych samych czasach ujął to znacznie krócej: „Jednego czarnucha mniej”<sup>8</sup>. Nowojorski dziennikarz zeznający w 1968 roku przed Komisją Kerner, badającą zamieszki rasowe na terenie całego kraju, powiedział: „[...] od dziesięcioleci instytucje ochrony prawa funkcjonowały wśród czarnoskórych Amerykanów w bardzo niewielkim stopniu albo nie działały w ogóle [...]. Jeśli czarny zabije czarnego, działania prawa są ograniczone do minimum”<sup>9</sup>.

Carter Spikes, niegdyś członek murzyńskiego Gangu Biznesmenów z dzielnicy South Central w Los Angeles, wspominał, że w latach siedemdziesiątych policja „[...] nie przejmowała się tym, co czarni robili między sobą. Nikogo nie obchodziły sprawy, w których czarnuch zabił innego czarnucha”.

John Skaggs odciął się wyraźnie od tego dziedzictwa. Cała jego aktywność zawodowa była poświęcona jednemu celowi: chciał sprawić, by

życie czarnoskórych Amerykanów nabrało wartości i by broniły go wszelkie instytucje państwowe do tego powołane. Zabójstwo Dovona Harrisa traktował jak zbrodnię przeciwko największym gwiazdom z Los Angeles. Zastosował wszystkie dostępne środki, zbadał sprawę pod każdym możliwym kątem, dzięki czemu rozwiązał ją szybko i jednoznacznie.

Tym samym przeciwstawił się niesprawiedliwości trwającej od wielu dekad. Czterdzieści lat po powstaniu ruchu praw obywatelskich bezkarność dotycząca morderstw wśród czarnoskórych mężczyzn pozostawała największym, choć mało widocznym, problemem rasowym Ameryki. Instytucje sądownictwa karnego, tak stanowcze w epoce surowych wyroków i „prewencyjnych” działań policji, pozostawały słabe i pobłażliwe, gdy chodziło o odpowiedzialność za życie czarnych ofiar. Nieliczni eksperci dochodzili do prawdy, z którą John Skaggs miał do czynienia każdego dnia swej pracy: że nieudolność państwa, niepotrafiącego złapać i ukarać choćby niewielkiej większości morderców z czarnych dzielnic takich jak Watts, sama w sobie stanowiła źródło rosnącej przemocy i że był to straszny problem – być może najstraszniejszy we współczesnym amerykańskim życiu. Nieskuteczne działania systemu wobec zabójców sprawiały, że życie czarnych wciąż uchodziło za tanie.

John Skaggs stał się antidotum na ten niedostrzegany problem.

Gdyby sprawą Dovona zajmował się inny detektyw, zapewne podzieliłaby los setek nierozwiązanych przypadków i przybrała postać niebieskiej teczki odłożonej na półkę. Jednak dzięki Skaggsowi zamieniła się w nieustającą kampanię na rzecz sprawiedliwości.

Matka Dovona dobrze o tym wiedziała. To stanowiło podstawę łączącej ich więzi.

Teraz Skaggs stał z jedną ręką w kieszeni, a drugą opartą na biodrze, spoglądał na Pritchett i robił to, czego nauczyły go lata pracy w wydziale zabójstw: czekał spokojnie, w milczeniu.

Pritchett, zupełnie nieskrępowana jego obecnością, zamknęła oczy, wcisnęła twarz w but zabitego syna i cicho szlochała.

To książka o bardzo prostym mechanizmie: tam, gdzie wymiar sprawiedliwości nie reaguje z całą stanowczością na przemoc i śmierć, morderstwa przybierają rozmiary zarazy.

Afroamerykanie stali się ofiarą takiego właśnie zaniedbania, które w stopniu większym niż jakikolwiek inny czynnik przyczyniło się do rozwoju plagi zabójstw wśród czarnoskórych mężczyzn. Czarna Ameryka nie odczuła dobroczynnych skutków tego, co Max Weber nazwał monopolem państwa na przemoc<sup>10</sup> – wyłącznym prawem rządu do uzasadnionego stosowania siły. Ten monopol zapewnia obywatelom niezależność, daje im pewność, że rząd będzie ścigał każdego, kto naruszy ich osobiste poczucie bezpieczeństwa. Jednak niewolnictwo, prawa Jima Crowa<sup>[2]</sup> oraz uwarunkowania dotyczące czarnoskórych mieszkańców Ameryki przez wiele pokoleń nie pozwalały na wprowadzenie tego monopolu wśród czarnych. Ponieważ przemoc wobec jednostek w sposób nieunikniony przybiera na sile wszędzie tam, gdzie brak interwencji państwa, w konsekwencji co roku giną tysiące Amerykanów.

Bezczynność wymiaru sprawiedliwości w sprawach dotyczących zabójstw wśród czarnoskórych mieszkańców USA od lat jest ukrywana pod całym wachlarzem bezwzględnych, stosunkowo tanich i łatwych działań „prewencyjnych”. Nasze podzielone i niedofinansowane siły policyjne zwykle zajmowały się kontrolowaniem, zapobieganiem i wyciszaniem niewygodnych zjawisk, a nie zdecydowaną reakcją na akty przemocy i ochroną ofiar. Zostawiało to ogromną przestrzeń dla działań ruchów samoobrony obywatelskiej, szczególnie na Południu, skąd pochodzi większość Afroamerykanów. Hortense Powdermaker należała do nielicznych antropologów z ery praw Jima Crowa, którzy zauważyli, że południowy system prawny z lat trzydziestych surowo karał czarnych za drobne przewinienia w rodzaju kradzieży lub włóczęgostwa, ale często bywał pobłażliwy wobec morderców innych czarnych. W stanie Missisipi odsetek skazanych morderców czarnych pod koniec XIX wieku był niewiele mniejszy od odsetka notowanego sto lat później w Los Angeles – trzydzieści procent w stosunku do trzydziestu sześciu procent w hrabstwie Los Angeles na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia<sup>11</sup>.



„Łagodność sądów w sprawach czarnych przeciwko czarnym jest tylko jedną z przyczyn, dla których Murzyni znajdują się właściwie poza prawem”<sup>12</sup>, konkludowała Powdermaker. Kilka pokoleń później, daleko od pól bawełny, gdzie prowadziła swoje badania, czarni z biednych dzielnic Los Angeles wciąż doświadczali skutków owego wykluczenia.

Trudno w dzisiejszych czasach bronić tego rodzaju poglądów. Wielu ludzi narzeka, że wymiar sprawiedliwości jest zbyt surowy i niesprawiedliwy wobec mniejszości. Sporo się mówi o karze śmierci, o zbyt wysokich karach za przestępstwa związane z narkotykami, manipulowaniu zeznaniami świadków, niepokojąco dużej liczbie czarnoskórych przestępców osadzonych w więzieniach i tak dalej.

Twierdzenie, że czarni Amerykanie cierpią z powodu zbyt ograniczonego stosowania prawa, wydaje się więc stać w sprzeczności z powszechnym postrzeganiem tej kwestii. Jednak pozorna surowość amerykańskiego sądownictwa karnego i jego fundamentalna słabość to w istocie dwie strony tej samej monety – to pierwsze zjawisko ma rekompensować to drugie. Niczym szkolny dręczyciel nasz wymiar sprawiedliwości prześladowa ludzi za drobne wykroczenia, a w obliczu morderstwa okazuje się tchórzem. Wciąga w swoje tryby mnóstwo Afroamerykanów, ale nie potrafi uchronić ich przed okaleczeniem i śmiercią. Jest rygorystyczny i nieudolny zarazem.

Amerykanie od dawna uchodzą za agresywniejszych niż inne wysoko rozwinięte narody, do czego w dużej mierze przyczyniają się morderstwa wśród czarnych obywateli USA<sup>13</sup>. To nic nowego. Środki zaradcze wydają się mało skuteczne, bo do 1950 roku władze praktycznie nie dostrzegały tego problemu. Historycy<sup>14</sup> ustalili jednak, że nieproporcjonalnie wysoka liczba zabójstw wśród Afroamerykanów utrzymuje się od końca XIX wieku. Na początku XX wieku liczba „kolorowych” morderstw przekraczała liczbę morderstw wśród białych we wszystkich miastach, które prowadziły takie statystyki. Ustalono, że w latach dwudziestych ubiegłego wieku liczba zamordowanych czarnych była siedmiokrotnie większa od liczby białych ofiar zabójstw<sup>15</sup>. W latach trzydziestych naukowcy z Południa również dostrzegli niepokojąco duży odsetek zbrodni wśród Afroamerykanów<sup>16</sup>,

a w badaniach z Filadelfii z lat czterdziestych stwierdzono<sup>17</sup>, że liczba zamordowanych czarnych dwunastokrotnie przewyższa liczbę zamordowanych białych. Kiedy w 1950 roku rząd USA zaczął publikować tego rodzaju dane, okazało się, że podobna dysproporcja dotyczy całego kraju. Czarni ginęli w wyniku morderstw nawet dziesięć razy częściej niż biali<sup>18</sup> również w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a w ostatnich trzydziestu latach ta wielokrotność sięgała od pięciu do siedmiu<sup>19</sup>.

Co ciekawe, we współczesnym Los Angeles młodzi czarnoskórzy mężczyźni padają ofiarą morderstw dwa–cztery razy częściej<sup>20</sup> niż młodzi Latynosi, choć czarni i Latynosi mieszkają w tych samych dzielnicach. Wydaje się to tym bardziej zastanawiające, że w odróżnieniu od miast słynących z przestępczości, takich jak Detroit, Los Angeles ma stosunkowo niewielu czarnych mieszkańców, a ich liczba z roku na rok maleje. Do czasów Skaggsa w mieście zostały już tylko nieliczne typowo czarne dzielnice; większość czarnoskórych obywateli Los Angeles mieszkała w okolicach zdominowanych przez Latynosów. Mimo to czarni mężczyźni ginęli tam równie często, jak w miastach z dużymi, ściśle murzyńskimi dzielnicami, takich jak Nowy Orlean, Waszyngton i Chicago – częściej niż przedstawiciele innych ras i niemal wyłącznie z rąk innych czarnych. Trudno zrozumieć, jak w mieście tak etnicznie zróżnicowanym jak Los Angeles pociski zawsze znajdowały czarnoskóre cele: zupełnie jakby czarni mężczyźni nosili na plecach tarcze strzelnicze, jak ujął to pewien młody człowiek.

W 2007 roku, gdy zginął Dovon Harris, w hrabstwie Los Angeles, podobnie jak w całym kraju, notowano spadek przestępczości<sup>21</sup>. Jednak dysproporcja między liczbą zamordowanych czarnych i białych wcale się nie zmniejszała. Bez względu na to, jak wyglądały wskaźniki przestępczości, problem morderstw w Ameryce wciąż dotyczył przede wszystkim Afroamerykanów.

Pomimo tak licznych dowodów wyjątkowości problemu morderstw wśród czarnych do tej pory przeprowadzono stosunkowo niewiele badań i podjęto niewiele działań dotyczących tej kwestii. Ponura historia południowego rasizmu sprawia, że dla wielu Amerykanów jest to krępujący

temat. Jednym ze szczególnie trwałych motywów rasistowskiej tradycji było określenie „czarne zwierzę”, opisujące gorszego, czarnego mężczyznę, który nie panuje nad swoimi instynktami i często ucieka się do przemocy. Na początku XXI wieku panowało powszechne przekonanie, że każdy, kto zwraca uwagę na wysoki poziom przestępczości wśród czarnych, naraża się na oskarżenia o rasizm. Ludzie wypowiadali się więc na ten temat bardzo ostrożnie.

Badacze piszą o unikaniu tego tematu właśnie ze strachu przed etykietką rasisty. Aktywiści starali się minimalizować problem. „Kiedy dyskusja przechodzi do kwestii poważnych przestępstw – zauważa znawca prawa James Forman junior – postępowcy zwykle zmieniają temat albo starają się go unikać”<sup>22</sup>. W prywatnych rozmowach niektórzy aktywiści na rzecz równego traktowania wszystkich obywateli przyznają, że czują się zakłopotani i zaskoczeni uporczywością tego problemu. „Jak kazirodztwo”, stwierdził Najee Ali, aktywista z Los Angeles, odnosząc się do aury wstydu i tajemnicy otaczających tę kwestię. Inni czarni obawiają się, że poruszając tę sprawę, podsycą tylko biały rasizm. Po co mówić o czymś, co z pewnością zostanie wykorzystane przeciwko nim?

Dane statystyczne były jednak niepodważalne, a większość Amerykanów instynktownie to rozumiała, nawet jeśli nikt nie poruszał tego problemu w towarzystwie. W przyzwoleniu społeczeństwa na strzelaniny i napady z użyciem noża, do których dochodziło wśród czarnych „z miasta”, kryło się założenie, że ci ludzie są zbędni – albo, co gorsza, że naród tylko skorzysta na ich śmierci.

John Skaggs nie rozumiał tej zbiorowej obojętności wobec epidemii morderstw. Czuł również, że ta bierność utrudnia mu pracę. Wsparcia mógł mu udzielić nie kto inny, jak czarnoskóry znawca prawa Randall Kennedy: „Nie ma sensu udawać, że sytuacja czarnych i białych w odniesieniu do stopnia przestępczości i wiktymizacji jest podobna. Nie jest – pisał. – Dobrze znane ponure statystyki i niezliczone ludzkie tragedie, które się za nimi kryją, nie są wytworem wyobraźni jakiegoś rasisty”<sup>23</sup>.

Stawienie czoła prawdzie o morderstwach popełnianych w Ameryce to pierwszy krok ku uznaniu, że ten stan rzeczy jest nie do przyjęcia i że

Afroamerykanie zbyt długo nie byli należycie chronieni przez wymiar sprawiedliwości swojej ojczyzny.

## Zabójstwo

To było ciepłe piątkowe popołudnie w Los Angeles, mniej więcej miesiąc przed śmiercią Dovona Harrisa.

W tej części miasta wiatr od morza nieustannie porusza suchymi liśćmi palm. Dochodziła 18.15, pora, gdy właściciele domów włączają zraszacze na trawnikach, a powietrze wypełnia się charakterystycznym sykiem. Wiosenne słońce jeszcze nie zaszło, biały dysk wielkości dziesięciocentówki wisiał jakieś dwadzieścia stopni nad horyzontem, na tle rozpalonego nieba.

Dwaj młodzi czarnoskórzy mężczyźni szli wzdłuż Osiemnastej Ulicy, położonej kilka kilometrów od domu Dovona Harrisa, na zachodnich obrzeżach okręgu, nad którym pieczę sprawował komisariat przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Jeden z nich był wysoki i miał jasnobrązową skórę, drugi był niższy, drobny i ciemniejszy.

Ten niższy, Walter Lee Bridges, zbliżał się do dwudziestki. Był szczupły i wyprostowany. Miał wytatuowaną szyję, a na jego twarzy malował się smutny, nerwowy grymas, typowy dla młodych mężczyzn z South Central, którzy żyli w ciągłym zagrożeniu. Sądząc po jego drobnej budowie ciała i kocich ruchach, w razie potrzeby mógł być szybki jak błyskawica.

Jego towarzysz, który nosił czapkę z daszkiem i pchał przed sobą rower, wydawał się bardziej rozluźniony. Osiemnastoletni Bryant Tennelle był wysoki i szczupły, miał delikatną, karmelową karnację i „dobre włosy”, lśniące i pofalowane. Jego oczy opadały lekko w kącikach, co upodabniało go do łagodnego, pocziwego szczeniaka. Młodzi mężczyźni byli sąsiadami, spędzali razem czas, majstrując przy rowerach.

Przechadzali się południową stroną Osiemdziesiątej. Bryant trzymał w ręce jeszcze nieotwartą puszkę piwa korzennego A&W, którą przed

chwilą kupił. Wzdłuż ulicy stały domy w stylu hiszpańskim z lat trzydziestych, wzbogacone w plastikowe okna. Od chodnika oddzielały je starannie przystrzyżone trawniki szerokości metra, co najwyżej dwóch. Western Avenue przejeżdżały z rykiem autobusy. W górze krakały wrony, ich głosy mieszały się ze świstem samolotów podchodzących do lądowania na międzynarodowym lotnisku Los Angeles. Na obu krańcach ulicy kręciły się grupy nastolatków. W pobliżu skrzyżowania pysznił się wielki krzew magnolii, a po drugiej stronie drogi królował gęsty, przerośnięty jesion aksamitny.

Jesion stał przed małym domkiem na rogu. Za domem, na podwórku po drugiej stronie ogrodzenia, inny czarnoskóry mężczyzna czyścił maszynę do cięcia płytek. Właśnie skończył układać glazurę w łazience swojej matki.

Walter i Bryant szli w leniwym tempie wzdłuż Osiemdziesiątej, gawędząc i sycąc się resztkami słońca, które rzucało na chodnik długie cienie. Po drugiej stronie ulicy gęstniał już mrok. Z budynku na rogu przecznicy, którą właśnie minęli, wyszło trzech znajomych i przywitało się z nimi głośno. Walter przystanął i odwrócił się do nich, by coś odkrzyknąć. Bryant szedł dalej w stronę jesionu. Za rogiem, przy Saint Andrew, zatrzymał się czarny chevrolet suburban. Z samochodu wyskoczył młody mężczyzna. Podbiegł kilka kroków, zatrzymał się w cieniu drzewa i wyciągnął przed siebie wyprostowaną rękę, w której trzymał pistolet. Paf. Paf-paf.

Walter zareagował natychmiast. Już w biegu zobaczył rozbłyśki wystrzałów i bandytę – biała koszulka, ciemna karnacja, rękawiczki. Mężczyzna z przyrządem do cięcia płytek nadal był za ogrodzeniem. Nie widział strzelca. Słyszał jednak huk wystrzałów i instynktownie przypadł do ziemi. Miał czterdzieści lat, wychował się w South Central i cechowały go te same wyćwiczone odruchy co Waltera. Leżał nieruchomo, czekając, aż strzelanina ustanie.

Bryant nie był równie szybki. A może zawiniło słońce, które świeciło mu prosto w oczy. Widział jedynie ciemną sylwetkę strzelca. Cofnął się o krok, zatoczył i upadł na trawnik. Cisza. Mężczyzna z maszyną do płytek

podniósł się z ziemi, podkradł do ogrodzenia i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Strzelec stał kilka kroków dalej, obok jesionu, w dłoni wciąż trzymał broń.

Kiedy się odwrócił i poderwał do ucieczki, płytkarz podjął odważną decyzję. Pobiegł za bandytą, a gdy ten wskoczył do chevroleta, próbował odczytać numery rejestracyjne odjeżdżającego samochodu. Potem zobaczył Bryanta leżącego na trawie.

Ze wszystkich stron zbiegali się czarni chłopcy. Jeden z nich opadł na kolana obok rannego. Joshua Henry był bliskim przyjacielem Bryanta. Ujął go za rękę i uściśnął. Odetchnął z ulgą, gdy ten oddał uścisk.

– Jestem zmęczony, bardzo zmęczony – powiedział Bryant. Chciał spać.

Josh dojrzał tylko odrobinę krwi na jego skroni. Pomyślał, że to niegroźne draśnięcie. Potem Bryant odwrócił głowę. Pocisk oderwał mu jedną czwartą czaszki.

Josh z przerażeniem patrzył na ranę. Dopiero po chwili dostrzegł leżącą obok czapkę Bryanta, pełną krwi i tkanki. Słyszał własny głos, który radosnym tonem zapewniał rannego, że wszystko będzie dobrze.

Płytkarz, który stał tuż obok, rozmawiał właśnie z dyspozytorem numeru 911, starając się precyzyjnie odpowiadać na jego pytania.

– Osiemdziesiąta i Saint Andrews! – Przyjrzał się uważniej rannemu, wziął głęboki oddech i mruknął chrapliwie: – O mój Boże...

Schował telefon, odwrócił Bryanta i rozpoczął resuscytację. Zgromadzone dokoła nastolatki krzyczały jeden przez drugiego. Ktoś podał mu ręcznik. Mężczyzna próbował zatamować nim krew płynącą z roztrzaskanej głowy chłopca, choć sam nie wiedział, co powinien zrobić w tej sytuacji. Bryant zwymiotował. Miał usta pełne krwi. Mężczyzna mimowolnie wpatrywał się w tkankę mózgową – pasma szarości i żółci. Żółci? Jakaś część jego umysłu nie mogła się temu nadziwić: skąd tu żółty kolor? Inna część starała się zapanować nad emocjami.

W końcu jedna myśl wyparła wszystkie pozostałe: „Proszę, nie pozwól temu dzieciakowi umrzeć”.

– Strzelanina z karetką.

Greg De La Rosa, policjant z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, patrolował radiowozem Pięćdziesiątą Czwartą Ulicę, gdy z jego radia dobiegł taki właśnie komunikat.

„Strzelanina z karetką” było określeniem, którego policjanci w Los Angeles używali podczas komunikacji radiowej w odniesieniu do morderstw lub przypadków usiłowania morderstwa. Na terenie obejmującym większość południowego Los Angeles, kontrolowanym przez trzy komisariaty – komisariat przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, komisariat Southwest oraz komisariat Southeast – w ciągu ostatniego roku taki komunikat rozbrzmiewał co najmniej raz dziennie, a zwykle częściej<sup>24</sup>.

Do strzelaniny doszło prawie trzydzieści przecznic dalej, na południe od miejsca, w którym właśnie się znajdował. De La Rosa włączył migające światła na dachu radiowozu, ruszył wzdłuż Western Avenue i dotarł na miejsce przestępstwa jako pierwszy. Było ciepło i jeszcze dość jasno.

Rozejrzał się uważnie dokoła. Chromowany BMX na chodniku. Czapka z daszkiem. Ofiara na trawie. Czarnoskóry mężczyzna. Starszy nastolatek. Jasnobrązowa karnacja. De La Rosa działał jak automat, wypełniał w głowie policyjny raport. Wzywano go już do mnóstwa podobnych strzelanin. Widział tylu postrzelonych „czarnych mężczyzn”, że z trudem ich rozróżniał. Ponownie spojrzał na rower, czapkę i ofiarę, ułożone w jednej linii na chodniku i trawniku. Pewnie chłopak rzucił rower i biegł w stronę najbliższego domu, by schować się za werandę. Jeszcze kilka kroków i by mu się udało.

De La Rosa wychował się w angielskojęzycznej rodzinie o meksykańskich korzeniach w Panorama City, dzielnicy Los Angeles położonej w San Fernando Valley. Był nieodrodnym dzieckiem tego miasta – jego dziadka wyeksmitowano z Chavez Ravine, gdy rozpoczęła się tam budowa stadionu Dodger. Przez jakiś czas służył również w wojsku. Zupełnie jednak nie przygotowano go na to, co czekało go podczas pracy w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Obszar podlegający komisariatowi mieścił się między Watts a Inglewood, obejmował samo centrum tego, co wielu mieszkańców wciąż nazywało South Central, choć



w 2003 roku zmieniono nazwę dzielnicy na South Los Angeles, co miało ją pozbawić rzekomego piętna niesławnej przeszłości. Zwykli ludzie rzadko jednak używali tego określenia, podobnie jak innych nowych, uładowanych nazw różnych miejsc w Los Angeles, na przykład „Century Cove”. Mówiono po prostu „*eastside*” [wschodnia część] i „*westside*” [zachodnia część], odnosząc się do umownej linii podziału między mieszkańcami różnych ras, ciągnącej się wzdłuż Main Street, a całą dzielnicę nadal nazywano South Central. Skrzyżowanie Florence i Normandie, gdzie w 1992 roku wybuchły zamieszki, znajdowało się w obszarze kontrolowanym przez komisariat przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, niedaleko miejsca, w którym właśnie stał De La Rosa.

Z czasem De La Rosa przywykł do osobliwości tutejszego życia, choć niekiedy wciąż wprawiały go one w zakłopotanie. Wydawało się, że wszyscy są tu ze sobą spokrewnieni. Plotki rozchodziły się lotem błyskawicy. Czasami nie zdążył jeszcze dobrze zamknąć kajdanek, a już z okolicznych domów wysypywali się krewni zatrzymanego, wrzeszcząc na policję. Latynoska dzielnica De La Rosy również była biedna, ale wolna od problemu plagi zabójstw i chorobliwej niechęci do policji. Zauważył, że unika rozmów na temat pracy z ludźmi spoza swojej branży. Nie chciało mu się tłumaczyć innym, jak wygląda codzienność w dzielnicy jego komisariatu, bo i tak by tego nie zrozumieli.

Zadania, które wykonywał tego wieczora, były mu tak dobrze znane, że niemal weszły mu w nawyk: zabezpieczyć miejsce zbrodni, zebrać świadków, czekać na detektywów, rozdać kwestionariusze. I przygotować się na tłum gapiów zadających pytania.

De La Rosa pamiętał tylko te „strzelaniny z karetką”, którym towarzyszyły jakieś wyjątkowe okoliczności. Jak wtedy, gdy wezwano go na skrzyżowanie Florence i Broadway, dokładnie przed bar Louisiana Fried Chicken. Ofiara, starszy czarnoskóry mężczyzna, miała mały otwór w skórze, ranę, za którą często kryje się obfite krwawienie wewnętrzne.

– Odpierdol się ode mnie! – warczał ranny.

Mimo to De La Rosa próbował mu pomóc. W końcu musiało go obezwładnić aż czterech policjantów, zespół zmagający się z ciężko ranną,

być może umierającą ofiarą strzelaniny. Pomimo ogromnego zamieszania De La Rosa dostrzegał absurdalność całej tej sytuacji.

Czarny humor bywał pomocny. Niemniej De La Rosa czuł się dotknięty podejściem miejscowych do policji. Strzelali do siebie nawzajem, ale nadal uważali, że policja to tylko kłopoty. „Hau, hau”, wołali do nich szyderczym tonem. Pewnego razu De La Rosa musiał pilnować ciała czarnego mężczyzny do czasu przyjazdu ambulansu. Otoczył go gniewny tłum, zarzucano mu brak szacunku dla ciała zamordowanego. Niektórzy próbowali je zabrać. Policja oficjalnie określała takie sytuacje słowem „lincz”. Niektórzy woleli go unikać. Kojarzyli ten termin z szubienicą, a nie z tłumem, który niegdyś wydierał policji ludzi, by ich zabić lub ratować. De La Rosa starał się powstrzymać napór gapiów.

– Masz go gdzieś, bo jest czarny! – krzyknął ktoś.

Funkcjonariusz był zszokowany. Dlaczego uważali, że kolor skóry ma z tym coś wspólnego? Czasami podczas służby w dzielnicy komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej De La Rosa miał wrażenie, że nie jest już w Ameryce. Zupełnie jakby przeniósł się do jakiegoś innego świata.

Ten majowy wieczór był drobnym wycinkiem codzienności pełnej aktów przemocy, do których dochodziło w czarnych dzielnicach hrabstwa Los Angeles. Na całym obszarze dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych ciągnących się od Slauson Avenue do północnego krańca Long Beach czarnoskórzy mężczyźni ginęli od kul lub noży co kilka dni.

Miesiąc przed śmiercią Bryanta Tannellego, który zginął 11 maja 2007 roku, zastrzelono dwudziestojednoletniego Fabiana Coopera, gdy wychodził z przyjęcia w Athens. Towarzyszył mu jego sąsiad i bliski przyjaciel, dziewiętnastoletni Salvador Arredondo, który również został zabity.

Tydzień później, 15 kwietnia, dwudziestodwuletni Mark Webster wyszedł z klubu dla motocyklistów przy skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy z Drugą Aleją i został śmiertelnie postrzelony przez kogoś, kto otworzył ogień z dużej odległości. Wydaje się mało prawdopodobne, by napastnik wiedział, do kogo strzela.

Tego samego wieczora kilku czarnych mężczyzn napadło na Marquise'a Alexandra, również dwudziestodwuletniego, który zatrzymał się na stacji benzynowej Shell przy skrzyżowaniu alei Crenshaw i Slauson. Alexander zginął na miejscu od ran postrzałowych. Cztery dni później, 19 kwietnia, o wpół do jedenastej wieczorem czterdziestojednoletni Maurice Hill jak zwykle kręcił się w pobliżu sklepu z alkoholem przy skrzyżowaniu Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy i Vermont Avenue, gdy zastrzelił go nieznany napastnik. Hill, który przez całe życie mieszkał w tej dzielnicy, spędzał większość czasu, przesiadując na pasie zieleni przy Vermont Avenue i pijąc piwo. Tego samego wieczora w Saint Francis Hospital w Lynwood zmarł dwudziestotrzyletni Isaac Tobias, który kilka dni wcześniej został postrzelony podczas kłótni z dwoma innymi czarnoskórymi mężczyznami przy skrzyżowaniu Sto Dwudziestej Ulicy i Willowbrook Avenue.

Trzy dni później dwudziestoletni Eric Mandeville z Long Beach zginął podczas spaceru, najprawdopodobniej zastrzelony przez członków gangu tylko dlatego, że był młody, czarnoskóry i podobny do jednego z ich rywali. Mandeville był pracownikiem McDonald's, schludnym, sympatycznym chłopcem z rodziny zastępczej, który wyszedł na prostą pomimo trudnego dzieciństwa. Zaledwie kilka godzin po jego śmierci w tej samej okolicy zginął czterdziestosiedmioletni Alfred Henderson. Następnego dnia, 23 kwietnia, zmarł osiemnastoletni Kenneth Frison, który przez trzy tygodnie walczył o życie w California Hospital. Został postrzelony w głowę 1 kwietnia na rogu Dziewięćdziesiątej Czwartej Ulicy i Gramercy. Cztery dni po śmierci Frisona szesnastoletni Wilbert Jackson został zasypany gradem kul z przejeżdżającego obok samochodu, gdy stał przed sklepem rybnym przy Figueroa Avenue, na południe od Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Rankiem następnego dnia, 28 kwietnia, trzydziestoczteroletni Robert Hunter uczestniczył w pogrzebie Isaaca Tobiasa, jednej z młodych ofiar morderstw wspomnianej powyżej. W kościele baptystów przy Adams Boulevard, gdzie odbywały się uroczystości, doszło do kłótni. Hunter został zastrzelony, a dwaj inni żałobnicy odnieśli rany. Nieco później tego samego dnia w Inglewood zginął od kul dwudziestoośmioletni Ralph Hope.

Nazajutrz, 29 kwietnia, w mieszkaniu przy skrzyżowaniu Sześćdziesiątej Czwartej i Brynhurst znaleziono ciało dwudziestotrzyletniego Aubreya Gibsona, właściciela lokalu. Trzy dni później kilku czarnoskórych mężczyzn wdarło się do mieszkania na rogu Trzeciej Alei i Czterdziestej Drugiej Ulicy i postrzeliło w pierś pięćdziesięcioletniego Melvina Jamesa. Tego samego dnia zginęło dwóch innych czarnoskórych mężczyzn: w czasie strzelaniny w Willowbrook zabito czterdziestoczworoletniego Donalda Stevensa, a podczas bójki na rogu Western Avenue i Setnej Ulicy sąsiad dwudziestopięcioletniego Larry'ego Scotta pchnął go nożem w pierś.

Trzy dni później, 5 maja, czterdziestopięcioletni Mario Jackson i trzydziestosześcioletni Tierney Yates zostali zastrzeleni w klubie motocyklowym na rogu Sto Dziewiątej Ulicy i Broadwayu, w następstwie bójki, która wybuchła podczas telewizyjnej transmisji walki bokserskiej. Jakiś czas wcześniej Jackson wyprowadził się ze swej rodzinnej dzielnicy i radził sobie całkiem nieźle w przemyśle rozrywkowym, co nie podobało się jednak kilku spośród jego starych przyjaciół z Watts. Policjanci szybko zatrzymali około dwudziestu osób, które przebywały w klubie w czasie bójki: wszyscy zgodnie twierdzili, że niczego nie widzieli. Nazajutrz w - Hawthorne zastrzelono następnego czarnego mężczyznę, czterdziestojednoletniego Marca Smitha.

Trzy dni później, 9 maja, we Florence zginął od kul trzydziestoczworoletni Carl Dixon. Podczas tej samej strzelaniny trzy inne osoby zostały ciężko ranne. To jedyny spośród opisanych tu ataków, o który podejrzewano Latynosów, a nie Murzynów. Trzydziestosiedmioletni Bernard McGee siedział obok Dixona, gdy rozległy się strzały. Opisywał później, jak obserwował śmierć swego przyjaciela i jak jego koszula załopotąła gwałtownie pod uderzeniem kul, jakby targał nią silny wiatr.

Dwa dni później na Osiemdziesiątej Ulicy zaatakowano Bryanta Tannellego.

Kiedy De La Rosa przyjrzał się uważniej ofierze, zrozumiał, że młody mężczyzna umiera. Oddychał w charakterystyczny sposób. De La Rosa nie miał wykształcenia medycznego, ale widział to już wiele razy, intuicyjnie

rozpoznawał różne etapy umierania. Znał tę głęboką nieświadomość, w którą zapadali umierający ludzie, ten bezruch, coraz wolniejszy oddech. Przyjechała karetka.

De La Rosa pracował na miejscu zbrodni przez całą noc, pod ciemnymi sylwetkami palm na tle czerwonego nieba, pośród świateł domów ciągnących się wzdłuż ulicy. W pewnej chwili dotarła do niego plotka – podobno zastrzelony chłopiec był synem detektywa z policji z Los Angeles. De La Rosa zastanawiał się przez moment, czy był też członkiem gangu.

Plotka okazała się prawdziwa: Bryant Tennelle to syn detektywa z wydziału zabójstw. Wallace Tennelle, dla znajomych Wally, był dwanaście lat starszy od Johna Skaggsa.

Skaggs i Tennelle się nie znali. Tennelle pracował w centrum w wydziale zabójstw i napadów. Pracownicy policji w Los Angeles są rozproszeni na obszarze tysiąca dwustu kilometrów kwadratowych, specjalizują się w różnych dziedzinach. Ich życie towarzyskie jest tak ograniczone, że czasem ludzie pracujący w tej samej sali, ale w różnych boksach, nie znają nawet swoich imion, a Skaggs i Tennelle nigdy nie pracowali w tym samym biurze. Niemniej jednak łączyło ich wspólne mroczne dziedzictwo i pragnienie naprawy istniejącego stanu rzeczy. Na długo przed tym, jak się spotkali, wielopokoleniowa fala zła postawiła ich na tej samej drodze i niosła aż do momentu, gdy syn jednego z nich został zastrzelony na rogu Osiemdziesiątej i Saint Andrews, a drugiemu kazano znaleźć jego zabójcę.

## Strefa getta

John Skaggs miał w młodości rude włosy.

Urodził się w 1964 roku, mieszkał w skromnym domu z lat pięćdziesiątych w Long Beach, na osiedlu przypominającym te, które później jako policjant patrolował w Watts – pośród parterowych domków z garażami, stojących wzdłuż ulic i szpaleru platanów. Jego ojciec pracował jako detektyw w miejscowym wydziale zabójstw, rozszedł się jednak z żoną, gdy John chodził do szkoły podstawowej. Później wychowywała go głównie matka.

Janice Skaggs była córką górnika z Nebraski, serdeczną, ale surową kobietą. W wychowaniu zwracała uwagę na hart ducha i samokontrolę w miejscach publicznych. Miała pod opieką jeszcze troje innych dzieci i niewiele pieniędzy. Cała czwórka dzieciaków pracowała od małego, by pomóc jej utrzymać dom. John z własnej inicjatywy zaczął płacić czynsz za swój pokój, gdy tylko skończył osiemnaście lat.

Był najmłodszym z czworga dzieci i jedynym chłopcem. Był też niezwykle ambitny i uwielbiał sport, szczególnie baseball. Zawsze liczyła się dlań przede wszystkim wygrana. Matka nie zniechęcała go do takiej postawy, ale dawała wyraźnie do zrozumienia, że dzieci Skaggsów mają być miłe, uczciwe i dobrze wychowane. Bez względu na to, jak bardzo zależało im na wygranej, miały zachować spokój i dobre maniery.

Skaggs rozpoczął studia na Uniwersytecie Stanu Kalifornia w Long Beach, ale zrezygnował z nauki po roku. Nie mógł znieść wielu godzin bezczynnego siedzenia. W końcu poszedł w ślady ojca i został policjantem. Choć mijały lata, wciąż stosował się do nauk matki – był miły dla innych, ale wymagający dla samego siebie. Pod przyjaznym i ujmującym uśmiechem krył się prawdziwy perfekcjonista. Wiedział, czym powinien się

przejmować, a czym nie. Nie poddawał swoich przemyśleń i wniosków zbyt surowej ocenie. Nie sprzeczał się. Po prostu zachowywał się swobodnie i robił swoje.

Nim skończył czterdzieści lat, jego gęste, krótko przycięte włosy pojaśniały, a jedyną pozostałością dawnego koloru był rudy odcień brwi. W połączeniu z jasnoniebieskimi oczami i różową karnacją nadawało mu to wygląd typowego blondyna, który spędza mnóstwo czasu w kalifornijskim słońcu. Jego przyjaciele byli oburzeni tą niesprawiedliwością. Oni łysieli lub siwieli, a on zamieniał się w blondyna. Wydawało się, że to kolejny przejaw przychylności losu, którą cieszył się od lat.

Miał ostro zarysowane kości policzkowe, mały okrągły podbródek z lekkim zagłębieniem, bruzdę między oczami i duże dłonie. Jego smukła, atletyczna sylwetka nie zmieniła się szczególnie od czasów, gdy rozpoczynał pracę w policji. Kolejny uśmiech losu: detektywi w średnim wieku zwykle dorabiali się brzuszka, a John Skaggs wciąż wyglądał jak „ktoś prosto z okładki magazynu »GQ«”, jak to ujął jeden z jego przełożonych. Co jakiś czas Skaggs przybierał na wadze, upodabniając się do kolegów z policji. Jednak z tą samą samodyscypliną, z którą traktował wszystkie obszary swego życia, ograniczał wtedy jedzenie, więcej ćwiczył i w krótkim czasie zrzucał dziesięć kilogramów. Co w tym trudnego? Nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie mają kłopoty z zachowaniem odpowiedniej diety.

Nigdy nie chorował ani nie korzystał ze zwolnień. Nigdy nie chodził do lekarza. Jego idealne zdrowie stanowiło element idealnego życia – miał idealne dzieci (chłopca i dziewczynkę, oczywiście), piękną jasnowłosą żonę o imieniu Theresa, ładny dom na przedmieściach, basen, SUV-a, deski surfingowe. Theresa była sekretarką, zarządzała kancelarią prawniczą. Jako para byli dobrze zorganizowani, zdrowi, umiarkowanie religijni i mili dla siebie nawzajem: Skaggs kierował się zasadą, że żadne antagonizmy nie mogą zakłócić jego rodzinnych relacji. Theresa z kolei miała na tyle silną osobowość, by zachować własne zdanie w obliczu dużej i radosnej pewności siebie męża. „John to John”, mówiła o nim czule, dając w ten

sposób do zrozumienia, że jego największa siła – niezdolność do samowątpienia – jest jednocześnie jego największą słabością.

Pewność siebie Skaggsa była praktycznie nieograniczona. Jednak opis jego kariery nie robił szczególnego wrażenia. Jego wuj, zastępca komendanta policji w Los Angeles, uważał go za życiową niedojdę. Przez długie lata krytykował zawodowe wybory Skaggsa, karmił go i pouczał podczas rozmów telefonicznych. Dlaczego nie ubiegał się o wyższe stanowiska? Dlaczego wciąż tkwił na pozycji zwykłego detektywa na południowych krańcach miasta?

Obszary podlegające dziewiętnastu komisariatom na terenie Los Angeles nazywano rejonami<sup>25</sup>. Powszechnie uważano, że aby piąć się po szczeblach kariery, trzeba się przenieść do elitarnych scentralizowanych jednostek lub objąć jakąś funkcję administracyjną w Komendzie Głównej Policji Los Angeles, wówczas Parker Center, albo w „BAP”, jak nazywali to sami policjanci, czyli w Budynku Administracyjnym Policji. Uważano również, że policjanci pozostający w komisariatach rejonowych są mniej ambitni, szczególnie jeśli pracowali w południowej części miasta.

Większą jednostką administracyjną policji w Los Angeles były kwadranty. South Bureau kierowało takim właśnie kwadrantem, którego granicę nieoficjalnie wyznaczała autostrada międzystanowa 10 i który obejmował komisariaty Southwest, Southeast i ten przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Rejon Central Bureau, nazywany Newton, również znajdował się głównie na południe od autostrady 10 i graniczył z rejonem komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej od północy, wzdłuż Florence Avenue. Łącznie te cztery komisariaty obejmowały obszar dzielnicy South Central.

Policjanci pracujący w którymkolwiek z tych czterech komisariatów mogli się czuć nieco zepchnięci na margines. Wszystkie znajdowały się w najbiedniejszych rejonach Los Angeles, a zarazem przewodziły w statystykach najpoważniejszych przestępstw. Miejsca te kojarzyły się policjantom z maleńkimi mieszkaniem – często urządzone w przerobionych garażach – ogrodzeniami z metalowej siatki, ze złymi psami bez obroży, z chevroletami caprice, z rodzinnymi grobowcami,



ulotkami reklamującymi plecenie warkoczy, muralami przedstawiającymi butelki z wybielaczem, nędznymi sklepikami o wymyślnych nazwach: Mantrap Nails, Sexy Donuts, Vanessa's Positive Energy. Dobrze wiedzieli, co oznacza praca w takiej okolicy. Wielu wołało jej unikać.

Policjanci, którzy wybierali pracę na południe od autostrady 10, byli uważani za twardzieli i cieszyli się powszechnym szacunkiem. Z pewnością nie była to jednak odskocznia do prawdziwej, wielkiej kariery. Co więcej, twardych, zaprawionych w boju gliniarzy z południa często traktowano w policji w Los Angeles jako towar wybrakowany, który nie nadawał się do innych zadań ze względu na dużą liczbę skarg oraz mały zakres obowiązków. Wuj Skaggsa uważał, że jego bratanek się ogranicza, pracując w Watts.

Najgorsze zdaniem wuja było jednak to, że Skaggs wydawał się całkiem zadowolony z pracy na stanowisku detektywa. To oznaczało, że od lat ma stopień równy randze zwykłego sierżanta i że z własnej woli odcina się od najwspanialszych tradycji wydziału. Policja w Los Angeles od dawna budowała swój wizerunek na skuteczności ulicznych patroli, a nie na sprawności detektywów. Telewizyjny serial *Adam-12* z lat siedemdziesiątych pokazywał symboliczny obraz policji z Los Angeles – schludnych zawodowców w niebieskich mundurach, przemieszczających się błyskawicznie z miejsca na miejsce w radiowozach na sygnale. Mundur LAPD (Los Angeles Police Department – Policja Los Angeles) miał niebagatelne znaczenie. Był ciemnogranatowy, niemal czarny, uchodzący za królewski odcień. Kultura LAPD wymagała, by noszono go jak szaty, nieskazitelnie czysty i starannie wyprasowany; buty i paski miały lśnić niczym lustra. Policjanci przykładali ogromną wagę do smukłego i wysportowanego wyglądu – niektórzy szyli nawet mundury na miarę, by uwydatniały ich mięśnie.

Detektywi nie należeli do tej kultury. Wielu z nich nosiło na co dzień zwykłe koszulki polo i luźne spodnie. Oczywiście detektywi z wydziału zabójstw tacy jak Skaggs ubierali się w garnitury. Jednak ze względu na częste wezwania w środku nocy nie dosypiali i przybierali na wadze.

Policjanci pełniący służbę w patrolach czasami odnosili się z nieskrywaną pogardą do swoich kolegów w cywilnych ubraniach.

Struktura policji i rozdział środków odzwierciedlały te relacje. W komisariatach niektóre jednostki mundurowe – specjaliści od gangów i tak zwana policja środowiskowa – miały swoje biura i oferowały atrakcyjną pracę, podczas gdy detektywów spychano na margines, ich biurka sąsiadowały ze stanowiskami policjantów zajmujących się włamaniami, a o środki finansowe musieli rywalizować z obyczajówką i wydziałami przestępczości nieletnich.

Niektórzy detektywi LAPD pracowali na elitarnych stanowiskach w centrum miasta, dzięki czemu cieszyli się prestiżem i wpływami w środowisku. W przypadku Skaggsa naturalnym wyborem byłby wydział kryminalny, zwany w skrócie RHD (Robbery-Homicide Division). Siedziba wydziału mieściła się w kwaterze głównej, a jej pracownicy zajmowali się sprawami uznawanymi za wyjątkowo skomplikowane lub przyciągającymi uwagę mediów, takimi jak przestępstwa dotyczące celebrytów, masakry i morderstwa z podpaleniem. Detektywów RHD uważano za najlepszych w całej policji w Los Angeles. Zwykle mieli mało spraw, zawsze ubierali się bardzo elegancko, a ich jednostka była tematem wielu książek i programów telewizyjnych.

Jednak wydział kryminalny zazwyczaj przekazywał innym jednostkom tak zwane zwykłe morderstwa uliczne, które Skaggs uważał za swoją specjalność. Dlatego za sprawą kryteriów, którymi kierował się RHD, sprawy czarnych ofiar nie mogły liczyć na specjalne traktowanie ze strony LAPD. Oczywiście w pewnym sensie było to nieco obraźliwe dla detektywów pokroju Skaggsa, którzy wcale nie uznawali takich morderstw za mniej skomplikowane. Takie podejście uwłaczało również zwykłemu poczuciu sprawiedliwości, zdawało się bowiem potwierdzać zarzut, który każdy policjant słyszał niemal codziennie od mieszkańców dzielnicy: „Nie obchodzi was to, bo on jest czarny!”.

Skaggs oczywiście nie twierdził, że właśnie dlatego nie starał się o miejsce w RHD. O jego opinii w tej kwestii i w wielu innych świadczyły

jedynie jego czyny. Propozycje przejścia do RHD zbywał machnięciem ręką.

Wydawało się wręcz, że policjanci pracujący na południe od autostrady 10 są dumni ze swego podrzędnego statusu. Patrzyli z góry na gliniarzy z innych komisariatów, nazywali ich mięczakami, sami zaś uważali się za funkcjonariuszy wyższego rzędu. Jeden ze znajomych Skaggsa<sup>26</sup> przejął zasłyszane od członka gangu z Watts określenie opisujące tę dzielnicę: strefa getta. Trafnie odzwierciedlało ono sytuację, łączyło opis geograficzny ze statusem, poezją knajackiej perspektywy i perwersyjną metaforą. Mówiło jednocześnie o miejscu i o trudnej sytuacji życiowej, nazywało poetyckie poczucie odizolowania łączące wszystkie wypełnione przemocą części hrabstwa Los Angeles: Athens, Willowbrook, część Long Beach, Watts. Te miejsca były do siebie bardzo podobne, podobne były również działania policji, które w nich prowadzono. John Skaggs całkowicie poświęcił się strefie getta. Nie miał zamiaru tłumaczyć swojemu wujowi, co czuje. Jeśli inni policjanci nie rozumieli, dlaczego jego praca jest ważna, dlaczego ma prawo być tak pewny siebie, to zdaniem Skaggsa nie było sensu im tego tłumaczyć. „To świat Skaggsa”, mawiał jego wieloletni partner Chris Barling, przewracając przy tym oczami.

Ta fraza lapidarnie ujmowała wiele charakterystycznych cech Skaggsa – jego lekceważącą pozę, niezachwiany optymizm, pewność siebie, którą inni czasami uznawali za arogancję. Przede wszystkim jednak mówiła o jego podejściu do obowiązków, jego etosie pracy, który kazał mu uznać, że to nie zwierzchnicy, opinia publiczna czy głos ogólnie pojętego społeczeństwa decydują o tym, co należy uznać za sukces, a czego nie należy. Innym policjantom strefa getta kojarzyła się z poobijanymi radiowozami, brudnymi klawiaturami komputerów, długimi godzinami pracy i gronkowcem odpornym na antybiotyki. Praca w tym miejscu przywodziła na myśl poczucie bezsensu, brak widoków na awans i codzienne zmagania z tymi stresującymi, nużącymi i przygnębiającymi problemami czarnych ludzi. Jednak Skaggs uważał strefę getta za swoje miejsce na ziemi, gdzie toczyła się prawdziwa praca. Emanował zadowoleniem, gdy pracował na ulicach tej dzielnicy. Jeździł po brudnych alejkach w starannie

wyprasowanych koszulach i drogich krawatach, zawsze wypoczęty, zawsze świeżo umytym i wysprzątanym samochodem.

Skaggs lubił pracę w strefie getta nie dlatego, że wydawała się wyjątkowo trudna. Nie był samotnikiem pokroju Marlowe'a. Uwielbiał sport, surfował, cieszył się życiem i blaskiem słońca, kochał żonę i dzieci. W weekendy z radością przesiadał się do rodzinnego campera i na rower terenowy. Skaggs wybrał Watts z innego powodu: lubił mieć zajęcie i uważał, że jego praca w tym miejscu jest naprawdę ważna, że należy ją właściwie wykonywać. Wchodził w otchłań najbardziej przerażających, najgorszych zbrodni Ameryki niczym górnik zjeżdżający do kopalni z kilofem w jednej ręce i kanapką w drugiej, pogwizdujący przy tym wesoło. Podporządkował swoje życie problemowi, który rzadko w ogóle dostrzegano, i wcale nie zniechęcał się faktem – a może wręcz traktował to jak dodatkową motywację – że wielu innych tego nie rozumiało. Miał w sobie niezachwianą wiarę, że dzięki odpowiednim staraniom można zmienić stan rzeczy.

Ta wiara nigdy go nie opuściła, nawet wtedy, gdy kolejne wyzwania przybrały nieoczekiwanie osobisty charakter.

## Szkoła tragedii

Wally Tennelle urodził się w górniczym regionie Jasper w stanie Alabama w 1954 roku. Rodzinna legenda głosi, że jedna z jego prababek była nieślubną córką czarnoskórej służącej i białego właściciela plantacji, co tłumaczyłoby jaśniejszą karnację i włosy członków rodziny.

Rodzina jego matki Dery pochodziła z Missisipi, ale sama Dera spędziła dzieciństwo w tym górniczym zakątku Alabamy, zawsze niemal w całkowitym oddzieleniu od białych. Ojciec Wally'ego Baron Tennelle aspirował do wyższych celów. Poznał Derę jeszcze w szkole. Pobrali się i wyprowadzili z dwójką synów na zachód w 1963 roku – tuż przed narodzinami Skaggsa – wraz z drugą falą czarnoskórych migrantów z Południa. Ojciec Wally'ego był człowiekiem bardzo energicznym i pracowitym, a przy tym urodzonym handlowcem. W Kalifornii zamienił słabo płatną pracę w przemyśle lotniczym na posadę w handlu. Rodzina szybko się bogaciła. Już w Los Angeles urodziło się trzecie dziecko, córka.

Od wczesnych lat Wally, środkowe dziecko, był zdecydowany i dobrze zorganizowany, uwielbiał porządek. Ku zdumieniu matki z własnej woli starannie składał wszystkie ubrania i sprzątał pokój. Dera czuła się nieco rozczarowana, że nie może nań trochę pozzrzedzić, jak powinna to robić każda matka. To zamiłowanie do czystości wpływało z wewnętrznego, duchowego uporządkowania, które miało definiować całe życie Wally'ego.

Chłopak skończył szkołę średnią i postanowił, że nie pójdzie na studia. Zaciągnął się do piechoty morskiej, gotów walczyć za ojczyznę w Wietnamie. Wojna miała się już wtedy ku końcowi. Wally nie zdążył na kolejny przydział bojowy, ponieważ jego matka – nieprzypadkowo, jak sobie później uświadomił – nie wysłała mu w porę świadectwa chrztu.

Trafił więc na inną placówkę: został strażnikiem Ambasady USA w Kostaryce.

Trzy dni po przyjeździe do San José wszedł do kawiarni naprzeciwko ambasady i podjął jedną z błyskawicznych decyzji, które określały całe jego życie.

Za barem stała młodziutka, szesnastoletnia Kostarykanka. Yadira Alvarado pochodziła z rolniczej rodziny. Tennelle, wówczas osiemnastoletni, nie znał ani słowa po hiszpańsku, ona nie mówiła po angielsku. Gdy chciał ją zaprosić na randkę, musiał to dla niego zrobić jeden z jej współpracowników. Tego pierwszego wieczora w kinie Yadira zastanawiała się gorączkowo, czym wypełnić krępujące milczenie. Tennelle jednak wcale się tym nie przejmował. Po kinie na jej prośbę wysadził ją na przystanku autobusowym. Nazajutrz w kawiarni czekały na nią dwa tuziny czerwonych róż. Podczas następnej randki Tennelle zaskoczył ją kilkoma hiszpańskimi słowami. Spotykali się przez trzy lata, a pod koniec tego okresu Tennelle mówił już biegle po hiszpańsku. Gdy się pobrali, ona miała dziewiętnaście lat, on – dwadzieścia dwa.

Ich pierwszy wspólny dom znajdował się w bazie wojskowej w Cherry Point w Karolinie Południowej. W Kostaryce podchodzono do kwestii rasowych zupełnie inaczej niż w Stanach Zjednoczonych. Yadira nie była nawet świadoma, że wraz z Wallym tworzą „parę dwurasową”, jak nazywano to w Stanach, dopóki nie zauważyła dziwnych spojrzeń, jakimi obrzucano ich podczas wspólnych spacerów. Była to pierwsza lekcja tego, co później nazywała „całą tą aferą” – kwestią rasy w Ameryce.

Zakończywszy służbę wojskową, Wally przeprowadził się z Yadira do swojego rodzinnego miasta Los Angeles, gdzie zatrudnił się jako ochroniarz w sklepie sieci Kmart. Później dostał lepszą posadę u pracodawcy swojego ojca, w United Airlines, stracił ją w wyniku strajku i znalazł nowy sposób na utrzymanie. Zapisał się do El Camino Community College (dwuletniego college’u przygotowującego do studiów wyższych), by dostać stypendium – nauka nieszczególnie go interesowała – z którego płacił czynsz i kupił kosiarkę do trawy. Zaczął pracować jako ogrodnik.

Później mówił, że zdecydował się w 1980 roku rozpocząć pracę w policji tylko po to, by zarobić na życie. Yadira wspomina to jednak inaczej. Jej zdaniem Wally ostrzegał ją, że chce zostać policjantem, gdy byli jeszcze w Kostaryce. Dawał jej szansę na wyrażenie sprzeciwu. Jednak Yadira nie wiedziała wtedy nic o codziennych morderstwach, o strefie wojny w dzielnicy South Central. Prawdopodobnie i tak nie próbowałyby się sprzeciwiać. Wiele lat później ich najstarsza córka zauważyła, że wzajemny szacunek i niezależność Wally'ego i Yadiry były fundamentem ich udanego małżeństwa. W domu miło spędzali razem czas, on częściej przebywał na zewnątrz, ona w środku, oboje pochłonięci swoimi zajęciami.

Pierwszy dom Wally'ego i Yadiry w południowym Los Angeles był jak ich małżeństwo: uporządkowany i idylliczny. W Kostaryce Yadira widywała młode kobiety adorowane przez mężczyzn, którzy po ślubie całkowicie je dominowali. Wally nie był taki. Wielu znajomych zwracało uwagę na stałość jego charakteru: bez względu na sytuację zawsze był tym samym człowiekiem. Ich dom był przyjazny i niezagracony. Nigdy się nie kłócili. Córka, która na cześć matki Wally'ego otrzymała imię Dera, choć wszyscy mówili do niej DeeDee, wiedziała, jak nieprawdopodobnie brzmią takie stwierdzenia. Ale taka właśnie była prawda: nigdy nie widziała, by jej rodzice się awanturowali.

Wally i Yadira mieli troje dzieci. Po DeeDee urodził się syn Wallace junior, a potem Bryant, który przyszedł na świat we wrześniu 1988 roku. Yadira pracowała w kuchni Kaiser Permanente Hospital w zachodnim Los Angeles, od piątej rano do wpół do drugiej po południu. Nie zmieniała tej posady przez długie lata, codziennie wstawała przed wschodem słońca, by założyć fartuch kuchenny. Jej przyjaciółki uważały, że to praca dobra tylko na początek, zachęcały ją, by została pielęgniarką. Yadira uwielbiała jednak to zajęcie, uwielbiała gotowanie i kuchenną krzątanie.

Dzieciaki droczyły się z rodzicami, mówiąc, że są nudni. W rzeczywistości DeeDee uważała, że należy ich opisać inaczej – rozsądni. Krzywiła się na sam dźwięk tego słowa, jednak naprawdę do nich pasowało. Byli jak rodzina z serialu *Brady Bunch*. Choć nie – poprawiała

się DeeDee ze śmiechem – raczej jak rodzina Cosbych. W końcu byli czarni. Do pewnego stopnia.

W ich domu rzadko rozmawiano o kwestii tożsamości rasowej. Wally Tennelle zdołał jakoś dorosnąć w South Central bez bliższych spotkań z przemocą gangów czy też z policją. Mama nigdy nie pozwoliła mu nosić afro – i prawie nigdy nie rozmawiał o rasie. Jego konserwatywne poglądy w kwestiach odpowiedzialności osobistej i samodoskonalenia były typowe dla większości policjantów z LAPD. Opinia Wally’ego Tennellego na temat afroamerykańskiej przedstawicielki Kalifornii w Kongresie Maxine Waters, która często krytykowała LAPD, nie różniła się niczym od pełnych frustracji i żalu opinii niemal wszystkich policjantów w Los Angeles. W tej kwestii Wally Tennelle był najpierw granatowy, a dopiero potem czarny.

Dzieci państwa Tennelle były bardzo podobne do swoich rodziców, ale różniły się między sobą. DeeDee miała delikatną, porcelanową cerę, garść piegów na nosie, duże brązowe oczy, pełne usta i falowane brązowe włosy. Wydawała się tak biała, że jako jedyna z członków rodziny celowo wymawiała swoje nazwisko „Tenel”, a nie „Teneli”, by ludzie nie przypuszczali, że jest z pochodzenia Włoszką.

Wally junior miał ciemniejszą, „miedzianą” skórę jak jego ojciec, ciemne oczy i ciemne włosy. Mówił dobrze po hiszpańsku i uważał się za pół-Latynosa. „Ale jeśli się spieszę, mówię po prostu, że jestem czarny”, dodał.

Skóra Bryanta była jaśniejsza niż skóra jego brata, ale nie tak jasna jak DeeDee. Był wysoki i szczupły, miał czystą, gładką cerę, co budziło zawiść jego brata, który zmagał się z trądzikiem. Jednak podobnie jak Wally junior Bryant uważał się przede wszystkim za czarnego. Ostatecznie ze względu na miejsce, w którym wyrastali, i na ciche zrozumienie skomplikowanej historii rasowej – a także dlatego, że większość znanych im dwurasowych dzieciaków zachowywała się tak samo – wszyscy troje uważali się za czarnych.



Po krótkim stażu policyjnym w Southeast Wally Tennelle trafił do wydziału więziennego, a potem do narkotykowego. Spędzał na patrolowaniu mniej czasu niż większość nowych policjantów. Ostatecznie na początku lat osiemdziesiątych trafił do Centralnego Biura CRASH. Skrót „CRASH” oznaczał tyle co „community resources against street hoodlums” [środki społeczne przeciwko chuliganerii] i pochodził z minionej epoki historii LAPD, nim w wyniku reform zlikwidowano wszystkie nazwy kojarzące się z agresją i brawurą. Historia nazwy wydziału do walki z gangami doskonale obrazuje tę ewolucję: początkowo jednostkę specjalną tego typu w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej nazywano PATRIOT. Potem przyszła kolej na oddziały, które w całym mieście nosiły tę samą nazwę, czyli właśnie CRASH. W końcu, mocą dekretu będącego wynikiem porozumienia na szczeblu federalnym, przemianowano je na miałkie i łagodne [w języku angielskim] GIT – „gang impact teams” [oddziały uderzeniowe].

Tennelle trafił do oddziału zwalczającego gangi w czasie, gdy przez Amerykę przetaczała się wielka fala zabójstw. Była to era kokainy, koncertów rockowych i handlu narkotykami na otwartym powietrzu. Młody weteran piechoty morskiej był w siódmym niebie. Chyba nic nie mogło cieszyć go bardziej niż noszenie granatowego munduru, jazda szybkimi samochodami i ściganie gangsterów. Nie chciał się zajmować niczym innym – na pewno nie pracą detektywa. Wszyscy wiedzieli, że detektywi to „banda ślimaków”, jak wspominał później Tennelle. On i jego współpracownicy kierowali się mottem „P-2 na zawsze” – P-2 oznaczało twardych gliniarzy pełniących służbę na ulicy.

Potem, w 1984 roku, Tennelle znalazł się w grupie młodych policjantów wypożyczonych do wydziału zabójstw do pomocy przy rozwiązywaniu niezwykle dużej liczby morderstw. Tu dostał swoją pierwszą sprawę tego typu.

Od świetnego detektywa wymaga się innego zestawu cech niż od świetnego policjanta patrolującego ulicę. Jednak cechy te są ze sobą powiązane. Wally Tennelle miał kilka ważnych przymiotów, które pchają młodych ludzi do pracy w policji. Choć brakowało mu wyższego

wykształcenia, był bystry i energiczny. Policja może być wymarzoną miejscem pracy dla inteligentnych ludzi czynu, którzy z różnych powodów nie chcą zdobywać formalnego wykształcenia – dla ludzi z „lekkim ADHD”, jak mówi o wszystkich członkach swojej rodziny DeeDee Tennelle.

Właśnie te cechy sprawiają, że tacy ludzie doskonale nadają się do pracy wykonywanej niemal wyłącznie poza domem, pracy wymagającej nieprzespanych nocy, nagłych zrywów aktywności i gotowości do szybkiego przechodzenia z jednej sytuacji w drugą. Świetny policjant – albo świetny detektyw – musi być bystry i szybki, ale niekoniecznie czytany czy wyjątkowo krytyczny. Dobra pamięć, umiejętność improwizacji, zainteresowanie sprawami ludzi i pogoda ducha sprawiały, że osoby nadpobudliwe czuły się doskonale w pracy, która innych jedynie okropnie stresowała.

Wally Tennelle miał wszystkie te cechy. Ale miał też kilka innych, które stawiały go w rzędzie jeszcze lepszych gliniarzy z dzielnicy na południe od autostrady 10. Były to te same cechy, które niegdyś dostrzegła jego matka: niezwykle uporządkowanie, umiejętność kontrolowania samego siebie i przestrzeni dookoła oraz ciche przekonanie o własnej wartości. Tennelle był doskonale zorganizowanym myślicielem: uwielbiał szczegóły i cechował się niemal chorobliwą pracowitością. Był też człowiekiem radosnym, całkowicie – lub niemal całkowicie – wolnym od lęków czy frustracji. Ta ostatnia cecha była szczególnie istotna. Dawała mu pewność w działaniu i wytrwałość. Nic więc dziwnego, że gdy pracował przy swojej pierwszej sprawie związanej z morderstwem, poczuł pewność, jakiej doświadczają ludzie, odkrywając swoje życiowe powołanie. „Tak – pomyślał. – Właśnie tym chcę się zajmować”.

Tennelle był detektywem od spraw zabójstw w CRASH aż do późnych lat osiemdziesiątych, potem przeniesiono go do wydziału zabójstw w Newton. Pracował jak wszyscy w tamtych czasach – zasypywany nowymi sprawami, próbował zebrać dość materiałów, by doprowadzić do skazania zabójcy. Musiał się spieszyć, by zdążyć z tym przed następnym śledztwem, licząc jednocześnie, że proces nie ugrzęźnie w gęstwinie ugód, które wtedy zawierano znacznie częściej niż teraz. Pewnego weekendu pod koniec lat

osiemdziesiątych Tennelle był wzywany aż do czterech morderstw. Dopiero przy piątym, jak wspomina, zwierzchnicy zgodzili się sprowadzić nowy zespół.

Po drodze Tennelle poznał credo detektywów z wydziału zabójstw, które wygłosił jeden z jego pierwszych partnerów, stojąc nad ciałem zamordowanej prostytutki. „Teraz już nie jest dziwką – powiedział. – Jest córunią jakiegoś tatusia”. Wally Tennelle uwielbiał taką filozofię. Bez względu na opinię reszty świata detektyw z wydziału zabójstw miał traktować każdą ofiarę – choćby unurzaną po szyję w bagnie świata przestępczego – jako najczystsze anioła. Zamordowani byli bezbronni. Wszystkim należała się taka sama sprawiedliwość.

Miasto wchodziło w erę, którą doświadczeni detektywi nazywali potem Grubymi Latami. Liczba zabójstw sięgnęła zenitu w 1980 roku, potem zmalała, a potem, na początku lat dziewięćdziesiątych, znów wystrzeliła w górę. Nigdy dotąd nie notowano aż tylu morderstw (choć statystycznie rzecz ujmując, poprzednia dekada była bardziej krwawa). W 1992 roku na sto tysięcy Amerykanów przypadało dziewięćset ofiar zabójstw<sup>27</sup>. Tylko nieliczne kraje rozwinięte odnotowały wyższą wartość. Sytuacja wyglądała jeszcze gorzej wśród czarnych: ginęli mniej więcej sześć razy częściej niż biali – podobnie jak w poprzednich epokach i podobnie jak po Grubych Latach. W najgorszym okresie liczba czarnych narażonych na śmierć w wyniku morderstwa wykraczała poza wszelkie statystyki. W 1993 roku w hrabstwie Los Angeles na sto tysięcy mieszkańców przypadało trzystu sześćdziesięciu ośmiu czarnych mężczyzn w wieku około dwudziestu lat. Podobny odsetek dotyczył amerykańskich żołnierzy, którzy ginęli w Iraku po inwazji w 2003 roku<sup>28</sup>.

Wally Tennelle dosłużył się stopnia detektywa w 1990 roku, gdy właśnie nadciągała największa fala morderstw. Praca w wydziale zabójstw w South Central oznaczała wówczas mordęgę, jakiej świat zewnętrzny nie był sobie w stanie wyobrazić.

Czym innym jest analiza „ponurej statystyki”, jak mówił Randall Kennedy, odnosząc się do morderstw czarnych w strefie wojny odległej

zaledwie o dziesięć minut od spokojnych przedmieść, a czym innym bezpośrednia obserwacja tego kataklizmu, którą przez dekadę musiał prowadzić Tennelle.

Wydawało się, że South Central to osobne miasto, otoczone niewidzialnymi murami. Nawet powietrze miało tutaj posmak rozpacz. „Nie do opisanie”, mówili często ludzie o tym miejscu.

Zdławiona cisza i beznamienne spojrzenie, które pewien policyjny kapelan nazwał „oczami morderstwa” – tak najczęściej wyglądała reakcja osób poproszonych o opisanie sytuacji, w której zetknęły się z przemocą. Oczy świadka wpatrywały się gdzieś w przestrzeń, gdy opowiadał o nagłym odejściu ojca lub powolnym konaniu małżonka. Krótki przepraszający ruch głowy kończył opis okaleczenia syna. Ocaleni ze strzelaniny opowiadali o przyjaciółach, którym nie udało się uciec, i nagle milkli. „Brakuje słów”, kwitowali często ludzie.

Karen Hamilton, księgowa z Jefferson Park, wciąż nie mogła mówić o śmierci swego syna, choć od tamtego czasu minęło już siedem lat. Próbowwała, brała głęboki oddech, zaciskała drżące dłonie, lecz z jej gardła nie wydobywał się głos. Rozpacz po zabójstwie bliskiego może być swego rodzaju śmiercią za życia. Pograżeni w żałobie z trudem brną przez kolejne dni, okaleczeni, oszpecceni poczuciem straty i niezrozumienia.

Dla wielu członków rodziny udręka zaczyna się od doświadczeń, które większość Amerykanów kojarzy jedynie z wojną: od nagłej, brutalnej śmierci najbliższych na ulicy przed domem. Często jako pierwsi na miejscu przestępstwa pojawiają się rodzice i rodzeństwo ofiary.

Kiedy postrzelono osiemnastoletniego Jamaala Nelsona, jego matka wybiegła na zewnątrz, upadła na kolana i podniosła koszulę syna, odsłaniając podziurawioną kulami pierś. Jamaal jeszcze przez chwilę dyszał chrapliwie i skonał na jej rękach.

Bobby Hamilton znalazł swojego nastoletniego syna w pobliskim parku. Nieprzytomny chłopiec leżał na trawniku i oddychał ciężko, postrzelony w tył głowy. Hamilton wziął go na ręce jak małe dziecko i zawiózł do pobliskiej remizy strażackiej, gdzie dzieciak umarł.

Inni bliscy ofiar dowiadawali się o ich śmierci podczas rozmów telefonicznych albo wizyt na komisariacie. Przyjaciółka Wandy Bickham zadzwoniła do niej z wiadomością, że jej dziewiętnastoletni syn Tyronn został zastrzelony. Bickham odłożyła słuchawkę, nie chciała tego słyszeć. Lewis Wright dowiedział się o śmierci swojego syna, gdy urzędnik w biurze koronera podsunął mu zdjęcie zwrócone obrazem do dołu. Wright z bijącym sercem odwrócił fotografię i ujrzał twarz swojego syna. Sharon Brown w ostatnich chwilach życia swojego trzynastoletniego syna siedziała na ławce przed centrum rekreacyjno-sportowym, w którym go postrzelono, by nie przeszkadzać ratownikom medycznym. Później tego żałowała.

Bliscy ofiar mówią, że tuż po morderstwie czuli się otepiali i nieobecni, ich umysły odruchowo odpychały od siebie tragiczną prawdę. Jedna ze zrozpaczonych matek podczas pogrzebu podeszła do trumny syna jak robot, z trudem podnosząc stopy, jakby każda z nich ważyła sto kilogramów.

Zrozumienie przychodzi powoli. Niektórzy przyznają, że najgłębszą rozpacz przeżywali kilka lat po śmierci bliskich – dwa, pięć, a nawet dwadzieścia. „Już po. Już po. Już po”, powtarzała Barbara Pritchett, zaciskając z bólu pięści dwa lata po śmierci Dovona. Wielu bliskich przyznaje też, że czuje bezsilny, dręczący gniew. „Wszystkie te »dlaczego«”, jak ujął to jeden z załamanych ojców.

Niektórzy poddają się rozpacz. Przez kilka miesięcy po śmierci czterdziestodwuletniego Charlesa Yarbrougha jego matka Anita McKiry całymi nocami leżała na jego grobie. Pewna kobieta z Compton, której zamordowano nie jednego, lecz dwóch synów, mówiła, że „czekała na śmierć”. Carlton Mitchell, który stracił w strzelaninie brata Paula, celowo spacerował po wyjątkowo niebezpiecznej okolicy w nadziei, że i jego dosięgną kule.

Czasami morderstwo czyni z krewnych ofiar pariasów. Najbliżsi zabitych mówili o powszechnym odrzuceniu, jakby ich nieszczęście było chorobą zakaźną. Niekiedy wydawało się, że właśnie ci najbardziej zagrożeni odsuwali się najdalej od osób dotkniętych tragedią. Ten dystans słysząc w wymijającym i często bezdusznym słownictwie używanym w South Central do opisu owego zjawiska. Na ulicy prawie nie słyszy się

słów „morderstwo” lub „zabójstwo”. Zastępują je eufemizmy: „obsłużyć” kogoś, „sprzątnąć”, „położyć”, „wykurzyć”, „zapalić”, „zająć się sprawą” – ta lista ciągnie się niemal bez końca. Gangi takie jak Bloods, Crips i Hoovers miały własne rzeczowniki opisujące ataki na inne osoby i zabójstwa: „nalot”, „wyprowadzka”, „ubaw”. Wszechobecne „whoopdee-woo-woo” oraz liczne odmiany tego bliżej nieokreślonego słówka mogły się odnosić zarówno do niewinnej zaczepki, jak i do brutalnego morderstwa, w zależności od kontekstu.

Na ulicach często dochodziło do chaotycznych scen rozpacz. Matki i babcie próbowały się przedrzeć przez taśmy otaczające miejsca zbrodni. Rzuciły się na ciała ofiar, biły policjantów, którzy próbowali je powstrzymać. Czasami wybuchały nawet niewielkie zamieszki. Do sądu trafiały potem oskarżenia o bezprawne użycie siły, gdy policjanci zmagali się z rozhisteryzowanymi członkami rodziny. Pewnego razu w Watts funkcjonariusze musieli odpychać i uderzać pałkami syna i krewnych pewnej kobiety napierających na radiowóz, w którym ranna umierała od postrzałów<sup>29</sup>.

Za niewidzialnymi murami miasta w mieście królowała inna, jeszcze szkodliwsza forma bezduszości. Dominowała w strukturach władzy, w mediach, w retoryce dotyczącej morderstw. Tylko bardzo nieliczni krewni ofiar nie odnieśli wrażenia, że świat zewnętrzny patrzy na ich tragedię z obojętnością. „Nikogo to nie obchodzi”, narzekano jednym głosem na południe od autostrady 10 w czasie Grubych Lat i jeszcze przez długi czas potem. Morderstwa otaczała aura ponurej, biurokratycznej rutyny. Przemęczonym urzędnikom zawsze brakowało czasu. Jedna z matek dowiedziała się o śmierci syna w szpitalnym depozycie, gdzie bez słowa wręczono jej buty zmarłego.

Informacje o zabójstwach bardzo rzadko trafiały do mediów. Częściej poruszano ten temat w telewizji, ale dość powierzchownie, a o wielu morderstwach nie wspomniano w ogóle, zwłaszcza jeśli ofiarami byli czarni. Dla krewnych ofiar było to bardzo bolesne. Brak zainteresowania mediów sugerował, że zabójstwa wśród czarnych to w oczach świata „małe piwo”, jak to ujął ojciec zamordowanej dziewczyny. „Ani słowa

w wiadomościach! – lamentowała matka na widok dziennikarza nazajutrz po śmierci syna. – *Proszę, napiszcie o tym! Proszę!*”.

Nawet jeśli tego rodzaju sprawy trafiały do mediów, zwykle przedstawiano je z niewłaściwej perspektywy. Chętnie mówiono o gangach, ale cierpienia, trauma i rozpacz krewnych nie należały do słownictwa dotyczącego przemocy wśród Afroamerykanów. Amerykańskie media głównego nurtu zdołały jakimś dziwnym sposobem uczynić z morderstw w South Central fetysz, a jednocześnie je ignorować. Najważniejszy przejaw tej plagi – cierpienie – wciąż znajdował się na dalekim planie.

Tutaj walka toczyła się również w obszarze języka. Wielu rodziców w żałobie protestowało przeciwko eufemistycznym określeniom w rodzaju „gangsterskie porachunki”, które czyniły z ich bliskich wyrzutków społecznych albo w inny sposób odbierały im status „niewinnych ofiar”. Aktywistka LaWanda Hawkins, której zabito syna, krótko podsumowała tę kwestię: „»Członek gangu« to nowy synonim »czarnucha«”. Określenia w rodzaju „środowisko patologiczne” były jeszcze gorsze, zrównywały ofiary ze sprawcami, wrzucały je do jednego worka. Vicky Lindsay była już tak zmęczona tego typu słownictwem, że na tylnej szybie samochodu umieściła naklejkę z napisem: „Mój syn został *zamordowany*”.

Detektyw Brent Josephson, który w czasie Grubych Lat pracował w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, nadał własną nazwę syndromowi niszczącemu życie wielu mieszkańców regionu South Bureau: mówił o nim „Potwór”. To określenie obejmowało całe zjawisko – nie tylko ogromną liczbę morderstw w małej, głównie czarnej społeczności oraz niespotykaną brutalność tych aktów, ale i obojętność, z jaką traktował je świat zewnętrzny.

W policji Los Angeles prawdopodobnie nigdy nie pracowało tylu detektywów, by mogli należycie zająć się morderstwami na południe od autostrady 10. Jednak w okresie Grubych Lat liczba spraw przybierała absurdalne rozmiary, a detektywi musieli się zajmować tyloma morderstwami naraz, że ich codzienność przypominała pracę lekarzy na tyłach pola bitwy. Każdy z nich prowadził co najmniej dwa razy więcej śledztw, niż zalecano w tamtych czasach, i dziesięć razy więcej niż

detektywi RHD piętnaście lat później. To, czego dokonywali w tamtym okresie detektywi pokroju Tannellego, już nigdy się nie powtórzy; jego pokolenie detektywów z wydziału zabójstw poznało Potwora najlepiej i pozostaje pod tym względem wyjątkowe po dziś dzień.

Tennelle i jego koledzy pracowali bez wytchnienia, zbierali nadgodziny i rozwodzili się na potęgę. Zawały i udary dziesiątkowały ich szeregi. Jeden z detektywów South Bureau w latach dziewięćdziesiątych padł w swoim biurze. Sterta zaległości wciąż jednak rosła.

– Wciąż dostawaliśmy nowe sprawy, jedną za drugą – wspominał dziesięć lat później detektyw Jerry Pirro. – Doszło do tego, że właściwie mieszkaliśmy w komisariacie. Gdy dzwonił telefon, człowiek miał ochotę uciekać.

Trudno było nie brać tego wszystkiego do siebie. Detektywi mieli wrażenie, że walczą na niewidzialnej wojnie. W tym czasie panowało już powszechne przekonanie, że strzelaniny między czarnymi czy latynoskimi gangsterami a handlarzami narkotyków to coś normalnego. Często nawet nie wspomniano o tym w wiadomościach.

– Pamiętam wielki nagłówek na pierwszej stronie weekendowego wydania „Los Angeles Times” – wspominał detektyw Paul Mize. – Chodziło o bombę w Bejrucie, która zabiła sześć osób. W ten sam weekend mieliśmy dziewięć morderstw i o żadnym nawet nie wspomniano w gazecie. Ani słowem.

Takie podejście było co najmniej irytujące, doprowadzało policjantów do szaleństwa.

– Zajmowaliśmy się problemami i ludźmi, o których większość społeczeństwa nie chce myśleć – relacjonował detektyw John Garcia na początku tego wieku, odnosząc się do służby w Newton i South Bureau. – Większość ludzi ma to gdzieś, bo to nie oni muszą pukać do drzwi o drugiej w nocy i mówić: „Pani najbliższy został zamordowany”.

Rzeczywiście wydawało się, że nikomu nie zależy na rozwiązaniu tego problemu. Mize wspominał „anonimowe listy do zwierzchników”, w których błagali o więcej ludzi i środków.



– Czasami wpadałem w szal, rzucałem rzeczami po całej sali – opowiadał. – Nie mogłem uwierzyć, że w Parker Center podejmowali takie, a nie inne decyzje.

Lecz zdaniem policyjnej wierzuszki praca detektywów była jedynie „czystą formalnością”, jak ujął to jeden z wysokich rangą funkcjonariuszy, dając w ten sposób wyraz lekceważącemu podejściu do całej tej formacji. Zapobieganie przestępczości postrzegano jako działanie bardziej postępowe, więc zawsze ważniejsze od śledstw były patrole prewencyjne czy naloty na siedziby gangów.

– Postawiono wszystko na głowie – stwierdził Johnny Villa, detektyw z wydziału zabójstw w Newton.

Prawo oczywiście nie jest jak higiena, więc „zapobieganie” przestępczości nieuchronnie prowadzi do stereotypowego traktowania ludzi jako potencjalnych kryminalistów. Jednak „patrolowanie prewencyjne” brzmi lepiej i budzi lepsze skojarzenia niż śledztwo w sprawie zabójstwa. Poza tym prewencja ma dodatkową zaletę, jak zauważyła znawczyni prawa Carol Steiker: pozostawia policji dużą swobodę, ponieważ konstytucja nakłada mnóstwo ograniczeń na procedury prawne obowiązujące *po* popełnieniu przestępstwa, a znacznie mniej na to, co dzieje się przed złamaniem prawa<sup>30</sup>.

Mimo różnych przeszkód wielu detektywów pracowało z ogromnym oddaniem w tych trudnych latach, jednak natłok obowiązków siłą rzeczy ograniczał ich działania. Śledztwa prowadzono w pośpiechu, pobieżnie, często zamykano je w połowie drogi.

– Co z tego, że miałeś dobre tropy w danej sprawie, skoro brakowało ci czasu, żeby się nimi zająć, bo ciągle dokładano ci nowe przypadki – mówił Rick Marks, który w ciągu swej kariery rozwiązywał sprawy ponad stu sześćdziesięciu morderstw.

Ten nawał pracy miał jeden korzystny skutek uboczny – wykształcił kilku niezrównanych ekspertów. Tylko nieliczni detektywi na terenie całego kraju mogli się pochwalić podobnym doświadczeniem jak „eksperci od morderstw” z South Bureau i Central Bureau policji w Los Angeles<sup>31</sup>. Prawdopodobnie takich detektywów można było znaleźć w Nowym Jorku,

Detroit czy Waszyngtonie – ludzi, którzy uczyli się swego fachu przez długie lata, badając dziesiątki spraw. Byli ekspertami w mniejszym stopniu ze względu na różnicowanie prowadzonych śledztw niż ze względu na ich podobieństwo.

Środowiska, w których często dochodzi do zabójstw, są do siebie podobne. Zwykle jest to sporne terytorium lub dzielnica zamieszkiwana przez mniejszość, która nie ufa władzom, tak jak w południowym Los Angeles, gdzie w czasie Grubych Lat prawo utraciło swą moc i zastąpiła je wszechobecna zbrodnia. Zabójstwa są zwykle konsekwencją sporów. Znaczną ich część można opisać dwoma słowami: starcie mężczyzn. Te starcia mogą być spontaniczne, wynikać z jakiejś zadawnionej waśni, mogą być także kulminacją „jakiegoś dramatu”, jak ujął to Skaggs. Stwierdził również, że te męskie „dramaty” nie różnią się szczególnie od dramatów skłóconych kobiet z tych samych dzielnic. Co więcej, jedne są często przedłużeniem drugich. „Kobiety działają poprzez mężczyzn, nakłaniając ich do zabójstwa”<sup>32</sup>, zauważył pewien antropolog badający osady Majów w Meksyku. Ten schemat pasuje do wielu morderstw w Los Angeles, które policjanci przypisali „problemom kobiet”.

Czasami najdrobniejsza sprzeczka w strefie getta mogła się przekształcić w akt przemocy, jakby pod nieobecność normalnego prawa ludzie nie umieli zakończyć sporu w żaden inny sposób. Przyczyną wielu zabójstw okazywały się długi i rywalizacja o dobra materialne lub kobiety – szczególnie o kobiety. Powszechne były jednak również inne motywy: obraza, kradzież, pijackie kłótnie oraz niechciani goście na przyjęciach. Błahe konflikty dzieliły ludzi na wrogie obozy i rodziły długotrwałe waśnie. „Urazy!”, mawiał Skaggs – jego zdaniem to słowo najlepiej podsumowywało wiele spraw. Każda uraza kryła w sobie groźny, wybuchowy potencjał. Często dochodziło do eksplozji, gdy antagoniści spotykali się przypadkiem na ulicy czy w sklepie z alkoholem. Stałym motywem była zemsta. W niektórych kręgach odwet za morderstwo uważano wręcz za obowiązkowy. Uderzające było to, że ludzie rozmawiali o tym otwarcie, czasem rozprawiali o zaletach zemsty podczas mowy pogrzebowej.

Już od starożytności problem „męskich starć” – mężczyzn walczących ze sobą, by rozwiązać spór lub dokonać zemsty pod nieobecność legalnych i cieszących się zaufaniem władz – wprowadzał w zakłopotanie trzeźwo myślących ludzi.

Zbyt dużym uogólnieniem byłoby twierdzenie, że wszyscy ludzie żyjący w społecznościach anarchistycznych są tacy sami. Jednak w wielu epokach i kulturach można odnaleźć podobne sposoby przystosowania się do bezprawia.

Szczególnie często punktem zapalnym są nieprzemyślane słowa i plotki. Kanadyjscy Inuici bili się z powodu „chronicznych kłamstw”, Sudańczyków skłaniały do walki „wybuchowe rozmowy”, a czarnych z okresu praw Jima Crowa – „plotki i podszepty”<sup>33</sup>. Morderstwa wywołane pragnieniem zemsty i zazdrością to standard, podobnie jak odwet na donosicielach służących opresyjnemu państwu – przestrelki w Irlandii Północnej, zarzucanie na szyję płonących opon w RPA<sup>34</sup>. Bandy twierdzące, że ich działania służą utrzymaniu porządku – na przykład zbrodnicze oddziały straży obywatelskiej w Ghanie<sup>35</sup> – to również element sytuacji, w której próżnię pozostawioną przez legalne władze wypełnia pozaprawna przemoc. Podobnym świadectwem jest zwyczaj odbijania przyjaciół z rąk policji<sup>36</sup>, co często ma miejsce w południowoafrykańskich gettach.

Świadkowie takich sytuacji są wystraszeni. Mężczyźni stają się drażliwi, skupiają się na pojęciach takich jak „honor” i „szacunek”<sup>37</sup>, co jest skutkiem, a nie przyczyną bezprawia. Drobne kłótnie zamieniają się w śmiertelne porachunki i mogą skrywać głębsze antagonizmy. Z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu najpopularniejszą formą walki staje się podpalenie<sup>38</sup> – w carskiej Rosji, w osadach poszukiwaczy złota na Alasce, na rolniczych terenach Południa.

Wielu naukowców uważa, że w odległych początkach cywilizacji prawo powstało jako odpowiedź na powszechnie uznawaną „samopomoc” – pragnienie wyrównywania rachunków. Takie pierwotne prawo powoli ustępowało miejsca zorganizowanemu monopolowi państwa na stosowanie przemocy. Być może mała liczba morderstw w niektórych współczesnych

demokracjach jest w istocie odchyleniem od normy obowiązującej w historii ludzkości. Jak zauważa Eric Monkkonen, to zjawisko nie jest wynikiem jakiegoś pojedynczego, formalnego aktu, lecz „długiego procesu rozwoju, w którym poszczególni ludzie dobrowolnie oddawali swoją władzę państwu”<sup>39</sup>.

Oczywiście taki punkt widzenia można poddawać różnorakiej krytyce, można go też modyfikować na różne sposoby. Historia pokazuje nam jednak, że bezprawie jest *swego rodzaju porządkiem*. Gwałtowna fala morderstw postrzegana w ten sposób to coś więcej niż wzrost liczby przestępstw. To część całego systemu interakcji kształtowanego brakiem prawa. Historia Europy obfituje w przykłady brutalnych systemów sprawiedliwości opartych na osobistej zemście, krwawych waśniach, haniebnych rytuałach i rozmaitych formach przemocy klanowej. Liczne morderstwa były częścią tego obrazu. Duży odsetek zabójstw charakteryzował również ludy zbieracko-łowieckie takie jak Kung z pustyni Kalahari oraz inne społeczności pozbawione rozbudowanych struktur prawnych<sup>40</sup>.

Co znamienne, to samo zjawisko występuje w mniejszościach odizolowanych od państwa, wśród ludów pogranicza i narodów okupowanych – właściwie wszędzie tam, gdzie oficjalne władze są słabe lub budzą nieufność zwykłych ludzi. Dlatego też liczba zabójstw wśród niektórych plemion indiańskich w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych<sup>41</sup> jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do innych społeczności, podobnie jak w przypadku niektórych enklaw etnicznych czy przesiedleńczych<sup>42</sup> na terenie Szwajcarii, Anglii, Walii i Włoch. W spokojnej Holandii w grupach mniejszości obcego pochodzenia dochodzi do zabójstw znacznie częściej niż wśród rdzennych Holendrów<sup>43</sup>. Odsetek morderstw w grupach osiemnastowiecznych osadników<sup>44</sup> mieszkających na obrzeżach amerykańskich kolonii był niemal dokładnie taki sam jak w czarnych społecznościach South Central w XXI wieku. W mieście Tira położonym na terenie Izraela arabscy obywatele państwa izraelskiego padają ofiarą morderstw równie często, jak czarni w South Central. Obwiniają o to izraelską policję, używając argumentów, które z pewnością wydałyby się

dobrze znane Johnowi Skaggsowi: „Dopóki to Arabowie zabijają Arabów, w ogóle ich to nie obchodzi”<sup>45</sup>, stwierdził jeden z mieszkańców.

Przypomina to komputerowe ustawienia domyślne. Wszędzie tam, gdzie ludzie są zmuszeni koegzystować w społecznościach pozbawionych skutecznego i silnego prawa, budzi się Potwór. Starożytni Grecy pisali o Eryniach<sup>46</sup>, odrażających wiedźmach, które pchały swe ofiary w otchłań obłędu. Mogło je okiełznać jedynie posłuszeństwo wobec prawa.

Aby skutecznie pracować w takich warunkach, detektywi z wydziału zabójstw musieli znać język i obyczaje ulicy. Musieli rozumieć sekretny slang, symbolikę pochwał i zniewag, umieć się poruszać w labiryncie przezwisk i pseudonimów. Musieli rozumieć strach przed posądzeniem o donosicielstwo. Musieli wiedzieć, jak rozsypać płataninę relacji i układów otaczających każdą sprawę – jak wnikać pomiędzy domowników, „narzeczonych”, tatusiów i kumpli.

Detektywi musieli się również nauczyć, jak wprawiać w ruch urzędnicze mechanizmy, zastale i przerdzewiałe po latach obojętności, musieli pracować szybko i efektywnie, obsługując jednocześnie kilka spraw. Prowadzenie śledztwa w sprawie morderstwa w strefie getta nie było zadaniem linearnym, w którym jedna wskazówka prowadzi do następnej, a potem do jeszcze następnej, jak w programach telewizyjnych. Śledczy musieli się poruszać także na boki, wracać na poprzednie etapy niczym pająki tkające sieć. Świadkowie kłamali, odwoływali zeznania albo znikali. Ich opowieści często były niespójne. Detektywi dochodzili do prawdy dzięki tym nielicznym punktom, w których różne zeznania potwierdzały się nawzajem, a nie dzięki jednoznacznym, prostym zeznaniom.

Detektywi, którzy uczyli się rzemiosła w tych latach, dobrze poznali również głęboką rozpacz morderstwa, co było najtrudniejsze ze wszystkich nauk. Wiedzieli, z jakim trudem najbliżsi ofiar starają się normalnie funkcjonować, godzina po godzinie. Wiedzieli, jak przeplatają się ze sobą lepsze i gorsze dni. Dobrzy detektywi mówili do krewnych zabitych: „Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co teraz czujecie”. Najlepsi nie musieli tego mówić. Rozumieli swe rzemiosło na płaszczyźnie duchowej, niemal nadnaturalnej. Detektyw Rick Gordon, który wciąż pracował

w South Bureau, gdy powstawała ta książka, postrzegał moralny wymiar swoich spraw w sposób tak głęboki, że opowiadał o nich, używając niemal religijnej terminologii, jakby ich wynik został już wcześniej przesądzony. Coś „umieszczało” świadków w danym punkcie i czasie, mawiał Gordon, coś większego od nich samych. Ideą przewodnią jego pracy była pokora – umiejętność zachowania otwartego umysłu, obiektywnej oceny dowodów, rozpoznawania kłamców, a zarazem zaufania tym, którzy tylko na pozór kłamali.

Wally Tennelle miał zostać jednym z członków tej elity, małej, niedocenianej grupy superdetektywów ukształtowanych przez kataklizm.

W Newton partnerem Wally’ego Tennellego został Kelle Baitx, oschły mężczyzna w średnim wieku z hrabstwa Orange, potomek murzyńsko-irlandzkiej rodziny.

Ustalili podział obowiązków. Baitx badał miejsce zbrodni. Tennelle, który mówił biegle po hiszpańsku, mieszał się z tłumem, krążył po obrzeżach miejsca morderstwa, zaglądał na pobliskie ulice. Dzięki temu mógł rozmawiać z ludźmi, do których nie dotarli policjanci z patrolu, wynajdywać okruchy informacji przegapione przez innych. Baitx uważał, że umiejętności Tennellego w tej dziedzinie graniczą z magią. Nie zauważał nawet, kiedy jego partner wyrusza na zwiady, ale wcześniej czy później zawsze przyprowadzał kilku ważnych świadków.

Tennelle sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie i kompetentnego, a jednocześnie budził zaufanie rozmówców. Był barczysty, choć niezbyt wysoki, miał dobrotliwe brązowe oczy i pobrużdżone czoło. Poziome zmarszczki układały się łagodnymi łukami równoległe do linii włosów i nadawały jego twarzy łagodny wyraz. W pracy, która obejmowała przede wszystkim kontakty z ludźmi – wyszukiwanie świadków, nakłanianie ich do mówienia – nie miał sobie równych.

W 1992 roku, w okresie apogeum morderczego oblędu w Los Angeles, Baitx i Tennelle zamknęli aż dwadzieścia osiem spraw, prawie trzy razy więcej od zalecanej liczby. Tennelle radził sobie z tym doskonale, uwielbiał adrenalinę i ciężką pracę. Baitx zauważył jeszcze jedną niezwykłą cechę

swojego partnera: podczas gdy inni gliniarze szli po pracy napić się czegoś mocniejszego, Tennelle wracał do domu, do swojej rodziny. Detektywi byli ze sobą blisko, ale Baitx rzadko widywał żonę swojego partnera i jego troje dzieci. Rozumiał, że Tennelle w wolnym czasie woli przebywać w domu, z Yadirą i dziećmi. Tennelle rzadko rozmawiał z rodziną o pracy. DeeDee nawet nie wiedziała, że ojciec jest detektywem i zajmuje się morderstwami, dopóki pewnego dnia jako dziecko nie odkryła w jego szufladzie zdjęć z sekcji zwłok.

## Początki

John Skaggs miał dwadzieścia dwa lata, gdy w 1987 roku rozpoczął naukę w akademii policyjnej. W tym samym czasie Tennelle zaczynał już normalną służbę.

Po akademii Skaggs został przydzielony do komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, gdzie miał przepracować obowiązkowy okres próbny w służbie patrolowej. Potem już przez całą karierę pozostawał w South Bureau lub starał się powrócić w ten rejon. W tych trudnych, brutalnych latach czuł się tam w swoim żywiole. Ten wysoki, atletycznie zbudowany rudowłosy policjant, obdarzony pewnością siebie i łagodnym usposobieniem, z ochotą poznawał życie ulicy.

Wally Tennelle jako młody funkcjonariusz miał się zajmować sprzątaniami po wielkiej fali morderstw z poprzedniej dekady. Teraz John Skaggs miał sprzątać po drugiej. W latach 1991–1993, czyli w wyjątkowo brutalnym okresie zamieszek, w hrabstwie Los Angeles zamordowano ponad sześć tysięcy osób.

W 1994 roku Skaggs został „wypożyczony” do Wydziału Zabójstw South Bureau. Nie był wówczas detektywem, zajmował się szkoleniem młodych policjantów. W policji w Los Angeles nadal stosuje się taką procedurę: funkcjonariusze zajmujący się patrolowaniem ulic i gangami są zatrudniani jako detektywi w wydziałach zabójstw, choć nie mają odpowiednich stopni ani kwalifikacji. Ustne i pisemne testy, które pozwalają awansować na to stanowisko, badają znajomość ogólnych procedur i funkcjonowania wydziału, a nie zdolności właściwe dobrym śledczym. Dlatego kierownicy wydziałów zabójstw, którzy nie chcą



przyjmować do siebie ludzi pozbawionych takich predyspozycji, wolą obejść procedury i samodzielnie szukać talentów.

Nic dziwnego, że jednym z takich wybrańców został John Skaggs. Należał do tego rodzaju młodych i energicznych policjantów, którzy zwykle dobrze sobie radzą w wydziale zabójstw. Kiedy jednak poproszono go, by pracował w wydziale South Bureau, połączonej jednostce, która zajmowała się wówczas terenem podległym komisariatom Southwest, Southeast i przy Siedemdziesiątej Siódmej, Skaggs początkowo się opierał. Uwielbiał swoją trudną pracę na ulicy. Wydawało mu się, że przejście na stanowisko detektywa będzie dla niego porażką. Ale nie wypadało mu odmówić.

Wiele lat później, gdy zapytano go, dlaczego już od pierwszych godzin pracy w charakterze detektywa z wydziału zabójstw wiedział, że nie chce robić niczego innego, Skaggs udzielił ciekawej odpowiedzi. Powiedział po prostu, że gdy człowiek odkrywa, że jest dobry w czymś, z czym mało kto sobie radzi, nie ma wyboru.

– Umiałem to robić – dodał, gdy nadal go naciskano. – Umiałem. Kto jeszcze może to o sobie powiedzieć?

Ojciec Skaggsa nigdy nie mówił za wiele o jego wyborach. Teraz miał tylko jedną uwagę do syna, który poszedł w jego ślady i zaczął pracę w wydziale zabójstw.

– Uważaj – powiedział mu. – Bo po pracy przy morderstwach nic już nie ma znaczenia.

Dopiero jakiś czas później Skaggs w pełni zrozumiał sens tej przestrogi.

Skaggsa przydzielono do pary z oficerem szkoleniowym. Jednak nawał pracy zmusił ich do odejścia od zwykłych procedur, a Skaggs, choć tylko pełnił obowiązki detektywa, często musiał działać w pojedynkę. Rozwiązał swoją pierwszą sprawę. Potem następną. Każda uczyła go czegoś nowego.

Na początku dano mu starą sprawę sprzed pół roku, by zorientował się, czy uda się w nią jeszcze tchnąć nowe życie. (W tamtych czasach za „stare” uznawano nawet te sprzed kilku tygodni). Ofiarą był Leo Massey, robotnik, który po drodze z pracy do domu wstąpił do sklepu z alkoholem. Inny

czarnoskóry mężczyzna poprosił go o pieniądze na piwo. Massey odmówił, a napastnik postrzelił go w nogę. Massey wykrwawił się na śmierć.

Massey był ojcem i mężem. Nim sprawę przejął Skaggs, Glory, wdowa po zamordowanym, była wściekła. Słyszała różne plotki o zabójcy. Wydawało się, że wszyscy wiedzą, kto to zrobił. Wszyscy prócz policji. Glory Massey nie miała żadnych wątpliwości, że gdyby Leo był biały, policja już dawno rozwiązałaby sprawę jego morderstwa.

Skaggs spotkał się z nią w biurze przy Crenshaw Mall. Przytłoczona rozpaczą kobieta cierpiała na dokuczliwe bóle krzyża. Uważała, że władz wcale nie obchodzi sprawa jej męża, i obawiała się, że któryś z jej nastoletnich synów – albo jakiś inny młody człowiek z okolicy – zechce się zemścić. Teraz kolejny detektyw policji w Los Angeles twierdził, że interesuje się tym przypadkiem. Massey traciła cierpliwość – ci ludzie nazywali siebie profesjonalistami, a pozwalali, by nastoletni chłopcy zajmowali ich miejsce, by sami szukali sprawiedliwości tam, gdzie państwo nie potrafiło jej zapewnić.

Zmierzyła Skaggsa wzrokiem. Cudownie, kolejny wysoki biały gliniarz. „Ma chyba ze trzy metry!”, pomyślała Massey, jak później przyznała. Nie zamierzała dać się zastraszyć. Patrzyła mu prosto w oczy, a ponieważ sama była drobną kobietą, musiała w tym celu mocno zadzierać głowę. W końcu nie wytrzymała.

– Dla was to tylko następny pierdolony czarnuch, co?! – wrzeszczała na Skaggsa. – Jednego pierdolonego czarnucha mniej!

Skaggs nie protestował. Słuchał jej cierpliwie.

Gdy w końcu zabrakło jej tchu, zaczął zadawać pytania. Później złożył jej wizytę. Zadzwoił i przyszedł ponownie, wypytywał ją o zdrowie i o dzieci.

Nie tylko Glory czuła, że wielu ludzi znało nazwisko zabójcy jej męża. „Wszyscy wiedzą”, powtarzano często w South Central w odniesieniu do zabójstw. Wielu ludzi słyszało o strzelaninie, niektórzy rozpoznali podejrzanego, często pokazującego się w tej okolicy. Kiedy jednak Skaggs zaczął ich wypytywać, podawali różne imiona: „Jamal”, „Jabar”. Wydawało się, że właściwie nikt do końca nie wie, kim jest napastnik i gdzie mieszka.

Skaggs chodził od drzwi do drzwi, pukał i pytał. Wreszcie trafił do warsztatu, w którym „przebywał” mężczyzna pasujący do opisu mordercy. Zauważył odcisk palca na lustrze i sięgnął do niego. Jego wieloletni partner Chris Barling mówił później, że Skaggs często mógł liczyć na łut szczęścia, na który jednak sam sobie zapracowywał. Kiedy detektyw podniósł lustro, wypadło zza niego prawo jazdy mężczyzny z jego zdjęciem, datą urodzenia i pełnym nazwiskiem: Jabbar Stroud. Pozostawało jedynie znaleźć świadków, którzy potwierdzą jego tożsamość.

Skaggs osobiście zawiózł Glory Massey na proces i ostrzegł ją, by wyszła z sali, nim zaczną tam pokazywać makabryczne zdjęcia. Glory go polubiła, a on polubił ją. Jej początkowa niechęć i złość nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, potem nawet o nich nie pamiętał. Zresztą do tego czasu przywykł już, że wciąż nazywają go bezdusznym białym i rasistowskim gliną. Słyszał wiele wersji „jednego czarnucha mniej”. Uważał, że to część jego pracy – stały element życia w strefie getta – więc zupełnie się tym nie przejmował. Początkowo i tak wszyscy uważali, że wcale go to nie obchodzi.

Ogólne przekonanie, że policja – i całe miasto – nie przejmuje się morderstwami wśród czarnych, było nie tylko stereotypem. Takie były doświadczenia czarnych mieszkańców Los Angeles, poparte twardymi danymi. Społeczeństwo znacząco się zmieniło w okresie walki o prawa obywatelskie i w późniejszych dziesięcioleciach. Zmienił się też wymiar sprawiedliwości. Wciąż jednak sprawców zabójstw wśród czarnoskórych karano zbyt rzadko i zbyt opieszale.

Historycznie rzecz ujmując, Amerykanie nigdy nie radzili sobie za dobrze z karaniem morderców, bez względu na rasę ofiary. W dziewiętnastowiecznym Nowym Jorku tylko co dziesiąta sprawa o morderstwo kończyła się skazaniem<sup>47</sup>. Pod koniec tego samego wieku w Chicago i Filadelfii skazywano mniej niż połowę sprawców<sup>48</sup>. Przypuszczalnie podobnie wyglądało to jeszcze przez sporą część XX wieku. W Los Angeles w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia podejrzanie dużego odsetka zabójstw<sup>49</sup> – ponad jedna czwarta – nawet nie uwzględniano w statystykach śledztw. Po części były to zapewne

zabójstwa dokonane przez policję. Inne sprawy odłożono na półkę, bo podejrzani zmarli lub zostali uniewinnieni. Z pewnością hołdowano wtedy innym standardom: artykuł z „Los Angeles Times” z 1925 roku chwali dwóch mężczyzn, którzy dogonili i zabili sprawcę napadu ulicznego. Dziennikarze piszą też z szacunkiem o policji, która uznała, że zabójcy nie zasługują nawet na areszt. Dwaj mężczyźni „po prostu wzięli sprawy w swoje ręce”<sup>50</sup>, stwierdzono w gazecie.

W następnych dekadach władze chwaliły się dużym odsetkiem rozwiązanych spraw dotyczących morderstw. Jednak dokumenty z kalifornijskich więzień z tamtego okresu świadczą o czymś innym<sup>51</sup>. W latach sześćdziesiątych liczba osadzonych za zabójstwa była ponad dwukrotnie mniejsza od liczby samych zabójstw. Ta rozbieżność uwidoczniła się jeszcze bardziej w latach siedemdziesiątych, kiedy liczba ofiar morderstw trzykrotnie przekraczała liczbę skazanych i uwięzionych morderców.

Dane federalne dotyczące wykrywalności przestępstw – stosunku rozwiązanych spraw do popełnionych czynów karalnych – są zawyżone, po części dlatego, że obejmują śledztwa „inne”, czyli oficjalnie zamknięte, w których nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Mogło się tak wydarzyć w sytuacji, gdy podejrzani zmarli, czasami sami stając się ofiarami morderstw odwetowych. Mimo to w latach dziewięćdziesiątych wykrywalność na obszarach miejskich spadła do około pięćdziesięciu procent. Dziennikarze „Los Angeles Times” odkryli, że rzeczywisty odsetek rozwiązanych przestępstw był jeszcze mniejszy. Z badań opartych na analizie wszystkich dziewięciu tysięcy czterystu spraw, które udokumentowano w latach dziewięćdziesiątych w hrabstwie Los Angeles, wynika jednoznacznie, że do skazania sprawców doszło tylko w jednej trzeciej spraw dotyczących morderstw lub nieumyślnego spowodowania śmierci. Wskaźniki wykrywalności różniły się nieco zależnie od rasy, ponieważ sprawy dotyczące czarnych lub Latynosów rozwiązywano odrobinę rzadziej niż śledztwa dotyczące białych ofiar. Zabójcy białych otrzymywali najwyższe kary<sup>52</sup>. Te dane odzwierciedlają wyniki innych badań z tego obszaru. Badania dotyczące kary śmierci wskazują na

przykład, że rasa oskarżonego ma mniejsze znaczenie niż rasa ofiary. Ludzie, którzy zabijają białych, częściej są skazywani na śmierć; ludzie zabijający czarnych zwykle otrzymują lżejsze kary<sup>53</sup>.

Ten schemat utrzymał się również po wielkim spadku przestępczości pod koniec XX wieku. W latach 1994–2006 aresztowano podejrzanych w trzydziestu ośmiu procentach spośród dwóch tysięcy sześciuset siedemdziesięciu siedmiu zabójstw<sup>54</sup> czarnych mężczyzn w hrabstwie Los Angeles, co potwierdzają wewnętrzne dokumenty policji. Nawet przy uwzględnieniu „innych” rozwiązanych spraw wykrywalność wynosi dużo poniżej pięćdziesięciu procent. W hrabstwie Los Angeles, a więc na znacznie większym obszarze, proporcje te kształtowały się na podobnym poziomie<sup>55</sup>. Liczba nierozwiązanych spraw dotyczących morderstw w południowym Los Angeles sięgała kilku tysięcy – w ciągu piętnastu lat, które upłynęły od końca lat osiemdziesiątych do początku XXI wieku, na powierzchni mili kwadratowej [czyli ponad dwóch i pół kilometra kwadratowego] zamordowano średnio ponad czterdzieści osób<sup>56</sup>.

Jeszcze większe wrażenie robi liczba okaleczeń i postrzeleń. Na każdą śmiertelną ofiarę strzelaniny w południowym Los Angeles przypadało czterech–pięciu rannych<sup>57</sup>. Dowcipny znajomy Skaggsa z pracy<sup>58</sup> nazwał te postrzelenia „*almocides*”, łącząc w jedno dwa słowa „*almost homicide*” [prawie zabójstwo]. W najniebezpieczniejszych dzielnicach była to plaga równie przerażająca, jak same morderstwa. W pierwszych latach nowego tysiąclecia na obszarze dwudziestu trzech kilometrów kwadratowych Southeast Division każdego miesiąca dochodziło do około trzydziestu tego rodzaju zdarzeń<sup>59</sup>. Ofiary postrzeleń – w znacznej większości czarni mężczyźni – doznawały trwałego paraliżu, uszkodzeń mózgu, zapadały w śpiączkę lub musiały do końca życia używać worków kolostomijnych. Oficjalnie rozwiązywano około czterdziestu procent takich spraw. Jednak w połowie z nich nie dochodziło do aresztowania. Kwalifikowano je jako „inne” zwykle dlatego, że ofiary nie chciały składać zeznań. Spośród napaści „pierwszej kategorii” – czyli zakończonych poważnym uszkodzeniem ciała – do których doszło w Watts w 2004 roku, tylko siedemnaście procent spraw zakończyło się skazaniem winowajcy<sup>60</sup>.

Właśnie w takiej atmosferze żyła na co dzień Glory Massey. Pod warstwą najpoważniejszych nierozwiązanych i nieściganych spraw krył się cały ocean pomniejszych przestępstw, których często nawet nie zgłaszano na policję. Bito i kopano ludzi. Strzelano do samochodów. Plądrowano mieszkania, pod byle pretekstem sięgano po noże sprężynowe. Do domów wrzucano koktajle Mołotowa, co było zarówno bardzo proste, jak i skuteczne. Pod koniec pierwszej dekady tego wieku śledczy straży pożarnej w Los Angeles odnotowywali setki podpaleń rocznie<sup>61</sup>. Tylko w nielicznych przypadkach znajdowano sprawców.

Groźby karalne były zjawiskiem powszechnym, podobnie symboliczne zniewagi i upokorzenia o naturze seksualnej. Drobne napaści, kradzieże kieszonkowe, zrywanie z szyi złotych łańcuszków, ściąganie spodni – takie działania stanowiły zapowiedź śmiertelnie groźnych czynów wobec wszystkich, którzy nie chcieli się podporządkować. Określenia w rodzaju „oklep” czy „łomot” stanowiły element codziennego słownictwa ulic. „Przysnąć” znaczyło tyle, co stracić czujność, opuścić gardę. „Rozpierducha” oznaczała bójkę. Gangsterskie określenie „DP” było skrótem od „zdyscyplinować”, czyli pobić kogoś, ukarać.

Te drobniejsze przestępstwa przygotowywały niejako grunt pod morderstwa.

– Powiem o wszystkim Grape! Wrócę tu! – krzyknęła pobita dziewczyna, uciekając przed swoimi oprawcami.

Trzy tygodnie później jeden z mężczyzn, którzy ją poturbowali, został zamordowany, a za podejrzanych uznano członków gangu Grape Street Crips. Sporny aut na boisku do koszykówki stał się przyczyną bójki. Później znajomi przegranego naciskali nań, mówiąc:

– Musisz coś zrobić z tym głupkiem. Zajmij się tym!

Przegraný ich posłuchał i kilka dni później zabił zwycięzcę.

Czarnoskórzy mieszkańcy tej dzielnicy od dawna skarżyli się nie tylko na złe traktowanie ze strony policji, ale i na to, że detektywi nieszczególnie starali się schwycić zabójców i napastników z ich środowiska. Tego rodzaju zarzuty miały długą historię. Gdy szwedzki socjolog Gunnar Myrdal prowadził w latach czterdziestych ubiegłego wieku badania czarnego

Południa, przekonał się, że pomimo licznych skarg na brutalność policji czarnoskórzy południowcy domagali się od policjantów większej aktywności i ochrony przed innymi czarnymi<sup>62</sup>.

Funkcjonariusze z South Bureau słyszeli podobne narzekania kilka razy dziennie.

– Przecież nie robię nic złego. Jeżdżę sobie tylko! – piekliła się młoda kobieta Tamala Brown, gdy w 2005 roku dwaj policjanci zatrzymali ją za jazdę bez pasów bezpieczeństwa. – A co z tymi wszystkimi, którzy *naprawdę* robią coś złego?

Wydawało się, że nikt nie słyszał tego ostatniego zarzutu – bez względu na to, jak często i jak głośno powtarzali go czarnoskórzy mieszkańcy. Specjalista w dziedzinie prawa Randall Kennedy jako jeden z bardzo nielicznych przedstawicieli swojego środowiska twierdził, że „największą bolączką Afroamerykanów w kwestii przestępczości nie jest nadmierna, lecz zbyt mała aktywność organów ochrony porządku publicznego”<sup>63</sup>. Glory Massey wiedziała o tym doskonale.

Wiele lat później, opisując śledztwo w sprawie śmierci swojego męża prowadzone przez Skaggsa, mówiła:

– Czułam się tak, jakby to moi bracia zaczęli szukać tego faceta, rozumie pani?

W jej przekonaniu Skaggs zastąpił państwowe organa prawa, wymierzając w ich imieniu sprawiedliwość, za co Massey była mu głęboko wdzięczna. Wierzyła, że zaangażowanie Skaggsa w sprawę jej męża prawdopodobnie zapobiegło innemu zabójstwu.

Siedem lat później zamordowano również najstarszego syna Glory Massey Damona.

Pogrążona w rozpacz, pomyślała o Johnie Skaggsie, lecz do tego czasu Skaggsa przeniesiono już gdzie indziej. W sprawie Damona nie aresztowano żadnych podejrzanych. Mijały lata – nikt nie kontaktował się z Glory. Do momentu powstania tej książki sprawa pozostawała nierozwiązana. W odpowiedzi na jej pytania pewien mężczyzna z ulicy Glory stwierdził krótko:

– Ktoś się tym zajął.

## Sprawa poszlakowa

Gdy młody John Skaggs odbywał praktykę w South Bureau, Wally Tennelle pracował po północnej stronie Florence Avenue, wyznaczającej granicę administracyjną między sąsiednimi okręgami. Wszystko wskazywało na to, że wkrótce stanie się jednym z najlepszych specjalistów w Central Bureau. Do tej pory rozwiązał z Baitxem dziesiątki spraw.

Szefowie RHD – prestiżowej jednostki w centrum miasta – bez wytchnienia poszukujący nowych talentów, zwrócili uwagę na Tennellego. Próbowali go zwerbować, ale uparcie odmawiał. W głębi serca wciąż był zwykłym, twardym gliniarzem z południowych dzielnic, który lubił mieć ręce pełne roboty. Czuł, że jego powołaniem są podrzędne, frustrujące gangsterskie sprawy, którymi pogardzano w centrali.

Pozostawało coś jeszcze: kwestia uczciwości. Wally Tennelle nie był lewicowcem, ale określenie „dzieciak jakiegoś tatusia” było wyrazem sprawiedliwości społecznej, której nie mógł nie brać sobie do serca. Uważał, że sławni i bogaci, tak czy inaczej, mogą liczyć na najlepszą opiekę policyjną.

– Biedacy z tej dzielnicy niczego nie mają, a potrzebują dobrych detektywów – mówił.

Policja w Los Angeles miała inne priorytety. Wcale nie zamierzano wysyłać najlepszych detektywów do pracy w terenie. Utalentowani pracownicy zatrudniani przez miasto powinni awansować. Do tego Tennelle miał otrzymać podwyżkę, a trójkę swoich dzieci posyłał do prywatnej szkoły. Nie zdając sobie sprawy ze wszystkich konsekwencji tej decyzji, poddał się egzaminom pisemnym i ustnym, po czym został awansowany do stopnia D-3, Detektywa III, czyli, jeszcze inaczej, kierownika.



W policji w Los Angeles awans wiąże się z przeniesieniem. Tennelle objął więc kierownicze stanowisko w innej jednostce w Newton, gdzie kierował „sztabem” detektywów prowadzących śledztwa w sprawach przemocy domowej i gwałtów. Takie sztaby teoretycznie mają tropić podejrzanych i przeprowadzać rozmowy. Jednak w jednostkach strefy getta do śledstw mniejszego kalibru przydzielano tak mało ludzi, że zasadniczo cała ta praca sprowadzała się do wypełniania dokumentów. Detektywi mieli bardzo mało czasu na rozmowy z ludźmi, a w przypadkach przemocy domowej i gwałtów – do jednych i drugich dochodziło w ogromnej większości wśród członków rodziny lub bliskich znajomych – olbrzymia liczba ofiar nie chciała zeznawać w sądzie. Detektywi dowodzeni przez Tennellego musieli się więc zajmować głównie wypełnianiem formularzy i innymi obowiązkami administracyjnymi. Tennelle nieumyślnie wpakował się w typowo biurową pracę.

– Było widać, że go to dobija – wspominał Baitx. Nigdy wcześniej nie słyszał, by jego partner narzekał.

Tennelle powiedział swojemu staremu szefowi, że myśli o odejściu. Szef zachęcał go, by jednak został – mówił, że się przyzwyczai. Ale Tennelle wiedział swoje.

Dla przyzwoitości wytrzymał na tym stanowisku pół roku. Potem dowiedział się o wolnym etacie w wydziale zabójstw dla detektywa D-2. To oznaczało degradację – straciłby rangę D-3 – w dodatku chodziło o RHD, gdzie nigdy nie chciał trafić. Jednak była to przynajmniej prawdziwa policyjna praca przy śledztwach, a nie stwarzanie pozorów.

Ku irytacji swojego kapitana Tennelle zdecydował się na degradację i w 1999 roku – uciekając przed stertami dokumentów, które zbierały się na jego biurku – trafił do RHD.

Zgodził się na siedmioprocentową obniżkę pensji związaną z przeniesieniem. Powrót na wyższe stanowisko zajął mu potem siedem lat. Ale wcale tego nie żałował – znów prowadził prawdziwe śledztwa, ścigał zabójców i myślał o pracy z zadowoleniem. Baitx był zdumiony. Dotąd nie znał nikogo, kto w tym świecie opętanym pieniędzmi i władzą tak chętnie zgodziłby się na degradację i obniżkę pensji.

Z wyjątkiem dobrowolnej degradacji policyjna kariera Tannellego w tych latach przypominała doświadczenia wielu innych gliniarzy z południowych dzielnic Los Angeles. Jednak pod jednym względem Wally Tennale był wyjątkowy, by nie rzec nawet: nieco radykalny. Mieszkał w dzielnicy podległej komisariatowi przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy.

Od lat większość pracowników policji z Los Angeles nie chciała mieszkać w pilnowanym przez siebie mieście i dojeżdżała do pracy z odległych przedmieść. Policjanci tworzyli małe bastiony rozrzucone po południowej Kalifornii – Santa Clarita i Simi Valley na północy, Chino i Temecula na wschodzie oraz hrabstwo Orange na południu. Z wyjątkiem kilku dzielnic takich jak San Pedro, historycznej enklawy etnicznie białych mieszkańców miasta, nikt nie brał pod uwagę mieszkania w Los Angeles.

Oczywiście przedstawiciele wielu zawodów finansowanych z budżetu państwa, takich jak nauczyciele czy strażacy, nie mogli zamieszkać w Los Angeles z jeszcze innego powodu. W mieście zaznaczył się bardzo wyraźny podział na dzielnice bogatych i biednych, dlatego trudno było znaleźć lokum za przyzwoitą cenę w okolicach o niskiej przestępczości. Policjanci pracowali o różnych porach dnia i nocy, nie musieli więc korzystać z autostrad w godzinach szczytu, mogli dojeżdżać do pracy, gdy panował normalny, swobodny ruch.

Aby stwierdzić, do jakiego stopnia taki wybór miał związek z uprzedzeniami rasowymi, trzeba by było najpierw zdefiniować to pojęcie, bo większość policjantów sama należała do różnych mniejszości. Poza tym ich podejście do tej kwestii było zbyt osobliwe, by podsumować je w tak prosty sposób: policjanci z Los Angeles często wypowiadali się z niechęcią o dzielnicach w centrum miasta, a w następnej sekundzie bronili ich do upadłego.

Najważniejszą pobudką, zrozumiałą dla samych funkcjonariuszy, ale niekoniecznie dla ludzi z zewnątrz, było to, że niemal każdy element ich pracy rodził konflikty, nieraz bardzo osobiste. Patrolując okolicę, policjanci codziennie spotykali się z ogromnym ładunkiem gniewu. Perspektywa spotkania z podejrzanym pod własnym domem była przerażająca. Od lat

więc krytycy działań policji narzekali, że policjanci nie mieszkają w mieście, i od lat policjanci nie chcieli tego robić<sup>64</sup>.

Z wyjątkiem Wally'ego Tannellego. Choć w dzielnicy komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej – w odróżnieniu od Southeast – można było znaleźć wiele zakątków z przyjemnymi domami klasy średniej, rok po roku dzielnica ta przodowała lub zajmowała drugie miejsce w statystyce przestępczości, a na trzydziestu kilometrach kwadratowych jej powierzchni działało kilka spośród najbrutalniejszych czarnych gangów ulicznych. To, że Wally Tennale zdecydował się tutaj zamieszkać, budziło zdumienie wśród jego kolegów z pracy oraz liczne komentarze, które wypowiedziano półgłosem za jego plecami.

– Wszyscy o tym wiedzieli – mówił jego przełożony z RHD Lyle Prideaux. – I wielu ludzi uważało, że nie jest to zbyt mądre.

Kelle Baitx nie lubił takiej gadaniny. Wielokrotnie bywał w domu Tannellego, wiedział, że jest wygodny i dobrze utrzymany, a okolica wydawała mu się całkiem „przyjemna”. On sam kupił dom w El Sereno – innej „przyjemnej”, zamieszkaną głównie przez Latynosów dzielnicy w pobliżu centrum – i posyłał swoje dzieci do prywatnej szkoły, podobnie jak Tennale. Pewnego razu w pościgu za podejrzanym Baitx pojechał z Tannellem do Alabamy, a Tennale wykorzystał tę okazję, by odwiedzić swój stary rodzinny dom, drewnianą chałupę o powierzchni pięćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych, w którym narkomani urządzili sobie w tym czasie melinę. Baitx wiedział, jak biedna była rodzina Tannellego i jak on sam daleko zaszedł. Zdaniem Baitxa Tennale powinien był zarabiać już tyle, by zamieszkać, gdziekolwiek tylko zapragnie.

Dla Tannellego wybór był prosty. Tę dzielnicę traktował jak swoje miejsce, niedaleko stąd się wychował, tu wciąż mieszkała jego matka. Kupił dom, na jaki mógł sobie pozwolić jako młody policjant, a miał wtedy, jak sam to określał, szalone marzenie: „żeby moje dzieci znały tylko jeden dom”.

Nie obyło się oczywiście bez problemów. Gdy rodzina Tennale zamieszkała w tej okolicy, w pobliskiej kamienicy na potęgę handlowano narkotykami. Pewnego dnia diler stał na podjeździe przed domem

Tennellego i przeprowadzał transakcję, gdy sam Tennelle właśnie kosił trawę, zaledwie kilka kroków dalej. Być może diler nie miał tego szóstego zmysłu, który wielu przestępcom pozwala wyczuć policjanta na odległość, a być może nigdy nie przyszło mu do głowy, że na jego ulicy może mieszkać gliniarz. Tennelle zadzwonił pod 911 i diler aresztowano.

Później Tennelle napisał raport dotyczący feralnej kamienicy i zaproponował, by w jego domu urządzano punkt obserwacyjny. Wkrótce problem został rozwiązany. Od tej pory rodzina Tennelle mogła bez przeszkód cieszyć się pobytem w nowej okolicy. Lubili swoich sąsiadów. Tennelle miał pracę pod nosem – niewielu mieszkańców Los Angeles może się cieszyć takim luksusem. Po wezwaniu do morderstwa pojawiał się na miejscu zbrodni w ciągu kilku minut, podczas gdy większość innych detektywów traciła gros krytycznej pierwszej godziny na dojazd. W jego dzielnicy były proste chodniki, duże drzewa, zadbane podwórka i piękne, stylowe domy z lat trzydziestych. Do tej części Los Angeles docierała świeża morska bryza, która łagodnie kołysała palmowymi liśćmi. Choć przebiegał tędy również korytarz powietrzny prowadzący do portu lotniczego Los Angeles, samo lotnisko znajdowało się na tyle daleko, że hałas nie był szczególnie dokuczliwy. Nie trzeba było pochodzić z najbiedniejszej części miasteczka Jasper w Alabamie, by docenić urok tej okolicy: bez wątpienia, obiektywnie rzecz biorąc, była „przyjemna”, jak ujął to Baitx.

Sąsiedzi Tennellego wiedzieli, że pracuje w policji. Nie przeproszał za to: zawsze traktował ludzi z ogromnym szacunkiem, w pracy czy poza nią, i nie zamierzał się wstydzić tego, kim jest.

– Często spotykam ludzi, których aresztowałem – mówił. – I zawsze mogę im spojrzeć prosto w oczy. – Ucieczka na przedmieścia wydawała się Wally’emu Tennellemu czymś niegodnym. – Tutaj jestem u siebie. Nie pozwolę, żeby ktoś mnie stąd wykurzył.

Zdecydowanie więcej ludzi chciało, by tam został, niż by wyjechał – to było oczywiste. Kiedy po okolicy rozniosła się wieść, że niedaleko zamieszkał gliniarz, sąsiedzi zaczęli przychodzić do niego z różnego rodzaju problemami. Policjanci zwykle nie mieszkali w okolicy, którą

nadzorowali, bo bali się spotkań z podejrzanymi. W rzeczywistości jednak powinni byli bać się raczej *ofiar*. Wkrótce Wally Tennelle przekonał się, że sąsiedzi są mu przychylni – może nawet zbyt często szukają jego towarzystwa, z wdziękiem przyjął jednak tę rolę i robił wszystko, co w jego mocy, by pomóc potrzebującym w rozwiązywaniu ich problemów.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Wally Tennelle przeszedł do RHD, John Skaggs otrzymał w końcu awans na detektywa najniższego stopnia, D-1.

Skaggs podlegał tym samym zasadom awansowania co Tennelle. Oznaczało to, że otrzymując uprawnienia do wykonywania zadań, które już od dawna wykonywał, musiał z nich zrezygnować. W przypadku Tennellego nagrodą za awans było zesłanie do sztabu przestępstw seksualnych w Newton, Skaggs został zaś przeniesiony z wydziału zabójstw do sztabu antynarkotykowego LAPD w Venice, spokojnej przybrzeżnej dzielnicy.

Dla Skaggsa była to prawdziwa katorga.

W końcu zwolniła się posada dla detektywa „od gangów” w South Bureau, w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Nie był to może szczyt marzeń Skaggsa, ale przynajmniej pracowałby na południe od autostrady 10 i prowadził śledztwa w terenie, a do tego – w odróżnieniu od Tennellego – nie musiał rezygnować ze swojego stopnia i wynagrodzenia, by objąć nowe stanowisko.

Odmiana na lepsze przyszła wraz z nowym szefem detektywem Salem La Barberą, dowódcą wydziału zabójstw, który po raz pierwszy zwrócił uwagę na Skaggsa, gdy ten był jeszcze młodym rudowłosym policjantem. La Barbera był zaledwie siedem lat starszy od Skaggsa, ale znacznie dłużej zajmował posadę detektywa. Pracował w jednostkach strefy getta dłużej niż którykolwiek ze znanych mu policjantów, oddając awanse innym i obserwując, jak jego koledzy pną się po szczeblach kariery. Był ciemnowłosym mężczyzną o wyrazistej włoskiej urodzie i bliznach po trądziku rozsianych na policzkach. Sprawiał wrażenie romantycznego bohatera i chętnie pielęgnował ten wizerunek. W rzeczywistości jednak nie

był wcale niewzruszonym samotnikiem, na jakiego pozował. Sam nie radził sobie najlepiej, nie był też obojętny na opinie innych. Był kapryśny, łatwo się obrażał, obdarzał innych ogromnym zaufaniem tylko po to, by potem czuć się zdradzony. Wiele jego znajomości zakończyło się obopólną niechęcią.

Lata pracy zmieniły La Barberę, sprawiły, że zaczął się zachowywać w nieco dziwny, nawet paranoidalny sposób. Tyle razy wyjeżdżał w nocy do wezwań, że później dokuczała mu bezsenność. Jego relacje rodzinne były napięte. Cierpiał na depresję. Niektórzy koledzy z pracy nie lubili go, mówili, że jest dwulicowy. Z pewnością przyczyniały się do tego jego osobliwe maniery. Wydawał się całkiem spokojny, gdy w rzeczywistości był zły lub obrażony, udawał, że żartuje, gdy wcale nie żartował. Ale nie był kłamcą. La Barbera zwykle mówił to, co myślał – tyle że bardzo cicho. Jeśli jednak przysłuchiwałeś mu się uważnie, znałeś jego prawdziwe zdanie.

Co ciekawe, wewnętrzne sprzeczności charakteru La Barbera i jego skomplikowane życie osobiste szły w parze z niezrównaną konsekwencją zawodową. Miał wizję. Wierzył w swoje rzemiosło – wierzył, że prowadzenie śledztw w sprawach zabójstw to powołanie. Wierzył, że państwo powinno zdecydowanie reagować na zbrodnie, zatrzymując winowajców, a jeśli tego nie robi, wysyła sygnał o jednoznacznej treści – że toleruje przemoc, szczególnie jeśli ofiarami są biedni czarni mężczyźni.

Przyznawał, że jego teoria „opiera się na poszlakach”. Jednak obserwacje, jakie poczynił przez lata pracy w południowym Los Angeles, przekonały go, że chwytywanie zabójców *buduje prawo* – że udane śledztwa w sprawach zabójstw najskuteczniej zapobiegają samosądom i wymierzaniu ulicznej sprawiedliwości, prawdziwej pladze w czarnych miejskich społecznościach. La Barbera miał swoje wady, ale jego poglądy na morderstwa znajdowały się na wyższym poziomie rozważań etycznych.

To czyniło zeń postać wyjątkową i osobliwą. Wielu policjantów miało raczej blade pojęcie o tym, czym się właściwie zajmuje, ograniczali się do podstawowych zadań, takich jak odbieranie wezwań, rutynowe czynności na miejscu zbrodni i wysyłanie przez radio sygnału „kod cztery”, co

oznaczało „sytuacja pod kontrolą”. Zadziwiająco rzadko rozmawiano o tym, na czym polega praca policjanta i czym różni się dobra praca od złej.

Policjantom mówiono, że mają być „aktywni”, skupiać się na „zapobieganiu” albo „kontrolować przestępczość”. Trudno się dziwić, że karmieni takim pustosłowiem, z trudem odnajdywali sens swojej pracy. Jeździli po mieście, przeszukiwali samochody, sprawdzali numery rejestracyjne i jeździli dalej. Takie działania mogły się wydawać zupełnie bezcelowe. Sytuację pogarszało jeszcze to, że choć mieli zachowywać wysokie standardy i wykazywać się inicjatywą oraz umiejętnościami właściwymi prawdziwym profesjonalistom, wiele tak zwanych innowacyjnych strategii policyjnych sprowadzało ich do roli trybików bezdusznej maszyny.

Zgodnie z tymi nowymi wytycznymi policjanci mieli być „widoczni”, zwłaszcza w dzielnicach uznanych za szczególnie niebezpieczne. Nikt jednak nie sprecyzował, czym konkretnie mają się zajmować w tych szczególnie niebezpiecznych miejscach. Prowadziło to do niepokojącej konkluzji, że funkcję prawdziwych policjantów mogłyby właściwie pełnić umundurowane strachy na wróble, co z pewnością byłoby znacznie tańsze.

Dyrektywy policji w Los Angeles z początku XXI wieku częściowo wcieliły tę absurdalną wizję w życie. Jedną z nich zakładała rozstawianie „fałszywych” radiowozów na ulicach, gdzie często dochodziło do aktów przemocy. Puste czarno-białe wozy policyjne zaparkowane w tych miejscach miały odstraszać niedoszłych przestępców i budzić w nich przekonanie, że gdzieś w pobliżu są policjanci. Jeszcze gorszy dla szanujących się policjantów był inny pomysł zwierzchnictwa, nakazujący parze funkcjonariuszy jeździć bez celu po mieście w radiowozie z włączonym sygnałem świetlnym. Kierownictwo policji uważało to rozwiązanie za sprytne i pomysłowe. Chodziło o to, by przestępcy wiedzieli, że policja jest czujna. Kiedy jednak policjanci dowiedzieli się, że ich nowe obowiązki nie obejmują prawdziwej pracy – że mają jedynie włóczyć się po ulicach i błyskać światłami – odebrali to jako prawdziwą zniewagę.

Gdyby spytać policjantów z Los Angeles, dlaczego wybrali taką, a nie inną pracę, większość z nich odpowiedziałaby ze wzruszeniem ramion: „Żeby pomagać ludziom”. Nie zawsze było to zgodne z prawdą. Policjanci dobrze zarabiali i mogli liczyć na wysokie emerytury. Wielu jednak naprawdę chciało robić coś dobrego dla innych, nie wiedziało tylko, jak się do tego zabrać.

Sal La Barbera nie miał tego problemu. Dobrze wiedział, co jest jego celem, a ta pewność kierowała wszystkimi jego działaniami. Wierzył w słuszność swej sprawy i nie miał żadnych wątpliwości co do jej znaczenia. Zawsze ustalał priorytety, które łączył w swoim umyśle z długofalowymi planami i celami, doskonale rozumiał, jaki problem chce rozwiązać. Ogólnie rzecz biorąc, przedstawiał sobą konsekwencję i prawość, wartości nieobecne w systemie sprawiedliwości, dla którego pracował. A jeśli nawet nie wyglądał na człowieka, który rzeczywiście był godzien pełnić tę misję, potwierdzało to jedynie doktrynę Ricka Gordona, głoszącą, że czasem ludzie uchodzący za fałszywych w rzeczywistości mówią najszczerzą prawdę.

Lata dziewięćdziesiąte dobiegły końca. Przestępczość spadała. Wydział Zabójstw South Bureau został rozwiązany, a w jego miejsce utworzono oddziały do spraw zabójstw w każdym z trzech komisariatów South Bureau. La Barbera został dowódcą jednego z nich: oddziału Southeast w Watts.

Przez lata obserwował rozwój Skaggsa jako śledczego.

Nie współpracowali ze sobą bezpośrednio w Wydziale Zabójstw South Bureau, ale La Barbera znał styl Skaggsa. Wiedział, że ten nie odkłada pracy na później ani nie przesiaduje w biurze przy komputerze. Prawie zawsze był w terenie, jeździł, rozmawiał, spotykał się z ludźmi, uparcie ich wypytywał, wracał do miejsc, z których dopiero co bezceremonialnie go odprowadzono. Wkrótce po objęciu nowego stanowiska La Barbera ściągnął Skaggsa do siebie.

Skaggs wyczuwał w La Barberze kogoś, kto wierzy w swoją pracę i w jej głęboki sens. Skorzystał więc z okazji. Tak zaczął się następny etap



jego kariery, tym razem już w charakterze pełnoprawnego detektywa do spraw zabójstw.

## Dobrzy ludzie i tępaki

W 2000 roku na dwudziestu trzech kilometrach kwadratowych Watts zamieszkiwało około stu trzydziestu tysięcy ludzi, z czego trzydzieści dziewięć procent stanowili czarni<sup>65</sup>. Niemal wszyscy pozostali mieszkańcy obszaru kontrolowanego przez komisariat Southeast byli Latynosami. Nie brakowało wśród nich całkiem nowych imigrantów z Meksyku, Salwadoru i Gwatemali.

Czarni żyli w bagiennych okolicach Watts, odkąd pojawili się tutaj pierwsi osadnicy. Pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku Watts było niezależnym miastem, a czarni stanowili większość jego populacji i mogli wybrać pierwszego czarnoskórego burmistrza tej miejscowości. Jednak biali nie zamierzali do tego dopuścić – doprowadzili do przyłączenia Watts do Los Angeles, twierdząc, że inaczej miasto może mieć problemy z zaopatrzeniem w wodę<sup>66</sup>. Po II wojnie światowej, gdy z Południa wyruszyła druga wielka fala czarnej migracji, Watts wkrótce okryło się sławą jednej z najniebezpieczniejszych czarnych dzielnic w „podupadłej części śródmieścia”. „Skażona strefa nędzy, bezrobocia i rozpacz, gdzie gromadzą się nowo przybyli imigranci z Południa”<sup>67</sup>, mówił o Watts pisarz polityczny Theodore H. White w 1965 roku, po zamieszkach.

W Southeast skoncentrowały się wszystkie czynniki, które każą się spodziewać wzrostu przestępczości i przemocy. Zbudowano tu kilka osiedli komunalnych, między innymi Jordan Downs i Imperial Courts, miejsca rozślawione przez raperów. Starsi mężczyźni wystawali przed sklepami z alkoholem albo włączyli się po okolicy, okazując pogardę całemu światu. Jak wynika z policyjnych raportów, działało tam wiele czarnych gangów, niektóre z nich nosiły dość ciekawe, a nawet poetyckie nazwy: Fudgetown

Mafia, Hard Time Hustlers, Bounty Hunters. Wychudzeni narkomani z popsutymi zębami pchali wzdłuż bulwarów sklepowe wózki.

Pomimo tej złej sławy Watts wcale nie sprawiało złego wrażenia. Nie była to ziemia niczyja, co cechowało prawdziwe slumsy. W krajobrazie dominowały parterowe domki, na niewielkich posesjach, otoczonych siatką sięgającą pasa, rosły zadbane drzewa i krzewy. Na chodnikach tłoczyły się dzieci w mundurkach wracające ze szkoły i matki pchające wózki. Nastolatki ćwiczyły taniec na przystankach autobusowych. Niektóre osiedla mogły się poszczycić niezwykle urodą. Osiedle Nickerson Gardens, gdzie koliste uliczki wiły się wokół czarno-białych segmentów, zostało zaprojektowane przez słynnego czarnego architekta Paula Williamsa i odzwierciedlało najgłębsze wartości, jakim hołdował – życie w Kalifornii i „zamiłowanie do małych domów dla zwykłych ludzi”, o czym mówiła jego archiwistka z Memphis Deborah Brackstone. Przez okna przytulnych mieszkań Nickerson wpadały strumienie słonecznego blasku. Drzwi na parterze wychodziły na łagodnie opadające zielone trawniki i rabaty z kwiatami.

Watts zachowało wiele spośród najlepszych cech Los Angeles. Przypominało wybrzeże Morza Śródziemnego, przesycone złotym światłem powietrze było łagodne latem i rześkie zimą. Ogrody pyszniły się barwnymi strelicjami i kolorowym kwieciami jakarand. Wzdłuż ulic ciągnęły się szpalery palm o mięsistych liściach, w których odbijało się słońce. W Compton wciąż były padoki, a w Athens stajnia, ludzie jeździli konno po szerokim pasie zieleni Broadwayu. W letnie wieczory przesiadywali na werandach przed domami, podczas gdy ich dzieci bawiły się na podwórzu.

Opisy dzielnic zamieszkiwanych przez „margines społeczny”, oparte na obserwacjach poczynionych w miejscach takich jak Filadelfia, Baltimore czy Bronx, wydawały się tutaj mroczną fantazją. Pewna cudzoziemka, która w 2008 roku odwiedziła Watts, była zaskoczona urodą tego miejsca: odnosząc się do słynnego eseju George’a Kellinga i Jamesa Q. Wilsona<sup>68</sup>, zauważyła, że wcale nie ma tu wybitych okien.

Większość czarnych w Los Angeles pochodzi z Południa. Powszechnie uważa się jednak, że Watts przyciągała najbiedniejszych i ostatnich spośród czarnych migrantów – uciekinierów z rolniczych terenów Luizjany i ze wschodniego Teksasu, w wielu przypadkach z dzierżawionych gospodarstw, które ledwie pozwalały im wiązać koniec z końcem. Mówiono nawet, że mieszkańcy Watts mają „ciemniejszą karnację” niż czarni z innych dzielnic Los Angeles. Było to oczywiście wątpliwe i niemożliwe do udowodnienia, stanowiło jednak typowy element nie najlepszej reputacji tego miejsca.

Ta część historii Watts wciąż się tworzyła, gdy Skaggs rozpoczynał tam pracę w 2001 roku. Z południa nadal napływali imigranci, którzy krążyli przez jakiś czas między swymi rodzinnymi miastami a Los Angeles. W sali odpraw na komisariacie wisiał wielki malowany znak z logo hotelu Louisiana, który niegdyś stanowił największe gniazdo przestępczości w okolicy. Gdy rozbierano budynek, policjanci wykradli szyld i zabrali go do siebie. Nietrudno było się domyślić, dlaczego tak im zależało na tym znaku – nazwa „Louisiana Hotel” stanowiła skrótowe określenie dla całej okolicy. Wielu spośród tych synów i córek Luizjany zachowywało się tak, jakby nadal mieszkało w wiosce na Południu. W weekendy urządzano wielkie rodzinne przyjęcia i wesołe przykościelne śniadania. Wydawało się, że wszyscy się ze sobą znają.

Umundurowani policjanci wydziału do walki z gangami, pracujący w komisariacie Skaggsa, często wspominali w żartach miejscowość Slidell w Luizjanie, która została niemal żywcem przeniesiona na ulice Watts. Wydawało się, że połowa czarnych gangsterów na terenie kontrolowanym przez ten komisariat pochodzi właśnie stamtąd. Ale Shreveport, Lake Charles, Natchitoches i Nowy Orlean również były licznie reprezentowane.

Tylko ludzie, którzy nie znali tego rodzaju środowiska, mogli przypisywać jego problemy wyobcowaniu albo brakowi solidarności społecznej. W rzeczywistości „duch wspólnoty” kojarzony z lokalną dumą i więzami łączącymi sąsiadów był w Watts silniejszy niż gdziekolwiek indziej. Stanowił jedną z charakterystycznych cech scenerii strefy getta: wielu mieszkańców dzielnicy łączyły więzy pokrewieństwa, powinowactwa

czy innych bliskich relacji. Nawet dalecy krewni często spotykali się codziennie, jedli razem, razem świętowali, kłócili się i pocieszali. Dzielili się jedzeniem, pieniędzmi i mieszkaniami. Wychowywali razem dzieci. Pomagali sobie w organizacji dojazdów i sprzątaniu.

Nawet ludzie niespokrewnieni z innymi mieszkańcami dzielnicy znajdowali swoje miejsce w tej sieci powiązań. Nieformalne związki, aktualne i już zakończone, nie tylko stanowiły całą odrębną kategorię rodzinnych relacji, lecz także budowały nowe powiązania. Jeśli bliskich sobie ludzi nie łączyły żadne więzy rodzinne, po prostu je tworzyli. Określenia w rodzaju „siostra z piaskownicy” czy „kuzyn z placu zabaw” były powszechne i odgrywały ważną rolę w organizacji życia społecznego. Nawet przyjaźnie w Watts wydawały się bliższe i silniejsze niż gdzie indziej. W odróżnieniu od większości ludzi z bogatszych dzielnic, którzy pracowali w ciągu dnia, a sąsiadów znali tylko przelotnie albo nie znali w ogóle, bezrobotni z Watts przez cały dzień byli w domu, przebywali ze sobą w obrębie kilku przecznic. W tej sytuacji nieustanne nawoływania do „zacieśniania więzi społecznych” wydawały się absurdalne. W Watts te więzi były już na tyle ścisłe, że większość Amerykanów uznałaby je za nie do przyjęcia.

Policjanci pracujący na terenie kontrolowanym przez South Bureau uważali, że większość mieszkańców tego obszaru to „dobrzy ludzie”, ale zgadzali się też, że istnieje wśród nich mniejszość – niektórzy określali jej wielkość na jeden procent, inni aż na piętnaście – zwykłych „dupków” albo, mówiąc nieco delikatniej, „tępaków”. Ta nazwa odnosiła się do bezrobotnych przestępców i członków gangów, szczególnie czarnych.

– Czarni mogliby prowadzić lepsze życie, ale tego nie robią – powiedział jeden z policjantów o latynoskich korzeniach. – Uwielbiają to. Uwielbiają sprzedawać narkotyki. Uwielbiają wyrzucać starych ludzi z domów, żeby potem móc tam handlować narkotykami.

Inny biały policjant mówił:

– Prawdziwymi ofiarami są Latynosi. Czarni podejrzani polują na latynoskie ofiary.

Oczywiście w dzielnicy działały też latynoskie gangi. Latynosi również dopuszczali się wielu przestępstw, ale najtrwalszą i najgroźniejszą częścią marginesu społecznego byli właśnie czarni. Policjanci patrolujący ulice Watts nie mogli tego nie dostrzegać. Przez cały dzień z ich radiostacji płynęły podobne opisy podejrzanych.

– Czarny mężczyzna, metr sześćdziesiąt pięć–metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, osiemnaście–trzydzieści pięć lat, biała koszulka, czarne spodnie – czytał kwaśnym tonem policjant w sali odpraw na komisariacie.

Wszyscy obecni parskali śmiechem, bo wszyscy szukali tego samego podejrzanego. Niektórzy jednak zastanawiali się w tym samym czasie, jak pogodzić własne doświadczenia z codziennej pracy z antyrasizmem, którym starała się kierować większość z nich.

Próbowali sobie radzić z tym problemem na różne sposoby. Nikt nie chciał mówić o tym otwarcie na forum publicznym, ale wielu policjantów miało wrażenie, że czarni mieszkańcy są brutalniejsi niż Latynosi. Widzieli to na własne oczy. Potwierdzały to statystyki. Jednak tylko nieliczni funkcjonariusze chcieli wierzyć, że czarni rzeczywiście są z natury bardziej skłonni do przemocy.

– Może stereotypy są prawdziwe – mówił Francis Coughlin, biały detektyw, który zajmował się gangami i który miał odegrać ważną rolę w historii Skaggsa. – Nie wiem! Wolę myśleć, że to kwestia wyboru. Nawet w tym środowisku masz wybór! – W jego głosie pobrzmiwała nuta cierpienia; całe to zagadnienie było bardzo delikatne i bolesne.

Retoryka „wyboru” pomagała policjantom przypisywać brutalność Watts poszczególnym jednostkom, a tym samym unikać generalizacji dotyczącej czarnych. Tego rodzaju argumenty nieuchronnie wiązały się z kwestią winy. Ponieważ to pojęcie również służyło jako dobre usprawiedliwienie, kończyło się na tym, że policjanci obwiniali nie tylko podejrzanych, ale także ofiary o wybory, których te dokonały.

Wielu policjantów podchodziło do przemocy ze swego rodzaju nonszalancją. „Tu nie ma ofiar”, głosiło wyświechtane hasło używane przez policjantów z Southeast.

– Kiedy tu jesteś, odkładasz swoje wartości na tylne siedzenie – mówił sierżant Colomey, który pracował w Southeast na początku tego wieku. – Potem wracasz tam, skąd jesteś, i z powrotem sięgasz po wartości.

Pewien biały policjant z Southeast podsumował udane śledztwo w sprawie zabójstwa między członkami gangów jako „dwóch za cenę jednego”, bo jeden z gangsterów został zabity, a drugi uwięziony. Z kolei pewna wysoka stopniem biała policjantka po przejrzeniu raportu o czarnym członku gangu, który cudem przeżył postrzał w głowę, zjadliwym tonem stwierdziła:

– A mogła ta kula trafić trochę inaczej i nie mielibyśmy problemu.

Znamiennym określeniem używanym w policyjnym slangu, które dobrze wyrażało tę filozofię, było słowo „prawy”. Policjanci używali go w odniesieniu do ludzi, których uważali za prawdziwe ofiary – niewinne i godne współczucia – w odróżnieniu od tych, którzy ofiarami byli tylko teoretycznie. Taką prawdziwą ofiarą mógł być uczciwie pracujący sąsiad trafiony zabłąkaną kulą. Nie trzeba chyba dodawać, że wśród czarnych mężczyzn z Watts takich „prawych” ofiar było bardzo mało.

Nie można jednak potępiać w czambuł policjantów, którzy reagowali emocjonalnie na akty przemocy. Gniew wielu funkcjonariuszy z Southeast miał skomplikowane podłoże, w którym nie brakowało oburzenia i grozy. Choć posługiwali się bezduszną, zbanalizowaną retoryką, często też bardzo angażowali się w rozwiązywanie problemów, które napotykali w Watts – problemów ignorowanych przez resztę świata.

Typowym przykładem takiego policjanta był detektyw z Watts Patrick Flaherty. W ciągu miesiąca prowadził śledztwa w sprawie dwunastu groźnych strzelanin – o wiele za dużo, by mógł je rozwiązać. Trzeba jednak przyznać, że naprawdę ciężko pracował. Problem w tym, że tylko nieliczne ofiary chciały zeznawać. Pewnego razu, gdy prosił o informacje rannego członka gangu, ten odpowiedział mu tylko „pierdol się” – jak się okazało, były to jego ostatnie słowa.

Innym razem Flaherty prowadził śledztwo w sprawie czternastolatka, który w wyniku postrzału został sparaliżowany. Matka chłopca wbrew wszelkim dowodom uparcie twierdziła, że oprawca jej syna nie mógł być

czarny. Flaherty przytaczał tę historię jako przykład zaprzeczenia funkcjonującego wśród czarnych. Jego poglądy wydawały się radykalne i potępiające – „Cała kultura czarnej społeczności to zbrodnia!” – lecz w tej samej rozmowie wciąż powracał do smutnej historii nastolatka, która nigdy nie trafiła do mediów. Pracował nad tą sprawą z dużym zaangażowaniem, zrodzonym ze szczerego współczucia dla dramatu chłopca, w końcu namówił go do złożenia zeznań. Poznał jego rodzinę, utrzymywał z nią stały kontakt. Za każdym razem, gdy wybierali się do sądu, sam znosił sparaliżowanego chłopaka ze schodów.

Kiedy Skaggs podjął pracę w wydziale zabójstw w Southeast, odsetek śmiertelnych ofiar morderstw wśród czarnych w tym hrabstwie był czterdzieści osiem razy wyższy od średniej odnoszącej się do wszystkich białych Amerykanów. Southeast zawsze należała do pięciu najniebezpieczniejszych dzielnic Los Angeles. Rok po przybyciu Skaggsa do tego komisariatu zamordowano tam sześćdziesiąt pięć osób, z czego trzy czwarte stanowili czarni. W następnym, 2003 roku w Southeast zabito siedemdziesiąt siedem osób, więcej niż w jakiejkolwiek innej dzielnicy Los Angeles<sup>69</sup>. Czarni stanowili dwie trzecie ofiar.

Skaggs zajmował miejsce w tylnym rogu wspólnej sali oddziału detektywistycznego. Siedział wraz ze swymi kolegami po fachu przy tak zwanym stole wydziału zabójstw, utworzonym przez połączenie kilku biur zepchniętych w jedno miejsce. Układ mebli w całej sali świadczył o tym, że nie traktowano ich wydziału w szczególny sposób, bo podobnie wyglądały stoły detektywów zajmujących się włamaniami czy kradzieżami aut.

La Barbera kilkakrotnie zmieniał partnerów Skaggsa, aż w końcu przydzielił go do Chrisa Barlinga, innego rodowitego mieszkańca południowej Kalifornii, który trafił do Southeast z Wydziału Zabójstw South Bureau. Barling był dwa lata starszy od Skaggsa, także biały i równie wysoki – nosili garnitury w tym samym rozmiarze. Barling wyglądał na wysportowanego, lecz ku zdumieniu kolegów żywił się głównie burritos i napojami Mountain Dew. Obaj detektywi byli również wybitnie



utalentowani. W chwili, gdy zostali partnerami, mogli się pochwalić taką samą skutecznością: siedemdziesiąt pięć procent rozwiązanych spraw.

Nowi partnerzy od razu przypadli sobie do gustu. Barling był rozmowny i miał analityczny umysł, świetnie radził sobie ze sprawami poszlakowymi, umiał odnaleźć sens w skomplikowanej sieci dowodów. Odmowa składania zeznań była dla niego równie znacząca, jak same zeznania.

Podziwiał styl Skaggsa – jego determinację, wytrwałość w gromadzeniu wszelkich dostępnych informacji, szukanie tych informacji u samego źródła, upór graniczący z namolnością. La Barbera czasami przydzielał im dodatkowe sprawy tylko po to, by poprawić statystyki całej jednostki na koniec roku.

Mały oddział La Barbera w Watts zwykle składał się z czterech lub pięciu par detektywów. Ludzie ci prowadzili najwięcej śledztw w całym mieście, dwa albo trzy razy więcej niż ich koledzy po fachu z biur San Fernando Valley czy West. W tamtych czasach na jedną parę przypadało zazwyczaj dwanaście–piętnaście spraw.

W końcu liczba morderstw zaczęła spadać, ale zmniejszała się też liczba detektywów zatrudnionych w wydziale zabójstw, a skuteczne rozwiązywanie spraw wciąż nie stanowiło najważniejszego elementu strategii walki z przestępczością. La Barbera musiał się więc wciąż zmagać z tymi samymi problemami co w Grubych Latach – brakiem środków i absurdalnym odwróceniem priorytetów. Barling mawiał, że byli „Don Kichotami walczącymi z wiatrakami”. W oddziale wiecznie brakowało samochodów i komputerów. Pewnego razu La Barbera „wziął na siebie” skargę związaną z kradzieżą komputera nieużywanego przez policjantów z patroli ulicznych, bo jeden z jego detektywów w ogóle nie miał komputera. W związku z tym musiał się poddać nieuniknionemu w takiej sytuacji śledztwu wewnętrznemu. Jego detektywi nie mogli używać samochodów służbowych poza godzinami pracy, choć taką możliwość mieli detektywi z innych jednostek, na przykład z jednostki do spraw „poważnych przestępstw” w komendzie głównej. Nie mieli też własnego biura w odróżnieniu od wielu innych oddziałów z tego samego komisariatu.

Detektywi z wydziału zabójstw nie dysponowali odpowiednim miejscem do prowadzenia przesłuchań, bo jedyny pokój przeznaczony do tego celu wykorzystywali również policjanci z innych jednostek. Nie było w nim sprzętu nagrywającego ani okna, zwykle panował tam nieprzyjemny chłód i zawsze brakowało krzeseł.

Detektywom nie przydzielono magnetofonów, choć prokuratorzy zaczęli się domagać nagrań, które pomagały im przygotować akty oskarżenia. Policjanci kupowali więc własne magnetofony lub dyktafony, a ponieważ nie mieli swojego pokoju przesłuchań, chowali je na różne przemyślnie sposoby. Jeden z detektywów nosił gruby segregator wypełniony dokumentami. W środku pliku wyciął otwór, w którym ukrył dyktafon. W wydziale zabójstw strefy getta takie rozwiązanie uchodziło za szczyt techniki.

La Barbera poświęcał dużo czasu na zdobywanie sprzętu i materiałów dla swoich detektywów. Nie przydzielono im telefonów komórkowych, więc używali swoich. Nie mogli drukować ani powiększać zdjęć z nagrań kamer monitoringu, nie mogli również filmować przesłuchań, namówili więc właściciela pobliskiego sklepu z elektroniką, by im pomógł. Walczyli o dostęp do furgonetek i samochodów umożliwiających obserwację z ukrycia. Długimi tygodniami czekali na wyniki laboratoryjnych badań materiału dowodowego. La Barbera z własnych pieniędzy zakupił faks, drukarkę i część mebli do biura, w tym swoje krzesło. Detektywi regularnie wybierali się na zakupy do Office Depot po notatniki, ołówki, zszywacze, klawiatury, kalendarze, a nawet niebieskie teczki i segregatory na dokumentację dotyczącą zabójstw.

La Barbera nieustannie wyznaczał sobie cele i sporządzał plany. Jego prośby wydawały się całkiem rozsądne w przypadku wydziału, który dysponował własną flotą helikopterów: chciał samochodu z przyciemnianymi szybami, którym można by wozić świadków incognito, zamykaną na klucz szafkę na dokumentację, może kilka kamer cyfrowych. Wciąż spotykał się z odmową.

Kierownictwo policji przejmowało się innymi problemami, takimi jak czas reakcji na wezwanie, i walką z pomniejszych przestępstwami takimi

jak włamania. Takich spraw było więcej, więc w bardziej znaczący sposób wpływały na statystyki przestępczości. Dziennikarze prawie nigdy nie interesowali się zabójstwami w Southeast, brakowało więc politycznej presji<sup>70</sup>, która skłoniłaby policyjną wierchuszkę do zajęcia się tą kwestią.

Nawet we własnym komisariacie detektywi z wydziału zabójstw czuli się czasem jak trędowaci. Musieli prosić swoich kolegów, by pomagali im prowadzić obserwacje i robić naloty. La Barbera próbował zmienić i tę sytuację. Przemawiał podczas apeli i odpraw, prosił mundurowych, by nie przeganiali obcesowo ludzi z miejsc zbrodni i traktowali pokrzywdzone rodziny ze współczuciem. Policjanci tylko przewracali oczami, a potem i tak wrzeszczeli na zrozpaczonych krewnych albo uśmiechali się drwiąco do świadków w ten charakterystyczny, irytujący sposób, którego chyba uczą się w akademii policyjnej. Zeznania, które zapisywali na miejscu zbrodni, brzmiały w ich relacjach jak haiku. Nikt nie próbował nauczyć mundurowych policjantów, że powinni wspierać detektywów. Wydawało się wręcz, że działają na zupełnie innej płaszczyźnie.

Podobnie jak Baitx i Tennelle kilka lat wcześniej, Skaggs i Barling pracowali w sposób typowy dla strefy getta. Mnóstwo spraw i ani chwili do stracenia.

Skaggs wstawał o 3.30 nad ranem. W odróżnieniu od wielu policjantów z Los Angeles, którzy zarywali nocę i potem byli chronicznie zmęczeni, Skaggs co wieczór chodził spać o ósmej, bez względu na okoliczności.

Każdy dzień zaczynał się od listy zadań, każda chwila miała swoje miejsce w planie, który uwzględniał również korki i problemy z windami w sądzie. Skaggs i Barling patrzyli z góry na swoich kolegów, którzy robili sobie długie przerwy i jeździli na lunch aż do restauracji w South Bay. Oni jedli lunch na stojąco, prosto z papierowych torebek rozłożonych na bagażniku ich sedana. Zwykle pracowali dwanaście godzin dziennie albo i dłużej. Skaggs był uzależniony od kawy: pił czarną i mocną, ostatnią filiżankę już po zmroku, co nie wpływało jednak na jakość jego snu. Nadgodziny były ważną częścią jego życia. Jedna z sekretarek nazwała wydział zabójstw zieloną milą ze względu na wszystkie zielone formularze

nadgodzin, które składali detektywi z tej jednostki. Był to chyba jedyny wymiar ich pracy, na który nie mogli narzekać. W wydziale zwykle brakowało detektywów, więc ci, którym na tym zależało, mogli bez przeszkód wykorzystywać zapisy umowy o pracę traktujące ich jak niezmordowaną siłę roboczą i wynagradzające dodatkowe wysiłki. Pewnego roku Skaggs zarobił sto dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów – był to jego rekord. Spytny o podstawowe wynagrodzenie w tym czasie, nie potrafił go podać. Nigdy nie wiedział, ile właściwie wynosi jego pensja.

W wydziale brakowało też doświadczonych detektywów. Zawsze było w nim zbyt wielu żółtodziobów i zbyt mało weteranów, którzy mogliby ich uczyć. Praca w strefie getta była tak ciężka, że wymagała wykluczających się cech: młodszej energii i doskonałego opanowania rzemiosła. Wszystkie wydziały zabójstw na terenie południowego Los Angeles musiały sobie radzić z problemem wysokiej fluktuacji kadr, ponieważ młodzi rekruci zwykle starali się jak najszybciej przenieść na mniej wymagające i lepiej opłacane stanowiska. To samo dotyczyło prokuratorów z sądu Compton. W związku z tym wydziały zabójstw z South Bureau często przyjmowały kandydatów pozbawionych talentu i kwalifikacji, byle tylko zrobić porządek z wakacjami. Dwaj detektywi La Barbary zostali wyrzuceni, gdy oskarżono ich o zachowanie niezgodne z etyką zawodową. Inni nie rozwiązywali żadnych spraw. La Barbera robił, co w jego mocy, by zaradzić tym brakom. Był nieustraszoną werbownikiem i poszukiwaczem talentów. Jednak najlepsi policjanci tylko śmiali się z jego propozycji.

– Hej, nie chciałbyś pracować w wydziale zabójstw? – spytał radosnym tonem funkcjonariusza, który akurat przechodził rano obok jego biurka.

Detektyw tylko parsknął śmiechem i poszedł dalej, kręcąc głową.

La Barbera obsesyjnie traktował nawet najdrobniejsze szczegóły swojej pracy, prowadził drobiazgową dokumentację, a w wolnym czasie przeglądał dane, szukając najlepszych rozwiązań. Odkrył, że stałe szkolenie młodych rekrutów, którzy i tak szybko rezygnowali z pracy, to jedynie strata czasu i dodatkowe utrudnienie dla jego najlepszych detektywów. Silne pary i tak rozwiązywały więcej spraw niż kilka słabszych, które wymagały szkolenia. Nie zamierzał więc rozdzielać Barlinga i Skaggsa.

Dla Skaggsa i Barlinga był to twórczy, złoty okres kariery.

La Barbera wymagał, by dbali o swój wygląd, a Skaggs zawsze nosił eleganckie garnitury. Pozwalał sobie na drobne odstępstwo i zdejmował marynarkę, gdy musiał pracować na rozpalonym asfalcie ulic w Southeast. Nie rozluźniał jednak krawata i nigdy nie podwijał rękawów białej koszuli – bo tylko takie koszule nosił. Na zmianę z Barlingiem często mył ich samochód, by ludzie od razu wiedzieli, że mają do czynienia nie ze zwykłymi policjantami w cywilu, lecz z detektywami z wydziału zabójstw. Skaggs uwielbiał, gdy mieszkańcy Southeast, którzy bardzo uważnie przyglądali się swoim stróżom prawa, rozpoznawali w nim detektywa z wydziału zabójstw.

W biurze Skaggs i jego koledzy obsesyjnie dbali o porządek. Każdy miał pod ręką butelkę płynu czyszczącego w sprayu. Pewnego razu stażysta rozlał kawę na biurku Skaggsa. W pomieszczeniu zapadła głucha cisza – potem La Barbera zagroził praktykantowi, że go zwolni. I wcale nie brzmiało to jak żart.

Ta schludność nie była jedynie wynikiem zamiłowania detektywów do porządku, służyła określonej celowi. Sterta papierów pozostawiona na blacie biurka oznaczała, że detektyw ma zaległości, a przy takim nawale pracy wszelkie opóźnienia mogły doprowadzić do katastrofy. Odpowiednia organizacja była po prostu koniecznością, inaczej detektywi ugrzęźliby w lawinie nierozwiązanych spraw i obowiązków. Skaggs miał na swoim biurku zdjęcia dzieci w ramce, ale nic poza tym. Aby śledzić postępy danej sprawy, wycinał z wydruków najważniejsze fragmenty tekstów i wklejał je do swojego notesu. Po rozwiązaniu danej sprawy zakreślał je na żółto.

W Southeast nic nie przychodziło łatwo. Jednak wszelkiego rodzaju utrudnienia – brak ludzi i sprzętu, obojętność mediów, lekceważenie ich wydziału przez dyрекcję – jeszcze bardziej motywowały Skaggsa do pracy. Dawno już zaczął traktować to status quo w przewrotny sposób, dzięki czemu teraz odczuwał tym większą dumę ze swoich osiągnięć. Detektywi z Southeast postrzegali siebie jako odpowiednik wojskowej jednostki MASH – lepszych i sprytniejszych specjalistów, którzy musieli sobie radzić w gorszych warunkach i szybciej niż inni.

W policji w Los Angeles tamtych lat, pełnej funkcjonariuszy w drugim pokoleniu, z wyższym wykształceniem, Skaggs nie od razu został dostrzeżony i doceniony. Był inteligentny, ale nie miał równie imponującego formalnego wykształcenia. W pracy potrzebował jedynie słownictwa do wyrażenia aprobaty i dezaprobaty, używał więc dialektu typowego dla zapalonego kalifornijskiego surfera, którym był w istocie. Zwykle zaczynał zdania od: „Widzisz...” albo „Chcę tylko powiedzieć...”. Kiedy coś chwalił, mówił: „Cudownie”, a gdy chciał coś zganić, używał zawołanych przekleństw w rodzaju: „Kuźwa!” czy „Pitolę!”.

Miał też ulubione określenie, którym wyrażał niechęć: „kretynstwo”. Używał go w odniesieniu do długiej i zróżnicowanej listy rzeczy, które go irytowały i sprawiały mu problemy. Papierkowej roboty. Kiepskich tatuaży. Nadmiernego picia. Wszystko to było kretyńskie. Czasami nawet nazywał tak morderstwa. Z kolei irytujących go ludzi nazywał po prostu kretynami. Kretynami mogli być i uciążliwi biurokraci, i zabójcy.

Doskonale czuł się również wśród innych policjantów – jak większość z nich był zapalonym sportowcem, grał w futbol amerykański, chodził na siłownię, jeździł na wycieczki i brał udział w corocznym policyjnym biegu sztafetowym z Baker do Vegas. Ta pozorna przeciętność przydawała mu się na ulicach Watts, gdzie łączył slang surferski z idiomami z getta, dzięki czemu te ostatnie nie brzmiały w jego ustach sztucznie. Używał wyrażen typowych dla tej dzielnicy w naturalny, nieafektowany sposób – w odróżnieniu od części policjantów z South Bureau, którzy popisywali się znajomością gangsterskiego żargonu. Skaggs uważał, że umie rozmawiać z ludźmi, których spotykał w Watts, tak samo jak ze wszystkimi innymi.

Umiejętność porozumiewania się ze wszystkimi i wszędzie, zawsze przy użyciu tych samych słów i gramatyki, bez okazywania wyższości i popisywania się, była dla niego niezwykle ważna. Traktował ją jako część katalogu zasad i standardów dotyczących pracy, który sam przez lata opracował – listę norm, o których rzadko mówił głośno, chyba że w momentach irytacji wywołanej przekraczaniem tych norm.

Ten pozornie niewyszukany styl rozmowy przysłużył się Skaggsowi na dalszych etapach kariery: był bardzo pomocny podczas przesłuchań. Skaggs

często udawał głupawego amatora. Podejrzani nie dostrzegali ukrytych pod tą fasadą intelektu i przenikliwości, a gdy wreszcie zaczynali się domyślać prawdy, zwykle było już za późno. Niemniej nie była to do końca jedynie poza. Skaggs nie bawił się w zbyt zawiłe analizy. Rzadko czuł potrzebę precyzji i wymowności większej, niż można osiągnąć za pomocą słów „cudownie” i „kretynstwo”. Nie interesowały go szczegółowe wyjaśnienia. Jego rozumowanie opierało się głównie na intuicji. Jego mózg wypełniały dane. Siłą jego umysłu była umiejętność błyskawicznego dotarcia do potrzebnych informacji i przełożenia ich na szybkie, trafne decyzje. „Albo zrobimy to na sposób Skaggsa, albo po kretyńsku”, mawiał Chris Barling.

Konwencjonalne zachowanie i wygląd Skaggsa zdawały się świadczyć o tym, że uduchowienie to stan zupełnie obcy jego naturze. Z pewnością jednak nie była to do końca prawda. Skaggs uwielbiał *Ulicę Nadbrzeżną* Steinbecka. Kochał niedoceniane krajobrazy Kalifornii, kreozotowe pustkowia i góry. Oczywiście większość Kalifornijczyków również kochała te miejsca, lecz Skaggs darzył je uczuciem wyższego rzędu. Wychował się w elizejskim blasku słońca i tęczowych mgłach południowej Kalifornii. Nie wyobrażał sobie, by mógł żyć gdzie indziej. Gdy mówiono mu, że któryś z policjantów przenosi się do innego miejsca – Idaho, Gig Harbor czy Waszyngtonu – kręcił ze współczuciem głową, jakby chodziło o jakąś ciężką chorobę. Biedactwa. Będą musieli znosić taką pogodę. I już nigdy nie uda im się znaleźć przyzwoitego domu w Los Angeles.

## Świadkowie i niepisane prawo

Tym, co pewien prokurator nazwał „kolosalnym” problemem śledztw w sprawie zabójstw dokonywanych w strefie getta<sup>71</sup>, były trudności z nakłonieniem świadków do składania zeznań. Niemal wszyscy bali się, że sami zostaną zamordowani.

Jeśli jacyś świadkowie z Watts w ogóle zgadzali się na współpracę z policją, prawie zawsze prosili o zachowanie anonimowości zeznań. Wielu trzeba było ścigać. Po pierwszych przesłuchaniach ściągano ich siłą do sądu, gdzie często kwestionowano ich wypowiedzi lub oskarżano o krzywoprzysięstwo, kłamali bowiem w sprawach, o których wcześniej otwarcie się wypowiadali.

Nakłonienie świadka do złożenia zeznań było jednym z najboleśniejszych i najbardziej wyczerpujących emocjonalnie elementów postępowania. Świadkowie płakali podczas rozmów z detektywami, a potem w sądzie. Tak wyglądała sytuacja, gdy wszystko układało się po myśli stróżów prawa. W wielu innych przypadkach świadkowie odwoływali zeznania lub znikali w tajemniczych okolicznościach między kolejnymi posiedzeniami sądu.

To właśnie niechęć świadków do składania zeznań była głównym powodem, dla którego wiele spraw dotyczących morderstw nie zostało rozwiązanych. W 2008 roku brak współpracy świadków był największą przeszkodą w ustaleniu podejrzanych w stu ośmiu sprawach o zabójstwo na terenie Los Angeles – albo w czterdziestu procentach wszystkich spraw, w których świadkowie odgrywali jakąś rolę<sup>72</sup>. W wielu innych przypadkach dotyczących morderstw odmowa współpracy ze strony świadków nie była może największym problemem, ale wciąż w dużej mierze decydowała o niepowodzeniu śledztwa. Barling lubił mawiać, że we wszystkich



nierozstrzygniętych sprawach w Southeast byli „o jednego świadka od rozwiązania”.

Materiał dowodowy pozostały po morderstwie dokonanym na ulicy był zwykle bardzo skąpy. Większość takich spraw określano słowami „zgarnąć i wywieźć”, co oznaczało, że ranną ofiarę odwożono karetką do szpitala, gdzie stwierdzano jej zgon. Fizyczne dowody składały się zwykle z kilku łusek, butów i kawałków ubrań rozciętych przez ratowników medycznych.

Badania laboratoryjne nie odgrywały większej roli w tego rodzaju śledztwach. Nie trzeba wyszukanego sprzętu laboratoryjnego, by stwierdzić, że ktoś zginął w wyniku postrzału.

Dlatego sprawy związane z zabójstwami ulicznymi opierały się głównie na zeznaniach świadków – a czasami wyłącznie na nich. Od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku stan Kalifornia wspomaga finansowo świadków, którzy chcą się przeprowadzić do innej części miasta, co ma służyć ich ochronie. Zwykle są to minimalne stawki – kilka tysięcy dolarów. Władze stanowe zazwyczaj pokrywały koszty przeprowadzki i czynsz za kilka pierwszych miesięcy. Nie istniał program pomocy długoterminowej, który pomógłby świadkom zacząć życie w nowym miejscu.

Co więcej, tego rodzaju fundusze przyznawano dopiero wtedy, gdy świadkowie zgodzili się współpracować z prokuraturą; detektywi nie mogli korzystać z tych pieniędzy, by przewieźć niezdecydowanych świadków w bezpieczne miejsce i ich przesłuchać. Kolejnym problemem były przenosiny krewnych. Świadkowie często obawiali się o bezpieczeństwo swoich rodziców lub dziadków, którzy byli właścicielami domów i nie kwalifikowali się do programu relokacji.

Poza tym program nie uwzględniał szczególnych warunków życia świadków należących do marginesu społecznego, czyli narkomanów, bezdomnych, prostytutek, członków gangów i drobnych oszustów, którzy mogli funkcjonować tylko w ściśle określonym środowisku i okolicy – na konkretnym rogu, gdzie sprzedawali narkotyki, w konkretnej alejce, gdzie szukali klientów. Nikt nie doceniał ich poświęcenia, gdy mimo wszystko decydowali się składać zeznania.

W przypadku takich właśnie ludzi, egzystujących poza granicami normalnego społeczeństwa, program relokacji świadków nie był szczególnie pomocny.

– Dokąd przeniesiesz bezdomnego? Na sąsiednie skrzyżowanie? – pytał Dan Myers, były detektyw z Southeast.

Jednym ze świadków Myersa w sprawie o morderstwo była bezdomna narkomanka. Przez lata starał się śledzić jej losy w nadziei, że zdoła zapewnić jej bezpieczeństwo. Pewnego razu po dłuższych poszukiwaniach odnalazł ją w bocznej uliczce. Była obszarpana, miała potargane włosy, a jej ręce pokrywały siniaki. Powiedziała Myersowi, że kilka dni wcześniej dopadli ją gangsterzy, poturbowali ją i ostrzegli przed składaniem zeznań.

Trudno oszacować, jak często dochodziło do aktów odwetu na świadkach. Detektywi twierdzili, że takie przypadki były bardzo nieliczne, szczególnie po zakończeniu procesu. Jednak w ciągu pięciu lat pracy Skaggsa w Southeast na terenie całego kraju oficjalnie ginęło rocznie siedmioro świadków morderstw, a w rzeczywistości takich zabójstw było zapewne kilkanaście<sup>73</sup>. Oczywiście był to jedynie drobny ułamek całkowitej liczby morderstw popełnianych na terenie całych Stanów Zjednoczonych, ale nawet jedna śmierć może mieć poważne konsekwencje dla reszty społeczeństwa. Większość racjonalnie myślących ludzi waha się przed zrobieniem czegoś, za co rocznie ginie w ich kraju kilkanaście osób. Ten strach był na tyle silny, że dwadzieścia pięć tysięcy dolarów ofiarowane za pomoc w kilku różnych sprawach właściwie nigdy nie zostało wykorzystane<sup>74</sup>.

Świadkowie często byli również celem prób zastraszenia, bliskich morderstwu. Wrzucano im przez okna bomby zapalające, strzelano do nich z samochodów, gdy próbowali się przeprowadzić. Niektórzy świadkowie mówili także o napiętnowaniu i dręczeniu, których doświadczyli po złożeniu zeznań. Ludzie uznani za kapusiów – a więc ci, którzy zdecydowali się na współpracę – stawali się obiektem ataków i molestowania. Policjanci nie darzyli szczególną sympatią osób naznaczonych takim piętnem, szczególnie czarnoskórych. Rządziej proponowali pomoc w przeprowadzce młodym czarnym mężczyznom

z kryminalną przeszłością. Niektórzy nawet twierdzili, że nie warto się przejmować kwestią bezpieczeństwa świadków, bo jedynymi ludźmi, którzy muszą się obawiać zemsty, są członkowie gangów – jakby to rzeczywiście umniejszało problem. Oczywiście statystycznie rzecz ujmując, groźby i napaści na członków gangów stanowiły gros tego rodzaju przypadków, więc pod tym względem – jak i pod wieloma innymi – sytuacja stała na głowie: najsłabszy punkt systemu był jednocześnie jego statystycznym szczytem.

Policjanci bywali zadziwiająco aroganccy i skąpi nawet w stosunku do najszlachetniejszych i najbardziej uczynnych świadków. Wychodzili z założenia, że biedni ludzie mogą się przeprowadzić w każdej chwili i że nie są tak mocno związani ze swoim domem czy swoją okolicą jak bogatsi mieszkańcy przedmieść. Niektórzy stróże prawa, wychowani na prawicowej retoryce „nadopiekuńczego państwa”, z zasady byli przeciwni finansowemu wspieraniu świadków. Jedna z funkcjonariuszek wyższego szczebla, pracująca w Southeast w tym samym czasie co Skaggs, mówiła otwarcie, że uważa za swój obowiązek dopilnowanie, by świadkowie dostawali jak najmniej państwowych pieniędzy. Jej zdaniem biedacy z tego terenu byli naciągaczami, a ona nie zamierzała pomagać im w wyłudzeniu pieniędzy podatników.

Doświadczeni detektywi z wydziału zabójstw nie podzielali tego poglądu. Obserwowali z bliska życie okolicznych mieszkańców, nawiązywali z nimi relacje i – co najważniejsze – odbierali ich ból jako coś więcej niż chwilową niedogodność. Cierpienie było w tym wypadku najlepszym nauczycielem. Istniała wyraźna różnica między zirytowaną postawą ludzi, którzy jako pierwsi mieli styczność z ofiarami – ratowników medycznych, policjantów z patroli ulicznych, pielęgniarek, słowem wszystkich muszących tłumić emocje, by pozostać przy zdrowych zmysłach – a niemym oburzeniem detektywów z wydziału zabójstw, lekarzy i osób mających do czynienia z długofalowymi następstwami zbrodni. Ci ostatni, na przykład Roosevelt Joseph, detektyw z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy, często byli zbulwersowani tym, co odbierali jako bezduszny osąd pierwszej z wymienionych grup.

– Mówią, że ludzie powinni sami się do nas zgłaszać. Wydaje im się, że coś o tym wiedzą, bo pracują tu osiem godzin dziennie i mają odznakę i broń, ale po pracy wracają do hrabstwa Orange!

Każdy, kto spędził w strefie getta wystarczająco dużo czasu, wiedział, co może spotkać świadków. Brent Josephson, detektyw z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, pomagał kiedyś w przeprowadzce osiemnastoletniej Yvette Rene Blue, świadkowi morderstwa. Później zaprzyjaźnił się z tą młodą czarnoskórą kobietą, która co jakiś czas wysyłała mu kartki i krótkie listy. Jednak pewnego dnia, już po procesie, na którym zeznawała, Yvette wybrała się do swojej starej dzielnicy i została zamordowana. Josephson już nigdy nie był taki sam. Jeszcze przez wiele lat na jego komputerze wisiało zdjęcie Blue.

Detektywi nieustannie apelowali do ludzi, by pomimo obaw chcieli z nimi współpracować. Jednak wielu świadków stawało w takiej sytuacji przed trudnym dylematem – musieli wybierać między bezpieczeństwem własnym, przyjaciół i krewnych a obowiązkiem wobec państwa. Co wrażliwsi policjanci i prokuratorzy rozumieli te rozterki. Pewien detektyw z wydziału zabójstw opowiadał o wyrzutach sumienia, jakie odczuwał, namawiając do składania zeznań pewną starszą kobietę, świadka gangsterskich porachunków. Staruszka rozwiała jednak jego obawy, tłumacząc, że przed laty zamordowano jej syna, a ona sama nie obawia się już śmierci. W pewnej sprawie z Watts bezdomna prostytutka, główny świadek, zdecydowała się zeznawać, bo kochała ofiarę zbrodni. Nie chciała jednak przenieść się do innej dzielnicy, prawdopodobnie po części dlatego, że tylko tu mogła prowadzić swoją smutną egzystencję – mieszkać w samochodzie i oferować stosunek oralny mężczyznom z okolicy.

– Nie boi się, a powinna – powiedział detektyw prowadzący tę sprawę. – Ja boję się za nią.

\*

Strach czynił współsprawców z ludzi, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa. Wielu świadków morderstw roniło łzy podczas rozmów

z policją. Przepraszaali, zasłaniając okna lub prosząc nieśmiało, by policjanci nie przychodzili do nich za dnia. Bardzo często policja nie miała pojęcia, przez co świadkowie przechodzą.

W 2009 roku, podczas śledztwa w Watts, pewien ważny świadek mieszkający naprzeciwko miejsca, w którym doszło do morderstwa, przez następne trzy noce spał wraz z rodziną na podłodze w kuchni, bo gangsterzy podjeżdżali pod jego dom i grozili mu bronią albo rzucali kamieniami. Nie zgłosił na policję żadnej z tych napaści – wcześniej siedział w więzieniu za wyłudzenia świadczeń i został warunkowo zwolniony, co zataił przed swoim pracodawcą. Nie chciał się kontaktować z policją w obawie, że trafi z powrotem do więzienia albo straci pracę.

Czasami ludzie z najniższych warstw społecznych wykazywali się heroiczną odwagą. Podczas innego śledztwa w Watts pewna narkomanka powiedziała policji, że widziała podejrzanego na miejscu zbrodni, ale to jedyne, co może o nim powiedzieć. Kiedy jednak w sądzie została wezwana do złożenia zeznań, zaskoczyła całą salę, wykrzykując oskarżonemu prosto w twarz:

– Ty go zabiłeś! Przykro mi, ale to byłeś ty!

Debra Johnson, inny świadek, zeznawała przeciwko mężczyznom, którzy dokonali napaści w Nickerson Gardens i zabili dwoje ludzi. Johnson – astmatyczka i narkomanka na zwolnieniu warunkowym – podczas tej samej strzelaniny została ranna w usta i pierś, ledwie mogła mówić. Jednak podczas rozprawy wykazała się niezwykłym hartem ducha.

– Właśnie tak to wyglądało – oświadczyła, bez wahania wskazując na sprawców.

Obie kobiety pochodziły z tej samej dzielnicy co zabójcy. Obie żyły w ubóstwie i dobrze znały uliczny kodeks. I obie były bardzo odważne.

Mimo że prasa i decydenci co jakiś czas zajmowali się obawami i bezpieczeństwem świadków, nikt nie doceniał znaczenia tej kwestii dla całego problemu przemocy wśród czarnych. Właściwie większość tekstów dziennikarskich i akademickich dotyczących świadków skupiała się na ich nierzetelności. Trudno się dziwić, że w oczach ogółu społeczeństwa to właśnie stanowiło największy problem wymiaru sprawiedliwości, skoro tak

wielu ekspertów zajmowało się tym zagadnieniem i skoro przeznaczano na nie tak liczne granty. W czasach Skaggsa wielokrotnie wzywano do większego ograniczenia materiału dowodowego w postaci zeznań świadków – znacznie rzadziej mówiono o lepszej ochronie biednych, przerażonych ludzi, których państwo obarczyło obowiązkiem zeznawania.

Zastraszanie świadków było tylko jednym z elementów większego problemu strefy getta: systemu niepisanych zasad, który walczył z oficjalnym prawem.

Zawsze, gdy Skaggs zaczynał nową sprawę w Southeast, miał wrażenie, że wchodzi do innego świata. Mimo pozornego chaosu świat ten był w pewien sposób zorganizowany i określony. Czarnoskórzy mieszkańcy Watts działali według złożonego systemu norm i reguł, wspieranego groźbą przemocy i zemsty. System ten wypełniał próżnię powstałą z braku oficjalnego, państwowego prawa. Jednym z jego filarów była olbrzymia podziemna gospodarka funkcjonująca w tej dzielnicy. Kiedy prowadzisz nielegalne interesy, nie możesz liczyć na ochronę prawa. Wielu biednych mieszkańców Watts z „marginesu społecznego” żyło jedynie ze stanowego zasiłku w wysokości kilkuset dolarów miesięcznie. Prowadzili więc różnego rodzaju „szemrane” interesy – handlowali narkotykami, stręczyli, fałszowali чеки, dopuszczali się oszustw podatkowych, otwierali nielegalne warsztaty samochodowe czy zakłady fryzjerskie. Niektórzy żyli od przekrętu do przekrętu. Prowadzili handel wymienny, zawierali umowy i dzielili się zyskami<sup>75</sup>, oczywiście wszystko w szarej strefie. Spory rozstrzygano przemocą. Młodzi mężczyźni z Watts często porównywali swój udział w tak zwanej kulturze gangów do spraw sądowych, jakie bogaci biznesmeni wytaczają swoim klientom, konkurentom czy dostawcom. Mówili o porządku, który sami zaprowadzali w swoich szeregach, i o rozstrzyganiu sporów na własną rękę. Kiedy inni ludzie potrzebują pomocy, wzywają policję, tłumaczył członek gangu East Coast Crip<sup>76</sup>.

– My wyciągamy telefon i dzwонimy po naszych chłopaków.

Gangi wydawały oficjalne „pozwolenia”, co oznaczało odstąpienie w przypadku konkretnych osób od zasad obowiązujących wszystkich innych. Na przykład znany sportowiec mieszkający w kontrolowanej przez gang dzielnicy mógł otrzymać „zwolnienie” od udziału w działaniach gangu. Podobne zwolnienia mogły też dotyczyć ludzi, którym pozwalano prowadzić nielegalne interesy na terenie konkurencji. „Sprzedaż bez pozwolenia” była czasami motywem zabójstwa.

Może się wydawać, że gangi były absurdalnymi tworam, które dążyły do autodestrukcji, lecz powód ich istnienia był oczywisty. Chłopcy i mężczyźni zawsze szukają ochrony w większej grupie, w przewadze liczebnej. Tam, gdzie państwo nie egzekwuje swojego monopolu na używanie przemocy, takie grupy walczą ze sobą, popełniają przestępstwa i dążą do takiej dominacji, na jaką pozwalają im okoliczności. Zasadniczo gangi są konsekwencją bezprawia, a nie jego przyczyną.

Różne odmiany gangów pojawiały się w zanarchizowanych społecznościach w każdym okresie historii ludzkości. W XIX wieku istniała cała gama takich grup: wśród rosyjskich chłopów działały bandy o chwytliwych nazwach w rodzaju Diabły Stepowe; w Filadelfii grupy ochotniczej straży pożarnej prowadziły między sobą otwartą wojnę i dokonywały podpaień; w Nowym Jorku „gangi wyborcze” walczyły o to, co Monkkonen nazwał „dziewiętnastowiecznym odpowiednikiem kokainy – dostęp do pracy i władzy, a tym samym sowitych łapówek”. W Georgii i Wirginii na początku XX wieku rolę gangów odgrywały grupy białych i czarnych bimbrowników, którzy zastraszali zwykłych obywateli i zabijali kapusiów<sup>77</sup>.

Skłonność do tworzenia większych grup tam, gdzie władza państwowa jest słaba, wydaje się nie tyle nieunikniona, ile wręcz wrodzona. „Ukryte przyczyny występkę zasiane są w ludzkiej naturze”<sup>78</sup>, pisał jeden z ojców założycieli, James Madison. Pod nieobecność prawa ludzie kolektywnie używają przemocy, by wyrównywać rachunki i naprawiać krzywdy, często traktując tę przemoc jako prawo samo w sobie. Wszędzie tam, gdzie prawo jest nieobecne lub słabe – nieskuteczne, niesprawiedliwe, kwestionowane –

zwykle pojawia się jakaś forma sprawiedliwości ludowej i niepisanych społecznych reguł.

Policja, prokuratorzy i politycy z Los Angeles obwiniali o problem licznych morderstw gangi. Przedstawiali je jako potężne organizacje przestępcze albo jako nową, egzotyczną chorobę społeczną. Jednak wśród policjantów z South Bureau pracujących w terenie pojawiały się czasem wątpliwości, poczucie, że znacząca część tego, co nazywano kulturą gangów, jest w istocie zwykłym zachowaniem grupowym. Funkcjonariusze, chcąc nie chcąc, dostrzegali różne niekonsekwencje, choćby to, że wiele przestępstw przypisywanych gangom dotyczyło czterech czy pięciu „zgranych” facetów, przypominających grupę kumpli z szatni w klubie sportowym, czy też to, że tylko nieliczne zabójstwa dokonywane przez członków gangów miały związek z handlem narkotykami<sup>79</sup>, a wiele z nich było wynikiem wewnętrznych porachunków. Niektórzy gangsterzy zachowywali się tak, jakby wciągnięto ich do świata przestępczego wbrew ich woli, a wiele przydomków przypominało raczej złośliwe przezwiska niż imiona wojenne: Cheeseburger, Astmatyk, Jełop, Puszka Piwa. Wiele aktów przemocy było wynikiem drobnych kłótni, obraz czy zazdrości o kobiety. Jedna z wojen gangów z Southeast rozpoczęła się od sprzedaży używanego samochodu. Członkowie gangów z Watts chwalili się swoim bogactwem. Jednak zwitki banknotów, które znajdowano w butach zabitych, jednoznacznie temu przeczyły – to byli biedni ludzie. Wbrew pozorom nie tak łatwo się dorobić na czarnym rynku.

Wysokość stawki nie ograniczała jednak zasięgu i siły niepisanego prawa ulicy. Na pozór drobne wykroczenia mogły ściągnąć na winowajcę surową karę. Skaggs nie mógł się nadziwić, że za jedną z największych zbrodni w półświatku uchodziło „kłamanie o ludziach”, czyli rozpowszechnianie złośliwych plotek. Najbardziej dotyczyło go jednak inne niepisane prawo – zakaz donoszenia, czyli współpracy z policją. Nie była to tylko kwestia kryminalnego etosu. Donoszenie postrzegano czasem jako zdradę własnej rasy, ustępstwo na rzecz wymiaru sprawiedliwości, który nie sprzyjał czarnym. Mieszkańcy Watts uważali, że prawo ulicy etycznie



przewyższało zwykłe państwowe prawa. Nakłaniali świadków morderstw do milczenia, by krewni ofiary mogli się zemścić.

Co ciekawe, tabu dotyczące donoszenia nie było całkowicie jednoznaczne. Był to raczej selektywny standard pozwalający na różnego rodzaju odstępstwa. Zdarzało się na przykład, że członkowie gangów wydawali policji swoich pobratymców za zabicie dzieci. Takie postępowanie wynikało ze słusznego założenia, że śmierć „niewinnych ofiar” wywoła gwałtowną i agresywną reakcję policji, a tym samym narazi na niebezpieczeństwo cały gang. Jednak moralna odraza również odgrywała w takich przypadkach istotną rolę. Czasami gangsterzy, którzy decydowali się wówczas na współpracę z policją, uważali taką pomyłkę za „niedopuszczalną” albo niewybaczalną.

– Mają własne pojęcie o tym, co można usprawiedliwić, a czego nie – mówił Skaggs.

Innych zabójców chronił consensus sięgający poza struktury gangu. Z tego też powodu za wyjątkowo trudne uchodziły sprawy morderstw gangsterów, którzy dopuszczali się agresji na wrogim terenie – powszechnie uważano, że sami byli sobie winni. Nikt nie kwapił się do współpracy również wówczas, gdy ofiarą był ktoś zupełnie obcy albo człowiek budzący powszechną niechęć czy odrazę. Skaggs opowiadał o sprawie dotyczącej osoby, która irytowała swoich sąsiadów.

– Wszyscy w Nickerson mówią: „No i co z tego, że go zabili? To nie jest problem! Po co w ogóle zawracacie sobie tym głowę”.

Niemal wszyscy funkcjonariusze państwowi, którzy zajmowali się przestępczością w Watts, postrzegali to w taki sam sposób. „Oni mają własne interesy [...] własne prawo! – mówił o uczestnikach procesów związanych z działalnością gangów prokurator Joe Porras z sądu w Compton<sup>80</sup>. – To równoległy świat, a wy próbujecie wprowadzić do niego swoje prawo”. Policjanci i prokuratorzy czuli się jak obwoźni sprzedawcy próbujący wcisnąć ludziom system prawny, z którym nikt nie chciał mieć do czynienia. Prokurator Grace Rai nie mogła się nadziwić, jak wiele trudu trzeba sobie zadać, żeby przekonać ludzi do udziału w postępowaniu sądowym. Aby nakłonić do współpracy świadków,

przysięgłych i ofiary, „nie wystarczy powiedzieć: »To jest naruszenie prawa« – mówiła Rai. – Najpierw trzeba ich przekonać do tego prawa”.

Pewien młody czarnoskóry mężczyzna zeznający w sądzie w Compton pod koniec 2009 roku tłumaczył, dlaczego nie poinformował policji o morderstwie, którego był świadkiem:

– Tam, gdzie mieszkam, obowiązują pewne przepisy i zasady<sup>81</sup>.

Jego dom znajdował się na terytorium gangu Bounty Hunter. Wypytywany o szczegóły, nie powiedział, czyje były to zasady ani jak je poznał – powtórzył jedynie, że po prostu istnieją, że to dla wszystkich oczywiste i że do przestrzegania tych reguł zmusza go poczucie zagrożenia, równie naturalne i wszechobecne w tym miejscu, jak ryk samochodów przejeżdżających pobliskimi autostradami. Adwokat spytał, co by się stało, gdyby pogwałcił te tajemnicze „przepisy i zasady”. Młody człowiek wzruszył ramionami i odparł krótko:

– Zabiliby mnie, zastrzelili, prosta sprawa.

W latach trzydziestych minionego wieku antropolog Hortense Powdermaker opisywała prawa Jima Crowa właśnie takimi słowami. Powdermaker pytała czarnoskórą kobietę, dlaczego boi się zawrzeć znajomość z białym mężczyzną. „Spytana, czego właściwie się obawia, kobieta parska śmiechem i mówi: Nie wie pani, że to niezgodne z prawem? Kiedy drążę temat, okazuje się, że nie zna żadnego konkretnego przepisu [...] prawo to dla niej nieokreślona złowroga siła wykraczająca poza konkretne zapisane reguły”<sup>82</sup>.

Alternatywne „prawo” strefy getta w Watts działało w taki właśnie sposób – jako bliżej nieokreślona złowieszcza siła wykraczająca poza konkretne reguły. Ten system już dawno temu rozwinął się do takiego stopnia, że wystarczyło jedno groźne spojrzenie czy cmoknięcie, by bez słów ostrzec potencjalnego winowajcę, jak przerażająca kara może go spotkać.

Jednocześnie niektórzy mieszkańcy Watts pragnęli się uwolnić od nieustającego zagrożenia, jakie niosło ze sobą to niepisane prawo. Wielu starszych członków gangu było niezadowolonych i nieustannie mówiło o chęci ucieczki. Pod osłoną ścian pokoju przesłuchań chętnie donosili na

innych członków swojego gangu, przyznając, że po prostu ich nie lubią. „Tylko raz!”, wciąż wrzeszczeli w stronę policjantów mieszkańcy dzielnicy. To hasło pochodziło z czasów, gdy policjanci patrolowali czarne dzielnice raz dziennie i wcale nie mieli ochoty zajmować się popełnianymi tam przestępstwami. „Tylko raz” było więc jednym z licznych obraźliwych określeń policjantów, równie popularnym, jak „pies” czy „niebieskooki diabeł”. Krył się w nim jednak swego rodzaju żal – sugestia, że byłoby lepiej, gdyby policjanci pojawiali się częściej.

Raz na jakiś czas zdarzało się, że uliczni dilerzy woleli skorzystać z pomocy państwowego wymiaru sprawiedliwości: dzwonili pod 911. Gdy na miejsce przybywali zaintrygowani policjanci, handlarze prosili ich o rozstrzygnięcie sporu: „Zajumał mój towar! Zamknijcie go za kradzież!”.

Skaggs nauczył się, że powinien traktować swoją pracę jako sztukę przekonywania: sprzedawanie oficjalnego prawa ludziom, którzy temu prawu nie ufali i na co dzień odpowiadali przed inną władzą – prawem ulicy. Działania policji musiały być przekonujące i wytrwałe. Jak mówił Skaggs, praca detektywa w strefie getta to „w dziewięćdziesięciu procentach rozmawianie z ludźmi. Może w stu procentach”.

Takie wyzwanie nie pozostawiało miejsca na wątpliwości, na wymijające i pokrętne odpowiedzi. Skaggs był wręcz stworzony do tego rodzaju działań. Wracał po wielokroć na te same ulice, do tych samych domów, pukał wciąż do tych samych drzwi, budząc świadków o świcie lub nocą. Coraz lepiej poznawał tajniki życia w Watts – wiedział, gdzie kręcą się narkomani, które kryjówki dilerzy narkotyków mogą nazywać domem.

Skaggs pukał głośno, wytrwale, jakby nie dopuszczał myśli o sprzeciwie. Często stukał w okna policyjną latarką, bo większość domów w Southeast była wyposażona w stalowe drzwi antywłamaniowe, które skutecznie tłumiły dźwięki. Jeśli nikt nie reagował, pukał dalej. Przechodził do następnego okna, potem do kolejnego, pukał i pukał, jakby nie miał nic innego do roboty. Bywało, że wracał kilka razy w ciągu tego samego dnia. Czasami ludzie ustępowali i rozmawiali z nim tylko po to, żeby wreszcie sobie poszedł.

W „pokoju przesłuchań” (zwykłym pokoju, bo w Southeast nie było sali przeznaczonej specjalnie do tego celu) Skaggs oplatał ich siecią swoich argumentów i perswazji. Z niezachwianą pewnością siebie powtarzał, że kiedy prawda wyjdzie na jaw, wszystko będzie lepiej. Nie zachowywał się obcesowo ani wrogo. Po prostu parł naprzód, był nieustępliwy i rzeczowy. Mówił o właściwym postępowaniu i o zrzuceniu ciężaru. Przedstawiał sprawiedliwość jako psychologiczne wyzwolenie, nawet w przypadku podejrzanych. I wierzył, że tak jest naprawdę.

Właśnie takie umiejętności miały w jego zawodzie największe znaczenie, bo sprawy z Southeast nie kryły w sobie wielu tajemnic. Zabójstwa były zwykle wydarzeniami publicznymi – pokazami siły, które miały budzić strach innych ludzi i skłaniać ich do posłuszeństwa. Odbywały się na ulicach, w biały dzień, często na oczach wielu przechodniów.

Zabójcy często chwalili się swoimi dokonaniami. Niektórzy byli na tyle bezczelni, że umieszczali w przestrzeni publicznej napisy czy znaki, które przypisywały im odpowiedzialność za daną zbrodnię. Częstym tropem w śledztwach dotyczących morderstw było graffiti. „DLB stracili gwiazdę hahaha!!!”, głosił jeden z takich napisów w Watts. Namalowano go sprayem przy ulicy kilka godzin po zastrzeleniu młodzieńca o przydomku Star – Gwiazda. (DLB to skrót od Denver Lane Bloods, grupy przestępczej sprzymierzonej z podejrzanymi z sąsiedniego gangu).

Rodziny zabitych często wiedziały, kim byli sprawcy, albo słyszały plotki na ten temat. Czasami krewni informowali policję, że zabójcy pojawili się na pogrzebie albo złożyli im wizytę i grozili. Wujek zabitego chłopca z Southeast przekazał policji nazwisko mordercy, które poznał od swoich przyjaciół. Miał jednak nadzieję, że detektywi ustalą tożsamość sprawcy, ale jego samego nie wciągną oficjalnie w śledztwo. W innym przypadku matka ofiary doniosła, że zabójcy pukali do jej drzwi. Dręczyli ją i naśmiewali się z jej tragedii. Mówili, że jeśli powie o tym policji, ją również zabiją.

Fraza „wszyscy wiedzą” często pojawiała się w policyjnych śledztwach. Konkretnie nazwiska przewijały się w GIN, jak nazywali to detektywi, czyli Ghetto Information Network, sieci informacyjnej getta. Lecz nawet gdy do

morderstwa dochodziło w tłumie, na środku ulicy, detektywi nie mogli liczyć na pomoc świadków. Masa ludzi widziała morderstwo, ale nikt nie chciał zeznawać.

Aby temu zaradzić, La Barbera przekonywał swoich detektywów, by myśleli o sobie jako o fachowcach od reklamy. Ich zadaniem była nie dedukcja, lecz sprzedaż. „Musicie sprzedawać lód Eskimosom!”, mawiał. Częścią tego etosu było eleganckie ubranie. „Ludzie mówią: »Oho, myślisz pewnie, że jesteś ideałem« – mówił La Barbera. – I lepiej, żeby tak właśnie było!”. Obok swego biurka postawił tablicę, na której śledził poszczególne sprawy i zostawiał wiadomości. Na samej górze wypisał credo sprzedawców: „ABC – *Always Be Closing*”, zawsze dąż do zamknięcia sprawy.

Detektywi tacy jak Skaggs doskonalili jednak nie tylko umiejętności handlowe. Dobrzy śledczy ze strefy getta przekazywali niezdecydowanym świadkom coś więcej – coś bliskiego niezachwianej wiary w swoją słuszność. Nie przypadkiem najskuteczniejsi detektywi byli osobami pewnymi siebie i budzącymi zaufanie. Ludzie wierzyli, że rzeczywiście poradzą sobie z ich kłopotami.

Historyk James Whitman pisał, że w początkach rozwoju prawa europejskiego przedstawiciele władz państwowych musieli sobie radzić z podobnymi problemami. W tamtych czasach, gdy w społeczeństwach średniowiecznych dominowała „kultura zemsty”, morderstwa często były wynikiem waśni. Ludzie mieszkali głównie w małych osadach i wioskach, wszyscy wiedzieli, kto dopuścił się zbrodni, ale nikt nie chciał mówić o tym w sądzie. Whitman uważa, że wiele współczesnych procedur prawnych takich jak jednomyślny werdykt ławy przysięgłych zrodziło się z potrzeby zachęcenia opornych do współpracy – takie zabiegi miały zapewnić bezpieczeństwo i „komfort moralny” ludziom, którzy nie chcieli zeznawać i obawiali się zemsty<sup>83</sup>.

Teza Whitmana dotyczy europejskiego społeczeństwa średniowiecznego, ale Skaggs i jego koledzy na swój sposób uosabiali ten właśnie komfort moralny. Udawało im się, bo South Central w Los Angeles było współczesną wersją średniowiecznej kultury zemsty.

W dwunastowiecznej wiosce to fama – czyli z łaciny „plotka” – wskazywała sprawcę, nim zrobił to sąd. W Watts funkcję plotki pełniła zwykle GIN. W obu przypadkach państwo musiało oficjalnie potwierdzić to, co wiedzieli już wszyscy. Było to zadanie nie dla Sherlocka Holmesa, lecz dla psychologa – albo księcia.

## Powiadomienie

Pewnego zimowego poranka w 2004 roku John Skaggs usiadł za kierownicą swojego samochodu i wyjechał na zalane słońcem ulice Watts. Miał za zadanie poinformować ojca o śmierci jego syna.

Towarzyszył mu kolejny – zdawałoby się, jeden z niezliczonej rzeszy – detektyw stażysta Mark Arenas, trzydziestoczteroletni policjant, który wcześniej zajmował się gangami i pochodził z Downey. Arenas próbował poznać tajniki nowej pracy i starał się w żaden sposób nie okazywać, że jest amatorem. Właściwie miał dość blade pojęcie o mechanizmach społecznych funkcjonujących w Watts.

– Co za brak odpowiedzialności! – wykrzykiwał z oburzeniem. – Tutaj *akceptuje się przemoc*.

Wcześniej tego samego ranka Skaggs i Arenas byli na miejscu zbrodni. Zamordowano czarnoskórego mężczyznę, kiedy ten prowadził swojego SUV-a. Skaggs zaproponował, że poinformuje o jego śmierci rodzinę. Zabrał ze sobą Arenasa.

– Robiłeś to już kiedyś? – spytał po drodze stażystę.

Podczas powiadomienia wszystko mogło się zdarzyć. Najbliżsi ofiary krzyczeli, upadali, mdleli. Pielęgniarki z okręgowych szpitali przechodziły specjalne szkolenia samoobrony, bo zdarzało się, że krewni poszkodowanych je atakowali. Jeden z kolegów Skaggsa na zawsze zapamiętał dzień, w którym musiał powiadomić rodzinę o śmierci dwudziestopięcioletniego Ronalda Tysona, zastrzelonego w alejce niedaleko Central Avenue w 2003 roku. Kiedy powiedział matce Tysona, że jej syn został zamordowany, ta zwymiotowała.

Powiadamianie o morderstwie niosło ze sobą psychologiczne zagrożenie dla ludzi, którzy się tym zajmowali. Śledcza z biura koronera była

zirytowana, że ludzie najczęściej pytają ją o pracę przy zwłokach, jakby właśnie to było najtrudniejsze.

– To nie krew i trupy są najgorsze. Najgorsza jest rozpacz – mówiła.

Bryan Hubbard, chirurg urazowy z California Hospital, opowiadał, jak się czuje, nawet jeśli wszystko idzie gładko:

– Wychodzę, drzę na całym ciele, z trudem powstrzymuję się od płaczu.

Przez lata nie mógł się uwolnić od pewnego wspomnienia: Przeprowadził matkę, by zobaczyła ciało swojego synka, chłopca zabitego podczas strzelaniny. Przez kilka minut potrzasała jego drobnym ciałem, próbując go obudzić.

Dla Skaggsa zawiadamianie ludzi o śmierci ich bliskich było kolejnym zadaniem wymagającym umiejętności, których nie uczono w akademii policyjnej. Uważał to za ważną część szkolenia młodych detektywów. Arenas czuł się niepewnie, ale jednocześnie chciał zaimponować Skaggsowi. Zdobył się więc na żart, udając, że przekaze tragiczną informację ze swobodą właściwą prawdziwym twardzielom:

– Przykro mi to mówić, ale dostał kulkę w łeb!

W głębi duszy wciąż był facetem z wydziału do walki z gangami. W jego środowisku określenie typu „dostał kulkę w łeb” zostałoby uznane za zabawne. Skaggs zbył je milczeniem, wpatrzony w drogę. Arenas zerknął nań z ukosa, próbował przeprosić, po czym umilkł w połowie zdania. Po chwili Skaggs przerwał krępującą ciszę i zmienił temat.

Minęły trzy lata, odkąd Skaggs trafił do Southeast. Wraz z Barlingiem rozwiązał dziesiątki spraw, współpracując również blisko z La Barberą. W tym czasie właściwie pomagali już prowadzić oddział, pełniąc funkcję nieoficjalnych zastępców La Barbery. Niedobory kadrowe, brak odpowiedniego sprzętu i ograniczona współpraca z laboratoriami wciąż utrudniały pracę detektywów. Fluktuacja kadr nadal utrzymywała się na wysokim poziomie – Arenas był jednym z wielu rekrutów, którzy nie zagrzali długo miejsca w wydziale. Jednak Skaggs był bardziej oddany swojej pracy niż kiedykolwiek dotąd. Podświadomie zdawał sobie sprawę, że to zajęcie go zmieniło, przeorientowało jego poglądy na przestępczość



i działanie wymiaru sprawiedliwości. Wciąż mówił tym samym slangiem co jego koledzy z pracy, jego światopogląd uległ jednak przemianie.

Była to kwestia raczej emocji niż chłodnej analizy – konsekwencja wielu różnych obserwacji, które ukazały w nowym świetle moralny wymiar pracy w wydziale zabójstw, nieobecny w wielu innych działaniach policji. Skaggs wyczuwał teraz, że jego śledztwa dotyczyły głębszej, niż mu się wcześniej wydawało, potrzeby dzielnic zamieszkałych przez czarnych. Ta świadomość zmieniała nastawienie do innych wydarzeń i spostrzeżeń. Arenas oskarżał czarnoskórych mieszkańców o hołdowanie niższym wartościom. Skaggs jednak już dawno doszedł do wniosku, że wielu mieszkańców powiązanych ze sprawami morderstw w Watts to zwykli ludzie, uwięzieni w pułapce bezprawia. Uważał, że za pozorną „akceptacją” przemocy kryją się przymus i zastraszanie. Czasami, aresztując młodego mordercę, myślał, że wszystko mogłoby się ułożyć inaczej, gdyby podejrzany „wychował się cztery przecznice dalej”.

Skaggs wiedział również, że wiele ofiar w żaden sposób nie spowodowało ataków, które ich zabiły. Jego koledzy po fachu twierdzili, że w Watts nie ma prawdziwych ofiar. Po latach, gdy Skaggs opowiadała o licznych sprawach, które prowadził w Southeast, w jego głosie pojawiała się nuta bólu. Równie znaczący był dobór słów: „Wszyscy ci niewinni ludzie!”, mawiał.

Przed laty ta sama świadomość wynikająca ze znajomości miejscowych realiów zniechęciła Wally’ego Tannellego do pracy w RHD, wciąż bowiem miał w uszach frazę „dziecko jakiegoś taty”. Jeszcze wcześniej, powodowany podobnymi pobudkami, ojciec Skaggsa stwierdził, że po pracy w wydziale zabójstw nic już nie ma znaczenia. I właśnie dlatego w ten zimowy dzień Skaggs zareagował na żart Arenasa chłodnym milczeniem. Na moment porzucił szkolenie. Kiedy zatrzymali się pod domem, Skaggs wysiadł pierwszy i podszedł do mężczyzny w eleganckich sznurowanych butach stojącego na werandzie.

Spytał go o nazwisko. Mężczyzna był ojcem, którego szukali. Skaggs od razu powiedział mu, że jego syn został zabity – gdy stali jeszcze razem na

werandzie. Żadnych zbędnych wstępów. Żadnych eufemizmów. Tylko jednoznaczna prawda. Ojciec oparł się ciężko o futrynę drzwi.

– O mój Boże...

Skaggs wszedł za nim do domu. Nieskazitelnie czysty szklany stolik na kawę, czerwony dywan, śnieżnobiała tapicerka. Ojciec, zszokowany, zgiął się wpół, jakby otrzymał potężny cios w brzuch. Spytał jeszcze trzy lub cztery razy:

– Nie żyje? *Nie żyje?*

– Tak, proszę pana – cierpliwie odpowiadał Skaggs.

Liczba morderstw w mieście szybko spadała, jednak w Southeast utrzymywała się na wysokim poziomie. W 2004 roku na tym niewielkim obszarze zabito siedemdziesiąt dwie osoby. Kolejne sześćdziesiąt pięć zamordowano w 2005 roku, a sześćdziesiąt dziewięć w 2006 roku, co w ujęciu procentowym przewyższało osiem–dziesięć razy średnią dla całego kraju. Jak zawsze większość ofiar i zabójców stanowili czarni.

Skaggs i Barling nadal byli partnerami, przez pierwsze dwa lata współpracy rozwiązali dwadzieścia sześć z trzydziestu dwóch spraw, mogli się więc poszczycić osiemdziesięcioprocenową skutecznością. Potem, dzięki rozwiązaniu porzuconych spraw z minionych lat, jeszcze zwiększyli tę skuteczność i utrzymywali ją na wysokim poziomie przez kolejne trzy lata.

Łączyły ich specyficzne relacje. Choć byli bliskimi przyjaciółmi, nieustannie się spierali. Kłócili się o sport, plany na kolację, politykę i każdy ze szczegółów prowadzonych aktualnie spraw – zawsze jednak bez złości. Ich kolegów z komisariatu doprowadzało to do szału. Barling był pedantyczny, Skaggs – skłonny do żartów. Barling wymachiwał rękami i zasypywał rozmówcę dziwnymi określeniami, które wymyślał na poczekaniu. „Zagraniczony” stanowiło połączenie słów „zależny” i „ograniczony”, sformułowanie „uporczywe cykle” odnosiło się do stałych problemów śródmieścia. Skaggs kręcił tylko głową, udając zdumienie. Bawili się tak bez końca.

Takie zachowanie było po części konsekwencją pewnej reguły, którą sami ustanowili: założyli, że każdą ze spraw będzie prowadził tylko jeden

z nich. Dzięki temu nie spierali się o poszczególne śledztwa i nie wchodzili w poważne konflikty. Skaggs stanowił swego rodzaju przeciwwagę dla swego impulsywnego partnera, co nieświadomie wykorzystywał. Miał dzięki temu pewność, że to Barling ściągnie na siebie oburzenie innych, a także wyrazi ich własne oburzenie, on zaś będzie mógł wtedy spokojnie pracować.

Z natury pełen współczucia Barling nie bał się mówić głośno o swoim niezadowoleniu z sytuacji w Watts. Przerażał go Potwór, dręczyło to, co odbierał jako obojętność społeczeństwa i polityczne zaniedbanie, zdumiewała ogromna przewaga czarnych w statystykach przestępczości.

– To albo rasizm całego społeczeństwa, albo coś jest z nimi nie tak, ze wszystkimi czarnymi ludźmi. A w to nie wierzę! – mówił podniesionym głosem. – Uważam, że wszyscy jesteśmy sobie równi, mężczyźni, kobiety i wszystkie rasy! Dlatego nie chcę w to wierzyć.

Skaggs zmuszał Barlinga do porzucania tych jałowych rozważań i do podejmowania konkretnych działań. Jego osobiste poglądy na morderstwa pozostawały w ukryciu i przejawiały się tylko od czasu do czasu w różnych drobiazgach – jak w tym pełnym dezaprobaty milczeniu po żarcie Arenasa. Poza tym wydawał się wolny od wszelkich trosk i smutków. To był klucz do tajemnicy jego wytrwałości.

Nie wzruszała go nawet ponura niedola ulic Watts. Do tego czasu Skaggs spędził już wiele lat wśród narkomanów, prostytutek i zabójców. Mimo to pozostawał nieskalanie przyzwoity. Nie była to moralna sztywność czy wyniosłość. Po prostu miał sprecyzowane poglądy na to, co uważał za część rozsądnego życia, a czasem zaskakiwały go nawet drobne odstępstwa od tego wzorca. Oburzało go niewłaściwe prowadzenie domu. Jeszcze gorsze było w jego oczach spanie do późna. Co do morderstw, to nawet po setce spraw kręcił z niedowierzaniem głową, zdumiony, że ktoś może być na tyle „skretyniały”, żeby zabijać. Dzięki temu zachowywał nie tyle niewinność, ile czystość ducha, która pozwalała mu co wieczór wracać do rodziny bez głębokich urazów psychicznych.

Sal La Barbera nigdy nie porzucił ambicji dotyczących swojego wydziału. Chciał nie tylko należycie wykonywać swoją pracę na stanowisku dowódcy D-3, ale i uczynić z niej wspólny życiowy projekt.

Takie podejście mogło się wydawać nieco wyidealizowane, ale La Barbera dysponował rzadko spotykanym arsenałem umiejętności. Jak powszechnie wiadomo, najlepsi praktycy nie zawsze potrafią skutecznie zarządzać. La Barbera był zarówno doskonałym administratorem, jak i świetnym fachowcem w swej dziedzinie oraz człowiekiem oddanym idei. W jednej chwili zajmował się realizacją jakiegoś ambitnego projektu, a w następnej przechodził do żmudnego porządkowania papierów.

W pracy nie okazywał gniewu, zachowując emocje na różne osobiste dramaty. Podkreślał znaczenie ducha współpracy. Uczył swoich detektywów, by z dumą przemawiali w imieniu ofiar morderstw bez względu na to, kim były te ofiary za życia. Tak wyglądała jego wersja „dziecka jakiegoś taty” Tannellego. W Watts miało to szczególne znaczenie. „Niewinne ofiary”, w konwencjonalnym znaczeniu, były mniejszością. Znacznie częściej do grona ofiar zaliczali się aktywni członkowie gangów, a codzienny język Watts świadczył o tym, że tutejsi mieszkańcy uważali swoją dzielnicę za teren objęty wojną. Policja Los Angeles była więc „armią okupacyjną”. Członkowie gangów nazywali siebie żołnierzami i wojownikami. Na Broadwayu i w Manchester wisiał transparent z nieoficjalną nazwą tego terenu: „Mały Bagdad”, co stanowiło oczywiste nawiązanie do okupowanego Iraku.

W rezultacie ofiary zabójstw w Watts często były również podejrzany: bojownikami prowadzącymi nieustanną wojnę podjazdową. Dzisiejszy kat jutro mógł się stać ofiarą. Detektyw mógł doskonale zdawać sobie sprawę, że ofiara niegdyś była „żołnierzem”, być może nawet wyjątkowo bezwzględny.

„Mordercy są podli”<sup>84</sup>, napisał historyk Monkkenen; ci z Southeast wydawali się wyjątkowo podli. Najgorsi z nich sikali na swoje ofiary albo strzelali umierającym w głowę, gdy ci resztkami sił osłaniali rękami twarz: przestrzelone dłonie były jednym z najczęstszych obrażeń powiązanych z zabójstwami. Zasady kazały jednak traktować morderstwo zabójcy tak

samo jak śmierć dziecka postrzelonego zabłąkaną kulą. „Kiedy trafiają do mnie, wszyscy są niewinnymi aniołkami”, mawiał La Barbera.

Przed wszystkim La Barbera starał się wpoić swoim detektywom przekonanie, że niemal każdą sprawę można rozwiązać. Jego zdaniem mała skuteczność śledczych w strefie getta była czymś skandalicznym. Wracał do tego tematu niemal na każdym spotkaniu ze swoimi pracownikami, a kilka razy dziennie wspominał o nim podczas prywatnych rozmów. Uciekał się do prowokowania swoich detektywów: „Przecież ci kolesie całymi dniami palą trawę, a do tego nie skończyli nawet podstawówki! – powtarzał wielokrotnie, dodając: – Jesteście bystrymi facetami. Na pewno potraficie dojść do tego, co się tam stało!”.

Postawa La Barbery była dla innych wyzwaniem i budziła poczucie lojalności. Skaggs i Barling w pełni się z nim zgadzali. Ich zdaniem przyzwoita skuteczność to co najmniej osiemdziesiąt procent rozwiązanych spraw. Skaggs, jak przystało na perfekcjonistę, jeszcze rozwinął tę ideę. Ukuł pogardliwe określenie dla detektywów, których uważał za miernoty. Nazywał ich czterdziestoprocetowcami.

Zwykle spora część śledztw prowadzonych w South Bureau dotyczyła prostych spraw: samobójstw, przemocy domowej, morderstw dokonanych w obecności policjantów, zbrodni, których sprawców schwytano na gorącym uczynku, i tak dalej. Dzięki dużej liczbie tego rodzaju przypadków wystarczyło rozwiązać zaledwie kilka dodatkowych spraw, by dana jednostka policyjna mogła w oficjalnych raportach odnotować skuteczność na poziomie co najmniej trzydziestu–czterdziestu procent. Biorąc pod uwagę, że właśnie takie wartości dominowały w wielu raportach z najniebezpieczniejszych dzielnic Los Angeles, można uznać, że Skaggs miał kiepskie zdanie o całym systemie. Jak sam powiedział, zbyt często odnosił wrażenie, że detektywi tylko „stwarzają pozory”. Nic nie irytowało go tak bardzo jak niskie standardy zawodowe.

Skaggs i Barling zostali współspiskowcami La Barbery. Pomagali mu opracowywać i wykonywać drobne intrygi. Jedną z nich dotyczyła starych akt morderstw z Southeast – niebieskich segregatorów ze szczegółowymi opisami śledztw.

Zgodnie z wewnętrznymi przepisami wydziału stare akta miały trafiać do zamkniętego, dostępnego tylko dla wybranych archiwum, nawet jeśli opisane w nich sprawy nie zostały rozwiązane. Jednak dla La Barbery żadna sprawa nie była za stara. Po wielu latach spędzonych w wydziale zabójstw wiedział, jak dużo pracy mają detektywi i jak bardzo muszą się spieszyć. Uważał, że „nierozwiązane” sprawy to po prostu niedokończone śledztwa. Czasami wystarczyło zaledwie kilka dni, by się z nimi uporać.

Wiedział też, że wiele spraw łączy się wzajemnych powiązań. W Southeast morderstwa miały w tle skłębioną masę konfliktów społecznych, często wynikały z wcześniejszych morderstw, napaści i sporów. Chęć odwetu przez długie lata rodziła kolejne zbrodnie, synowie mścili swoich pomordowanych ojców. „Wszystko się ze sobą łączy”, tak brzmiała jedna z zasad wyznawanych przez detektywów z Watts. Czasami sięgano do niej kilka razy dziennie. Świadek jednej zbrodni mógł być podejrzanym w innej sprawie – albo bratem czy kuzynem ofiary poprzedniego morderstwa. Akta starych śledztw rzucały światło na te powiązania, więc La Barbera chciał je mieć pod ręką.

La Barbera wciągnął do swojego spisku Skaggsa, Barlinga i kilku innych detektywów. Przejęli stary czerwony barak pozostawiony przez budowlańców na parkingu przy komisariacie. Wysprzątały go i zamontowali w nim metalowe półki z Home Depot. Potem, naruszając wewnętrzne przepisy wydziału, potajemnie przenieśli tam akta starych spraw i tak stworzyli własne archiwum. Potrzebowali trzech lat, by przejrzeć wszystkie, w końcu jednak uporządkowali niebieskie segregatory – dokumenty sześciuset osiemdziesięciu ośmiu spraw, sięgających 1978 roku. Oddzielili sprawy rozwiązane od nierozwiązanych, oznaczając te ostatnie według skali trudności. Gęsto zastawione półki stanowiły swego rodzaju pomnik Potwora. Barling nazwał to miejsce barakiem utraconych dusz.

Tym, co najbardziej pochłaniało La Barberę, było jednak tworzenie tradycji, schedy. Chciał mieć pewność, że wartości, które zaszczerpił w Southeast, będą równie istotne dla następnego pokolenia policjantów.

Coraz ważniejszym zadaniem stawał się werbunek odpowiednich ludzi. La Barberze pomagali w poszukiwaniach Skaggs i Barling. Był to jeden

z nielicznych obowiązków niepowiązanych z właściwą pracą detektywa, którymi Skaggs naprawdę się interesował. Po każdej nieudanej próbie, gdy kandydat okazywał się niewiele wart lub przenosił się do innego wydziału, La Barbera podwajał wysiłki. Dobrze wiedział, czego szuka: następnego-Johna Skaggsa.

W końcu, w 2005 roku, znalazł takiego człowieka.

Sam Marullo miał wtedy trzydzieści cztery lata, pracował w Southeast, gdzie zajmował się walką z gangami, a pochodził z dużej włosko-amerykańskiej rodziny z Mount Morris w stanie Nowy Jork. Był typowym przykładem tego rzadkiego gatunku policjantów, którzy nie mogą usiedzieć na miejscu i których pociąga praca w strefie getta. Choć jego ojciec był prostym robotnikiem, Marullo ukończył prywatną szkołę wyższą Rochester Institute of Technology. Potem studiował prawo na University of Albany, po dwóch latach uznał jednak, że wcale go to nie interesuje, i przerwał naukę.

Był bardzo przystojny. Miał ciemnobrązowe włosy, niebieskie oczy z długimi podkrecanymi rzęsami i masę chłopięcego wdzięku. Miał mnóstwo przydatnych znajomości wśród zwykłych mieszkańców dzielnicy – a tym samym dostęp do ważnych informacji – szczególnie wśród kobiet.

Miał też swoje wady. Był niecierpliwy i odrobinę niedojrzały, nie umiał słuchać. Rekompensował to jednak wielkoduszością. Pracował ciężko, troszczył się o ludzi powierzonych jego opiece i chwalił niemal wszystkich współpracowników. Do tego uwielbiał swoje zajęcie i oddawał się mu z zapalem, który miał na niego niemal destrukcyjny wpływ. Jak twierdzili jego przyjaciele, co najmniej jedno małżeństwo rozpadło się po części właśnie ze względu na jego pracoholizm.

La Barbera widział w Marullu człowieka o niezwykłym i olśniewającym talencie. Ściągnął go na staż do swojego wydziału, podobnie jak kiedyś Skaggsa i Tannellego.

Marullo chciał zabrać ze sobą przyjaciela: Nathana Kouriego, wówczas detektywa zajmującego się gangami.

La Barbera nie był zachwycony. Kouri golił swą przedwcześnie łysiejącą głowę. Jego okrągłe orzechowe oczy patrzyły na świat spod zmarszczonych brwi, jakby wiecznie się nad czymś zastanawiał. Jak to często bywa wśród przyjaciół, Kouri stanowił przeciwieństwo Marulla: od lat żył w zgodnym małżeństwie z ukochaną kobietą, miał dwoje niepełnosprawnych dzieci, był introwertykiem wiecznie pochłoniętym pracą. Uwielbiał czytać i zadawać ludziom pytania. Pochłaniał literaturę faktu i gazety. Ale nie lubił rozmawiać. La Barbera zgodził się go szkolić za namową Marulla.

Doradztwo to ważny element szkolenia policjantów, szczególnie w wydziale zabójstw strefy getta, zupełnie jednak niedoceniany w naszych czasach i zepchnięty głównie do obszaru tradycji ustnej. Istniały specjalne szkoły dla policjantów z wydziałów zabójstw, lecz znaczna część tamtejszego programu nauki nie miała żadnego odniesienia do rzeczywistości strefy getta. Zajęcia skupiały się na pracy z materiałem dowodowym, a nie na przykład na utrzymaniu kontaktu ze świadkiem, który jest narkomanem, czy na uspokajaniu przysięgłych, którym na sądowym parkingu właśnie grożono śmiercią.

Policyjne organizacje i stowarzyszenia również nie były zbyt pomocne. Skaggs i jego koledzy uczestniczyli w corocznej konferencji organizowanej przez California Homicide Investigators Association [Kalifornijskie Stowarzyszenie Śledczych z Wydziałów Zabójstw]. Jednak podczas tych zjazdów rzadko poruszano tematy związane z ich pracą. „Kiedy do twojego miasteczka przyjeżdżają ogólnokrajowe media”, tak brzmiał tytuł typowego seminarium<sup>85</sup>. Z konieczności więc młodzi detektywi uczyli się zawodu od swoich starszych kolegów.

La Barbera przydzielił Marulla do Skaggsa. Skaggs nie był urodzonym nauczycielem. Młodzi detektywi mogli się wiele nauczyć, obserwując jego pracę, ale za bardzo irytowały go wszelkie błędy, by nadawał się na mentora. W przypadku Marulla było jednak inaczej. Skaggs również dostrzegł w tym młodym policjancie talent wart doskonalenia.

Skaggs i Marullo przypadli sobie do gustu, lecz na samym początku Skaggs musiał nieco utemperować towarzyskie zapędy młodego detektywa. Zbyt często zdarzało się, że po powrocie z terenu Marullo szedł do swoich



kumpli z wydziału gangów na pogawędki. Skaggs udzielił mu w końcu stosownej reprymendy. W wydziale zabójstw nie ma czasu na biurowe pogaduszki. Marullo się poprawił i wkrótce dowiódł swojej wartości. Był świetnym mówcą. Podobnie jak Skaggs, miał wielki dar przekonywania.

Marullo pracował też w stylu typowym dla Skaggsa – lubił bezpośrednie działanie, uparte i bezzwłoczne podążanie każdym tropem, drażnienie do samego sedna.

– Przechodź do rzeczy, *od razu do rzeczy* – podsumowywał filozofię swojego mentora. – Czasami masz tylko jedną szansę.

W pracowitych dniach 2005 roku Skaggs i Marullo rozwiązali wszystkie osiem spraw, które im powierzono. Pod koniec sierpnia tego samego roku Marullo miał samodzielnie poprowadzić swoje pierwsze śledztwo.

Charles Williams miał dwadzieścia sześć lat i ze względu na problemy z psychiką korzystał z renty inwalidzkiej. Był czarny i biedny, nigdy w życiu nie pracował. Jego sąsiedzi z gangu Grape Street Crips pozwolili mu nosić fioletowy strój Lakersów, kolor Grape Street.

Od członków gangów wymagano, żeby trochę „przyłożyli się do pracy”. Tych, którzy nie pracowali, określano nieco pogardliwym mianem „hood ornaments”, ozdoby na masce samochodowej. Williams, choć właściwie należał do tej grupy, był traktowany ulgowo.

Williams lubił jeździć rowerem po okolicy. Pewnego dnia stał przed ladą w sklepie rowerowym Watts Cyclery na rogu Sto Dwunastej Ulicy i Wilmington, gdy do wnętrza wtargnął napastnik, który strzelił do niego z małej odległości. Williams osunął się na ziemię i znieruchomiał w kałuży krwi. Atak sprowokowały jego fioletowe ubrania. Podejrzany należał do Fudgetown Mafia, gangu skonfliktowanego z Grape Street. Członkowie Fudgetown wzięli Williamsa za wrogiego żołnierza – albo kogoś, kto mógłby nim być.

Marullo spotkał się z Christine Jackson, ciotką Williamsa, która wychowywała go od wczesnego dzieciństwa. Matka Charlesa zmarła przed laty śmiercią naturalną, ojciec został zamordowany kilofem (sprawy nigdy nie rozwiązano). Jackson martwiła się, że policja nie potraktuje tego

przypadku poważnie. Jej brat, a zarazem wuj Charlesa, również był ofiarą morderstwa – został zaszytyłowany na osiedlu Nickerson Gardens w 1983 roku. Ta sprawa także nie została rozwiązana. Jackson przywitała Marulla cierpkimi słowami. Powiedziała, że ma już dość. Była bliska obłędu z rozpaczy: śmierć Charlesa wydawała się ostatnią kroplą goryczy. Dodała, co się stanie, jeśli policja nie przeprowadzi należyte śledztwa:

– Zrobię, co będzie trzeba. Sama się tym zajmę.

Chcąc dowieść swojej wartości, Marullo zabrał się ostro do pracy. Znalazł kilka tropów, choć kilkakrotnie go okłamano. Jeden ze świadków, członek gangu Fudgetown, powiedział mu, że zna prawdę, ale nie może jej zdradzić: przebywał na zwolnieniu warunkowym i nie mógł opuszczać swojej dzielnicy, a gdyby został informatorem, prawdopodobnie długo by tu nie pożył. Marullo skontaktował się więc z urzędnikami odpowiedzialnymi za reguły zwolnienia warunkowego i zdołał załatwić świadkowi przeprowadzkę do innej dzielnicy. Potem pojechał do jego nowego domu i nakłonił mężczyznę do złożenia zeznań.

Drugi świadek również był członkiem gangu, a zarazem dobrym i przykładnym uczniem – zaskakująco wielu mieszkańców strefy getta prowadziło tego rodzaju podwójne życie. Tamtego dnia jechał samochodem, gdy grupa członków Fudgetown Mafia zatrzymała się przed sklepem rowerowym. Starszy członek gangu wręczył mu pistolet.

– Idź tam i zastrzel tego gościa z Grape Street – polecił.

Ale młodszy gangster nie chciał tego zrobić, był przerażony. Jego starszy kolega nalegał. Młodziak powiedział, że nie wysiądzie z samochodu. W końcu prowodyr, zde gustowany, odebrał mu broń i poszedł do sklepu, w którym czekał nieświadom zagrożenia Williams w fioletowym stroju Lakersów.

Młody gangster dopiero po kilku rozmowach ujawnił całą prawdę. Najpierw kłamał, potem odwoływał zeznania. W końcu wyznał Marullovi, że się boi. Bał się zabójcy, choć teoretycznie byli przyjaciółmi, kumplami z sąsiedztwa. Tak zwana gangsterska lojalność często wygląda w taki właśnie sposób: faceci znoszą się nawzajem, żeby jakoś przeżyć, podobnie jak maltretowana kobieta znosi swojego oprawcę. Marullo starał się

dodawać mu otuchy, wykorzystując swój naturalny chłopięcy wdzięk. W końcu przekonał mężczyznę, by pomimo obaw złożył zeznania.

La Barbera triumfował. Nadał Marullowi przezwisko. Sięgając do gangsterskiego slangu, co policjanci robią z wielkim upodobaniem, nazwał go Li'l Skaggs, Mały Skaggs. La Barbera czuł, że jest coraz bliższy stworzenia zespołu świetnych detektywów, grupy, która w końcu zaprowadzi porządek w południowym Los Angeles.

## CZĘŚĆ II

Sprawa Bryanta Tennellego

## Syn miasta

To prawda, którą muszą przyjąć wszyscy rodzice: każde dziecko zachowuje się inaczej, bez względu na to, jak bardzo staramy się traktować je w taki sam sposób. Wally i Yadira Tennelle nie byli pierwszymi – i z pewnością nie ostatnimi – rodzicami, których zaskoczyły wybory ich najmłodszego potomka.

Zarówno DeeDee, jak i Wally junior świetnie radzili sobie w szkole. DeeDee uwielbiała czytać. Wally junior niespodziewanie zwrócił się ku karierze naukowej, której poświęcił się całkowicie, podjąwszy studia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine. Bryant jednak był rozbrykany i ruchliwy, nie umiał się skupić na nauce. Źle zachowywał się w szkole. Wygłupiał się i robił różne psikusy, na przykład kiedyś zakradł się do biura zakonnic z butelką cuchnącej cieczy w sprayu. Nie pamiętał, co pięć minut wcześniej mówili mu rodzice.

Psycholog powiedział im, że Bryant cierpi na ADHD, zespół nadpobudliwości psychoruchowej – w postaci znacznie ostrzejszej niż ten, który zdaniem DeeDee dotykał całej ich rodziny – i że powinni podawać mu leki. Wally Tennelle był temu przeciwny: w pracy widywał wielu narkomanów, którzy w dzieciństwie leczyli się na podobne zaburzenia, i wcale im to nie pomogło. Wydawał wraz z Yadirą wiele tysięcy dolarów na prywatne zajęcia dla Bryanta. Wysyłał go do firm takich jak Sylvan czy Learning Tree. Kiedyś podliczył te wydatki i uświadomił sobie, że wynoszą mniej więcej tyle samo, ile płaci za szkołę prywatną. Rok po roku zmagali się z tym problemem, ale sytuacja wcale się nie zmieniała. Bryant potrzebował kilku godzin, by wykonać najprostszą pracę domową.

Miał wiele zdolności, tyle że nie naukowych. Uwielbiał zwierzęta. Opiekował się różnymi zwierzakami i nigdy mu się to nie nudziło. Miał

akwarium pełne egzotycznych ryb.

Miał też duże umiejętności manualne. Wally junior nie mógł się nadziwić, że jego brat potrafi zbudować niemal wszystko. Gdy skradziono mu rower, Bryant zainteresował się trójkołowcami wzorowanymi na chopperach. Naprawił stary rower tego typu i zamontował na nim kolumnę głośnikową. Samodzielnie projektował i szył ubrania. Wygrał szkolny konkurs kulinarny. Potrafił obić tapicerką fotele samochodowe. Oddawał się różnym hobby, które jego brat uważał za dziwaczne i urocze zarazem, szczególnie w przypadku kolorowego dzieciaka z South Central.

Oczywiście gdy Bryant nieco podrósł, zaczął się interesować także rapem, ładnymi ubraniami i tak dalej. Nie porzucił jednak swoich dziecięcych pasji, lecz starał się je rozwijać. Uczynił z gotowania dochodowy interes, piekąc w domu ciastka i sprzedając je w szkole. Wraz z matką przygotował doskonałej jakości kostium Kota Prota, przy czym sam zaprojektował i wykonał z filcu wielki cylinder. Zajął się też hodowlą kur, udało mu się wyhodować „piękne koguty”, jak przyznał jego ojciec, które nie dawały spać rodzinie Bryanta i doprowadzały do szaleństwa sąsiadów. Wziąwszy sobie do serca narzekania matki na jego niewyszukany gust muzyczny, zaskoczył ją i przygotował własne składanki starych przebojów w jej guście. I podobnie jak ojciec był doskonale zorganizowany – znacznie lepiej niż starszy brat, któremu Yadira wciąż musiała przypominać o sprzątaniu pokoju.

Szkoła jednak wciąż była źródłem udręki zarówno dla Bryanta, jak i dla jego rodziców. DeeDee i Wally junior szli na studia. DeeDee doskonale radziła sobie z liczbami i rachunkami, została więc księgową. Wally junior z kolei miał świetne pióro – spędził semestr w Anglii, studiując literaturę brytyjską. Ale Bryant? Wally i Yadira mieli tylko nadzieję, że zdołają jakoś przepchać go przez szkołę, lecz nawet ten skromny cel wydawał się im ambitny. Mimo zagrożeń, jakie wiązały się z wyjazdami na misje do Afganistanu i Iraku, Wally Tennelle miał cichą nadzieję, że Bryant robi karierę w wojsku.

Nie licząc problemów z nauką, Bryant był „kochanym chłopakiem”, jak mawiał jego ojciec. Pomimo potrzeby ciągłego ruchu zawsze był spokojny

i zrelaksowany. Był też pogodny, nie żywił do nikogo urazy. Gdy rodzice gniewali się na niego, potrafił ich szybko rozbroić: ich najmłodszy dzieciak, serdeczny i wrażliwy, zawsze chętnie im towarzyszył, chciał pomagać matce w kuchni albo ojcu w warsztacie, być w przyjaznych stosunkach.

Ojca najbardziej poruszało to, że Bryant nieustannie próbował, nigdy się nie poddawał, nigdy nie zniechęcał się kolejnymi porażkami. Cierpliwie znosił długie lata frustrującej nauki szkolnej, do której w ogóle się nie nadawał – lata zmagania z problemami matematycznymi, które tylko mąciły mu w głowie, i wpatrywania się w podręczniki, które wydawały mu się kompletnie niezrozumiałe. Rok po roku próbował, z tym samym mizernym skutkiem, przedzierał się przez gąszcz szkolnych obowiązków, korzystając z pieniędzy, które rodzice wydawali na jego naukę, wciąż odstawał od pozostałych, wciąż nie mógł sobie poradzić, a jednak „nigdy się nie skarżył”, jak mówiła z podziwem jego matka.

– Chciał, żebyśmy byli z niego zadowoleni.

W czasach, gdy zajmował się nauczaniem, brat Jim Reiter z Saint Bernard High School w Playa del Rey odkrył, że sympatię i przychyłność nauczycieli niekoniecznie zdobywa się dzięki doskonałym ocenom. Chodziło raczej o charakter – połączenie szczerego wysiłku, ciekawości i dobroci. Pomimo problemów z nauką Bryant Tennelle miał te właśnie cechy.

– Należał do tego typu uczniów, którym chce się pomagać na wszelkie możliwe sposoby – mówił Reiter, ochotniczo pełniący również funkcję policyjnego kapelana.

Kiedy poznał Bryanta w szkole średniej, zauważył, jak trudno mu się skupić na nauce. Bryant nie sprawiał już wtedy problemów wychowawczych. Był raczej typem introspektywnego słuchacza, zdawał sobie też sprawę, jak wiele wysiłku wkładają w jego wykształcenie rodzice. Choć nauka szkolna była dla niego źródłem frustracji, „nie buntował się”, jak wspominał Reiter.

– Robił wszystko, co w jego mocy, by rodzice byli z niego dumni.

Reiter, najpierw jako jego nauczyciel, a potem jako szkolny psycholog, zachęcał go do dalszych wysiłków. W końcu po wielu latach Wally i Yadira ulegli prośbom Bryanta i pozwolili mu brać udział w zajęciach sportowych, na co wcześniej nie godzili się ze względu na jego wyniki w nauce. W przedostatniej klasie Bryant dołączył do szkolnej drużyny futbolu amerykańskiego. Występował w szkolnym teatrze i grupie tanecznej – był jednym z niewielu chłopców, którzy uczestniczyli w dużym programie tanecznym w szkole – korzystał również z innych zajęć pozalekcyjnych. Reiter wiedział, że Bryant wbrew regulaminowi sprzedaje w szkole ciastka swojego wypieku, lecz przymykał na to oko.

Musiała istnieć jakaś droga rozwoju, która pozwoliłaby Bryantowi zaistnieć i odnieść sukces w świecie tak nieprzychylnym ludziom o uzdolnieniach manualnych. Bryant był miły i autentyczny, cieszył się powszechną sympatią. Jego nauczyciele z Saint Bernard High School, podobnie jak jego rodzice i DeeDee, ciągle szukali dlań jakichś ciekawych alternatyw. Reiter i kilku innych zastanawiali się, czy nie posłać go do szkoły kucharskiej.

Do tego czasu Bryant wyszczuplał i przerósł Wally'ego juniora. Jego miodowobrazowa skóra i lśniące włosy sprawiały, że cieszył się dużym zainteresowaniem dziewczyn, a poczucie humoru i przyjazne podejście do świata zjednywały mu wielu przyjaciół wśród chłopców. Wally junior uważał, że brat nie jest dość dojrzały jak na swój wiek. Bryant wciąż uwielbiał *Gwiezdne wojny* i krążowniki z klocków lego. W jego pokoju ciągle zalegały pluszowe zwierzątka, wśród nich ulubiony kurczak, podobny do tych, które hodował. Ojciec nadal wiązał jego przyszłość z piechotą morską, ale Bryanta interesowało co innego. Swojej babci opowiadał o zamiłowaniu do ubrań, a matce o pasji do mechaniki. Ukończył kurs renowacji wnętrza samochodowych i świetnie sobie z tym radził. Był już w tym wieku, że mógł samodzielnie prowadzić auto.

Dzięki prawu jazdy pracował na godziny w kilku różnych miejscach. Wally Tennelle wkrótce zrozumiał, że jego najmłodszy syn najchętniej pracowałby bez przerwy. Bryant dostał pracę w barze kanapkowym Togo, a potem w Petco i Jamba Juice. Gdy pojawiały się korzystniejsze



propozycje, przenosił się gdzie indziej: do Quiznos, Marie Callender's, Big Five. Wciąż był dzieciakiem ze szkoły średniej. Jednak na tych stanowiskach, na których liczyły się nie zdolności naukowe, lecz energia, pracowitość i dobre chęci, był w swoim żywiole. Jego entuzjazm i pilność cieszyły rodziców, którzy wprowadzili nadal chcieli, by ukończył szkołę, ale byli zadowoleni, że w końcu w czymś się wyróżnia.

– Chciał być taki jak ja – mówił Wally Tennelle. – Ciągłe w terenie. Ciągłe w pracy.

W ostatniej klasie Bryant oblał ekonomię. Zaliczenie tych zajęć było warunkiem ukończenia szkoły, więc chłopiec nie mógł na razie otrzymać dyplomu, na co tak bardzo liczyli jego rodzice. Do akcji wkroczył wtedy Reiter; Yadira i Wally byli gotowi próbować wszystkiego. Zapisali Bryanta na zajęcia w El Camino College, by nadrobić brakujące punkty. Kurs okazał się jednak za trudny dla Bryanta.

W głębi duszy Wally Tennelle martwił się o bezpieczeństwo swojego syna. Mylili się ci z jego kolegów po fachu, którzy uważali, że Tennelle nie zdaje sobie sprawy z zagrożeń związanych z mieszkaniem na terenie podległym komisariatowi przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Tennelle dobrze znał statystyki i wiedział, co ryzykuje, lepiej od większości policjantów. Zawsze miał to na uwadze. Ale wiedział też coś, czego nie wiedziała większość ludzi – że młodzi czarni mężczyźni są zagrożeni bardziej niż inni członkowie społeczeństwa także poza Los Angeles. Hrabstwo San Bernardino było jednym z najpopularniejszych miejsc, do których wyprowadzały się czarne rodziny, by chronić swych synów przed przestępczością. W pierwszych pięciu latach nowego tysiąclecia odsetek zabójstw wśród młodych czarnych mężczyzn<sup>86</sup> rzeczywiście był mniejszy niż w Los Angeles, ale i tak co najmniej dwadzieścia razy większy niż średnia dla całego kraju, a liczba morderstw nastolatków rosła w zastraszającym tempie. Tennelle dysponował tylko wyrywkowymi danymi, ale dobrze rozumiał ogólną sytuację.

– Ileż to razy słyszałem: „Przeniosłem swojego syna do San Bernardino i tam go zabili”? – mówił. – Może więc lepiej zostać tutaj?

Tennelle wiele razy pouczał obu swoich synów – mówił im, jak łatwo mogą zostać wzięci za kogoś innego i trafić w środek strzelaniny między gangsterami. „Skąd jesteś?” – tak brzmiały ostatnie słowa, które słyszało wiele ofiar morderstw w Los Angeles. Wally Tennelle wiedział, że w przypadku czarnych lub Latynosów w wieku piętnaście–dwadzieścia pięć lat nie istniała prawidłowa odpowiedź. Uczył swych synów, jak powinni się zachowywać, karmił ich za wszystkie błędy, które mogły wpłynąć na ich bezpieczeństwo. Bryant jednak, w odróżnieniu od swojego starszego brata, był nieustraszony. Tennelle nigdy nie łączył tej cechy z własnym charakterem, ale tak samo jak on Bryant po prostu nie zamierzał się poddać strachowi. Robił to, co chciał, chodził tam, dokąd chciał, wszędzie traktował ludzi przyjaźnie i bez uprzedzeń. To wszystko napełniało jego ojca strachem. Gdy Wally jeździł po mieście swoim służbowym autem, sprawdzał, co dzieje się z Bryantem. Pewnego razu natknął się na niego w środku nocy na skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Halldale.

– Bryant, chcę, żebyś za godzinę był w domu – powiedział mu wtedy.

Chłopak wrócił o wyznaczonej godzinie. Zawsze był taki – nikomu nie chciał sprawiać zawodu, a mimo to przysparzał zmartwień.

Nie tylko Wally martwił się o bezpieczeństwo Bryanta. Wally junior żył wystarczająco długo, by doświadczyć Grubych Lat w South Central, tak jak mogli tego doświadczyć tylko młodzi czarni mężczyźni. Dzielnica nie była aż tak zła i przerażająca, jak głosiły plotki. Jednak gdy Wally junior miał mniej więcej siedem lat i bawił się na zewnątrz, widział strzelaninę na pobliskim skrzyżowaniu. Innym razem na ulicy odbywała się impreza – w pobliżu przechadzało się mnóstwo członków gangu Crips z niebieskimi opaskami na głowach. Kilkakrotnie pytali Wally’ego juniora, skąd jest. Po kilku latach chłopak opracował strategię postępowania w takiej sytuacji. „Jestem znikąd. Nie biję się”, odpowiadał i szedł dalej. Czasami ten sam gangster zaczepiał go dwukrotnie w ciągu jednego dnia. „Nie pamiętasz, że przed chwilą mnie o to pytałeś?”, irytował się wtedy Wally junior. Takie sytuacje nie zdarzały się jednak codziennie. Oczywiście ulice w jego dzielnicy mogły być niebezpieczne, choćby ta melina na rogu. Jednak mieszkało tu wielu ciężko pracujących, przyjaznych ludzi, rodzin

podobnych do ich rodziny, i zwykle dość łatwo przychodziło im trzymać się z dala od niebieskich opasek.

Znacznie później Wally junior zastanawiał się, jaki wpływ miał na jego brata pokaźny spadek przestępczości w Los Angeles. Był zaledwie o pięć lat starszy od Bryanta, lecz te pięć lat umiejscawiało go w innej strefie strachu. Wally junior i jego przyjaciele dorastali w tym stosunkowo krótkim okresie, gdy członkowie gangów z South Central otwarcie nosili swoje barwy – z tylnych kieszeni ich spodni wystawały niebieskie, czerwone lub pomarańczowe bandany – co później stało się rzadkością. Wally junior i jego przyjaciele znali zasady. Instynktownie sprawdzali, co się dzieje za ich plecami, przyglądali się uważnie mijanym samochodom i wzmagali czujność, gdy któryś z nich zaczynał cofać albo przejechał obok nich po raz drugi. Wiedzieli, których ulic unikać i jakich ubrań nie nosić.

Ale Bryant był dzieckiem bezpieczniejszego Los Angeles, nie przeszedł przez szkołę życia na ulicach kontrolowanych przez gangi.

Wally junior postrzegał to jako przedłużenie jego dziecięcej niewinności. Czasami próbował rozmawiać z Bryantem o tym, jak powinien się ubierać. Zauważył, jak beztrzesko zachowuje się jego brat, że jeździ na rowerze, słuchając jednocześnie muzyki. Jednak Bryant nie widział w tych regułach większego sensu. Bywał nawet na targowisku Slauson Swap Meet, gdzie regularnie wzywano policjantów z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej. Ojciec był na niego zły – i zmartwiony. Pewnego dnia dostrzegł siniaka na twarzy Bryanta i zastanawiał się, czy to ślad po bójce.

Rodzice tak starannie chronili i kontrolowali Bryanta, że chłopiec znał tylko kilkoro dzieciaków z okolicy. Jednak i to zaczęło się zmieniać, w miarę jak dorastał.

Joshua Henry chodził do szkoły średniej w Crenshaw. Poznał Bryanta, gdy ten przejeżdżał obok na rowerze podczas jednej ze swych wypraw biznesowych, sprzedając ciastka i koszulki domowej roboty. Łączyły ich wspólne upodobania muzyczne i taneczne, obaj uwielbiali też składać rowery. Pracowali przy nich razem, a potem jeździli po okolicy.

Josh uwielbiał Bryanta za jego poczucie humoru i pogodę ducha, ale kręcił nosem na te elementy jego życia, które uważał za elitarne i ekscentryczne – naukę w prywatnej szkole czy ukochaną kaczkę hodowaną przez Bryanta, gdy ten był już wyrośniętym nastolatkiem. Josh nie należał do żadnego gangu, ale znał ulice znacznie lepiej niż Bryant. Kiedy miał trzynaście lat i chodził do Audubon Middle School, po przejściu przez ulicę nagle stanął twarzą w twarz z kilkoma uzbrojonymi mężczyznami. Gdy rozpoczęła się strzelanina, wszyscy rzucili się do ucieczki i wsiedli do przejeżdżającego obok autobusu. Josh spojrzał wtedy w dół i zobaczył dziurę w swojej koszuli. Kula przebiła ją na wylot, nawet go nie dotknąwszy. Zrobiło mu się wtedy słabo ze strachu.

Innym razem, gdy był już starszy, jechał z przyjacielem samochodem i zatrzymał się w alei Van Ness. Otoczyła ich grupa mężczyzn, którzy próbowali otworzyć drzwi auta. Josh i jego kumpel natychmiast odjechali, ale w karoserię uderzył pocisk z pistoletu, a Josh znów poczuł ten obezwładniający strach. Pomyślał, że w filmach strzelaniny wydają się ekscytujące, ale w realnym życiu wcale takie nie są.

Josh uważał, że Bryant ma „nierówno pod sufitem”, skoro w ogóle nie boi się chodzić po dzielnicy. On też próbował nauczyć przyjaciela niepisanych zasad. Powtarzał, by trzymał się z dala od Western.

– I uważaj na siebie, gdziekolwiek jesteś.

Gdy Bryant lekceważył te przestrogi, Josh próbował nauczyć go rozumu. Widząc przyjaciela idącego ulicą – „z opuszczoną głową!”, dziwił się później – podjeżdżał doń znienacka samochodem lub rowerem. „Widzisz?! – wołał wtedy. – Przyłapałem cię!” Josh nie mógł uwierzyć w naiwność Bryanta.

– On po prostu nie był przystosowany do tego środowiska – mówił. – Rodzice dobrze go wychowali.

Mimo to Bryant mógł doświadczyć na własnej skórze, jak wygląda życie przeciętnego mieszkańca jego dzielnicy. Pewnego razu zostali zatrzymani przez policję, gdy jeździli rowerami podczas parady Kingdom Day organizowanej dorocznie na cześć Martina Luthera Kinga (tego dnia przypadały też urodziny Wally’ego juniora). Josh wdał się w pyskówkę

z policjantem, a Bryant próbował ratować sytuację. Powiedział funkcjonariuszowi, że jego ojciec jest detektywem, starał się go udobruchać, rozmawiał z nim cierpliwie i z godnością. Josh podziwiał olimpijski spokój swego przyjaciela, bo sam nie umiał zapanować nad wściekłością. Dotąd nie znał Bryanta od tej strony. Niestety policjant nie dał się przekonać. Josh dostał mandat za blokowanie ulicy, który później zamienił się w grzywnę wysokości sześciuset dolarów.

Bryant wszedł w ten okres dorastania, gdy rodzicom nie pozostaje nic innego, jak siła sugestii i nadzieja. Przechodzą przez to wszyscy rodzice, ale nie wszyscy muszą drzeć przed śmiertelnymi zagrożeniami, jakie czyhają na młodych czarnych mężczyzn w południowym Los Angeles.

Tej jesieni Bryant skończył osiemnaście lat. W obliczu prawa był już dorosły. Pewnego dnia wrócił do domu z kolczykiem w uchu.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała Yadira. Wiedziała, że jej mąż będzie wściekły.

Początkowo Bryant odwracał głowę, pokazując tylko jeden profil. W końcu jednak Wally zobaczył go z drugiej strony i krzyknął:

– A co ty masz w uchu, do cholery?!

Wkrótce Bryant przyozdobił kolczykiem także drugie ucho.

W ich domu coraz częściej pojawiały się dziewczyny. Nie wszystkie przypadły do gustu rodzinie Bryanta. DeeDee, starsza od niego o osiem lat, nie bała się otwarcie go krytykować. „Podciągnij spodnie!”, warczała. Bryant nosił je jeszcze niżej niż Wally junior. Ubierał się w stylu hiphopowym, co martwiło jego siostrę.

Pod koniec roku Bryanta zatrzymano za przekroczenie prędkości. Zdarzało mu się to już wcześniej, ale tym razem kara była surowsza: zawieszono mu prawo jazdy. Został więc właściwie uziemiony. Nadal chodził do szkoły. Z własnej inicjatywy zgłosił się do Reitera z prośbą o pomoc po nieudanym kursie w El Camino. Teraz próbował zdobyć dyplom dzięki państwowemu programowi dokształcania dla dorosłych uczniów. Nadal też zarabiał, a do pracy dojeżdżał autobusem lub prosił matkę, by go podwiozła. Jednak znacznie częściej niż dotychczas siedział

w domu, zbyt dorosły, by chodzić na pasku rodziców, i skazany na towarzystwo rówieśników z najbliższej okolicy.

Do tej pory Bryant miał bardzo niewielu znajomych wśród młodych ludzi ze swojej dzielnicy. Był to jeden ze zdumiewających szczegółów jego życia – choć zgodnie z życzeniem ojca przez całe życie mieszkał w tym samym domu, nie znał swoich sąsiadów. Wally i Yadira ograniczali jego życie towarzyskie do znajomych ze szkoły i dzieci z rodzin, którym ufali. Bryant żył więc właściwie pod kloszem.

Teraz jednak mógł się poruszać tylko na piechotę albo na rowerze. Niedaleko, w nędznym wynajętym domu, mieszkała rodzina powiązana z gangami. Starsi członkowie tej rodziny byli mocniej zaangażowani w działalność przestępczą, młodszy Christopher Wilson, choć sam nie należał do gangu, ze względu na swoje relacje rodzinne musiał utrzymywać przyjazne stosunki z 8-Trey Gangster Crips. Walter Lee Bridges był znajomym Wilsona. Wraz z Joshem Henrym i kilkoma innymi chłopakami tworzyli luźną grupę „stowarzyszonych” dzieciaków, jak nazwał ich potem Josh. Młodzi mężczyźni z South Central korzystali z policyjnego żargonu równie chętnie, jak policjanci z ich slangu: określenie „stowarzyszony” odnosiło się do młodych ludzi, którzy niekoniecznie brali udział w działalności przestępczej, ale chcieli lub musieli przyjaźnić się z gangami. Żaden z przyjaciół Josha nie był „prawdziwym” gangsterem. Wszyscy jednak od czasu do czasu wdawali się w bójki, a do niektórych strzelano. Zнали też niegdyś ludzi, którzy zginęli z rąk wrogiego gangu. Przestrzegali niepisanych zasad, które kazały im się chronić nawzajem w razie potrzeby.

Spędzali razem czas, naprawiali rowery, palili trawę i kombinowali, co by tu zrobić, żeby uchodzić za fajnych kolesi i podrywać dziewczyny. Wielu białych nastolatków z przedmieść spędzało czas w taki sam sposób. Kiedy później pytano, dlaczego Bryant zaczął nosić czapkę baseballową z logo drużyny Houston Astros – tajnym symbolem gangu 8-Trey Hoover Criminals – Josh zareagował tak, jakby odpowiedź była oczywista. Z tego samego powodu, dla którego wszyscy nosili podobne rzeczy: „Żeby podrywać dziewczyny!”.

Tej wiosny Bryant, Chris, Walter i Josh zaczęli się spotykać regularnie. Później ta grupa znajomych powiększyła się o dziewczynę Chrisa i jej ładną kuzynkę Arielle Walker z tej samej ulicy. Arielle miała czarne oczy i cerę o rdzawocynamonowym odcieniu. Jej ojciec odsiadywał wyrok za morderstwo.

Bryant Tennelle wydawał się swoim nowym znajomym człowiekiem z jakiegoś odległego, egzotycznego kraju. Był zdumiewająco naiwny. Nigdy nie pił alkoholu, nie bił się, nic nie wiedział o gangach. Nie umiał się nawet całować z dziewczynami. Miał prawdziwy dom, porządną rodzinę i groźnego ojca policjanta, który przechadzał się po swoim podwórku, paląc cygara. Poza tym nie tylko pracował, lecz także był *punktualny*, czego nie mógł o sobie powiedzieć żaden z pozostałych członków grupy. Bryant włączył się z nimi po dzielnicy, ale gdy zbliżała się jego zmiana, zawsze szedł do pracy. Lubili go, mówili do niego po nazwisku, nie wiedzieli jednak, co mają myśleć o nim, o jego ukochanych kaczkach i kurczakach, o wrażliwej, łagodnej naturze. Nie był agresywny. Nie był głośny. Unikał konfliktów albo starał się je łagodzić.

Ta ostatnia cecha była dla jego znajomych najbardziej niezwykła. Nikt nie doświadcza bezprawnej przemocy równie boleśnie, jak czarni mężczyźni. Wyraźne utykanie, sugerujące, że ma się już za sobą niejedną uliczną walkę, agresywne wrzaski, gniewne przewracanie oczami – tego rodzaju zachowania, powszechne wśród mężczyzn ze strefy getta, miały odstraszać potencjalnych napastników, uprzedzać ich atak. Okazywanie słabości było niebezpieczne. Wielu mężczyzn opowiadało, że od dzieciństwa im grożono, w drodze do szkoły okradano ich z pieniędzy na lunch, bito za plecaki i buty, nieustannie wyzywano do walki. Najdrobniejszych chłopców dręczono, największych wystawiano na próbę. Takie życie było frustrujące i wyczerpujące. Wielu czarnych mężczyzn dobrze poznało to uczucie, którego doświadcza na pewnym etapie życia większość chłopców świadomych, że po szkole czeka na nich silniejszy dręczyciel. Jednak w przypadku czarnych to doznanie sięgało w dorosłość, kiedy groziło im już nie tylko pobicie, ale i śmierć. Stres rodził przygnębienie i głęboki smutek. W dzielnicy komisariatu przy

Siedemdziesiątej Siódmej wielu mężczyzn mówiło o samobójstwie. Inni byli zrezygnowani i fatalistycznie nastawieni do życia. W głębi duszy wielu czarnoskórych mężczyzn wcale nie chciało walczyć. Starali się unikać konfliktów, pozwali na twardzieli, by zniechęcić potencjalnych agresorów. Każdym gestem dawali innym do zrozumienia, by z nimi nie zadzierali. Ciągłe podtrzymywanie takiego wizerunku było męczące, ale dawało też większe poczucie bezpieczeństwa.

Josh, Walter i Chris chcieli zrobić z Bryanta twardziela. Uderzali go na żarty, próbując sprowokować do kontrataku. Starali się nauczyć go zasad życia na ulicy. Bryant był jednak zbyt łagodny, za dobrze wychowany.

– Był na zupełnie innym poziomie niż my – twierdził Chris, chcąc przez to powiedzieć, że Bryant był ponad nimi.

Arielle zupełnie nie знаła obyczajów klasy średniej, dziwiło ją nawet to, że Bryant codziennie wstaje wcześniej rano. Nie robił tego nikt inny z grona jej znajomych.

– To bardzo nas zmieniło jako grupę – wspominała Arielle. – Nie znaliśmy nikogo takiego.

Wkrótce Bryant i Arielle zostali parą.

Rodzina Bryanta była mniej zachwycona jego nowymi znajomymi. DeeDee nie kryła irytacji, gdy jej brat „szlajał się” po mieście. Uważała Arielle za „dresiarę”, a resztę grupy za „szemrane towarzystwo”. Martwiła się. Już dawno zauważyła, że Bryant jest jak gąbka – chłonie wszystko i łatwo ulega wpływom. „Jeśli nie weźmie się w garść, doprowadzi rodziców do szaleństwa”, myślała. Zaczęła szukać dla niego pracy, przeglądała ogłoszenia w nadziei, że znajdzie coś bardziej obiecującego niż dorywcze zajęcia na godziny, na których zarabiał.

Tymczasem Wally Tennelle zdwoił czujność. W godzinach pracy częściej jeździł w okolice odwiedzane przez Bryanta, by śledzić jego poczynania. Obserwował, jak syn się ubiera i jak się zachowuje, przyglądał się bacznie jego znajomym. Bryant był już zbyt dorosły, by rodzice mogli mu dyktować, z kim może się spotykać, ale ojciec i tak nieustannie miał go na oku. Wyczuwał niepokojącą aurę wokół Chrisa Wilsona i Waltera Lee Bridgesa. Ale widział również, że nie są to prawdziwi gangsterzy.



Rozpoznawał w nich dobrze mu znany spokojniejszy typ „stowarzyszonych” dzieciaków. Obaj młodzieńcy byli inteligentni i sympatyczni – i bez wątpienia byli dobrymi ludźmi. Nie ich wina, że urodzili się w takim, a nie innym środowisku. Tennelle wiedział, że w ich towarzystwie Bryant spędza czas głównie na składaniu i reperowaniu rowerów. Wiedział też, jak ważne jest dla niego to hobby. Gdy wprost spytał syna o tę znajomość, Bryant zapewnił go, że zależy mu właśnie na majsterkowaniu, a nie na zabawie w gangstera.

Yadira również martwiła się o swoje najmłodsze dziecko, nie miała jednak pojęcia, jak bardzo niepokoi się o jego bezpieczeństwo Wally. Ojciec Bryanta wstawał o drugiej w nocy, by sprawdzić, czy syn wrócił już do domu. Był chory ze strachu za każdym razem, gdy Bryant wychodził do miasta. Wciąż wypytywał go, gdzie chodzi i z kim się spotyka. Wciąż przypominał mu o starym przysłowiu:

– Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one. Wkrótce ludzie będą cię brać za gangstera.

Mimo tych napięć byli sobie bardzo bliscy i często pracowali razem w domu lub ogrodzie.

Bryant brał prysznic w łazience przy pokoju swoich rodziców, by nie bałaganić w głównej łazience, przeznaczonej dla gości. Dzięki temu Wally mógł obserwować go ukradkiem. Pewnego razu dostrzegł na odsłoniętych plecach Bryanta to, czego najbardziej się obawiał: nowy tatuaż. Nie był to jednak żaden ze znanych mu groźnych symboli, ani też nazwa żadnego gangu. Zobaczył logo miasta, ozdobny napis „Los Angeles” ze skrzydłami. Wally otwarcie spytał o to syna. Wywiązała się kłótnia podobna do tej o kolczyk w uchu. Tennelle musiał jednak pogodzić się z tym, że jego najmłodszy syn nie jest już dzieckiem.

– Nic nie możesz z tym zrobić – powiedział później. Nie miał prawa domagać się od Bryanta, by nosił inne ubrania lub spotykał się z inną dziewczyną. – Ma osiemnaście lat. Nie możesz go związać. I nie możesz wyrzucić go z domu.

Jednocześnie Wally Tennelle był na tyle uważnym obserwatorem, by zrozumieć, że jego syn nie jest podobny do gangsterów, z którymi on sam

od lat stykał się w pracy. Bryant miał pracę i o nią dbał. Wstawał wcześnie, ciężko pracował, nigdy się nie spóźniał. Pilnie się uczył, by zdobyć upragniony dyplom. Przede wszystkim jednak wciąż był tym „dobrym chłopcem”, na jakiego wychowali go rodzice. Jego zachowanie i podejście do życia się nie zmieniło. Nigdy nie bywał ponury ani opryskliwy, wciąż odnosił się do rodziców z życzliwością i był im posłuszny nawet wtedy, gdy nie musiał. Okazywał miłość matce i oddawał się wraz z ojcem niewinnym hobby takim jak akwarystyka czy hodowla kogutów, choć ze względu na skargi sąsiadów w końcu musiał się pozbyć hałaśliwych ptaków. Wally Tennelle zdawał sobie sprawę, że nie są to zachowania typowe dla młodych gangsterów. Kiedy robił Bryantowi wyrzuty i dzielił się z nim swoimi obawami, syn odpowiadał mu zawsze: „Tato, przecież nie tak mnie wychowałeś”.

Wszystkie nastolatki przechodzą przez różne etapy buntu i poszukiwań. Wally i Yadira mieli nadzieję, że Bryant wróci do dawnych przyzwyczajeń, gdy odzyska prawo jazdy. Niecierpliwie czekali na 29 czerwca.

Wiosną Bryant skończył zajęcia i wreszcie zebrał dość punktów, by zdobyć dyplom. Wally i Yadira byli z niego ogromnie dumni i zamierzali uczcić to wydarzenie w rodzinnym gronie. Bryant powiedział Arielle, jak bardzo się z tego cieszy i od jak dawna pragnął sprawić tę radość swoim rodzicom.

Yadira towarzyszyła Bryantowi, gdy poszedł odebrać dyplom. Reiter i inni nauczyciele Bryanta zamierzali urządzić przyjęcie. Pojawiły się też inne dobre wieści: dzięki pomocy DeeDee Bryant znalazł pracę w Wydziale Parków i Terenów Rekreacyjnych Los Angeles, gdzie miał się zajmować młodzieżą. DeeDee miała nadzieję, że będzie to początek kariery jej brata w sektorze publicznym. Sama była teraz księgową na lotnisku w Los Angeles, pracowała więc dla miasta – podobnie jak jej ojciec i ciotka. DeeDee nazywała ich nawet miejską rodziną. Nowa posada pozwoliłaby Bryantowi wykazać się na całkiem nowym polu, zostać mentorem dzieciaków. Jego siostra uważała, że doskonale odnajdzie się w tej roli.

Był piątek 11 maja, przed amerykańskim Dniem Matki. W poniedziałek Bryant miał zacząć nową pracę. Wydawało się, że będzie to doskonały

prezent dla Yadiry, która wymarzyła sobie dla swojego syna taki właśnie scenariusz – najpierw ukończenie szkoły średniej, potem prawdziwa praca. Bryant nie mógł się doczekać, kiedy pokaże swoim rodzicom, że wie, jak wiele dla niego poświęcili, i jak bardzo to docenia.

Powiedział Arielle, że wpadnie do niej wieczorem, bo najpierw chce kupić Yadirze upominek na Dzień Matki. Arielle miała go potem podwieźć do domu.

Słońce jeszcze nie zaszło. Bryant miał trochę wolnego czasu. Kupił z Walterem piwo korzenne i szedł z nim wzdłuż Osiemnastej Ulicy, pchając swój rower.

## To mój syn

Wally i Yadira Tennelle nie słyszeli odgłosów strzelaniny, do której doszło zaledwie kilkaset metrów dalej.

Gdy Walter Lee Bridges uciekł przed napastnikami, a Bryant padł na ziemię, oboje krzatali się po domu jak zwykle w piątkowe wieczory, zajęci swoimi sprawami. Yadira była pod prysznicem. Wally przyglądał się samochodom ustawionym na podjeździe i doszedł do wniosku, że powinien je przestawić.

Tymczasem Arielle Walker przebiegła przez skrzyżowanie obok miejsca strzelaniny i dołączyła do grupy krzyczących nastolatków.

Zobaczyła Bryanta leżącego na ziemi i grupę ratowników medycznych, którzy krzatali się wokół niego. Zatrzymała spojrzenie na czapce pełnej krwi.

Pomyślała o matce Bryanta. Chwyciła czapkę i pobiegła.

Wally Tennelle zaczął właśnie przestawiać samochody, gdy zobaczył zapłakaną dziewczynę zmierzającą w jego stronę. „Znowu – pomyślał. – Co tym razem?” Przygotował się na kolejną tragedię któregoś z sąsiadów.

Arielle zawahała się na widok Wally’ego. Szukała Yadiry. Matka Bryanta zawsze wydawała jej się przystępna i miła – wszyscy w okolicy ją uwielbiali. Co innego Wally – Arielle prawie go nie знаła. Wiedziała, że jest policjantem, i trochę się go bała. Nie przyszło jej do głowy, że najpierw natknie się właśnie na niego. Lecz tym razem Wally spojrzał na nią łagodnie, ze szczerym współczuciem. Na zawsze zapamiętała jego słowa.

– Mogę ci pomóc. Co się stało?

Potem jego wzrok padł na zakrwawioną czapkę w jej ręce.

Nie odrywając spojrzenia od baseballówki, Wally przemówił ponownie, nim zdążyła to zrobić Arielle.

Znał tę czapkę.

– To mój syn – powiedział.

Ten jeden przerażający obraz w zupełności mu wystarczył. Nie na darmo przez tyle lat był policjantem w wydziale zabójstw. Gdy tylko zobaczył, ile krwi jest na czapce, zrozumiał, że stało się coś nieodwracalnego.

Pomyślał o swojej żonie. Zawołał ją. Nadal była pod prysznicem. Kazał Arielle wsiąść do swojego auta i pojechał z nią na miejsce strzelaniny.

Josh podniósł wzrok. Zobaczył podjeżdżającego sedana i otwierające się drzwi. Tennelle wyskoczył na zewnątrz, gdy auto jeszcze się toczyło, nim koła zatrzymały się na krawężniku. Rozejrzał się dokoła. Bryant leżał na trawie, otoczony przez ratowników medycznych. Policjanci okalali miejsce przestępstwa taśmą.

Tennelle odnotował w myślach ułożenie ciała swojego syna, rozejrzał się też uważnie po ulicy. Później mógł opisać tę scenę, używając tego samego stylu i terminów co w przypadku setek innych zbrodni: „Ofiara leży na ziemi. Stopy skierowane na zachód”.

Odwrócił się do jednego z policjantów i wskazał na Arielle.

– Trzeba przepytać tego świadka – powiedział.

Położył czapkę przy głowie syna. Stanowiła dowód. Powinna była wrócić na swoje miejsce.

Powiedział ratownikom, że spotka się z nimi w szpitalu. Potem wrócił do auta i pojechał do Yadiry.

Mężczyzna z urządzeniem do cięcia płytek, który przyglądał się wszystkiemu z boku, zwrócił uwagę na policjanta w cywilnym ubraniu wysiadającego z auta. Przypuszczał, że to detektyw z LAPD, któremu przydzielono tę sprawę.

– Bryant chyba został postrzelony.

Yadira Tennelle pamięta, że tak właśnie ujął to jej mąż. „Proszę, nie”, pomyślała. Kiedy Wally wrócił do domu, wyszła już spod prysznica i czekała na niego.

Do tego czasu Wally Tennelle widział już czapkę pełną krwi, a potem syna leżącego na trawniku z odstrzeloną połową głowy. Dla wstrząśniętego

mężczyzny przekazanie tragicznej wiadomości Yadirze samo w sobie było traumatycznym przeżyciem. Uciekł się więc swoim starym zwyczajem do niedopowiedzeń. Gdyby na jego miejscu stał ktoś inny, dobór takich, a nie innych słów mógłby zostać uznany za oszustwo. Jednak w jego przypadku była to jedynie część spokojnego, wyważonego stylu życia, jaki zawsze prowadził. Wiele lat później opowieść o tamtej rozmowie z Yadirą była niemal równie bolesna, jak wspomnienie samej strzelaniny. Nigdy nie doświadczył tak tragicznego powiadomienia – i robił wszystko, by nie złamać Yadirze serca. Powiedział więc tylko, że Bryant został postrzelony w głowę i że muszą jechać do szpitala. Nie przyznał, że chłopiec został straszliwie okaleczony i że jest bliski śmierci.

DeeDee pojechała z nimi. Rozumiała wtedy całą sytuację w jeszcze mniejszym stopniu niż Yadira. Wmawiała sobie, że jadą do szpitala tylko zasięgnąć informacji. Chcą się dowiedzieć, co się stało, nic więcej.

– Teraz wszystko jest w rękach Boga – powiedział im w samochodzie Wally.

Gdzieś w pobliżu krzyczał któryś z ich sąsiadów.

W szpitalu surowo przestrzegano środków bezpieczeństwa. DeeDee była sfrustrowana. „Głupia biurokracja”, myślała. W końcu wpuszczono ich do środka i skierowano na oddział chirurgii urazowej. Tam wyszła im na spotkanie pielęgniarka. Mówiła długo i zawile, DeeDee niewiele rozumiała z jej słów. Zamarła jednak, usłyszawszy jedną znajomą frazę – „mózgowie”. Wciąż powracała do niej myślami – „mózgowie”. „O Boże”. Przeczuciwała, że wkrótce wydarzy się coś strasznego, na razie jednak nie chciała przyznać przed samą sobą, co to może być.

Odesłano ich do poczekalni. Po szpitalu kręciło się tylu policjantów, że DeeDee zaczęła się zastanawiać, czy na ulicach został chociaż jeden patrol. Pomyślała o babci. Po krótkiej naradzie z rodzicami poszła dotrzymać towarzystwa Derze Tennelle.

Brat Bryanta mieszkał w Encino. Wally junior i jego żona Ivori byli na Sepulveda Boulevard, niedaleko ośrodka kultury Skirball Center, gdy zadzwoniła do nich Yadira. Odebrała Ivori. Wally junior, który prowadził samochód, słyszał, jak matka krzyczy do ucha jego żony, zrozumiał główną

treść rozmowy i zawrócił na środku wielkiego zatłoczonego bulwaru. „Bryant postrzelony”. Gdy ta myśl nabrała realnych kształtów i dotarła do jego świadomości, krew Wally’ego juniora nagle wypełniła się adrenaliną: odczuł ją niemal fizycznie, jak cios pięścią albo uczucie towarzyszące upadkowi na ziemię. California Hospital znajdował się po drugiej stronie miasta. Od rannego brata dzieliły go zakorkowany rozjazd autostrady 405 i równie zatłoczona środkowa część autostrady 10. Wally junior i Ivori stali w korku przez godzinę, złoszcząc się i modląc na przemian. Yadira zadzwoniła do nich jeszcze raz czy dwa razy. Potem DeeDee. Wally junior odebrał telefon i usłyszał z ust swojej matki słowa „postrzelony w głowę”. Gdy skończył rozmowę, pomyślał, że musiał się przesłyszeć. Pewnie powiedziała „postrzelony w nogę”.

Dotarłszy do szpitala, musiał czekać aż piętnaście minut, nim ochrona wpuściła go do środka. Zniesmaczony student ostatniego roku college’u zastanawiał się, czy tak szczegółowa kontrola nie wynika czasem z faktu, że jest młodym czarnym mężczyzną.

– Chcę tylko zobaczyć swojego brata – mówił błagalnym tonem.

Ochroniarz tłumaczył, że szpital ma problemy z członkami gangów, którzy chcą wejść do środka i „dokończyć sprawę”.

Na szpitalnych korytarzach roіło się od policjantów. Wally junior zauważył partnera swojego ojca, ale nie widział rodziców. Potem dostrzegł chirurga, który rozglądał się dokoła, jakby kogoś szukał. Sądząc po ubraniu, właśnie wyszedł z sali operacyjnej. Wally zauważył, że na twarzy mężczyzny maluje się napięcie i smutek.

Brat Jim Reiter z Saint Bernard High School również utknął w korku. Został wezwany do szpitala jako kapelan wydziału zabójstw. Powiedziano mu, że zamordowano kogoś w dzielnicy komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej. I że ofiarą jest syn detektywa. Reiter nie wiedział nic więcej. W jego głowie zaczęło się formować pewne podejrzenie.

„To może być Bryant”, pomyślał, ale potem sam się za to zganił. Zirytowany i zmęczony jazdą podczas wieczornych godzin szczytu, przez całą drogę do szpitala modlił się tymi samymi słowami: „Proszę, niech to

nie będzie Bryant”. Przegapił zjazd, musiał dojechać aż do Western i zawrócić. Wciąż powtarzał w myślach: „Proszę, tylko nie Bryant”.

Kiedy w końcu dotarł do szpitala, pomyślał sobie, że jego obawy są bezpodstawne. Coś sobie ubzdurał. Powiedział recepcjonistce, że przyjechał do syna detektywa.

– Ach tak – odparła kobieta rzeczowym tonem. – Do Tannellego?

Reiter znalazł państwa Tannelle w niewielkim holu, w towarzystwie dwóch innych kapelanów. Byli z nimi również zwykli policjanci, oficerowie policji i przyjaciele. Wally i Yadira siedzieli obok siebie na krzesłach, zwróceniu ku drzwiom. Reiter zauważył, że Wally mocno obejmuje Yadirę ramieniem. W pokoju panował tłok, Reiter został więc z tyłu i oparł się o szafkę, nie chcąc się nikomu narzucać. Obserwował ojca Bryanta. Wydawało się, że Wally Tannelle chce zadbać o wszystkich. Odgrywał rolę gospodarza. Czy ktoś chce wody? Czy ktoś chce usiąść? Reiter był zdumiony.

Po chwili do holu wszedł lekarz, który zdaniem Wally’ego juniora w długi i zawiły sposób opisywał obrażenia Bryanta. „Zaraz powie, że doprowadzili go do stabilnego stanu”, powtarzał w myślach. Czekał na to. Potem usłyszał słowa „uszkodzenie mózgu” i „zatrzymanie akcji serca”. Nie mógł tego zrozumieć. Wpatrywał się w twarz lekarza. Był to czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku, o smutnym, zrezygnowanym spojrzeniu. Później, opowiadając o tym, jak w końcu zrozumiał, że brat nie żyje, Wally junior pamiętał równie dobrze wyraz twarzy lekarza, jak jego słowa. Yadira szlochała.

– Chcę Bryanta! – krzyczała. – Chcę mojego syna!

Wally junior spojrzał na swojego ojca. Tannelle kiwał głową, spokojnie słuchając relacji chirurga.

– Tak – mówił. – Rozumiem.

Lekarz nazywał się Bryan Hubbard, był chirurgiem urazowym, weteranem Grubych Lat. Hubbard i jemu podobni odgrywali w swoim fachu taką samą rolę jak Tannelle, Gordon czy Skaggs w LAPD. Byli niestrudżonymi perfekcjonistami, którzy zdobywali doświadczenie w czasie



wielkiej epidemii zabójstw. Przez pewien czas wojsko wysyłało do nich swoich lekarzy na szkolenia.

Hubbard pracował niegdyś w King-Drew Medical Center w Willowbrook niedaleko Watts, który to ośrodek zamknięto kilka lat wcześniej. W latach dziewięćdziesiątych dochodziło tam do starć gangów niemal pod drzwiami sali operacyjnej. Lekarze mogli w przybliżeniu określić, kiedy przybędzie im następny pacjent, obserwując przyjaciół ofiary, którzy wybiegali z poczekalni, by wziąć odwet na swoich rywalach. Wkrótce potem wzywano ich do kolejnego nagłego przypadku.

Hubbard mówił krewnym ofiary, że ich bliski nie żyje, i od razu wyczuwał, że ci planują zemstę.

– Widziałem to w ich oczach – mówił.

Jeden z jego rozmówców wcale nie krył swoich zamiarów.

– Mam dość czekania, aż ktoś oficjalnie się tym zajmie – powiedział, gdy Hubbard poinformował go o śmierci przyjaciela. – Załatwię to po swojemu – dodał, udając, że strzela z palców ułożonych w kształt pistoletu.

„Proszę, tylko nie podczas mojego dyżuru”, pomyślał wtedy Hubbard.

Teraz sytuacja wyglądała znacznie lepiej niż za czasów King-Drew, ale natura pracy Hubbarda pozostała taka sama. Miał już za sobą dziesiątki, a może i setki smutnych spotkań podobnych do tego, które musiał odbyć z rodziną Tennelle. Za każdym razem przygotowywał się wewnętrznie. Nigdy nie przechodził specjalnych szkoleń, które pomogłyby mu radzić sobie z tą trudną stroną jego pracy. Nauczył się jednak sporo, obserwując tych spośród swoich kolegów, którzy robili to źle. Wiedział, że każde słowo, które wypowie w takiej sytuacji, zostanie wyryte w umysłach jego słuchaczy, lecz mimo to znajdą jakiś sposób, by nie dopuścić do siebie prawdy. Starał się być na tyle szczery, na ile było to możliwe. „Zwykła, okrutna prawda”, mawiał, odnosząc się do tego rodzaju sytuacji. „Odszedł”, oznajmiał od razu, najprościej jak potrafił. Szczegóły mogły poczekać.

Ale ludzie i tak go nie słyszeli. Albo, zdeorientowani, nie mogli go zrozumieć. Zdarzało się też, że mdleli, upadali na podłogę albo krzyczeli, tak jak Yadira.

Państwo Tennelle czekali, aż lekarze pozwolą im zobaczyć ciało Bryanta. Kapelani czekali wraz z nimi w zatłoczonym holu. W końcu ktoś do nich przyszedł. Ciało było przygotowane.

Zaprowadzono ich do niewielkiego pomieszczenia z zasłonami. Ciało Bryanta okrywały prześcieradła. Pielęgniarka uniosła róg jednego z nich, by mogli zobaczyć gładką skórę jego twarzy. Yadira chciała go dotknąć, lecz jej na to nie pozwolono. Wally junior zauważył szwy na czole brata, w miejscu, gdzie znajdowała się rana postrzałowa. Miał nadzieję, że matka tego nie dostrzegła. Nie chciał dłużej na to patrzeć, zmuszał się jeszcze przez kilka sekund, a potem odwrócił wzrok.

Spojrzał z troską na swoich rodziców. Martwił się, jak to zniosą. Jednocześnie obserwował samego siebie, świadom, że skupianie się na rodzicach jest formą samoobrony, ucieczki przed rozpaczą. Nie uronił wtedy wielu łez, może nawet żadnej. Potem zwrócił uwagę na swego ojca. Detektyw spokojnie patrzył na nieruchome ciało najmłodszego syna, bacznie przyglądał się odsłoniętej części jego twarzy.

Kapelan udzielił Bryantowi ostatniego namaszczenia, polecając jego duszę Bogu i czyniąc kciukiem znak krzyża na jego czole, dłoniach i piersi. Potem wszyscy wyszli. Reiter zdumiał się po raz kolejny, gdy Wally Tennelle nagle odwrócił się do niego i spytał, czy nie trzeba go podwieźć. Do tej pory zakładał, że Tennelle w ogóle nie dostrzegł jego obecności.

W domu babci Bryanta czuwała DeeDee wraz z Derą i kilkorgiem innych krewnych. Ze wszystkich relacji wynika, że rodzina Tennelle zachowała imponujący spokój w godzinie tej ciężkiej próby i cierpliwie czekała, aż instytucje państwowe zrobią to, co do nich należy – każdy z członków rodziny skupiał się na pozostałych. Jednak babcia Bryanta nie zamierzała przyjąć tego równie cicho. Gdy ze szpitala nadeszła wieść o śmierci wnuka, rzuciła swój balkonik na drugą stronę pokoju i runęła na ziemię, głośno zawodząc i tarzając się jak opętana. DeeDee i jej kuzyni zerwali się z miejsc, by odsunąć meble. Krzątając się obok wrzeszczącej babci, DeeDee mimowolnie pomyślała, że jest w tym coś komicznego. Potem zadumała się nad życiowymi paradoksami i ludzką naturą, która

każe dostrzegać humorystyczne elementy w nawet najtragiczniejszej sytuacji.

Wally junior miał podobne spostrzeżenia: następnego ranka obudził się zdumiony, że udało mu się spokojnie przespać całą noc. Nie wiedział jeszcze o tym, że prawdziwą rozpacz poprzedza stan niedowierzania i oziębiającego szoku.

DeeDee Tennelle się myliła – nie wszyscy policjanci zjechali do California Hospital. Cała ich armia zebrała się również na Osiemdziesiątej Ulicy. Był wśród nich Chris Barling, zadowolony z tego, że choć raz pojawił się na miejscu przestępstwa przed Salem La Barberą.

Barling porozmawiał z Gregiem De La Rosą, poznał nazwiska kilkorga potencjalnych świadków i pojechał do California Hospital, by odszukać tam Arielle. Jakimś cudem zdołał ją odnaleźć w tłumie policjantów i detektywów. Arielle miała oczy czerwone od płaczu. Barling zabrał ją na komisariat, by tam spokojnie przeprowadzić przesłuchanie. Przed wyjściem ze szpitala dostrzegł Tannellego, którego nie znał osobiście, oraz jego żonę. Jak wszyscy gliniarze dobrze rozumiał język ciała, więc bez trudu odgadł, co dzieje się z Tannellem: ojciec zabitego chłopca starał się być silny. Jednak w jego postawie i gestach kryło się coś jeszcze. Miał pusty, beznadziejnie smutny wzrok, charakterystyczny dla zrozpaczonych rodziców i krewnych, z którymi Barling tak często musiał rozmawiać.

David Garrido, odpowiednik Sala La Barbera dowodzący wydziałem zabójstw w Southwest, również był obecny na miejscu zbrodni. Zjawili się tu wielu innych wysokich rangą policjantów, między innymi porucznik Lyle Prideaux z wydziału kryminalnego oraz Charlie Beck, przyszły komendant policji w Los Angeles.

Niebo było jeszcze jasne, gdy słońce schowało się za horyzont, ale na ulicy zapadła ciemność. Okna domów zapłonęły żółtym światłem. Na tle jasnoblękitnego nieba i kilku szarych chmur rysowały się czarne sylwetki palm i eukaliptusów.

– Ładne domy – zauważył Garrido.

Przystrzyżone trawniki. Rower na chodniku.

Obok leżała sterta ubrań. Garrido dobrze znał ten widok. Ratownicy medyczni rozcinali je, zdejmowali z ofiary i zostawiali na miejscu przestępstwa – tu zostały niebieskie spodenki, biała koszulka, czarna bluza i kilka zakrwawionych ręczników. Ulicę blokowały policyjne radiowozy. W blasku latarni było widać czerwoną torbę na niebezpieczne odpadki oraz białą skrzynkę zawierającą ponumerowane kartki na podstawkach, ustawione wcześniej obok poszczególnych elementów miejsca zbrodni. Na trawniku oddzielającym jezdnię od chodnika leżała czapka baseballowa z logo drużyny Houston Astros. Tkanina była poplamiona krwią, a w przedniej części widniał okrągły otwór, nie większy od połowy czubka palca. Garrido podszedł bliżej i zauważył jakiś drobny przedmiot na ziemi. Kawałek metalu. Pochylił się i go podniósł. Rozpłaszczony pocisk.

Pat Gannon, dowódca Wydziału Zabójstw South Bureau, przebywał w hotelu w Chicago i przygotowywał się do uroczystości rozdania dyplomów na Uniwersytecie Loyola, gdzie ukończył studia jego syn. Właśnie wtedy zabrzęczał jego blackberry, a Gannon dowiedział się, że syn Tannellego został zastrzelony w dzielnicy komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej.

Gannon znał Wally'ego Tannellego od dwudziestu lat, uważał go – jak wszyscy – za cichego, skromnego detektywa, „całkowicie oddanego pracy, skupionego na rozwiązaniu sprawy i wykonaniu swojego zadania”. Gannon był zdruzgotany. Wiedział, że Tennale to jeden z najbardziej lubianych ludzi w jego wydziale. Wiedział też, że musi podjąć ważną i trudną decyzję.

Teraz jego telefon dzwonił niemal bez przerwy, podwładni przekazywali mu najnowsze wiadomości, pytali, co mają robić. Sprawa budziła silne emocje. Kilku detektywów z RHD spierało się o to, kto ma prowadzić śledztwo. Gannon musiał cierpliwie wysłuchiwać racji wszystkich stron. Atmosfera robiła się gorąca. Niektórzy spośród jego kolegów z dowództwa złościli się na „tego aroganckiego prokuratora” – chudego faceta, który zjawił się w szpitalu i nalegał, by sprawa trafiła do RHD. Jednocześnie szef detektywów z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, niejaki Matt Mahoney, prowadził już konkretne działania, jakby sprawa w sposób oczywisty podlegała jego jednostce. W ciągu kilku pierwszych godzin

wprowadził do akcji „oddziały specjalne”, rozsyłając detektywów po całym Westside.

Gannon wiedział, że RHD ma większe kompetencje i więcej ludzi. Wiedział jednak również, że ta zbrodnia nie spełnia kryteriów spraw, jakimi zwykle RHD się zajmuje. Choć sam opisywał te kryteria jako „niejednoznaczne i elastyczne”, z zasady nie obejmowały one pojedynczych ofiar i zabójstw dokonywanych przez członków gangów. Oczywiście szczególne okoliczności, takie jak duże zainteresowanie mediów, również mogły skłonić RHD do przejęcia danej sprawy. Gannon pracował jednak w LAPD wystarczająco długo, by wiedzieć, że śmierć Tannellego prawdopodobnie nie wzbudzi takiego zainteresowania. Informacja, że ofiara była synem detektywa z wydziału, nie wydawała się na tyle sensacyjna, by zelektryzować środowisko dziennikarskie Los Angeles. Przecież poza tym Bryant był czarny, miał osiemnaście lat, zginął na południe od autostrady 10 i nosił czapkę kojarzoną z jednym spośród tamtejszych gangów.

Należało także wziąć pod uwagę ewentualny proces. Gannon przypuszczał, że wszelkie formy szczególnego traktowania tej sprawy ze strony policji zostałyby później wykorzystane przez adwokatów oskarżonego jako argument na jego obronę. Chciał oddzielić śledztwo od emocji napędzających współpracowników Tannellego. Detektywi z South Bureau mogliby uchodzić za bezstronnych, bo niewielu z nich znało Tannellego czy choćby o nim słyszało. Takie rozwiązanie pomogłoby również Gannonowi osiągnąć jeszcze jeden cel, do którego wówczas dążył: niedawno dowództwo policji postanowiło połączyć trzy wydziały zabójstw South Bureau w jedną jednostkę, nawiązując tym samym do struktury z czasów Wydziału Zabójstw South Bureau. Zwieńczone sukcesem śledztwo w sprawie Tannellego byłoby kolejnym argumentem na rzecz utworzenia tej nowej jednostki, która nosiłaby całkiem nową, choć wierną biurokratycznemu stylowi LAPD, nazwę – Grupa do spraw Zabójstw Członków Gangów.

Gannon rozmawiał tego dnia również z Tannellem, po czasie nie przypominał sobie jednak, by detektyw w jakikolwiek sposób sugerował,

kto powinien prowadzić śledztwo. Tennelle wspominał tę rozmowę inaczej. Mówił, że starał się okazać, jak bardzo zależy mu na tym, by sprawę przejął któryś z wydziałów zabójstw. On również się obawiał, że pozostawienie tego śledztwa w gestii RHD może potem sprowokować oskarżenia o stronniczość.

– Chciałem, żeby sprawa była czysta – mówił później. Jednak, co istotniejsze, Wally Tennelle w głębi serca wciąż był człowiekiem strefy getta i zależało mu na tym, by śledztwo prowadzili detektywi ze zwykłego wydziału zabójstw w South Bureau.

Wszystkie te lata w Newton pozwoliły mu zrozumieć, jak ważna jest znajomość zwykłego życia dzielnicy, codzienne przebywanie na jej ulicach. Wiedział, że o prawdziwym kunszcie detektywów z LAPD wcale nie świadczą wyniki testów czy pozycja w wydziale. Wiedział również, jak ograniczone mogą być możliwości RHD – jak mało spraw prowadzą tutejsi detektywi i jak bardzo bywają one oderwane od prawdziwego życia dzielnicy.

– Nasi szefowie mówią nam, że jesteśmy najlepsi – tłumaczył z typową dla siebie szczerością – ale ja bez trudu mogę wymienić nazwiska kilku detektywów, którzy są znacznie bystrzejsi niż chłopaki stąd.

Nie dyskredytował swoich kolegów z RHD. Szanował ich. Nauczył się jednak postrzegać świat w szczególny sposób. Pracował w okresie Grubych Lat. Widział Potwora. Wiedział, jak trudno czasem rozwiązać sprawy gangsterskich strzelanin. Zdaniem Tennellego detektywi z RHD nie mieli takiego doświadczenia w prowadzeniu podobnych śledztw jak ich koledzy ze strefy getta. Żyli w innym świecie i nie musieli pracować równie ciężko ani szybko. Tennelle sam zaliczał siebie do tej grupy.

– Nie jestem już taki sprawny ani bystry jak wtedy, gdy pracowałem w Newton – mówił.

Dlatego też był zadowolony z ostatecznej decyzji Gannona, choć jego współpracownicy z RHD przyjęli ją z wściekłością. Sprawa miała trafić do South Bureau. Tennelle uważał, że tak właśnie będzie najlepiej. Ludzie z South Bureau „będą ją lepiej czuli”.

John Skaggs nie uczestniczył w dramacie związanym z morderstwem Tannellego. Wyjechał z rodziną za miasto i nocował w camperze na żółtych pustkowiach pustyni Mojave w pobliżu Ridgecrest. Oglądał zachód słońca nad kanciastymi płaszczyznami tej jałowej krainy – wyjątkowo piękny widok – gdy Chris Barling zadzwonił do niego na komórkę.

Było to tuż przed kolacją. Niebo lśniło bogactwem barw. Skaggs był zrelaksowany i zadowolony z życia. Barling powiedział mu, że właśnie był na miejscu zbrodni i że ofiarą morderstwa jest syn Wally’ego Tannellego z RHD.

Skaggs miał jedno pytanie: Kto będzie prowadził tę sprawę? Barling odparł, że najpewniej ktoś z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej – może Armando Bernal.

W głowie Skaggsa pojawiła się myśl równie czysta i wyraźna jak horyzont przed jego oczami: „Powinni dać tę sprawę nam. Mnie i Barlingowi – rozwiązalibyśmy ją”.

Wkrótce jednak zajął się czymś innym. Śmierć Bryanta Tannellego była tylko jednym z całej serii morderstw, do których doszło tego lata w South End.

## Zabójstwo Dovona Harrisa

Trzy dni po śmierci Bryanta Tannellego dwudziestosześcioletni Carl Pickering junior wsiadał do chevroleta zaparkowanego przed sklepem monopolowym Vercher's, niedaleko miejsca, gdzie mieszkała Barbara Pritchett. Napastnik podszedł do niego i strzelił mu prosto w pierś. Zrozumiawszy, że mężczyzna nie żyje, stojąca przed Vercher's dziewczyna zaczęła krzyczeć. Auta omijały ją i jechały dalej.

Wieczorem tego samego dnia zmarł osiemnastoletni Wilbert Mahone. Stał przed domem krewnego w Compton, gdy ostrzelali go dwaj mężczyźni z przejeżdżającego obok samochodu. Ciężko ranny, zdołał jeszcze wejść do domu. Zmarł, trzymając za rękę swojego szesnastoletniego brata. Kilka lat wcześniej rodzice Mahone'a przeprowadzili się wraz z dziećmi z Compton do Georgii; mówili: „Mamy synów i nie chcemy, by ich zabito”. Wilbert wrócił, by starać się o pracę.

Cztery dni później policja znalazła na chodniku w San Pedro ciało trzydziestosześcioletniego Christophera Davenporta, zabitego podczas strzelaniny, której odgłosy słyszeli sąsiedzi. Nazajutrz policjanci w cywilnych ubraniach z wydziału narkotykowego zabili w rejonie podległym komisariatowi Newton sześćdziesięcioletniego Ronalda Balla. Wcześniej zatrzymali grupę mężczyzn przyłapanych na handlu narkotykami. Ball rzucił się do ucieczki i schował pod samochodem. Kiedy jeden z funkcjonariuszy próbował wyciągnąć stamtąd handlarza, zobaczył, że ten ma pistolet, i go zastrzelił.

Dwudziestoczteroletni Wayne McKinney zginął tydzień później, 25 maja, gdy siedział z przyjacielem w samochodzie. Zastrzelił go nieznany mężczyzna idący obok chodnikiem. Trzy dni później osiemnastoletni Jamar Witherspoon zginął z ręki policjanta na skrzyżowaniu ulic Osiemdziesiątej



Dziewiątej i Main. Funkcjonariusze przyjechali tam, gdy okoliczni mieszkańcy poinformowali ich o strzelaninie. Witherspoon, zdaniem policji uzbrojony w pistolet, przeskoczył przez płot, rzucił się do ucieczki i wpadł prosto na innego policjanta, który go zastrzelił.

Nazajutrz w alejce w pobliżu Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy i Avalon Boulevard znaleziono ciało dziewiętnastoletniego Carnella Ardoine'a, któremu mordercy strzelili w usta. Marcus Peters, również dziewiętnastoletni, zginął następnego dnia podczas strzelaniny w Long Beach. Wkrótce potem zmarł Robert Lee, lat sześćdziesiąt jeden, pchnięty nożem w Newton. Trzydziestojednoletni Stanley Daniels pokłócił się z kimś przy skrzyżowaniu Trzydziestej Dziewiątej Ulicy i Western Avenue. Został postrzelony w pierś. Nikt nie wezwał policji. Patrol LAPD znalazł zakrwawionego Danielsa leżącego na chodniku. Zmarł 2 czerwca.

Irvin Carter, niepełnosprawny mężczyzna po sześćdziesiątce, zginął następnego dnia zaszlachtowany przez napastnika, który przechodził z nożem przez East Rancho Dominguez. Nazajutrz trzydziestosześcioletni Keith Hardy zmarł w Saint Francis Hospital po tym, jak ktoś oddał do niego kilka strzałów w Compton. Do tego samego szpitala trafił dwudziestodwuletni Christopher Rice, również postrzelony w Compton. Zmarł cztery dni po Hardym. Następnego dnia, 10 czerwca, piętnastoletni Rodney Love został zastrzelony na ulicy należącej do obszaru komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, niedaleko miejsca, w którym zginął Bryant Tennelle. Matka Rodneya wybiegła na ulicę i patrzyła na śmierć swego dziecka, próbując jednocześnie połączyć się z numerem 911, który jednak był zajęty.

Trzy dni później dwudziestoletni Detrick Ford podobno rzucił się z nożem na policjantów w Watts, na tej samej ulicy, przy której mieszkała Barbara Pritchett. Funkcjonariusze zastrzelili go na miejscu. Dziewiętnastoletni Dion Miles zmarł tego samego dnia, postrzelony przez nieznanego napastnika w pobliżu Willowbrook. Miles studiował sztukę na Uniwersytecie Stanowym Kalifornii w Northridge i nie miał żadnych powiązań z gangami. Przez przypadek wysiadł z autobusu w nieznanej

sobie dzielniccy, ubrany na czerwono, we wrogi i niebezpieczny kolor na terytorium gangu Crip.

Obarczeni tymi spośród opisanych powyżej morderstw, do których doszło w Watts – oraz innymi, dotyczącymi Latynosów – Skaggs i jego koledzy mieli tej wiosny ręce pełne roboty. Marullo pracował ze Skaggssem jako jego pełnoprawny partner, choć teoretycznie nadal odbywał staż i nie był jeszcze detektywem. Wkrótce udowodnił, że spełnia wszystkie pokładane w nim nadzieje. Był skuteczny, niezmordowany, oddany swej pracy. Bez wątpienia okazał się najlepszym stażystą, jaki kiedykolwiek trafił do jednostki. Tego lata Marullo i Skaggs mogli się pochwalić stuprocentową skutecznością. Rozwiązywali sprawę za sprawą.

Nadchodziły jednak nieuniknione zmiany. Komisariat Southeast miał wkrótce zostać włączony do odtworzonego Wydziału Zabójstw South Bureau. Skaggs liczył na awans na stopień D-3, czyli kierownika. Jak zwykle starał się wykorzystać system tak, by uzyskać wyższą rangę, a jednocześnie nadal pracować w wydziale zabójstw.

Barling przyjął tymczasową posadę kierowniczą w innym wydziale komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej. Jego odejście było znaczącą stratą, więc La Barbera z przerażeniem myślał o ewentualnych przenosinach Skaggsa. Pocięgę mogły dlań stanowić doskonałe wyniki Marulla.

Tymczasem Skaggs odczuwał wyrzuty sumienia związane z kolegą Marulla Nathanem Kourim, który również miał się u niego szkolić. Skaggs spędzał z Marullem tyle godzin w sądach, że brakowało mu czasu, by należycie zająć się Kourim, cichym policjantem z Norwalk, którego tak gorąco polecał Marullo.

Ani La Barbera, ani Skaggs nie doceniali umiejętności Kouriego, który był człowiekiem życzliwym, sympatycznym i szczerym. Jako nastolatek brał udział w szkoleniach dla młodych osób zainteresowanych pracą policji, nie pił alkoholu. Jeśli już przeklinał, to używał określeń w rodzaju „do licha” albo „psiakrew”. Nie miał jednak daru wymowy. Zacinał się. Nikt nie mógł zrozumieć, nad czym pracuje, ani nadażyć za jego wyjaśnieniami. Unikał policyjnych pogaduszek i żartów. Ten zawód polegał w dużej mierze

na mówieniu, ale Kouri najwyraźniej wolał słuchać. Zadręczał swoich kolegów i informatorów pytaniami, a w odpowiedzi tylko od czasu do czasu rzucał krótkie: „Interesujące!”.

Tej wiosny Skaggs ponownie próbował się skupić na pracy z Kourim. Zamierzał poprowadzić z nim od początku do końca przynajmniej jedną sprawę, traktując go przy tym jak partnera i trzymając Marulla w odwodzie. Potem jednak nadszedł okres wzmożonej pracy i licznych wizyt w sądzie. Kouri zajmował się tylko poszczególnymi częściami różnych spraw. Skaggs dobrze wiedział, że to zupełnie co innego niż prowadzenie jednej konkretnej sprawy. Trzeba się zajmować jednym przypadkiem od początku do samego końca – także w sądzie – by naprawdę się czegoś nauczyć. Trzeba o nim myśleć, analizować już na etapie pracy na ulicy. Skaggs zaczął się martwić, że Kouri nie będzie miał ku temu okazji.

Potem nadeszło piątkowe popołudnie 15 czerwca, dzień rozdania świadectw w Centennial High School w Compton.

Barbara Pritchett była podekscytowana. Od dawna czekała na ten dzień. Jej drugie dziecko, Dwaina, miała dziś odebrać dyplom.

Dzieci były dla Barbary całym jej życiem. Sama była trzecim z dziesięciorga dzieci: jej matka urodziła po raz pierwszy w wieku czternastu lat. Potem miała jednak problemy, więc Barbarę wychowywała jej babcia, która przyjechała do Kalifornii z Natchitoches w stanie Luizjana. Kiedy Pritchett podrosła, przejęła opiekę nad młodszym rodzeństwem. Wychowała czworo z nich oraz troje własnych dzieci. Nadal mieszkał z nią jej najmłodszy brat Carlos, o kilka lat młodszy od jej najmłodszego dziecka Dovona.

Mieszkali w opłacanym przez państwo czteropokojowym lokalu. Obarczona taką liczbą wychowanków, Pritchett robiła wszystko, by zachować to mieszkanie. Gdy była młodsza, w utrzymaniu domu pomagała jej babcia. Ostatnio pracę na godziny podjęli najstarszy syn i córka Barbary. Ona sama pracowała w służbie zdrowia, w opiece domowej.

Rodzina była zżyta. Dzięki wspólnemu wysiłkowi jakoś wiązali koniec z końcem. Serdeczność Barbary i jej oddanie czyniły z niej fundament

całego klanu. Dorosłe siostry, kuzynki i przyjaciółki, które również nazywała kuzynkami, nieustannie przewijały się przez jej salon, centrum życia towarzyskiego i miejsce rodzinnych spotkań. Pewnego razu Pritchett przez cztery dni przygotowywała ucztę z okazji Dnia Dziękczynienia przeznaczoną dla dwudziestu czterech osób.

Miarą sukcesu życiowego było dla niej przeprowadzenie wszystkich swoich podopiecznych przez szkołę i utrzymanie ich z dala od gangów. Piętnastoletni Dovon również uczył się w Centennial. Choć chodził do niższej klasy, ze względu na szkolne uroczystości tego dnia wypuszczono go wcześniej do domu.

Stał przed szkołą i czekał na autobus, gdy w pobliżu wywiązała się bójka.

Do Centennial High School uczęszczały dzieci z Compton, Willowbrook i Watts. Na szkolnych korytarzach mijali się członkowie kilku spośród najniebezpieczniejszych gangów Los Angeles. Często dochodziło do starć i bójek. Ta zaczęła się od kłótni między dziewczynami. Dzieciaki wychodzące na zewnątrz zaczęły na siebie krzyczeć, stając po jednej lub drugiej z walczących stron. Kilku chłopców wyrzaskiwało gangsterskie groźby: „Bounty Hunters!”. Uznano to za wyzwanie dla konkurencyjnego gangu Westside Piru, kolejnego odłamu gangu Blood. Policja usunęła uczniów z terenu szkoły w nadziei, że dzięki temu uniknie problemów.

Przeznane na drugą stronę ulicy dzieciaki zbijały się w grupy. Kłótnia przybierała na sile, chłopcy i dziewczyny wrzeszczeli na siebie, robiło się coraz groźniej.

Dovon nie chciał się w to angażować. Wraz z grupą innych uczniów, wśród których znajdowało się kilku chłopców „stowarzyszonych” z gangiem Bounty Hunters z jego dzielnicy, wsiadł do autobusu jadącego na północ.

Do tego czasu wieści o bójce rozeszły się po okolicy za sprawą dziewczyn, które dzwoniły do swoich obrońców – chłopaków, braci i znajomych. Szesnastoletni Derrick Washington, brat jednej z dziewczyn, dowiedział się, że jego siostra ma kłopoty. Wskoczył do samochodu GMC Yukon ze starszym członkiem gangu Piru Jasonem Keatonem. Mieli broń.

Podjechali pod szkołę w chwili, gdy grupa Dovona właśnie wsiadała do autobusu, i ruszyli za nim w pościg. Kiedy Dovon i jego przyjaciele wysiedli na obrzeżach osiedla Nickerson Gardens w Watts, terytorium Bounty Hunter, yukon zatrzymał się przy nich. Derrick strzelił. Wszyscy się rozbiegli. Dovon padł na ziemię.

Skaggs dotarł na miejsce już po odjeździe karetki. Nie było z nim Kouriego – wyjechał z miasta w związku z inną sprawą i miał wrócić wieczorem. Skaggs obejrzał miejsce zbrodni, choć nie spodziewał się znaleźć zbyt wiele.

I rzeczywiście widok nie był zbyt obiecujący. Ofiarę już zabrano. Na pustej ulicy zostały jedynie zakurzone czarne adidasy rozrzucone na asfalcie.

Barbara Pritchett znalazła swoje najmłodsze dziecko w szpitalu Harbor-UCLA, podłączone do respiratora. Twarz chłopca była poparzona prochem, ciało nabrzmiałe. Dovona postrzelono w głowę, jego mózg został zniszczony. Podtrzymywano go jednak przy życiu. Barbara dotknęła jego skóry, wciąż ciepłej, i czekała. Ojciec Dovona Duane Harris miał przylecieć z innego miasta.

O tym, jak długo żyje ofiara po stwierdzonej oficjalnie śmierci mózgu, przesądza kilka czynników. Jeśli rodzina decyduje się na oddanie organów, przygotowanie przeszczepów może trwać kilka godzin lub kilka dni. Czasami najbliżsi ofiary nie są jednak gotowi, by pogodzić się ze śmiercią. W przypadku Dovona minęły dwa dni. Przebywając w szpitalu, Barbara z dumą liczyła nauczycieli z Centennial High School, utwierdzając się dzięki temu w przekonaniu, że dobrze wychowała swoje dzieci. Dovon miał ADHD i pewne problemy z nauką, ale nie zadawał się z gangami ani środowiskiem przestępczym. Był pogodny i serdeczny, podobnie jak cała rodzina. Kilkoro spośród jego nauczycieli opuściło szpitalną salę, płacząc. Niemal każdy z odwiedzających pytał Barbarę, czy mówiono o tej tragedii w wiadomościach. Był to bolesny temat. Ani w telewizji, ani w prasie nie pojawiła się o tym choćby wzmianka. Barbara twierdziła, że wcale się nie

przejmuje. Mówiła, że to nie ma znaczenia. Wszyscy wiedzieli, że liczy się tylko życie Dovona, nawet jeśli reszta świata nie ma o tym pojęcia.

W głębi duszy jednak Pritchett niepokoiła się obojętnością mediów. Przypuszczała, że kolor skóry jej syna oraz ich warunki życiowe nieprzychylnie nastawią do nich władze. Brak zainteresowania ze strony dziennikarzy jakby potwierdzał ten scenariusz. Dovon był w końcu tylko kolejnym czarnym dzieciakiem z Watts. Czy policja uzna, że był również członkiem gangu? Czy potraktuje tę sprawę poważnie? Barbara, jak większość mieszkańców Watts, nie miała zaufania do LAPD.

Siedziała przy nieruchomym ciele Dovona i czekała.

W końcu w szpitalu pojawił się wysoki biały detektyw. Pritchett wysłała mu na spotkanie. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Chcę, żeby pan go poznał – powiedziała. – Żeby zobaczył pan jego twarz.

Zaprowadziła Johna Skaggsa do łóżka Dovona. Ciało chłopca wciąż było ciepłe, wciąż oddychał dzięki respiratorowi. Barbara miała nadzieję, że ten widok wyrwie Skaggsa z obojętności, o którą z góry go podejrzewała, że fizyczna obecność chłopca pomoże detektywowi dojrzeć w nim kogoś więcej niż kolejnego czarnego nastolatka „zabitego jak psa”, jak to później ujęła.

Skaggs potraktował Pritchett z typową dla siebie serdecznością. Widok dogorywającego Dovona nie poruszył go jednak szczególnie. Był już w wielu szpitalach, widział wiele opuchniętych ciał. Pritchett nie miała pojęcia, jak często słyszał ten sam, wyrażany na różne sposoby zarzut: „Dla was to tylko jeszcze jeden zabity czarny”. Nie wiedziała również, że Skaggs traktował te słowa jak okrzyk wojenny.

Być może wielki świat nie postrzegał tych morderstw jako wstrząsających i godnych zainteresowania wydarzeń, lecz w oczach detektywów z Southeast każda z takich spraw zasługiwała na maksimum wysiłku i uwagi. Właśnie takimi zasadami kierował się również Skaggs.

Wraz z Marullem pracował już na pełnych obrotach. Kouri miał do nich wkrótce dołączyć. Skaggs chciał, by to właśnie on przejął główną rolę w tym śledztwie.

17 czerwca lekarze wyjaśnili rodzinie Dovona, na czym polega proces oddania organów. Duane Harris, ojciec chłopca, nie mógł się z tym pogodzić. Nie rozumiał: skoro można oddawać organy, to dlaczego Dovon też nie może jakiegoś przyjąć i żyć dalej? Gotów był sam się poświęcić.

– Weźcie mój mózg! – błagał. – Weźcie moje życie!

Lekarze musieli mu wytłumaczyć, że to niemożliwe.

Tego ostatniego dnia Duane Harris szedł obok wózka szpitalnego Dovona do podwójnych drzwi na końcu długiego korytarza. Gdy otworzyły się przed nimi automatycznie, przystanął, a wózek pojechał dalej sam. Mężczyzna stał obok zamykających się drzwi, po raz ostatni spoglądając na swego syna.

W ciągu kilku dni Skaggs i Kouri odtworzyli przebieg wydarzeń, które doprowadziły do śmierci Dovona. Pojechali do Centennial, zidentyfikowali najważniejszych uczestników zajścia i znaleźli świadków.

Jeden z elementów śledztwa miał szczególne znaczenie. Skaggs przesłuchał Angelę Washington, siostrę szesnastoletniego podejrzanego Derricka Washingtona. Wcześniej dowiedział się od innych świadków, że po powrocie do domu Derrick przyznał się Angeli do zbrodni. Okazało się, że znał Dovona, wiedział nawet, że nosi przydomek Poo-Poo. Obrońcy mordercy twierdzili później, że Derrick był wstrząśnięty, gdy dowiedział się, że zabił właśnie Dovona. Skaggs zdawał sobie sprawę, jak cennym świadkiem jest Angela. Kiedy jednak wraz z Kourim posadził ją w białym, lodowatym pokoju przesłuchań komisariatu Southeast przy tanim stoliku z okleiną, dziewczyna zaprzeczyła, by brat przyznał jej się do czegokolwiek.

Angela, niska, korpulentna, z charakterystycznym przodozgryzem, który upodabniał ją do brata, mówiła szybko, była rozzłoszczona i łatwo dawała się ponieść emocjom. Tak, przyznała, oczywiście, że słyszała tamtego dnia różne plotki. Wszyscy w okolicy opowiadali, że jej brat zastrzelił Poo-Poo. Ale z przekonaniem dodała:

– Popatrzył mi prosto w oczy i powiedział, że on tego nie zrobił!

Skaggs pozwalał jej mówić. Był zrelaksowany, pewny siebie, jakby ta część przesłuchania była jedynie przykrym, lecz nieuniknionym etapem na drodze do sukcesu. W końcu jej przerwał spokojnym, niskim głosem. Wypowiadał się powoli, niemal statecznie. Jego słowa wdarły się w paplaninę Angeli niczym zwarty szereg żołnierzy w niezdyscyplinowany tłum.

– Ty i ja – powiedział – porozmawiamy teraz poważnie i szczerze.

*Poważnie i szczerze.* Nie wiadomo, czy to jego zachowanie, czy sama treść tych słów, ale coś sprawiło, że Angela zmieniła zdanie. Być może chodziło o wyraz jego twarzy albo o moralny wymiar jego wypowiedzi. Tak czy inaczej, był to moment zwrotny przesłuchania. Dziewczyna nagle ukryła twarz w dłoniach. Milczała przez kilka sekund, a gdy w końcu uniosła głowę, jej policzki były mokre od łez.

– Zabronił nam o tym mówić... – zaczęła. Potem nie ukrywała już niczego.



## Nic gorszego

To było przedziwne.

Przez wszystkie te lata pracy w policji Wally Tennelle uczestniczył w tych specyficznych gliniarskich rozmowach: Co byś zrobił, gdyby spotkało to ciebie? Gdyby spełniły się twoje najgorsze obawy, gdyby jakiś bandzior zgwałcił ci żonę albo zabił dziecko? Gdy policjanci rozmawiali o tym w swoim gronie, skupiali się głównie na gniewie i zemście. Czy czekałbyś, aż to sąd wyznaczy karę? „Załatwiłbym to sam”, zapewniali siebie nawzajem.

Lecz teraz, gdy stało się to w rzeczywistości, Tennelle dokonał zaskakującego odkrycia: choć sięgał do najdalszych zakamarków swojej duszy, nie czuł gniewu. I nie znajdował w sobie żądz zemsty.

Przepełniał go tylko ból, przed którym nie było ucieczki. Kilka razy dziennie jego oczy niespodziewanie wypełniały się łzami. Zostawili z Yadirą pokój Bryanta dokładnie w takim stanie, jak wyglądał w dniu jego śmierci. Nietknięte konstrukcje lego. Zabawki z *Gwiezdných wojen*. Halloweenowy kostium Kota Prota. Znajdowali pocieszenie w swojej religii i w rozmowach, uznali śmierć Bryanta za kwestię „woli bożej”. Takie podejście pozwoliło im lepiej zrozumieć, co powinni teraz robić. Wola boża to przecież coś, co należy zaakceptować. A jeśli na razie nie jesteś w stanie tego zaakceptować, staraj się przetrzymać.

Więc robili wszystko, by przetrzymać.

DeeDee wróciła do pracy. Była w ciąży i wychowywała małego synka, a jej małżeństwo się rozpadało. Później przyznała, że nie miała wtedy czasu, by zajmować się śmiercią brata. Świadomość tego faktu czała się gdzieś na obrzeżach umysłu. Nie dopuszczała jej do siebie. Była zła na Bryanta, zła za jego niesforne zachowanie z ostatnich lat, które spowodziło

nań zagrożenie. Czasami pozwalała sobie myśleć o zabójcach, kimkolwiek byli ci ludzie. Dlaczego to zrobili? O czym myśleli? Niemal wbrew sobie postrzegала to zdarzenie przez pryzmat historii i rasy. Jak rozumieć w tym kontekście to, że walka o prawa obywatelskie sprowadziła jej pobratymców właśnie do tego miejsca, gdzie zmagali się z plagą morderstw? „Po tym wszystkim, co osiągnęli nasi przodkowie – rozmyślała, pogrążona w hipotetycznej rozmowie ze sprawcami – wy chcecie pozabijać się nawzajem?”

Yadira często odwiedzała grób Bryanta na Holy Cross Cemetery. Dużo płakała i rozmawiała o swoim smutku z mężem. Znalazła w telewizji kaznodzieję, którego nauki przypadły jej do gustu, starała się odnosić je do swojego życia. To pomagało jej bronić się przed rozgoryczeniem.

Była dla siebie surowa, nie chciała się nad sobą użalać. Gdy przyłapywała się na myśli, że jest jedyną osobą na świecie, która tak bardzo cierpi, natychmiast przywoływała się do porządku. „Inni również cierpią”, przypominała samej sobie.

W odróżnieniu od wielu par rozbitych przez żałobę Wally i Yadira jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie. Postanowili, że nie pozwolą, by śmierć syna wypełniła mrokiem ich dusze.

Yadira z żarem opowiadała o tej decyzji:

– Uzgodniliśmy, że nie poddamy się depresji – mówiła, zaciskając pięść. – Nie wpadać w gniew!

Wciąż jednak zastanawiała się mimowolnie, czym sobie na to zasłużyli. Nieustannie wracała myślami do Bryanta. Odtworzyła we wspomnieniach całe jego życie, wszystkie rozmowy. Martwiła się, że nie mówili mu wystarczająco często, jak bardzo go kochają. Potem jednak łajała się w myślach: oczywiście, że Bryant o tym wiedział.

Kiedy i ona wróciła do pracy, zauważyła, że ludzie nie mają pojęcia, jak się do niej odnosić. Prawdopodobnie oczekiwali, że się załamie, podda rozpacz. Ale Yadira nie miała zamiaru się poddawać.

Wiedziała, że to dziwne – *wyglądała* tak samo, choć przecież zniknęła ogromna część jej jestestwa. Zachowywała się tak samo. Chodziła do pracy, witała się ze znajomymi, wracała do domu. Na pozór wszystko wyglądało

tak samo, nie licząc napadów tłumionego szlochu w pracy. W domu szła do pokoju Bryanta, wychodziła stamtąd, znów wracała, wszystko było na swoim miejscu, tak jak w dniu, w którym zginął. Włożyła jego zdjęcie do medalionu i nosiła je na szyi. Na ścianie salonu powiesiła plakat z napisem: „Gdyby miłość mogła cię uratować, żyłbyś wiecznie”.

W przypadku Wally’ego Tannellego nakaz przetrwania wpasowywał się doskonale w wewnętrzny monolog, który toczył ze sobą przez całe życie. Mówił sobie, że ma być silny i iść dalej. Po prostu robić swoje. Taka postawa była pomocna przy rozwiązywaniu wszystkich problemów, jakie miał.

Szef Tannellego nakłaniał go, by wziął sobie jak najdłuższy urlop, ale on sam nie widział w tym większego sensu. Po trzech dniach spędzonych w domu wrócił do pracy. Potrzebował tego. Przymocował zdjęcie Bryanta do deski rozdzielczej swojego służbowego samochodu i rzucił się w wir obowiązków.

Dla jego kolegów z pracy nie było to takie proste. Obecność Tannellego budziła w nich coś, co można nazwać bólem współczucia. Co mogli zrobić? Sytuacja rodziła uczucie żalu w pierwotnym tego słowa znaczeniu, pozbawionym współczesnej domieszki protekcyjności. W mitologii taki żal wycisnąłby łzy ze skał. Jednak w środowisku policjantów z Los Angeles w 2007 roku jedynymi dopuszczalnymi wyrazami żalu i współczucia były wymamrotana pod nosem formułka: „Bardzo mi przykro” i powtarzane po wielokroć propozycje pomocy, które – zgodnie z oczekiwaniami proponujących – spotykały się z milczącym odrzuceniem.

Taki stan rzeczy na dłuższą metę był nie do zniesienia. Tannelle wydawał się tak łagodny i nieprzenikniony – tak oddany pracy i przejęty bólem zarazem – że jego przyjaciele nie mogli się normalnie zachowywać ani próbować doń dotrzeć bez poczucia, że mu się narzucają.

Śmierć sama w sobie była tragicznym wydarzeniem. Śmierć dziecka – czymś niewyobrażalnym. Ale zabójstwo dziecka? Nie ma nic gorszego. Reakcja detektywów nie różniła się szczególnie od reakcji mieszkańców południowego Los Angeles. Śmierć człowieka w każdym miejscu świata jest jak kamień wrzucony w wodę. Fale rozchodzą się na wszystkie strony,

obejmują coraz szerszy krąg przyjaciół i znajomych, docierają do odległych obszarów, przyjaciół przyjaciół, byłych kolegów i koleżanek z pracy. Wszyscy są do pewnego stopnia poruszeni tą wiadomością – morderstwo, coś strasznego, coś niewiarygodnego – żadna odległość w czasie i przestrzeni nie jest wystarczająco duża, by stępić jej ostrze.

Kilku kolegów Tannellego z pracy miało dzieci w wieku Bryanta. Przez całe swoje zawodowe życie spotykali się z ludźmi, którzy w wyniku morderstwa stracili kogoś bliskiego. Wiedzieli, co to znaczy. W końcu Tennale musiał się odwołać bezpośrednio do Lyle’a Prideaux, swojego szefa.

– Mam już dość tego pocieszania i ciągłych wizyt – powiedział. – Chciałbym po prostu normalnie pracować.

Wkrótce wieść o tej prośbie rozniosła się po całym wydziale i ludzie w końcu dali mu spokój.

Nie oznaczało to jednak wcale, że zapomnieli o nim i jego tragedii. Być może stoicka, wyciszona reakcja Tannellego spowodowała przeniesienie emocji. Sporo mówiło się w wydziale o przekazaniu sprawy komisariatowi przy Siedemdziesiątej Siódmej, a decyzja ta wywołała głównie złość i rozgoryczenie. Załoga z RHD uważała, że to oni powinni się tym zająć. Tennale oczywiście zachował swoją opinię dla siebie. Nikt w RHD nie wiedział, że w gruncie rzeczy chciał, by śledztwo prowadzili detektywi ze strefy getta.

Mijały kolejne tygodnie. Pograżony w żałobie Wally junior, podobnie jak jego rodzice, rzadko myślał o zabójcach brata. Szukał pracy, próbował wykorzystać wiedzę zdobytą na studiach w praktyce.

Pewnego dnia uświadomił sobie, że nie może się jednak uwolnić od pytań dotyczących zabójców. Zastanawiał się, kim byli, jak wyglądali, czy kiedykolwiek pożałują swojego czynu, czy byłby w stanie im wybaczyć, gdyby okazali skruchę.

Zaczął też obsesyjnie myśleć o tym, czy sprawa zostanie rozwiązana. Ojciec mówił mu nieraz, że najważniejsze są pierwsze dwie doby po morderstwie, że właśnie wtedy najłatwiej skłonić ludzi do składania zeznań – to samo mówiono w telewizji. Po miesiącu zaczęły go dręczyć

wątpliwości. Wyobrażał sobie z przerażeniem, że do końca życia nie dowie się, co właściwie spotkało jego brata. Zaczął się regularnie modlić. Co wieczór zamykał oczy i powtarzał te same proste słowa: „Proszę, rozwiąż tę sprawę”.

Sprawa trafiła do Armanda Bernala, jednego z najbardziej doświadczonych detektywów w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej. Zatrudniony w 1981 roku Bernal zaczynał w komisariacie Hollenbeck w zamieszkaney głównie przez Latynosów dzielnicy Boyle Heights na wschodnich krańcach miasta, potem przeniósł się do komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, a w końcu w 1989 roku do Wydziału Zabójstw South Bureau, gdzie nauczył się wprowadzać w życie doktrynę „jasnej, zwartej” dokumentacji śledztwa.

Bernal nie opisałby samego siebie jako agresywnego. Był uważny i skrupulatny. Starał się w pełni panować nad swoimi śledztwami, by „nie rozłożyły się na wszystkie strony”.

Kiedy nadeszły Grube Lata, doświadczał ich podobnie jak inni detektywi – praca w weekendy, ciągła frustracja, bolesna obojętność mediów. Był małomówny, wydawał się wręcz posępny, ale w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej miał swoich wielbicieli. Był jednym z najbardziej doświadczonych detektywów w stosunkowo młodym zespole, uważano go za świetnego specjalistę.

Choć na początku policjanci zebrali mnóstwo zeznań od chętnych do współpracy świadków, później śledztwo utknęło w martwym punkcie. Bernal miał informacje o czarnym samochodzie i ciemnoskórym młodym strzelcu, ale słyszał też kilka relacji sprzecznych z tym opisem i sporo plotek dotyczących tej sprawy. W tej części Los Angeles nakładały się na siebie terytoria tylu gangów, że grupa potencjalnych podejrzanych była bardzo liczna. Trudno było zdecydować, którym plotkom wierzyć. Bernal skrócił sobie wakacje i pracował w weekendy, by rozwiązać tę sprawę. Pomagał mu Rocky Sato, również doświadczony detektyw, a także inni pracownicy jednostki. Jednak śledztwo wciąż nie mogło ruszyć z miejsca.

Taki scenariusz nie był niczym wyjątkowym. Od lat ponad połowa spraw „gangsterskich” zabójstw kończyła się właśnie w ten sposób i ostatecznie trafiała na półkę. Pat Gannon nie mógł się z tym pogodzić. Często pytał o postępy w śledztwie.

Gannon zdawał sobie sprawę, że znajduje się w trudnej sytuacji. Chętnie domagałby się konkretnych wyników, ale wiedział, że naciski z góry mogą tylko wszystko skomplikować. Był świadom frustracji narastającej wśród policjantów, szczególnie w RHD. Lecz nawet w South Bureau, gdzie mało kto znał Wally’ego Tannellego osobiście, ta sprawa stanowiła drażliwy temat. Odtworzony Wydział Zabójstw South Bureau spotykał się na cotygodniowych zebraniach. Co tydzień poruszano kwestię zabójstwa syna Tannellego. Co tydzień stan śledztwa przedstawiał się tak samo: nie było żadnych nowych tropów.

Kelle Baitx, były partner Tannellego, a teraz dowódca wydziału zabójstw w komisariacie Newton, tylko z grubsza wiedział, co się dzieje w South Bureau. Jednak i on miał świadomość, że upływają kolejne tygodnie, a nadzieja niknie.

Był tym zaskoczony. Zakładał, że zabójcy pochodzą z tej samej dzielnicy. W tego rodzaju przypadkach rzadko się zdarzało, by mieszkali dalej niż dziesięć przecznic od miejsca zbrodni. Tu w dodatku chodziło o śmierć syna policjanta. W okolicy powinno huczeć od plotek – dziwne, że tak niewiele z nich docierało do komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej. Docierały do niego też gniewne pomruki z RHD, wiedział jednak dobrze, jak trudne są sprawy gangsterskich zabójstw. Nie zamierzał krytykować Bernala.

Baitx znał Wally’ego Tannellego na tyle dobrze, by z zaskoczeniem przyjąć wiadomość, że jego były partner wziął sobie aż trzy dni wolnego. Tannelle zawsze taki był: nie wstydlivy, nie wyniosły, ale po prostu – Baitx głęboko westchnął, próbując to później opisać – „po prostu bardzo, bardzo rzeczowy”, stwierdził w końcu.

Zadzwoił do Tannellego w nadziei, że będzie mógł go jakoś pocieszyć. Jednak Wally zachowywał się całkiem normalnie, jakby nie spotkało go ostatnio nic nadzwyczajnego.

– Cześć, Kelle! – wykrzyknął radośnie.

Nim Baitx zdążył wydobyć z siebie głos, Tennelle zasypał go pytaniami, zagłuszając smutek przyjaciela wesołą gadaniną. Chcąc nie chcąc, Baitx opowiadał o swoim życiu, zachęcany przyjaznym zainteresowaniem Tennellego. Odłożył słuchawkę w przekonaniu, że to on, a nie Tennelle, poczuł się lepiej dzięki tej rozmowie.

W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak ochraniać swojego dawnego partnera na odległość. Przeszkadzała mu tylko jedna rzecz: to, co ludzie w wydziale mówili o życiowych wyborach Tennellego i jego decyzji o pozostaniu w niebezpiecznej dzielnicy. Niektórzy policjanci uważali, że Tennelle mógł się tego spodziewać i właściwie sam był sobie winien.

– Jak mogli mówić coś podobnego? To zwykłe chamstwo – pieklił się. Stawał wtedy w obronie Tennellego. – To mogło spotkać każdego z nas! – powtarzał z naciskiem. – Miejsce zamieszkania nie ma tu nic do rzeczy.

Brat Jim Reiter z Saint Bernard High School słyszał podobną opinię. Wkrótce po śmierci Bryanta policjanci podwozili go gdzieś radiowozem jako kapelana jednostki. Rozmowa zeszła na zabójstwo młodego Tennellego.

– Dlaczego ktoś w ogóle chce mieszkać w takiej dzielnicy? – pytał sierżanta młodszy rangą policjant.

Reiter zaprotestował w duchu: „To miła dzielnica. Dlaczego państwo Tennelle mieliby się z niej wyprowadzać?”.

Reiter wychował się w irlandzko-niemieckiej rodzinie po północno-zachodniej stronie Chicago. Pamiętał, jak znajomi sugerowali jego rodzicom wyprowadzkę, gdy w dzielnicy zaczęli się osiedlać czarni. Pamiętał też dobrze odpowiedź swojego ojca: „Niech mnie diabli wezmą, jeśli się stąd wyprowadzę”. Reiter przypuszczał, że ojciec Bryanta jest podobnym człowiekiem, i miał rację. Lecz choć przyjaciele stawali w jego obronie, sam Tennelle zastanawiał się skrycie, czy postąpił słusznie. Takie myśli dręczyły go od samego początku, od śmierci Bryanta. W California Hospital w obecności swojego szefa porucznika Lyle’a Prideaux przez moment był bliski płaczu.

– Spieprzyłem to – powiedział mu wtedy.

Przez następne tygodnie i miesiące wielokrotnie obliczał w myślach niemożliwe do oszacowania prawdopodobieństwo zabójstwa w innej części Ameryki. Wciąż powracał do swoich decyzji, do upartego trwania w postanowieniu, że nie opuści dzielnicy, którą nazywał domem. Ponownie zastanawiał się nad swoim przekonaniem, że dzieci powinny spędzić dzieciństwo w jednym miejscu.

Oczywiście nie wyprowadzał się ze swojej dzielnicy również ze względów praktycznych – tych samych, które zatrzymywały Baitxa w El Sereno. Ale były też inne powody, wśród nich jeden szczególnie ważny, choć nigdy niewypowiedziany głośno. Był to powód wynikający z zasady, która tak długo kazała mu unikać awansu do RHD.

Wally Tennelle uważał, że mieszkańcy południowego Los Angeles zasługują na dobrych policjantów. Policjantów oddanych swojej pracy. *Policjantów gotowych mieszkać w swojej dzielnicy.* Ukrywał ten powód tak głęboko, że nawet jego najbliżsi nie do końca rozumieli jego postawę. Ujawnił go z niechęcią wiele lat później, pod licznymi naciskami.

Przyznał, że od dawna nie podobało mu się zachowanie niektórych spośród jego współpracowników w strefie getta.

– Jeśli mieszkasz sto kilometrów stąd, łatwiej ci lekceważyć tych ludzi, mieć ich gdzieś – konkludował.

Sam nie chciał być tego rodzaju gliniarzem. Należał do tego rzadkiego gatunku policjantów, którzy wcielali w życie filozofię od dawna promowaną przez krytyków LAPD: postanowił mieszkać w mieście, w którym sam strzegł prawa, kierowany honorem i poczuciem odpowiedzialności.

– Uważam, że należy mieszkać w społeczności, dla której się pracuje – mówił z właściwą sobie skromnością.

Tennelle był tym ideałem policjanta, którego miasto od dawna pragnęło i potrzebowało. Teraz jego syn nie żył, a sprawa jego morderstwa była jeszcze jednym z nierozwiązanych śledstw strefy getta.



## Zadanie

Czerwiec przeszedł w lipiec. Skaggs awansował na detektywa rangi D-3 i otrzymał nowe stanowisko – co rzadkie przy awansie na ten stopień, nie było to stanowisko kierownicze – w komisariacie Southwest w pobliżu Uniwersytetu Południowej Kalifornii, gdzie miał pracować z Rickiem Gordonem. Miał tam pozostać do czasu, aż będą gotowe biura nowej Criminal Gang Homicide Group (grupy do spraw zabójstw wśród członków gangów) w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej. Wydziały zabójstw z trzech komisariatów miały się połączyć i zająć duże biuro na pierwszym piętrze komisariatu przy Broadwayu, niedaleko Florence Avenue.

Tymczasem na południe od autostrady 10 wciąż ginęli czarnoskórzy mężczyźni. W porównaniu z najgorszymi okresami w historii dzielnicy liczba zabójstw była dość skromna, ale w ciągu kilku tygodni po śmierci Dovona Harrisa średnio raz na trzy dni dochodziło do morderstwa.

Jedną z ofiar był czterdziestosześcioletni Anthony Jenkins.

Jenkins był narkomanem – „palaczem” w ulicznym żargonie. Został zastrzelony na chodniku za szkołą średnią na terenie komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej. Stało się to wczesnym wieczorem trzy dni po śmierci Dovona Harrisa. Jenkins przez jakiś czas leżał zakrwawiony na ulicy, a dzieci na deskorolkach mijały go obojętnie. W końcu przypadkowy przechodzień zadzwonił pod 911. Gdy na miejsce przybył detektyw Jim Yoshida z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, zebrał się tam tłum gapiów. Później wspominał sytuację, gdy wraz ze swymi kolegami rozpoczął śledztwo:

– Ludzie śmiali się z nas. Śmiali się, że w ogóle próbujemy coś z tym zrobić.

Nie było to żadne zaskoczenie dla Yoshidy, jednego z doświadczonych pracowników South Bureau. Jednak miał kiepski nastrój, podobnie jak wielu detektywów tego ponurego lata. Gdy spytano go o sprawę Jenkinsa, Yoshida wybuchł:

– Nikogo to nie obchodzi! Nikogo! Nikomu na tym nie zależy!

Potem, późnym wieczorem 11 lipca, nastąpił przełom w sprawie. Policjant z Southeast Francis Coughlin patrolował terytorium gangu Bounty Hunters w Nickerson Gardens i natknął się tam na grupę młodych czarnych mężczyzn pijących alkohol.

Coughlin był policjantem z wydziału do walki z gangami, gdzie pracował już od dziesięciu lat. Miał bladą karnację i rzadzące blond włosy. Mówił o sobie, że pochodzi z typowej rodziny irlandzkich katolików z Bostonu. Choć spędził w Kalifornii szmat czasu, podobnie jak komendant William Bratton nie mógł się pozbyć akcentu ze swoich rodzinnych stron.

Coughlin należał do bardziej wyrobionych funkcjonariuszy z Southeast. Nie potępiał w czambuł wszystkich mieszkańców dzielnicy, jak robili to niektórzy z jego kolegów. Był na tyle rozsądny i krytyczny, by szacować odsetek „kretynów” na bardzo niskim poziomie, lubił też wielu spośród ludzi, których poznawał na ulicach. I podobnie jak wszyscy inni w strefie getta nie mógł zrozumieć, dlaczego ginie w niej tak wiele osób.

– To po prostu surrealistyczne – mówił. Żeby w to uwierzyć, „trzeba to zobaczyć”.

Coughlin natknął się na pijących alkohol mężczyzn w Nickersons, czyli na osiedlu Nickerson Gardens, niedaleko miejsca, gdzie postrzelono Dovona Harrisa. Mężczyźni zobaczyli Coughlina i uciekli. Policjant rzucił się za nimi w pogoń. Jeden z uciekinierów był na wózku inwalidzkim. Odjeżdżał, odpychając się krótkimi, mocnymi ruchami. Coughlin zauważył, że podejrzany wyrzucił torebkę z marihuaną. Miał nadzieję, że znajdzie przy nim nielegalną broń. Nie obchodziła go marihuana. Dla niego i dla wielu spośród jego kolegów narkotyki były tylko pretekstem do zatrzymania, przeszukania i aresztowania członków gangów podejrzanych o inne, niewyjaśnione dotąd morderstwa.

Często właśnie tak wyglądała jego praca. Niewiele mógł zrobić wszystkim tym zabójcom z Southeast, którzy nie zostali ukarani za swoje czyny. Mógł jednak zastosować przepisy dotyczące narkotyków, zdobyć nakaz sądowy i zgłosić naruszenie zasad zwolnienia warunkowego lub okresu próbnego. Nie było to szczególnie trudne – wystarczyło jeździć po okolicy i dokonywać „dobrych obserwacji”, jak policjanci nazywali sytuację, gdy udało im się dostrzec podejrzanego wybrzuszenie pod koszulą czy ukradkowy ruch ręką. Czasem dochodziło wtedy do pościgu, policja zamykała kilka ulic i ściągała do pomocy helikopter. Coughlin był gotów ponieść dodatkowe ryzyko, by znaleźć u podejrzanych broń.

W oczach zatrzymywanych metody Coughlina z pewnością wyglądały jak zwykłe nękanie. W końcu jakie znaczenie ma mała torebka marihuany w miejscu, gdzie ginie tylu ludzi? Ale Coughlin nie robił tego, by poprawić statystyki, podnieść „pozycję” swojego wydziału albo zrazić do siebie młodych mężczyzn z okolicy. Widział Potwora na własne oczy, a sumienie domagało się od niego, by coś z tym zrobić. Starał się więc, jak mógł, nadrobić opieszałość państwa w walce z przestępczością.

Praktyka wykorzystywania „zastępczych przestępstw” w miejsce trudniejszych i droższych śledztw<sup>87</sup> była rozpowszechniona w amerykańskim wymiarze sprawiedliwości. Prawoznawca William J. Stuntz uznał to za szczególnie szkodliwy trend ostatnich dziesięcioleci. W Kalifornii ta polityka zamieniła wykonywanie zwolnień warunkowych i okresów próbnych w swego rodzaju odrębny, nielegalny system prawny, który pozwalał państwu oszczędzać na kosztownych procesach. W związku z tym więzienia stanowe, i tak już wypełnione starymi i chorymi osadzonymi, były jeszcze bardziej zatłoczone.

Policjanci z komisariatu Southeast uważali jednak, że w ich sytuacji konieczne są specjalne środki. Często zdarzało się, że znali nazwisko mordercy, ale nie mogli go postawić przed sądem, bo nikt nie chciał zeznawać. Znajdowali więc przy nim narkotyki albo przyłapywali go na handlu.

– Znacznie łatwiej wsadzić ich do więzienia za narkotyki niż za napaść. W przypadku napaści nikt nie chce udzielać nam informacji – tłumaczył

Lou Leiker, który na początku wieku pracował w Southeast.

Zdaniem detektywów wyrok zastępczy był jedynie triumfem sprawiedliwości nad przemocą, swego rodzaju stanem wyjątkowym skierowanym przeciwko konkretnej osobie.

Dlatego właśnie Coughlin ruszył w pościg za dilerem na wózku inwalidzkim. Złapał go i przeszukał. Znalazł przy nim stary rewolwer.

Rozumiał, dlaczego zatrzymany nosił broń. Czarni mężczyźni w Watts żyli w nieustannym zagrożeniu. Ci, którzy handlowali narkotykami, byli narażeni jeszcze bardziej. A co z tymi, którzy nie mogli uciec? Można powiedzieć, że w przypadku dilerów na wózku groźna napaść była tylko kwestią czasu. Co więcej, właśnie w pobliżu tego miejsca przed kilku laty zastrzelono mężczyznę, który w wyniku wcześniej odniesionych ran postrzałowych jeździł na wózku<sup>88</sup>.

W każdej innej okolicy dwukrotny udział w napaści ze strzelaniną uznano by za niezwykley zbieg okoliczności. Jednak w tutejszym biurze koronera lekarze przywykli do widoku blizn po starych ranach postrzałowych obok tych ostatnich, śmiertelnych obrażeń. Według jednego z lekarzy sądowych wyglądało to tak, jakby traktowano tych ludzi jak żywe tarcze. Za pierwszym razem pociski ich okaleczyły lub sparaliżowały. Za drugim nie uszli już z życiem.

Ten człowiek nosił pistolet, by się bronić. Kiedyś został trafiony i sparaliżowany. Teraz był gotowy na odparcie ataku.

Coughlin wsadził go do więzienia, a broń wysłał do laboratorium.

Szybkie, precyzyjne badania broni palnej należały do tych części śledztwa, które w dużej mierze decydowały o jego sukcesie. Jednak w LAPD laboratorium kryminalistyczne nie mogło sobie poradzić z natłokiem pracy, a przy tym zawsze pozostawało w cieniu laboratorium DNA, którym interesowały się media i opinia publiczna. Analitycy badający broń często musieli tłumaczyć policjantom, czym się właściwie zajmują; dziennikarze często mylili ich specjalizację z balistyką, czyli nauką o ruchu i zachowaniu pocisków, a nie o broni, z której je wystrzelono.

Laboratorium kierowała kobieta cywil, niejaka Doreen Hudson. Podobnie jak La Barbera często musiała improwizować i na różne sposoby

nadrabiać niedobory środków. Morderstwa wśród czarnoskórych mieszkańców dzielnic na południe od autostrady 10 przysparzały laboratorium mnóstwo pracy. Detektywi musieli tygodniami czekać na wyniki. Hudson robiła, co w jej mocy. Traktowała priorytetowo te badania, które były najważniejsze zdaniem detektywów, a nie polityków czy urzędników. Jednak na innych polach przegrywała. Policyjni decydenci kazali niszczyć przejętą broń mimo protestów Hudson, która uważała ją za ważny materiał dowodowy. Musiała też zaakceptować federalny system obrazowania, który policja w Los Angeles wprowadziła przed sześciu laty, choć zdaniem Hudson system ów był daleki od doskonałości.

Baza danych nazywana w skrócie NIBIN (National Integrated Ballistic Information – Zintegrowana Krajowa Informacja Balistyczna)<sup>89</sup> zawierała cyfrowe obrazy pocisków i łusek z miejsc zbrodni oraz skonfiskowanej broni. Bazę można było przeszukiwać za pomocą odpowiedniego algorytmu, co pozwalało szybko i tanio dopasować amunicję użytą podczas zbrodni do konkretnej broni. Hudson wiedziała jednak, że system komputerowy nie dorównuje odpowiednio wyszkolonym i doświadczonym analitykom, opiera się bowiem na uproszczonym cyfrowym odwzorowaniu obrazów mikroskopowych, uzyskanym przy użyciu standardowych procedur. Taki proces eliminował wiele istotnych szczegółów.

Wcześniej technicy przyklejali do ściany zdjęcia pocisków oraz łusek i oglądali je uważnie, porównując każdą mikroskopijną rysę czy zagłębienie z amunicją wystrzeloną do celów badawczych z poszczególnych sztuk broni palnej. Taka metoda nie była zbyt wydajna, ale bardzo skuteczna. W porównaniu z nią nowoczesny system NIBIN był topornym narzędziem i miał jedno niepokojące ograniczenie. Choć policja w Los Angeles i inne służby od lat posłusznie wprowadzały do systemu dane dotyczące pocisków wystrzelonych w celach badawczych z setek rewolwerów, do lata 2007 roku system ani razu nie dopasował naboju użytego podczas zbrodni w Los Angeles do konkretnego rewolweru. Ani razu.

Bryanta zabito właśnie z rewolweru. Dopasowanie pocisku do tego rodzaju broni jest szczególnie trudne. Dokonuje się tego, porównując żłobienia na pociskach z nierównościami we wnętrzu lufy, a nie łuski

z iglicą. Pociski są cylindryczne, a żłobienia i zadrapania, które pojawiają się na ich powierzchni po wystrzale, niejako je oplatają. Z kolei ślady czółka zamka na płaskiej powierzchni łuski są wyraźne i system komputerowy analizuje je bez większych trudności. Dlatego też choć NIBIN radził sobie całkiem nieźle z dopasowaniem łusek do pistoletów półautomatycznych, w przypadku rewolwerów okazał się bezużyteczny. W tym obszarze badań ludzie nadal przewyższali maszyny, ale laboratorium nie miało dość pracowników, by pozwolić sobie na równie czasochłonne badania.

Był to kolejny przykład sytuacji, w której wymiar sprawiedliwości nie wykonywał swych zadań, choć wydawało się, że to robi. Na pozór system NIBIN działał bez zarzutu, był nowoczesny i tani. Jednak w tej ważnej dziedzinie – mniej więcej jedną trzecią broni konfiskowanej przez LAPD stanowiły rewolwery – stwarzał tylko pozory.

Hudson znała Tannellego od lat, a wiadomość o śmierci jego syna ogromnie ją przybiła. Uświadomiła sobie, że ma już dość tego wszystkiego – niemal codziennych zabójstw, nierozwiązanych spraw, trudności, jakich nastęrcza jej tani mechaniczny substytut prawdziwego rzemiosła. „Zbyt długo już to oglądam, zbyt wiele już widziałam”, pomyślała.

Rick Gordon również wiedział o problemach z identyfikacją pocisków rewolwerowych. Domagał się innego rozwiązania. Hudson podjęła więc decyzję: pominą NIBIN. Jej pracownicy będą nadal dostarczać informacje do bazy danych, zgodnie z przepisami, ale jednocześnie stworzą własną bazę danych zawierającą obrazy pocisków wystrzelonych ze skonfiskowanych rewolwerów. Obrazy te będą poddawane tradycyjnym badaniom, to znaczy porównywane osobiście przez analityków.

Tym konkretnym przypadkiem miał się zająć kryminalistyk Daniel Rubin. Rubin był z wykształcenia chemikiem, a jego akcent zdradzał nowojorskie pochodzenie. Zbadał pocisk, który Garrido znalazł na miejscu zbrodni, oraz drugi, wyjęty przez koronera z głowy Bryanta. Przypuszczał, że wystrzelono je z broni wyprodukowanej przez firmy Ruger lub Charter Arms. Trzeba nie lada doświadczenia, by określić producenta broni na

podstawie wyglądu samego pocisku. Rubin zgromadził takie doświadczenie podczas Grubych Lat i znał wszelkie subtelności związane ze swoim fachem. Stworzył własny system rozróżniania poszczególnych rodzajów broni, drobiazgowo analizując każdy z pocisków. Kiedy na strzelnicy używano skonfiskowanych pistoletów czy rewolwerów, opatrywał pociski numerami, by potem móc je łatwo i niezawodnie zidentyfikować.

Rubin zauważył, że standardowe pociski z miedzianym płaszczem używane podczas strzelania prowadzonego na potrzeby NIBIN mają nieco inne odkształcenia niż pociski z płaszczem aluminiowym, które zabiły Bryanta. Znajomy analityka znalazł w pobliskim sklepie zapas tego rodzaju przestarzałej amunicji. Rubin wiedział, że pocisk tego typu może się rozlecieć podczas wystrzału. By tego uniknąć, czasami kryminaliści wypychają spinaczem odrobinę kitu do wydrążenia w części czołowej pocisku. Rubin przypuszczał jednak, że w tym przypadku to rozwiązanie się nie sprawdzi. Aluminiowe płaszcze były zbyt kruche. Zastosował więc metodę, której nauczył się od innego analityka – wkręcił w każdy z testowych pocisków maleńki wkręt. By nie zostawiać żadnych śladów na delikatnym płaszczu, podnosił naboje przez kawałek dętki rowerowej, choć zwykle robi się to przy użyciu szczypców.

Wszystko to było bardzo czasochłonne. Wkrótce Rubin nie zajmował się praktycznie niczym innym. Policja w Los Angeles konfiskowała ponad dwadzieścia sztuk broni dziennie, systematycznie rosła więc liczba rewolwerów czekających na badania. Rubin wyeliminował jeden, potem następny. Wiele razy przyglądał się fragmentom pocisków wystrzelonych do Tannellego, zapamiętał każdy szczegół mikroskopijnej topografii, której szukał. W końcu do grupy rewolwerów oczekujących na badanie dołączyła broń skonfiskowana przez Coughlina, rewolwer 22. Kiedy jednak Rubin chciał się nim zająć, okazało się, że broń nie dotarła do laboratorium – kurierzy zapomnieli ją dostarczyć. Zamówił rewolwer ponownie i czekając na niego, wyeliminował kilka innych sztuk broni.

Rubin tracił nadzieję. Obawiał się, że do końca swojej kariery będzie szukał tej igły w stogu siana – wydrapywał maleńkie numery na pociskach i wkręcał maleńkie śrubki aż do ostatniej godziny spędzonej w tej pracy.

Pocieszał się myślą, że mogło być gorzej. Przynajmniej miał z czego spłacać kredyt.

W końcu 20 sierpnia wziął do ręki kolejną kopertę o wymiarach osiem na trzynaście centymetrów. Zawierała pociski wystrzelone na policyjnej strzelnicy z rewolweru 22, starego modelu Charter Arms Undercover, który w końcu dostarczono z komisariatu Southeast. Rubin usiadł przy mikroskopie, ustawił swoją ulubioną lampę pod odpowiednim kątem i zabrał się do pracy.

Gdy okazało się, że pierwsze żłobienia pasują do siebie, uznał, że to jeszcze niczego nie dowodzi. Już kilkakrotnie wydawało mu się, że jest bliski celu. Potem obrócił małe pociski i obejrzał je ponownie, obrócił raz jeszcze i raz jeszcze spojrzał. W końcu zamknął oczy, nabrał w płuca powietrza i głośno je wypuścił.

Chwilę później wstał z krzesła i odsunął się od swojego stanowiska. Oparł dłonie na biodrach i zapatrzył się w dal. „Nie – powiedział sobie w duchu. – To niemożliwe”. Pokręcił głową i ponownie usiadł do mikroskopu. Ustawił porównywane pociski na nowo, a potem zaczął je obracać w drugą stronę.

Nieco później tego samego dnia Rubin pracował w upale na zewnątrz, w pobliżu portu lotniczego LAX. Wezwano go, by pomógł w gromadzeniu i klasyfikacji materiału dowodowego w miejscu strzelaniny, w której brał udział również funkcjonariusz LAPD. Była tam też Hudson. Przez ponad godzinę Rubin próbował jej coś powiedzieć, ale oboje byli zbyt zajęci pracą. W końcu udało im się znaleźć wolną chwilę. Rubin zdał jej szybko relację ze swojego odkrycia.

Hudson słuchała, marszcząc brwi. Choć mogło się to wydawać dziwne, nie okazywała zbyt wielkiej radości, dowiedziawszy się, że rewolwer skonfiskowany przez Coughlina był narzędziem zbrodni. Jednak polowanie na zabójcę jest trudnym i przerażającym zajęciem, szczególnie na późniejszych etapach śledztwa. To jedno z najniebezpieczniejszych zadań, jakie wykonuje państwo<sup>90</sup>, szczególnie dla tych jego przedstawicieli, którzy stoją w pierwszej linii frontu. Skaggs przypuszczał, że wielu spośród jego kolegów po fachu nie przykłada się specjalnie do pracy właśnie z powodu



nieuświadomionego strachu. Każdy krok w stronę aresztowania zwiększał zagrożenie i stres – bezpieczniej było nie łapać zbrodniarza. Gdy Hudson dowiedziała się o sukcesie Rubina, nie czuła radości, lecz niepewność i niepokój.

Istniały też inne powody, dla których odkrycie Rubina należało traktować z ostrożnością. Broń używana na ulicach często zmieniała właścicieli, szczególnie ta „brudna”. Analitycy z laboratorium kryminalistycznego uważali, że narzędzie zbrodni może być źródłem cennych wskazówek przez tydzień, co najwyżej dwa tygodnie od dnia przestępstwa. Jeśli okres ten był znacząco dłuższy, broń przekazywano już tyle razy, że ustalenie całej listy kolejnych właścicieli było praktycznie niemożliwe.

Można powiedzieć, że przypominało to nieco próbę dotarcia do źródła fałszywych pieniędzy. Pistolety i rewolwery używane na ulicach Los Angeles były, niemal bez wyjątku, niezarejestrowane, zakupione na czarnym rynku taniej, używanej broni. W wielu przypadkach były to bardzo stare modele, które zawędrowały od miejsca ich sprzedaży tak daleko, że nikt nie mógł odtworzyć ich historii. Policjanci z południa Los Angeles byli zdumieni, gdy okazywało się, że broń użyta podczas zabójstwa jest legalna – takie przypadki zdarzały się raz na kilka lat. Mimo stosunkowo surowego prawa dotyczącego posiadania broni, które obowiązuje w Kalifornii, czarny rynek funkcjonuje tam od dziesięcioleci. Starsi członkowie gangów z lat sześćdziesiątych opowiadali, że kupowali broń dokładnie w ten sam sposób i za podobne ceny co ich następcy pięćdziesiąt lat później. Za sto dolarów można było nielegalnie kupić cały arsenał. Gangi miały zwykle kryjówki z większą ilością broni.

Odkrycie dokonane przez Rubina nie oznaczało, że mężczyzna na wózku był podejrzany. Od czasu zabójstwa minęło zbyt dużo czasu, by uznać taką hipotezę za prawdopodobną. Z pewnością jednak był ogniwem w łańcuchu kolejnych właścicieli, który prowadził do mordercy. To dawało pewną nadzieję.

A przynajmniej tak się wydawało. Mężczyzna na wózku nie udzielił policji żadnych pożytecznych informacji dotyczących rewolweru, nie

pojawiły się też inne tropy. Doreen Hudson czekała w napięciu na rozwój wydarzeń, licząc, że ustalenia poczynione w laboratorium doprowadzą do szybkiego aresztowania sprawcy.

– Tymczasem musieliśmy się pogodzić ze smutną prawdą – wspominała później. – To był ten sam ograny scenariusz: kolejne zabójstwo badane przez South Bureau, które nigdy nie zostanie wyjaśnione.

Tymczasem Tennelle postanowił, że w ogóle nie będzie pytał o tę sprawę. Nawet nie sprawdził jej numeru w komputerze. Nie chciał niczego naruszyć ani wywierać żadnego nacisku na detektywów. Ogromnie się ucieszył na wieść o odnalezieniu narzędzia zbrodni, ale ta radość wkrótce zamieniła się w rozczarowanie. Zajmował się swoją pracą, ale nieustannie myślał o sprawie Bryanta.

Skaggs znał tę sprawę z trzeciej ręki – wiedział, co mówiono o niej na odprawach, dostrzegał gniew i ból, jakie budziła wśród jego współpracowników. Nigdy nie zamienił choćby słowa z Tennellem, ale znał go z widzenia. Pewnego dnia zatrzymał się na stacji paliw przy komisariacie i go tam zobaczył.

Widział go wtedy po raz pierwszy od śmierci Bryanta. Czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć właściwych słów. Zabrakło mu odwagi, czego nie doświadczał nigdy, gdy pracował. To jednak była sprawa osobista. Zginęło dziecko policjanta, a śledztwo wciąż nie zostało zamknięte. Skaggs trzymał się na uboczu, zawstydzony. Czekał, aż Tennelle odjedzie.

– Nie mogłem nawet na niego spojrzeć – wspominał później z rozgoryczeniem. – Było mi głupio, że jeszcze nie zamknięto tej sprawy... Nie potrafiłem nawet do niego podejść.

Wstyd prawdopodobnie odczuwali tylko zwykli detektywi. Dla wyższych rangą funkcjonariuszy takich jak De La Rosa śmierć syna jednego z pracowników RHD była jedynie swego rodzaju ciekawostką. Jednak dla detektywów z wydziału zabójstw, dla których wyjaśnienie sprawy miało – albo powinno było mieć – znaczenie pierwszorzędne, śledztwo dotyczące Bryanta było wyrzutem sumienia, podważającym resztki tego, co zostało z morale strefy getta.

Oczywiście wszyscy dobrze wiedzieli, na czym polega problem. Podejrzani prawdopodobnie przypuszczali, że strzelają do wroga, ale – jak często się to zdarzało – trafili w niewłaściwą osobę. Nikt z ich znajomych nie chciał składać zeznań. Wszystko to układało się w powielany od dziesięcioleci scenariusz, dobrze znany detektywom pracującym na południe od autostrady 10. Zabójstwo Bryanta Tannellego nie różniło się niczym od zabójstw wielu innych czarnoskórych mężczyzn, którzy zginęli w ostatnich miesiącach w tej okolicy. Przypominało śmierć Charlesa Williamsa, zabitego tylko dlatego, że nosił dres w nieodpowiednim kolorze, a także śmierć Dovona Harrisa, który przypadkiem znalazł się wśród nastolatków uznanych przez zabójcę za członków wrogiego gangu. Nic dziwnego, że media poświęcały tym sprawom tak mało uwagi.

Tym razem jednak ofiarą był syn policjanta.

Poczucie winy dręczyło nawet młodych detektywów takich jak Corey Farell, nowy partner Skaggsa w komisariacie Southwest. Farell znał Tannellego osobiście, niedawno zaczął też pracę w nowym wydziale. Podobnie jak inni młodzi detektywi podczas cotygodniowych odpraw siedział z tyłu sali i w ponurym milczeniu słuchał najnowszych informacji o postępach śledztwa. Rozmyślał o tym, jak małym zaufaniem darzyła detektywów tak zwana czarnoskóra społeczność. „Okazuje się, że nie potrafimy znaleźć sprawcy, nawet gdy ofiarą jest jeden z nas. O czym to świadczy?”, zastanawiał się w takich chwilach.

Porucznik Lyle Prideaux był szczupłym mężczyzną o jasnorudych, przetykanych siwizną włosach.

Jako jeden z niewielu detektywów wydziału zabójstw rzeczywiście wyglądał na policjanta w tych dniach, kiedy musiał nosić niebieski mundur. Koledzy z pracy dokuczali mu z tego powodu. Oprócz Skaggsa i kilku innych większość detektywów nie czuła się ani nie prezentowała dobrze w swoich starych, wysłużonych uniformach.

Wszystko, co robił i mówił Prideaux, od zwykłego spojrzenia po znaczący uśmiech, świadczyło o przenikliwej inteligencji i wyrafinowanej ironii. W policji Los Angeles dominowało raczej głośnie, rehotliwe

poczucie humoru, zdarzało się więc, że koledzy Prideaux nie rozumieli jego żartów.

Podobnie jak Skaggs, Tennelle i wielu, wielu innych, Prideaux mógłby zrobić karierę w całkiem innej branży, gdyby – tak jak tamci – nie był wyjątkowo nadpobudliwy. Jego ojciec był dyrektorem w United Airlines. Prideaux wychował się w Rolling Hills Estates, bogatym miasteczku na półwyspie Palos Verdes, gdzie wskaźnik przestępczości należy do najniższych w całej Kalifornii.

Jednak kiedy był młody, żadna praca nie wydawała mu się równie pociągająca, jak „jeżdżenie policyjnym radiowozem na świeżym powietrzu, w blasku słońca”. Takie też wybrał zajęcie i już jako dwudziestojednoletni młodzieniec zaczął się piąć po szczeblach policyjnej kariery. Gdy zginął syn Tannellego, Prideaux był dobrze po pięćdziesiątce. W innym zawodzie wciąż miałby przed sobą wiele lat pracy i sięgałby zapewne po kolejne tytuły dyrektorskie, był jednak policjantem, więc myślał raczej o emeryturze. Choć nigdy nie pracował zbyt długo w wydziale zabójstw i nie miał żadnych powiązań ze strefą getta, był sprawnym menadżerem. Zapewnił sobie wysoką pozycję w wydziale kryminalnym, a gdy zginął Bryant, był szefem Wally’ego Tannellego.

Właśnie siedział z żoną w restauracji Lido di Manhattan i wybierał się do miejscowej opery, gdy zadzwonił do niego Kyle Jackson, szef jednostki. Gdy jechał do California Hospital, toczyła się już telefoniczna dyskusja dotycząca tego, kto powinien prowadzić sprawę zabójstwa. W szpitalu spotkał się z Jacksonem i kilkoma innymi wyższymi rangą oficerami, a potem z Wallym Tannellem. Kilka lat później Prideaux wciąż wspominał tę scenę ze ściśniętym gardłem. Tennelle, jak mówił, „wyszedł i przeprosił za niedogodność”.

Decyzja o tym, kto poprowadzi śledztwo w sprawie Bryanta, nie należała do niego. Jednak podobnie jak wszyscy pracownicy RHD z uwagą śledził rozwój wydarzeń. W lutym dowiedział się, że zostanie dowódcą detektywów w nowym Wydziale Zabójstw South Bureau. Do tego czasu śledztwo dotyczące syna Tannellego wciąż nie zostało zamknięte.

Prideaux szukał jakiegoś rozwiązania. Choć według ogólnych standardów policji w Los Angeles sprawa była jeszcze stosunkowo świeża, w strefie getta mogła już wkrótce uchodzić za przestarzałą. Wszystkie tropy prowadziły donikąd, nawet odkrycie narzędzia zbrodni niczego nie zmieniło. Media poświęciły śmierci Bryanta niewiele uwagi. Wydawało się, że tylko pracownicy LAPD są zainteresowani postępami w śledztwie, choć i tych było właściwie niewielu – głównie detektywi tacy jak Skaggs, którzy naprawdę przejmowali się zabójstwami w południowej dzielnicy. I wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli okazję poznać Wally'ego Tannellego.

Prideaux uważał, że sprawa potrzebuje odświeżenia, jakichś radykalnych zmian. Nie znał zbyt dobrze South Bureau, przeprowadził więc, jak to nazywał, „audiosondę”. Zaczął rozpytywać wśród policjantów: Kto jest dobry? Kto umie rozwiązywać najtrudniejsze sprawy w South Bureau?

– Wciąż słyszeliśmy to samo nazwisko: Skaggs – wspominał później.

Słabo pamiętał Skaggsa jeszcze jako młodego funkcjonariusza, lepiej kojarzył Chrisa Barlinga – ekscentrycznego policjanta, który zawsze wyglądał tak, jakby miał piętnaście lat – nie interesował się jednak dotąd ich dorobkiem i reputacją.

Wiedział jedynie tyle, że podczas tych kilku pierwszych tygodni w South Bureau wciąż słyszał ich nazwiska. Najlepszy zespół w Southeast: Skaggs i Barling. Opinie były też krytyczne – nie wszyscy lubili Skaggsa, który miał o sobie dość wysokie mniemanie. Prideaux dowiedział się więc, że ów osławiony detektyw nie znosi sprzeciwu i że „jak czołg Sherman spali las, żeby znaleźć to, czego szuka”. Tak się składało, że Prideaux szukał właśnie shermana.

Rozpytywał także wśród znanych sobie dowódców i policjantów wyższego szczebla. Wszyscy, którzy znali Skaggsa, mówili mu to samo: „Skaggs pracuje w weekendy i święta. Rozwiązuje wszystkie sprawy. I będziesz musiał mu zapłacić fortunę za nadgodziny”.

Prideaux i Skaggs nigdy nie mieli okazji lepiej się poznać. Skaggs traktował Prideaux z lekceważeniem, postrzegając go jako jeszcze jednego biurokrata (nie byłby sobą, gdyby się później zastanawiał, czy to pierwsze

wrażenie było słuszne, nigdy go więc nie zrewidował). Prideaux z kolei szybko przejrzał prawdziwą naturę Skaggsa. Jak mówił później, Skaggs odnosił sukcesy, bo był zorganizowany i wytrwały, miał doskonałą pamięć, był „bystry i wnikliwy”. A poza tym był, jak określił to Prideaux, „bardzo twardym człowiekiem”.

Pytany, co przez to rozumie, Prideaux wyjaśnił, że dobry detektyw z wydziału zabójstw jest bezwzględny. Dzień po dniu wytrwale dąży do celu, używa wszelkich dostępnych metod, by skłonić ludzi do mówienia. Musi ich wypytywać, nachodzić, przenosić, utrudniać im życie. Musi być pozbawiony skrupułów.

– Trzeba być twardym człowiekiem, żeby stale pracować w ten sposób – mówił Prideaux. – To męczące. Wycieńczające. Musisz być twardy, jeśli chcesz zostać detektywem w wydziale zabójstw – dodawał. – Nie chcę, by zostało to źle odebrane. Ale ci detektywi są twardsi niż większość ludzi. – Na koniec powtórzył z naciskiem: – John Skaggs jest *bardzo* twardym człowiekiem.

Za twardego człowieka uważał również Tennellego, oczywiście w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Nie on jeden dostrzegał pewne podobieństwa między Skaggssem a Tennellem – skrupulatność, pozorną łagodność połączoną z ogromną wewnętrzną energią, skrytość, sprecyzowany, jednoznaczny światopogląd, żadnych półcieni i półprawd. Obaj bez wątpienia należeli do tego samego typu ludzi.

Tamtego września Prideaux wezwał Skaggsa do siebie i powiedział mu, że chce, by przejął sprawę Tennellego. Skaggs, jak przystało na typowego Kalifornijczyka, odparł krótko:

– Zajebiście.

Prideaux opisał mu pokrótce całą sprawę i aktualny stan śledztwa. Chciał też, by Skaggs wiedział coś o Tennellem – by zrozumiał, co ta sprawa oznacza dla współpracowników Tennellego, którzy darzyli go ogromną sympatią. Chciał, by Skaggs dowiedział się czegoś o nieustępliwości i energii Tennellego, o jego uczciwości i wysokich standardach.

Szukając słów, którymi mógłby go najkrócej opisać, Prideaux użył najprostszego i najoczywistszego sformułowania.

– On jest tobą – powiedział Skaggsowi.

\*

Prideaux nie dał Skaggsowi wyłączności na prowadzenie sprawy Tannellego. Polecił mu współpracować z Armandem Bernalem, detektywem z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, który do tej pory kierował śledztwem i miał kilka dobrych tropów, ale utknął w martwym punkcie.

Kiedy Skaggs dowiedział się, że będzie musiał pracować z Bernalem, odmówił, ale Prideaux nie dał mu wyboru w tej kwestii.

Prideaux bronił swej decyzji, twierdząc, że jako profesjonaliści Skaggs i Bernal powinni się jakoś dogadać i znaleźć wspólną metodę działania. Nie doceniał jednak siły emocji, jakie detektywi z wydziału zabójstw wkładali w swą pracę, szczególnie w South Bureau, gdzie wszyscy czuli się w mniejszym lub większym stopniu prześladowani – i szczególnie w tak trudnej i kontrowersyjnej sprawie.

Mówiąc w skrócie, decyzja Prideaux sprowadzała się do tego, że Bernal, detektyw alfa z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, był zmuszony współpracować ze Skaggssem, detektywem alfa z konkurencyjnego komisariatu Southeast, bo jego szefowie uważali, że sam nie daje sobie rady. Poza tym oznaczało to, że Skaggs dostanie w końcu sprawę, o której marzył, ale na innych warunkach, niż zakładał.

Sytuacja wyglądała więc nieciekawie. Skaggs nie lubił Bernala i nie był dlań zbyt miły. Bernal zachowywał się bardziej powściągliwie, ale dla wszystkich było jasne, że i on nie przepada za Skaggssem.

Skaggs twierdził, że kiedy obaj zaczęli karierę, doszło między nimi do jakiejś sprzeczki. Była to skomplikowana historia wydobyta gdzieś z otchłani encyklopedycznej pamięci Skaggsa. Bernal mówił tylko, że ich style pracy do siebie nie pasują.

Prideaux miał rację, twierdząc, że Skaggs był jak sherman. Gdy tylko dostał tę sprawę, chciał zrobić to, co robił zawsze: jak najszybciej rzucić się

w wir pracy, przeprowadzić jak najwięcej rozmów, wykorzystać każdą dostępną chwilę, odrzucić fałszywe tropy i odsłonić te właściwe. Chciał atakować. John Skaggs bez oporów stosował taktykę spalonej ziemi.

Bernal był znacznie ostrożniejszy. Skrupulatnie dokumentował wszystko, co robił, by nie powielać swoich działań – „nie strzelać we wszystkie strony”, jak to nazywał, i tym samym nie tworzyć fałszywych tropów.

Uważał, że Skaggs jest lekkomyślny, robi wszystko pośpiesznie, bez odpowiedniego planu i koordynacji. Skaggs, który nienawidził papierkowej roboty i śledztw prowadzonych zza biurka, postrzegał Bernala jako „detektywa formalistę” trzymającego się sztywno schematów i narzuconych z góry procesów.

Plan Prideaux miał jeszcze jedną bardzo istotną wadę. Żaden z detektywów nie dowodził śledztwem w sposób jednoznaczny, co stało w sprzeczności z regułami dotyczącymi partnerstwa, którymi dotąd kierował się Skaggs.

Skaggs zaczął od przejrzenia dokumentacji sprawy. Dokumentacja ta, co było do przewidzenia, tylko go ziryutowała.

Wiedział, że detektywi z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej znali plotki głoszące, że w zabójstwo zamieszani byli członkowie gangu Rollin' Sixties<sup>91</sup>. Widział, że śledztwo było dotąd prowadzone pod tym właśnie kątem – choć prowadzone inaczej, niż zrobiłby to sam Skaggs. Zamiast pojechać w teren, niezmordowanie pukać do drzwi okolicznych domów, rozmawiać ze wszystkimi, których uda się znaleźć, detektywi najwyraźniej czekali na telefony. Było to kolejne pogwałcenie zasad, które opracował wraz z Barlingiem: Nie będziesz siedział na miejscu i czekał. I musisz pozostać otwarty na wszelkie hipotezy, nie możesz dać się uwieść jednej hipotezie lub intrygującej teorii. „Nigdy nie stawiaj wszystkiego na jedną kartę”, mawiał Skaggs.

Sama dokumentacja również nie była tak przejrzysta i uporządkowana, jak by sobie tego życzył. Uważał, że jest „zaśmiecona”. Tylko on wiedział, co właściwie to oznaczało, z pewnością jednak miało coś wspólnego z jego niezwykłą umiejętnością dynamicznego prowadzenia śledztwa, które



w jego wydaniu przypominało nieustępliwą machinę pracą nieustannie do przodu, nigdy zaś nie stanowiło jedynie przypadkowego zbioru relacji z poczynionych tu i ówdzie działań. Nawet jeśli szedł fałszywym tropem, nigdy się nie rozpraszał – eliminował wszystko, co mogłoby odciągnąć go od celu.

Skaggsa szczególnie irytowało drobiazgowo planowanie i dokumentowanie każdego kroku, co z kolei było specjalnością Bernala. Bernal zawsze umawiał się na spotkania telefonicznie, Skaggs zwykle tego nie robił. Traktował South Central jak dwunastowieczną wieś: po prostu zachodził do ludzi i rozmawiał z nimi, przekonany, że najlepsze wyniki daje właśnie zaskoczenie i bezpośredni kontakt. Bernal starał się opisywać każdy kolejny krok i każdy etap śledztwa. W oczach Skaggsa, który uważał, że tylko działania w terenie posuwają śledztwo naprzód, wszystkie te notatki były świadectwem niepewności i rozterek, na jakie detektyw nie powinien sobie pozwalać.

Bernal odnotowywał na przykład wszystkie nieodebrane telefony i wizyty, które nie doszły do skutku, bo nikt nie otworzył mu drzwi. Skaggs uważał tego rodzaju zapiski za „wypełniacz”. Sam nigdy nie zapisałby w dokumentacji śledztwa takich drobiazgów. Jeśli pukał do drzwi i nikt mu nie otwierał, zakładał po prostu, że będzie tam wracał i pukał tyle razy, aż wreszcie ktoś zareaguje. Wiedział też, że jeśli w końcu trafi na mieszkańców takiego domu, ci nie zdołają się wykpić byle wymówkami przed policjantem w krawacie i bez marynarki. Skaggs opisywał w dokumentacji tylko te wizyty, które zakończyły się konkretną rozmową, a nie bezowocne pukanie do drzwi. Jego zdaniem opisy nieudanych wizyt miały jedynie dowodzić, że detektyw ciężko pracował, i stanowić zabezpieczenie na wypadek jakiejś kontroli.

Niektórzy detektywi pracowali właśnie w ten sposób – Skaggs nie potrafiłby tego dokładnie opisać, ale wyczuwał ową metodę na odległość – spełniając na pozór wszystkie wymogi, jakie stawiali przed nimi przełożeni. Nikt nie mógłby się doszukać w ich działaniach błędów czy nieścisłości, jednak brakowało im niezbędnego zaangażowania, determinacji, dynamiki.

Zdaniem Skaggsa praca służąca jedynie spełnianiu formalnych wymogów nie była prawdziwą pracą. Mogłeś dostawać pochwały i pensję, wypełniać dzień wieloma pozornie ważnymi zajęciami i nie rozwiązać przy tym ani jednej sprawy. Skaggs uważał, że w południowym Los Angeles trzeba jeszcze czegoś, wewnętrznej energii, by skutecznie prowadzić śledztwa dotyczące morderstw – detektywa musiało motywować do pracy coś więcej niż obietnica awansu czy „dobrych notowań”. Można było pracować pro forma albo w sposób właściwy dla Southeast, opisany najkrócej i najlepiej mottem handlowców, którego Skaggs nauczył się od Sala La Barbey: „Zawsze dąż do zamknięcia sprawy”. Dlatego nie lubił, gdy detektywi zbyt długo siedzieli przed komputerami lub jedli lunch w restauracjach.

Cały światopogląd i kariera Skaggsa były mocno osadzone w tym samym poczuciu niesprawiedliwości i oburzenia, które dziesięć lat wcześniej kazały Wally’emu Tannellemu odrzucić pracę w RHD. Uważał, że ofiary South Central zasługują na coś więcej niż *pozór* sprawnie funkcjonującego wymiaru sprawiedliwości. Zasługiwały na profesjonalnych fachowców, którzy w pełni pojmują prawdę i grozę ich losu, którzy podchodzą do swojej pracy w sposób bardzo osobisty i mają poczucie misji, a nie tylko starają się zabezpieczyć przed ewentualnymi oskarżeniami o nadużycia czy zaniedbania w pracy.

Skaggs o tym nie wiedział, ale powody jego irytacji sięgały daleko w głąb historii USA.

Prawo karne w Stanach Zjednoczonych zawsze służyło w dużej mierze zachowaniu pozorów. Od samego początku amerykański system prawny był fragmentaryczny i niedopracowany. W próżni prawnej rozkwitały różnego rodzaju ruchy samoobrony obywatelskiej, tu istniała też przestrzeń dla prywatnych wojen i waśni<sup>92</sup>. W XIX i XX wieku policja równoważyła słabość sądów brutalnym traktowaniem i wychowywaniem ludzi<sup>93</sup>. Jeszcze pod koniec lat pięćdziesiątych praca policjantów polegała głównie na zbieraniu z ulicy pijaków i włóczęgów<sup>94</sup>.

Najgorzej jednak sytuacja wyglądała na Południu. W długiej i bolesnej historii tego regionu, wypełnionej dominacją kastową i kontrrewolucją<sup>95</sup>,

kryją się wszystkie czynniki odpowiedzialne za rozwój państwowego monopolu na przemoc.

Jeszcze przed zniesieniem niewolnictwa prawo na Południu było słabe. Właściciele niewolników nie chcieli, by jakiegokolwiek przepisy ograniczały ich władzę. Po wojnie secesyjnej i rekonstrukcji byli konfederaci w brutalny, bezpardonowy sposób ponownie przejęli kontrolę, terrorem zmuszając do uległości wyzwolonych czarnych oraz ich białych popleczników. To przygotowało grunt pod rasistowskie okropieństwa południowego prawa<sup>96</sup>, które są już nieco lepiej znane zwykłym Amerykanom – tendencyjny dobór przysięgłych, system opłat, grupy skazańców skutych łańcuchami – nadużyć tak powszechnych, że czarnoskórzy mieszkańcy Południa odrzucali cały ten system<sup>97</sup>, nazywając go prawem białego człowieka.

Biali konserwatyści popierali systemy prawne, które wydawały się sprawiedliwe, lecz w rzeczywistości służyły utrzymaniu rasistowskich podziałów i z założenia stanowiły grę pozorów<sup>98</sup>. Południowe instytucje prawne teoretycznie przestrzegały porządku konstytucyjnego, ale prawdziwą władzę sprawowano poza obszarem tego porządku<sup>99</sup>. Bezkarne mordowanie było głównym narzędziem układu tworzonego przez zwolenników supremacji białych. Bezkarność jest obrysem prawa, ukazuje kształt ukrytego systemu. Przestrzeń dla bezprawnej przemocy istniała na Południu nieprzerwanie, bo tamtejsze instytucje prawne były na przemian obłudne, skorumpowane, stronnice, nieskuteczne lub zbyt słabe, by walczyć z tym bezprawiem. Dlatego też Południe stało się królestwem mrocznych i przerażających furii, które karmiły się podziałami, samosądem, rasistowskimi ograniczeniami, zastraszaniem świadków, oddolnymi ruchami samoobrony, plotkami, podpaleniami i domorosłą praworządnością opartą na relacjach nazwanych przez historyka Marka Schultza personalizmem<sup>100</sup> – całą tą posępną treścią nieformalnego prawa.

Dla czarnych ten system oznaczał, że można ich bezkarnie pozbawić życia. Biali zabijali ich „za nic”<sup>101</sup>. Co gorsza, czarni mordowali się nawzajem – na polach, w obozach pracy i na wieczornych potańcówkach, gdzie „cięto się nożami i zabijano bez umiaru”<sup>102</sup>. Odsetek zabójstw sięgał

wartości, którą odnotowywano kilkadziesiąt lat później w czarnych dzielnicach północnych miast – a czasem ją przewyższał. W Atlancie w 1920 roku odsetek ten wynosił sto siedem morderstw na sto tysięcy ludzi. W Memphis w 1915 roku liczba ta sięgała stu siedemdziesięciu morderstw<sup>103</sup>. Czarni dopuszczali się nawet linczów w swoim gronie<sup>104</sup>, poddając sprawiedliwości tłumy podejrzanych o morderstwo, którzy uniknęli kary ze strony białych władz.

Biali ludzie „mieli prawo”<sup>105</sup>, jak głosi dziwaczna fraza pojawiająca się co jakiś czas w źródłach historycznych. Czarni ludzie tego prawa nie mieli. Oficjalne przepisy narzucano im tylko po to, by ich kontrolować, a nie chronić. Ścigano drobne przestępstwa, a te poważne puszczano płazem, jeśli tylko ofiarami byli czarni. John Dollard, naukowiec zajmujący się stanem Missisipi w latach trzydziestych, przypuszczał, że wewnętrzne walki wśród czarnoskórych były skutkiem celowego działania białych – a przynajmniej jakiejś niepisanej zмовy. „Trudno się nie zastanawiać, czy wysoki poziom przemocy wśród Murzynów nie służy interesom białej kasty”<sup>106</sup>, pisał.

Być może nie wszystkim wydaje się oczywiste, że bezkarność białych krzywdzących czarnych przyczynia się do wzrostu liczby morderstw wśród czarnych. Jednak gdy ludzie zostają pozbawieni ochrony prawnej i znajdują się w trudnej sytuacji życiowej, prawdopodobieństwo, że zwrócą się przeciwko sobie, rośnie, a nie maleje. Środowiska, w których króluje bezprawie, zawsze są przerażające. Jeśli ludzie mogą się nawzajem traktować, jak tylko chcą, zawsze znajdzie się dość łajdaków, którzy wykorzystają tę sytuację i zamienią to środowisko w piekło. Amerykanie z nostalgią wspominają życie na wsi i cenią sobie ideę lokalnych społeczności, więc twierdzenie, że uciskane mniejszości nie wspierają się solidarnie, lecz zwracają przeciwko sobie, pozostaje w sprzeczności z naszymi narodowymi mitami. Niemniej lokalne społeczności pozbawione odgórnego prawa tworzą własne zasady i własną sprawiedliwość: tutaj rodzą się krwawe waśnie. To, że czarni zostali zmuszeni do życia razem tylko ze względu na kolor skóry<sup>107</sup>, powinno być traktowane jako jeszcze jeden przejaw niesprawiedliwości i segregacji rasowej.

Poza tym biali robili, co mogli, by ograniczyć do minimum przejawy solidarności wśród czarnych. Werbowali niektórych jako szpiegów<sup>108</sup>, faworyzowali „swoich Murzynów”<sup>109</sup> w stosunku do innych czarnych, wykorzystywali ich we własnych rozgrywkach i sporach<sup>110</sup>. Dla ludzi wszystkich ras Południe było tygłem łączącym w sobie czynniki, które prowadzą do wzrostu przestępczości i do licznych morderstw – miejscem, gdzie prawo stanowiło jedną z głównych nagród w pełzającej, niedokończonych rewolucji<sup>111</sup>. Jednak czarni byli społecznością podzieloną wyjątkowo radykalnie, nie mieli przy tym żadnych formalnych środków, które pozwoliłyby im rozwiązywać wewnętrzne spory w sposób pokojowy. Nauczani smutnym doświadczeniem, postrzegali prawo, zarówno to czynne, jak i to bierne, jedynie jako przedłużenie kampanii terrorystycznej przemocy<sup>112</sup>, która zakończyła rekonstrukcję i pozbawiła ich konstytucyjnych przywilejów. Przez wiele lat po wojnie secesyjnej relacje między czarnymi a policją miały do pewnego stopnia charakter sekciarskiej rywalizacji. Czarni z Nashville mówili głośno, że „nie pozwolą się [...] aresztować jakiejś cholernej zbuntowanej policji!”<sup>113</sup>. Czarni walczyli na ulicach i – zupełnie jak sto lat później w rejonie komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej – odbijali przyjaciół z rąk policji<sup>114</sup>. Potem, gdy w miastach Południa powstały dzielnice zdominowane przez jedną rasę – „Black Bottom” w Nashville, „Darktown” w Atlancie<sup>115</sup> – policja wołała się tam nie zapuszczać. Funkcjonariusze „nie patrolowali obszarów, na których najczęściej dochodziło do morderstw wśród czarnych, lecz trzymali się raczej głównych ulic”<sup>116</sup>. Czarne społeczności „przynajmniej do pewnego stopnia same pilnowały porządku”<sup>117</sup>, podsumował tę sytuację pewien historyk.

To wszystko doprowadziło w drugiej połowie XX wieku do wielkiego chaosu. Do miast takich jak Los Angeles napływały ogromne fale imigrantów wychowanych na Południu w atmosferze bezprawia. Nowi mieszkańcy przynieśli ze sobą wysoki odsetek zabójstw<sup>118</sup> i przekonanie, że sami powinni wymierzać sobie sprawiedliwość. Policjanci, z którymi zetknęli się w wielkich miastach, byli pod wieloma względami podobni do

tych, których znali z rodzinnych stron. Funkcjonariusze LAPD zabijali wielu ludzi, nie unikali też walki na pięści.

– Pracowałem z jednym takim, który czasami ściągał pas z bronią i mówił: „Chcesz się bić?” – opowiadał Bernard Parks, były komendant policji, wspominając patrole z lat sześćdziesiątych.

Istniały też jednak znaczące różnice między siłami porządkowymi z południowych stanów a tymi z Los Angeles: tutaj policjantów było o wiele więcej, a przy tym większość z nich znacznie aktywniej wtrącała się w życie czarnych. Zgodnie z nowymi przepisami liczba funkcjonariuszy zatrudnionych w danej dzielnicy rosła proporcjonalnie do liczby i częstotliwości przestępstw. Ponieważ w dzielnicach zamieszkanym przez czarnych wskaźniki przestępczości były wyższe, pracowało tu również więcej policjantów. I tak na przykład w 1961 roku policja Los Angeles poświęcała średnio cztery razy więcej czasu na mieszkańca w obszarze kontrolowanym przez komisariat Newton<sup>119</sup> niż w zachodnim Los Angeles. Czarni imigranci z Południa przywykli do policji, która ich ignorowała. Ci gliniarze byli jednak wszędobylscy, dręczyli ich irytującą „taktyką przewencyjną”.

Ta mieszanina światopoglądów i emocji musiała w końcu eksplodować. W latach sześćdziesiątych płonęły Watts, Newark, Detroit i inne miasta. Cały naród nabrał wtedy dystansu do biurokratycznej sprawiedliwości, zaczął ją traktować ze sceptycyzmem, który w mniejszym lub większym stopniu przetrwał do dzisiaj. Czarny protest przeciwko nadgorliwym systemom policji i prokuratury wciąż jest pożywką dla lewicowych krytyków prawa karnego<sup>120</sup>. Jednak inny poważny problem z tamtego okresu pozostał praktycznie niezauważony – mowa oczywiście o niewystarczającej reakcji władz na przemoc wśród czarnych.

Zamiast zająć się kwestią rosnącej liczby zabójstw w miastach, system sprawiedliwości przyjął postawę permissywną. Na masową skalę ignorował ofiary zbrodni<sup>121</sup>, podczas gdy przestępczość rosła w zastraszającym tempie. Średnia długość wyroku osiągnęła w Stanach Zjednoczonych najniższą wartość właśnie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a nasz wymiar sprawiedliwości należał wtedy do jednych

z najłagodniejszych na świecie<sup>122</sup>. Sądy uniewinniały oskarżonych. Często stosowano zwolnienie warunkowe. W połowie lat siedemdziesiątych tylko jedna trzecia skazanych za morderstwo Kalifornijczyków<sup>123</sup> przebywała w więzieniu przez więcej niż siedem lat, a na ulicach podlegających South Bureau roilo się od niedawno zwolnionych zabójców. Reformatorzy skupiali się na prawach oskarżonych i skazanych, jakby zupełnie nieświadomi, że wyroki są rażąco niskie<sup>124</sup>.

Później wahadło przechyliło się na drugą stronę. Zmiana, która nadeszła w latach osiemdziesiątych, była szybka i bezwzględna. Władzę przejęli zwolennicy twardej, surowej polityki. Jednak skuteczność ich działań osłabiły – paradoksalnie – zbyt wysokie kary za znacznie drobniejsze przewinienia. Policjanci zaczęli ścigać ludzi za „każdą pierdołę”, jak wspominał adwokat Seymour Applebaum.

– I zawsze było to ciężkie przestępstwo. Wszystko jest teraz ciężkim przestępstwem.

W 2007 roku największy odsetek nowo osadzonych więźniów stanowili ludzie, którzy nie stosowali się do kryteriów zwolnienia warunkowego<sup>125</sup>. Przez cały ten czas problem zabójstw wśród czarnych ani trochę nie stracił na aktualności. Co więcej, zmalała liczba rozwiązanych spraw w tej kategorii<sup>126</sup>.

Ponieważ to nie wysokość kary, lecz jej nieuchronność i szybkość<sup>127</sup> powstrzymują ludzi od popełniania przestępstw, czarni wciąż nie czuli się należycie chronieni. Mordercy chodzili wolno, a nowa taktyka walki z przestępczością niepokojąco przypominała grę pozorów ze starego Południa. Nawet gdy oficjalnie zniesiono dyskryminację rasową, sytuacja nie zmieniła się znacząco w stosunku do tego, co czarni migranci pamiętali z Południa. Plaga zabójstw nie była po prostu złym nawykiem, od którego czarni nie potrafili się uwolnić. To sprzyjające warunki roznieciły ją na nowo.

Prawo było niemal równie nieskuteczne także w odniesieniu do białych: odsetek rozwiązanych spraw dotyczących morderstw wciąż jest w Ameryce mniejszy niż w najbezpieczniejszych krajach europejskich<sup>128</sup>. Jednak to, co stosunkowo bezpiecznej, rozproszonej większości białych mogło się

wydawać znośne i akceptowalne, wyglądało zupełnie inaczej w odczuciu czarnych migrantów z Południa. Białym łatwiej było znaleźć pracę, zarabiać i przeprowadzać się w inne okolice, a właśnie takie czynniki kompensują niedostatki i niekompetencję wymiaru sprawiedliwości, dając w zamian niezależność i swobodę. Czarni, którzy sprowadzili się do centrów przemysłowych w XX wieku, nie mieli takich możliwości. Mieszkali w gęsto zaludnionych enklawach, gdzie wymiar sprawiedliwości pod wieloma względami przypominał nieudolną władzę z Południa. Przez wiele pokoleń czarni mieszkańcy Południa doświadczali słabości prawa karnego i postrzegali ją jako główny element systemu zniewolenia. Uważali, że pobłażliwość państwa dla morderców, którzy często nie ponosili żadnej kary, jest wyrazem wrogości tego państwa wobec ich społeczności. W pewnym sensie czarni znów stali się okupowani. Szczególnie w odizolowanych, biednych ośrodkach przemysłowych załatwiali porachunki we własnym gronie, nie odwołując się do prawa.

Pod koniec XX wieku system sądownictwa karnego nie był już tak skorumpowany jak niegdyś. Wielu policjantów i prokuratorów było uczciwymi profesjonalistami, a wysokość ustalanych w sądzie wyroków zwykle nie wiązała się z kolorem skóry oskarżonego. Jednak ponieważ zasięg tego systemu był bardzo ograniczony, rezultaty znów przypominały grę pozorów. Nawet jeśli procedury systemu sądownictwa były przejrzyste i sprawiedliwe, śledztwa dotyczące poważnych przestępstw pozostawały zbyt nieskuteczne, by zrównoważyć skalę morderstw wśród czarnych. Czarnoskórzy obywatele wciąż mieli powody, by nie wierzyć, że prawo będzie ich skutecznie bronić, reagowali więc stosownie do takiej sytuacji. Właśnie w takim świecie żył Skaggs, choć nie przedstawiał go nigdy w tym kontekście. Skaggs widział prostą prawdę: system wydawał się pracować bez wytchnienia, ale nie robił tego, co do niego należało.

Wystarczyło zaledwie kilka tygodni, by doszło do otwartego konfliktu między Bernalem a Skaggsem. Bernal na krótko wyjechał z miasta, a Skaggs zdobył informację, którą sam uważał za „gówniany trop” – doniesienie o czarnym SUV-ie pasującym do opisu auta zabójców. Nie



porozumiał się w tej sprawie z Bernalem. Poszedł prosto do domu właściciela samochodu, zapukał do drzwi i natychmiast ustalił, że SUV należał do Latynosów, a nie do czarnych, więc można było wyeliminować ten trop. Po powrocie Bernal wpadł w złość. Z jego wspomnień wynika, że Skaggs powtórzył coś, co on sam już zrobił, i że nie komunikował się z nim należycie. Skaggs z kolei uważał, że Bernal nie chciał mu pozwolić na samodzielne badanie tropów, a przy tym nie akceptował jego metod.

Tak czy inaczej, detektywi wymienili kilka ostrych słów.

Skaggs nie tracił czasu na kłótnie z Bernalem. Nie próbował dojść z nim do porozumienia. Jak zawsze był szczery i stanowczy. Powiedział Bernalowi, że idzie do Prideaux, by go poinformować, że współpraca się nie układa i że konieczna jest jakaś zmiana. Bernal próbował rozładować sytuację i powstrzymać Skaggsa, ale ten był nieprzejednany. Podobnie jak w odniesieniu do wszystkich innych problemów chciał jak najszybciej znaleźć rozwiązanie i działać dalej.

I tak Lyle Prideaux stanął w obliczu decyzji, której od początku starał się unikać. W jego biurze siedzieli zwaśnieni Skaggs i Bernal. Skaggs zażądał, by przekazano mu całą sprawę i pozwolono swobodnie pracować lub by go od niej odsunięto.

Prideaux westchnął w duchu. Był rozczarowany, że nawet w tak ważnym śledztwie ci dwaj detektywi nie potrafili się dogadać i na pierwszym miejscu stawiali swoje sympatie. Potem jednak uświadomił sobie, że nie ściągnąłby tu Skaggsa, gdyby ten był „jakimś potulnym faceciem, który zamiata wszystkie problemy pod dywan”. Chciał, żeby Skaggs zostawiał za sobą spaloną ziemię, i od początku mógł się spodziewać takiego obrotu spraw, więc sam był sobie winien.

Poprosił Bernala i Skaggsa, by wyszli z jego biura, a potem przez chwilę zastanawiał się nad kolejnym ruchem.

Nie musiał się długo namyślać. Sprawę Tannellego uważał za priorytet w swojej nowej jednostce. Była bardzo ważna dla przyszłości odtworzonego wydziału zabójstw, dla reputacji tegoż wydziału w południowym Los Angeles i dla morale wszystkich jego pracowników.

Bardzo ważny był również osobisty stosunek Prideaux do tego zabójstwa. Podobnie jak wszyscy inni policjanci, którzy znali Tennellego, nie umiał mówić o nim bez wzruszenia. Wiedział, że ma teraz szansę zyskać odpowiednią reputację i dowieść, że zasługuje na swoją pensję.

W następnej chwili zmienił więc losy sprawy Tennellego. Wyszedł z biura i powiedział Skaggsowi, że przekazuje mu śledztwo.

Bernal był zszokowany. Ta decyzja, sama w sobie niezwykła, stanowiła jednocześnie druzgocącą krytykę jego dotychczasowych poczynań. Przede wszystkim zaboląła go ukryta w tym postanowieniu sugestia, że nie zrobił wszystkiego, co mógł.

Bernal nie był obojętnym pozorantem, za jakiego miał go Skaggs. W końcu on także pracował w Grubych Latach w South Central. On także poświęcił swoją karierę pracy w strefie getta i chciał nadrobić zaniedbania, jakich dopuszczono się w tej dzielnicy. Trochę znał Tennellego, a śmierć Bryanta budziła w nim te same uczucia co w innych – nie mógł się z tym pogodzić i uważał, że sprawa musi zostać rozwiązana.

Poza tym Bernal miał osobiste powody, by doprowadzić to śledztwo do końca, i wcale nie chodziło o lojalność wobec Tennellego jako jego współpracownika. Mało kto wiedział, że półtora roku wcześniej we wschodnim Los Angeles, na terytorium kontrolowanym przez Biuro Szeryfa Hrabstwa Los Angeles, zamordowano jego siostrzeńca, a sprawa tego zabójstwa dotąd nie została rozwiązana.

Christian Bernal miał dziewiętnaście lat. Chciał robić karierę w organach ścigania, ubiegał się o pracę w biurze szeryfa. Podobnie jak wielu młodych mężczyzn marzących o pracy w policji miał ogoloną głowę. Syn Bernala siedział z nim w zaparkowanym samochodzie, gdy podszedł do nich napastnik. Sytuacja przypominała sprawę Tennellego. Kuzyni nie byli członkami gangu. Byli młodymi Latynosami, których gangsterzy wzięli za swoich rywali ze względu na ich wygląd. Pociski z rewolweru przebiły szybę i zasypały ich drobinami szkła.

Bernal był w domu, gdy zadzwonił telefon. Odebrał i usłyszał histeryczny krzyk swojego syna:

– Zabili go, zabili go, zabili go.

Do czasu śmierci Bryanta cała rodzina Bernalów nie otrząsnęła się jeszcze po tej tragedii. Armando Bernal, podobnie jak Wally Tennelle, wcześniej stykał się z morderstwami tylko jako policjant. Teraz już wiedział, jakie to uczucie, kiedy Potwór sięgnie po kogoś z najbliższych.

Rick Gordon miał bardzo dobre zdanie zarówno o Skaggsie, jak i o Bernalu, uważał, że obaj na swój wyjątkowy sposób przyczynili się do rozwiązania tej sprawy. Gordon zauważył później, że różne style prowadzenia śledztwa były potrzebne, by sprostać zróżnicowanym wymaganiom środowiska, w jakim pracowali detektywi z wydziału zabójstw. Jego zdaniem podejście Bernala być może nie sprawdziło się najlepiej w przypadku sprawy Tennellego, ale w wielu innych wypadkach jego cierpliwość i skrupulatność przynosiły oczekiwane rezultaty.

Chris Barling miał podobne zdanie, mimo że był chyba największym fanem Skaggsa. Uważał, że Bernal to wytrwały śledczy, który „najpierw chłonie, potem działa”, ale tak się złożyło, że w tym wypadku Skaggs okazał się „właściwym detektywem we właściwym miejscu i właściwym czasie”.

Dużą niesprawiedliwością było stwierdzenie, że Bernal nie posunął sprawy naprzód. W rzeczywistości zrobił bardzo dużo – nim Prideaux oficjalnie przekazał śledztwo Skaggsowi, w dokumentacji znalazły się już zeznania głównych świadków, dane narzędzia zbrodni, opis samochodu i najważniejsze pogłoski krążące po dzielnicy, dzięki czemu Skaggs miał mnóstwo obiecujących tropów. Skaggs przejął sprawę nie beznadziejną, lecz taką, która chwilowo utknęła w martwym punkcie. Bez wątplenia Bernal był w nią głęboko zaangażowany i traktował ją ze zrozumieniem właściwym komuś, kogo dotknęło podobne nieszczęście, podobnie jak Wally Tennelle traktował wtedy sprawy, którymi zajmował się w RHD.

Należy też oddać Bernalowi, że ostatecznie przyjął swoją porażkę z godnością. Pohamował złość i wrócił do pracy pod komendą tego samego porucznika, który odebrał mu najważniejszą ze wszystkich spraw. Z profesjonalizmem i głuchą zawziętością wypełniał swoje pozostałe obowiązki.

Tymczasem Skaggs zabrał się ostro do pracy.

## Wszyscy wiedzą

Zdaniem niektórych jego krytyków z wydziału John Skaggs miał już partnera, którego potrzebował. Za jego plecami złośliwie szeptano o nowym zespole detektywów, na który składał się „Skaggs i Jego Ego”.

Prideaux kazał jednak Skaggsowi dobrać sobie partnera z krwi i kości. Skaggs chętnie widziałby na tym miejscu Barlinga, ale ten był teraz detektywem w randze D-3, więc nie wchodziło to w grę. Dlatego zaprosił do współpracy swego niedawnego młodego partnera z Southwest Coreya Farella.

Wierny swoim zasadom, robił wszystko, co mógł, by jak najczęściej wyjeżdżać w teren i rozmawiać z ludźmi. Pewnego dnia, gdy Farell był zajęty czym innym, Skaggs rozejrzał się po biurze, wypatrując kogoś, kto mógłby mu pomóc. Ponieważ teraz prowadził śledztwo samodzielnie, mógł wreszcie robić to, co uważał za stosowne, i nie zamierzał pozwolić, by cokolwiek pokrzyżowało mu szyki.

Traf chciał, że w pobliżu był Rick Gordon. I tak 1 października, pięć miesięcy po śmierci Bryanta, Skaggs – który potrzebował kolejnego partnera – poprosił Gordona, by mu towarzyszył. Za sprawą takiego zbiegu okoliczności Skaggs i Gordon – prawdopodobnie dwaj najlepsi detektywi strefy getta w owym czasie – wyruszyli razem na tę szczególną misję.

Człowiek z rewolwerem schwytany przez Coughlina należał do całej armii czarnoskórych mężczyzn z South Central, którzy jeździli na wózkach inwalidzkich, chodzili o kulach albo mieli na nogach szyny ortopedyczne. Widywało się ich codziennie na ulicach South Central – ofiary ran postrzałowych, szokujące połączenie tężyzny fizycznej z niedołężnością, młode twarze i bezwładne kończyny. Pytani o przyczynę, udzielali tej samej

odpowiedzi, którą podał potem mężczyzna zatrzymany przez Coughlina. Jedno słowo: „Postrzał”.

Skończył dwadzieścia osiem lat, ale wyglądał na młodszego. Miał małe usta, wąski nos, który rozszerzał się u dołu, i bardzo ciemną gładką skórę. Podbródek oplatało eleganckie, starannie przystrzyżone pasmo zarostu. Nosił jasne wyprasowane ubrania – nawet spodnie, które układały się w luźne fałdy na jego udach. Poruszał się na wózku bardzo sprawnie, obracając koła mocnymi, długimi pchnięciami. Jego ruchy i tempo jazdy przypominały wyzywający, rozkołysany chód zdrowych mężczyzn z ulic południowego Los Angeles. Nie jeździł dość szybko, by uciec Francisowi Coughlinowi, ale Coughlin był szybszy od wielu pełnosprawnych młodych ludzi.

Młody inwalida miał w sobie cichą godność, którą skrywał pod maską znużenia i posępności. W odróżnieniu od wielu gangsterów w jego wieku i sytuacji nie poddawał się szaleństwu i rozpaczcy wywołanym kalectwem. Wysławiał się spokojnie i rozsądnie. Mówił, że chce wyjść na wolność i zacząć naukę. Wydawało się, że naprawdę mu na tym zależy. Kilku policjantów z Southeast znało go osobiście. Nazywali go gangsterem, lecz potem szybko dodawali: „Ale to nie jest zły chłopak”. Niektórzy przyznawali nawet, że go lubią. Był jednym z całkiem licznej grupy normalnych ludzi, którzy na swoje nieszczęście utknęli w świecie gangsterów.

Postrzelono go dwanaście lat wcześniej, gdy wracał z wieczornego meczu w swojej szkole średniej. Samochód jadący ulicą zatrzymał się tuż obok niego, ktoś krzyknął: „Wschodnie Wybrzeże”, potem rozległy się strzały. Trafiło go siedem kul, ale czuł tylko trzy ostatnie. Był zaskoczony, kiedy później dowiedział się o pozostałych. Runął na ziemię i leżał w bezruchu, a jego ciało przenikał piekący ból. Nic więcej. Tylko pieczenie. Następnego ranka, po operacji, do jego sali w King-Drew Medical Center wszedł lekarz. Powiedział chłopcu, że kule roztrzaskały mu kręgosłup. Już nigdy nie będzie chodził. Dzieciak miał wtedy siedemnaście lat.

Gdy Francis Coughlin schwytał mężczyznę z bronią, Bernal natychmiast do niego pojechał. Odwiedził go w areszcie i spytał, skąd ma rewolwer.

Mężczyzna odpowiedział, że kupił go od „palacza” – narkomana palącego crack. Przesłuchiwany wydawał się otwarty i szczery. Szczegółowo opisał bezdomnego narkomana.

Nie był to jednak obiecujący trop. Bezdomny prawdopodobnie nie miał żadnych powiązań z gangami, więc trudno by było go odszukać. Bernal wrócił z Rickiem Gordonem. Mężczyzna na wózku opowiedział im tę samą historię. Gdy do śledztwa dołączył Skaggs, również odwiedził z Bernalem podejrzanego. I usłyszał to samo.

Kiedy 1 października John Skaggs pojawił się w więzieniu Twin Towers, by raz jeszcze porozmawiać z inwalidą, było to już jego czwarte przesłuchanie w tej samej sprawie.

Skaggs był przekonany, że mężczyzna na wózku kłamie – i że należy go przesłuchiwać jeszcze wiele razy, jeśli będzie to konieczne. Jego zdaniem chodziło o zmęczenie materiału – należało podważać zamknięte drzwi tak długo, aż te w końcu ustąpią. Specjalizował się przecież w tego rodzaju działaniu. Dlaczego był pewien, że ma rację? Nie umiał tego wyjaśnić. Zakłamanie podejrzanego było dla niego tak oczywiste, że nie wymagało żadnych wyjaśnień. Ta spostrzegawczość wynikała zapewne z doświadczenia i innej perspektywy właściwej najlepszym fachowcom – Skaggs dostrzegał kłamstwa równie szybko i niezawodnie, jak doświadczony majster dostrzega błędy w sztuce budowlanej.

Gordon i Skaggs siedzieli z czarnoskórym inwalidą w małej sali przesłuchań w Twin Towers.

Mężczyzna na wózku znał już Gordona, więc Skaggs pozwalał swemu partnerowi kierować rozmową, zgodnie z zasadą „jednego prowadzącego”. Gordon zachowywał się tak, jakby podejrzanym był jego dobrym znajomym, którego odwiedził, by powrócić do niedawno przerwanej pogawędki. Podobnie jak Skaggs, Gordon starał się upodobnić przesłuchanie do spotkania biznesowego. Mówił spokojnym, przepraszającym tonem, jakby było mu przykro, że sprawia aresztowanemu kłopot.

Mężczyzna na wózku powtórzył historię o narkomanie, który sprzedał mu broń, dorzucił także kilka nowych szczegółów:

– Facet ma siwą brodę. Jest chudy. Ma jakieś czterdzieści lat.

Gdy Gordon zaczął wypytywać o włosy, mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, jakby szukał tych informacji w pamięci.

– Głównie siwe. Krótko przycięte – powiedział w końcu.

Gordon nieco zwiększył nacisk, nie zmieniając jednak tonu rozmowy. Do tej pory mężczyzna musiał się już domyślić, że znaleziona u niego broń jest powiązana z jakąś bardzo poważną sprawą. Gdyby chodziło o zwykłe gangsterskie porachunki, detektywi z wydziału zabójstw na pewno nie odwiedziliby go aż cztery razy.

Gordon zasugerował, że mężczyzna może zostać oskarżony o ciężką zbrodnię.

– Nie chciałbym, żeby facet taki jak ty trafił na resztę życia do pudła – powiedział.

– Ja też bym tego nie chciał! – dodał szybko mężczyzna.

Gordon nadal przemawiał łagodnym tonem, ale uparcie drażył temat.

– Zależy nam na twojej współpracy, stuprocentowej współpracy. Wydaje mi się, że chcesz nam pomóc, ale...

Mężczyzna milczał.

– O czym myślisz? – spytał Gordon.

Milczenie.

Gordon nieco ściszył głos i zwrócił się do przesłuchiwanego po imieniu.

– Posłuchaj, jak już wspominałem, możemy wymazać wszystko, co nam do tej pory mówiłeś – tłumaczył. – Gdyby to nie była prawda, traciłbym tylko czas, a wolałbym tego uniknąć.

Detektywi z wydziału zabójstw często okłamują podejrzanych, a prawo im na to pozwala. Ale Gordon zastosował jeszcze sprytniejszą taktykę. Zaczął mówić przesłuchiwanemu prawdę. Zwracał się do niego bezpośrednio, bez żadnych podtekstów, jakby rozmawiał z kolegą z pracy.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem zajęty – mówił. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ile spraw prowadzę. Wolałbym sprawdzać prawdziwe tropy, a nie jakieś wymysły. Nie będę na ciebie wkurzony, jeśli się okaże, że to wszystko kłamstwo. Po prostu szukam prawdy.

Gordon powiedział dokładnie to, co myślał. Rzeczywiście miał mnóstwo pracy i rzeczywiście nie chciał marnować czasu na fałszywe tropy.

Skaggs milczał. W końcu mężczyzna powtórzył po raz kolejny, że kupił rewolwer od „jakiegoś narkomana”. Dodał też, że rozmawiali wstępnie o wymianie zestawu stereo.

Detektywi zrozumieli, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Gordon był uparty, ale nie szorstki. Zadawał to samo pytanie na pięć różnych sposobów. W końcu pozornie dał za wygraną i skierował rozmowę na błahe, lekkie tematy.

Detektywi zaczęli się zbierać do wyjścia. Pytali przesłuchiwanego o rodzinę i o dzieci. Mężczyzna powiedział im, że ma „małe dziecko”. Rozluźnił się, mówił swobodniejszym tonem.

– Więzienie to nie jest miejsce dla mnie – tłumaczył. – Chcę się stąd wydostać, wrócić do normalnego życia, wrócić do szkoły.

Detektywi kiwali ze zrozumieniem głowami. Przez chwilę gawędzili z podejrzanym, wreszcie wstali ze swoich miejsc. Gordon rzucił od niechcenia:

– Coś jeszcze? Możesz nam jakoś pomóc?

Chciał mu w ten sposób dać okazję do przekazania jakiejś wskazówki, zawoalowanej informacji. Podczas przesłuchań często dochodziło do takiej właśnie sytuacji. Ludzie bali się zeznawać, więc próbowali pomóc detektywom pośrednio. Czasami zostawiali anonimowe wiadomości, odręczne notatki, które wsuwali pod wycieraczki policyjnych samochodów.

Lecz mężczyzna na wózku nie uciekał się do takich sztuczek. Od razu przeszedł do rzeczy – nagle, zupełnie niespodziewanie. Zmienił ton. Do tej pory zachowywał się niemal nonszalancko. Teraz był skupiony i poważny.

– Cóż, nie będę dłużej kręcił i powiem wam całą prawdę – oznajmił. – Dostałem ten rewolwer od pewnego kolesia.

Detektywi zamarli w bezruchu, czekając na ciąg dalszy. Wtedy mężczyzna otworzył przed nimi drzwi, które Skaggs od początku usiłował wyważyć.

– Nazywają go No Brains, Bezmózg – powiedział.

Gordon i Skaggs wyszli z sali przesłuchań przeświadczeni, że w sprawie w końcu nastąpił przełom. Mężczyzna na wózku nie kupił rewolweru od narkomana. Zapłacił za niego pięćdziesiąt dolarów tajemniczemu



gangsterowi o orzechowych oczach i kręconych włosach, noszącemu przezwisko No Brains. Do wymiany doszło na terenie campusu Southwest College.

Inwalida powiedział, że No Brains należał do gangu One Hundred and Eleven Blocc Crips, odłamu większej organizacji Rollin' Hundreds Blocc Crips. Poprosili, by powtórzył tę nazwę. Choć obaj pracowali w South Bureau od wielu lat, żaden z nich nie znał dobrze tego gangu. Na terenie południowego Los Angeles działało tyle grup tego rodzaju, powiązanych z niewielkimi osiedlami czy kwartałami, że Rollin' Hundreds, działający zaledwie o kilka minut jazdy od komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, mógłby równie dobrze znajdować się w innym kraju. Mężczyzna na wózku powiedział, że No Brains ma dwa tatuaże: łąkę pod okiem i literę B na ramieniu.

Mówił też, że No Brains chodzi z pewną dziewczyną. *Jakąś dziewczyną.* Obaj detektywi nadstawili uszu. Kim ona jest? Jakaś bezdomna? – dopytywali. Mężczyzna zaprzeczył.

– Nie, nic z tych rzeczy. Nie należy do gangu ani nie ćpa.

– Dobra dziewczyna? – pytali dalej.

– Tak – potwierdził.

Gdy przesłuchanie dobiegło już końca, Gordon spytał, dlaczego mężczyzna nie był z nimi szczerzy od samego początku. Udzielił mu odpowiedzi, którą obaj słyszeli już setki razy:

– Mam rodzinę... Nie chcę, żeby ktoś odstrzelił mi głowę... Albo zabił moją mamę i dzieci.

Obiecali, że zachowają jego nazwisko w tajemnicy. Kłamali.

W głowie Skaggsa formował się już pewien obraz sprawy.

Jeden ze świadków przesłuchiwanym na miejscu zbrodni w dzień śmierci Bryanta wspominał o plotce głoszącej, że w sprawę zamieszany jest gang o nazwie Rollin' – coś tam. Słowo „Rollin'” pojawiało się w nazwie kilku gangów z Los Angeles, między innymi gangu Rollin' Sixties działającego na północy. Teraz jednak ten szczegół wydał się Skaggsowi znaczący. Skojarzył go z nowym graffiti, które zauważył wkrótce po

śmierci Bryanta. Widzieli je z Nathanem Kourim, gdy objeżdżali okolice miejsca zbrodni – słowo „Bloccs” wymalowane na ścianie.

Skaggs szukał jakiejś alternatywy dla hipotezy przypisującej morderstwo gangowi Rollin’ Sixties, która jego zdaniem w zbyt wielkim stopniu zaprzętała dotąd uwagę policji i nie przynosiła żadnych rezultatów. Teraz miał już dwie informacje wskazujące na inny gang, czyli Rollin’ Hundreds Blocc Crips.

Tego rodzaju podejście było typowe dla Skaggsa. Od pierwszej minuty śledztwa angażował w nie swą pojemną pamięć, notował w niej wszystkie szczegóły – rzuconą mimochodem uwagę, bazgroły wypisane sprayem na oknie. Komuś innemu takie drobiazgi mogły się wydawać nieistotne. Skaggs wiedział jednak, że wcześniej czy później pomogą mu stworzyć obraz sprawy. Między innymi właśnie dlatego stawiał na pracę w terenie i na bezpośredni kontakt z ludźmi. Powracanie na miejsce zbrodni, wielokrotne odwiedziny u krewnych ofiary, pogawędki z przypadkowymi przechodniami – wszystko to mogło się wydawać innym detektywom stratą czasu, lecz dla Skaggsa każda chwila spędzona w terenie była okazją do wzbogacenia pamięci o kilka ziaren informacji. Wiedział, że w końcu któreś z ziaren ukrytych w tej wielkiej hałdzie okaże się diamentem. Czasami wracał na miejsce zbrodni, parkował samochód, opuszczał szyby i czekał. Wołał: „Jak leci?” do pierwszego lepszego przechodnia i zaczynał pogawędkę.

Teraz przypominał sobie, że podczas jednego z wielu przesłuchań świadków w tej sprawie ktoś wspomniał o bójce, do której doszło w pobliżu wkrótce po śmierci Bryanta. Chris Wilson i jeden z jego braci, członek gangu, który nie chciał rozmawiać z policją, podobno widzieli na swojej ulicy dwóch obcych nastolatków. Wydawało im się, że rozpoznają w nich zabójców Bryanta. Co znamienne, nie wezwali policji. Podbieгли do nich i wyzwali ich do walki, by w ten sposób, zgodnie z ulicznymi standardami, wymierzyć im sprawiedliwość za zabicie syna policjanta, a zarazem ich przyjaciela.

Plotki głosiły, że jednym z tych nastolatków był członek gangu Rollin’ Nineties. Bracia zostali pobici. Jeden z przeciwników ściągnął starszemu

z nich spodnie – tego rodzaju seksualne upokorzenie, podobnie jak groźby i drobne akty przemocy, było powszechnie stosowane w środowisku gangów. Skaggs dobrze wiedział, że wiadomości pochodzące z GIN czasem mają niewiele wspólnego z prawdą, ale ten incydent mógł wskazywać na inne, znaczące i prawdziwe informacje. W tym przypadku wydawało się oczywiste, że zdaniem niektórych gangsterów z dzielnicy Bryanta mordercami byli sprzymierzeńcy Rollin' Nineties, ci zaś współpracowali z Rollin' Hundreds Blocc Crips, swoimi sąsiadami.

Po rozmowie z mężczyzną na wózku Skaggs przypomniał sobie ten właśnie szczegół, który nagle nabrał nowego znaczenia.

Dzięki informacjom z policyjnej bazy danych udało się zidentyfikować dwóch członków gangu Rollin' Nineties, którzy pobili braci Wilsonów. Okazało się, że jeden z nich ma szesnaście lat i ukrywa się przed policją, bo naruszył reguły zwolnienia warunkowego. Poproszono funkcjonariuszy zajmujących się gangami, by wypatrywali go ze zdwojoną czujnością.

Minął tydzień. W końcu Skaggs odebrał telefon z wiadomością, że poszukiwany szesnastolatek, który pobił sąsiadów Bryanta, jest w areszcie. Został zatrzymany przez policjanta z wydziału do walki z gangami, który dostrzegł go w Jesse Owens Park. Szesnastoletni gangster był synem hydraulika z Hot Springs w Arkansas, który przyjechał do Los Angeles trzydzieści lat przed wielką falą migracji i został tu na stałe, zachwycony urodą miasta. Większość członków rodziny hydraulika radziła sobie całkiem dobrze. Jeden syn pracował w transporcie miejskim, a drugi w firmie kurierskiej UPS. Ten jednak wybrał inną drogę.

Ojciec zmagał się z problemami najmłodszego syna już od kilku lat. Podobnie jak wielu czarnoskórych rodziców mieszkających w Los Angeles wyczuwał niebezpieczeństwo napierające ze wszystkich stron. Tak samo jak Wally Tennelle bał się, że jakiś gang w końcu zwerbuję jego synka. Jednak w odróżnieniu od Tennellego nie ufał wymiarowi sprawiedliwości i martwił się, że chłopiec może zostać skrzywdzony również przez policję. Uważał, że wielu funkcjonariuszy bardzo źle się prowadzi i jest uprzedzonych do czarnych. Wysłał swego syna na drugą stronę miasta, do

szkoły średniej w Beverly Hills. Ale chłopiec ukrył w szafce pistolet śrutowy i został przyłapany przez władze szkoły, jak twierdził ojciec.

Dzieciaka zawieszono w prawach ucznia, a sąd dla nieletnich przydzielił mu dozór kuratorski. Jednak kiedy chłopiec zetknął się z systemem sądownictwa karnego, sprawy szybko potoczyły się w złym kierunku. Naruszył warunki dozoru i trafił do obozu dla nieletnich przestępców. Kiedy stamtąd wyszedł, był już innym człowiekiem, młodym gangsterem. Później ojciec sam oddał go w ręce policji. Był to prawdziwie desperacki krok, ale mężczyzna miał nadzieję, że więzienie nauczy syna rozumu. Tymczasem kiedy dzieciak wrócił na wolność, był jeszcze bardziej zdeprawowany i bezwzględny.

Chłopiec miał jasnobrązową karnację, zapadnięte policzki i kwadratową brodę. Wyglądał na nieco więcej niż szesnaście lat, był szczupły i wysportowany. W tamten wtorkowy wieczór, gdy Skaggs pojechał do komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, by się z nim spotkać, chłopak nie zachowywał się jednak z nonszalancją, jakiej można by oczekiwać po zaprawionym w bojach członku Rollin' Nineties Crip. Miał oczy pełne łez.

Aż do tej chwili Skaggs przypuszczał, że ten młody kryminalista może być zabójcą. Jednak gdy tylko przyjrzał mu się uważniej, zmienił zdanie i strategię. Kiedy wspomniał o skrzyżowaniu, przy którym zastrzelono Bryanta, chłopak od razu spytał, czy chodzi mu o zabójstwo „syna policjanta”. Skaggs chciał wiedzieć, dlaczego młody gangster płacze.

– Chodzi o mojego tatę – odparł chłopak. Wszystko wskazywało na to, że znów przegapi jego urodziny: odkąd skończył czternaście lat, wszystkie urodziny ojca spędzał w więzieniu i bardzo mu zależało, by tym razem w nich uczestniczyć.

Choć często używał slangowych określeń, potrafił ich unikać, gdy tylko zechciał. Skaggs poprosił go, by mówił głośniej i wyraźniej, argumentując:

– Mój partner nie jest zbyt bystry.

Skaggs uwielbiał się w ten sposób droczyć z Farellem podczas przesłuchań. Robił to wiele razy, wykorzystując fakt, że młodszy detektyw

nie mógł się bronić: musiał siedzieć cicho w kącie i słuchać, przestrzegając zasady „jednego prowadzącego”.

Młody gangster okazał się cennym i wdzięcznym świadkiem. Miał dobrą pamięć, wykazał się nawet pewną dozą talentu literackiego, podawał szczegóły dowodzące, że jest bystrym obserwatorem. Dał im wyraźnie do zrozumienia, że jest gotów pomóc, jeśli tylko nie będzie musiał się pokazywać w sądzie.

– Mówicie, że moje nazwisko nigdzie się nie pojawi. Wierzę wam – powiedział.

„Wszyscy wiedzą”.

Właśnie tej frazy używał kilkakrotnie przez następne pół godziny.

Wszyscy, jak twierdził – to znaczy kilkadziesiąt osób w środowisku gangsterów – wiedzieli o śmierci Bryanta. Wiedzieli, kto to zrobił i dla jakiego gangu. Wszyscy wiedzieli. Wszyscy o tym mówili.

Sprawdziło się to, co przypuszczał Kelle Baitx – z zeznań młodego gangstera wynikało, że podejrzani mieszkali w promieniu kilku kilometrów od miejsca zbrodni i że należeli do podziemnego kręgu, w którym aż huczało od plotek o zabójstwie. Ta sprawa przypominała wszystkie inne: była raczej wiedzą publiczną, a nie tajemnicą, wszyscy znali jej głównych bohaterów – wszyscy prócz policji.

Świadek mówił, że w maju był w Hot Springs, gdzie odwiedzał swoją babcię, gdy dotarła do niego wiadomość od dziewczyny o przezwisku Hollywood. „Ułukliśmy dziada”, powiedziała. Chłopak był zadowolony, bo oznaczało to, że zabito członka konkurencyjnego gangu.

– Cieszyłem się, myślałem sobie: „Super” – wspominał.

Ale potem zadzwonił do niego jeden z kumpli, wyraźnie zaniepokojony. „Ułukli syna gliniarza gdzieś koło Normandii. Policja szaleje. Kurwa!” Kumpel poradził mu, by został w Arkansas na dłużej.

Potem chłopak dostał jeszcze kilka podobnych telefonów. Wszyscy powtarzali, że „dziad” okazał się synem policjanta, a gliniarze przeczesywali całą okolicę. Ludzie bali się, że wpadną w obławę i „posiedzą za to gówna”.

Kiedy szesnastolatek wrócił do Los Angeles na początku września, w jego dzielnicy wciąż wrzało. „Trzymaj się z dala od Bloccs – ostrzegali go przyjaciele. – Utknęli tego czarnucha, ciągle kręcą się tam gliniarze”.

Mieszkańcy dzielnicy mieli tego dość, byli wściekli. „Ten Baby Man z Bloccs jest głupi”, powiedział ktoś.

Baby Man. Szesnastolatek znał tego gangstera. „On to zrobił? – spytał ze zdziwieniem. – To wariactwo!” Z dnia na dzień poznawał coraz więcej faktów.

– Ludzie ciągle o tym gadają – mówił Skaggsowi. – Wszyscy wiedzą!

Zwykle członkowie gangów z zadowoleniem podchodzili do wzmożonych działań policji, bo było to potwierdzenie skuteczności i znaczenia ich ataków. Najlepiej wyrażało to slangowe określenie „rozciągnięcie taśmy”. Gangster, który „rozciągnął taśmę”, pomyślnie wykonał swoją misję – zabił lub okaleczył rywala. Policja otaczała taśmą miejsce przestępstwa tylko wtedy, gdy ktoś zginął lub został ciężko ranny, dowodziło to więc, że napastnik nie chybił ani nie stchórzył. Był to swego rodzaju order, świadectwo odwagi.

Lecz ta sprawa była inna. W przypadku większości gangsterskich porachunków działania policjantów ograniczały się do „rozciągnięcia taśmy”. Jednak gdy zginął syn jednego z nich, „zrobiło się gorąco”. „Trzymaj się z dala od Bloccs – mówili ludzie. – Trzymaj się z dala od Baby Mana”.

Wystarczy trochę wytrwałości i wysiłku, a sprawy zaczną się toczyć same. Śledztwo prowadzone przez Skaggsa nabierało rozpędu. Miał już dwa przezwiska: No Brains i Baby Man. Obaj byli członkami gangu Blocc Crips. Wyglądało na to, że nikt nie będzie tracił więcej czasu na Sixties.

Skaggs nadal jednak obracał się głównie w kręgu ulicznych plotek, a dobrze wiedział, że wiele spraw utknęło właśnie na tym etapie. Fraza „wszyscy wiedzą” odnosiła się do wielu niewyjaśnionych morderstw dokonanych na południe od autostrady 10.

Skaggs spytał szesnastolatka o prawdziwe nazwisko Baby Mana. Chłopiec nie mógł go sobie przypomnieć.

– Nazywa się... jakoś na D... D... D... – zastanawiał się głośno.

Detektyw spytał więc, jak wygląda domniemany morderca Bryanta.

– Ciemna skóra. Dziwna głowa – odparł chłopak. Powiedział, że Baby Man ma około siedemnastu lat, potem zaś dorzucił jedną ze swych opisowych uwag: – Suche, szorstkie dłonie.

Skaggs uparcie drążył temat. O co chodziło z tą głową?

– Ma owalny kształt, wygląda trochę jak jajo, rozbite jajo! – wyjaśnił szesnastolatek.

Farell mimowolnie parsknął śmiechem. Młody gangster również się roześmiał.

– Kiedy zobaczysz jego zdjęcie, zrozumiesz, co mam na myśli – zapewnił Skaggsa.

Szesnastolatek dodał również, że spotkał Baby Mana w Jesse Owens Park, na zebraniu członków gangu. „Co jest, stary? Zastrześliś tego czarnucha? Zastrześliś dzieciaka glińiarza?”, spytał go w obecności innych gangsterów.

Baby Man był przerażony. Dobrze wiedział, ile problemów mieli z powodu tego morderstwa mieszkańcy dzielnicy. Zaprzeczył przy wszystkich oskarżeniach szesnastolatka. Potem odciągnął go na bok i prosił: „Nie mów takich głupot”. Nie przyznał się do morderstwa, ale i niczemu nie zaprzeczył. Powiedział, że się boi i że nie wie, co robić. „Stary, pójde siedzieć!”, lamentował.

Szesnastolatek wciąż nie mógł sobie przypomnieć jego imienia ani nazwiska, wiedział tylko, że zaczyna się na D.

Powiedział detektywom, że Baby Man nie cieszy się szczególną sympatią wśród innych gangsterów.

– Coś z nim jest nie tak – mówił. – Jest głupi.

Skaggs już otwierał usta, by zadać następne pytanie, lecz chłopiec przerwał mu raptownie.

– Devin! – wykrzyknął triumfalnie. – Tak ma na imię: Devin!

Devin Davis, który w chwili śmierci Bryanta miał szesnaście lat, przebywał właśnie w obozie dla młodocianych przestępców po tym, jak w ciągu miesiąca dwukrotnie złapano go z bronią. Bez trudu udało się go namierzyć w policyjnej dokumentacji. Był już kilkakrotnie aresztowany

i trafił do policyjnej bazy danych dotyczących gangów – były tam jego zdjęcie, dane osobowe, przezwisko Baby Man oraz trzy lub cztery inne pseudonimy, a także informacja o przynależności do Blocc Crips.

Znacznie gorzej wyglądała sytuacja w przypadku No Brains. Skaggs nie miał dość informacji, by go zidentyfikować. Nie znalazł w dokumentacji nikogo, kto pasowałby do jego opisu. Nadal szukał, gdy zadzwonił do niego zastępca szeryfa zajmujący się gangami.

„Znajomy” zastępcy wiedział, kim jest No Brains. Opisał go jako starszego członka gangu Blocc Crips, mężczyznę o jasnobrązowej skórze i zielonych oczach, który obecnie przebywał w więzieniu. Nie znał jednak jego nazwiska.

Śledztwo zmierzało już nie tylko we właściwym kierunku, ale i z odpowiednim rozpędem. Skaggs i Farell pracowali pełną parą. W połowie listopada uzyskali nakaz przeszukania domu Devina Davisa. Skaggs poznał jego matkę. Sandra James, miła, pobożna i dobrze wychowana kobieta, chętnie z nimi współpracowała. Wychowała inne dzieci, które dobrze radziły sobie w życiu, uczyły się i pracowały, jak wyznała Skaggsowi. Ale Devin, najmłodszy, miał ADHD. Zatruewał jej życie licznymi problemami.

W sypialni Devina Skaggs znalazł to, czego szukał: zapiski wychwalające Blocc Crips podpisane pseudonimem „Baby Man”.

I jeszcze coś: kawałek papieru z numerem telefonu i przezwiskiem – No Brains.

Skaggs miał więc już dowód, że obaj członkowie Blocc Crips znali się wcześniej. No Brains był jednak nieuchwytny. Co prawda, Skaggs wiedział, do którego więzienia i bloku został przydzielony No Brains, lecz nadal nie mógł wydobyć konkretnych danych od zastępców szeryfa nadzorujących więzienie. Wydawało się, że ci po prostu nie są w stanie go namierzyć.

Dopiero po dwóch tygodniach zmagania z biurokracją więzienną Skaggs dowiedział się, kim właściwie jest No Brains i gdzie może go znaleźć. W pewnym momencie zagroził, że sam przespaceruje się po bloku więziennym – nie sądził, by miał jakieś trudności z odszukaniem zielonookiego gangstera o jasnobrązowej skórze i tatuażach gangu Blocc



Crips. W końcu podano mu potrzebne informacje. Poszukiwany więzień nazywał się Wright Lawrence.

To nazwisko nie pasowało do kartoteki żadnego przestępcy. W stanowej bazie danych z odciskami palców widniał niejaki „Lawrence Wright”. Skaggs był zirytowany – władze nie potrafiły utrzymać porządku we własnych dokumentach – ale nie zaskoczony. Wiedział z doświadczenia, że ze względu na mnóstwo przezwisk, pseudonimów i fałszywych nazwisk, którymi posługiwali się przestępcy, całkiem często skazani trafiali do więzienia pod niewłaściwym nazwiskiem. Problem ten dotyczył także innych dokumentacji – ofiary zabójstw nosiły różne nazwiska w różnych bazach danych. Ogromne zamieszanie panowało wśród latynoskich nazwisk: meksykańscy imigranci mieli zwykle jedno imię lub dwa i dwa nazwiska – najpierw ojca, a potem matki. Jednak formularze więzienne, stworzone zgodnie ze zwyczajami panującymi w języku angielskim, przewidywały miejsce na dwa imiona i jedno nazwisko. W rezultacie nazwiska pochodzące z języka hiszpańskiego często były okrojone.

Podobne kłopoty mogły sprawiać władzom imiona i nazwiska czarnych. Oprócz długiej listy przezwisk i przydomków czarnoskórzy mieszkańcy Los Angeles mieli często wiele nazwisk w różnych odmianach, pisanych na różne sposoby, czasem z apostrofami w nietypowych miejscach. Nic dziwnego, że te imiona i nazwiska często przekręcano w oficjalnych dokumentach, nawet w aktach zgonu. Policjanci korzystali z odcisków palców i innych skomplikowanych systemów identyfikacji, by dojść, kto jest kim.

Skaggs wrócił do swojego komputera i ponownie zabrał się do pracy. Szukał danych dotyczących członka gangu Blocc Crips znanego jako Wright Lawrence – dat, adresów, aresztowań – i porównując informacje z kilku różnych baz danych, wreszcie ustalił jego prawdziwe nazwisko: Derrick Starks.

Zadzwoił do pracowników biura szeryfa, by ich poinformować, że przetrzymują Starksa pod niewłaściwym nazwiskiem. Kilka miesięcy później Skaggs sprawdził, czy poprawili ten błąd. Nie poprawili. Przez cały ten okres Starks figurował na liście więźniów jako Wright Lawrence.

Derrick Starks, który w chwili śmierci Bryanta miał dwadzieścia pięć lat, był członkiem gangu Blocc Crips, jego kartoteka obejmowała przestępstwa typowe dla gangsterów z południa Los Angeles, takie jak kradzież i usiłowanie włamania. Urodził się w Luizjanie, skąd pochodziła jego rodzina. Matka Starksa była jednym z siedemnaściorga dzieci. Obecnie pracowała jako agent nieruchomości, a w wolnym czasie ochotniczo pomagała rodzinom, których dzieci padły ofiarą zabójstwa. Starks miał starszego brata, studenta college'u. Sam przysparzał swej rodzinie licznych problemów. Wychowany w okolicy Century Boulevard, jako nastolatek dołączył do gangu Blocc Crips.

Aktualnie przebywał w więzieniu w związku z oskarżeniem o włamanie i naruszeniem zasad zwolnienia warunkowego – chodziło o spowodowanie wypadku samochodowego. Pojazd uderzył w słup telefoniczny 15 maja, cztery dni po śmierci Bryanta, a Starks został aresztowany. W raporcie napisano, że to właśnie Starks prowadził w chwili wypadku. Towarzyszyła mu wtedy jedna osoba: dziewczyna.

W raporcie odnotowano oczywiście markę, model i kolor samochodu – był to czarny chevrolet suburban.

Suburban i dziewczyna. Ta ostatnia informacja szczególnie ucieszyła Skaggsa – liczył na to, że Starks nie był sam. Odkąd mężczyzna na wózku wspomniął, że No Brains spotykał się z „dobrą dziewczyną”, detektyw miał nadzieję, że uda mu się ją namierzyć. Dziewczyna w samochodzie gangstera mogła zostać cennym świadkiem. Członkowie gangów nierzadko wozili ze sobą młode kobiety, które wcale nie miały na to ochoty – jeśli nawet nie zmuszali ich do tego, to nie pozostawiali im też wielkiego wyboru. Dziewczyny nie padały tak często ofiarą przemocy jak młodzi mężczyźni – a przynajmniej tak często do nich nie strzelano – więc łatwiej było nakłonić je do współpracy.

Skaggs nie musiał się spieszyć. Obaj podejrzani znajdowali się w rękach policji – Devin Davis w obozie, a Derrick Starks w więzieniu. Nie mogli mu uciec.

Jak wynikało z policyjnego raportu, dziewczyna towarzysząca Starksowi w dniu wypadku nazywała się Jessica Bailey. Skaggs był pewien, że to

falszywe nazwisko. W bazie danych wydziału drogowego znalazł adres *Jennifer Bailey* mieszkającej na terenie kontrolowanym przez gang *Hundreds Blocc*. *Jennifer Bailey* nigdy nie była aresztowana. *Skaggs* wprowadził jej adres do innej policyjnej bazy danych i znalazł kolejne nazwisko: *Jessica Midkiff*.

*Jessica Midkiff* była siostrzenicą *Jennifer Bailey*. Miała sporą kartotekę, bo przez długi czas trudniła się prostytutką. W dokumentach odnotowano również, że ma tatuaż na szyi. *Skaggs* wyciągnął jej zdjęcie. *Midkiff* była ładną dziewczyną o jasnej skórze, ale wielki tatuaż na jej szyi wyglądał okropnie. *Skaggs* pokiwał głową i mruknął do siebie:

– To chyba jest moja *Jessica*.

Był piątek 30 listopada około trzeciej po południu. *Skaggs* miał już ułożony plan działania na kilka następnych godzin. Chciał, by najlepszy zespół obserwacyjny *LAPD* natychmiast rozpoczął inwigilację *Midkiff*, dzięki czemu on sam miałby czas zająć się „masą wskazówek” i szukać innych powiązań. Jednak nie wszystko ułożyło się po jego myśli. Kiedy zadzwonił do centrali, odmówiono mu. Ktoś powiedział, że zespół z *SIS* (*Special Investigations Section* – Specjalnej Sekcji Dochodzeniowej) jest zbyt blisko powiązany z *RHD*. *Skaggs* zaklął pod nosem. Zadzwonił do zespołu obserwacyjnego w *South Bureau*. Okazało się, że wykonuje teraz inne zadania. Przez kilka następnych godzin wydzwaniał w różne miejsca, szukając kogoś, kto zajmie się obserwacją i zatrzymaniem *Jessiki Midkiff*. W końcu skierowano go ponownie do zespołu *South Bureau*, który w międzyczasie skończył poprzednie zlecenie. *Skaggs* pomyślał z goryczą, że zawsze tak to wygląda.

Wszystko, wszystko było trudniejsze, niż może się wydawać.

Tego wieczora pracował do późna, potem wrócił do domu i czekał.

## Świadek

Tatuaż na szyi Jessiki Midkiff przedstawiał anioła. Był zdecydowanie za duży, wydawało się, że anioł chce objąć całą szyję i udusić dziewczynę.

Skaggs spotkał się z nią po raz pierwszy w małej celi w podziemiach komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej. Midkiff była drobną dwudziestodwulatką o jasnej skórze, brązowych oczach, zgrabnym nosku i kasztanowych oczach. Miała lekko wysunięty podbródek i czarne, łukowate, starannie wymodelowane brwi. Była ubrana w szare dresowe spodnie i skąpą, cienką bluzkę – zbyt skąpą i zbyt cienką jak na grudniowy wieczór. Była bosa. Pociągała nosem i pochlipywała cicho, wystraszona.

Kilka godzin wcześniej policjanci obserwujący jej dom zobaczyli, jak wychodzi na zewnątrz i wsiada do auta. Pojechali za nią i aresztowali ją na pobliskiej stacji benzynowej. Skaggs spytał Midkiff, czy wie, dlaczego się tutaj znalazła.

– Nie, przyrzekam, nie wiem! – wychlipała.

Skaggs odpowiedział z właściwym sobie luzem, jakby właśnie umawiali się na kolację:

– W porządku. Porozmawiamy sobie.

Ale Midkiff już mówiła, najszybciej, jak tylko mogła. Między kolejnymi chlipnięciami wyjawiała, że ma „lęki”, co zapewne oznaczało jakieś zaburzenia umysłowe. Niedawno skończyła „tę terapię”. Próbowала „żyć dobrze”.

– Nie będę kłamać: przez wiele lat byłem prostytutką. Dlatego chodziłam na tę terapię. – Spoglądała na niego z przerażeniem; bała się, że ponownie trafi do więzienia. Chciała, by Skaggs uwierzył, że niczego przed nim nie ukrywa. – Dostałam nakaz aresztowania w Compton. Do tej pory nie zrobiłam nic złego i nie zamknęli mnie. – Bała się, że straci prawo do

opieki nad swoją córeczką. – To dla mnie bardzo ważne. Zrobię, co tylko mi każecie!

Wydawało się, że to idealna sytuacja. Midkiff twierdziła, że jest gotowa do pełnej współpracy. Ale Skaggs był ostrożny. Miał wrażenie, że dziewczyna jest *zbyt* chętna, *zbyt* „miła”, jak stwierdził później. Wsłuchiwała się w każde jego słowo, patrzyła nań wielkimi załzawionymi oczami spod długich czarnych rzęs. W pierwszym odruchu Skaggs był gotów uznać jej zachowanie za pozę.

Przypuszczał, że Midkiff może należeć do grona podejrzanych, że brała udział w zabójstwie jako kierowca, szykował się więc do ostrego, konfrontacyjnego przesłuchania. Zamierzał ją osaczyć, zmusić do jakiejś pomyłki, która ujawniłaby jej prawdziwą rolę w przestępstwie. Wcześniej dostał jej kompletną obszerną kartotekę. Była doświadczoną prostytutką wielokrotnie przesłuchiwaną przez policję. Miała dość czasu i okazji, by udoskonalić swą grę aktorską.

Kiedy po raz pierwszy wszedł do celi Midkiff, obiecał jej, że czeka ich „bardzo ważna rozmowa; bardzo ważna”. Teraz, gdy dziewczyna była bliska hysterii, zmienił ton. Powiedział jej, że w maju wydarzyło się coś ważnego.

– Usiądziemy sobie i spokojnie pogadamy, ty i ja.

Jednak na wzmiankę o maju Midkiff od razu zaczęła mówić coś o swoim byłym chłopaku.

– Jak on się nazywał? – spytał natychmiast Skaggs.

– Derrick – odparła.

Informacje, które detektyw zamierzał wyciągać ze świadka za pomocą długiej i trudnej rozmowy, teraz spływały nań szerokim strumieniem. Nim jeszcze usiedli do stołu, Midkiff zdążyła przekazać mu masę szczegółów. Najwyraźniej Derrick Starks odegrał w jej życiu ważną i niekoniecznie pozytywną rolę. Mówiła szybko, przeskakując z tematu na temat. Skaggs jeszcze nie zdążył ochłonąć, a Midkiff już przedstawiła mu w zarysie całe swoje życie.

Jako dziecko była molestowana, źle się prowadziła.

Derrick również ją wykorzystywał.

Teraz starała się zmienić.

– Próbuję poskładać swoje życie od nowa, najlepiej jak potrafię – szlochała. – Nie wiem nawet, jak to zrobić, ale próbuję!

Sytuacja wydawała się zbyt sprzyjająca, by mogła być prawdziwa. Skaggs wciąż nie wyzbył się podejrzeń. Poprosił Farella, by wyprowadził Midkiff na górę, do pokoju przesłuchań, podczas gdy on sam pozbierał i uporządkował notatki. Na górze zaczął rozmowę ostrym, twardym tonem.

Podczas przesłuchań nie był brutalny, nie próbował zastraszyć rozmówcy. Nigdy nie podnosił głosu. Umiał jednak wywierać nacisk w inny sposób, okazywać stanowczość i zniecierpliwienie. Jego zachowanie świadczyło o tym, że w pełni kontroluje sytuację i że nie będzie tolerował sprzeciwu. Dotyczyło to zarówno jego zawodowego, jak i osobistego życia. Był człowiekiem spokojnym, ale nieustępliwym. Corey Farell to dostrzegł i uważał, że to jedna z cech, które czynią Skaggsa kimś wyjątkowym. Niektórzy policjanci uważali, że w pracy muszą udawać kogoś innego – Skaggs zawsze był sobą.

Detektyw nie pozostawił Midkiff żadnych złudzeń. Usiadł blisko niej, mówił powoli niskim, stanowczym głosem. Pozwalał sobie na łagodne przekleństwa. Powiedział, że jest detektywem z wydziału zabójstw i że porozmawia z nią o „grubej, cholernie grubej sprawie”.

– Wchodzisz w to czy wypadasz?

– Wchodzę – odparła Midkiff bez namysłu.

Dziewczyna obiecała detektywom, że powie im wszystko, co wie.

– Jak Boga kocham, zrobię to – mówiła. – Ale nie chcę zeznawać w sądzie – dodała.

Nim Skaggs zaczął ją wypytywać, sama podała powody, dla których nie chciała się pojawiać w sądzie. Powtarzała te same argumenty co wszyscy. Jej dziadkowie mieli dom w tej dzielnicy i nie mogli sobie pozwolić na przeprowadzkę.

– Wiem, że spieprzyłam sprawę, bo zadawałam się z nieodpowiednimi ludźmi. Jeśli będę musiała to jakoś odcierpieć, to trudno, odcierpię. Ale nie chcę przez swoją głupotę narażać rodziny!

Derrick Starks dzwonił do niej z więzienia. Bardzo ją to martwiło. Nagle się załamała.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi ludźmi, a nie mogę się ich pozbyć! – stwierdziła, płacząc.

– Tak, ale my możemy – odparł spokojnie Skaggs.

Właśnie o to chodziło: o pozbycie się pewnych ludzi. Rzadko ubierano tę prawdę w takie słowa. Jednak jednym z najważniejszych zadań systemu prawnego jest usunięcie pewnych ludzi na margines. Właśnie dlatego policja dysponuje tak ogromną władzą. Jeśli nie unieszkodliwi się ludzi posługujących się przemocą, będą narzucać innym swoją wolę, dopóki ktoś ich nie powstrzyma. Gdy bezwzględni, brutalni ludzie mogą działać bezkarnie, robią wszystko, co zechcą. Zyskują przewagę. Inni są zmuszeni poddawać się ich woli.

Żadne „więzi” czy „aktywność społeczna” nie zapobiegą temu zjawisku. Ludzie często twierdzą, że rozwiązaniem problemu przemocy jest „sprzeciw” tak zwanej społeczności lokalnej. To niebezpieczna, szkodliwa i fałszywa hipoteza. Trudno oczekiwać od ludzi pokroju Jessiki Midkiff, by sprzeciwiali się zabójcy. Potrzebują bezpieczeństwa, a nie silniejszych przekonań moralnych. Potrzebują potężnej siły zewnętrznej, która zabierze ich prześladowców, odizoluje ich. Właśnie temu służy wymiar sprawiedliwości. I właśnie w to wierzył i temu służył Skaggs.

Skaggs zaczął od ogólników. Przemawiał wciąż tym samym surowym głosem, zawsze używał tej strategii. Mówił znaczącym tonem, nawet jeśli jeszcze nie poruszył właściwego tematu. Prowadził swego rodzaju pogawędkę. Jednocześnie uważnie przyglądał się Midkiff, próbując ustalić, czy dziewczyna kłamie.

– Nasza praca jest bardzo prosta – mówił. – Zawsze staramy się osiągnąć to samo: znaleźć prawdę. To dość łatwe. Akurat w tej dzielnicy wydaje się to trudniejsze, ale sama idea jest prosta. Ktoś został skrzywdzony. Ktoś został zabity. My staramy się dowiedzieć, co dokładnie tam zaszło.

Minęło pięć minut. Dziesięć. Skaggs wciąż krążył wokół właściwego tematu. W końcu, podobnie jak Gordon, postanowił powiedzieć Midkiff prawdę i w ten sposób zmusić ją do odsłonięcia kart.

– Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. Nie wiem, czy nie udajesz, czy umiesz świetnie grać i płakać na zawołanie – oznajmił.

Przez cały ten czas Midkiff popłakiwała i zapewniała o swojej gotowości do współpracy. Skaggs podał jej wodę. Powiedziała, że musi zapalić, żeby się uspokoić. Obiecał, że wyprowadzi ją na zewnątrz na papierosa. Dodał, że wkrótce rozpoczną bardzo ważną rozmowę. Wtrącał niejednoznaczne uwagi, które miały tłumaczyć, co właściwie teraz robi.

Wydawało się, że Skaggs dysponuje nieograniczonym zasobem niedopowiedzeń i komunałów, które wykorzystywał do tego celu. Nigdy nie używał słowa „przesłuchanie”. „Coś, co musimy sobie wyjaśnić”, mówił. „Coś, z czym wszyscy musimy sobie poradzić”, „ułożyć na właściwym miejscu”.

Midkiff co chwila mu przerywała. Mówiła o swojej córce i o Derricku. Nim Skaggs dotarł do etapu, na którym odczytuje podejrzanemu jego prawa, zaczął już nieco zmieniać swój stosunek do Midkiff. Nadal nie wykluczał, że jest oszustką. Nie widział jednak typowych sygnałów, które by to potwierdzały. Nie potrafił jej rozgryźć.

Złagodził ton. Już nie używał przekleństw. Stwierdził, że będzie z nią rozmawiał o „ważnej sprawie”, a nie o „cholernie grubej sprawie”.

– Spójrz na mnie – poprosił. – Jeszcze nie zdecydowaliśmy, co stanie się z tobą dzisiejszego wieczora.

Odczytał jej prawa swobodnym, spokojnym tonem, a potem przeszedł do rzeczy.

Kiedy jednak wypowiedział słowa „strzelanina w Western”, Midkiff wydawała się skonsternowana. Nie rozumiała, o czym mówi.

– Western? – powtórzyła.

Myślała, że Skaggs będzie ją wypytywał o to, jak Starks wjechał suburbanem swojej matki w słup i został aresztowany. To nie zdarzyło się w Western. Uderzył w słup, bo wdał się w strzelaninę z ludźmi jadącymi innym samochodem, choć w raporcie nie wspomniano o tej okoliczności.



Starks prosił również Midkiff, by kłamała podczas śledztwa dotyczącego włamania. Przypuszczała, że policji chodzi o którąś z tych spraw, teraz była więc zdezorientowana. Skaggs wytłumaczył, że chodzi mu o wydarzenia z 11 maja.

Midkiff umilkła na moment, jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie chcę umierać – wyszeptała. – Zabiją moją rodzinę!

– Obiecuję ci, że nie zostawię twojej rodziny bez pomocy – odparł Skaggs.

Dziewczyna nie wahała się długo.

– Chciałam pojeździć jego furą – zaczęła – strasznie chciałam ją poprowadzić... – Roześmiała się gorzko na to wspomnienie.

Kiedy się uśmiechała, miała dołeczki w obu policzkach.

Odkąd Skaggs po raz pierwszy zobaczył Midkiff, minęło ponad pół godziny cichszej gadaniny. Dopiero teraz zaczął zadawać konkretne i ważne pytania.

W dniu śmierci Bryanta Tannellego Midkiff jeździła ze Starksem jego suburbanem. Zabrali dwóch ciemnoskórych nastolatków – jednego z nich rozpoznała później jako Devina Davisa. Drugiego nie знаła – nigdy nie ustalono jego tożsamości.

Pojechali na północ, do „Eighties”, a Starks wręczył jednemu z nastolatków broń. Chłopcy wyskoczyli z auta i zniknęli za rogiem. Midkiff usłyszała wystrzały. Potem otworzyły się drzwi auta, chłopcy wskoczyli do środka. Starks przerzucił ją nad kolanami na fotel pasażera i przejął kierownicę. Odjechali. „Jestem twardzielem, stary!”, chępił się Devin Davis.

Skaggs chciał znać wszystkie szczegóły. Jednak nadmierny zapał nie pasował do jego ulubionej metody. Zdolność zachowania tego samego spokojnego tempa nawet w chwili największej ekscytacji była czymś, co Nathan Kouri podziwiał u swojego mentora. Uważał, że czyniła ze Skaggsa doskonałego, niezwykle skutecznego śledczego. „My, młodzi, chcemy od razu dotrzeć do celu”, mówił. Skaggs działał inaczej. Gdy Midkiff skończyła swoją opowieść, zarządził przerwę. Odwołał policjantów,

których zebrał wcześniej, by przeszukali dom dziewczyny. Już ich nie potrzebował.

Jessica Midkiff urodziła się w Queen of Angels Hospital w Los Angeles, lecz jej rodzina pochodziła z Teksasu i Alabamy. Była dzieckiem pary mieszanej rasowo, białego i czarnej. Jej ojciec był jednym z tych niewielu biednych białych, którzy pod koniec lat osiemdziesiątych wciąż mieszkali w South Central. Jednak podobnie jak większość dzieci z jej środowiska, które pochodziły z mieszanych małżeństw, Midkiff uważała się za czarną.

Jej rodzice rozeszli się, gdy Jessica była młoda. Jak twierdziła, ojczym wielokrotnie ją gwałcił. Już jako jedenastolatka uprawiała seks oralny za pieniądze, jedzenie i ubrania. Mając czternaście lat, pracowała jako zwykła prostytutka, przeważnie w samochodach.

Prostytutki pokroju Midkiff są właściwie niewolnicami. Często jednak opowiadają o swoim życiu tak, by przydać mu nieco znaczenia i się dowartościować. Nazywała alfonsów swoimi „chłopakami”. Niektórzy byli gorsi, niektórzy lepsi. W jej postrzeganiu świata mężczyzna mógł być „trochę jak alfons”. Miała alfonsów, którzy więzili ją wraz z grupą innych prostytutek i zabierali jej wszystkie zarobki. Miała też chłopaków takich jak Derrick Starks, z którym tworzyła parę, choć i on prosił ją czasami, by zrobiła kilka numerków.

Ojciec jej córki – Jessica spotykała się z nim jako uczennica Washington High – był jednym z tych niewielu mężczyzn w jej życiu, którzy jej nie molestowali ani nie nakłaniali do prostytucji. Jednak gdy zamordowano jego brata, dołączył do gangu i trafił do więzienia.

Jeszcze jako nastolatka Midkiff podróżowała po kraju i trudniła się prostytucją. Pracowała w Los Angeles, Riverside, Las Vegas i Arizonie. Przy Sunset Boulevard oferowała krótkie sesje w samochodzie: seks oralny za pięćdziesiąt dolarów, stosunek za sto, jedno i drugie za sto pięćdziesiąt. Wynajmowali ją bogaci piłkarze, trafiała też na wystawne całonocne przyjęcia, kiedyś zarobiła osiemset pięćdziesiąt dolarów za jeden numer. Pracowała również przy Figueroa Street, w niebezpiecznej okolicy pełnej tanich prostytutek. Tylko najbiedniejsze i najbardziej zdesperowane dziewczyny wystawały przy tej długiej, ponurej ulicy ciągnącej się na

południe wzdłuż Harbor Freeway. Jeszcze wiele lat później wzdrygała się na myśl o tych czasach.

– *Nienawidzę Figueroa* – mówiła.

Co jakiś czas wracała do domu. Jej dziadkowie prowadzili stateczne, uporządkowane życie. Matka wychowywała jej córeczkę. W końcu Midkiff ponownie podjęła naukę w szkole, została nawet przewodniczącą klasy, co napełniało ją niekłamaną dumą. Ale mężczyźni zawsze umieli ją znaleźć. Przeżyła tyle znajomości z alfonsami-chłopakami, tyle pobić, tyle awantur z innymi dziewczynami, tyle gwałtów, podczas których grożono jej bronią, tyle aresztowań za drobne występki, że jej dotychczasowe życie przypominało szalony kalejdoskop. Tylko ona mogła się w nim dopatrzeć jakiegoś porządku i jakiegoś sensu.

Przez długie lata sypiała za dnia i pracowała nocą, przenosiła się z motelu do motelu, zawierała przygodne, często niefortunne znajomości. W wieku dwudziestu jeden lat nie miała żadnego doświadczenia zawodowego, ledwie czytała, nie umiała utrzymywać normalnych dojrzałych relacji. Była oschła, łatwo wpadała w złość. Często kłóciła się z innymi kobietami. Cierpiała też na ostrą nerwicę pourazową, która wywoływała ataki lęku. W najmniej oczekiwanych momentach dopadały ją wspomnienia, niezwykle realne i powodujące ból, który – jak twierdziła – można porównać jedynie z bólem rodzenia.

Pewnej nocy ktoś wysadził ją przy Lincoln Boulevard, ulicy podobnej do Figueroa, gdzie również handlowano tanim żywym towarem. Była wykończona. Poprosiła sklepikarza o drobne na telefon. Tymczasem ten zupełnie obcy mężczyzna dał jej sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt dolarów i ją podwiózł. Choć raz otrzymała pomoc od kogoś, kto nie prosił o nic w zamian. Dzięki jego pomocy pogodziła się z matką, która wzięła ją do siebie. Wkrótce potem zapisała się do programu Mary Magdalene Project w San Fernando Valley, lokalnej organizacji dobroczynnej, która traktowała prostytutkę jako rodzaj uzależnienia. Midkiff uwielbiała ten program. Pobila się jednak z inną kobietą i została wyrzucona.

Wróciła do domu swojej matki w South Central, dzielnicy kontrolowanej przez gang Rollin' Hundreds Bloccs. Jak zawsze przyciągała

uwagę mężczyzn. Pewnego dnia, gdy wracała od manicurzystki na rogu Western i Imperial, spotkała znajomego gangstera o przydomku Thump. Towarzyszył mu znajomy o jasnej skórze, szerokich barach i zmysłowych ustach. Derrick Starks właśnie tego dnia, 3 kwietnia, wyszedł z więzienia.

Zaczęli rozmawiać. Obok zatrzymał się radiowóz z biura szeryfa. Funkcjonariusze założyli im kajdanki i przeszukali ich. Puścili Midkiff wolno, a mężczyznom kazali wsiąść do radiowozu. Zatrzymani żartowali, że zastępcy szeryfa „zepsuli im zabawę”.

Derrick Starks dokończył „zabawę” z Midkiff trzy dni później, gdy dziewczyna szła do sklepu. Nie chciała dać mu swojego numeru telefonu.

– Ale nie wolno zbyt długo odmawiać, bo nie wiadomo, czego można się spodziewać po takim facecie – tłumaczyła później Skaggsowi.

Przywykła już do romansów podszytych śmiertelnym przerażeniem – nie przeszkadzało jej to. Wkrótce zostali parą.

Historia Midkiff przypominała opowieści o życiu wielu innych prostytutek z południa Los Angeles – była odrażająca, dramatyczna i przewidywalna. Każda z tych opowieści podobnie się zaczyna – gwałtem lub molestowaniem w dzieciństwie – i podobnie rozwija. Starzejące się prostytutki oferują coraz więcej za coraz mniejsze pieniądze, byle tylko mieć za co kupić narkotyki. Na końcu tej drogi wyniszczone bezdomne i bezzębne kobiety oferują w ciemnych alejkach seks oralny za nędzne grosze.

Midkiff pod pewnymi względami nie pasowała jednak do tego stereotypu, a Skaggs zaczynał to dostrzegać. Przede wszystkim nie była narkomanką. Owszem, nałogowo paliła i chętnie sięgała po alkohol. Po kilku godzinach obserwacji Skaggs nabrał jednak pewności, że dziewczyna nie jest uzależniona od kokainy ani metamfetaminy. Co więcej, choć miała poważne luki w wykształceniu, bez wątpienia była bardzo inteligentna.

– Nie jest pan złym człowiekiem, to widać – powiedziała Skaggsowi w pewnym momencie.

Miała też doskonałą pamięć.

Skaggs nie dostrzegał jednak, że Midkiff znalazła się właśnie na jednym z najważniejszych życiowych rozdroży. Mówiła prawdę: chciała się

zmienić, choć nie wiedziała jak. Nie mogła liczyć na bajkowe zakończenie swojej historii. Ale to przesłuchanie było punktem zwrotnym, który miał znacząco odmienić życie obojga z nich.

\*

Korzystając z przerwy w przesłuchaniu, Skaggs usiadł w pokoju odpraw i rozmawiał przez komórkę ze znajomym z pracy, wyraźnie rozluźniony i zadowolony. Zakończył połączenie i rozejrzał się dokoła. Jeden z policjantów przygotowywał zdjęcia podejrzanych, które miała obejrzeć Jessica, inny właśnie wyprowadzał ją na papierosa.

Prideaux nie zamierzał nigdzie wychodzić. Wcześniej śledził z ukrycia poczynania Skaggsa i cierpiał męki niepewności, gdy detektyw gawędził z podejrzaną. Teraz jednak już wiedział, że podjął właściwą decyzję, powierzając mu śledztwo. Przez chwilę krążył wokół Skaggsa, szukając okazji do rozmowy.

– Hej, John, potrzebujesz czegoś? – spytał w końcu z wymuszoną swobodą. W jego głosie dało się słyszeć nutę podziwu i szacunku. Można by pomyśleć, że to Skaggs, a nie Prideaux, był tutaj szefem.

– Nie, panie poruczniku – odparł Skaggs. Wiedział, że jeśli nakłoni Midkiff do współpracy, odmieni losy śledztwa, i że jest już na prostej drodze do celu.

W wydziałach zabójstw nie świętuje się zbyt często ani zbyt hucznie. Nawet La Barbera i jego zespół, znani od dawna ze swobody graniczącej z niesubordynacją, nie przybijali piątek ani nie okazywali ostentacyjnie radości, gdy udało im się rozwiązać jakąś sprawę. Stawiali raczej na czarny humor i wzajemne docinki. Co roku przygotowywali na Boże Narodzenie makabryczną kartkę związaną z ich pracą – na przykład zainscenizowane zdjęcie z miejsca zbrodni ze Świętym Mikołajem w roli głównej. Lecz codzienna praca w wydziale zabójstw była na tyle przygnębiająca, że zostawiała niewiele miejsca na radość i żarty. Po spotkaniach z podejrzanymi, świadkami i ocalonymi detektywi wydawali się ponurzy i zmęczeni bez względu na to, jak dobrze poszło im przesłuchanie. Nawet

największym triumfom zwykle towarzyszyły posępne miny. Nie była to wcale poza, lecz naturalna reakcja na ból i cierpienie, jakie powodował Potwór.

Zakończenie śledztwa nigdy nie było powodem do niezmałconej radości. Satysfakcja z osiągnięcia celu nie mogła przesłonić grozy zbrodni. Śmierć Bryanta, bez względu na to, co mogli zrobić w tej sprawie detektywi, już na zawsze miała pozostać czymś niewyobrażalnie odrażającym i przygnębiającym dla wszystkich, którzy się z nią zetknęli.

Dlatego też Prideaux, choć od wielu tygodni czekał na ten moment – na wyraz zadowolenia na twarzy Skaggsa wychodzącego z ważnego przesłuchania – wyraził swoje uczucia tylko w dwóch krótkich słowach.

– Dobra robota – mruknął.

Skaggs odruchowo zniżył głos, dostosowując się do tonu porucznika.

– Tak. – Skinął głową. – Udało się.

Aż do tej chwili nie okazywał żadnych emocji związanych z przełomem w śledztwie, teraz jednak odsłonił się na chwilę, zapewne sprowokowany pełną szacunku postawą Prideaux.

Westchnął cicho, a potem powtórzył półgłosem własne słowa, jakby upewniając samego siebie:

– Udało się.

Ten wieczór ciągnął się jeszcze przez kilka godzin. Skaggs szczegółowo przesłuchiwał Midkiff, a potem pojechał z nią na miejsce przestępstwa. Przeszukał dom jej matki. Nabierał coraz większego przekonania, że dziewczyna mówi prawdę. Zdumiewało go, że Midkiff tak dobrze pamięta wydarzenia sprzed siedmiu miesięcy. Sprawdzał ją, udając, że nie zna pewnych szczegółów, i czekając, aż to ona je poda. Okłamał ją, mówiąc, że jedna z osób obecnych w samochodzie zeznała coś innego. Chciał się przekonać, czy dziewczyna będzie improwizować.

Midkiff była jednak konsekwentna. Trzymała się swojej wersji wydarzeń. Wypłakawszy się i przeczekawszy napady lęku, siedziała spokojnie i odpowiadała na wszystkie pytania smutnym, rzeczowym tonem. Szukała w głowie odpowiednich, precyzyjnych określeń, często robiła

przerwy, by przypomnieć sobie wszystko dokładnie. Gdy czegoś nie pamiętała, przyznawała się do tego otwarcie i przepraszała.

Jej zeznania były kompletne. Skaggs nie mógł w nich znaleźć żadnych niekonsekwencji i dziur. Jej opisy pasowały do wszystkiego, co do tej pory wiedzieli: podała tę samą lokalizację i trasę przejazdu suburba, tak samo opisała strzelca, jego ubrania, broń, liczbę strzałów. Skaggs na wszelki wypadek próbował oskarżyć ją o kłamstwo. Zareagowała płaczem, po czym powtórzyła tę samą historię.

W ciągu swej długiej kariery Skaggs wielokrotnie miał do czynienia z ludźmi pokroju Midkiff. prostytutki zwykle cierpiały na zaburzenia osobowości, borykały się z trudnymi problemami, a ich wiarygodność równała się zeru. Później jednak Skaggs twierdził, że Jessica Midkiff była jedynym znanym mu świadkiem, który składał dokładnie takie same zeznania na każdym etapie śledztwa i procesu, nie zmieniając żadnego szczegółu i nie podając żadnego kłamstwa.

Właściwie to doświadczenie było zaprzeczeniem wszystkiego, czego się spodziewał, a jednocześnie potwierdzeniem zasady Ricka Gordona. Ta roztrzęsiona, afektowana prostytutka z wytatuowanym aniołem na szyi i bosymi stopami miała się okazać najlepszym świadkiem, z jakim Skaggs współpracował do tej pory.

W ciągu następnych godzin detektyw wydobył od Midkiff szczegółową wersję ogólnej relacji, którą przedstawiła mu na początku przesłuchania. Dziewczyna zeznała, że w wieczór poprzedzający dzień śmierci Bryanta zatrzymała się z Derrickiem Starksem w motelu Desert Inn przy Century Boulevard. Żadne z nich nie miało własnego mieszkania. Przynajmniej cztery razy w tygodniu nocowali w tanich hotelach, spali do późna, a potem zaczynali kolejny dzień. Zwykle spędzali czas w towarzystwie przyjaciół Starksa, członków gangu Rollin' Hundreds Blocc Crips. Midkiff powiedziała Skaggsowi, że gangsterzy „wychodzili na dwór, pili i imprezowali – tym się właśnie zajmują”.

Jessica chciała tego dnia poprowadzić czarnego suburba Starksa. Nie pamiętała, kiedy usiadła za kierownicą. Na pewno nie było to rano, bo nigdy nie wstawali rano. Prowadziła auto, gdy ktoś zadzwonił do Derricka.

Kazał jej jechać na Sto Jedenastą Ulicę, skąd zabrali dwóch znajomych gangstera, młodych mężczyzn w ciemnych bluzach z kapturem. Devin Davis był „ożywiony... zdenerwowany”, mówiła Midkiff. Pomyślała, że jest niezrównoważony emocjonalnie. Nie przyjrzała mu się jednak uważniej.

– Derrick nie pozwalał mi patrzeć zbyt długo na swoich znajomych – tłumaczyła Skaggsowi. – Nie podobało mu się to. Mówił wtedy: „Co, chcesz się pieprzyć z moimi kumplami?”.

Kiedy jechali w czwórkę samochodem, Davis prowokował swojego milczącego towarzysza z tylnego siedzenia.

– Żaden z ciebie gangster – drwił. – Nie jesteś prawdziwym facetem, nie masz jaj, niczego nie zrobisz.

Starks puszczał w kółko tę samą piosenkę gangu Crips. Davis wskazywał Midkiff drogę. Wjechali w boczną uliczkę. Starks ściszył muzykę.

Davis kazał jej zatrzymać auto. Midkiff wiedziała, że nie wolno jej wykonywać poleceń innego mężczyzny. Czekwała, aż Starks powtórzy to polecenie, potem zaparkowała. Davis powiedział:

– Idę załatwić jedną sprawę.

Midkiff obejrzała się za siebie i zobaczyła, jak Davis chowa broń za pas. Potem oba nastolatki wyskoczyły z samochodu. Widziała, jak wbiegają w uliczkę po wschodniej stronie, później zniknęły jej z oczu. Siedziała z przodu obok Starksa. Była przekonana, że to zwykła przejażdżka, kolejne spotkanie Starksa z kumplami. Myślała, że szuka dziewczyn dla dwóch nastolatków, chce im kupić trawę albo alkohol. Jednak gdy zobaczyła broń, ogarnął ją strach.

– W co ty chcesz mnie wciągnąć? – spytała.

– W nic cię nie wciągamy! – odwarknął.

Midkiff prosiła, by pozwolił jej wrócić do domu. Potem zza szyb zamkniętego auta dobiegł ją głuchy odgłos wystrzałów – pierwszy, drugi, trzeci.

– Jedź, jedź, jedź! – krzyknął Davis, gdy obaj wskoczyli z powrotem do auta.



Starks przerzucił Midkiff na fotel pasażera i gwałtownie ruszył. Davis był „nakręcony”, ciągle się przechwalał.

– Jestem kimś! – mówił.

Starks go uciszył i dał głośniejszą muzykę. Tego wieczora znów zatrzymali się w motelu. Kilka dni później Midkiff znowu była w suburbanie ze Starksem, gdy wypatrzyli ich członkowie konkurencyjnego gangu z okolic Eighties. Gangsterzy ruszyli za nimi w pościg, chcieli się zemścić. Starks rozbił auto i został aresztowany. Midkiff podała policjantowi z drogówki fałszywe dane, używając nazwiska swojej ciotki.

Z opowiadania Midkiff wynikało, że bez sprzeciwu wypełniała każde polecenie Starksa. Jak sama twierdziła, nie ufał jej i nigdy nie pytał o zdanie. Oczekiwał jednak ślepego posłuszeństwa, a dziewczyna nie śmiała protestować, świadoma, że jest zdolny do aktów przemocy, o których na razie tylko wspominał.

– Prawie zawsze robiliśmy to, czego on chciał – tłumaczyła Midkiff Skaggsowi. – Jest ode mnie o wiele większy. Kiedyś przydusił mnie tak, że prawie zemdlałam. Nie mogłam wtedy spytać, dokąd, do cholery, jedziemy, boby mi się oberwało, jak zawsze, gdy robię się zbyt ciekawsza albo zbyt wygadana. Próbuje się bronić, ale on jest dużym facetem, a ja małą kobietką.

Midkiff miała sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważyła pięćdziesiąt jeden kilogramów. Starks, choć niezbyt wysoki jak na mężczyznę, był silny i wysportowany, miał potężne bary: kiedyś trenował futbol amerykański. Tamtego dnia Midkiff nie wiedziała, że jadą na teren wrogiego gangu, by strzelać do ludzi na ulicy. A gdyby nawet coś podejrzewała?

– Nie zapytam go o to, bo nie chcę oberwać. Wiem, że wychodzę na tchórza czy coś w tym rodzaju. Ale nie chcę, żeby mnie bił.

Midkiff twierdziła, że nie miała pojęcia, jak zakończyła się ta strzelanina i że ktoś w niej zginął. Skaggs wielokrotnie wracał do tego tematu, zarzucał jej kłamstwo, była jednak tak zdumiona i dezorientowana, że w końcu jej uwierzył.

W południowym Los Angeles tak często dochodziło do strzelanin, że mało kto zwracał na nie uwagę. Wydarzenia z 11 maja nie wydawały się Midkiff szczególnie znaczące, uznała je za jedną z wielu „zwykłych” potyczek, jak to ujęła.

– Wiem, że ktoś strzelał – mówiła Skaggsowi. – Ale ludzie zwykle strzelają i nikomu nic się nie dzieje. Szczególnie ci z gangów.

Mężczyzna na wózku powiedział Gordonowi i Skaggsowi, że Midkiff jest „dobrą dziewczyną”. W rzeczywistości nią nie była, przynajmniej nie w ogólnym rozumieniu tego słowa. Ale nie należała też do żadnego gangu. Starks uważał ją za „słabe ogniwo”. Uciszył Davisa, bo nie chciał, by Midkiff zrozumiała, co się dzieje. Nie ufał jej, jak sama twierdziła.

I miał rację.

Midkiff nie była żadna krwi. Gdy Skaggs powiedział jej o śmierci Tannellego, rozplakała się.

– Źle się z tym czuję – stwierdziła. – To było złe. Wyobrażam sobie swoją mamę, gdyby się dowiedziała, że ktoś mnie zastrzelił. Albo siebie, gdyby to moje dziecko zginęło.

W końcu Skaggs poprosił ją, by zeznawała w sądzie.

– Nie boję się już o siebie, zrobię to – odparła. Znów zaczęła płakać, przerażona myślą, że gangsterzy zabiją jej rodzinę. – Zrobią to!

Powiedział, że na jej miejscu też by się bał.

## Baby Man

W pierwszych tygodniach 2008 roku Devin Davis miał siedemnaście lat. Wyglądał dość dziwnie – miał dużą głowę, krągłe policzki i wielkie, niemal okrągłe brązowe oczy. Cierpiał na ADHD i nadciśnienie – przypadłość rzadką u nastolatków, ale dość powszechną w South Central. Kilka miesięcy wcześniej został postrzelony w nadgarstek.

Wydawało się, że Devin nieustannie szuka czegoś, z czego można się pośmiać, jakby się obawiał, że ominie go jakiś żart i że zostanie w ten sposób wyłączony z kręgu znajomych. Ale wcale nie był wesoły. W jego oczach kryły się smutek i tęsknota, łatwo wpadał w irytację i przygnębienie.

Kiedy podczas przesłuchania nastolatka na zwolnieniu warunkowym po raz pierwszy wymienił przezwisko „Baby Man”, Skaggs zaczął podejrzewać, że to właśnie Devin jest zabójcą. Później Midkiff wskazała na zdjęcie Devina, identyfikując go jako „szurniętego chłopaka” na tylnym siedzeniu suburbana, a detektyw nabrał już całkowitej pewności. Zamierzał przesłuchać Devina i jak najszybciej wydobyć od niego obciążające zeznania.

Dzięki temu, że chłopak przebywał w więzieniu, Skaggs miał dość czasu na przygotowania. Chciał wykorzystać wszystkie dostępne atuty. Przesłuchanie Devina Davisa miało być najważniejszym elementem tej najważniejszej sprawy – punktem kulminacyjnym jego dotychczasowej kariery.

Skaggs dobrze wiedział, czego chce od Devina – kompletnych zeznań i przyznania się do winy. Odtworzył już właściwie przebieg wydarzeń, wykorzystując relacje mężczyzny na wózku, nastolatka i Midkiff oraz dodatkowe zeznania. Wiedział jednak, że jego argumenty nabiorą znacznie większej mocy, gdy Devin przyzna się do winy.

Do tej pory przesłuchiwał setki podejrzanych o morderstwo. Wielu spośród nich przyznało się do winy – przynajmniej częściowo. Nie była to wyłącznie zasługa Skaggsa: w sprawach prowadzonych na terenie strefy getta zaskakująco często dochodziło do takiej sytuacji. Sal La Barbera utrzymywał, że niemal każde z jego śledztw kończyło się wyznaniem win takiego czy innego rodzaju. Być może nie tyle podczas samych przesłuchań, ile w czasie długich przerw między kolejnymi sesjami – w trakcie posiłków lub przygotowania do aresztu – młodzi mężczyźni zawsze coś ujawniali. Stosunkowo rzadko podejrzani należący do gangów korzystali z prawa do obrońcy z urzędu.

Skaggs nie rozumiał, dlaczego podejrzani się przyznają. Jednak La Barbera, który przypisywał sentymentalne motywy wszystkim, nawet mordercom, miał swoją teorię na ten temat. Uważał, że to kwestia poczucia winy. Twierdził, że morderstwo ma swego rodzaju ciężar egzystencjalny i że trzeba być naprawdę zatwardziałym, by nie ulec naciskowi tego brzemienia. Inni detektywi mieli podobne poglądy. Brent Josephson, weteran strefy getta z poprzedniego pokolenia, zachował niezwykle wspomnienie z najtrudniejszych lat swojej służby. Chodziło o sprawę napadu rabunkowego i morderstwa w parku. Kiedy przydzielono mu to śledztwo, nie miał żadnych dowodów ani żadnych świadków. Pewnego wieczora stał na miejscu zbrodni i rozglądał się bezradnie, przekonany, że nie ma najmniejszych szans na rozwiązanie sprawy, gdy nagle dostrzegł w oddali młodego chudego Latynosa. Zawołał go w nadziei, że chłopak ma jakieś informacje dotyczące morderstwa. Młody człowiek zwiesił z rezygnacją głowę i podszedł do niego powoli.

– Dopadliście mnie – powiedział Josephsonowi, po czym przyznał się do winy. Widmo detektywa LAPD wołającego doń z drugiej strony parku zrobiło na nim piorunujące wrażenie, zupełnie jakby był to wysłannik Boga.

Skaggs miał jednak świadomość, że choć podejrzani często przyznają się do zbrodni, nie można zakładać z góry, że tak będzie w każdym przypadku. Wielu gangsterów wiedziało, jak należy się zachowywać podczas przesłuchań. Zнали metody policjantów. Szczególnie starsi mężczyźni mieli

przewagę nad młodymi detektywami, których przyciągały komisariaty z południowego Los Angeles. Ci ludzie byli sprytni, mieli opracowaną strategię działania i podobnie jak gliniarze umieli przekonująco kłamać. Oprócz takich, którzy w ogóle odmawiali składania zeznań lub wycofywali się w połowie przesłuchania, byli też podejrzani prowadzący z detektywami szermierkę słowną i zdradzający im pojedyncze informacje; w zamian dowiadywali się, co właściwie wie o nich policja.

Wbrew pozorom było to całkiem rozsądne podejście. Gangsterzy pozbawieni pomocy obrońcy mogli poznać nie tylko stanowisko policji, ale i sytuację w swojej dzielnicy. Chcieli się zorientować, czy kumple ich wydali albo czy dla nich samych będzie lepiej, jeśli to oni zaczną sypać pierwsi. Gliniarze stanowili tylko jedną z części składowych tego równania. Gotowość gangsterów do udziału w przesłuchaniach dowodziła, że tego rodzaju ludzie funkcjonowali w dwóch strukturach prawnych – formalnej i nieformalnej. Musieli radzić sobie w obu, a pokój przesłuchań LAPD był przestrzenią, w której mogli poznać dostępne opcje, wykorzystać jedną strukturę przeciw drugiej.

Prawdopodobnie istniał jeszcze jeden powód, dla którego podejrzani poddawali się przesłuchaniom: było to po prostu interesujące. Mało kto nie zechce wziąć udziału w rozmowie o czymś, co naprawdę go interesuje, z człowiekiem, który dzieli to zainteresowanie. Z tych właśnie przyczyn podejrzani chętnie mówili. Przesłuchania prowadzone w czasach Skaggsa nie przypominały już brutalnych konfrontacji starej LAPD, czasami przybierały wręcz formę przyjacielskich pogaduszek. Zawsze jednak była to w istocie zabawa w kotka i myszkę, w której mysz była równie ciekawa, jak kot. Skaggs przypuszczał, że Devin zgodzi się na rozmowę, nie oznaczało to jednak, że wydobędzie od niego zeznania, na które liczył.

Po południu 14 stycznia Corey Farell i młody detektyw Vince Carreon zabrali Devina z obozu dla trudnej młodzieży w Antelope Valley, na północy hrabstwa Los Angeles, i przewieźli go przez pustynię Mojave do komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Na czas podróży podejrzany miał ręce skute kajdankami.

Gdy Devin dotarł na miejsce, Skaggs przyjrzał mu się uważnie. Chłopiec był ubrany w niebieski kombinezon i miał zmierzwione włosy, podobnie jak wielu młodych mężczyzn, którzy zbyt długo nie strzygą się w więzieniu. Zgodnie z tym, co wcześniej mówiła Midkiff, miał ciemną skórę. Wydawał się rozdrażniony i niespokojny. Farell nie powiedział mu, jaki jest powód tego spotkania.

Skaggs chciał od samego początku zapewnić sobie przewagę nad Devinem. Przygotował kilka podstępów. Przewiózł podejrzanego przez okolice miejsca zbrodni, sugerując, że policja ma dowody, które wcale nie istniały, między innymi fikcyjne nagranie z kamer ochrony. Chodziło o to, „żeby go wkurzyć”, jak powiedział później detektyw. Chciał też rozpracować Devina. Prowokując i wpływając na jego emocje, Skaggs chciał się przekonać, jaki jest stan jego umysłu, a tym samym jego skłonność do współpracy.

Podczas jazdy Skaggs przyglądał się uważnie nastolatkowi. Devin wydawał się niedojrzały jak na swój wiek, jakby był w pewnym stopniu upośledzony umysłowo lub społecznie. „Trochę dziwny”, pomyślał detektyw. Teraz już wiedział, co miał na myśli nastolatek, opisując Devina – chłopak miał problemy z zawieraniem znajomości. Gdyby był przeciętnym uczniem szkoły średniej w jakiejś innej dzielnicy, prawdopodobnie czułby się tylko wyobcowany. Jednak zdaniem Skaggsa Devin „był nie tylko wyjątkowo tępy, ale i bezwzględny”. Skaggs miał do czynienia z całym spektrum podejrzanych. Niektórzy byli bardzo agresywni, inni mniej, jeszcze inni w zetknięciu z przemocą doznawali szoku. Zdarzali się również tacy, którzy natychmiast po zajęciu miejsca w sali przesłuchań zaczęli paplać, szukali usprawiedliwień i zrzucali wszystko na swoich przyjaciół. Niewzruszona postawa Devina wskazywała jednak na to, że chłopak nie da się łatwo złamać.

Wrócili na komisariat i weszli tylnymi schodami do pokoju przesłuchań. Skaggs dał Devinowi coś do picia i spytał, czy nie chce zjeść lunchu. Chłopak odmówił. Była 14.30.

Przez długie lata wypełnione podobnymi rozmowami, puszkami napojów, starymi krzesłami i styropianowymi kubkami z kawą Skaggs

zdobywał doświadczenie, uczył się na własnych błędach i opracowywał własną taktykę. Podczas przesłuchań stosunkowo rzadko przeklinał, zachowywał spokój.

Przede wszystkim chciał przekonać podejrzanych, że rozmowa to nic złego – że jeśli tylko będą mówić prawdę, wszystko dobrze się potoczy. Reszta była kwestią improwizacji. Prowadzący przesłuchanie musiał szybko reagować, „rozgryzać” podejrzanego, udając jednocześnie, że wcale tego nie robi, zmieniać taktykę zależnie od sytuacji.

Czasami Skaggs próbował złamać podejrzanych, a czasami dodawał im pewności siebie. Pozwalał sobie na szyderstwa: „Masz jakieś problemy z głową? Bierzesz na to tabletki?”. Przesłuchiwani zaczynali się wtedy bronić. W innej sytuacji sięgał po pochlebstwa: „Cholera, ty jeszcze żyjesz? Słyszałem o tobie w dzielnicy!”. Podejrzani puszyli się wtedy i przechwalali. Często udawał też znudzonego lub rozproszonego, czekając, aż jego ofiara się zdenerwuje i zacznie go prowokować.

Skaggs i Farell wyszli na korytarz i zostawili Devina w pokoju. Skaggs jeszcze nie wiedział, jaką obierze taktykę, lecz Farell nie dostrzegał w jego zachowaniu niczego niepokojącego. Był tak rozluźniony, jakby właśnie wybierał się na weekendową wycieczkę.

Skaggs przygotował dyktafon, zanotował datę i godzinę. Wrócili do sali przesłuchań. Usiadł po tej samej stronie stołu co Devin, tak blisko, że ich kolana niemal stykały się ze sobą. Zawsze zachowywał się w ten sposób podczas przesłuchań. Nie próbował zastraszyć Devina, ale naruszał jego prywatną przestrzeń. Ta drobna ingerencja była niepokojąca.

Skaggs zaczął rozmowę łagodnym, spokojnym tonem.

– No dobrze, Devin – przemówił. – Tutaj sobie pogadamy i załatwimy nasze sprawy, zgoda?

Krótko. Rzeczowo. Z lekką nutą żalu. Jakby byli przyjaciółmi, którzy muszą sobie wyjaśnić jakąś nieprzyjemną sytuację.

Devin był gotów do obrony. Rozsiadł się na krześle w pozycji sygnalizującej bierny sprzeciw i przybrał posępną, urażoną minę.

– Proszę cię, żebyś mówił głośno i wyraźnie. Mam drobne problemy ze słuchem – powiedział Skaggs, sięgając po swój wypróbowany chwyt.

Poprosił też Devina, by usiadł prosto. – Okaż trochę szacunku... trochę wzajemnego szacunku... Kiedy siedzisz prosto, wiem, że mnie słuchasz. Zgoda? – To ostatnie słowo zostało wypowiedziane pogodnym, żywym tonem.

Devin poprawił się na krześle.

– Tak... Tak, sir – wymamrotał ze znużeniem.

To była typowa rozgrywka między gangsterem a gliniarzem – wystudiowana uprzejmość, fałszywa życzliwość, nacisk na „szacunek”. Strefa getta była chyba jedynym środowiskiem w Ameryce – prócz wojska – w którym podczas zwykłej rozmowy niemal w każdym zdaniu pojawiał się zwrot „sir”. Wyglądało na to, że Devin rozmawiał już z wieloma policjantami.

Skaggs mówił dalej, posługując się zrozumiałym, aż nazbyt uproszczonym językiem.

– Nazywam się John Skaggs. To jest mój partner Corey Farell. Pracujemy w wydziale zabójstw. Chyba wiesz, co to oznacza?

– Nie – mruknął na odczepnego Devin.

Skaggs nie dał się zbić z tropu.

– Śledczy z wydziału zabójstw zajmują się sprawami, w których ktoś zginął – tłumaczył jak dziecku. – Jeśli ktoś został tylko postrzelony albo okradziony, wzywają innych policjantów. Ale jeśli kogoś zabito, dzwonią do nas, a my bierzemy się do pracy.

Detektyw przystąpił do ataku. Spokojnym, niezobowiązującym tonem mówił o śledztwie. Zaczął od środka, zrobił dygresję, cofnął się. Wspomniał, że czeka ich Bardzo Ważna Rozmowa, lecz zamiast do niej przystąpić, zajął się kwestiami technicznymi. Zapewnił Devina, że będzie wobec niego szczery. Potem znów zboczył z tematu. Obiecał, że przejdzie do rzeczy. Potem tego nie zrobił. Co chwila wtrącał uwagi w rodzaju: „Rozumiesz to?”, „Posłuchaj!”, „Dojdziemy do tego”. Ale jego narracja donikąd nie zmierzała. Każdym gestem i słowem zapewniał Devina, że mówi jasno i otwarcie, lecz w rzeczywistości unikał konkretów i mącił słuchaczowi w głowie.



Było to irytujące – i skuteczne. Skaggs z powodzeniem stosował tę taktykę od lat. Zwykle nigdy nie odbiegał od tematu, nie kluczył, lecz podczas przesłuchań była to właśnie jego ulubiona broń.

– Twoje nazwisko pojawiło się w śledztwie dotyczącym morderstwa – poinformował Devina poważnym tonem. – Wiele razy. – Zrobił krótką pauzę, pozwalając, by sens tego oświadczenia dotarł w pełni do podejrzanego. Później znów odszedł od tematu. Mówił o kamerze ochrony, o fikcyjnym nagraniu i o jego jakości.

W końcu uderzył ponownie.

– Więc chodzi o to, co się wtedy stało. W maju, tak? Znasz miesiące, wiesz, kiedy jest maj, nie?

Devin milczał, więc Skaggs mówił dalej:

– No wiesz, koniec zimy. Początek dobrej pogody... – Zaczął opowiadać o pogodzie.

Devin ciężko westchnął.

– Paru ludzi wsiadło... – kontynuował Skaggs tym samym tonem, którego używał, opisując słoneczną pogodę w maju.

Devin przerwał mu jednak, zirytowany bliskością kolan detektywa.

– Mogę odsunąć nogi? – spytał.

– Możesz je kłaść, gdzie tylko chcesz! – zapewnił go Skaggs. – Tylko mnie nie kop!

Devin zmienił pozycję, tymczasem detektyw mówił dalej:

– Będziesz miał okazję powiedzieć, co chodzi ci po głowie. Ale teraz pozwól, że zajmę ci jeszcze pięć minut. – Wskazał głową na grubą teczkę z dokumentacją sprawy. – Właśnie o tym chciałbym dziś z tobą pogadać. – Ponownie zrobił jakąś dygresję, aż w końcu wrócił do sprawy morderstwa. Przedstawił ją tak, jakby był to ich wspólny problem, który Devin pomoże mu rozwiązać: – Wiem, że na Saint Andrews zajeżdża czarny suburban, wysiada z niego jakiś koleś, a potem ktoś dostaje kulkę w głowę, tak? I że ty też jesteś na tym filmie. Poza tym mam suburbana. Pokażę ci jego zdjęcia. Pokażę ci wszystko, żebyś wiedział, że nie wziąłem tego z dupy.

Devin przerwał mu raptownie, oburzony nie tyle podejrzeniem o udział w morderstwie, ile sugestią, że mógłby nie ufać Skaggsowi.

– Przecież wiem, że pan nie kłamie! Słucham pana! – odpowiedział z oburzeniem.

Skaggs mówił dalej pojednawczym tonem:

– Wszyscy znamy te historyjki o gliniarzach, którzy próbują kogoś wrobić i tak dalej. Ja chcę być z tobą szczery i uczciwy. Nie będę niczego ukrywał.

Devin powtarzał z naciskiem, że słucha uważnie i chce współpracować. Skaggs najpierw go uspokoił, a potem dodał:

– To uczciwy układ. I jedyna... naprawdę jedyna okazja dla ciebie, żeby pogadać z dwoma facetami, którzy prowadzili to śledztwo.

– Mogę o coś spytać?

– Oczywiście! – zapewnił go Skaggs.

– Nie będę przez to musiał dłużej siedzieć w tym obozie, tak?

Pytał o to wielokrotnie, w różnej formie, przez całe popołudnie.

– To absurdałne pytanie. – Skaggs westchnął, zirytowany.

Davis gwałtownie zaprotestował.

– Pozwól mi mówić! – przerwał mu detektyw podniesionym głosem. – Właśnie o tym rozmawiamy – dodał spokojniej, gdy Devin posłusznie zamilkł. – Rozmawiamy o twojej przyszłości. I w swoim czasie dojdziemy też do tej części twojej przyszłości.

Devin zaczął pochlipywać. Skaggs skarcił go i przykazał, by „zachowywał się jak mężczyzna”. Potem znów złagodził ton i obiecał, że wkrótce zajmie się jego obawami. Znów wspomniał o Bardzo Ważnej Rozmowie, którą chce z nim przeprowadzić.

– Zobaczymy, co tam siedzi w twojej głowie, czy zamierzasz być ze mną szczery – mówił.

Znów przemawiał łagodnym, rzeczowym tonem, mydlił podejrzanemu oczy, udając, że traktuje go jak przyjaciela. Wspomniał o plotkach głoszących, że widziano go w miejscu przestępstwa, zwrócił się też do niego, używając gangsterskiego pseudonimu „Baby Man”.

– Nie jestem żaden Baby Man – zaprotestował Devin.

– Dojdziemy do tego, dojdziemy – zapewnił go Skaggs, trzymając się wciąż tej samej zasady: ciągle obiecywać i nigdy nie spełniać tych obietnic.

Devinowi zaczynały puszczać nerwy.

– Niech pan mi powie! – prosił. – Mówił pan, że nie będzie niczego ukrywał. No to niech mi pan wszystko powie.

– Oczywiście! – zapewnił go Skaggs po raz kolejny, pogodnym, uczynnym tonem.

Potem wrócił do niedomówień i sugestii. Wspomniał o Starksie, nazywając go „suką”. Devin myślał, że detektyw mówi o jakiejś kobiecie: uliczny slang bywał niejednoznaczny nawet dla tych, którzy używali go na co dzień. Skaggs wyprowadził go z błędu. Chodziło mu o to, że Starks szybko się załamał. Devin zachichotał.

Skaggs powiedział, że znalazł numer telefonu Starksa na kartce w sypialni Devina. Chłopiec zażądał, by pokazano mu tę kartkę.

Detektyw podał mu odpowiedni fragment z teczki z dokumentacją śledztwa.

– Dzięki temu będziesz wiedział, co się dzieje – wyjaśnił.

Devin obejrzał dokument i natychmiast zmienił strategię.

– Znam go – przyznał. – Nie będę pana okłamywał... Jestem uczciwym człowiekiem.

Skaggs pozwolił mu jeszcze przez kilka minut przeglądać dokumentację sprawy, chcąc dowieść w ten sposób, że jest wobec niego całkiem szczery. Pokazał mu również list, w którym Devin pisał, że należy do gangu One Hundred and Thirteen Blocc Crips.

– Ale to nieprawda – zaprotestował chłopak. Powiedział, że członkowie gangu dotkliwie go pobili i wyrzucili ze swojego grona.

– Spokojnie, Devin! – przerwał mu Skaggs. – Tylko rozmawiamy. Nie musisz się z niczego tłumaczyć.

– Rozumiem. – Devin skinął głową ze znużeniem. – Potem wrócę do obozu?

– Wrócisz do obozu, kiedy już tu wszystko załatwimy – wyjaśnił detektyw.

– I na tym koniec – dodał chłopak.

– Jak to „na tym koniec”?

– Nikt nie będzie mnie więcej o to wypytywał – sprecyzował Devin.

– Nie wiem. Jeszcze nie skończyliśmy o tym rozmawiać, prawda?

Devin roześmiał się nieszczerze.

– Nie chcę pana wkurzać czy coś w tym rodzaju – powiedział.

– Nie możesz mnie wkurzyć – odpowiedział detektyw nonszalancko.

Zaczął pokazywać listy napisane rzekomo przez Devina i opowiadać o fikcyjnej analizie grafologicznej. Autor listów wspominał o zabijaniu „Snoovers”, jak pogardliwie określano członków gangu Hoovers. Na wzmiankę o „Snoovers” Devin zachichotał.

Skaggs pokazał Devinowi notkę, w której ten nazywał siebie „Baby Man”.

– A to pech... – mruknął sarkastycznie detektyw.

– Ja już nie grzebię się w tym gównie – jęknął Devin.

– Devin! – warknął Skaggs, zmieniając raptownie ton.

– W porządku, rzeczywiście tak mnie nazywają. Chyba.

Skaggs już po raz drugi zmusił Devina do zmiany zeznań. Westchnął ciężko z udawaną irytacją. Devin ponownie spytał, czy wróci do obozu. Detektyw upomniął go, by więcej nie zadawał tego pytania. Chłopak znowu zajął się dokumentacją śledztwa, zaczął nerwowo mieć ją w rękach.

– Hej, spokojnie, tygrysie! – Skaggs odebrał mu teczkę, a potem pokazał jeszcze kilka stron. Zdjęcie suburba. Zdjęcie Midkiff.

– Kim jest ta suka, do kurwy nędzy? – spytał Devin. Powiedział, że całe to przesłuchanie to jakaś szopka, i zażądał od Skaggsa, by przeszedł w końcu do rzeczy.

Detektyw spokojnie poprosił go o cierpliwość i przerzucił kilka stron dokumentacji. Na zewnątrz, za oknami komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, zawyła syrena.

– Zaraz będziemy rozmawiać – obiecał. – Za sekundę przejdziemy do konkretów.

– Mógłbym dostać jakiś lunch? Proszę. Jestem głodny – jęknął Devin.

– Zajmiemy się tym za momencik – obiecał Skaggs.

– Bo jestem gotów, sir! Rozumie pan, odsiaduję wyrok...

To obudziło czujność Skaggsa. Właśnie tego obawiał się najbardziej – że Devin nagle się wycofa i zażąda, by odwieziono go z powrotem do obozu.

Zdarzało mu się, że podejrzany nagle kończył przesłuchanie, oznajmiając: „Nic ci, kurwa, nie powiem! Pierdol się!”. Nie mógł pozwolić, by Devin wymknął mu się w podobny sposób.

Zmienił ton, spoważniał.

– No dobrze, Devin, powiem ci, o co chodzi. Mamy pewne informacje od Bloccs, to samo mówią ludzie z Rollin’ Nineties.

Słowo „informacje” wyraźnie zaniepokoiło Devina. Skaggs znów zaczął opowiadać o morderstwie, majowym wieczorze, kamerze ochrony, świadkach.

– Więc mam poważny problem, bardzo poważny, tak? – przerwał mu Devin.

Skaggs próbował bagatelizować sprawę.

– Cóż, chodzi tylko o to, że niektórzy ludzie mówią, że zastrzeliłeś chłopaka...

Minęło już dwadzieścia minut przesłuchania, a Skaggs dopiero po raz pierwszy wspomniał otwarcie o swoich podejrzeniach. Zrobił to swobodnym, niemal lekceważącym tonem.

Devin, który prawie przez cały ten czas domagał się od detektywa, by przeszedł do konkretów, teraz nagle zmienił zdanie – chętnie wróciłby do poprzedniego układu. Znów przerwał Skaggsowi, dopytując się natarczywie:

– Więc będę miał kłopoty, tak?

– Chwileczkę, spokojnie, tygrysie! – Skaggs znów udawał, że sprawa wcale nie jest tak poważna. Im cięższa atmosfera panowała w sali przesłuchań, tym lżejszym mówił tonem.

Ale Devin coraz bardziej się denerwował.

– Chciałbym, żeby powiedział mi pan prawdę!

– Nie znam jeszcze całej prawdy. Nie skończyliśmy rozmawiać! Kiedy skończymy, odpowiem na wszystkie twoje pytania. Zgoda? Możemy się tak umówić? – Skaggs przemawiał pogodnym, ojcowskim, kojącym tonem, co wreszcie przyniosło oczekiwany rezultat.

– Tak, sir – odparł Devin.

Skaggs wziął głęboki oddech i wrócił do swej nieznośnej, irytującej mantry.

– Posłuchaj mnie uważnie. Musimy porozmawiać.

Rick Gordon również zdobywał zeznania w ten sposób: doprowadzał podejrzanych do załamania nerwowego, stosując prostą taktykę, którą nazywał Zanudzaniem na Śmierć. Skaggs wrócił do swoich dygresji i chaotycznej relacji. Powiedział, że według informacji, które do niego dotarły, to Starks nakłonił Devina do zbrodni. Potem zbagatelizował to najważniejsze oskarżenie, dorzucając do niego drobniejsze zarzuty, mówiąc, że Devin zrobił to i tamto. Chłopiec musiał przeczyć każdemu z nich.

– Na moją matkę! – wykrzyknął w pewnej chwili, przysięgając, że nie dopuścił się żadnego z tych przestępstw.

Skaggs wykorzystał tę okazję, by rozpocząć rozmowę o matce Devina. Chłopak połknął haczyk. Znow uciekli w dygresje.

Potem Skaggs ponownie wspomniął o Midkiff.

– Ona nie pójdzie za ciebie siedzieć. Nie będzie cię kryć – powiedział.

– A ja nie będę krył jej! – odpalił Devin.

– A co ona zrobiła? – spytał natychmiast Skaggs, ponownie wykorzystując okazję.

Devin zreflektował się jednak i szybko wycofał.

– Cholera, nie wiem... Nie będę krył nikogo – mruknął.

Skaggs z powrotem podjął rozmowę, jakby nic się nie stało. Devin znow zaprotestował:

– Mówił pan, że... no, że ma mi pan coś więcej do powiedzenia.

Skaggs zapewnił go, że tak właśnie jest i że wystarczy, by uważnie go słuchał.

– Ale od tych innych rzeczy, które pan mówi, naprawdę skacze mi ciśnienie – skarżył się.

– Na pewno. – Detektyw pokiwał głową. – Mnie by to cholernie wkurzało.

Devin się z nim zgodził. Jego z pewnością też to wkurzało.

– Bo powinno – dodał Skaggs, nagle znów poważniejąc. – Ktoś właśnie ci powiedział, że zostałeś oskarżony o morderstwo.

Devin wymamrotał coś pod nosem.

– Hmm? – spytał Skaggs, pochylając się do niego.

– Nic, nic – mruknął chłopak. – Mówię do siebie. Myślę głośno.

– Super! – Skaggs wrócił do swobodnego tonu i podjął przerwany temat, jakby wewnętrzny dialog Devina wcale go nie interesował. Opowiadał o dowodach, przemycając tym razem słowa: „morderstwo dziecka gliniarza”.

– Morderstwo dziecka gliniarza! – Devin wydawał się autentycznie zszokowany.

– Tak. – Skaggs skinął głową, a w jego głosie pojawiła się nagle nuta irytacji. – Nie oczekuję, że przyznasz się do czegokolwiek, Devin.

– Nie okłamuję pana! Przez cały czas byłem z panem szczery! – zapewniał go żarliwie.

Skaggs się z nim nie zgodził. Doszło do sprzeczki.

– Nie przyznałeś nawet, że masz ksywkę „Baby Man”! – warknął Skaggs.

Devin szybko zrejterował.

– Możemy pogadać spokojnie? – spytał błagalnym tonem. – Bo coś mi się wydaje, że pan się wścieka i tak dalej...

– Dlaczego miałbym się wściekać? – Skaggs znów był uśmiechnięty i wyluzowany.

Devin po raz drugi poprosił go, by przesunął nogi. Skaggs udał zaskoczenie. Spytał, czy Devin „ma klaustrofobię lub coś w tym rodzaju”. Devin potwierdził.

– W porządku. – Detektyw uśmiechnął się przyjaźnie. – Odsunę się.

Znów zaczął opowiadać o jakichś nieistotnych szczegółach, starannie omijając właściwy temat. Tym razem zapewnił Devina:

– Dojdziemy w końcu do pytań, ale najpierw chciałbym ci dokładnie przedstawić sytuację. – W pewnym momencie wypowiedział zdanie: – Jak wiesz, znamy się dobrze na swojej pracy...

– Wiem! Sam bym pana zatrudnił! Naprawdę! – wtrącił Devin.

Skaggs zignorował ten komplement i mówił dalej. Devin znów mu przerwał.

– No dobrze, a powie mi pan, kto na mnie doniósł? – spytał.

– Jeśli sprawa trafi do sądu, na pewno się dowiesz. Ale nie powiem ci tego dzisiaj – odparł Skaggs.

Devin się wystraszył. Do sądu? Chyba nie zostanie wezwany do sądu? Ludzie zwykle nie trafiają do sądu za takie sprawy, prawda? Skaggs wyjaśnił, że wszystko zależy od prokuratora okręgowego. Dopiero gdy skończą tę rozmowę, sprawa się rozstrzygnie.

Devin zamilkł na moment, wystraszony.

– Jak to „się rozstrzygnie”? – spytał w końcu.

Skaggs mówił bardzo powoli. Przygotuje dokumentację, dowody, zeznania. Wtedy prokurator okręgowy zdecyduje, co z tym zrobić. Potem spytał:

– Jak myślisz, co prokurator zrobi człowiekowi z tego nagrania, który napada na jakiegoś dzieciaka?

Devin głośno wypuścił powietrze.

– Zostanę tam do końca życia – powiedział cicho, jakby do siebie. Wyglądał na zrezygnowanego. Potem zbuntował się nagle. – Niedługo urodzi mi się dziecko!

Siedzieli w sali przesłuchań od dwudziestu ośmiu minut. Devin zaczął płakać.

– Musimy ze sobą szczerze pogadać – powiedział Skaggs.

Ale Devin płakał coraz bardziej.

– Będę miał syna. Nie zobaczę narodzin własnego dziecka!

Skaggs próbował go uspokoić. Było to dość ryzykowne posunięcie, bo Devin wydawał się bliski załamania. Detektyw nie odczytał mu jednak jeszcze jego praw.

– Musimy naprawdę poważnie porozmawiać. Może uda nam się znaleźć jakieś rozwiązanie. – Brnął dalej.

– To nie ma znaczenia! I tak pójdę siedzieć. I tak zostanę tam do końca życia. Nigdy nie wrócę do domu! – zawodził Devin. – Kurwa mać! –



wrzasnął, po czym dorzucił nieodłączne w takiej sytuacji przeprosiny: – Przepraszam za swoje słownictwo.

Zabrzmiało to jak stopień wyższy zwrotu „sir”. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu gangsterzy bardzo często najpierw przeklinali, a potem za to przepraszali.

Skaggs zignorował histeryczne zachowanie Devina i znów zaczął mówić o sprawie. Devin ponownie mu przerwał.

– Już pan to powiedział: to on mnie do tego namówił – oznajmił, po czym rozszlochał się na dobre.

To stwierdzenie miało ogromną wagę. Ale nadal nie stanowiło przyznania się do winy.

– Chwileczkę! – Skaggs próbował na nowo ożywić rozmowę.

Jednak Devin jakby nagle otrzeźwiał i oznajmił w połowie kolejnego chlipnięcia:

– Nie przyznam się do tego.

Potem powiedział, że liczył na pomoc policjantów.

– Nie jestem tu po to, żeby kogoś krzywdzić albo komuś pomagać – odparł Skaggs. – Chcę tylko poznać prawdę. Dlatego musimy przejść do rzeczy.

Wydawało się, że te zdania pomogły Devinowi zebrać w końcu myśli.

– Właśnie o to proszę! Przejdźmy wreszcie do rzeczy!

Skaggs przyjął ten wybuch ze zrozumieniem i obiecał, że wkrótce zacznie zadawać konkretne pytania. Potem gładko przeszedł do innego punktu przesłuchania.

– A żebym mógł zadawać ci te pytania... Cóż, kiedyś już odczytywano ci twoje prawa, prawda?

Devin potwierdził. Wielu detektywów obawiało się tego momentu. Odczytywanie praw psuło nastrój. Skaggs robił to na luzie, próbował nawet zamienić ten obowiązek w zabawę, pytając Devina, czy zna swoje prawa na tyle dobrze, by wyrecytować je z pamięci. Chłopiec spróbował, ale potem umilkł. Zamknął się w swoim świecie, siedział z nisko pochyloną głową, a po policzkach spływały mu łzy.

– Nigdy nie wrócę do domu – szlochał.

Skaggs zaproponował, że sam odczyta przysługujące Devinowi prawa, jakby wyświadczał mu w ten sposób przysługę. Chłopiec słuchał przez chwilę, pochlipując, a potem przerwał:

– Nie chcę już tego słyszeć, sir. Będę się tylko jeszcze bardziej denerwował.

– Cóż... – Skaggs westchnął ze smutkiem, jakby i jemu sprawiało to przykrość. – Muszę to zrobić. Pozwól więc, że skończę... A potem porozmawiamy. – Odczytał prawa przysługujące podejrzanemu, powoli i wyraźnie, czekając po każdym zdaniu na: „Tak, sir” wypowiedziane przez Devina.

Krótką pauza. Devin wciąż płakał.

– Współczuję ci, rozumiem twoje trudne położenie – powiedział Skaggs łagodnym tonem.

Zaproponował przerwę i podał Devinowi chusteczkę higieniczną. Powiedział, że skieruje rozmowę na inne tematy, pozwoli chłopcu odzyskać równowagę. Potem ponownie wspomniał o jego matce.

– Twoja mama to bardzo miła kobieta – zauważył. – Współczuję jej.

Tym razem Skaggs mówił prawdę: rzeczywiście uważał Sandrę James za bardzo miłą kobietę.

Rozłączył kajdanki, więc Devin mógł swobodnie poruszać rękami, nadal jednak miał na nadgarstkach metalowe obrączki, a jedna z nich uciskała go boleśnie w zranione miejsce. Detektyw pomógł mu je przesunąć, by nie sprawiały mu bólu. Potem wrócił do rozmowy o morderstwie. Mówił o Devinie w trzeciej osobie, wspomniał, że ludzie pytają, dlaczego właściwie to zrobił.

– „Nie wygląda na złego faceta – przytaczał ich słowa. – Co się stało, do cholery?”

Przerzucił kilka kartek dokumentacji, ponownie nazywał morderstwo „poważną sprawą”. Wciąż jednak nie udawało mu się wyciągnąć z Devina konkretnych odpowiedzi. Na wszystkie pytania i sugestie chłopak odpowiadał tak samo: „To nie ma znaczenia, sir, i tak pójdę siedzieć”. Nastolatek mówił do siebie, nie mógł się pogodzić z tym, że kumple na niego donieśli.

Siedział zgięty wpół i oparty na stole – zdesperowany, obolały, ranny siedemnastolatek, ogarnięty na pozór rzeczywistym cierpieniem. Płakał żałośnie i powtarzał, że chce wrócić do domu. Skaggs w żaden sposób nie reagował na ten rozdzierający spektakl. Zachowywał kamienny spokój i konsekwentnie realizował obraną wcześniej taktykę. Raz po raz atakował Devina.

– Chcę wiedzieć dlaczego – spytał po raz kolejny.

Devin opuścił niżej głowę.

Detektyw dostrzegł ten gest i znieruchomiał. Zdawało się, że czas stanął w miejscu. „Teraz”, pomyślał.

– On mnie do tego namówił – oznajmił Devin zaskakująco czystym i wyraźnym głosem. Zamknął oczy, jakby szykując się do ostatecznego rozstrzygnięcia.

– Rozumiem – powiedział cicho Skaggs. – Właśnie o tym chcemy porozmawiać. Śmiało, wyrzuć to z siebie.

Lecz Devin po raz drugi zmienił zdanie. Znów się wycofał.

– Ja tego nie zrobiłem – oświadczył. Odwoływał przyznanie się do winy, które właśnie wyszło z jego ust. – Myślałem o czymś innym – wyjaśnił.

Siedzieli w pokoju przesłuchań niemal od czterdziestu pięciu minut. Sukces wydawał się bliski, nadal jednak pozostawał poza zasięgiem. Corey Farell prawie się nie ruszał. Miał przed sobą swój notes, ale tylko sporadycznie z niego korzystał – bał się, że zrobi coś, co zburzy nastrój, pogrzebie dotychczasowe wysiłki Skaggsa. Jeśli ten ostatni również czuł niepokój, to w żaden sposób go nie okazywał. Właściwie wydawał się coraz spokojniejszy.

– Rozumiem – odparł swobodnie, gdy Devin odwołał swoje ostatnie słowa. – Widzisz, nikt się na ciebie nie złości.

Podał płaczącemu nastolatkowi jeszcze kilka chusteczek i pokazał mu, jak się ich używa, jakby rozmawiał z małym dzieckiem.

Devin znów wpadał w histerię, głośno szlochał.

– Zamkną mnie do końca życia. Mam siedemnaście lat, a pójdę do paki! – powtarzał. – Zmasakrują mnie. Mogę się bronić tylko jedną ręką. Nie dam im rady!

– Devin. Devin! – Skaggs raz po raz powtarzał jego imię, próbował przywołać go z powrotem do rzeczywistości.

Gdy chłopak ucichł na moment, by zaczerpnąć powietrza, detektyw zaczął wygadywać jakieś bzdury, byle tylko zyskać na czasie.

– Devin, masz siedemnaście lat. A ja... na ile wyglądam twoim zdaniem?

– Czterdzieści siedem – wychlipał Devin, prawie zgadując.

Skaggs udał zawstydzenie, roześmiał się z zakłopotaniem.

– Tak – powiedział. – Nie lubię się do tego przyznawać, ale...

Nagle spowaźniał. Podniósł obie ręce.

– Więc teraz posłuchaj – polecił, po czym głośno klasnął w dłonie.

Ostry dźwięk zawisł na moment w powietrzu, tak jak kiedyś słowa Skaggsa skierowane do siostry Derricka Washingtona, która chwilę potem spuściła głowę i zaczęła płakać. Poproszony później o wyjaśnienie swego postępowania w tej części rozmowy, Skaggs nie umiał znaleźć odpowiedzi. Nie wiedział, dlaczego po trzech kwadransach przesłuchania uciekł się nagle do klaskania w dłonie, niczym przedszkolanka w grupie rozbrykanych dzieciaków.

Próbował skupić na sobie uwagę Devina. Było to jednak także instynktowne działanie, przeblysł geniuszu człowieka, dla którego przejmowanie kontroli nad rozmówcą było czymś naturalnym. Skaggs klasnął w dłonie tuż przed twarzą Devina, jakby doskonale wiedział, co się za chwilę wydarzy. Potem klasnął jeszcze dwukrotnie, odruchowo, by dopełnić całości. Ten zabieg był tak prosty i potężny – trzy ostre dźwięki rozbrzmiewające w zamkniętej przestrzeni pokoju – że ktoś nieznający kontekstu mógłby pomyśleć, iż Skaggs bawi się w czarną magię, przywołuje jakiegoś złego ducha.

– Więc teraz posłuchaj. – Kłaśnięcie. – Co stało się tamtego dnia? – Kłaśnięcie. Kłaśnięcie.

Devin w końcu się złamał.

Nagle zaczął mówić tak szybko, że detektywi nie mogli nadążyć. Jąkając się i zacinając, w pośpiechu wyrzucał z siebie kolejne słowa. Opisywał całą sprawę.

– On mnie do tego namówił. Powiedział, że tam pojedziemy, byłem w samochodzie... Miałem spluwę, tak. Wsiadłem z samochodu, zamknąłem oczy i zacząłem to robić, nie wiem dlaczego! Bałem się!... Nie chciałem, żeby ktoś myślał, że jestem ciotą albo... Chciałem tylko mieć przyjaciół! Tylko o to mi chodziło. Nie wiedziałem, że trzeba robić to wszystko!

Przerwał, by złapać oddech.

– Rozumiem – powiedział łagodnym tonem Skaggs. – I właśnie o tym porozmawiamy.

Robił to już od dwudziestu lat, wyciągał z podejrzanych przyznanie do winy, czasami z łatwością, czasami z trudem, lecz za każdym razem wciąż był jednakowo zaskoczony. Rozpoczął to przesłuchanie, licząc na kapitulację i szczerość Devina. Jego zeznanie nie było niezbędnie potrzebne, ale pozwoliłoby właściwie zamknąć sprawę. Gdy w końcu nadszedł ten moment, Skaggs czuł się głęboko poruszony i zdumiony, jakby był świadkiem jakiegoś epokowego wydarzenia. Nie okazywał jednak żadnych emocji. Ukrył zdumienie i nadal parł do celu w typowy dla siebie sposób.

Devin szlochał. Napięcie sięgało zenitu.

Skaggs postanowił się nieco wycofać. Był to z pewnością jeden z najważniejszych momentów w jego karierze, lecz detektyw wcale się nie spieszył. Co więcej, wyraźnie zwolnił tempo.

Mówił swobodnym, pogodnym tonem, jakby to, co zamierzał za chwilę powiedzieć Devin, niewiele go obchodziło.

– Potrzebuję tylko kilku szczegółów, potem będziemy mogli przejść dalej – tłumaczył. – Zrobimy sobie przerwę. Wrzucisz coś na ruszt, napijesz się...

– Mogę zadzwonić do mamy? – wychlipał Devin.

– Tak, możesz. Ale nie teraz.

Devin nadal płakał.

– Skąd cię zabrali? – zaczął Skaggs.

Po krótkiej pauzie Devin odpowiedział zmienionym głosem. Mówił ze smutną, spokojną rezygnacją, jakby trochę naśladując Skaggsa.

– Chyba ze Sto Dziesiątej.

Przez następne czterdzieści pięć minut odpowiadał na pytania detektywa, jedno po drugim, wtrącając „sir”, gdy Skaggs zarzucał mu, że mówi niewyraźnie. Detektyw gawędził z nim niespiesznie, a Farell bez ustanku zapisywał coś w swoim notesie. Z zeznań podejrzanego stopniowo wyłaniała się pełna historia morderstwa. Majowe popołudnie. Stary, wysłużony rewolwer. Skaggs już nie bawił się w dygresje. Kolejne pytania układały się w logiczną całość, wynikały jedno z drugiego, jakby detektyw przewracał w głowie stronice starannie przygotowanego kwestionariusza. Odślaniał kolejne przerażające szczegóły, opisywane później w sądzie i tworzące niepodważalny materiał dowodowy.

Devin co jakiś czas tracił panowanie nad głosem, ale już nie stawiał oporu, zdecydowanie kroczył drogą wiodącą ku własnej zagładzie, posłusznie udzielał wyczerpujących odpowiedzi, pochlipując co chwila i powtarzając, że spędzi resztę życia w więzieniu. Skaggs kazał mu szczegółowo odtworzyć chronologię wydarzeń, opisać, jak dogryzali sobie ze Starksem i jak w końcu postanowili „dołożyć” wrogim gangsterom z północy.

Namówił go, by opowiedział, jak Midkiff i Starks zabrali go do swojego samochodu, pojechali na północ i zaparkowali za rogiem. Tutaj rozmowa zamieniła się w analizę geograficzną zbrodni popełnionych w strefie getta – ten dziwny prawniczy gmach wzniesiony na fundamencie punktów wspólnych pojawiających się w relacjach różnych świadków.

Ponieważ wielu świadków wycofywało się ze złożonych wcześniej zeznań lub niechętnie ujawniało szczegóły przestępstw, materiał dowodowy musiał się opierać w dużej mierze na wiele mówiących przejęzyczeniach i strzępach prawdziwych informacji. Sprawa nabierała realnych kształtów, gdy wystarczająca ilość takich przejęzyczeń i strzępów potwierdzała się nawzajem lub pasowała do innych dowodów. Produkt końcowy nie przypominał jednak spójnej opowieści o morderstwie rodem z kryminałów. Była to raczej skomplikowana konstrukcja złożona z tego, co zachowało się po usunięciu wszystkich błędów, kłamstw i niedomówień.

Devin opowiadał, jak inni członkowie gangów zatruwali mu życie i nazywali tchórzem i jak bardzo chciał dowieść swojej wartości. Rano zażył pastylkę ecstasy, zakładając, że w ciągu dnia czeka go jakaś zabawa.

– Byłem pod wpływem i słuchałem świra – stwierdził.

Wyglądało na to, że nie znał Midkiff zbyt dobrze. Myślał, że jest biała i nazywał ją „Jennifer”. Bez wątpienia o wiele lepiej znał Starksa. Przyznał, że rozpoznaje go na zdjęciu, udawał jednak, że nie zna jego gangsterskiego przezwiska. Prawdopodobnie obawiał się, że zostanie później posądzony o donoszenie.

Potem zasugerował, że może za tym stać jeszcze inny powód – pseudonim „No Brains” miał pejoratywny wydźwięk. Sam Devin był szczególnie wyczulony na tego rodzaju zniewagi, bo wielokrotnie musiał wysłuchiwać wyzwisk pod swoim adresem.

– Wiem, jak to jest. Nigdy nikogo nie wyzywam – oznajmił.

Zeznał, że rozpoznawał okolicę po gangsterskich graffiti na ścianach i że jeszcze w samochodzie włożył rękawice robocze, żeby „nie zabrudzić sobie rąk”. Kiedy zaparkowali, zobaczył idącego ulicą faceta w czapce Hoovers, a Starks odwrócił się i wyciągnął dłoń w stronę tego gościa. W dłoni trzymał rewolwer, trzydziestkę ósemkę.

– Bierz – rozkazał.

Skaggs zwrócił szczególną uwagę na tę część zeznań, wracał do niej raz po raz. Czy Starks powiedział coś jeszcze? „Sprzątnijmy kogoś”? „Załatwmy to”? „Dajmy komuś w czapę”? „Zarżnijmy kogoś”? Skaggs podsuwał mu różne eufemizmy. Lecz Devin stanowczo trzymał się swojej wersji.

– Nic z tych rzeczy. Powiedział tylko: „Bierz”. Tyle pamiętam. Powiedział: „Bierz”.

Zeznał, że na widok pistoletu zrobiło mu się gorąco i że wcześniej nie zakładał, że będzie do kogokolwiek strzelał. Sądził, że przyjechali się bić. Spojrzał na broń, którą trzymał w urękawiczonej dłoni, i pomyślał: „Co? Kurwa!”. Ale nie chciał, żeby ktokolwiek nazywał go tchórzem. Zaciśnął mocniej dłoń i wysiadł z suburbana.

Skaggs spytał chłopca, czy wiedział, do kogo strzela.

– Nie do końca go widziałem – odparł Devin. – Wiem tylko, że był czarny.

Powiedział to bez zastanowienia, jako coś oczywistego. Wręcz aksjomatycznego. Bo tak było w istocie. Czarny napastnik, który chce zabić członka wrogiego gangu, szuka przede wszystkim innego czarnego mężczyzny. Tak właśnie wyglądał główny element sprawy zabójstwa Bryanta Tannellego. Znaczenie miały zapewne także inne czynniki: okolica, w której mieszkał, towarzystwo, w którym się obracał, ubranie, które miał na sobie tego wieczora. Mimo tych wszystkich argumentów – i całej retoryki dotyczącej złych wyborów, bezsensownych czynów, ryzykownych zachowań i tak dalej – tym, co naprawdę zabiło Bryanta, był jeden prosty fakt, którego on sam nie mógł zmienić i na który nie miał żadnego wpływu: kolor skóry. Właściwie wcale nie miał szczególnie ciemnej karnacji – był w połowie Kostarykaninem. Lecz to się nie liczyło. W oczach swego zabójcy Bryant Tannelle byłznaczony przez historię. Był czarnoskórym mężczyzną, prawdopodobnie członkiem gangu, skazanym na życie „poza prawem”, czy tego chciał, czy nie. Wszystkie jego inne cechy schodziły w cień w zestawieniu z tym, że był czarny. Zdaniem Devina Davisa oznaczało to, że można go zabić.

Devin mówił, że mocno zacisnął powieki, wystrzelił i rzucił się do ucieczki. Nie widział, jak Bryant upada. Jak twierdził podczas przesłuchania, nie przypuszczał, że go trafił – a jeśli już, to że najwyżej niegroźnie go zranił. Wyraźnie dał Skaggsowi do zrozumienia, że jego zdaniem rany postrzałowe to coś prozaicznego.

– Myślałem, że ktoś dostał w rękę albo coś takiego. No wie pan, zwykłe postrzelenie – mówił.

Devin powiedział, że potem „nie czuł się dobrze”. Poprosił Starksa, żeby wysadził go przy Jesse Owens Park. Poszedł popływać. Twierdził, że wcale nie chwalił się swoim wyczynem i że dręczyły go wyrzuty sumienia. Wmawiał sobie, że tylko zranił faceta idącego ulicą w pobliżu Saint Andrews. Kiedy jakiś czas później został postrzelony w nadgarstek przy Jesse Owens Park, uznał, że była to zemsta tego właśnie gangstera, któremu zrobił wtedy krzywdę. „Jesteśmy kwita”, pomyślał.



Devin starał się na wszelkie sposoby pomniejszać i racjonalizować swoją winę, przekraczając przy tym granice absurdu. Powiedział Skaggsowi, że to nie on mierzył do Bryanta, tylko Bryant wszedł na linię jego strzału. Czasami trudno było odgadnąć, czy jego wykrety mają zwieść Skaggsa, czy też chłopak oszukuje samego siebie. Kiedy detektyw spytał go, czy wie, że zabił „dziecko gliniarza”, Devin udał ogromne zdziwienie.

– Zabiłem dziecko gliniarza? – zawodził. – Naprawdę nigdy nie wrócę do domu.

Wkrótce przyznał jednak, że słyszał od nastolatka na zwolnieniu warunkowym, kim był Bryant. Zaczął płakać jeszcze głośniejszym głosem, mówiąc:

– Odebrałem komuś dziecko... – Później dodał: – Spieprzyłem sobie całe życie... Nie mogę już tego naprawić.

Skaggs zadawał kolejne pytania, mówił neutralnym tonem, konsekwentnie i skutecznie realizując swój plan. Co poczuł Devin, kiedy się dowiedział, że kogoś zabił?

– Nigdy nie myślałem, że zrobię komuś krzywdę. – Chłopak szlochał. – Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. Chciałem tylko, żeby inni mnie podziwiali i chcieli się ze mną pokazywać. Żeby wszyscy mnie lubili! Nigdy, nigdy, nigdy, przenigdy w życiu nie chciałem nikomu zrobić krzywdy!

Powiedział też, że nie lubi broni, bo jego brat został kiedyś postrzelony, więc widział, „jak mama to przeżywała”.

Gdy przesłuchanie powoli zbliżało się do końca, coraz częściej wspominał o matce.

– Nigdy nie wrócę do domu, nigdy nie zobaczę mamy – wyszlochał w pewnym momencie.

Skaggs podał mu chusteczkę.

– Tego nie potrafię ci powiedzieć – odparł.

– Boję się! – wykrzyknął chwilę później, znów zanosząc się płaczem. – Nie wiem, co robić.

– Nie dziwię ci się – odpowiedział cicho detektyw.

Dochodziła szesnasta, gdy Skaggs kończył rozmowę, wysłuchawszy zeznań Devina i wyjaśniwszy kilka kwestii. W ostatniej części

przesłuchania detektyw wypytywał go o różne drobiazgi – czy wokół posesji było ogrodzenie i tak dalej. Devin opisywał wszystko zrezygnowanym, przygnębionym głosem. Skaggs krok po kroku wyciągał z niego przyznanie się do winy, szukając potwierdzenia każdego szczegółu opisanego wcześniej przez Midkiff i naocznych świadków. W dokumentacji sprawy pojawiło się teraz kilka dodatkowych zdjęć miejsca zbrodni i Starksa, opatrzonych inicjałami D.D.

W końcu Skaggs spytał Devina, czy chciałby zobaczyć fikcyjną taśmę z kamery ochrony. Nie chciał.

– Cholera – mruknął chłopak. – Jestem załamany. Do końca życia nie wyjdę z paki. – Znow się rozpłakał. – Nawet nie chcę już o tym rozmawiać, sir! Wiem, jak to wygląda. Widziałem w telewizji. Oglądam *Law and Order*. Wiem, jak to się skończy. Zabrałem kogoś z tej planety. Z powierzchni ziemi. Nie ma już powrotu. Nie przywrócę mu życia... I nigdy już nie zobaczę swojego dziecka. Nigdy nie posmakuję żadnej cipki. Nigdy nie zobaczę swojego cholerne syna. Nic nie mogę zrobić. Już po mnie.

– Rozumiem – powiedział cicho Skaggs. – Skończyliśmy, Devin.

Zaproponował chłopcu lunch.

Potem wyszedł z pokoju przesłuchań. Ogarnęło go ogromne zmęczenie. Przez ostatnie półtorej godziny jego umysł pracował na pełnych obrotach – oceniał, obliczał, rozmawiał z podejrzanym, przetwarzając jednocześnie dane, chłonał każde słowo wypowiedziane przez Devina, każdy jego ruch i każdy gest. Czuł się wyczerpany fizycznie i psychicznie, jakby właśnie przebiegł maraton. Ale wiedział, że osiągnął swój cel. Sprawa została wyjaśniona.

Farell doświadczył podobnego uczucia znacznie później, gdy wrócił do domu i gdy w końcu opadło zeń całe napięcie. Znał ten stan jeszcze z czasów, gdy patrolował ulice. Zdarzało się, że bez zastanowienia ruszał w pościg za uzbrojonym podejrzanym. Dopiero znacznie później przychodziła mu do głowy myśl: „No tak, przecież mógł mnie zastrzelić”.

Kiedy wychodzili z budynku, Devin znow płakał. Chciał czegoś do picia, napoju gazowanego. Skaggs odwrócił się doń, porzucając na moment

maskę niewzruszonego spokoju, którą nosił przez dwadzieścia lat pracy w wydziale zabójstw. Farell przyglądał mu się ze zdumieniem: nigdy dotąd nie widział go w takim stanie.

– Pierdol się – rzucił Skaggs do Devina. – Zabiłeś dziecko policjanta.

Przesłuchanie Derricka Starksa wyglądało zupełnie inaczej niż rozmowa z Devinem Davisem.

Odbyło się dwa dni później. Skaggs i Farell zabrali Starksa z więzienia, przewieźli go obok miejsca zbrodni, a potem zaprowadzili do sali przesłuchań.

Skaggs od razu zrozumiał, że Starks jest bardziej doświadczony i sprytniejszy niż Davis. Zgodnie z tym, co mówiła wcześniej Midkiff, był potężnie zbudowanym mężczyzną, który musiał budzić w niej strach. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i atletyczną sylwetkę. Wzdłuż jego szerokiego karku ciągnęła się wyraźna bruzda. Miał wyrazistą, posępną twarz, przypominającą oblicza rzymskich posągów – zmysłowe, szerokie usta, dołki w policzkach, prosty, wąski nos, łukowate brwi i oczy z lekko uniesionymi kącikami. Jak na czarnego miał też dość jasną skórę, jasnobrązowe włosy i orzechowe oczy – gdyby nie silny akcent z Luizjany, mógłby z powodzeniem udawać Latynosa.

Podczas jazdy samochodem podejrzany prawie się nie odzywał. W pokoju przesłuchań mówił głównie Skaggs. Odnosił się do Starksa w swobodny, niemal poufaly sposób. Powtórzył żart o tępym policjancie, choć teraz to on, a nie Farell, miał odgrywać jego rolę. Przesłuchania Skaggsa przypominały wariacje na temat tej samej symfonii. Zawsze używał tych samych narzędzi i motywów, ale za każdym razem delikatnie je modyfikował. W tym wypadku nazywał głupkiem samego siebie, a nie Farella, i to jemu przypisał zasługę rozwiązania sprawy. Dodał też, że zwykle śledztwa są trudniejsze.

Potem przedstawił długą listę dowodów obciążających Starksa. Dysponował już zeznaniami człowieka na wózku, Midkiff i Davisa. Treść tych zeznań w dużej mierze pokrywała się ze sobą, co wzmacniało ich wiarygodność. Skaggs miał też dane dotyczące rozmów prowadzonych

przez telefon komórkowy Starksa. Wynikało z nich, że w czasie morderstwa podejrzany znajdował się nie dalej niż dziewiętnaście przecznic od miejsca zbrodni.

Korzystając z pomocy kalifornijskiej drogówki, detektyw ustalił, że Starks miał czarnego suburbana i że jechał nim z Midkiff kilka dni po zabójstwie. Świadkowie rozpoznali samochód na zdjęciach. Skaggs miał także listy oraz nagrania podsłuchanych rozmów telefonicznych, które Starks prowadził z więzienia. Żadna z nich nie dowodziła niezbie jego winy, ale wynikało z nich jasno, że podejrzany utrzymuje bliskie stosunki z gangsterami z Blocs i że wie o sprawie Tannellego.

Detektyw przedstawił Starksowi prawdziwe informacje, wplatając w nie również kilka kłamstw. Powiedział na przykład, że policja znalazła jego DNA na narzędziu zbrodni. W rzeczywistości w tamtych czasach bardzo rzadko dysponowano takimi dowodami, ale w telewizji mówiono o tym tak często, że Skaggs uznał to za użyteczny wybieg. Chciał przekonać Starksa, że obciążające go dowody są nie do obalenia.

Tego rodzaju kłamstwa odgrywały jednak tylko pomocniczą rolę, bo Skaggs rzeczywiście miał już masę materiału dowodowego. Wcale nie mijał się z prawdą, gdy mniej więcej po godzinie przesłuchania powiedział do Starksa surowym tonem:

– Nieważne, co mi powiesz. Tak naprawdę nie potrzebuję już twoich zeznań.

Dowody zgromadzone przez Skaggsa były na tyle mocne, że mógł już śmiało wnieść oskarżenie o morderstwo. Przesłuchiwał Starksa głównie po to, by sprawdzić, czy ten nie przedstawi jakichś zeznań, które mogłyby oczyścić go z zarzutów. Chciał zrobić wszystko, by potem móc powiedzieć: „Wykonałem swoje obowiązki jako policjant i jako bliźni, dałem temu człowiekowi szansę”. Nie krył przed Starksem, że jego możliwości są coraz bardziej ograniczone.

– Dziś załatwiam ostatnią rzecz, jaką muszę zrobić w związku z tą sprawą. Kiedy się rozstaniemy – gwizdnął znacząco – zakończę to. Zamknę na dobre. Zajmę się następnym śledztwem.

Dla podkreślenia swych słów strzelił palcami. I znów mówił prawdę.

Po kolejnych pytaniach Starks głównie milczał, a po kilku lub kilkunastu sekundach ciszy głęboko wzdychał. Co jakiś czas Skaggs robił pauzę – czekał na jakąś reakcję ze strony podejrzanego. Gdy ten się nie odzywał, detektyw znów gawędził swobodnym tonem, robił różne dygresje, szukając tematu, który sprowokowałby Starksa do dłuższej odpowiedzi. W pewnym momencie nieświadomie powtórzył słowa Wally’ego Tennellego – powiedział, że zawsze śmiało patrzy w oczy oskarżonym w sądzie i że nie boi się ich gniewu.

– Dlaczego? Bo kiedy tam przychodzę, mówię tylko o tym, co naprawdę się wydarzyło – wyjaśnił.

Niemal identycznej argumentacji używał Tennelle, tłumacząc, dlaczego nie boi się spotkać ludzi, których niegdyś aresztował. Obaj głęboko wierzyli, że muszą nimi kierować proste, uczciwe zasady. Choć podczas przesłuchań uciekali się do drobnych kłamstw, postrzegali swoją pracę jako poszukiwanie prawdy: przedstawiali fakty zgodnie z tym, co udało im się ustalić, uczciwie naświetlali sprawę, a ostateczną decyzję pozostawiali sądowi. Pewnego razu Skaggsa poproszono, by przekazał dokumentację śledztwa władzom Meksyku, gdzie trafił jego podejrzanym. Opisywał to później jako jedno z najgorszych doświadczeń w życiu – musiał oddać zebrane przez siebie informacje obcemu sądowi, którego nie rozumiał i któremu nie ufał. Czuł się bezpiecznie jedynie w obrębie amerykańskiego systemu sprawiedliwości.

Nigdy nie wyrażał niezadowolenia z ograniczeń, jakie nakładały na niego przepisy i gwarantowane konstytucją prawa podejrzanego<sup>129</sup>. Przywykł do tych wymogów i czerpał otuchę ze świadomości, że kiedy już skończy, owoce jego pracy zostaną poddane skrupulatnej analizie ze strony sędziego, obrony i ławy przysięgłych. „Mów tylko, co się stało”, mawiał La Barbera, który przyswoił sobie to credo jeszcze w czasach starego wydziału zabójstw w Southeast. Skaggs i Tennelle tak mocno wierzyli w zasadność takiego postępowania stróżów prawa, że nie przychodziło im nawet do głowy, by ktoś mógł mieć do nich o to pretensje. Taka postawa była częścią emocjonalnego ekwipunku ludzi zdolnych spalić ziemię w dążeniu do sprawiedliwości.

Skaggs posunął się nawet do tego, że zasugerował Starksowi całkiem niezłą linię obrony: dał mu do zrozumienia, że mógł nie znać zamiarów Davisa.

– Po prostu wyskoczył z auta i zrobił to, co sobie zaplanował? – spytał.

Przypisanie intencji postrzelenia lub zabicia Davisowi mogłoby zapewnić Starksowi całkiem skuteczną obronę, choć część zeznań pozostawała w sprzeczności z taką tezą – choćby relacja Midkiff, która opisywała, jak Starks przesadził ją na miejsce pasażera, by kierować autem podczas ucieczki. Starks nie chwycił jednak przynęty.

– Jestem przytłoczony. Nie mam nic do powiedzenia – oznajmił.

Skaggs próbował różnych strategii. Nakłaniał Starksa, by patrzył mu prosto w oczy.

– Jak to możliwe, że nie patrzysz w oczy człowiekowi, z którym rozmawiasz?

– Nie wiem – odparł Starks. – Mój tata mówi to samo.

Było to jedyne zdanie, w którym Starks powiedział tego dnia coś więcej o sobie.

Poza tym odpowiadał Skaggsowi monosylabami lub krótkimi frazami. W żaden sposób nie okazywał zniechęcenia ani osłabienia, na co liczył detektyw. Starks zasugerował, że nie może pamiętać szczegółów, o które wypytywał go Skaggs, bo w 2002 roku ktoś mu „przywalił” i od tego czasu ma „problemy z pamięcią”. Mówił też, że ludzie kłamią na jego temat.

– W ogóle nie byłem w pobliżu tego miejsca – twierdził.

W końcu Skaggs po raz ostatni spytał Starksa o jego „wersję tej historii”.

Starks przez chwilę milczał, po czym odparł powoli:

– Powiedziałem już o swojej wersji. Nie ma żadnej wersji. Nie było mnie tam. Niczego nie zrobiłem.

Skaggs westchnął głęboko. Uznał przesłuchanie za zakończone.

19 lutego 2008 roku prokurator okręgowy Los Angeles wniósł oskarżenie przeciwko Devinowi Davisowi i Derrickowi Starksowi w sprawie o zabójstwo Bryanta Tannellego.

W ciągu całego śledztwa Skaggs prawie w ogóle nie rozmawiał z Wallym Tennellem.

Tylko raz, na początku tego okresu, złożył wizytę rodzinie Tennelle. Pracował wtedy jeszcze z Bernalem. Towarzyszył im również przełożony z komisariatu. Skaggs nie umiał pracować w ten sposób, nie znosił tego. W Southeast zawsze starał się, by spotkania z pogrążonymi w żałobie rodzinami były spokojne, dyskretne i wyciszone, lecz ta wizyta przypominała raczej oficjalną konferencję dyplomatyczną, a rozmowa była sztuczna i formalna.

Jednak w pewnym momencie, gdy w sprawie nastąpił przełom, a Skaggs był już pewien, że ją rozwiąże, sięgnął po telefon. Po raz pierwszy rozmawiał sam na sam ze swoim kolegą po fachu z RHD, którego ledwie znał. Opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło. Tennelle nie zadawał żadnych pytań. Skaggs powiedział, że wkrótce nastąpią aresztowania.

Potem, jak wiele razy w podobnych sytuacjach, umilkł i czekał, słuchając, jak Tennelle płacze po drugiej stronie słuchawki.

## Gangsterskie porachunki

Sam Marullo wpatrywał się w Sala La Barberę z niedowierzaniem.

Było lato 2008 roku, kilka miesięcy po tym, jak wniesiono oskarżenie w sprawie zabójstwa Bryanta Tannellego. Proces miał się rozpocząć nie wcześniej niż za rok, a triumf Skaggsa szybko spowszedniał i przyblakł.

Marullo był ubrany w dżinsy i bawełnianą koszulkę, przed momentem wrócił z punktu obserwacyjnego, gdzie spędził cały dzień. Stał w nowym „gnieździe” detektywów, złożonym z małych boksów, które stanowiło teraz część Grupy do spraw Zabójstw Gangsterów South Bureau, połączonego biura detektywów w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej. W policji w Los Angeles „innovacja” często oznaczała powrót do dawnych praktyk, a ta nowa struktura organizacyjna odtwarzała w istocie stary wydział zabójstw z South Bureau, gdzie Skaggs zaczynał swą karierę.

Marullo, podobnie jak Skaggs, kierował się zasadą, że należy wykorzystać każdą godzinę, także wieczorem. Miał już ruszyć na poszukiwania świadka, gdy La Barbera zatrzymał go i kazał mu wracać do domu – nie mógł mu zapłacić za nadgodziny. Właśnie się dowiedział, że jego budżet na nadgodziny został obcięty o pięćdziesiąt siedem procent.

W każdym racjonalnym systemie detektywi wydziału zabójstw otrzymywaliby stałe pensje, podobnie jak inni pracownicy umysłowi. Jednak w anachronicznym świecie amerykańskich organów ścigania detektywi byli pracownikami fizycznymi, którym płacono od godziny i którzy ze względu na zasady wprowadzone przez związki zawodowe nie mogli pracować po godzinach za darmo. Marullo został więc praktycznie uziemiony. W połączeniu z innymi utrudnieniami ten absurdalny zakaz wydawał się niczym nieusprawiedliwionym afrontem. Marullo zastanawiał się, co powinien zrobić w tej sytuacji.



Pat Gannon miał nadzieję, że sukces Skaggsa i pomyślne zamknięcie sprawy Tannellego będą inspiracją dla wielu młodych policjantów w jego nowej skonsolidowanej „grupie”. Stało się tak tylko w pewnym stopniu. Po aresztowaniach związanych z tą zbrodnią jeden z detektywów ukuł nowe pojęcie: „specjalność Johna Skaggsa”<sup>130</sup>, które oznaczało śledztwo określonego typu: agresywne, nieustępliwe, prowadzone głównie w terenie.

Wkrótce jednak pojawiły się nowe trudności.

W nowym biurze komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej okna weneckie w pokojach przesłuchań zostały zamontowane odwrotnie – to podejrzani widzieli policjantów, a nie policjanci podejrzanych – musiano je więc zakryć. Nie działały telefony. Brakowało radiowozów. Jedna z sekretarek dopuściła się ciężkiego przestępstwa – kazano jej oszczędzać materiały biurowe, tymczasem po kryjomu rozdawała długopisy i notesy.

Gannon odszedł, a nowy dowódca grupy Kyle Jackson z RHD nigdy nie był detektywem. Jego nominacja nie spotkała się z zadowoleniem. Jackson traktował tę posadę jako ostatni przystanek przed emeryturą, a przy tym uchodził za przesadnie drobiazgowego. Ten wysoki, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy już na pierwszym spotkaniu z detektywami uraczył ich wykładem o nierównym traktowaniu ludzi różnych ras i płci, gestykulując przy tym ręką, na której pobłyskiwała złota bransoleta. Podczas jego przemówienia blask słońca kładący się na biurkach wyraźnie przybladł, a twarze detektywów sposepniały.

Potem rozeszła się plotka, że John Skaggs odchodzi. Mianowano go szefem wydziału zabójstw w nowym komisariacie na północ od autostrady 10.

Skaggs od czasu awansu na D-3 szukał dla siebie jakiegoś dobrego rozwiązania. W Southwest pracował tylko tymczasowo. Wraz z Barlingiem miał szkolić młodych detektywów z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, marzył jednak o powrocie do pracy w terenie, do nowych śledztw. Dzięki sprawie Tannellego stał się jeszcze lepiej znany w policyjnym środowisku, a pewien ambitny młody porucznik z nowego komisariatu Olympic chciał mu powierzyć dowództwo małego wydziału. Skaggs uznał, że to dobra okazja, by wprowadzić praktyczniejsze, bardziej bezpośrednie

podejście do spraw. Podobnie jak kilka lat wcześniej Tennelle, czuł, że w strefie getta ma coraz mniej możliwości.

Tym samym w South Bureau jak zawsze brakowało fachowców najwyższej klasy.

– Ten cholerny nieudolny sukinsyn Skaggs – mówił o nim żartobliwie Prideaux.

Czuł się urażony. Skaggs nie raczył go nawet poinformować o swoich przenosinach. Prideaux próbował przeciągnąć na swoją stronę Barlinga, lecz ten, jak zawsze wierny Skaggsowi, ignorował jego uwagi.

La Barbera nadal dowodził Southeast, lecz teraz miał nad sobą Prideaux. Był wściekły, że musi powstrzymać Sama Marulla, który wciąż w pełni zasługiwał na przezwisko „Mały Skaggs”. Nie mógł jednak zignorować ograniczeń dotyczących nadgodzin. Pod koniec 2008 roku zaczął się kryzys gospodarczy, a lokalne władze na gwałt szukały oszczędności. La Barbera martwił się, że teraz wykorzysta przydział na cały tydzień, a potem nie będzie miał z czego zapłacić za śledztwa w nowych sprawach. Dlatego powiedział Marullovi, że musi poczekać z przesłuchaniem świadka.

Marullo wciąż patrzył nań z niedowierzaniem, w końcu zrozumiał jednak, że La Barbera mówi poważnie.

Sam Marullo przypominał Skaggsa i Tannellego także pod tym względem, że nie okazywał niepotrzebnie emocji. Jak każdy dobry detektyw potrafił zachować kamienną twarz. Nie omieszkał jednak powiedzieć La Barberze, co o tym myśli. Zeznania tego świadka były kluczem do rozwiązania sprawy zabójstwa trzydziestodwuletniego czarnego mężczyzny – bez nich śledztwa być może nie uda się zamknąć. La Barbera nie zmienił jednak zdania.

– W porządku! – rzucił Marullo, odwrócił się i wyszedł.

Dał upust złości nieco później, w towarzystwie swego partnera Kouriego. Co ci ludzie z dowództwa sobie wyobrażają? Dlaczego nic ich nie obchodzi? Marullo odkrywał na nowo, w 2008 roku, to, co Wally Tennelle, Sal La Barbera i John Skaggs zrozumieli wiele lat wcześniej: że praca w wydziale zabójstw strefy getta oznacza nieustającą walkę na najsłabszej placówce systemu sądownictwa karnego.

Redukcja nadgodzin równała się oczywiście obniżeniu zarobków detektywów z wydziału zabójstw. Jednak tym, co najbardziej bolało Marulla, były trudności praktyczne, bo dorobić mógł sobie gdzie indziej.

Możliwość pracy o różnych porach była dla detektywów z wydziału zabójstw strefy getta bardzo istotna. Absurdem byłoby zakładanie, że można nakłonić świadków do zeznań jedynie dzięki kontaktom telefonicznym i w ściśle określonych porach dnia. Cała sztuka polegała na tym, by osaczyć ludzi, którzy unikali policji – zaskakiwać ich, prosić, narzucać się, wielokrotnie wracać z tą samą prośbą.

Pewna kobieta z Southeast, wiedząc, że detektywi jej poszukują, zostawiła na drzwiach kartkę z napisem: „Zaraz wracamy, poszliśmy zapłacić rachunki”. Kartka wisiała przez kilka dni, nasiąknięta deszczówką i wyblakła. Detektywi tak długo czatowali pod jej drzwiami, aż kobieta w końcu wyszła i przyznała, że był to jedynie wybieg.

Kiedy więc Prideaux po raz pierwszy wspomniał o redukcji nadgodzin podczas cotygodniowego spotkania z pracownikami, wśród detektywów podniosły się głosy oburzenia.

– Mamy siedemset otwartych spraw! – zaprotestował Dave Garrido.

Chris Barling dokonał szybkich obliczeń: biorąc pod uwagę liczbę spraw oraz czas potrzebny na wizyty w sądzie, detektywi będą mogli przeznaczyć na każde ze śledztw zaledwie szesnaście godzin.

La Barbera, który zawsze troszczył się o morale swoich podwładnych, próbował nieco uspokoić nastroje, traktując nowe ograniczenia z przymrużeniem oka. Pewnego dnia napisał na tablicy: „10 strategii łagodzenia skutków redukcji nadgodzin: 1. Jeździmy szybciej samochodem. 2. Nosimy buty do biegania...” i tak dalej. Ale Samowi Marulloowi wcale nie było do śmiechu.

Skaggs, Barling i La Barbera już dawno przywykli do tego rodzaju problemów – zmagali się z nimi od lat. Marullo był jednak coraz bardziej sfrustrowany. Choć rozwiązał już wiele spraw, dręczyły go te nierozwiązane.

W kwietniu został zamordowany Nye Daniels, czarnoskóry mężczyzna, który niegdyś był świadkiem w sprawie prowadzonej przez Johna Skaggsa,

gdy ten dopiero rozpoczynał pracę w Southeast. Śledztwo przydzielono Marullowi, na razie jednak nie miał żadnych tropów. Nawiązał znajomość z matką dwojga dzieci Daniela, która wychowywała je teraz samotnie. Zdjęcia dzieciaków wisiały na jego komputerze, ich drobne twarzyczki wpatrywały się w niego każdego dnia.

Zgodnie z tym, czego nauczył go Skaggs, Marullo podawał numer swojej prywatnej komórki bliskim krewnym ofiary, a czasami nawet rodzicom podejrzanych. Od kilku miesięcy odbierał telefony od matki Henry’ego Hendersona, osiemnastolatka zamordowanego niedaleko domu Barbary Pritchett. Huk wystrzałów przeraził Pritchett. Wyszła na zewnątrz, gdzie jej oczom ukazał się potworny widok – puste buty zabitego nastolatka. Matka Hendersona dzwoniła do Marulla, gdy była pijana i zrozpaczona. W czerwcu zakończył się proces człowieka podejrzanego o zamordowanie jej syna – ława przysięgłych nie była w stanie podjąć decyzji.

Oddział Sądu Okręgowego Los Angeles w Compton powstał w 1978 roku, a więc w tym samym czasie, gdy policja w Los Angeles utworzyła nowy komisariat Southeast w Watts.

Sąd w Compton skupiał w sobie wszystkie ponure kafkowskie absurdy amerykańskiego systemu sądownictwa karnego. Sam gmach miał postać białej wieży wyrastającej spośród niskich, chaotycznie rozrzuconych budynków.

Ściany gmachu były pokryte wyblakłym graffiti i muralami przedstawiającymi Thurgooda Marshalla. Po placu przechadzali się narkomani i bezdomni. Przed bramkami z wykrywaczem metali zawsze ustawiały się kolejki. Windy jeździły powoli, skrzypiąc przy tym głośno i trzeszcząc; klatki schodowe zamykano, bo dochodziło tam do bójek i ataków z użyciem noża. Sale sądowe wcale nie przypominały eleganckich pomieszczeń sądu federalnego w centrum Los Angeles: ogłoszenia przyklejano tu taśmą bezbarwną, politurowane meble były porysowane i poobijane. Media nigdy nie wspominały o prowadzonych tu procesach. Seymour Applebaum, obrońca, który odegrał pewną rolę w historii

Skaggsa, nazwał sąd w Compton „najbardziej niestosownym elementem architektury, jaki kiedykolwiek wzniesiono. To forteca krzyżowców górująca nad równinami Saracenów”.

John Skaggs spędził w tej fortecy znaczącą część swojego życia. Teraz wybierał się tam po raz ostatni przed przenosinami do komisariatu Olympic. Przyszedł na proces Derricka Washingtona, szesnastolatka oskarżonego w sprawie o zabójstwo Dovona Harrisa, syna Barbary Pritchett.

Przez całą rozprawę Pritchett siedziała za Skaggsem, ubrana w koszulkę ze zdjęciem Dovona założoną na lewą stronę – sędzia powiedział jej, że nie może pokazywać jego podobizny na sali sądowej. Od poprzedniego dnia nic nie jadła, bez ustanku splatała i rozplatała dłonie, wzdychając ciężko.

Prokurator Joe Porras wstał ze swojego krzesła. Pritchett się rozplakała.

Porras zaczął od stwierdzenia, że śmierć Dovona była tragiczna.

– Tragiczniejsza niż skutki gangsterskich porachunków, do których przywykliśmy.

Były to standardowe zabiegi retoryczne, które miały wzbudzić współczucie dla ofiary. Porras wiedział, że to, co mówi, nie do końca jest prawdą – wiele morderstw, do których ludzie „przywykli”, było równie tragicznych, ale publiczność niekoniecznie zdawała sobie z tego sprawę.

Poza salą sądową Porras pracował dla dobra strefy getta i doskonale wyczuwał tego rodzaju niuanse. Wzruszająco mówił o „gangsterach pogranicza”, jak sam ich nazywał, i o traumie, jaką przeżywali, patrząc na śmierć swoich przyjaciół. Lecz dziś chodziło o Dovona, a Porras chciał zrobić dla niego wszystko, co tylko mógł.

Pokazano zdjęcie z miejsca zabójstwa – na pierwszym planie widniały czarne buty Dovona. Pritchett zakryła dłonią usta.

Zeznając w sądzie w roli świadka, siostra Derricka Washingtona zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek spotkała Johna Skaggsa. Prokuratorzy postawili ją w stan oskarżenia. Wierciła się nerwowo na swoim miejscu, gdy w sali pokazywano film, część materiału dowodowego, potem zaczęła ziewać. Trzy dni później Pritchett wypadła z sali posiedzeń. „Winny, winny, winny”. To słowo wciąż odbijało się echem w jej głowie, gdy uciekała

z gmachu sądu. Ta sprawa była „specjalnością Johna Skaggsa”. Ława przysięgłych naradzała się niecałą godzinę.

Podczas gdy Skaggs przygotowywał się do odejścia z South Bureau, do komisariatu napływały raporty dotyczące kolejnych zabójstw. Pewnego czerwcowego wieczora Marullo i jego partner Nathan Kouri zostali wezwani do morderstwa przy West Laconia Boulevard w Southeast. Umundurowany policjant, który pilnował miejsca zbrodni, złożył im chyba najkrótszy raport w historii policji.

– To czarny – powiedział.

W rzeczywistości zginęło dwóch mężczyzn. Raymond Requeña, dwudziestoczterolatek o przezwisku Tigger, był już martwy, gdy ratownicy znaleźli go leżącego na chodniku. Requeña, Belizeńczyk wymieniany w niektórych dokumentach jako Latynos, a w innych jako mężczyzna rasy czarnej, miał sporą kartotekę. Po raz pierwszy został zatrzymany, gdy jeszcze jako podrostek przyniósł do szkoły nóż, później aresztowano go za poważniejsze wykroczenia i przestępstwa, między innymi za napad z bronią w rękę. Ostatnio jednak figurował w aktach policyjnych jako bezrobotny na zasiłku inwalidzkim, który czasem dorabiał sobie pracą w hurtowni.

Kilka przecznic dalej, przy skrzyżowaniu Vermont i Sto Dwudziestej, policja otoczyła taśmą dodge’a neona z naklejką „Policyjna Organizacja Wsparcia dla Młodzieży” – „Policjanci pomagają dzieciom”, głosiło hasło na naklejce. Tylne okno auta zostało rozbite przez pocisk. Na tylnym siedzeniu leżał ochlapany krwią plecak z podobizną Dzwoneczka. Wcześniej policjanci lub ratownicy medyczni wyjęli z auta fotelik do przewozu dzieci. Teraz stał na asfalcie obok tylnego koła samochodu, zbрызany krwią i drobinami mózgu.

Wcześniej na tylnym siedzeniu auta siedział piętnastoletni Daniel Johnson. Jechał nim wraz z dwoma innymi chłopcami w swoim wieku oraz z matką i dwójką jej małych dzieci. Pojedyncza kula rozbiła okno i wpadła do wnętrza samochodu. Daniel opadł na ramię siedzącego obok niego chłopca, krwawiąc obficie ze śmiertelnej rany. W tym samym czasie kilka przecznic dalej umierał Raymond Requeña.

Do strzelaniny doszło w wyniku sprzeczki między dwiema kobietami, która z kolei doprowadziła do awantury między dwoma młodymi mężczyznami, powiązanymi z wrogimi gangami. Większy chłopak uderzył mniejszego. Mniejszy odszedł, ale wrócił z matką, ojczymem i przyjaciółmi upchniętymi w kilku samochodach.

Rodzice tłumaczyli później, że chcieli, by młodzieńcy stanęli do pojedynku na pięści i w ten sposób rozstrzygnęli spór. Taka reakcja może się wydawać absurdalna, ale w Southeast całkiem często zdarzało się, że rodzice wieźli swoje dzieci na miejsce bójki. Tak zwana uczciwa walka miała zapobiegać morderstwom: rodzice chcieli mieć pewność, że ich synowie nie zostaną uznani za tchórze, bo do chłopców o takiej reputacji strzelano częściej niż do innych.

Finał był łatwy do przewidzenia. Karawana powoli jechała ulicą. Miejscowi gangsterzy wrzeszczeli: „Wynocha stąd!”, intruzi nie pozostawiali im dłużni. Krzyki przybierały na sile. Potem rozległy się strzały. Żadna z ofiar nie brała udziału w awanturze, od której zaczęło się to starcie.

Nawet La Barbera, poznawszy szczegóły sprawy, myślał początkowo, że strzelanina przy Laconia to typowe „gangsterskie porachunki”. Jednak Marullo i Kouri nie dawali za wygraną. Pracowali przez całą noc, potem cały dzień i kolejny, przesłuchując wystraszonych świadków. Analizując fakty i zeznania wstrząśniętych uczestników starcia, doszli do wniosku, że strzelanina była nieproporcjonalnie gwałtowna i brutalna w stosunku do realnego zagrożenia. Towarzysze mniejszego chłopaka nie mieli przy sobie widocznej broni. Krzyczeli, że chodzi im tylko o walkę na pięści. Kierowca samochodu, którym jechał Daniel Johnson, uciekał przed ogniem napastników. Daniel w ogóle nie wysiadł z auta. Matki obu ofiar były zdruzgotane. Na pogrzebie Johnsona jego rozhisteryzowana pięcioletnia siostra próbowała wyciągnąć ciało z trumny. Marullo był ogromnie poruszony cierpieniem obu rodzin.

Głównym świadkiem zdarzenia była matka dwojga dzieci, smutna kobieta pod czterdziestkę, która handlowała na niewielką skalę marihuaną. Napastnicy byli jej sąsiadami, niektórzy również przyjaciółmi. Dobrze ich

znała. Już kilka godzin po strzelaninie odebrała telefon z pogrózkami i przerażona uciekła do motelu. Powiedziała detektywom, że nie będzie zeznawać. W tej samej dzielnicy mieszkali jej krewni, ludzie w podeszłym wieku.

– Zabiją mnie – mówiła, drżąc na całym ciele, jakby przemarzła do szpiku kości.

– Proszę – powtarzał Marullo, który w tej sytuacji nie mógł się zdobyć na bardziej wyszukane apele. – Musi pani nam pomóc. Pani jedna może to zrobić.

W końcu Marullo i Kouri zdołali jej wytłumaczyć, jak ogromne znaczenie mają te zeznania. Potem przekonali prokuratorów, by wniosli oskarżenie o morderstwo przeciwko czterem członkom gangu z Raymond Avenue.

Było to imponujące zamknięcie sprawy, która – choć dotyczyła dwóch nastoletnich ofiar – nie wzbudziła żadnego zainteresowania mediów. Marullo czuł się jednak potem wyczerpany i przygnębiony. Dilerka marihuany otrzymywała liczne pogróżki. Była zmuszona kilkakrotnie się przeprowadzać. Młodzi przyjaciele Daniela panicznie bali się zeznawać. Ich rodzice byli wściekli na detektywów, przekonani, że policja nie zapewni im skutecznej ochrony.

La Barbera podwoił wysiłki zmierzające do podniesienia morale i zwiększenia aktywności swoich podwładnych. Wymyślał różnego rodzaju aktywności: wspólne ogniska, wyjścia do baru. Zorganizował również śniadanie z mówcą motywacyjnym w Akademii Policyjnej w Elysian Park.

Mówcą była kobieta o kasztanowych włosach, w perłowych kolczykach w uszach, ubrana w powiewny kostium. Na wizytówce Shannell McMillan, bo tak nazywała się owa mówczyni, widniała informacja: „Dążenie do celu – szkolenia indywidualne i grupowe”. Trzymała w dłoni gruby flamaster i przerzucała strony dużego bloku ustawionego na sztalugach, odczytując głośno hasła w rodzaju: „Wartości są siłą naszego zespołu”. Detektywi kręcili się w ciasnym pomieszczeniu, poszturchiwali nawzajem, chichotali i nalewali sobie kawy do kubków.



McMillan powiedziała im, że ludzie dzielą się na cztery typy osobowości: wiatru, ognia, wody i ziemi. Ludzie wiatru chcą być w centrum uwagi i lubią mówić. Ludzie ognia lubią konkretne rezultaty i ryzyko. Ludzie wody są wrażliwi, pełni współczucia, otwarcie mówią o uczuciach. Ludzie ziemi są spokojni, wrażliwi i drobiazgowi.

– Ludzie ziemi nie trafiają do więzień – oznajmiła McMillan.

Detektywi wyraźnie się ożywili, szczególnie gdy podano śniadanie. Śmiali się i głośno odpowiadali na pytania McMillan. Brzęczały sztućce. Po sali krążyły przyprawy: keczup dla detektywów ze Wschodniego Wybrzeża i Midwest, tapatio dla tych z Kalifornii. Marullo, miłośnik keczupu, był w doskonałym nastroju, żartował i śmiał się głośno. Tylko Nathan Kouri zachowywał się cicho.

McMillan rozdała wszystkim test osobowości. Choć utrzymany w naiwnej tonacji, New Age wydawał się dotyczyć czegoś autentycznego. Praktycznie wszyscy detektywi znaleźli bliską sobie kategorię i nikt nie kwestionował wyników testu. Marullo szybko został uznany za człowieka ognia. Do tej samej kategorii jednogłośnie zaliczono Skaggsa, który nie brał udziału w szkoleniu.

McMillan oznajmiła, że ludzie ognia najlepiej dogadują się z ludźmi wody lub ziemi, którzy równoważą ich niedostatki. Detektywi kiwali ze zrozumieniem głowami, stwierdzając, że właśnie dlatego Skaggsowi i Barlingowi – którego jednomyślnie uznano za wodę – tak dobrze się ze sobą współpracowało. Nathan Kouri był człowiekiem ziemi. La Barbera, jak było do przewidzenia, jako jedyny z badanych nie pasował do żadnej z kategorii.

Mniej więcej w połowie sesji Kouri wylał kawę z dzbanka. W pośpiechu wycierał ją serwetkami, zaczerwieniony po uszy, podczas gdy jego koledzy mieli używanie. „Co tam się stało, Nate?! Przeanalizujmy to!”, wołali. Kouri nieświadomie podsycił ich wesołość. W przesadnie szczegółowy sposób opisywał, jak doszło do tego incydentu – jak to kawa lała się zbyt wolno, jak próbował podnieść wieko i tak dalej. Wciąż czerwony jak burak, wycierał rozlany napój przy wtórze głośnego śmiechu kolegów.

Kouri pozostawał w cieniu Marulla. Jego metodyczne podejście uzupełniało niespożytą energię partnera. Jednak w głębi duszy Kouri uważał, że nie dorównuje Marullovi. Bał się, że brakuje mu cech niezbędnych w tym fachu. Skaggs zjednywał sobie ludzi ogromną pewnością siebie, a Marullo urokiem osobistym. Kouri nie był jednak ani pewny siebie, ani czarujący. Jego myśli nie łączyły się ze sobą, tworząc logiczny ciąg, lecz przeskakiwały ze szczegółu na szczegół. Nie wykazywał się też szczególną intuicją. W odróżnieniu od Skaggsa i Marulla nie „wyczuwał sprawy albo człowieka”, nie potrafił też przewidzieć reakcji innych ludzi.

W pracy Kouri często wyrzucał sobie różne błędy. Podczas przesłuchań zapominał zadać ważnych pytań i musiał się umawiać ponownie. Doszedł do wniosku, że jest „niezbyt roztargnięty”, a więc stanowi przeciwieństwo swojego mentora Skaggsa. Obiecywał sobie, że spróbuje to jakoś nadrobić.

Uznał, że musi po prostu jeszcze ciężiej pracować.

## Dobro świadka

Zdaniem Skaggsa prawdopodobieństwo, że sąd uzna Derricka Starksa i Devina Davisa za winnych morderstwa, było całkiem spore. Sprawa nie była jednak przesądzona. Przestępców skazywano w tym czasie znacznie częściej<sup>131</sup> niż w latach siedemdziesiątych, gdy ojciec Skaggsa był detektywem, a mniej niż połowa oskarżonych otrzymywała wyroki. Liczba zasądzonych wyroków rosła w tym samym okresie, w którym spadała wykrywalność, więc bez względu na to, czy prokuratorzy nie umieli wygrać swoich spraw, czy też śledczy nie potrafili przekonać sądów do swoich argumentów, ostateczny rezultat był taki sam. Słabość systemu wciąż objawiała się małą liczbą wyroków w stosunku do ogólnej liczby zbrodni i zbrodniarzy.

Skaggs był pewien wygranej, lecz Phil Stirling, zastępca prokuratora okręgowego, któremu przydzielono tę sprawę, miał pewne obawy.

Stirling był „aroganckim prokuratorem” z California Hospital, szczupłym mężczyzną, który miał w sobie coś z Ichaboda Crane’a (bohatera opowiadania *Legenda o Sennej Kotlinie* Washingtona Irvinga). Miał haczykowaty nos, lekki przodozgryz i gęste ciemne włosy. Wokół oczu o ciężkich powiekach rysowały się cienie, jakby zawsze był zmęczony i niewyspany. Jego sylwetka przywodziła na myśl szkielet latawca wykonany z balsy: poruszała się nieustannie i wyginała przy każdym ruchu kończyn. Marynarka zawsze wisiała na nim krzywo, kołnierz wydawał się za luźny. Działo się tak po części dlatego, że Stirling był chudy jak patyk, ale przede wszystkim ze względu na to, że nie potrafił ani przez moment usiedzieć w bezruchu.

Wydział Stirlinga zajmował się przestępstwami przeciwko policjantom, a więc dziedziną, w której specjalizował się jako śledczy Wally Tennelle.

Stirling znał Tannellego z wcześniejszych spraw. Uchodził za człowieka zgryźliwego i szorstkiego. Był jednak rozbijającą szczery i traktował samego siebie ze zdrowym dystansem: wiedział, że jest chudym facetem, który ciągle się wierci i może irytować ludzi, starał się więc nie narzucać innym, jeśli nie było to konieczne.

Jego współpracownikiem był młodszy prokurator John Colello, krępy mężczyzna o krótko przyciętych włosach, małej brodzie i niebieskich oczach. Colello był świetnie zorganizowany i nastawiony na osiągnięcie celów. Skaggs lubił tę dwójkę. Stirling i Colello byli ogniem i wodą, przypominali Skaggsowi jego samego i Barlinga. Zawsze uzgadniali, kto będzie prowadził daną sprawę, a ich spory były pozbawione wrogości.

Stirling prowadził sprawę Tannellego i martwił się o werdykt w procesie przeciwko Derrickowi Starksowi. Starks nie przyznał się do winy. To nie on strzelał. Nawet nie widział samego zabójstwa. Oskarżenie w jego przypadku opierało się głównie na zeznaniach Midkiff oraz na tym, że zeznania Davisa i innych świadków pokrywały się ze sobą w wielu miejscach. Midkiff mogła mieć jednak powody, by kłamać. Dorobiła się już sporej kartoteki. Mogła nie wzbudzić zaufania ławy przysięgłych.

Już na początku postępowania komisja w biurze prokuratury okręgowej postanowiła, że nie będzie się domagać kary śmierci. Powody, choć niewymienione wprost, były dość oczywiste. Davis, bezpośredni sprawca zabójstwa, był nieletni. Starks, który jako dorosły mógł zostać skazany na śmierć, odpowiadał jedynie za zamiar lub podżeganie do zabójstwa. Tamtego feralnego wieczora nawet nie wysiadł z samochodu.

Choć niemal pewien wygranej, Skaggs wiedział, że ma jeszcze sporo do zrobienia w sprawie Tannellego, zajął się więc przygotowaniami do procesu.

Jego pierwszym problemem była Jessica Midkiff. Od momentu, gdy w podziemiach komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej powiedziała, że jest gotowa zeznawać, było wiadomo, że już nigdy nie będzie mogła wrócić do domu swoich dziadków. Należała jednak do takich osób, które właściwie nie potrafią funkcjonować poza światem strefy getta. Nigdy nie miała pracy. Nie spała nocami i przesypiała całe ranki, co jakiś czas upijała się do

nieprzytomności. Za sprawą swego wielkiego tatuażu i kokieteryjnego zachowania zawsze przyciągała do siebie podejrzane typy.

Skaggs zdobył fundusze na opłacenie kilkutygodniowego pobytu Midkiff w hotelu. Początkowo wydawała się zadowolona. Przyprowadzała swoją pięcioletnią córeczkę i pozwalała jej pływać w basenie hotelowym, co dla dziewczynki było rzadką atrakcją. Jednak po sześciu tygodniach do Skaggsa zadzwonił kierownik hotelu, który skarżył się, że Midkiff sprowadziła sobie nowego faceta i okropnie z nim hałasuje. Detektyw musiał jej znaleźć nowe lokum. Wkrótce odebrał telefon od kolejnego kierownika, który również chciał się pozbyć Midkiff ze swojego hotelu.

Skaggs wiedział, że potrzebuje długofalowego rozwiązania. W podsłuchiowanych przez policję rozmowach telefonicznych więźniów pojawiały się pogroźki pod jej adresem. Detektyw musiał znaleźć jej mieszkanie poza Los Angeles. Jednak program relokacji świadków zakładał, że po przeprowadzce świadek będzie mógł się sam utrzymać. Midkiff nie miała żadnych środków utrzymania. Wciąż była bliska powrotu do prostytutki, a to miałoby katastrofalne skutki zarówno dla sprawy Tannellego, jak i dla samej dziewczyny. Skaggs musiał dopilnować, by była bezpieczna, trzeźwa i żywa.

Zajął się więc jej problemami, a tym nie było końca – pieniądze, brutalni partnerzy, kłopoty rodzinne, skłonność do zawierania nieodpowiednich znajomości. Ojciec jej dziecka, który przebywał w więzieniu, próbował przejąć opiekę nad dziewczynką, choć ta prowadziła spokojne, szczęśliwe życie pod opieką matki Midkiff i świetnie radziła sobie w szkole.

Skaggs nie mówił tego Jessice, ale bardzo się o nią martwił. Gdyby wróciła do swojej dzielnicy, mogłaby zginąć. Niewykluczone, że Starks kazał ją zamordować.

Detektyw obserwował ją więc uważnie, regularnie sprawdzał sytuację i zabierał ją na lunch, gdy tylko mógł. Wierny swoim osobliwym zasadom, nie mógł się nadziwić gnuśnym nawykom Midkiff. Kładła się spać o szóstej rano i wstawała dopiero po południu; „potem nie robi niczego przez czternaście godzin!” – Skaggs był tym zdumiony, jakby nie pracował przez

dziesięciolecia pośród ludzi, którzy spędzają czas dokładnie w taki sam sposób.

Wyglądało na to, że Jessica potrafi wykonywać tylko zawody z jednej, ściśle określonej dziedziny: taniec erotyczny lub striptiz. Skaggs kręcił głową, gdy nieustannie zapewniała go, że ma już jakiś nowy pomysł na życie, choć nigdy nie zrealizowała żadnego z nich. Wciąż powtarzała, że skończy szkołę średnią i poszuka sobie jakiejś normalnej pracy. Pewnego razu, gdy zabrał Jessicę do jej córki, młoda kobieta przed wyjściem z auta oddała mu shake'a, którego detektyw kupił wcześniej dla dziewczynki. Wyjaśniła, że nie chce, by dziecko zobaczyło ten przysmak, bo próbuje wychowywać je bez cukru. Skaggsowi wydawało się to wtedy absurdałne. Nie przyszło mu do głowy najprostsze wyjaśnienie – Jessica chciała się wykazać odpowiedzialnością i w ten sposób mu zaimponować.

Robiła praktycznie wszystko, o co ją poprosił, nie stawiając żadnych pytań. Było to nieco krępujące: Skaggs rozpoznawał w tym zachowaniu tę samą lojalność i to samo posłuszeństwo, jakie prostytutki okazują swoim alfonsom. W pewnym sensie Midkiff, jego główny świadek w sprawie o morderstwo, traktowała go teraz jak swojego alfonsa. Starał się to wykorzystać dla jej dobra, namawiał ją, by poszukała pracy niezwiązanej z seksem, delikatnie odciągał ją od alkoholu i nieodpowiednich mężczyzn, którzy wciąż przewijali się przez jej życie. Korzystając z tego, że była mu całkowicie posłuszna, starał się też zapewnić jej bezpieczeństwo.

Skaggs poznawał swoją podopieczną coraz lepiej. Jessica dzwoniła do niego na komórkę, gdy miała kłopoty, a zdarzało się to dość często. Theresa Skaggs rozpoznawała już głos Jessiki w głośniku ich rodzinnego samochodu, bo jej mąż musiał odbierać te telefony również poza godzinami pracy.

Detektyw uświadomił sobie, że Jessica została całkiem sama. Tylko raz doczekała się wizyty matki, rzadko też widywała swoją córkę. W lutym, w dniu jej urodzin nikt do niej nie zadzwonił, nikt nie przyszedł z wizytą. Przez wiele lat żyła w mniejszych lub większych grupach – w pokojach motelowych z trzema czy czterema innymi prostytutkami, we wspólnie wynajmowanych domach – całe dnie spędzała na ulicach South Central.

Zawsze obracała się w towarzystwie. Teraz, choć mieszkała zaledwie kilka kilometrów od swojej starej dzielnicy, była wyrzutkiem. W końcu Skaggs uległ namowom Midkiff i pozwolił jej wprowadzić się na jakiś czas do matki, która mieszkała poza strefą bezpośredniego zagrożenia.

Pewnego razu w czerwcu telefon Skaggsa zadzwonił o drugiej w nocy. Jessica była na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Central Avenue, w okolicy komisariatu Newton, w sercu starego South Central, gdzie niegdyś Wally Tennelle uczył się fachu. Wcześniej piła z jakimś facetem, który na koniec randki dotkliwie ją pobił. Zabrał jej torebkę i zostawił bez pieniędzy w niebezpiecznej okolicy, w środku nocy. Skaggs już się po nią wybierał, gdy jego telefon zadzwonił ponownie. Chłopak, który wcześniej pobił Midkiff, wrócił do niej skruszony i błagał o przebaczenie. Stara, ograna historia. Skaggs zakończył rozmowę z przekonaniem, że wkrótce Jessica znów wpakuje się w kłopoty.

Pewnego pochmurnego poranka tego samego lata Skaggs wybrał się po raz kolejny z wizytą do Jessiki, zaniepokojony wiadomością, że jego podopieczna znów wyleciała z pracy w klubie nocnym, pobiwszy się z inną striptizerką. Co jakiś czas tłumaczył jej, że powinna się bardziej kontrolować, ale jego argumenty najwyraźniej nie trafiały jej do przekonania.

Matka Jessiki nie chciała dłużej gościć jej u siebie. Niedawno pojawił się tam jej nowy chłopak i zrobił awanturę. Pani Midkiff była zaniepokojona. Wychowywała dwie małe dziewczynki, córkę Jessiki oraz jej równolatkę, swoje najmłodsze dziecko. Myślała „realistycznie”, jak ujął to Skaggs, o zagrożeniach, jakie wiązały się z pobytem Jessiki u siebie. Gdyby z winy Jessiki lub jej chłopaka doszło do jakiegoś incydentu, który zmusiłby całą rodzinę do opuszczenia mieszkania z czynszem w granicach tysiąca dwustu dolarów miesięcznie, byłaby to prawdziwa katastrofa. Do tej pory mieszkało im się razem stosunkowo wygodnie i bezpiecznie, było to jednak bardzo kruche bezpieczeństwo. Matka Jessiki miała złą historię kredytową i bardzo trudno byłoby jej znaleźć inne mieszkanie na równie dogodnych warunkach.

Tego dnia Skaggsa niepokoiła jeszcze inna kwestia: zbliżał się termin wstępnej rozprawy. Nie znał konkretnej daty, bo ciągle ją zmieniano, wiedział jednak, że jest już blisko. Od czasu pierwszego przesłuchania Jessiki prawie w ogóle nie rozmawiał z nią na ten temat, nie chciał jej bowiem niepokoić. Teraz jednak nadszedł czas, by delikatnie przygotowywać dziewczynę do roli świadka.

Skaggs zatrzymał auto w okolicy pełnej kwitnących bugenwilli oraz morelowych róż i podszedł do domu. Za siatkowymi drzwiami czekał mały pies. Detektyw próbował zajrzeć do wnętrza.

– Halo! – zawołał, przekrzykując ujadanie psiaka.

Słyszał jakieś szelesty dobiegające ze środka. W końcu Jessica odpowiedziała mu ochrypłym, zaspanym głosem.

– Dopiero wstajesz? – zapytał z niedowierzaniem detektyw. – A co z naszym umówionym spotkaniem o jedenastej?

Zgodził się poczekać, aż Jessica się umyje i ubierze. Wrócił do auta, mrużąc pod nosem:

– Dwadzieścia dwa lata i śpi do południa! Dajcie spokój!

W końcu Jessica dołączyła do niego, ubrana w zasuwaną kurtkę z kapturem ze sztucznego futra i ozdobione kolorowymi kamieniami białe sandały. Miała długie półprzezroczyste paznokcie w morelowym odcieniu, a końcówki jej długich włosów były pofarbowane na jaśniejszy kolor. Jej zachowanie w stosunku do Skaggsa znacznie się zmieniło od ich pierwszej rozmowy. Cieszyła się na jego widok, jej oczy skrzyły radością, a z ust wydobywał się zakłopotany chichot, gdy besztął ją za spanie do tak późnej pory. Cierpliwie znosiła jego ojcowskie połajanki i chętnie odpowiadała na pytania, których najwyraźniej się spodziewała.

– Co z chłopakiem?

– Koniec z nim.

– Na pewno?

– Tak.

Skaggs znał już imiona wszystkich jej krewnych i znajomych. Wypytywał o nich po kolei.



Jessica traktowała go jak powiernika. Detektywa zawsze zadziwiała łatwość, z jaką łączyła drobne szczegóły codziennego życia z przerażającymi wiadomościami, opowiadając o jednych i drugich tym samym swobodnym tonem. W jednej chwili mówiła o tym, jak ją zgwałcono, a w następnej o swoim nowym manicurze. Płynnie przechodziła z tematu na temat, wspominając o psie, aborcji koleżanki, o swojej babci, o ostatniej popijawie i o tym, że w nadchodzących wyborach będzie po raz pierwszy głosować i że poprze Baracka Obamę, bo jest przeciwna wojnom.

Opisywała to wszystko z taką samą swobodą. Skaggs zganił ją zdawkowo za pijaństwo i głosowanie na Obamę. Poza tym jednak wysłuchiwał wszystkich jej opowieści z pobłażliwym uśmiechem, drocząc się z nią i przekomarzając. Tylko raz udało jej się zburzyć ten stoicki spokój detektywa. Spytał ją o pewnego wspólnego znajomego, a Midkiff odparła obojętnym tonem:

– Powiedział coś szeryfom, a oni spuścili mu manto. Teraz jest sparaliżowany.

Skaggs, zachowując kamienną twarz, wyłączył klimatyzację i milczał przez moment.

Zabrał ją na naleśniki. Powiedziała mu, że ostatnio pali mniej, ale potem musiał na nią czekać przed wejściem do restauracji, aż wypali papierosa. Zamówiła tyle jedzenia, jakby umierała z głodu: jajecznicę z serem – długo i dobitnie tłumaczyła kelnerowi, że cebula do jajecznicy ma być bardzo drobno posiekana – a do tego całą porcję naleśników.

Podczas śniadania również nie przestawała mówić. Gdy się śmiała, ściągała ramiona, w jej policzkach pojawiały się delikatne dołeczki, wyciągała też nieco szyję. Twierdziła, że nadal myśli o ukończeniu szkoły średniej. Złożyła podanie o pracę w miejscowym sklepie kosmetycznym. Zastanawiała się również nad szkołą dla barmanów. Skaggs namawiał ją, by „przeniosła wszystkie te cele na papier”.

– Zapisz je.

Dla Jessiki nie było to takie łatwe. Nie uważała, by praca w klubach ze striptizem przeszkadzała jej w rozwijaniu innych umiejętności. Twierdziła, że robi to z zamiłowania do tańca, i usprawiedliwiała się przed samą sobą,

wyznaczając sobie absurdalne ograniczenia – postanowiła na przykład, że będzie pracować tylko tam, gdzie pozwolą jej zakrywać sutki specjalnymi nakładkami. Zrezygnowała również z tańca erotycznego i unikała klubów, w których inne tancerki świadczyły na zapleczu dodatkowe usługi. Uważała, że jest „czysta”, i nie chciała wrócić do prostytutki.

Miała jednak na tyle rozsądku, by rozumieć, że nigdy dotąd nie zajmowała się, jak sama to nazywała, „prawdziwą, *prawdziwą* pracą”. Wiedziała, do czego zmierza Skaggs, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. Liczyła na niego bardziej, niż przypuszczał, i martwiła się, czy detektyw nadal „będzie jej przyjacielem”, kiedy już złoży zeznania.

Gdy się rozstawali, przypomniał jej o zbliżającym się procesie.

– Nie denerwuj się za bardzo, dopóki nie ma się czym denerwować – powiedział swobodnym tonem.

Jessica nie odpowiedziała. Ucisnęła go lekko jedną ręką, co było kalifornijskim odpowiednikiem podania dłoni.

Dochodziło południe. Łysa głowa Nathana Kouriego lśniła w bezlitosnym sierpniowym słońcu przy skrzyżowaniu Sto Osiemnastej i Avalon. Kouri jak zwykle wydawał się nieco zdezorientowany i patrzył na świat spod zmarszczonych brwi. Trzymając w dłoni oprawny w skórę notes, pukał do drzwi domu przy skrzyżowaniu, by przeprowadzić rozmowę dotyczącą niedawnego morderstwa. Towarzyszył mu Marullo, który wcale nie przejmował się upałem i stał obok w zrelaksowanej pozie, przesunąwszy ciemne okulary na tył głowy, zgodnie z najnowszą modą. W pobliżu La Barbera sam badał miejsce zbrodni, by zaoszczędzić na nadgodzinach.

Na końcu ulicy za żółtą taśmą stała grupa ludzi.

– La’Mere! – zawołał ktoś. – Tym razem dopadli La’Mere’a!

Krzyczała ubrana na żółto kobieta z aluminiową laską i grzebykiem wetkniętym w rozczochrane włosy. Była to matka Ronalda Tysona, zamordowanego niemal pięć lat wcześniej, ta sama, która zwymiotowała na wieść o śmierci syna. Zabity tego dnia mężczyzna należał do grona jej przyjaciół. Był to La’Mere Wayne Cook senior, który pracował na

platformie wiertniczej, miał sześcioro dzieci i w żaden sposób nie był powiązany z gangami.

Do taśmy podeszła młoda kobieta o jasnej skórze, okryta lawendową chustą. Mówiła, że jest krewną La'Mere'a Cooka i że chce dołączyć do reszty rodziny. Zawołała policjantów pilnujących taśmy. Ci spojrzeli w jej stronę, uśmiechnęli się drwiąco i odwrócili z powrotem. Stała w słońcu i prosiła ich o odrobinę zrozumienia. Zignorowali ją.

Marullo i Kouri pojechali na komisariat, by prowadzić przesłuchania. La Barbera został na miejscu, palił papierosa za papierosem, pocił się w słońcu, rozwijając i zwijając taśmę mierniczą, i z kwaśną miną zerkał na stojących w pobliżu mundurowych.

Marullo przeszedł pośpiesznie do pokoju, w którym czekało na niego kilku członków rodziny Cooka. Wspierając dłonie na czubkach palców, pochylił się nad biurkiem, by z nimi porozmawiać. Wszyscy mówili naraz. Wujek Cooka był wściekły, że musieli tak długo czekać. Uznał to za wyraz lekceważenia i obojętności.

– Załatwię to po swojemu! – warknął do Marulla. – Mogę to załatwić!

Kiedyś należał do gangu. Teraz wyglądał jak przeciętny tęgawy mężczyzna w średnim wieku z niekompletnym uzębieniem.

Dosadniej już chyba nie można. Zażywny wujek oznajmia podniesionym głosem, w komisariacie i w obecności detektywa z wydziału zabójstw, że poważnie rozważa morderstwo jako formę zemsty. Potwór nigdy nie bywa subtelny. Marullo próbował go uspokoić, używając swojego chłopięcego czaru, otwierając szeroko oczy i unosząc brwi.

– Bardzo mi przykro, proszę pana. Wiem, że jest pan zdenerwowany...

Kilku umundurowanych policjantów spojrzało w ich stronę, po czym spokojnie wróciło do przerwanej rozmowy.

Po jakimś czasie Marullo wyprowadził z sali jedną z krewnych Cooka. Myślał, że była to jego ciotka. Kiedy schodzili razem na dół, poruszała się powoli, z wyraźną trudnością. W końcu usiadła i zaczęła się kołysać do przodu i do tyłu. Była niska i tęga, miała jasnobrązową karnację i włosy splecione w małe siwe warkoczki. Położyła na stole kartkę papieru. Kiedy

Marullo zaczął rozmowę, odnosząc się do jej siostrzeńca, przygarbiła się jeszcze mocniej i wybuchła płaczem.

– Mój syn, mój syn. O Jezu, mój jedyny syn!

Marullo spojrzał na nią ze zdumieniem. Nie zdawał sobie sprawy, że to matka ofiary. Szybko zmienił taktykę, przeciągnął krzesło na drugą stronę stołu, by usiąść obok niej. Delikatnie dotknął jej ramienia.

– Bardzo mi przykro – zaczął łagodnym tonem. – Nie chcę, by pomyślała pani, że zachowuję się nietaktownie, ale muszę zadać kilka pytań. Chcemy się dowiedzieć, kto to zrobił.

Kobieta opierała się o stół i oddychała ciężko. Nazywała się Joyce Cook. Marullo poprosił, by przeliterowała imię i nazwisko, lecz ona schowała twarz w rękach i zaczęła szlochać jeszcze głośniej.

Marullo uspokajał ją delikatnie, pochylony do przodu, kiwał ze zrozumieniem głową, powtarzając pytania i starając się skupić jej uwagę na rozmowie. W końcu wydobył od niej wszystko, co wiedziała o okolicznościach morderstwa. La'Mere właśnie wyszedł na zewnątrz, gdy pod dom podjechała furgonetka. Rozległy się strzały, potem kolejne.

– Tyle kul! – mówiła Joyce Cook.

Słyszając huk wystrzałów, otworzyła drzwi i zobaczyła, jak jej syn umiera.

Marullo przekładał pióro między palcami, spięty i poruszony.

– Wiem, że bardzo pani cierpi – powiedział w pewnym momencie. – I nie potrafię sobie nawet wyobrazić tego cierpienia.

Cook zaszlochała. Marullo próbował ją uspokoić. Ona jednak znów opadła na stół i wybuchła:

– Za późno! Za późno! Wy zawsze zjawiacie się za późno!

Marullo spuścił wzrok, zawstydzony. Opanował emocje i powiedział cicho:

– Żałuję, że mnie tam nie było. Gdybym mógł, byłbym tam znacznie wcześniej.

Kobieta nie zareagowała na jego słowa. Płakała cicho, z głową opartą o blat stołu.

Okazało się, że kartka, którą przyniosła ze sobą, to wykres. Pośród chaosu, tuż po śmierci syna, zachowała na tyle zimnej krwi, by poszukać ołówka i naszkicować to, co właśnie widziała. Krzywe linie ukazywały dom, furgonetkę i strzelca. Był to zdumiewający obraz funkcjonowania umysłu odmienionego traumą, zapisany w czasie rzeczywistym. Tu i ówdzie widniały krótkie zdania, strzępki myśli, jakby Joyce pisała przez sen. „Nie przestali strzelać, dopóki nie otworzyłam drzwi – pisała. – Ciągłe strzelają”. I powyżej: „La’Mere Cook, mój jedyny syn”.

Rysunek niewiele wnosił do samego śledztwa. Policja знаła już większość tych informacji, a poza tym notatki Joyce Cook wydawały się zbyt chaotyczne, by można było na nich polegać. Stanowiły jednak przejmujący dowód ogromnego pragnienia sprawiedliwości. Już w chwili, gdy umierał jej syn, Joyce Cook myślała o policyjnym śledztwie. Gliniarze z South Bureau nieustannie oskarżali „społeczność” o brak zaangażowania i pomocy w rozwiązywaniu spraw. Jednak ci sami policjanci często wydawali się głusi na błagania społeczności o skuteczne działanie.

Wielu funkcjonariuszy postrzegało czarnoskórych mieszkańców strefy getta jako ludzi niesłuchanie przewrotnych i wrogich, którzy w żaden sposób nie chcą poprawić własnej sytuacji. W odpowiedzi ta sama „społeczność” buntowała się i stawiała opór. Wszystko to jednak było tylko grą pozorów – w rzeczywistości tak jak policjanci chcieli być dobroczyńcami, którzy „pomagają ludziom”, tak „społeczność” pragnęła ich pomocy.

Wielu funkcjonariuszy nie potrafiło tego jednak zrozumieć. A być może nie chciało, bo inaczej implikacje byłyby zbyt bolesne – Joyce Cook miała przecież rację: zwykle przyjeżdżali za późno.

W chwili powstawania tej książki sprawa zabójstwa Cooka pozostawała nierozwiązana. Wydział miał wiele obiecujących tropów i kilkoro wystraszonych, ale pomocnych świadków. Ustalono, do jakiego gangu należeli zabójcy: jego członkowie mieszkali przy tej samej ulicy co Barbara Pritchett. Jednak gdy Marullo i Kouri przekazali sprawę swoim kolegom z wydziału, utknęła ona w martwym punkcie.

Przypadek sprawił, że jedna z kobiet związanych z tym śledztwem była również świadkiem w sprawie Henry’ego Hendersona, którą Marullo właśnie starał się przepchnąć przez sąd. Podejrzani o zabójstwo Cooka ją widzieli; kilka dni później jej dom został splądrowany. Kobieta odwołała swoje zeznania w sprawie Hendersona i zniknęła.

Inny świadek w ogóle nie chciał rozmawiać z detektywami. Był to szesnastolatek w niebieskim ubraniu, który szedł ulicą, gdy nadjechali zabójcy. Prawdopodobnie to właśnie on miał się stać ich celem. Zobaczył ich jednak w porę, a ponieważ był sprytny i szybki, uciekł za płot, zostawiając za sobą nieświadomego zagrożenia La’Mere’a Cooka.

Kilka miesięcy wcześniej, w lutym, ten sam szesnastolatek nie zdołał się jednak ukryć w porę przed napastnikami. Pocisk trafił go w tchawicę. Było to klasyczne „*almocide*”. Chłopiec otarł się o śmierć. Posiniał, kasłał krwią, jego gardło pokryło się opuchlizną. Przez tydzień leżał na oddziale intensywnej terapii, przeszedł trzy operacje, a potem przebywał w szpitalu jeszcze dwa tygodnie, przyjmując przez cały ten czas silne środki przeciwbólowe. Członkowie rodziny na zmianę czuwali przy jego łóżku. Odwiedził go również La’Mere Cook. Szesnastolatek jeszcze przez długi czas nie mógł mówić. Spuchnięty język wystawał mu z ust, co wyglądało dziwacznie i przerażająco.

Matka chłopca była wstrząśnięta. Nieustannie się zamartwiała. Podobnie jak wiele innych spraw z Southeast, które nie zakończyły się śmiercią ofiary, i ta pozostała nierozwiązana. Gdy zastrzelono Cooka, matka szesnastolatka natychmiast pobiegła na miejsce zbrodni, przerażona, że ofiarą znów jest jej syn. Kiedy przybyła na miejsce, zobaczyła, jak ktoś przewraca umierającego Cooka na plecy. Dojrzała krańcowe zdumienie w jego oczach. Wkrótce potem pojawili się umundurowani policjanci, którzy zakuli w kajdanki jej syna i pytali, czy jest członkiem gangu. Gdy znacznie później na miejsce dotarli detektywi, którzy chcieli nakłonić jej syna do złożenia zeznań, matka odmówiła współpracy. Nie widziała w tym sensu. Jej zdaniem policji wcale nie obchodziło, że jej syn przez kilka tygodni leżał w szpitalu z opuchniętym językiem wystającym z ust. Nie

sądziła, by rozwiązać sprawę La'Mere'a, tak jak nie rozwiązyli sprawy jej syna.

– Nigdy nie chcą tego rozwiązać, jeśli chodzi o młodego czarnego mężczyznę – powiedziała. Uważała, że narażą chłopca na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Tymczasem Joyce Cook bez wiedzy policji powiedziała swoim sąsiadom, że nie oczekuje od nich, by ryzykowali życie swych dzieci ze względu na zabójstwo La'Mere'a. Zrobiła to, bo uznała, że jeden zabity syn to wystarczająca tragedia dla całej ulicy.

Na pogrzebie La'Mere'a Cooka szesnastolatek chował twarz w dłoniach i płakał jak małe dziecko. Siedział obok innych żałobników – czarnych mężczyzn i chłopców jak on, przejętych smutkiem i niedowierzaniem.

Pastor wziął mikrofon do ręki i spojrzał na zebranych.

– Diabeł próbuje wam wmówić, że to zaszczyt umrzeć za swoją dzielnicę! – grzmiał. – Diabeł próbuje was oszukać!

Szesnastolatek wyprostował się i pochylił do przodu, wpatrzony w pastora. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego zamyślenia.

Po stypie kilku przyjaciół Cooka jeszcze przez chwilę rozmawiało ze sobą. Jeden z nich powiedział, że policja nie rozwiąże tej sprawy. Dla gliniarzy, jak twierdził, morderstwo Cooka „to tylko jeszcze jeden martwy czarnuch”.

– Pilnujemy się sami – dorzucił inny. – Żołnierze to bohaterowie. Dlaczego nazywają nas gangsterami?

Joyce wcale nie była zaskoczona, gdy sprawa morderstwa jej syna nie została rozwiązana. To samo stało się wiele lat wcześniej w Nowym Orleanie, gdy zabito jej męża.

Cook nie pozwoliła, by krewni stawiali świece w miejscu śmierci La'Mere'a. Pochodziła z Nowego Orleanu, gdzie wierzono, że świece uwolnią niespokojnego ducha zamordowanego. Uważała, że w South Central jest już wystarczająco wiele duchów zamordowanych, i się bała.

Latem 2008 roku odbyła się również rozprawa wstępna w sprawie Tannellego.

Podczas półrocznego pobytu w więzieniu Devin Davis nabrał ciała, a rozczochrane włosy sięgały mu do karku. Duża głowa i kwadratowa twarz sprawiały, że wyglądał teraz wyjątkowo dziecinnie i niezgrabnie. Po wejściu na salę sądową potoczył dokoła wzrokiem, wypatrując swojej matki. Derrick Starks prawie się nie zmienił, zachował barczystą sylwetkę, miał krótko przycięte włosy i czujne spojrzenie, nad jego ustami pojawił się cień zarostu.

Mężczyzna na wózku, który teraz miał trzydzieści jeden lat, stawiał się w sądzie niemal wbrew swej woli. Początkowo kategorycznie odmawiał udziału w procesie. Przed rozprawą Stirling przez pół godziny starał się rozwiać obawy świadka dotyczące bezpieczeństwa jego samego oraz jego rodziny. W końcu mężczyzna wjechał wózkiem na miejsce dla świadków, gdzie siedział z nisko pochyloną głową. Gdy Starks, który zajmował miejsce zaledwie kilka kroków dalej, otaksował go spojrzeniem, inwalida odwołał wszystko, co powiedział wcześniej Skaggsowi i Gordonowi, ponownie zapewniając, że broń kupił od narkomana. Spytny o powody tej nagłej zmiany zeznań, stwierdził, że śledczy na niego naciskali. Unikał wzroku Starksa.

Prokuratorzy zakwestionowali jego prawdomówność. Gdy odtworzono nagranie z przesłuchania, podczas którego obciążał No Brainsa, mężczyzna udawał, że przegląda jakieś dokumenty. Potem zrobił gniewną minę. Zaczął się wiercić na wózku. W końcu porzucił wszelkie pozy i zakrył usta dłonią, spoglądając z przerażeniem na salę.

Stwierdzenie, że ten człowiek, który już raz cudem przeżył strzelaninę, należał teraz do grupy statystycznie najbardziej narażonej na zabójstwo, nie oddawałoby nawet w drobnej części grozy jego położenia. Chodziło nie tylko o to, że raz uszedłszy z życiem, być może już wyczerpał swój limit szczęścia, i że teraz został zdemaskowany jako donosiciel przed dwoma gangsterami oskarżonymi o morderstwo. Co gorsza, był również człowiekiem „z marginesu”, wyrzutkiem społeczeństwa. Żadna gazeta nie wypuściłaby specjalnego dodatku, gdyby ktoś go zabił. Żadna stacja informacyjna nie przerwałaby programu, by poinformować o jego śmierci.



Żaden kierownik wydziału zabójstw nie przekazałby sprawy jego zabójstwa swojemu najlepszemu człowiekowi, gdyby inni jej nie rozwiązali.

Mężczyzna na wózku nie potrzebował specjalnych mocy czy wiedzy, by rozumieć swoje położenie. Przez całe życie mieszkał na terenie kontrolowanym przez komisariat Southeast. Tamtejsi policjanci zwykle traktowali ludzi takich jak on znacznie gorzej niż zwykłych obywateli: nie dostrzegali jakiejś istotnej różnicy między zabójcami a sparaliżowanymi młodymi mężczyznami, którzy dorabiali sobie, handlując marihuaną. Gdyby ktoś dokonał kolejnej próby zamordowania tego świadka i dopiął swego, mężczyzna na wózku z pewnością nie zostałby uznany za „prawą” ofiarę.

Kiedy sędzia zakończył przesłuchanie, mężczyzna wyjechał z sali tak szybko, że Skaggs nie zdążył zaproponować mu pomocy. Wyszedł za nim. Mężczyzna czuł się zdradzony. Skaggs i Gordon zapewniali go wcześniej, że jego zeznania będą anonimowe. Może właśnie o tym myślał detektyw, kiedy ruszył jego śladem. A może dzięki wieloletniej pracy w Southeast po prostu wiedział, jak przerażony jest teraz jego świadek.

– Hej, przepraszam! Chyba wiesz, jak mi przykro! – mówił mu Skaggs na korytarzu. Zachowywał się z nietypowym dla siebie zawstydzeniem i niepewnością.

Oczy mężczyzny na wózku wypełniała rozpacz. Nie odpowiedział Skaggsowi.

Uczeń Beverly Hills High, przebywający na zwolnieniu warunkowym, był równie oporny. On także zaprzeczył wszystkiemu, co wcześniej powiedział Skaggsowi. Twierdził wręcz, że w ogóle z nim nie rozmawiał. Gdy odtworzono nagranie z przesłuchania, powiedział, że to nie jego głos. Gdy wyprowadzano go z sali, zerknął w stronę Starksa. Oskarżony nie odrywał od niego oczu, obrócił się na krześle i odprowadził go surowym, groźnym wzrokiem do samych drzwi.

Dla bezpieczeństwa Skaggs przeniósł na ten weekend Jessicę Midkiff do motelu. Dziewczyna była zadowolona z tej odmiany. Sprowadziła do siebie córeczkę, która zachwyciła się wanną – w domu mieli tylko prysznic. Midkiff pozwalała jej siedzieć w wodzie i oglądać filmy. Kiedy o 6.15 rano

Skaggs przyjechał po Jessicę, by zabrać ją do sądu, poinformowała go, że zasnęła dopiero o szóstej, przed piętnastoma minutami. Skaggs był zszokowany. Myślał, że to znów przejaw jej nieodpowiedzialnego zachowania. Okazało się jednak, że Midkiff była zbyt zdenerwowana nadchodzącym procesem, by spać.

Włożyła wytarte džinsy, nylonową bluzkę w kwiecisty wzór i buty na wysokim obcasie. Włosy związała w kucyk, pozwalając, by lekko rozjaśnione pasma opadały kaskadą na plecy. Przechodząc na miejsce dla świadków, zabrała ze sobą czarną kopertówkę, którą trzymała w dłoni podczas składania przysięgi.

Kiedy po zaprzysiężeniu usiadła na krześle, była blada. Starks obserwował ją uważnie, lekko kołysząc się na krześle. Midkiff zerknęła na niego. Łączyła ich jakaś nieokreślona, buzująca napięciem więź.

Midkiff rozpoczęła swoją opowieść, potem przerwała, by wziąć kilka głębokich oddechów. Mówiła z wyraźnym wahaniem, co jakiś czas ciężko wzdychała.

– Proszę dać mi chwilę – odparła w pewnym momencie, wystraszona i zbita z tropu.

Na pytanie, czy prowadziła samochód, odpowiedziała:

– Chyba tak.

Brakowało jej pewności, którą przejawiała podczas rozmowy ze Skaggssem. W końcu zamilkła na moment, machając dłonią przed twarzą.

– Trochę to dla mnie trudne – mruknęła.

Skaggs patrzył na nią w milczeniu, nerwowo splatając i rozplatając palce.

W ciągu ostatnich kilku tygodni, gdy przygotowywał ją do rozprawy, Midkiff dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie czuje się dobrze w roli, jak to postrzegała, donosicielki. Po wyprowadzce ze swojej dzielnicy czuła, że „utraciła tożsamość”, zaczęła sobie też uświadamiać, że nie ma żadnych prawdziwych przyjaciół. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd zależało jej na opiece i towarzystwie Skaggsa. Nie potrafiła powiedzieć mu o tym wprost, więc próbowała obrócić sprawę w żart: „A mówiłeś, że zostaniemy przyjaciółmi!”.

Siedząc na miejscu dla świadków, odniosła wrażenie, że Starks „popatrzył na nią groźnie”, i przez chwilę bała się, że rzuci się na nią. Potem uświadomiła sobie, że jest skuty. Później wśród publiczności dostrzegła matkę Starksa Olithę Starks i w jej spojrzeniu również dopatrzyła się niemej groźby. Była tak wystraszona, że sędzia wezwał do siebie prawników obu stron.

Gdy Midkiff zeznawała, nieustannie swędział ją nos; nie wiedziała, co o tym myśleć. Przesłuchiwana przez obrońcę, zrobiła się agresywna, odchyłała głowę do tyłu i śmiała się szyderczo. Później, na wzmiankę o zmarłej babci, załamała się i wybuchła płaczem.

– Przepraszam!

Stirling podał jej chusteczkę. Wally Tennelle, który wybrał się na rozprawę w pojedynkę, obserwował tę scenę z ponurą miną, bawiąc się taśmą bezbarwną przyklejoną do ławki.

Rozprawa zakończyła się orzeczeniem wstępnym – sędzia uznał, że istnieje dość przesłanek i dowodów, by oskarżeni stanęli przed sądem podczas procesu głównego. Midkiff nie przekonała jednak Stirlinga do siebie. Do procesu zostało jeszcze kilka miesięcy. Stirling coraz bardziej martwił się o jego finał.

Tym, co wypalało detektywów ze strefy getta, wcale nie był strach. Najgorsza była frustracja. Sam Marullo poddawał się jej coraz częściej. Nazajutrz po pogrzebie La’Mere’a Cooka drugi proces w sprawie zabójstwa Henry’ego Hendersona zakończył się tak samo jak pierwszy – ława przysięgłych nie była w stanie podjąć decyzji, choć Marullo zrobił dla tego śledztwa wszystko, co mógł.

Potem dowiedział się, że prawdopodobnie nie zostanie awansowany do rangi detektywa pomimo licznych sukcesów, które odnosił do tej pory.

Coraz mocniej dokuczało mu również ograniczenie nadgodzin. Niedawno zabroniono mu uczestnictwa w pogrzebie ofiary. Skaggs uczył go, by zawsze chodził na pogrzeby.

– Czujesz to samo brzemie co rodziny, które nie potrafią myśleć o niczym innym. I nie możesz zrobić wszystkiego, na co cię stać – mówił

Marullo. – Próbujesz się od tego zdystansować, jakoś sobie z tym radzić... Ale nie pozwala ci na to cierpienie rodziny.

La Barbera nadal próbował obracać to wszystko w żart. Pewnego popołudnia, mniej więcej o wpół do piątej, wyciągnął skądś drewniany gwizdek, dmuchnął w niego i wrzasnął:

– Piętnaście minut!

Widział, że Marullo jest zdenerwowany i wciąż myśli o swojej przyszłości. Obawiając się utraty Małego Skaggsa – „swojego jedyne go ognia” – w połowie września zwołał spotkanie wydziału, by porozmawiać o ograniczeniach nadgodzin.

– Widzę, jak to na was wpływa, i martwi mnie to – powiedział.

La Barbera siedział na niskim krześle. Jego detektywi przysiedli na biurkach albo opierali się o ściany. Chciał, by ta rozmowa zmotywowała ich do wysiłku. Ktoś zauważył jednak, że policjanci przydzieleni do Compstat – modnego programu odpowiedzialnego zarządzania opartego na analizie statystyk przestępczości – mogą zabierać samochody służbowe do domu w odróżnieniu od detektywów z wydziału zabójstw. Wtedy do rozmowy włączył się Marullo. Powiedział, że wydział zabójstw stara się „przywrócić wiarę miejscowej społeczności”. Jednak ponieważ praca detektywów była tak bardzo niedoceniana, „trudno prosić ludzi, by poświęcali jej życie”. Wskazał na La Barberę, dodając:

– Spójrz tylko, co tobie z tego przyszło!

Na sali zapadło pełne zdumienia milczenie, przzerwane w końcu nerwowym śmiechem. Marullo zwracał się przecież nie tylko do swojego przyjaciela, ale i do swojego zwierzchnika.

– Nie wierzę, że to powiedziałeś – mruknął ktoś.

Marullo umilkł raptownie, speszony.

Ale La Barbera pojednawczo machał rękami.

– Nic, nic! – mówił. – Masz rację... To wszystko zniszczyło mi życie.

Nikt nie wiedział, czy mówi poważnie, czy tylko żartuje.

Marullo odzyskał rezon i kontynuował. Dlaczego musieli walczyć o środki, skoro przestępczość spadała, a policja rosła w siłę? Dlaczego? Stał z jedną ręką na głowie, zmartwiony.

– Nie rozumiem tego – powiedział w końcu. – Ktoś tu chyba czegoś nie ogarnia.

Potem do Marulla podszedł Chris Barling.

– Przechodziłem przez to samo... Nie zrozum mnie źle. Te wszystkie ograniczenia tak samo mnie frustrowały – mówił cicho Barling. Ale dodał: – Nie poddajesz się! Walczysz dalej!

Barling wymachiwał rękami, przemawiając do Marulla, namawiał go, by nie dawał za wygraną.

Kilka kroków dalej siedział Nathan Kouri. Przysłuchiwał się temu, zasłaniając usta dłonią.

Lecz gdy Barling w końcu umilkł, Marullo z rozmachem wrzucił kubek po kawie do kosza.

– Dobrze przemyślałem tę decyzję – powiedział i się odwrócił.

Wkrótce potem La Barbera wszedł do swojego biura z wyjątkowo ponurą miną.

– Sammy zerwał ze mną przez esemes! – oznajmił.

Marullo przeszedł na stanowisko P-3 w jednostce do walki z gangami w Southeast – prowadził tam szkolenia dotyczące zapobiegania przestępczości. La Barbera, co było do przewidzenia, odebrał tę decyzję osobiście.

– Nie jest ogniem – warknął, mając na myśli Marulla. – Tak mu się tylko wydaje.

## Utracone dusze

Skaggs nie cierpiał wielozadaniowości. „Jedna rzecz naraz, jedna na dzień”, brzmiała kolejna z jego maksym. Nie miał jednak wyboru – musiał zacząć nową pracę, nim na dobre zakończył poprzednią.

Przez kilka miesięcy funkcjonował w dwóch rolach na przemian. Nadal przygotowywał się do procesu w sprawie Tannellego, a jednocześnie meblował swoje nowe biuro w komisariacie Olympic. Nowy komisariat miał przejąć część Koreatown oraz część terenu komisariatu Rampart.

W minionych latach, gdy w MacArthur Park handlowano narkotykami i gdy toczyła się tu swego rodzaju sekciarska wojna imigrantów z Ameryki Środkowej, Rampart uchodziło za bardzo niebezpieczne miejsce. Gdy policja w Los Angeles zabezpieczyła fundusze na nowy komisariat w tej dzielnicy, przestępczość wciąż była tam stosunkowo duża. Nim jednak wzniesiono budynek komisariatu, bogaci Koreańczycy, uciekający przed kryzysem na azjatyckich giełdach pod koniec lat dziewięćdziesiątych, wykupili tamtejsze nieruchomości, a deweloperzy wybudowali nowe apartamentowce, które przyciągały studentów i zamożnych specjalistów. W tym samym czasie spadła liczba zabójstw<sup>132</sup> na obszarach nadal zamieszkiwanych przez latynoskich imigrantów.

Wśród wielu wniosków, które należało wyciągnąć z tej zdumiewającej zmiany, był i taki, że ubóstwo niekoniecznie jest źródłem zabójstw<sup>133</sup>. Nawet gdy status dzielnicy znacząco się podniósł, niemal czterdzieści procent mieszkańców Rampart nadal żyło poniżej progu ubóstwa<sup>134</sup>. Wielu spośród tych biednych obywateli miasta było nielegalnymi imigrantami, którzy gnieździli się w zapuszczonych starych kamienicach – jak na standardy Los Angeles gęstość zaludnienia była tam stosunkowo wysoka.

Mimo to liczba morderstw popełnianych wśród czarnoskórych mieszkańców południa Los Angeles była znacznie wyższa.

Naukowcy odkryli podobną prawidłowość również w innych miejscach. Mimo ubóstwa nowi imigranci rzadziej dopuszczają się morderstw<sup>135</sup> niż Latynosi mieszkający na stałe w USA oraz ich potomkowie. Dzieje się tak dlatego, że przestępczość rośnie wśród ludzi, którzy znaleźli się w pułapce ekonomicznej i są od siebie wzajemnie zależni, a nie wśród tych, którzy często się przemieszczają<sup>136</sup>.

Można powiedzieć, że imigranci to ludzie w podróży. Ci, którzy zamieszkali w Rampart na początku XXI wieku, zostawili stare więzi w swojej ojczyźnie. Zostali wykorzenieni. Ich nowe dzielnice nie przypominały odizolowanych, zamkniętych we własnym świecie enklaw południowego Los Angeles. Były jedynie przystankami. Ich mieszkańcy mieli się wkrótce przenieść z MacArthur Park do Whittier albo do La Puente. Latynosi mieli jeszcze jedną przewagę nad czarnymi: pomimo wszechobecnego ubóstwa od dawna cieszyli się łatwiejszym dostępem do pracy niż czarnoskórzy mieszkańcy Los Angeles. Tutejsi pracodawcy od pokoleń „otwarciem przedkładali” latynoską siłę roboczą nad czarną, jak wykazał historyk Josh Sides<sup>137</sup>. Duża podaż meksykańskiej siły roboczej była jednym z pierwszych atutów Los Angeles, którym miasto przyciągało do siebie producentów. W latach dwudziestych wielu przedsiębiorców korzystających z pracy meksykańskich imigrantów nie chciało zatrudniać czarnych. W latach trzydziestych związki zawodowe pomijały czarnych i kierowały swe kampanie do Latynosów. Podczas II wojny światowej czarnych – w odróżnieniu od Latynosów – nie dopuszczano do pracy w stoczniach lub kierowano ich na podrzędne stanowiska. Nie oznacza to, że Latynosi nie byli w żaden sposób dyskryminowani – byli. Często jednak traktowano ich źle na posadach, do których czarni w ogóle nie mieli dostępu. W latach sześćdziesiątych okazało się, że Latynosi są również chętniej zatrudniani w przemyśle spożywczym i metalowym. Później czarni nie mieli okazji skorzystać na dynamicznym rozwoju przemysłów lotniczego i kosmonautycznego w południowej Kalifornii. Wykluczeni początkowo przez rasistowskie uprzedzenia, później padli ofiarą geografii,

ponieważ zakłady przemysłowe przeniosły się na przedmieścia, gdzie biali i Latynosi mogli łatwiej kupić domy. Czarni nie mogli kupować ani wynajmować domów w wielu spośród nowych dzielnic powiązanych z przemysłami obronnym i lotniczym, początkowo ze względu na restrykcyjne umowy dotyczące nieruchomości, a potem ze względu na próby podtrzymania tych ograniczeń wbrew wyrokom sądów. Czarni zostali uwiecznieni w słonecznej wersji Detroit, mieszkali wśród odizolowanych fabryk opon i samochodów, podczas gdy reszta południowej Kalifornii przeżywała drugi boom przemysłowy. Choć zatrudnienie w sektorze publicznym wyglądało w przypadku czarnych o niebo lepiej niż w sektorze prywatnym, na początku nowego tysiąclecia udział czarnych w rynku pracy był niższy niż udział Latynosów, którzy na ogół byli gorzej wykształceni. Poza tym czarni w dużej mierze wciąż żyli w odizolowaniu od białych, stłoczeni we własnych enklawach.

Ten obraz był odzwierciedleniem sytuacji panującej w całym kraju. Czarni mieszkali w dzielnicach otoczonych niewidzialnym murem – Latynosi nie. Czarni od dawna byli w znacznie większym stopniu oddzieleni od białych niż Latynosi, żyli też w większych skupiskach. Właściwie czarni wciąż byli bardziej stłoczeni i bardziej odizolowani niż jakakolwiek inna grupa rasowa czy etniczna w Ameryce. „Segregacja czarnych była niezmienna, trwała przez pokolenia”, zauważył socjolog Douglas Massey<sup>138</sup>. Nikt inny nie znajdował się w równie trudnej sytuacji<sup>139</sup>, nawet mieszkańcy Małych Italii czy polscy lub żydowscy imigranci, którzy przybywali do miast Wschodniego Wybrzeża w XIX wieku. Czarni nie mogli uciec przed segregacją bez względu na to, jak bardzo się starali. Zawsze ich dopadała, wzmacniana niewidzialnymi mechanizmami, takimi jak przepisy dotyczące nieruchomości. W 2000 roku, kilkadziesiąt lat po tym, jak sądy uchyliły bezprawne ograniczenia, prawdopodobieństwo, że czarna rodzina zamieszka wśród białych sąsiadów, było równie małe jak w latach siedemdziesiątych<sup>140</sup>.

Segregacja wzmocniła skutki bezkarności. To po części tłumaczy, dlaczego stosunkowo niewielkie różnice wskaźników wykrywalności sprawców morderstw wśród różnych ras są związane z tak znaczącymi



różnicami w liczbach bezwzględnych. Wskaźniki poziomu segregacji wśród poszczególnych grup mieszkańców pozwalają w dużej mierze określić liczbę morderstw<sup>141</sup>. Czynniki, które sprzyjają wzrostowi tego rodzaju przestępczości, to: zażyłość, interakcje społeczne, handel wymienny i wspólnota silnych niepisanych praw. Czynniki zażyłości decydował także o tym, dlaczego duża liczba morderstw jest problemem przypisanym konkretnej rasie. Trzeba mieć jakieś powiązania z danymi ludźmi, by chcieć ich zabić. Trzeba współdzielić z nimi przestrzeń w małym, odizolowanym świecie.

Warto zauważyć, że zupełnie inaczej wyglądała sytuacja na przedmieściach zajętych przez zatomizowane społeczności białej wyższej klasy średniej. Tamtejsi mieszkańcy często się przemieszczają, nie utrzymują bliskich stosunków ze swoimi sąsiadami, nie są od siebie ekonomicznie uzależnieni. Być może podczas zebrania wspólnoty mieszkaniowej czasem dochodziło do nieprzyjemnych sytuacji, ale zwykle w takich miejscach prawo było na tyle silne – na tyle silne było przekonanie mieszkańców o nieuchronności kary – że sąsiedzkie spory nigdy nie wykraczały poza określone ramy. W bardziej skomplikowanych sytuacjach – na przykład gdy jakiś młody człowiek miał już dość swoich agresywnych kumpli ze szkoły – rodzina mogła się bez większego problemu przeprowadzić gdzie indziej.

W czasach Skaggsa średnia liczba morderstw w Rampart nie odbiegała od wartości typowych dla pozostałych części miasta oraz podobnych dzielnic w podmiejskiej San Fernando Valley. Nowy komisariat Olympic nie przypominał żadnego z miejsc, w których pracował Skaggs. Mimo to z zapalem przygotowywał się do otwarcia komisariatu i większość czasu spędzał w nowych biurach, gdzie trwały jeszcze prace budowlane.

Jego starzy koledzy z South Bureau naśmiewali się z niego, nazywając go „gliniarzem z drogówki”, a nowy komisariat „Mission czy Midwilshire, czy jak to się tam zwie”, co miało być aluzją do niskiego poziomu przestępczości w tej dzielnicy. Potem zarzucili mu, że zabiera ze sobą materiały biurowe, między innymi rozgałęźniki elektryczne i pojemniki z płynem do ścierania kurzu. W wydziale zabójstw były to towary

deficytowe, a tym samym bardzo pożądane. Podczas przesłuchania prowadzonego przez Barlinga Skaggs się złamał. Przyznał, że podprowadził parę pojemników.

W końcu Skaggs złożył ostatnią wizytę w South Bureau. Wybrał się tam na przyjęcie bożonarodzeniowe i – dzielnie znosząc szydercze okrzyki w rodzaju „West Bureau!” – pożegnał się ze wszystkimi.

W tym czasie był już gotów na otwarcie nowego komisariatu. Kazał zamontować w swoim biurze dużą białą tablicę, na której zamierzał wypisywać aktualne sprawy, podobnie jak robił to La Barbera. Na samej górze napisał czerwonymi literami nieśmiertelne motto ze starego Southeast: „*Always Be Closing*”. Kupił pierwszorzędny ekspres do kawy i odświeżacz powietrza o jabłkowym zapachu.

Zaanektował komórkę wielkości pokoju i kazał tam zainstalować półki. Wiedział, że choć teraz poziom przestępczości jest stosunkowo niski, siedzi na całej górze nierozwiązanych spraw z czasów Grubych Lat, gdy w jeziorze w MacArthur Park pływały ciała ofiar morderstw. Zamierzał stworzyć lepszą wersję baraku utraconych dusz. Sam odszukał dokumentację wszystkich nierozwiązanych spraw. Było ich czterysta pięćdziesiąt trzy, a najstarsza pochodziła z 1966 roku.

Nim jeszcze ułożono podłogi i zainstalowano lampy, John Skaggs przejrzał dziesiątki starych segregatorów, a gdy otwierano nowy wydział, wszystkie pliki były już przeanalizowane, uporządkowane i posortowane. Stały w równych szeregach w nowym archiwum, opatrzone odpowiednimi nalepkami: „NAJNOWSZE”, „NOWE” i tak dalej aż do „NAJSTARSZE”.

Praca wydawała się interesująca. Tutejsze zabójstwa były inne od tych, którymi zajmował się dotąd. Na przykład w latach osiemdziesiątych doszło do serii zabójstw gejów – sprawy nigdy nie rozwiązano. Niektóre z ofiar prowadziły sekretne bogate życie seksualne. Inne były transwestytami. Ten wymiar morderstw był Skaggsowi dobrze znany. Podobnie jak bezdomni, prostytutki i czarnoskórzy mężczyźni ze środowisk przestępczych ludzie ci byli szczególnie narażeni na morderstwa, ponieważ należeli do marginesu – Potwór karmi się pogardzanymi. Skaggs zamierzał oddać spóźnioną sprawiedliwość tym ofiarom.

Do innej grupy należały gangsterskie porachunki wśród Latynosów. Przeciężeni pracą detektywi z Grubych Lat prawie nie zajmowali się niektórymi z nich. Skaggs znalazł opis sprawy, w której policja przybyła na miejsce zbrodni dopiero trzy godziny po wezwaniu. Prócz ciała ofiary nie znaleziono tam żadnych śladów.

Najbardziej jednak zdumiało Skaggsa to, że w wielu sprawach pojawiały się bardzo wyraźne i obiecujące tropy. To odróżniało je od zbrodni z Southeast. W wielu przypadkach detektywi z Rampart odbierali telefony od świadków, ludzie sami przychodzili do nich, by opowiedzieć o tym, co widzieli. Choć większość mieszkańców tej dzielnicy przebywała w USA nielegalnie, wszyscy wydawali się bardziej skłonni do współpracy z policją niż ludzie w Watts. W ciągu całej swej kariery w Southeast Skaggs nigdy nie otrzymał telefonicznie żadnej wskazówki. Był zdumiony.

Pracował też nad sprawą Tannellego. Musiał przesłuchać taśmy z więzienia, odszukać świadków. Sprowadził do nowego komisariatu swojego starego partnera z Southwest Coreya Farella, by pomógł mu w tej części pracy.

Farellowi właśnie urodziło się drugie dziecko. Obiecał żonie, że będzie wracał do domu w miarę wcześniej, by wieczorem jej pomagać. Przewróciła oczami.

– Pracujesz dla Skaggsa? – upewniła się. – Tak, jasne...

Tymczasem Skaggs sam zajmował się Jessicą. Uważał, że będzie bezpieczna, dopóki zostanie tam, gdzie ją umieścił. Ale ona dzwoniła do niego, a potem znikwała. Skaggs desperacko próbował się z nią skontaktować i nie poddawać obawom.

– Pewnie ma jakiegoś kretyńskiego chłopaka – wmawiał sobie, raz za razem wybierając jej numer.

Jeśli nie odzywała się wyjątkowo długo, tracił cały dzień na poszukiwania. Zwykle jednak szybko się z nim kontaktowała, twierdziła, że była chora albo miała jakiś problem z komórką. Potem mówiła mu, że zalega z czynszem i nie ma już pieniędzy. Albo że nie jadła, a nie ma już jedzenia. Skaggs, który miał dwoje nastoletnich dzieci, odnosił wrażenie, że

nieopatrznie wziął pod swoje skrzydła jeszcze jedną córkę, „koszmarne dziecko”.

Yadira Tennelle regularnie odwiedzała Holy Cross Cemetery, by wymieniać kwiaty na krypcie swego syna w mauzoleum, gdzie spoczęły prochy pozostałe po skremowaniu ciała Bryanta. Brakowało jej fizycznej obecności syna. Na cmentarzu czuła się bliżej niego, ale każda wizyta, co zrozumiałe, pozostawiała po sobie bolesny niedosyt.

Mimo to w każdy piątek po pracy Yadira jechała w stronę tego słonecznego wzgórza, z którego rozciągał się widok na południową część miasta i zatokę. Ubrana w turkusowy szpitalny fartuch, białe rajstopy i białe tenisówki, z koszem wypełnionym czerwonymi goździkami i żółtymi różami w ręce szybko przechodziła przez parking. Słońce odbijało się od szyb stojących dokoła samochodów, a nadmorska bryza poruszała minipalmami na klombach.

Ignorując te widoki, wchodziła w chłodny cień wielkiego, wielopiętrowego mauzoleum. Miała swój mały rytuał: kupowała kwiaty w szpitalu, rozpakowywała je w mauzoleum, a potem za pomocą długiego kija kładła je na krypcie Bryanta umieszczonej wysoko ponad jej głową.

Yadira wciąż chciała się troszczyć o Bryanta, nieustannie o nim myślała, planowała jego przyszłość, zwracała uwagę na zajęcia, które mogłyby mu się podobać, dogodne dla niego okazje, pracę pasującą do jego charakteru. DeeDee zachowywała się podobnie. Jadąc do pracy, przyglądała się uważniej pracownikom służb miejskich i myślała o tym, w której z nich mógłby się zatrudnić Bryant. Grupy mężczyzn przez cały dzień pracowały aktywnie na zewnątrz, wykonywały prace za przyzwoite pieniądze i dodatkowe świadczenia – uważała, że Bryant również świetnie by się do tego nadawał. Nieważne, że już go nie było – matczyna troska, która otulała go przez całe życie, nie mogła zniknąć wraz z nim. Yadira musiała zmuszać swój umysł, by dostosował się do tej nowej, trudnej rzeczywistości, by zrozumiał, że życie Bryanta zostało już przeżyte, że teraz był „zdaniem z kropką”, jak sama to ujmowała.

Był to fakt, zwykły fakt, który sprawiał jej jednak ogromny ból. Zmagania z tym bezmiarem cierpienia, który wciskał się w każdą chwilę jej życia, wymagały od niej wielkiego wysiłku. Tuż po śmierci Bryanta nie płakała dużo. Ból był na to zbyt dojmujący – łzy należą do sfery przyziemnej fizyki, a zabójstwo syna wykraczało poza współrzędne jej świata.

Dopiero później, gdy ów fakt nabrał kształtów i stał się wymiarem jej codziennego życia, przeniknął jednocześnie jej ciało niczym choroba. Wtedy płakała, odczuwała rozpacz całą sobą – ból wpływał na jej zdrowie fizyczne w znośny, lecz dokuczliwy sposób. Zarówno Wally, jak i Yadira Tennelle uważali, że trzeba być „silnym”, ale Yadira czuła się tak, jakby była obiektem nieustających ataków. Zgorzknienie stanowiło pokusę, która nie opuszczała jej ani na krok – musiała nieustannie zachowywać czujność. „Po co szaleć? Niech spoczywa w spokoju”, mówiła sobie. Wtedy pojawiała się jednak inna myśl: On nie cierpiał. Cierpiała ona. Zmarli odpoczywają. Cierpią ci, którzy zostali... Ale nie. Yadira często odganiała od siebie takie myśli. Nie chciała się poddać negatywnemu nastawieniu do świata.

Powróciła do swojego rytuału. W cieniu wielkiego otwartego mauzoleum, do którego wpływały strumienie jesiennego światła, jeszcze przez chwilę przycinała goździki i róże. Potem schowała foliowy worek do koszyka i przeszła do miejsca, gdzie na ścianie wisiała tabliczka ze zdjęciem Bryanta i napisem: „Pamięci naszego ukochanego syna Brownie Boy, 1988–2007”.

Yadira podniosła oczy ku tabliczce, oparła się na kiju i zapłakała.

„Skurwysyny!”

Nathan Kouri nie poddawał się i pracował dalej bez Marulla. Jego nowym partnerem był Tom Eiman, były właściciel firmy montującej okna i drzwi, który postanowił rozpocząć karierę w policji i wstąpił do LAPD.

Eiman został skutecznym tajnym agentem, który zajmował się narkotykami. Był wcieleniem przeciętności – brzuchaty mężczyzna w średnim wieku, w okularach z drucianymi oprawkami.

Kouri musiał doprowadzić do procesu sprawę podwójnego zabójstwa przy Laconia, którą zostawił mu Marullo. Wybrał się z Eimanem do pewnej kobiety, jednego z wielu świadków, którzy odmawiali zeznań, i zmusił ją, by zjechała na pobocze drogi, gdy wybierała się do pracy. Sięgnął przez otwarte okno samochodu i położył wezwanie do sądu na fotelu pasażera.

– Skurwysyny! – wrzeszczała kobieta. – Dręczycie mnie!

Dokoła zebrał się tłumek gapiów.

Podobnie zachowywali się niemal wszyscy świadkowie w tej sprawie. Dwaj tak bardzo się bali, że zostaną ukarani za współpracę z policją, że zaczęli nosić broń. Jeden z nich, nieletni, został zatrzymany i postawiony w stan oskarżenia za bezprawne posiadanie broni. Trzecim ze świadków była kobieta, która natknęła się przypadkiem na byłą dziewczynę jednego z oskarżonych, ta zaś „naskoczyła na nią” i pobiła za donoszenie. Czwarty świadek, również nastoletni, podczas rozprawy wstępnej zwinął się w kłębek w holu sądu i odmówił wejścia na salę. Na miejsce dla świadków wnieśli go policjanci, choć płakał i wierzgał nogami.

Członkowie gangu, do którego należał oskarżony, odszukali na korytarzu sądowym matkę Daniela Johnsona i otwarcie jej grozili. Powiedzieli, że „w jej najlepszym interesie jest, by nie zeznawała”. Pogróżki zdarzały się nawet na sali sądowej. Starszy mężczyzna podszedł do chłopaka jednej z zeznających. Używał obrazowego języka gangsterów, którym ci zastraszają swe ofiary.

– Jestem prawdziwym jebanym Cripem z AIDS i pierdołę czarnucha w dupę – powiedział.

Kiedy Eiman wyskoczył ze swego miejsca, by zainterweniować, „prawdziwy jebany Crip” ujawnił, że jest pracownikiem programu wsparcia dla młodzieży z dzielnic opanowanych przez gangi, opłacanym przez państwo. Potem wybrał numer komórki komendanta LAPD i poskarżył się, że Eiman go dręczy.

Teraz ta kobieta miała pretensje do Kouriego, że wręczył jej wezwanie do sądu.

– Nie mam z tym nic wspólnego! – krzyczała do gapiów.

– Niestety, ma pani – odparł Kouri.

Skuli ją kajdankami i wsadzili do swojego samochodu.

– Możemy o tym porozmawiać? – prosił Kouri.

Nim podjął pracę w policji, uczęszczał do szkoły pielęgniarzkiej, i teraz zachowywał się wobec zatrzymanych jak stanowczy, ale serdeczny pielęgniarz. Na wrogość reagował rozczarowaniem, na opór niesmakiem. Dokonywał zatrzymania tak, jak się robi bolesny zastrzyk – szybko i ze współczuciem.

W końcu udało mu się uspokoić kobietę. Puścili ją wolno, a Kouri pozdrowił ją przyjacielskim gestem, jakby nic między nimi nie zaszło.

– Proszę na siebie uważać! – zawołał.

Tymczasem Marullo był w komisariacie Southeast, gdzie powrócił do pracy w jednostce zajmującej się gangami. Gdy tej jesieni przyszedł tam po raz pierwszy, uśmiechał się od ucha do ucha. Co jakiś czas poprawiał przyciasny niebieski mundur, który – o czym głośno wspomniał – jakoś dziwnie się skurczył. Jego koleżanka przewróciła tylko oczami. Detektywi z wydziału – imponujący muskulaturą, która rozsadzała krótkie rękawki ich uniformów – mieszały proteiny w proszku z wodą, gdy sierżant omawiał ich zadania na ten wieczór. Policjanci mieli głównie jeździć po dzielnicy i łapać facetów z narkotykami lub bronią. Albo, jak ujął to później Marullo, siadając za kierownicą swojego radiowozu, „trzymać się tej starej bajki o zapobieganiu, której nikt do końca nie rozumie”. Na skrzyżowaniu Dziewięćdziesiątej Dziewiątej i Main blask jego reflektorów oświetlił nogi grupki gangsterów z Main Street.

– Gdzieś ty był? – spytał jeden z nich.

Inny odpowiedział za Marulla:

– To detektyw z wydziału zabójstw! Wrócił na stare śmieci!

Mężczyźni przyglądali mu się spod ściągniętych brwi.

– Dlaczego tam wróciłeś, stary?

Tej jesieni większość nocy była spokojna. Marullo raz czy dwa podjął pościg. Głównie jednak jeździł po okolicy, rozmawiał z informatorami i odwiedzał swoich podopiecznych. W listopadzie nie uśmiechał się już tak radośnie jak kilka tygodni wcześniej. Pewnej nocy, wracając do Southeast przez ciemne ulice, przyznał, że odczuwa pewien niepokój.

– Czasami czuję się źle: jakbym nie robił nic pożytecznego, rozumiesz?

Gdy John Skaggs oddał Barbarze Pritchett buty Dovona, ustawiła je pośrodku kapliczki w swoim salonie.

Był początek 2009 roku, od śmierci Dovona minęły niemal dwa lata. Jednak kapliczka wcale nie poszła w zapomnienie, wręcz przeciwnie, rozrastała się. Buty stały między dwoma pluszowymi miškami, otoczone przez inne pamiątki i balony z przyjęcia urodzinowego Dovona, które krewni urządzali bez niego. Powyżej Pritchett zawiesiła mapę z zaznaczonymi miejscami morderstw, którą wydrukowano w „Los Angeles Times”.

Matka Dovona wciąż nie potrafiła mówić o nim bez płaczu. Starła się jednak panować nad emocjami ze względu na swojego trzynastoletniego brata Carlosa, którego wychowywała jak syna. Chciała, by skończył szkołę, i robiła wszystko, co w jej mocy, by tego dopilnować. Wspierała ją cała rodzina. Jej dzieci niedawno urządziły zbiórkę i kupiły jej nową sofę oraz dywan.

Po śmierci Dovona swą macierzyńską troską i sympatią, którą po prostu musiała się z kimś dzielić, objęła policjantów i prokuratorów powiązanych ze śledztwem. Często dzwoniła do Skaggsa, a także do Sama Marulla, Nathana Kouriego i Joego Porrasa, którego poznała podczas procesu. Nazywała ich rodziną.

Nie miało to jednak znaczenia, gdy pewnego poranka, o 5.15, krewny, który zatrzymał się u niej, usłyszał na zewnątrz jakiś hałas. Wyrzął przez okno i zobaczył, że policja otacza ich dom.

Byli to funkcjonariusze z Southeast, którzy przybyli tu z nakazem przeszukania. Poszukiwali jednego z pięciu braci Pritchett, oskarżonego o włamanie. Kazali jej wyjść na zewnątrz. Była bosa i miała na sobie tylko koszulę nocną.

Wśród krewnych przebywających tej nocy w jej domu była szwagierka Pritchett z półrocznym dzieckiem. Córką Pritchett wyniosła niemowlę na zewnątrz, zirytowana, bo rano było chłodno. Dziecko chorowało, a ona nie miała koca, którym mogłaby je przykryć. Wdała się w ostrą dyskusję



z jednym z policjantów, który kazał jej podnieść rękę. Nie widział, że trzyma dziecko?

Gdy policja weszła do ich domu, cała rodzina stała obok pojemnika na śmieci i trzęsła się z zimna.

Okazało się, że zaszła pomyłka. W nakazie wymieniono niewłaściwego brata. W rzeczywistości poszukiwano tego, z którym Pritchett nie utrzymywała bliskich kontaktów i który mieszkał pod innym adresem. Córką Pritchett była wściekła, ale ona sama cieszyła się, że policjanci nie przetrząsnęli jej domu. Postanowiła, że nie pozwoli, by ten incydent wpłynął na jej dobrą opinię o policji.

Wkrótce po tym wydarzeniu przy tej samej ulicy podczas strzelaniny zraniono kobietę. Pritchett poszła zobaczyć, co się dzieje, i dostrzegła Sama Marulla, który nosił niebieski mundur i nie pracował już jako detektyw. Wiedziała, że Skaggs odszedł niedawno z South Bureau, a Joe Porras z Compton Courthouse. „Odchodzą wszyscy najlepsi prócz Kouriego”, pomyślała wtedy.

Kilka miesięcy później w Nickerson Gardens zastrzelono znajomego Pritchett. Wśród żałobników był młody czarnoskóry mężczyzna, który znał Pritchett i Dovona. Powiedział jej, że jego zdaniem sprawa tego zabójstwa nie zostanie rozwiązana.

– Potrzebujemy z powrotem Johna Skaggsa – stwierdził.

Pritchett się z nim zgodziła.

Skaggs był jednak w Olympic, gdzie coraz bardziej się nudził.

Natychmiast po otwarciu komisariatu rzucił się w wir pracy. Wymagał od swoich nowych młodych detektywów, by nienagannie się ubierali, a odprawy urządzał o siódmej rano, by mieć pewność, że będą wcześniej wstawać. Strofował ich, gdy zostawili na biurku choćby spinacz. Mimo to wiosną jego biała tablica wciąż pozostawała pusta. Na terenie kontrolowanym przez nowy komisariat nie odnotowano w tym czasie ani jednego zabójstwa. Skaggs cierpiał na nieznaną mu dotąd przypadłość – nadmiar energii, z którą nie miał co zrobić.

Wciąż zajmował się sprawą Tannellego. Po rozprawie wstępnej dwaj nieskorzy do współpracy świadkowie – mężczyzna na wózku i młodzieniec na zwolnieniu warunkowym, który bił się z sąsiadami Bryanta – zniknęli bez śladu. Farrell ich szukał.

Pojawił się też nowy dowód. Starks i Davis przez jakiś czas przebywali razem w więzieniu, gdzie nagrała się ich rozmowa. Starks twierdził, że skończył z zabijaniem, dodał jednak:

– Gdybym miał zabić gliniarza, byłby to detektyw Skaggs. Wysoki biały facet. Nosi koszulę z krawatem, ale marynarki już nie.

Skaggs wydawał się zadowolony – te słowa potwierdzały, że wyróżnia się spośród innych policjantów. Przypuszczał jednak, że sąd nie uzna taśmy z nagraniem za materiał dowodowy.

Stirling, prokurator, wciąż się martwił, że ostatecznie oskarżeni nie zostaną uznani za winnych. Skaggs, jak wielu innych ludzi, nie przepadał za Stirlingiem, postanowił go jednak zaakceptować i tolerować jego obecność.

Wiosną obaj wybrali się z wizytą do więzienia. Mieli nadzieję, że uda im się przesłuchać więźnia, który dostarczy im dodatkowych dowodów. Okazało się, że ów więzień nie ma żadnych informacji, które mogłyby się im przydać podczas rozprawy. Długa podróż nie poszła jednak na marne. Pomogła Skaggsowi i Stirlingowi scementować zawodowe relacje. Stirling siedział na fotelu pasażera i wskazywał Skaggsowi drogę, choć szło mu to bardzo kiepsko. Skaggs prowadził, zachowując kamienny spokój nawet wtedy, gdy całkiem się zgubili.

Skaggs lubił prowokować Stirlinga. Irytowały go jego ciągłe obawy i pokpiwał sobie z nich. Stirling nie pozostawał mu dłużny. Gdy Skaggs zatrzymał się, by kupić czarną kawę z dodatkiem espresso – lubił kawę o smaku nazywanym w Starbucksie „bold” – Stirling zamówił karmelowe frappuccino z bitą śmietaną.

– Cholera jasna! – parsknął Skaggs, gdy podano im wymyślny napój, a potem z nieskrywanym obrzydzeniem przekazał go Stirlingowi.

Prokurator uśmiechnął się doń pogodnie.

Na horyzoncie ukazało się skupisko przysadzistych więziennych budynków i zwoje drutu kolczastego, lśniące w przytłumionym świetle. Strażnik stojący na wieży spuścił im klucz w wiadrze umocowanym na sznurku, co przypominało metodę rodem z książki *Lorax* Dra Seussa. Jak dotąd żadna nowoczesna technologia nie okazała się lepsza od tego sposobu.

Za drzwiami powitał ich inny strażnik z wielkim czarnym walkie-talkie na piersiach i niebiesko-zielonymi tatuażami na przedramionach. Skaggs i Stirling weszli do więzienia, przechodząc przez kręgi ogrodzeń rozdzielone pasami ziemi. Tabliczki informacyjne ostrzegały przed prądem o wysokim napięciu i ukazywały postacie ludzi rażonych błyskawicą.

Detektyw i prokurator czekali w pomieszczeniu przyozdobionym amerykańskimi flagami wielkości prześcieradeł. Na ścianie wisiały również fotografie portretowe z podpisem „przyłapani”. Były to zdjęcia mężczyzn i kobiet – zaskakująco wielu – którzy podczas odwiedzin próbowali przemycić do więzienia narkotyki i zostali schwytani na gorącym uczynku. Stirling gawędził ze strażnikami. Jeden z nich opowiedział o nowym podejściu więzienia do ekshibicjonistów.

– Dają im od dwudziestu pięciu lat do dożywocia za obnażanie się przed strażniczkami! – oznajmił wesołym tonem.

Inny pochwalił się, że w ich więzieniu przebywa ważny szef meksykańskiej mafii. Stirling był pod wrażeniem. Wypytywany o szczegóły strażnik przyznał jednak, że mafioso jest obecnie w szpitalu.

– Ma problemy z nerkami. Starzeje się – wyjaśnił.

Skaggs siedział w milczeniu, bębniąc tylko palcami o krzesło. Zachowanie strażników wskazywało na to, że czują się bardzo ważni. Wchodzili do sali i wychodzili z niej wolnym krokiem, ubrani w dresy i czarne czapki z daszkiem. Wydawało się, że są dumni ze swojego statusu, i traktowali Skaggsa tak, jakby był jednym z nich. Mówili o swoich „śledztwach” konfidenckim tonem, niczym fachowcy zajmujący się tą samą dziedziną. Jednak mina Skaggsa – usta ściągnięte w wąską linię – świadczyła o tym, że nie uważa strażników więziennych za profesjonalistów tego samego kalibru co on.

Stirling, który często mówił za dużo, natychmiast dostosował się do tonu i manier strażników. Zaczął ze szczegółami opisywać sprawę Tannellego. Palce Skaggsa znieruchomiały, a na jego czole pojawił się gniewny grymas. Był wyraźnie zniesmaczony.

Więzień, do którego przyjechali, czarnoskóry mężczyzna powiązany z gangami South Central, młody i atletycznie zbudowany, miał ujmujące maniery i oczy o inteligentnym, żywym spojrzeniu. Zapewne bez trudu mógłby się odnaleźć w całkiem innym życiu, na przykład jako popularny piłkarz ze szkolnej drużyny albo obiecujący student college'u. Jednak w tym życiu wielokrotnie padał ofiarą napaści i strzelanin. Zamordowano kilku jego przyjaciół. On sam również atakował i ranił innych ludzi, ale ich nie zabijał, jak twierdził. Jego rodzinny dom został ostrzelany. Pewien mężczyzna pobił go, zabrał mu złoty łańcuch i odszedł ze słowami: „Mogłem cię zabić. Nikt by nawet o tym nie wspomniał”.

Wkrótce miał wyjść na wolność. Martwił się tym. Dla wielu młodych czarnych mężczyzn w Kalifornii życie w więzieniu było bezpieczniejsze niż życie na wolności, gdzie w każdej chwili mogli zginąć<sup>142</sup>. Niektórzy członkowie gangów traktowali nawet uwięzienie jako swego rodzaju przerwę – wytchnienie od terroru panującego na ulicach, podobne do przepustki, jaką otrzymuje walczący na froncie żołnierz.

Młodzieniec sugerował, że jego „gangsterska tożsamość” to tylko wybieg, który pozwala mu przeżyć.

– Muszę grać tę rolę – powiedział Skaggsowi.

Z zazdrością opowiadał o znajomym gangsterze, który uciekł od tego życia i znalazł sobie zajęcie w firmie budowlanej w odległym miejscu. Więzień był zakochany i chciał zrobić to samo. Nie miał jednak pieniędzy i wiedział, że ze względu na kryminalną przeszłość trudno mu będzie zdobyć pracę czy mieszkanie, a nawet kartę kredytową.

Skaggs od lat nie mógł się nadziwić, jak wielu gangsterów, podobnie jak ten młody człowiek, wydawało się całkiem normalnymi facetami. Należeli do gangów *pomimo* swej normalności. Zostali ich członkami w wieku trzynastu–czternastu lat. Niektórych do tego zmuszono. Inni szukali ochrony. Jeszcze innych uwiodły kuszące perspektywy: Dziewczyny.

Pieniądze. Przygoda. Awantury i „imprezowanie”. Już jako dwudziestolatkowie mieli tego serdecznie dość. Wydawali się zniechęceni, brzydzili się przemocą tak samo jak wszyscy normalni ludzie. Często płakali. Zmieniały się ich życiowe priorytety, na pierwszym miejscu stawiali swoje partnerki i dzieci. Nie mogli jednak pozbyć się powiązań, które łączyły ich z przeszłością.

Oczywiście świat strefy getta obejmował całą gamę ludzkich typów. Niektórzy gangsterzy lubili krzywdzić ludzi, inni nie. Niektórzy początkowo nie znajdowali w tym przyjemności, ale zdemoralizowali się i zamienili w sadystów. Może te proporcje wyglądały inaczej w innych grupach Amerykanów. Może inna mniejszość rasowa czy etniczna zawierała większy odsetek zwykłych facetów albo mniejszy odsetek tych, którzy poddawali się demoralizującemu oddziaływaniu środowiska. Może dręczący strach przed śmiercią z ręki innego gangstera – według danych Departamentu Sprawiedliwości w latach dziewięćdziesiątych ofiarą morderstwa padał co trzydziesty piąty mieszkaniec<sup>143</sup> – wpływał inaczej na inną grupę mężczyzn.

Takie rozważania to nic więcej jak dzielenie włosa na czworo. Weź grupkę nastolatków z białych, najbezpieczniejszych przedmieść Ameryki i przenieś ich w miejsce, gdzie morduje się ich przyjaciół, a oni sami nieustannie są obiektem ataków i gróźb. Daj im do zrozumienia, że nikogo to nie obchodzi, a mordercy mogą się czuć bezkarni. Ogranicz im możliwości ucieczki. A potem zobacz, co się z nimi stanie.

Młody mężczyzna spojrzał na nich z powagą i strachem. Nie chciał być w więzieniu i nie chciał umierać. Chciał żyć na wolności, ale nie wiedział jak.

Gdy Skaggs i Stirling przechodzili przez bramy więzienia, rozległ się alarm. Strażnik machnął ręką w stronę okna, pokazując Stirlingowi przyczynę – wróbla uwięzionego między ogrodzeniami. Ptaki „po prostu wybuchają”, gdy dotkną przewodów pod wysokim napięciem, tłumaczył strażnik. Trzepoczą przez kilka sekund, a potem znikają.

Stirling przystanął, obserwując ostatnie próby ucieczki zdesperowanego wróbla.

– Biedny ptaszek – powiedział, po czym ruszył dalej.

Przez cały 2009 rok Skaggs i Stirling starali się jakoś popychać do przodu sprawę Tannellego. Poznali dwóch adwokatów przydzielonych oskarżonemu. Seymour Applebaum, obrońca Davisa, miał głęboki głos, jakby stworzony do przemów dla ławy przysięgłych. Mógłby z powodzeniem grać rolę Sokratesa, a to dzięki długim siwym włosom i brodzie, które nadawały mu wygląd dostojnego mędrca. Applebaum gardził komputerowymi gadżetami. Pisał ołówkiem na papierze i przemawiał z mównicy, nawiązując kontakt wzrokowy ze słuchaczami, a nie zerkając na ekran, jak robiło to wielu prawników. Ezekiel Perlo, adwokat Starksa, trzymał się zawsze prosto, choć dobiegał już siedemdziesiątki. Miał asymetryczną, pogodną twarz, lekko utykał i niedawno stoczył zwycięską walkę z chłoniakiem. Obaj adwokaci byli wysokiej klasy profesjonalistami. Mieli znacznie większe doświadczenie niż prokuratorzy i brali udział w sprawach, w których oskarżonemu groziła kara śmierci, co stawiało ich w gronie miejscowej elity prawniczej. Wybrano ich do sprawy Tannellego, nim prokuratura okręgowa postanowiła nie żądać kary śmierci. Proces miał się odbyć w 2010 roku.

Po kilku miesiącach nowy wydział zabójstw w Olympic, kierowany przez Skaggsa, miał w końcu parę spraw do rozwiązania: usprawiedliwiony czyn nastolatka, który uderzył deskorolką dorosłego napastnika, śmierć dziewiętnastoletniego Latynosa ostrzelanego z przejeżdżającego samochodu oraz zgon pewnego pijanego mężczyzny, zmarłego dwa tygodnie po tym, jak na jego głowie pojawił się tajemniczy guz.

Skaggs był zdumiony postawą świadków z Olympic, którzy znacznie chętniej współpracowali z organami ścigania niż mieszkańcy Southeast.

– Byłem na miejscu dwóch strzelanin, a świadkowie wcale stamtąd nie uciekli. Czekali i rozmawiali z policją! – mówił z niedowierzaniem.

Roosevelt Joseph, jeden z weteranów wydziału zabójstw komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, od dawna twierdził, że chęć współpracy świadków zależy od stopnia przestępczości.

– Gdy liczba zabójstw rośnie, gotowość do współpracy maleje – stwierdził.

Liczba morderstw i powiązany z nimi strach napędzają się wzajemnie – Skaggs mógł się teraz naocznie o tym przekonać.

Mimo wszystko wciąż czuł się nieswojo w nowej pracy. Nie przywykł do takiej ilości wolnego czasu. Zaczął biegać o 3.30 rano, przed pracą. W kwietniu przebiegł Maraton Bostoński, włączając się w akcję charytatywną. Przyjaciele mówili mu, by zaczął wolno i oszczędzał siły. Skaggs ich posłuchał, choć takie zachowanie było wbrew jego naturze. Na trzydziestym czwartym kilometrze wciąż świetnie się czuł i ostatecznie ukończył bieg z czasem cztery godziny i dziewięć minut i zapasem sił. „Zła taktyka”, pomyślał. Sprzeniewierzył się własnemu credo: Nigdy się nie oszczędzaj.

Nadal lubił swą pracę i życie rodzinne, ale w jednym i drugim przeżywał trudne chwile. Jego syn skończył siedemnaście lat. Skaggs martwił się, że chłopak ma skłonność do podejmowania „złych decyzji” i że jeszcze nie znalazł pracy. On sam pracował od dziecka, już jako dwunastolatek zarabiał pieleniem. Stawiał synowi warunki, groził, że odbierze mu samochód. W końcu doszedł do wniosku, że im mniej mówi, tym lepiej.

– Co za człowiek! – komentował. – Wydaje mu się, że wie wszystko!

Wychowywanie dziecka w tym wieku to rzecz trudna i delikatna. Od lat wiele badań dotyczących morderstw skupiało się właśnie na „młodzieńczej przemocy”. Nie istniały właściwie żadne organizacje charytatywne czy programy rządowe, które zajmowałyby się dorosłymi ofiarami płci męskiej. Statystyki wskazywały jednak, że to nie nastolatki, lecz mężczyźni opuszczający ten przedział wiekowy są grupą największego ryzyka. Liczba morderstw wzrastała wśród czarnoskórych mężczyzn w wieku osiemnastu–dwudziestu dwóch lat, a potem utrzymywała się na stosunkowo wysokim poziomie aż do czterdziestego roku życia.

Czarni rodzice ofiar morderstw często czuli się krytykowani, jakby śmierć ich dziecka była wynikiem złego wychowania. Najbardziej zagrożeni są jednak ci, którzy właśnie uwalniają się od rodzicielskiej kurateli. To także niezwykle trudny okres dla wielu białych rodziców. Syn

Skaggsa miał inne problemy niż Bryant. Jednak jako ojciec siedemnastolatka Skaggs twierdził, że w „stu procentach” rozumie sytuację Wally’ego Tennellego.

Do tego dochodziła kwestia tego trzeciego, koszmarnego dziecka, które niedawno znalazło się pod jego skrzydłami.

Jessica Midkiff wciąż potrzebowała stałej opieki. Pewnego dnia Skaggs miał ją zawieźć na spotkanie dotyczące jej zwolnienia warunkowego. Wybiegła z domu z mokrymi włosami, zdyszana, z zaświadczeniem o negatywnym wyniku badania na AIDS w dłoni. Kiedy wskoczyła do auta, Skaggs zdjął ciemne okulary i przyjrzał się jej uważnie.

– Wyglądasz zdrowo! – orzekł.

Jessica rozpromieniła się w uśmiechu.

– Staram się wcześniej chodzić spać – odparła.

Wciąż tańczyła w nocnych lokalach, gdzie zarabiała dwieście dolarów za wieczór. Wciąż paliła. Zasnęła na tylnym siedzeniu. Skaggs był jednak zadowolony. Midkiff choć raz związała się z mężczyzną, którego uważał za porządnego faceta – ochroniarzem w jednym z klubów. I wreszcie zaczęła robić coś w kierunku ukończenia szkoły średniej.

Kiedy przejeżdżali obok kampusu Uniwersytetu Południowej Kalifornii, Midkiff się obudziła. Spoglądała na przechodzące obok studentki; zawsze chciała zobaczyć kampus uniwersytecki.



## Ze strony ofiary

La Barberze bardzo brakowało Marulla. W ciągu roku odeszło czterech detektywów, wszyscy na posady zapewniające więcej korzyści i mniej nerwów. Znów zostało mu zbyt wielu niedoświadczonych pracowników i zbyt mało tych, którzy mogliby ich wyszkolić.

Doskwierały mu ograniczenia dotyczące nadgodzin. Nie był też pewien Kouriego, który nigdy nie potrafił wyjaśnić, co właściwie robi.

Kyle Jackson, nowy dowódca grupy, początkowo nie cieszył się sympatią załogi ze strefy getta. Wydawało się jednak, że zdoła zmienić tę sytuację. Zabiegał o środki. Wyrażał współczucie dla, jak to nazywał, „rozpaczliwie bezradnej społeczności” South Bureau.

La Barbera był zaskoczony, choć może nie powinien. Jackson, czarny mężczyzna, wychował się w Watts. Jego matka żyła z zasiłku, część dzieciństwa spędził w Nickerson Gardens. Ojczym zbudował osławiony hotel Louisiana, którego szyld zdobił teraz salę odpraw w Southeast.

Pewnego wieczora, gdy La Barbery nie było już w biurze, Jackson, pochylony nad biurkiem Kouriego, głośno ubolewał nad decyzją Marulla o odejściu z wydziału. Potem typowym dla siebie teatralnym gestem wskazał na Kouriego.

– A ty? Czy ty chcesz zostać? – spytał.

Zaskoczony Kouri odparł bez namysłu:

– Jeśli pozwolą nam pracować. – Natychmiast uświadomił sobie swój błąd.

Kouri już dawno zauważył, jak szybko nierozwiązane sprawy popadają w zapomnienie. Czasami miał wrażenie, że śledczy zbyt łatwo się poddają. Takie podejście było dlań nie do przyjęcia. Kiedy Eiman narzekał, że pracownik programu pomocy młodzieży powiązany ze sprawą z Laconia

napisze na niego skargę, Kouri odpowiedział z powagą: „Nie możesz pozwolić, żeby cię to powstrzymało. To by cię sparaliżowało”.

Kouri podniósł głowę i spojrzał w oczy Jacksona. Zrozumiał, że dowódca go sprawdza.

– Tak! – poprawił się stanowczym tonem. Naprawdę chciał zostać w wydziale zabójstw. – Chcę!

Pewnego dziwnie chłodnego i mglistego popołudnia w sierpniu 2009 roku chłopak ubrany w „oldskulowy” gangsterskim stylu, z pomarańczową bandaną zwieszającą się z kieszeni, szedł leniwym krokiem w stronę skrzyżowania Broadwayu i Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, naprzeciwko Niebiańskiego Kościoła Chrystusa.

Ciemna postać, która czekała tam na niego, podniosła broń. Napastnik ujął pistolet w obie dłonie, rozstawił szerzej nogi i wystrzelił. Chłopiec próbował uciekać, ale nagle zgiął się wpół i runął na ziemię. Przez chwilę leżał nieruchomo, potem podniósł głowę i z powrotem ją opuścił. Płakał. Podniósł głowę raz jeszcze. Nad ulicą kołysały się wypełnione helem żółte i pomarańczowe balony reklamujące pobliski sklep.

Młoda kobieta podbiegła do chłopca, a potem odsunęła się od niego, zakrywając twarz dłońmi. Mężczyzna z małym dzieckiem na rękach ominął ranego i wszedł do sklepu.

Wkrótce na miejsce przyjechała karetka, a tuż po niej radiowóz.

Z radiowozu wysiadł potężny funkcjonariusz. Spojrzał na chłopca, który jeszcze się ruszał. Potem wraz ze swoim towarzyszem rozciągnął taśmę i przegnał gapiów. Przystanął na moment, opierając rękę na biodrze, wymienił kilka słów przez krótkofalówkę, pomachał rękami, ponownie odganiając gapiów, a potem odwrócił się i spojrzał na ratowników, którzy zdejmowali ubranie i buty chłopca. Do tej pory na miejsce strzelaniny dotarli kolejni policjanci. Oni także tylko stali w milczeniu i patrzyli. Nikt nie przyklęknął obok chłopca, by z nim porozmawiać. Nikt go nie spytał, kto to zrobił.

Chwilę później obok małych porzuconych butów stał Nathan Kouri. Z kieszeni jego marynarki wystawała garść kolorowych długopisów. Kilka

kroków dalej La Barbera wymachiwał rękami, zatrzymując policyjny samochód: dwóch detektywów z wydziału do walki z gangami jechało przez sam środek miejsca zbrodni.

– Hej! – wrzasnął z niedowierzaniem.

Po drugiej stronie żółtej taśmy zebrał się niewielki tłum gapiów.

– Wyczyszczą tę krew? – pytała retorycznie młoda kobieta, marszcząc z niesmakiem nos. – Zawsze ją zostawiają, a potem śmierdzi.

Ofiarą był trzynastoletni Da'Quawn Allen. Od śmierci Bryanta Tannellego minęło już ponad dwa lata, lecz do rozpoczęcia procesu zostało jeszcze kilka miesięcy. W tym czasie na terenie hrabstwa Los Angeles zabito pięciuset czterdziestu pięciu czarnych mężczyzn i chłopców<sup>144</sup> – Da'Quawn był pięćset czterdziestym szóstym.

Eiman wyjechał na wakacje, a Kouri miał przeszkolić najnowszego rekruta z wydziału zabójstw Southeast, byłego funkcjonariusza z wydziału do walki z gangami i magistra ochrony środowiska Mike'a Levanta. Kouri sam wciąż był niedoświadczony, lecz La Barbera nie miał innego wyboru. Niemal wszyscy pozostali pracownicy spędzili w wydziale zabójstw jeszcze mniej czasu.

Kouri i Levant wskoczyli do swojego samochodu. Kouri położył na desce rozdzielczej plik dokumentów.

– Przez kilka ostatnich nocy Hooversi i ludzie z Main Street ciągle coś kombinowali – rzucił do telefonu, a potem go zamknął. – Mnóstwo grup na ulicach, stary – powiedział do Levanta. – Cholera jasna!

Jechali do szpitala Harbor-UCLA, gdzie stwierdzono zgon Da'Quawna. Mniej więcej w tym samym czasie na oddział urazowy przywieziono inną ofiarę strzelaniny. Kouri pomyślał, że te dwie sprawy mogą być ze sobą powiązane. Mrużąc oczy w oślepiającym popołudniowym słońcu, jechał prosto do szpitala w nadziei, że uda mu się przesłuchać rannego.

Okazało się, że to fałszywy trop. Ofiarą była młoda kobieta postrzelona w nogę podczas starcia, które nie miało nic wspólnego ze sprawą Kouriego, ale przypadkiem rozegrało się w tym samym czasie zaledwie kilka przecznic dalej. Najważniejszymi aktorami tego spektaklu byli aktualna dziewczyna pewnego mężczyzny, jego była dziewczyna, kij do baseballu

i skradziona komórka – co Skaggs zapewne podsumowałby słowami: „Ale dramat”. Ta sprawa również mogłaby się zamienić w zabójstwo, gdyby tylko kula poleciała pod nieco innym kątem.

Ranna kobieta przywitała Kouriego serdecznie. Pamiętała go ze sprawy swojej zamordowanej siostrzenicy. Wizyta nie była stratą czasu. Kiedy stali na sali oddziału chirurgii urazowej – pośród popiskujących maszyn i bardzo młodych lekarzy przemykających obok w nowych butach New Balance – do Kouriego i Levanta podszedł funkcjonariusz ze zwykłego patrolu ulicznego.

John Tumino, przysadzisty policjant z bokobrodami, szukał ich już od jakiegoś czasu. Pewna kobieta, świadek morderstwa, zostawiła na ziemi karteczkę z numerem telefonu. Miała nadzieję, że podniesie ją któryś z policjantów strzegących miejsca zbrodni, lecz żaden z nich tego nie zrobił. Tumino, który dotarł tam później, dowiedział się jakoś o tej historii i odszukał kobietę. Teraz wręczył Kouriemu jej numer. Detektyw wpatrywał się weń ze zdumieniem.

– Coś takiego! Dziękuję! Dziękuję! – wykrzyknął. Roześmiał się i pokręcił głową.

Policjant z patrolu dostarczył mu trop. Takie proste. I takie rzadkie.

Kouri i Levant zjechali windą na parter i wyszli do holu pomalowanego na niebiesko i ozdobionego rysunkami pingwinów i bocianów.

Pielęgniarka w recepcji pokręciła głową.

– Kiedy go tu przywieźli, już nie żył – powiedziała.

Odesłała Kouriego i Levanta tam, skąd przyszli, za kolorowe bociany i pingwiny, na dziecięcy oddział intensywnej terapii, którego trzynastoletni Da’Quawn nie zdążył już zobaczyć.

Odszukali tam lekarza, który próbował ratować chłopca. Podał im dokładny czas śmierci: 14.14. Da’Quawn został postrzelony pięć razy.

Potem przeszli do kostnicy. Kobieta w recepcji przez chwilę wodziła wzrokiem od Kouriego do Levanta.

– Żal mi was wszystkich – powiedziała.

Zaprowadziła ich do podwójnych drzwi. Levant próbował zażartować, że może jednak nie muszą tam wchodzić, po czym ruszył za Kourim do

środku.

W kostnicy było zimno, podłogę przykrywały małe szare i białe płytki przywodzące na myśl szatnię sportową. Wzdłuż ściany ciągnął się szereg wielkich drzwi ze stali nierdzewnej, każde opatrzone u góry numerem.

– Jest na dole – powiedziała recepcjonistka.

Kouri wyjął parę gumowych rękawiczek z pudełka na ścianie, otworzył drzwi i pociągnął za uchwyt najniższej szuflady.

Wysunęła się bezszelestnie, ukazując biały worek zasunięty na zamek. Przez folię było widać drobną chłopięcą postać. Kouri przeszedł na bok szuflady i pochylił się, by rozsunąć zamek. Levant cofnął się o krok z wahaniem.

Ciało Da'Quawna było owinięte prześcieradłem przesiąkniętym różową krwią. Kouri odrzucił na bok skraj prześcieradła. Dolną część twarzy chłopca wciąż zakrywała maska respiratora, cienkie rurki ciągnęły się wzdłuż bezwładnego ciała. Kouri pracował szybko, dotykał tylko prześcieradła, szukając tatuaży. Odsunął tkaninę jeszcze dalej na bok, odkrywając całą głowę.

Delikatne, miękkie loki chłopca układały się na jasnobrązowym karku. Kouri przesunął materiał niżej, ukazując ramiona i klatkę piersiową trzynastolatka, pokryte warstwą dziecięcego tłuszczu. W końcu odkrył również nogi Da'Quawna, chude niczym nogi żrebaka. Żadnych tatuaży. Levant przyglądał się temu w milczeniu. Kouri ponownie okrył ciało prześcieradłem, wsunął szufladę i zamknął drzwi.

Wyszli na zewnątrz. Słońce chowało się za szarą morską mgłą nad horyzontem, przybladłe światło rzucało na ziemię niewyraźne cienie palm. Zrobiło się dziwnie chłodno. Rozmawiali o innych śledztwach. Kouri wspominał świadka z jednej spośród jego spraw, kobietę o przezwisku Czekoladka, która natknęła się na zabójcę w kolejce po zasiłek. Obaj chwalili Tumina.

– To świetny gliniarz – stwierdził Kouri.

Zgodnie ze zwyczajem detektywów z wydziału zabójstw nazywali umundurowanych policjantów gliniarzami, jakby był to jakiś całkiem osobny gatunek.

Żaden z nich nie wspominał o Da'Quawnie. Kiedy jednak do Levanta zadzwoniła żona, powiedział, że wróci później, i wyjaśnił, używając delikatnego, nietypowego dla policji określenia, że „odszedł pewien młody człowiek”.

Przepytywali świadków. Chodzili od domu do domu, mijali ogrodzenia z siatki i pokryte graffiti ławki. W szybach samochodów odbijał się pomarańczowy, przytłumiony blask zachodzącego słońca. Levant mocno pukał w stalowe antywłamaniowe drzwi kolejnych domostw.

Gdy zapadła ciemność, obaj detektywi wrócili na miejsce zbrodni. Płomienie świec oświetlały stopy mniej więcej dwadzieścioro żałobników, zszokowanych nastolatków z rękami wbitymi w kieszenie. Siwowłosa mężczyzna, który przedstawiał się jako pracownik programu pomocy dla młodzieży, przyniósł plakat ze zdjęciem Da'Quawna, uroczy portret wykonany zapewne kilka lat wcześniej. Poprosił Kouriego o taśmę klejącą. Tylko mieszkańcy tej dzielnicy wiedzą, że policjanci noszą ze sobą taśmę. Kouri dał mu kawałek.

Znacznie później, po powrocie do biura, Kouri przejrzał zdjęcia ostatnich graffiti, zaszyfrowane przechwałki, wyrazy rozpacz i zapowiedzi zemsty.

– Mamy tu wojnę! – wykrzyknął.

Zadzwonił jego telefon. Strzelanina na terenie podległym komisariatowi przy Siedemdziesiątej Siódmej. Prawdopodobnie już odwet za Da'Quawna.

Kouri zabrał Levanta z powrotem do samochodu. Jechali mrocznymi ulicami pod szarym niebem – w Los Angeles nigdy nie jest całkiem ciemno. Kouri wychylał się przez okno, rozmawiał swobodnym tonem z przechodniami. Do ojca, który bawił się na podwórku ze swoimi dziećmi, zawołał:

– Jak tam, wszystko w porządku?!

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i wskazał na dzieciaki.

– One nie zadają się z żadnymi gangsterami! Nie pozwalam im na to!

Pukali do kolejnych drzwi. Kouri wołał: „Tu *po*-licja!”, używając miejscowego akcentu w naturalny, pozbawiony afektacji sposób.

Odszukali dom Da'Quawna. W salonie panował okropny bałagan. Na ścianie wisiał zegar z Lakersami, na półce kiwała się lampa z abażurem, ze stolika do kawy spadała sterta czasopism „Ebony”, na podłodze leżały dziecięce rowerki.

Miejsce pośrodku tego bezładu zajmowała babcia chłopca, szczerbata kobieta o gęstych kręconych włosach, które okalały jej zmęczoną twarz, ubrana w luźną sukienkę. Siedziała z wyciągniętymi do przodu nogami, bosa. Tuż obok dziesięcioletni brat Da'Quawna tulił się mocno do ciotki, a po jego twarzy spływały strumieniami łzy.

Kouri złożył im wszystkim kondolencje i zaczął rozmawiać o sprawie. Pod sufitem kręcił się leniwie wentylator. Braciszek zamordowanego wciąż płakał. To nie było dziecinne chlipanie, lecz nieopanowany, konwulsyjny szloch przepełniony głębokim bólem. Chłopiec łkał całym sobą, wpatrywał się w przestrzeń niewidzącymi oczami.

Kiedy Kouri rozmawiał, Levant raz po raz spoglądał na tego chłopca. W końcu ciotka mocniej ujęła dzieciaka, wzięła go na ręce jak niemowlę i wyniosła.

Matka Da'Quawna przebywała w więzieniu, więc chłopcem opiekowała się babcia. Wyznała, że ostatnio martwiła się o Da'Quawna, bo ten dołączył do gangu. Próbowала „wyrwać się z tego cholernego miejsca”.

Mówiła o gangach z niezwykłą szczerością.

– Ale dorosły zabił *dziecko*! – wtrąciła jej kuzynka i spojrzała ostro na Kouriego. Była rozgniewana.

Umundurowani policjanci przez cały wieczór kontrolowali młodych mężczyzn z jej okolicy, co miało być częścią „zmasowanej” reakcji policji w Los Angeles na falę morderstw. W chwili, gdy o tym mówiła, przy tej samej ulicy piętnastu młodych mężczyzn stało pod ścianą z rozłożonymi rękami. Kuzynka potrząsnęła kluczami i spytała zjadliwie, czy policjanci zamierzają szukać zabójców, czy tylko dręczyć ofiary.

Kouri i Levant pożegnali się uprzejmie i wyszli. Po drodze minęli ciotkę, która siedziała na schodach i wciąż tuliła do siebie młodszego brata Da'Quawna. Chłopiec podniósł zapłakane oczy na detektywów, a Levant,

kierowany odruchem, położył dłoń na jego głowie. Potem ruszył za Kourim.

Później policja ustaliła, że śmierć Da'Quawna Allena była częścią większego cyklu zbrodni i zemsty. Gdy w końcu po tygodniu sytuacja wróciła do normy, okazało się, że ten paroksyzm przemocy napędzanej chęcią odwetu kosztował życie trzech dorosłych mężczyzn i dwóch nastolatków, a trzy inne osoby zostały ranne. Walczyły ze sobą dwa gangi: grupa z Main Street, terenu podległego komisariatowi Southeast, oraz 8-Trey Hoover Criminals z terenu komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej.

W tym samym tygodniu na terenie South Bureau doszło do kilku innych, niepowiązanych z tą sprawą morderstw oraz do dwóch strzelanin, w których brali udział policjanci. Detektywi z wydziału zabójstw mieli tyle pracy, że jedną ze spraw przydzielono dwóm stażystom z zaledwie kilkumiesięcznym doświadczeniem.

Cały cykl rozpoczął się od przyjęcia, które urządzono w sobotni wieczór w domu w Eastside. Bawili się tam razem gangsterzy z Main Street i Hoovers. W pewnym momencie wśród kobiet wybuchła awantura. Kilka godzin później spór ogarnął także ulice. Pasażerowie przejeżdżającego samochodu „poprztykali się” z przechodniami. Samochód odjechał, a potem wrócił. Rozległy się strzały. Kobieta na chodniku została trafiona w nogę. Była z Main Street. Lawina ruszyła.

W niedzielę rano gangsterzy z Main Street przypuścili atak na terenie Hoovers. Strzelali do pary siedzącej w samochodzie na skrzyżowaniu Osiemdziesiątej Dziewiątej i Broadwayu. Chybili. Uderzyli ponownie, tym razem trafiając i zabijając Da'Quawna, który nosił pomarańczową bandanę – symbol Hoovers.

Tego wieczora grupa Hoovers dokonała odwetu, zabijając dwudziestojednoletniego Christophera Lattiera, który akurat przechodził przez skrzyżowanie Osiemdziesiątej Czwartej z Main Street. Lattier pracował w szkolnictwie, nigdy nie był karany i nie miał nic wspólnego z gangsterami. Stanowił dogodny cel, bo był młodym czarnym mężczyzną.



Wkrótce potem podejrzani z gangu Hoovers wrzucili koktajl Mołotowa do wnętrza domu w ich dzielnicy. Dzięki specjalnemu „zezwoleniu” od Hoovers mieszkał tam starszy członek gangu z Main Street. „Zezwolenie” właśnie utraciło ważność.

Nathan Kouri pracował niemal bez wytchnienia przez niedzielą noc i poniedziałek. Miał dobre tropy, po części dzięki „przyjaciołom”, którzy dostarczali informacje Johnowi Skaggsowi. Potem Kouriemu dopisało szczęście. Kiedy jeździł ciemnymi alejkami, w których czaili się bezdomni ze szpikulcami do lodu, dostrzegł wynajętego pontiaca prowadzonego przez mężczyznę „na zasiłku inwalidzkim”, ofiarę jednej z poprzednich strzelanin. Jak zeznał ów mężczyzna, pracownik urzędu zatrudnienia powiedział mu, że zasiłek inwalidzki to „najlepsze rozwiązanie”. Okazało się, że do Da’Quawna strzelano prawdopodobnie właśnie z samochodu, który prowadził, choć sam kierowca nie był podejrzanym. Auto przechodziło z rąk do rąk.

Podczas tej rozmowy Kouri odebrał telefon. Policjant z komisariatu poinformował go, że pracownicy okręgowego wydziału do spraw rodziny i dzieci jadą do domu babci Da’Quawna, by przekazać pozostałe dzieciaki rodzinom zastępczym. Co prawda, nie było żadnych sygnałów, że dzieci są zaniebawiane czy bite, ale chodziło o kwestie związane ze śmiercią Da’Quawna.

– Wydział do spraw rodziny i dzieci – mruknął Kouri, odkładając słuchawkę. – Niech to szlag...

Oczami wyobraźni zobaczył, jak pracownicy opieki społecznej wyrywają szlochającego brata Da’Quawna z rąk jego ciotki. Zawrócił i zatrzymał w ciemnej ulicy pracownika opieki, udręczonego mężczyznę w koszulce polo i płóciennych butach. Detektyw przystanął na chodniku, przez chwilę wpatrywał się w niebo, po czym powiedział:

– Wiem, że tylko wykonujesz swoją pracę...

Mężczyzna myślał, że wie, co Kouri chce powiedzieć.

– Rozumiem, że nie masz ochoty być w to zaangażowany...

Lecz Kouri pokręcił głową i go poprawił:

– To nieprawda. Jesteśmy w to zaangażowani.

Wydawało mu się to całkiem oczywiste. Zaangażowanie było trzonem jego pracy. To właśnie ono czyniło pracę w wydziale zabójstw wyjątkową – głębokie zaangażowanie w ludzkie sprawy, ich problemy, kłótnie i smutki.

Na komendzie, gdzie przestępczość przyjmowała postać map, liczb i abstrakcyjnych pojęć – gdzie „zarządzano kropkami”, jak ujął to pewien detektyw – egzekwowanie prawa postrzegano w kategoriach całych grup społecznych, które stanowiły dla tego prawa zagrożenie albo szukały w nim ochrony. Jednak tutaj, w okolicach Osiemdziesiątej Dziewiątej i Broadwayu, gdzie pracował Nathan Kouri, zbrodnia dotyczyła konkretnych jednostek – rzeczywistych ludzi, którzy teraz stanowili jego rodzinę. Kouri nie był czymś w rodzaju policyjnego sterowca – narzędziem prawa – który unosił się na takiej wysokości, że ludzie na dole zlewali się w jedną zbitą masę, skrywającą zarówno ofiary, jak i sprawców, oznaczoną na planie miasta jako „obszar niebezpieczny”. Kouri nauczył się poruszać wśród mieszkańców „rozpaczliwie bezradnej społeczności”, zaglądać im w twarze, oceniać ich intencje i stawać po odpowiedniej stronie. Traktował tragedie innych jak własne. Jego zadaniem było zakotwiczenie prawa w cierpieniu prawdziwych istot ludzkich, sprowadzenie go z niedosiężnej wysokości prosto do mieszkań Watts.

W odróżnieniu od wielu innych policjantów Nathan Kouri nie miał problemów z określeniem sensu swojej pracy. Doskonale wiedział, o co i dla kogo walczy. Jego powołaniem było stawanie po jednej ze stron, zawsze po tej samej, bez zastrzeżeń. „Po stronie ofiary – napisał kiedyś Camus. – W każdej sytuacji po stronie ofiary”. Teraz rodzinie jednej z ofiar groziła prawdziwa katastrofa. Kouri był w to zaangażowany. Bardzo głęboko.

Gdy opiekun społeczny zaczął do niego mówić, Kouri wykrzywił twarz i stukał czubkiem buta w chodnik. Obok z rykiem przejeżdżały samochody.

W końcu detektyw przerwał swojemu rozmówcy. Powiedział, że rozbięcie rodziny może zaszkodzić śledztwu.

– Co jest tutaj ważniejsze? Przeniesienie dwóch dzieciaków do innego domu czy znalezienie mordercy?

Opiekun społeczny, młody czarnoskóry mężczyzna, spojrzał w zmęczone oczy Kouriego.

– Znalezienie mordercy – odpowiedział.

Wydział do spraw dzieci i rodziny zrezygnował ze swoich planów. Kouri wrócił do pracy.

Następnego ranka twarz Da'Quawna pojawiła się na ekranie telewizora za biurkiem Kouriego. Media zainteresowały się tą sprawą ze względu na śmierć ofiary. „Policja twierdzi, że zamordowany był znanym członkiem gangu”. W taki właśnie sposób przedstawiali sprawę wysocy rangą przedstawiciele policji. Jeden z kapitanów posunął się nawet do tego, że nazwał Da'Quawna „zatwardziałym gangsterem”.

La Barbera był zniesmaczony. Da'Quawn ledwie skończył trzynaście lat, nie miał jeszcze ani jednego tatuażu. Zdaniem La Barbera przynależność do gangu była dla takiego dzieciaka czymś w rodzaju „zabawy w policjantów i złodziei”. Pomarańczowa bandana, którą nosił Da'Quawn, od dawna już niemodna i groteskowa, była dla niego niczym pistolet na kapiszony albo kostium kowboja.

Tymczasem Kouri sięgnął po telefon, by poinformować Marulla o postępach w sprawie. Nikogo to nie dziwiło. Choć Marullo nadal pracował w wydziale do walki z gangami, nieustannie dzwonił do swoich dawnych współpracowników, chciał znać szczegóły każdej nowej sprawy. La Barbera spojrzał na Kouriego z cierpką miną. Już dawno przestał myśleć o Marullu jako o Małym Skaggsie.

– Powiedz mu, że jeśli chce się zajmować morderstwami, to niech tu wróci – burknął. – A jeżeli chce się uganiać za gangsterami, to niech tam zostanie. Jeśli chce pracować przy morderstwach, to niech wraca!

Tego tygodnia La Barbera był wyjątkowo zły na umundurowanych policjantów. Zirytowało go ich zachowanie na miejscu zbrodni, był wściekły, że nie porozmawiali z umierającym chłopcem, że przeganiali jego krewnych, a potem nie podnieśli kartki z numerem telefonu świadka. Obiecano mu przeszukania, których potem nikt nie przeprowadził. Funkcjonariusze z wydziałów do walki z gangami i narkotykowego robili ważne miny i nachodzili mieszkańców Southeast, realizując politykę

nazywaną przez La Barberę przewencyjnym dręczeniem. Ale nie mieli żadnych nowych tropów.

– Nie cierpię gliniarzy – wkurzał się La Barbera. – Kurwa, ja ich *nienawidzę*.

W niedzielę po południu, gdy minęło już sporo czasu od śmierci Da'Quawna i Christophera Lattiera, dowództwo LAPD postanowiło przygotować zmasowany „nalot” na dzielnicę. Lecz wyznaczone do tego jednostki akurat miały wolne. Dlatego dopiero po dwóch dniach zabrano się do zmasowanego patrolowania ulic.

Do tego czasu zmarł jeszcze jeden czarny mężczyzna, a dwie osoby zostały ranne.

We wtorek rano na terytorium gangu z Main Street, w pobliżu skrzyżowania Osiemdziesiątej Drugiej i Main, w samochodzie siedział czterdziestodziewięcioletni Thaddeus Risher. Podejrzani z gangu Hoovers oddali do niego kilka strzałów i go zabili. Niemal w tym samym czasie dwie przecznice dalej rozbito szklane znicze ustawione w miejscu śmierci Christophera Lattiera. Risher był recydywistą i „zwykłym kanciarzem”, jak nazwała go córka, która bardzo go kochała. On także nie miał nic wspólnego z wojną gangów. Po prostu niepotrzebnie zapuścił się na teren Main Street. Tej samej nocy wandy z Main Street odpowiedzieli rozbiciem zniczy w miejscu śmierci Da'Quawna.

Kiedy dokonywano kolejnych ataków, doszło do spotkania przywódców obu gangów, którzy chcieli położyć kres tej wendecie. Uważali zabicie trzynastolatka za grubą przesadę i wiedzieli, że ta sprawa skłoni policję do podjęcia radykalnych działań. Spotkanie nie przyniosło konkretnych skutków. Młodszy gangsterzy albo o nim nie wiedzieli, albo ich to nie obchodziło. Walczyli dalej.

We wtorkowe popołudnie akcja LAPD wreszcie ruszyła pełną parą. Radiowozy przejeżdżały co kilka minut ulicami w obrębie dwunastu przecznic, gdzie toczyła się wojna gangów.

Funkcjonariusze strzegli przydrożnej kapliczki poświęconej pamięci Da'Quawna, zatrzymując w pewnym momencie czterech dwudziestokilkuletnich żałobników. Postawili ich pod ścianą, obok

balonów, świec i białych pluszowych misiów. Gdy w końcu zdjęto im kajdanki, zaczęli się kłócić z policjantami. Jeden z funkcjonariuszy traktował ich nieuprzejmie i lekceważąco. Drugi tłumaczył jednak cierpliwie, że młodzi mężczyźni powinni „być ostrożni”.

– Ostatnio często tu strzelają.

Wydawało się, że zatrzymani słyszą tylko tego pogardliwego funkcjonariusza.

W tłumie obserwującym to wydarzenie narastała złość. Dlaczego policjanci nie szukają zabójców?

– Ginę dzieci, a wy co robicie? Tylko się czepiacie ludzi! – powiedziała kobieta z tłumu.

– Całkiem im się pomieszały priorytety – dodał stojący obok mężczyzna.

– Powinniście ich szukać! – zawołała za odchodzącymi policjantami inna kobieta.

Młody mężczyzna stwierdził, że to mało prawdopodobne. Policja nie będzie się zajmowała rozwiązaniem tej sprawy.

– Nie przejmują się zbyt członkami gangów – powiedział. – To trochę tak, jakbyśmy byli obywatelami drugiej kategorii.

Późnym wieczorem, gdy na miejscu zbrodni zostało już tylko kilku żałobników, obok zatrzymał się samochód. Wskoczył z niego młody człowiek w ciemnym ubraniu, uzbrojony w AK-47. Otworzył ogień, siejąc pociskami na wszystkie strony. Drasnęły jednego z mężczyzn i trafiły młodą kobietę w nogę. Do wtorku wieczór z innych części miasta sprowadzono pięćdziesięciu–siedemdziesięciu pięciu dodatkowych funkcjonariuszy, którzy mieli kontrolować obszar dwunastu przecznic, nazywany przez nich pudłem.

Dowódcy LAPD używali słów, którymi nie posługiwali się ich podwładni. Mówili o „wiktyologii”, o „uprzedzeniach”, o „przenoszeniu zasobów” i o reakcji „chirurgicznej”. Zwykle oznaczało to angażowanie dużej liczby policjantów mających zatrzymywać i przeszukiwać ludzi oraz sprawdzać, którzy z nich przebywają na zwolnieniu warunkowym lub mają nadzór kuratorski. Do takich operacji sprowadzano funkcjonariuszy niemal

ze wszystkich formacji, od elitarnych jednostek specjalnych Metro po policjantów z drogówki, którzy wcale nie byli zadowoleni, że odrywa się ich od zwykłych obowiązków.

Dowódcy South Bureau obawiali się konsekwencji takiego zmasowanego ataku i policyjnej przemocy. Nie mieli jednak innych pomysłów i zarówno w tej kwestii, jak i we wszystkich innych musieli się podporządkować władzom cywilnym, spełniać oczekiwania społeczeństwa i kierować się aktualną polityką dowództwa, co obecnie oznaczało działania „prewencyjne” i „tłumienie” przestępczości.

– Nie chcę być postrzegany jako najeźdźca – mówił kapitan Thomas McDonald z Southeast. – Ale w końcu chodzi nam przecież o to, żeby to powstrzymać.

La Barbera, podobnie jak wielu innych detektywów z południowych wydziałów zabójstw, był sceptycznie nastawiony do takich operacji. W październiku 2003 roku sześciolatek D’Angelo Beck zginął od kuli przeznaczonej dla kogoś innego, w pobliżu Avalon i Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy, kilka sekund po tym, jak przejechał tamtędy radiowóz. Skaggs, który śledził rozwój wydarzeń z Olympic, zgadzał się ze swoim byłym zwierzchnikiem.

– Jeśli nie widzą w pobliżu radiowozu, i tak to robią.

La Barberę najbardziej jednak martwiło to, że w nalotach nie brali udziału detektywi. Na każdym rogu stał młody umundurowany policjant. Niemniej pracownicy wydziału zabójstw byli wyczerpani, wykorzystali też w pełni przydział godzin nadliczbowych. Nathan Kouri od kilku dni nie miał samochodu: wydział stracił wywalczone wcześniej radiowozy „z odzysku”, więc Kouri i Levant korzystali z uprzejmości swoich kolegów z pracy.

Gdyby jednak dzięki tym operacjom udało się zdobyć jakieś tropy, La Barbera mógłby na tym skorzystać. Dowództwo obiecywało, że przyśle „siły ekspedycyjne”. Zawsze istniała szansa, że podczas przeszukania policjanci natrafią na jakąś broń lub informacje.

– Rozmawiajcie z ludźmi! – mówił La Barbera. – Wykorzystajcie prawo, żeby wejść im do samochodu, a potem rozmawiajcie. Ciągłe powtarzam to

gliniarzom: Bądźcie jak sprzedawcy. Nie potrzebujemy tu akcji w stylu gestapo.

Kilkudniowy nalot nie przyniósł jednak detektywom z wydziału zabójstw żadnych konkretnych korzyści. Pomimo licznych aresztowań i pozwów nie namierzono ani jednego świadka. Nie znaleziono żadnej broni. Nie zdobyto żadnych informacji. Zawsze można było się spodziewać tego rozziwu między tak zwanym działaniem proaktywnym a pracą detektywów.

Pod koniec następnego tygodnia La Barbera dostał w końcu raport o aresztowaniach dokonanych przez specjalny oddział antynarkotkowy, który również brał udział w nalocie. Przejrzał go szybko, był zszokowany.

Zespół miał wspomóc śledztwo. Tymczasem policjanci poszli na parking, gdzie przebywało wielu narkomanów, i aresztowali grupę chorowitych nałogowców w średnim wieku, w tym kilka kobiet, zatrzymali też parę innych osób za posiadanie niewielkich ilości narkotyków, głównie kokainy o wartości dwudziestu, może trzydziestu dolarów. La Barbera dobrze znał to miejsce: niedawno zwerbował tam świadka w sprawie morderstwa, bezdomnego, który wybuchł płaczem, gdy próbowali go przesłuchać. Okazało się, że jego córka również została kiedyś zamordowana.

Narkomani nie mieli nic wspólnego z morderstwami wśród młodzieży, nie przebywali nawet na terytorium któregośkolwiek ze zwaśnionych gangów.

– To chyba jakiś żart – mruczał La Barbera pod nosem, czytając raport. – Pierdolony parking!

Ze względu na nalot wprowadzono specjalne obostrzenia, a detektywi byli zmuszeni włożyć swoje niebieskie mundury. Zbuntował się nawet łagodny z natury Rick Gordon. Krzyczał, że dokoła mordują się ludzie, a „departament każe detektywom wciskać się w mundury”.

Detektywi nie lubili nosić uniformów, bo wtedy tym bardziej nikt nie chciał z nimi rozmawiać. Mundury potęgowały tylko wrażenie, że dzielnica jest obleżona, ale w niczym nie poprawiały sytuacji. Przypadek Ricka Gordona, jednego z najsukuteczniejszych śledczych w mieście, który musiał

odgrywać rolę niebieskiego stracha na wróble, w sytuacji gdy najbardziej liczyły się jego umiejętności, ukazywał w mikroskali, jak od dawna funkcjonuje policja w Stanach Zjednoczonych: pochłonięta kontrolowaniem i prewencją, ogarnięta obsesją na punkcie drobnych przestępstw i pobłażliwa wobec morderców czarnych.

W następny wtorek, pomimo zmasowanych działań policji, znów zginęło dwóch czarnych mężczyzn – podwójne morderstwo było powiązane z zemstą gangów. Zabito dwudziestodwuletniego Drayvona Jamesa, członka gangu, który próbował uciec od tego życia, ale wrócił, by odwiedzić rodzinę, oraz jego kuzyna, szesnastoletniego ucznia Roberta Lee Nelsona juniora, niemającego żadnych powiązań ze światem przestępczym.

Dla La Barbery był to sygnał, że nalot nie przyniósł oczekiwanych skutków. Jego zwierzchnicy utrzymywali, że bez tych działań sytuacja wyglądałaby jeszcze gorzej. Na spotkaniu poświęconym „kontroli przestępczości”, zwołanym po podwójnym zabójstwie, dowódcy rozmawiali o nieoznaczonych radiowozach i o statystyce kradzieży tożsamości.

Szef South Bureau Kirk Albanese chwalił operację:

– Rozwiązaliśmy kilka problemów, które mogły jeszcze narosnąć.

Kiedy jeden z kierowników opowiedział o sukcesie swojego wydziału, któremu udało się skutecznie zakończyć zaległe śledztwa, dzięki czemu detektywi mogli się poświęcić nowym sprawom, Albanese przerwał mu, wracając do swojej starej śpiewki:

– Więc pańscy detektywi działają szybciej niż dotychczas. Ale to nie zmniejsza przestępczości!

Policja w Los Angeles zorganizowała konferencję prasową dotyczącą serii zabójstw w strefie getta. Polecono Nathanowi Kouriemu, by zabrał głos, bo jego śledztwo było najbardziej zaawansowane. Pozostałe utknęły w martwym punkcie. Przykazano mu również, by mówił jak najkrócej.

Kouri był nieszczęśliwy. Czekając na rozpoczęcie konferencji prasowej, siedział w rogu świetlicy komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej i wpatrywał się tępo w podłogę poprzecinaną pasmami słonecznego światła,



które wpadały przez okna, częściowo przesłonięte wertikalami. Nawet nie zwrócił uwagi na komunikat prasowy, który ktoś wcisnął mu w dłoń.

Gdy w końcu włączono kamery, Kouri znalazł sobie kryjówkę za wysokim i postawnym mężczyzną, którym okazał się Albanese. Mówił o „bezsensownej przemocy” i stwierdził, że kiedy podejrzany trafia do więzienia, „nikt nie wygrywa”.

– Musimy znaleźć inny sposób.

Gdy nadeszła kolej Kouriego, Kyle Jackson musiał go wypchnąć do przodu.

Kouri bladł i czerwienił się na przemian, zrobił przerażoną minę i milczał jak zakłęty. Jego twarz pokryła się potem. W końcu, zachęcony przez dziennikarza, przemówił ledwie słyszalnym głosem. Wszystkim innym przypisał zasługi za rzeczy, które zrobił niemal całkiem sam w ciągu bezsennych nocy i dni, gdy żywił się jedynie batonami.

– Korzystaliśmy z licznych metod i zasobów dostępnych w departamencie – recytował, wpatrując się w ścianę. – Obserwacja. Oddziały specjalne ATF. Różne jednostki mundurowe.

La Barbera nie wierzył własnym uszom. Niedawno Kouri zrezygnował z wakacji, by jakoś nadrobić ograniczenia dotyczące nadgodzin. La Barbera nie mógł pogodzić się z myślą, że to nikt inny jak Kouri – prawdopodobnie najbardziej zapracowany policjant w South Bureau – chwaliła bezużyteczne i głównie teoretyczne działania „sił ekspedycyjnych” za to, czego dokonał właściwie sam. Kouri jednak cieszył się tylko, że ma to już za sobą. Piętnaście minut później dziennikarze spakowali sprzęt, a detektyw odetchnął z ulgą i przestał oblewać się potem.

Podczas konferencji prasowej odkrył, że jeden z dziennikarzy, Leo Stallworth, wychował się w Nickerson Gardens. Kiedy pozostali uczestnicy spotkania już wyszli, Kouri usiadł ze Stallworthem, zrelaksowany, z dłońmi złożonymi na głowie, i wypytywał go o dorastanie w Nickersons.

– Codziennie się biłem! Pamiętam to. Cały czas żyłem w strachu! – opowiadał dziennikarz. Działo się to na początku lat siedemdziesiątych, gdy gangi były bardzo silne. – Albo należałeś do któregoś z nich, albo ginąłeś.

Kouri był zachwycony – uwielbiał otrzymywać informacje z dobrego źródła.

– Jak się stamtąd wyrwałeś? – spytał.

– Futbol, stary! – odpowiedział Stallworth.

Pięć osób, które tamtego sierpnia zginęły w wyniku gangsterskich porachunków, prezentowało w pewnym sensie przekrój społeczny ogółu pokrzywdzonych. Ich historie obnażały też fałszywość pojęcia „niewinne ofiary” w takiej postaci, w jakiej funkcjonowało ono w społeczeństwie. Trzynastoletni chłopiec bez tatuaży. Dwudziestojednoletni pracownik, uczciwy i spokojny. Czterdziestodwuletni lowelas z kryminalną przeszłością, który utrzymywał się dzięki hojności swoich dziewczyn. Dwudziestodwuletni były gangster, który próbował się wyrwać z tego życia. Jego szesnastoletni kuzyn, pełen planów i nadziei na przyszłość.

„Wszyscy ci niewinni ludzie”, powiedział kiedyś Skaggs. W tym przypadku rzeczywiście wszyscy byli niewinni. Da’Quawn jako jedyny spośród nich prowokował czymś więcej niż kolorem skóry, bo nosił pomarańczową opaskę. Pozostali, podobnie jak Bryant Tennelle, mieli po prostu pecha.

Ból i smutek, jakie po sobie pozostawili, były takie same.

Córka Thaddeusa Rishera otwarcie mówiła o słabościach i nałogach ojca.

– Był zwykłym włóczęgą! – przyznała. Mimo to nie umiała powstrzymać płaczu, rozmawiając o jego śmierci. Wciąż widziała jego bezwładne ciało w samochodzie. Łzy ciekły jej po policzkach. Była zaskoczona intensywnością tego cierpienia. – Czy to się kiedykolwiek skończy? – pytała.

Na pogrzebie Da’Quawna Allena w pierwszym rzędzie siedzieli zapłakani mężczyźni w garniturach z marynarkami dwurzędowymi, w ciemnych okularach i z kolczykami w uszach. Mówiono, że to gangsterzy, którzy zwerbowali Da’Quawna. Jeden z nich wstał i przemówił:

– Nie może być tak, żeby tacy jak on brali przykład z nas. Musimy dać tym dzieciakom szansę na przeżycie.

Po nabożeństwie do otwartej trumny Da'Quawna podchodziły nastolatki – całowały jego ciało, kręciły głowami, wkładały z powrotem czapki, kryjąc oczy wypełnione wściekłością, i przechodziły dalej.

Na podwójnym pogrzebie Roberta Nelsona i Drayvona Jamesa jeden z krewnych trzymał na rękach małego synka Jamesa, by jego matka widziała zmarłego. Kobieta płakała nad otwartą trumną. Malec patrzył znad jej ramienia na swego zamordowanego ojca szeroko otwartymi, zdeorientowanymi oczami. W końcu go zabrano. Dzieciak odwracał się jednak nieustannie, jakby nie mógł oderwać spojrzenia od taty.

Podczas pogrzebu Christophera Lattiera głos zabrał młody czarnoskóry mężczyzna.

– To mnie boli i przeraża – mówił szybko, wpatrując się w przestrzeń. – Boję się, że zginę.

Na zewnątrz płonęły ogniska, kaplica wypełniła się zapachem dymu. Na mównicę wszedł inny młody człowiek.

– Staram się przeżyć – zaczął. – Przynajmniej do dwudziestych pierwszych urodzin. To już sporo.

Młody pastor poderwał się ze swego miejsca i przywołał obu chłopców do siebie. Położył im dłonie na ramionach.

– Chcemy, żebyście żyli dłużej niż dwadzieścia jeden lat, rozumiecie? – pytał głosem ciężkim od emocji. – W naszej społeczności można przeżyć całe życie!

Potem poprosił, by wstali wszyscy młodzi ludzie obecni na pogrzebie. Pozostałym żałobnikom polecił, by położyli na nich dłonie.

– Chrońcie ich przed złem, które czai się w naszej społeczności! – zawołał.

– Amen! Amen! – odkrzyknął tłum.

Młodzi mężczyźni, za których się modlono, płakali jak dzieci.

Hordy policjantów patrolowały „pudło” mniej więcej przez tydzień. W końcu funkcjonariusze Metra wpadli na imprezę Hoovers, aresztowali kilka osób i zatrzymali kilka sztuk broni. Sal La Barbera uważał, że był to jedyny udany element nalotu. Również ta akcja nie dostarczyła jednak żadnych nowych tropów w sprawie morderstw.

Do jesieni jego podwładni przekroczyli limit nadgodzin, wysyłał więc detektywów do domu na nieplanowane urlopy. La Barbera widział przyszłość w czarnych barwach. Jego oddział był niedoświadczony. Wciąż brakowało środków. Minęły dwa lata, odkąd przeprowadzili się do tego biura, a telefony wciąż nie działały. Narastały też jego problemy osobiste. Wiele spraw pozostało nierozwiązanych.

Podejrzany w śledztwie prowadzonym przez Marulla, dotyczącym zabójstwa Henry’ego Hendersona przed domem Barbary Pritchett, był sądzony trzykrotnie, lecz ostatecznie nie został skazany. Wrócił do dzielnicy Pritchett, która słyszała plotki, że brał już udział w kolejnych strzelaninach.

Pritchett miała jednak własne zmartwienia. Kilku mężczyzn z okolicy „skroilo” jej trzynastoletniego brata Carlosa. Mężczyźni należeli do tego samego gangu co podejrzani o zabójstwo La’Mere’a Cooka – ta sprawa również nie została jeszcze rozwiązana. Po tym incydencie starszy brat Dovona odszukał napastników i powiedział im, żeby zostawili Carlosa w spokoju. Kiedy Pritchett dowiedziała się o tym później, struchlała z przerażenia. A gdyby jej drugi syn również został zamordowany? Chyba popadłaby w obłęd. Może nawet próbowałaby się mścić.

Tej jesieni, po wielu miesiącach ciężkiej pracy, za nierozstrzygnięty uznano również proces w sprawie podwójnego morderstwa przy Laconia. Dla wszystkich było to kompletne zaskoczenie. Po niezliczonych przeprowadzkach i zabiegach Kouri i Eiman zdołali w końcu zmusić lub przekonać do zeznawania wszystkich wystraszonych świadków w tej sprawie – niektórych musieli nawet wnieść do sali rozpraw. Jeden z nastolatków podczas składania zeznań całkowicie ukrył twarz pod kapturem bluzy. Kobieta handlująca marihuaną zachowywała się jednak z imponującą godnością – choć trzęsła się tak bardzo, że krawędź jej koszulki odbijała się jej od piersi.

Ostatecznie to *przysięgli* oświadczyli, że nie mogą kontynuować procesu. Czworo z nich powiedziało, że oskarżeni próbowali ich zastraszyć zarówno na sali sądowej, jak i na korytarzu poza nią. Piąty napisał, że

spotkał krewnego oskarżonego w miejscowym sklepie i również poczuł się zagrożony.

Tom Eiman, partner Kouriego, wciąż stosunkowo mało doświadczony pracownik wydziału zabójstw, po raz pierwszy poczuł się źle w roli policjanta. Chciał zapewnić bezpieczeństwo dilerce marihuany. Należała do osób, które zapewne aresztowałyby w swojej byłej pracy, w wydziale do walki z narkotykami. Teraz jednak uważał ją za człowieka odważnego i wiernego zasadom.

Dilerka i pozostali świadkowie musieli zeznawać ponownie.

– Wymagamy od nich zbyt wiele – oburzał się Eiman. – Jak można dopuścić do unieważnienia procesu w takiej sprawie? Jak można zostawiać przysięgłych samych na korytarzu?

Zdaniem La Barbera sytuacja wyglądała niewiele lepiej niż w czasach, gdy zaczynał pracę w Southeast. Miał wrażenie, że cały wydział się rozsypuje: Skaggs nudził się w Olympic, Marullo nudził się w swoim mundurze, a trudna rzeczywistość pokrzyżowała jego wielki plan. Powoli zbliżał się do emerytury, ale nie miał żadnego dziedzictwa, które mógłby po sobie pozostawić.

Pocieszał się tylko jednym. Wkrótce po morderstwie Da'Quawna Allena La Barbera zwrócił uwagę na Kouriego, który siedział przy swoim biurku, pochylony nad dokumentacją sprawy. La Barbera już od jakiegoś czasu nawet nie próbował się komunikować z Kourim, zamkniętym w sobie partnerem Marulla. Jednak tym razem Kouri podniósł nań wzrok i odgadł jego myśli.

– Mam to – powiedział.

## Otwarcie

Proces w sprawie zabójstwa Bryanta Tannellego zaczął się w zimny, słoneczny dzień.

Wystrój Departamentu 105 w Centrum Sądownictwa Karnego imienia Clary Shortridge Foltz odzwierciedlał aktualny stan gospodarki sektora publicznego. Światłówki zamocowane tuż pod sufitem wypełniały salę sądową przyćmionym beżowym blaskiem i odbijały się w metalowej obudowie mikrofonu sędziego. Śliskie niebieskie nakładki na ławy były za krótkie, by pokryć całą ich powierzchnię. Na ścianie za ławą przysięgłych widniały ciemnawe tłuste plamy pozostawione przez głowy zmęczonych sędziów. Na miejscu dla świadków czekało już pudełko chusteczek higienicznych.

Na sali nie było nikogo prócz prawników i policjantów. Prawnicy wyglądali na zdenerwowanych – bez względu na to, ile lat pracowali w swoim zawodzie, nigdy nie mogli się pozbyć tremy. Stirling kręcił się bez przerwy po całej sali i potykał o różne przedmioty. Marynarka wisiała na nim krzywo, miał rozczochrane włosy. Colello chodził przez chwilę w tę i we w tę, potem usiadł, zgięty wpół. Miał czerwone, załzawione oczy, bladą skórę pokrywały plamy. Przyszedł do sądu z grypą, a choroba połączona ze zdenerwowaniem zamieniła go w chodzące nieszczęście.

Obrońcy Zeke Perlo i Seymour Applebaum lepiej radzili sobie z emocjami. Perlo, który po tej sprawie miał się wycofać z pracy procesowej i zakończyć swoją czterdziestosześcioletnią karierę, włożył tego dnia stylowy prążkowany garnitur. Applebaum – który nie mógł przejść obojętnie obok takiego nietaktu – odchylił klapę, pokazując metkę Armaniego.

– Był przeceniony! – bronił się słabo Perlo.

Lecz nawet zazwyczaj tryskający humorem adwokaci byli tego dnia nieco przygaszeni. Applebaum zacisnął krawat trochę mocniej, niż było to konieczne. Perlo wiercił się niespokojnie. Tylko Skaggs wydawał się nieporuszony. Ubrany w elegancki szary garnitur, obserwował dziwaczne zachowanie Stirlinga i kręcił głową. Jego twarz była opalona na czerwono: Kalifornijczykowi o jasnej skórze zdarza się opalić zbyt mocno tylko raz w roku, w pierwszy gorący weekend marca, gdy zapominają się nasmarować kremem z filtrem. Detektyw trzymał na kolanach gruby niebieski segregator z dokumentacją poprzedzianą żółtymi zakładkami.

Skaggs wierzył w Stirlinga, choć ci dwaj mężczyźni byli ulepieni z innej gliny. Pewnego razu opisał prokuratorowi swoją ulubioną scenę z *Ulicy Nadbrzeżnej* Steinbecka, w której Mack i chłopcy, „zdrowi i zadziwiająco czysti”, stoją odwrócenii plecami do parady z okazji 4 lipca. Detektywowi podobał się obraz ludzi tak odpornych na pospolite gusta, że nie dali się skusić temu spektaklowi. Jednak liryzm Steinbecka, tak bliski Skaggsowi, w ogóle nie przemawiał do Stirlinga, który zmarszczył brwi i zadał niezwykle przyziemne pytanie:

– No tak. Więc po co w ogóle tam poszli?

Detektyw ogromnie się zirytował i zakończył rozmowę.

– Nie rozumiesz tego! – rzucił krótko.

Skaggs i Stirling nie nadawali na tych samych falach, lecz szanowali się nawzajem i udanie ze sobą współpracowali.

W końcu z boku sali otworzyły się drzwi. Wszyscy czterej prawnicy zamilkli, spięci i gotowi, jakby czekali na sygnał startera. Wprowadzono Devina Davisa, ubranego w niebieski uniform i skutego kajdankami. Chłopak rozglądał się dokoła, bezskutecznie wypatrując matki. Jego ciało w końcu rozrosło się proporcjonalnie do głowy – teraz wyglądał jak mężczyzna. Nadal jednak miał oczy dziecka. Potem wszedł Derrick Starks, okryty pomarańczowym dressem, który ciasno opinał jego potężne bary.

Sędzia Bob S. Bowers był wysokim szczupłym mężczyzną o twarzy przeciętej głębokimi bruzdami, które ciągnęły się po obu stronach jego ust. Wydawał się srogi i posępny, choć czasami pozwalał sobie na przebłycki humor. Wszyscy wstali. Rozpoczęło się posiedzenie sądu.

Kilka kwestii należało rozstrzygnąć pod nieobecność ławy przysięgłych. Zeznania dwóch świadków, którzy zniknęli bez śladu – mężczyzny na wózku i młodzieńca na zwolnieniu warunkowym raczącego Skaggsa słowami: „Wszyscy wiedzą” – miały zostać odczytane z dokumentów. Najpierw jednak prokuratorzy musieli dowieść, że zrobili wszystko, co możliwe, by ich odnaleźć. Zbiegli świadkowie należeli do kultury sądów okręgowych Los Angeles w takim samym stopniu jak taśma klejąca i niedobre meble.

Corey Farell zajął miejsce na podium, by omówić zniknięcie mężczyzny na wózku. Przepytywał go Colello. Stirling siedział u jego boku, tak bardzo przejęty oświadczeniem wstępnym, które miał za chwilę wygłosić, że zakrywał twarz dłońmi i pochylał się mocno do przodu, niemal zgięty wpół. Farell powiedział Colellowi, że detektywi dotarli za świadkiem do innego miasta w Kalifornii, ale tam zgubili trop. Farell sprawdził akty zgonu z tamtego okresu, nic jednak nie wskazywało na to, by mężczyzna został zabity. Może w końcu udało mu się „wyrwać” i zerwać wszelkie powiązania z gangsterską przeszłością, co podobno już dawno chciał zrobić.

Następnie Colello przeszedł do kwestii młodego mężczyzny na zwolnieniu warunkowym. Farell opowiedział o dziewięciu wizytach, które złożył w jego domu, i o długich dyskusjach z ojcem świadka. Uważał, że relacje między tymi dwoma są całkiem dobre. Potem dokonał zaskakującego odkrycia: z ojcem kontaktował się detektyw z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej, Refugio Garza, który również szukał tego młodego człowieka. Wyglądało na to, że chłopak był świadkiem w jeszcze innej sprawie dotyczącej morderstwa.

Była to jedna z wielu podobnych historii zbrodni dokonywanych w strefie getta. Dwa lata przed śmiercią Bryanta Tannellego poszukiwany młodzieniec przeszedł z przyjaciółmi na teren wrogiego gangu w Eastside, by odwiedzić tam dziewczynę. Wstąpili do sklepu z alkoholem i wdali się tam w kłótnię z mężczyzną, który miał powiązania ze Swans, gangiem należącym do Blood. Awantura skończyła się strzelaniną. Ofiara, trzydziestoczteroletni Marquise Burnett, od lat nie był aktywnym członkiem



gangu – pracował na budowach. Poszukiwany młodzieniec na zwolnieniu warunkowym zgodził się zeznawać przeciwko napastnikowi. Jak powiedział Garzie, nawet nie wiedział, że ich przeciwnik ma broń. Kiedy okazało się, że chłopak będzie uczestniczył nie w jednym, lecz w *dwóch* procesach o morderstwo, jego ojciec zmienił front. Świadek uciekł, a im gwałtowniej detektywi domagali się od ojca informacji o miejscu jego pobytu, tym mniej chciał im mówić.

Następnie Stirling z powodzeniem włączył do procesu zdjęcie Bryanta, to z marynarką przewieszoną przez ramię. Z kolei Applebaum poprosił o usunięcie „jednoznacznie seksualnych odniesień” z listów Starksa do Jessiki. Jego prośba została uwzględniona, a Starks zareagował na nią cichym śmiechem i lekkim rumieńcem.

Rozpoczęła się rutynowa dyskusja, która jednak nieustannie odchodziła od głównego tematu, bo Stirling wprowadzał poprawki tam, gdzie nie było takiej potrzeby. Co chwila wstawał z miejsca, poruszał ręką i okraszał swoje uwagi frazą: „Za pozwoleniem”.

Stirling posługiwał się charakterystycznymi gestami. Wyciągał przed siebie ręce i przesuwiał je z boku na bok, jakby umieszczał każdą ze swych uwag w przestrzeni. Uwagi te pozostawały na swym miejscu, aż wszystkie wisiały gdzieś na wysokości jego nosa. Potem je przestawiał, by formułować odpowiednie argumenty. Wyglądało to tak, jakby ustawiał na niewidzialnych półkach niewidzialne pudełka z butami.

Sędzia Bowers słuchał go najpierw z rozbawieniem, a potem ze zniecierpliwieniem. Skrzywił się, wbił w prokuratora groźne spojrzenie i w końcu zbeształ go za wprowadzanie zamieszania i niepotrzebne powtórzenia. Stirling zgodził się z nim całkowicie, powtarzając dokładnie to, co Bowers właśnie powiedział o powtarzaniu. Sędzia zgromił go wzrokiem. Farrell, który siedział z tyłu sali, stłumił śmiech. Poranne posiedzenie dobiegło końca.

Proces zaczął się na dobre dopiero po południu. O 13.25 w korytarzu przed salą tłoczył się tłum. Był tam Rick Gordon wraz z grupką detektywów z RHD w szykownych garniturach. Pojawił się również niespodziewany gość: żona Skaggsa Theresa. Przez cały tydzień Skaggs

zapewniał ją, że ten proces to nic wielkiego. Theresa jednak bez trudu domyśliła się prawdy. Widziała, jak przez cały weekend sprawdzał wszystkie szczegóły sprawy, więc gdy wychodził, pożegnała go czule, po czym sama ładnie się ubrała i pojechała do sądu. Był to pierwszy z jego procesów, na którym się pojawiła. Skaggs wyglądał na bardzo zadowolonego.

Do sądu dotarło również kilkoro członków rodziny Tannellego: matka Wally'ego Dera, wsparta na lasce, oraz jego siostra. Był też sam Wally Tennale, otoczony kręgiem pustej przestrzeni w zatłoczonym holu. Yadira nie chciała mu towarzyszyć. Na jego twarzy malowało się ogromne napięcie, oczy były wypełnione łzami.

Kilka miesięcy wcześniej Tennale zbywał pytania o Bryanta machnięciem ręką, mówiąc, że już zakończył żałobę i żyje całkiem normalnie. Jednak zbliżający się proces pozbawił go wszelkich mechanizmów obronnych. Detektyw od wielu dni prawie nie spał. Teraz stał lekko przygarbiony, wstydząc się swoich łez.

Detektywi z RHD odsunęli się na bok, lecz Skaggs podszedł prosto do Tannellego. Poklepał go po obu ramionach jak dawno niewidzianego kumpla, a potem odwrócił się szybko z pogodną miną, by uścisnąć dłonie stojących w pobliżu znajomych. Skaggs zachowywał się tak, jakby nie zauważył łez Tannellego. Nauczony doświadczeniem, wiedział, jak radzić sobie ze smutkiem bliskich ofiar. Jego serdeczne uściski i pełne dobrej energii zachowanie w widoczny sposób obniżyły napięcie oczekujących na proces.

Gdy otworzono drzwi sali sądowej, jedenastu detektywów z RHD zajęło krzesła biurowe na tyłach pomieszczenia. Tennale starał się zapanować nad emocjami. Posmarował wargi balsamem, a potem wbił wzrok w podłogę, zakrywając usta dłonią.

W procesie uczestniczyły dwie grupy przysięgłych, po jednym dla każdego z oskarżonych. Gdy przysięgli zajmowali miejsca, Skaggs poprawił marynarkę i przyjrzał się ich twarzom. Starks, który siedział przed nim, również przyglądał się uważnie nowo przybyłym.

Perlo założył okulary i przesunął butelkę z wodą mineralną Vitamin Water ustawioną na stole obrony. Colello, który zasiadał przy stole oskarżenia, wykonał podobny ruch, tyle że wodą Arrowhead. Stirling wyglądał tak, jakby układał olbrzymiego pasjansa: miał przed sobą sześć notesów i przez dłuższą chwilę przekładał je z miejsca na miejsce, zakrywając cały blat. Gdy wreszcie skończył, usiadł nieruchomo z dziwną miną, jakby zbierało mu się na mdłości.

Nawet Skaggs wydawał się lekko zdenerwowany. Ściągnął brwi nieco mocniej niż zazwyczaj, a potem zastygł w bezruchu.

Gdy sędzia odczytał przeraźliwie nudne i długie instrukcje dla ławy przysięgłych, Stirling wstał ze swojego miejsca. W sali zapadła pełna wyczekiwania cisza. Stirling bawił się rękawem. Colello uśmiechnął się nerwowo i pociągnął łyk z czerwonego plastikowego kubka. Potem, jak na komendę, obaj prokuratorzy wzięli głęboki oddech, a Stirling przemówił.

Zaczął od uwagi, że przysięgli wydają się rozczarowani, iż zostali wybrani do tego procesu, namawia ich więc, by potraktowali swoją rolę jako wartościowe i pouczające doświadczenie. Potem przeszedł do oświadczenia i nagle dla wszystkich stało się zrozumiałe, dlaczego pracuje w tym zawodzie. Zniknęły wszelkie neurotyczne tiki, gesty i zachowania rodem z filmów o Flipie i Flapie. Jego wystąpienie było uporządkowane i wyczerpujące, jakby czytał spis treści traktatu naukowego. Być może właśnie dlatego tak chętnie śmiał się z samego siebie. Przynajmniej w jednej dziedzinie był naprawdę świetnym fachowcem i dobrze o tym wiedział.

Oznajmił, że przysięgli powinni poznać „historyczne tło” zbrodni.

– Wszyscy na pewno słyszeliście o Crips i Bloods – zaczął. Potem przedstawił przesadnie uproszczony obraz gangsterskiego świata Los Angeles, jakim posługują się media i prokuratorzy. Mówił o gangach tak, jakby to były wrogie państwa, doskonale zorganizowane i dążące do wojny.

Wiele wskazywało na to, że tak zwani Rollin’ Hundreds tworzyli stosunkowo mały, pozbawiony znaczenia i zdezorganizowany gang, złożony głównie z krewnych należących do jednej rodziny. Stirling nazywał go jednak konglomeratem. Odsunąwszy na bok krzesło, sięgnął do rzutnika

i wyświetlił mapę ukazującą zaciemnione na lawendowo terytoria gangów. Wyglądało to jak gra planszowa *Ryzyko* przeniesiona na plan Los Angeles. Mówił, że Rollin' Hundreds i 8-Trey Gangster Crips to „śmiertelni wrogowie, którzy się nawzajem nienawidzą”.

Osobiście John Skaggs uważał, że można by się obejść bez specjalnych praw dotyczących gangów i sądowej gimnastyki, jakiej wymagało stosowanie tychże. Jego zdaniem, gdyby za morderstwa groziły odpowiednie kary, system nie potrzebowałby specjalnej „gangsterskiej” legislacji. Nie był nawet szczególnie zagorzałym zwolennikiem dożywocia. Czterdzieści lat więzienia za zabicie innego człowieka – bez względu na motyw – i po sprawie. Wyrok nie był tak istotny jak samo ujęcie zabójcy.

Stirling pokazywał kolejne przeźrocza niczym nauczyciel, czerwona kropka jego wskaźnika tańczyła po ekranie. Potem przedstawił ofiarę, Bryanta Tannellego.

– Nie należał do ludzi, których interesują gangsterskie wojny – mówił.

Wyświetlił zdjęcie Bryanta z uroczystości wręczenia dyplomów. Łagodny uśmiech. Kręcone włosy. Marynarka przerzucona przez ramię. Tannelle, który do tej pory siedział ze spuszczoną głową, podniósł wzrok i zapatrzył się w ekran. Zauważył to jeden z przysięgłych i przyłożył palec do ust.

Stirling przeszedł do następnego przeźrocza: graffiti, tatuaże – ramię Starksa z wytatuowaną nazwą „Rollin' 100's” i dłońmi ułożonymi w litery „b” i „c” jak Blocc Crip.

Potem Stirling powiedział:

– Piątek, 11 maja.

Za jego plecami rozległ się stukot butów Wally'ego Tannellego o winylową podłogę. Stirling sięgnął po papierową torebkę i wyjął z niej wyblakłą czarną czapkę Houston Astros, lekko zabarwioną na różowo. Powiedział przysięgłym – niezgodnie z prawdą – że Wally Tannelle był pierwszym policjantem, który zjawił się na miejscu zbrodni.

– Przyjechali ratownicy medyczni, a... – Stirling zrobił długą pauzę, upił łyk wody. – A on umarł.

Prokurator nie mówił przysięgłym, który z posepnych, ubranych w garnitury detektywów siedzących na sali jest ojcem ofiary. Jednak część z nich najwyraźniej sama się tego domyśliła. Nieustannie zerkali w stronę Tennellego. Bryant miał taki sam uśmiech jak jego ojciec – właśnie gdy się uśmiechał, szczególnie się do niego upodabniał. Ale detektyw Tennelle nie uśmiechał się na sali sądowej. Bardziej znacząca była zapewne aura głębokiego smutku, która otaczała go niczym obłok.

Stirling mówił i mówił, metodycznie opisując historię przejęcia broni oraz jej identyfikacji. Derrick uważnie go obserwował. Perlo co jakiś czas zgłaszał sprzeciw formalny. Jednak zasadniczo proces toczył się w równym tempie, bez istotnych przerw. Stirling zakończył swoją mowę zwięzłym apelem:

– Wszyscy zachowajcie otwarty umysł.

Gdy oskarżyciel usiadł, ze swojego miejsca wstał Zeke Perlo. Mówił cicho, prosto, improwizował, prawie nie zaglądając do swoich notatek. W odróżnieniu od Stirlinga Perlo zachowywał się tak samo przed ławą przysięgłych jak na ulicy. Używał rozsądnego, poufalego tonu, który miał uświadomić przysięgłym, że nie będzie ich próbował do niczego przekonywać. Nie przemawiał długo. Nie musiał udowadniać bezsprzecznej winy oskarżonego, tak jak Stirling. Wystarczyło jedynie wskazać na słabe punkty oskarżenia. Powiedział przysięgłym, że obrona zgadza się co do wielu faktów, ale spróbuje podważyć wiarygodność mężczyzny na wózku, który twierdził, że policja wywierała na niego nacisk, oraz wiarygodność Jessiki Midkiff. Zauważył, że Midkiff nie zgłosiła się sama na policję i że miała powody, by mścić się na Starksie. Podczas wystąpienia swego prawnika Starks siedział z rękami założonymi na piersiach i patrzył na ławę przysięgłych. W końcu głos zabrał sędzia – dzisiejsze posiedzenie dobiegło końca. Gdy przysięgli wychodzili z gmachu sądu, uderzył w nich silny zimny wiatr.

Drugiego dnia procesu wiatr przycichł, na drogowych pasach zieleni zakwitły pierwsze maczki kalifornijskie. Na sali pojawiła się matka Devina Davisa, ubrana w szary kostium, a także jedna z jego siostr. Davis, który

siedział przy stole obrony, tym razem w lekko pomiętej białej koszuli z krawatem, uśmiechnął się do nich.

Teraz przemowy wstępnej mieli wysłuchać członkowie drugiej ławy przysięgłych. Te ciągłe wymiany przysięgłych niezwykle utrudniały życie urzędnikowi sądowemu Dontae Hardy'emu. Przy niektórych zeznaniach były obecne oba składy, innych wysłuchiwały oddzielnie. Kiedy w posiedzeniu uczestniczyły obie grupy, część ław przeznaczonych dla publiczności odgradzano żółtą policyjną taśmą, by pomieścić wszystkich przysięgłych. Wtedy na sali panował wyjątkowy tłok. Pewnego dnia Wally Tennelle siedział ramie w ramie z matką Starksa Olithą.

Stirling potraktował przysięgłych rozpatrujących sprawę Davisa tak samo jak przysięgłych Starksa poprzedniego dnia.

Tym razem nieco dłużej pokazywał zdjęcie Bryanta – delikatnie zarysowane usta, marynarkę przerzuconą przez ramie. Wally Tennelle z trudem oderwał wzrok od fotografii, a potem zerkał na nią raz po raz.

Arielle Walker, jeszcze ładniejsza i zwiewniejsza niż zwykle, stanęła na miejscu dla świadków, wprawiając w kołysanie długie blond treski i duże kolczyki w uszach. Oświadczyła, że spotykała się z Bryantem przez cztery i pół miesiąca. Ta absurdałna skrupulatność dotycząca długości ich związku przypomniła wszystkim obecnym na sali, że mają do czynienia z grupą nastolatków.

Arielle wydeła usta i rozplakała się, gdy Stirling pokazał jej zdjęcie Bryanta, potem płakała już do końca swego wystąpienia. Chlipała, popiskiwała i zamasyście wycierała twarz, pobłyskując przy tym długimi pomarańczowymi paznokciami.

Zeznanie Arielle sprawiało wrażenie przedstawienia, które – choć podszyte prawdziwym smutkiem – było tak bardzo nasycone młodzieńczym zapatrzeniem w siebie, że w gruncie rzeczy wydawało się całkiem wyzute z emocji. Przysięgli przyjęli je z obojętnością.

Następnie na miejscu dla świadków stanął przyjaciel Bryanta Walter Lee Bridges. Patrzył swymi poważnymi ciemnymi oczami prosto na Stirlinga, zwrócony ku przysięgłym tak, że wszyscy dokładnie widzieli tatuaż na jego

karku. Stirling poprosił go, by zszedł z podium i pokazał, gdzie stał, gdy padły strzały. Walter, który zachowywał się z powagą daleko wykraczającą poza jego osiemnaście lat, odpiął mikrofon i podniósł go do ust, by odpowiadać na pytania Stirlinga.

Tymczasem prokurator wpadł już w swój rytm. Nieustannie poruszał się w poziomie i – co zaskakujące – w pionie. Pytał i wskazywał, podnosił się i opadał, poprawiał marynarkę. Jego ruchy były już częścią sądowej atmosfery. Kilka razy nawet przyklęknął. Ponieważ jednak wydawało się to naturalnym dopełnieniem wszystkich jego tików, nikt nawet nie mrugnął okiem.

Zeznanie Waltera dotyczące strzelaniny było trzecim tego dnia opisem śmierci Bryanta przedstawionym w sądzie. Wally Tennelle nerwowo zaciskał dłonie.

Następnie głosu udzielono Joshowi, który szczegółowo opisał obrażenia Bryanta. Podczas jego wystąpienia Wally Tennelle zakrył usta. Josh był czwartym z nastolatków obecnym na miejscu zbrodni, który zeznawał tego dnia. Wszyscy mówili tak, jakby nadal widzieli tę scenę, unoszącą się gdzieś poza ich polem widzenia – obraz Bryanta z zakrwawioną głową, umierającego na ich oczach. Groza widoczna na ich twarzach dodawała ich zeznaniom druzgocącej wiarygodności. Gdy Josh wychodził z sali, Skaggs położył mu dłoń na ramieniu w geście pochwały.

Przed trzecim dniem procesu Skaggs pojechał na miejsce morderstwa, które popełniono w środku nocy. Znalaziono samochód. Nagle pojawiły się liczne tropy. Podejrzany był synem sędziego z sądu okręgowego.

Skaggs nie wydawał się jednak zmęczony, gdy wszedł do sądu w swoim eleganckim szarym garniturze. Usiadł tam, gdzie zwykle, w pierwszym rzędzie za Starksem i Davisem. Żuł gumę i przeglądał swoje oprawne w skórę notatniki, czytał zapiski sporządzone czarnym tuszem. Podobnie jak obrońcy Skaggs wolał się posługiwać piórem i papierem niż komputerem. Notatki przecinały kartki idealnie równoległymi liniami, choć był to gładki, nieliniowany papier.

Starks miał na sobie jeden z dwóch pulowerów, które nosił na zmianę każdego dnia procesu. Davis, w koszuli i krawacie, kręcił się nerwowo,

zakrywając usta pięścią, jakby nagle uderzyła go realność postępowania sądowego.

Pojawił się Tennelle, uśmiechnięty i zrelaksowany. Poprzedniego dnia z San Diego przyleciał jego brat i cała rodzina wybrała się na kolację do supermodnej restauracji Palm w centrum miasta. Tennelle prawie nic tam nie zjadł i nieustannie narzekał na wysokie ceny, narażając się na dobrotliwe docinki ze strony matki i siostry.

Na salę wszedł sędzia Bowers, a Stirling wstał ze swego miejsca.

– Oskarżenie wzywa na świadka Wallace’a Tannellego – powiedział.

Tennelle podniósł się z krzesła, powoli przeszedł na miejsce dla świadków i usiadł. Choć zachowywał kamienną twarz, wyczuwało się ukryte pod tą maską napięcie.

Stirling poprosił, by przeliterował swoje imię i nazwisko.

– W-a-l-l-a-c-e – zaczął spokojnie Tennelle. – T-e... – Przerwał nagle, jakby zabrakło mu sił.

Cisza. Wszyscy wstrzymali oddech.

– T-e... – zaczął ponownie. Lecz z jego oczu ciekły już łzy, nie mógł wydobyć głosu z zaciśniętego gardła.

Przysięgli, prawnicy – wszyscy zamarli w bezruchu. Mijały kolejne sekundy. Tennelle siedział nieruchomo w swoim granatowym garniturze RHD, który celowo wybrał na ten dzień, i starał się odzyskać panowanie nad sobą. Przysięgli nerwowo zaciskali usta i dłonie.

Tennelle zapłakał. Potem się opanował, usiadł prosto... i znów poddał się emocjom. Na oczach tłumu ludzi prowadził rozpaczliwą walkę z samym sobą, nie był w stanie wypowiedzieć własnego nazwiska.

– T-e-n-n-e-l-l-e – wykrztusił w końcu ledwie słyszalnym głosem.

Skaggs zachował obojętną minę, ale i on mocno zaciskał palce. Wewnętrzna walka Tannellego była rozdzierająca, robiła znacznie większe wrażenie niż teatralne gesty Arielle. Gdy wreszcie zdołał przeliterować swoje nazwisko, otarł oczy chusteczką i podniósł wzrok na Stirlinga.

– Ile ma pan dzieci?

– Troje – odparł Tennelle. – A właściwie... teraz dwoje – poprawił się po chwili.



Siedział przygarbiony, jakby przygniatał go jakiś ogromny ciężar. Żaden z przysięgłych nawet nie drgnął.

– Czy miał pan syna o imieniu Bryant?

Z ust Tannellego wyrwało się ciche westchnienie.

– Tak... Tak.

Stirling spytał, czym się zajmuje. Tennale podniósł głowę. Tym razem odpowiedział silnym, jasnym głosem:

– Jestem detektywem policji w Los Angeles.

Stirling omówił ze świadkiem wydarzenia z 11 maja. Tennale odpowiadał ze znużeniem, nie kryjąc swego melodyjnego akcentu z Alabamy. Jednak gdy relacja dotarła już niemal do samej strzelaniny, przywołując obraz chłopca leżącego na trawniku, detektyw zaczął się kołysać do przodu i do tyłu. Przerywając zdania głębokimi westchnieniami, dzielnie parł naprzód, opowiadał o czapce baseballowej, o krwi – choć w jego głosie pobrzmiewały z trudem tłumione emocje, z policyjną precyzją opisywał miejsce zbrodni, podawał numery ulic, kierunki świata, szczegóły ułożenia ciała. Mówił, jak zaparkował samochód, zatrzymał świadka i szedł na wschód, w stronę Osiemdziesiątej, by odszukać swego „synka”.

Tennale zdołał przebrnąć przez to wszystko bez większych przerw. Potem Stirling spytał go, dlaczego nie pojechał z Bryantem karetką. Tennale odparł, że nie zrobił tego, bo – i tutaj dotarł do punktu, w którym zawsze tracił nad sobą panowanie – bo, powtarzał, tłumiąc szloch, musiał wrócić do domu i powiedzieć o tym żonie.

Obrońcy nie mieli ochoty przedłużać tego bolesnego spektaklu. Nie zadawali żadnych pytań. Tennale zszedł powoli z miejsca dla świadków.

Większość widzów miała wilgotne oczy. Stirling, który nigdy nawet nie próbował ukrywać emocji, przeszedł na tył sali, by wysiąkać nos.

Ale przysięgli nie płakali. Zachowali kamienne twarze, skupieni na swojej pracy. Skaggs jeszcze nigdy nie miał do czynienia z równie nieodgadnioną ławą przysięgłych.

Na ekranie pojawiły się obrazy z miejsca zbrodni. Palmy na tle nieba. Krew na ziemi.

Przy stole obrony matka Davisa poprawiała jego ubranie. Często zwracała się do Applebauma z prośbą, by bardziej troszczył się o jego wygląd. Niemal codziennie zastępcy szeryfa przynosili wieszak z koszulą dla Davisa. Oczywiście nieśli ją niedbale, więc koszula zsuwała się z wieszaka i mięła. Sandra James, zawsze nienagannie ubrana i uczesana, musiała odbierać ich obojętność jako wyraz głębokiej pogardy.

Piątego dnia procesu w sądzie pojawiła się Yadira Tennelle z medalionem w kształcie serca na szyi.

Yadira siedziała w całkowitym bezruchu, gdy salę wypełniły nagrane na taśmie głos Davisa i jego pochlipywanie: „Nie chciałem nikogo skrzywdzić! Próbowałem się tylko dopasować!”. Davis energicznie kręcił głową, słuchając własnego głosu. Jeden z przysięgłych przyłożył dłoń do czoła. Yadira skrzyżowała ręce na piersiach i podniosła wysoko głowę. Na jej twarzy malował się głęboki, niezmierny smutek.

Tego dnia na miejscu dla świadków zasiadł również Skaggs.

Krzesło wydawało się za małe dla jego kolan i łokci, wrażenie ciasnoty potęgował również gruby niebieski segregator, który detektyw ścisnął w dłoniach. Odwrócił się częściowo w stronę przysięgłych, by widzieli jego twarz i niebieskie oczy patrzące śmiało spod blond brwi. Korzystał z mapy i wskaźnika niczym nauczyciel. Był opanowany, spokojny i miły. Applebaumowi tylko raz udało się wyprowadzić go z równowagi.

Applebaum próbował dowieść, że Skaggs zdominował i wystraszył wrażliwego, zdezorientowanego nastolatka, jakim był Devin Davis. Skaggs przyznał, że czasami okłamuje podejrzanych, by wydobyć od nich prawdę. I tak, czasami próbuje nimi manipulować.

– Jest pan bardzo wytrwałym śledczym, prawda? – spytał Applebaum.

Skaggs zawahał się na moment, szybko jednak odzyskał pewność siebie. Przez jego twarz przemknął lekki uśmiech, który ustąpił miejsca zwykłemu wyrazowi spokoju i opanowania. Śmiało spojrzał prosto w oczy Applebauma.

– Tak! – odparł krótko.

W świecie Skaggsa nie było miejsca na fałszywą skromność. Rzeczywiście był bardzo wytrwałym śledczym.

## „Musimy się modlić o pokój”

– Zbawienie, a nie zemsta! – zawołał ktoś przed domkiem na osiedlu Nickerson Gardens.

W środku, na pokrytej beżowym linoleum podłodze, leżało zwinięte w kłębek ciało młodego mężczyzny. Miał zamknięte oczy, leżał obrócony na bok, prawie na brzuchu, w wygodnej, zrelaksowanej pozycji, niemal jak śpiące dziecko. W wyprostowanej ręce trzymał kilka banknotów pięcio- i dziesięciodolarowych – w sumie czterdzieści pięć dolarów. Miał brązowe, nieco zapuszczone włosy i brązową skórę. Nie był ani wysoki, ani niski, ani gruby, ani chudy. Miał raczej proporcjonalną, w pełni uformowaną sylwetkę właściwą zdrowym mężczyznom w jego wieku, czyli w wieku dwudziestu dziewięciu lat – kiedy mężczyzna nie jest już podrostkiem, a nie dotykają go jeszcze żadne oznaki starzenia. Jego nagie plecy pokrywała gęsta płatanina tatuaży. Spod tułowia wypłynęła duża ilość krwi, która utworzyła na linoleum ciemną kałużę. Na zastygłej powierzchni było widać jedną długą smugę, może ślad pozostawiony przez ratowników medycznych lub pozostałość ostatniego ruchu umierającego mężczyzny.

Pomieszczenie okazało się niemal puste, nie licząc zielonego roweru Schwinn z rozdartym siodełkiem, porzuconego pod ścianą, niebieskiego napoju Calypso na blacie i łuski leżącej na podłodze. Był wczesny ranek. Białe kalifornijskie słońce, które wpadało do wnętrza przez uchylone drzwi i zakratowane okno, jakimś cudem skrywało nędzę tego mieszkania na osiedlu komunalnym Nickerson Gardens, dodawało szlachetności brudnym ścianom i łuszczącej się farbie. Słoneczny blask zamienił mały domek, dzieło architekta Paula Revere Williamsa, w jasną, spokojną wiejską chatę. Złote promienie delikatnie, niczym dziecięcy kocyk, okrywały gładką skórę młodego mężczyzny, co stanowiło przejmujący, rozdzierający widok.

Nathan Kouri bez ustanku wchodził do pokoju i z niego wychodził, ubrany w ciemny garnitur, ze skórzanym notatnikiem przyciśniętym do piersi i głębokim marsem na czole. Badał miejsce zbrodni. Okrzyki: „Zbawienie!” dochodziły z zewnątrz, gdzie stała grupa ludzi. Kobieta w butach Ugg przemawiała głośno:

– Musimy się modlić o pokój!

Michael Scott został zastrzelony w mieszkaniu 88, przy skrzyżowaniu Sto Piętnastej i Success Avenue, wczesnym rankiem 13 marca 2010 roku. Ciało znalazła kobieta, którą nazywał swoją żoną. Słońce właśnie przedarło się przez poranne mgły, gdy przed domem zgromadził się tłum, by obserwować poczynania policji. Tłum stał między pelargoniami, nad którymi unosiły się obłoczki dymu z jointów. Głos rozmodlonej kobiety zagłuszał przytłumione rozmowy gapiów i gruchanie gołębi siedzących na drutach. Policjanci patrolujący na co dzień ulice Southeast i funkcjonariusze z wydziału do walki z gangami uważnie obserwowali ten rozemocjonowany tłum – oszołomionych jedenastoletnich chłopców z kolczykami w uszach, zapłakane piętnastolatki z komórkami Rococo.

Rodzina Scotta siedziała na plastikowych krzesłach przed domkiem. U opatulonych w kapcie stóp zrozpaczonej matki stały butelki wody mineralnej Aquafina. Kobieta odrzuciła głowę do tyłu, jakby patrzyła spod zamkniętych powiek na niebo, jej pierś unosiła się i opadała ciężko. Obok na krawężniku siedział mężczyzna z twarzą ukrytą w dłoniach, wstrząsany cichym szlochem.

Przy matce pojawiła się kobieta, która uściskała ją serdecznie: była to Barbara Pritchett, jej bliska przyjaciółka. Barbara trwała przy jej boku przez cały ranek, głaskała ją po włosach i obserwowała policjantów.

Nathan Kouri wciąż ukrywał się we wnętrzu domu. Z klapy marynarki układającej się krzywo na schowanej pod spodem broni wystawało pióro. Głęboko zamyślony, przekładał z miejsca na miejsce zbyt wiele przedmiotów naraz: żółte plastikowe tabliczki ostrzegawcze, notes, szare koperty, torebki foliowe. W końcu wyszedł na zewnątrz, by porozmawiać z matką Scotta. Zobaczyła go Pritchett.

Wzięła go w objęcia i mocno uściskała na powitanie – publicznie, na oczach mieszkańców osiedla. Wiedziała, że ludzie z jej dzielnicy mogą być tym oburzeni, ale wcale jej to nie obchodziło.

– Nathan! – zawołała. – Ty to prowadzisz?!

Dwudziestu ośmiu umundurowanych policjantów stanęło w dwuszeregu, by można było wynieść ciało Scotta do czekającej przed domem furgonetki koronera. Nie tworzyli jednak ciasnego szpaleru – „przyjaciele” z tłumu obiecali policjantom, że dopilnują, by gapie nie rzucili się w stronę ciała, do czego często dochodziło w takich sytuacjach. Kilku zirytowanych funkcjonariuszy uważało, że nie należy obdarzać mieszkańców Nickerson Gardens tak dużym zaufaniem.

– Powinno się ich odsunąć aż do Sto Czternastej – zżymał się jeden z nich, spoglądając na grupki nastolatków.

Pod domem zatrzymał się samochód koronera opatrzony niebieskim napisem. Z wnętrza budynku wyjechały nosze z ciałem zamkniętym w niebieskim worku foliowym. Tłum zafalował, poruszony tym widokiem. Ktoś krzyknął. Kilkoro ludzi zaczęło się przesuwać do przodu. „Przyjaciele” wrzeszczeli na nich: „Spokój!”. Gdy nosze przejeżdżały obok matki zabitego, ta jęknęła przeraźliwie i osunęła się na ziemię.

– Nie, och nie, nie! Mikey, och Mikey! – szlochała. Jej głowa opadła bezwładnie na bok, jakby rozpacz całkowicie pozbawiła ją sił.

Policjanci obserwujący tę scenę mocniej zacisnęli usta, również dotknięci bólem osieroconej matki.

Scott należał do gangu. Jego kartoteka liczyła niemal dwadzieścia stron. Zginął w związku z jakimś zatargiem dotyczącym handlu narkotykami albo innymi gangsterskimi porachunkami. Jednak ta historia, jak wszystkie inne, miała drugie dno. Scott zdołał już niemal uciec od tego życia. Zakochał się w dziewczynie. Pojechali do Bakersfield, gdzie znalazł dobrą pracę w hucie szkła i przez jakiś czas zarabiał trzydzieści dolarów na godzinę. Potem nadszedł kryzys. Stracił pracę. Oboje wrócili do Los Angeles. Właśnie wprowadzali się do pustego domu, gdy został zamordowany.

Scott miał sporo przyjaciół i krewnych, którzy również należeli do gangu. Gdy Kouri i detektyw Gerry Pantoja przesłuchiwali jednego z nich

po morderstwie, gangster otwarcie mówił o swoich zamiarach:

– Sam dopadnę tego gnoja... Sam go zabiję... – Oznajmił to niemal przepraszającym tonem.

– Nie rób tego – poradził mu Kouri spokojnie. – Nie zabijecie ich wszystkich.

Kouri nabrał już doświadczenia, prowadził śledztwa ze znanstwem i z pewnością siebie. Dawniej twierdził z uporem, że nigdy nie będzie równie skuteczny i naturalny jak jego mentor John Skaggs. Starał się nadrobić te wyimaginowane braki, pracując ciężiej niż inni.

Okazało się, że umiejętność ciężkiej pracy jest świadectwem geniuszu innego rodzaju. Dzięki wytrwałości, skupieniu i uczciwemu podejściu do wyznaczonych zadań Kouri stał się równie nieustępliwy i skuteczny jak Skaggs.

Teraz już się nie martwił, że nie umie rozmawiać z ludźmi tak swobodnie jak Skaggs. Odkrył, że tak samo sprawdza się konkretna, pozbawiona afektacji rozmowa, w której nie musiał niczego udawać – mógł się nawet jąkać i zacinać, jeśli nie umiał powiedzieć czegoś inaczej. Nie był wygadany, ale cechował się szczerością i życzliwością, a ludzie mu ufali.

Co istotniejsze, z każdą sprawą był coraz bardziej oddany swojemu rzemiosłu. Właśnie to stanowiło klucz do jego sukcesu: emocjonalne podejście do pracy w wydziale zabójstw. Był na tyle odważny i wrażliwy, by przejmować się cierpieniem ludzi związanych z jego sprawami. Pozwalał, by ich ból i strach pogłębiały zrozumienie śledztw, które prowadził.

Podobnie jak Skaggs, a wcześniej ojciec Skaggsa, Kouri przekonał się, że po pracy w wydziale zabójstw nic już nie jest takie samo. Nie umiałby z podobnym zaangażowaniem pracować w żadnej innej formacji policyjnej. Śledztwa dotyczące morderstw otworzyły mu oczy. Wcześniej nie rozumiał głębi rozpacz i krzywd w Watts – nie pojmował bólu, jaki powoduje każde z zabójstw.

– Nigdy tego nie widziałem – mówił o tych wszystkich latach pracy jako mundurowy. – Potem zaczynasz te przesłuchania. To całkiem inny świat.

Za sprawą tej pracy całkowicie zmieniło się jego podejście do ludzi. Zaczął się solidaryzować z tymi, których ostro krytykował, gdy jeszcze nosił niebieski mundur. Kanciarze, dilerzy, prostytutki, ludzie łamiący reguły zwolnienia warunkowego byli teraz jego świadkami, pogrążonymi w rozpacz krewnymi, którzy wraz z nim jednoczyli się w walce przeciwko Potworowi.

– Nieważne, kim są na co dzień. To dotyczy ich tak samo – mówił Kouri.

Teraz nie podzielał już poglądu niektórych spośród swoich byłych kolegów w mundurach, powtarzających stereotypowe opinie, że mieszkańcy Watts nie wyznają żadnych „wartości” i nie cenią sobie życia.

– Dopóki sam tego nie przeżyjesz, nie zrozumiesz tego w pełni.

Daleki od poglądów swoich dowódców głoszących, że praca detektywów jest „wtórna” i że szybsza reakcja detektywów nie zmniejszy przestępczości, Kouri doszedł do przekonania, że rozwiązywanie śledztw dotyczących morderstw w strefie getta jest warte niemal każdej ceny.

Był też pewien, że to przemoc pojawia się pierwsza – że prawo to wyraz reakcji państwa na przemoc – i że reagowanie jest lepsze niż zapobieganie. Takie podejście było bliższe duchowi prawa – i na dłuższą metę skuteczniejsze. Taki też pogląd, bardziej niż cokolwiek innego, czynił ze zwykłego detektywa fachowca najwyższej klasy. Nieco wcześniej tego samego roku udało się wreszcie zakończyć sprawę z Laconia. Od samych morderstw minęło dobrze ponad półtora roku. Po nieudanym procesie rozpoczął się następny. Wszystkich świadków ponownie poddano żmudnym przesłuchaniom. Tym razem oskarżeni zostali uznani za winnych i skazani.

Jak zwykle pod koniec na widowni sali sądowej siedzieli tylko rodzice. Matka jednego z oskarżonych wybiegła tuż przed odczytaniem wyroku – sam widok szarej koperty w dłoni sędziego był dla niej nie do zniesienia. Gdy padło słowo „winny”, matka Raymonda Requeñi, ofiary, opuściła głowę i zakryła oczy.

Koszty były jednak ogromne. Jeden ze świadków był zdolnym i obiecującym uczniem szkoły średniej. Ze względu na przeciągające się procesy, liczne groźby i przeprowadzki zrezygnował z nauki. Kobieta

handlująca marihuaną zamieszkała z dala od swojej dzielnicy, gdzie nie miała żadnego źródła utrzymania i została co najmniej dwukrotnie pobita. Kiedy Kouri odwiedził ją po jednym z tych incydentów, miała na czole długą ranę zszytą w kilku miejscach niebieskimi niciami. Przeniesiono ją w miejsce odległe od jej krewnych i klientów. Jeszcze przez kilka ładnych lat po procesie dzwoniła do Kouriego z prośbą o pomoc w różnych problemach osobistych.

Gdy spytano ją później, dlaczego zgodziła się współpracować w tej sprawie, znosić groźby i pobicia w imię sprawiedliwości, odpowiedziała krótko:

– Ufam Nate’owi.

Ostatecznie Kouri przekazał sprawę Michaela Scotta detektywowi Pantoji, który ją rozwiązał i doprowadził do skazania zabójcy.

Detektywi nie mieli pojęcia, że Barbara Pritchett poświęciła tej samej sprawie wiele godzin, rozmawiając z przyjaciółmi i znajomymi, próbując przekonać ich do swoich racji. Wszyscy chcieli się mścić, a Pritchett błagała ich, by tego zaniechali. Nie wierzyli, że policja znajdzie sprawcę i doprowadzi go do sądu. „Dajcie gliniarzom szansę”, odpowiadała Barbara. Wielokrotnie wspominała Nathana Kouriego, którego uściskała na miejscu zbrodni. Zapewniała swoich przyjaciół, że Kouri jest jednym z tych dobrych i uczciwych policjantów. Nie ma potrzeby szukać zemsty – można mu zaufać. Nie mówiła już, że John Skaggs musi do nich wrócić.

Tej wiosny, w ostatnich dniach procesu w sprawie Tannellego, La Barbera musiał w końcu przyznać, że Kouri jest tym utalentowanym uczniem, którego tak długo szukał. Od samego początku stał po ich stronie i dawał z siebie wszystko, był prawdziwym Małym Skaggsem, uosobieniem werwy i działania w obliczu obojętności społeczeństwa. Teraz do niego również odnosił się „zarzut”, który skierował pod adresem Johna Skaggsa adwokat Seymour Applebaum: był „bardzo wytrwałym śledczym”. W świecie Skaggsa takie słowa uchodziły za najwyższą pochwałę.

W drugim tygodniu procesu nastąpiła zmiana na czas letni, więc posiedzenia kończyły się w słoneczne wieczory. Perlo i Skaggs zarazili się



grypą od Johna Colella. Choroba krążyła po sali sądowej, wybierając coraz to nowe ofiary. Perlo żartował, że dzięki swojemu uporczywemu kaszlowi zyska współczucie przysięgłych.

W końcu wezwano na świadka Jessicę. Stirling nigdy nie pokładał w niej takiej wiary jak Skaggs. W jego oczach wciąż była prostytutką, ulicznicą i kierowcą samochodu, którym jechał morderca. Zrobiła już wiele głupstw, które mogły pozwolić obronie na podważenie jej wiarygodności. Nawet liczne przeprowadzki mogły zostać przedstawione w sądzie jako przysługi ze strony oskarżenia.

Stirling obawiał się również, że pod gradem pytań obrońców Midkiff wpadnie w złość lub histerię. Prokuratorska hipoteza głosząca, że to Starks kierował morderstwem, opierała się w dużej mierze na relacji Jessiki. Wykaz połączeń z telefonów komórkowych, suburban i wiele innych punktów wspólnych z zeznań Midkiff i Davisa stanowiły całkiem spory materiał dowodowy, ale bez należytego świadectwa Jessiki oskarżenie byłoby znacznie słabsze.

Stirling poświęcił sporą część przygotowań do procesu właśnie Jessice – zadawał jej pytania, pozwalał czytać jej poprzednie zeznania. Wraz z Colellem spotykał się z nią niemal codziennie, aż do minionego wieczora. Mimo to Stirling nadal był zdenerwowany. Wystąpienie Midkiff podczas procesu wstępnego nie rozproszyło jego obaw. Martwił się, że stresujące warunki procesu głównego całkiem wytrącą ją z równowagi.

Skaggs również wydawał się dziwnie nerwowy. Później utrzymywał, że był to jedynie skutek grypy, lecz i on dobrze wiedział, że sukces w tej sprawie, której poświęcił ogrom czasu i pracy, zależy w dużej mierze od wystąpienia Midkiff.

Lecz Jessica Midkiff nie była już tą samą nałogową palaczką i trzpiotką, którą poznał na początku śledztwa. Miała teraz dwadzieścia pięć lat, regularnie widywała się z córką i była bliska ukończenia szkoły średniej – musiała jedynie podciągnąć się trochę z matematyki. Jej przystojny nowy chłopak był uczciwy i miły. Miał stałą pracę. Wszystko to zakrawało na cud, biorąc pod uwagę, jak jeszcze niedawno wyglądało życie dziewczyny.

Jednak tym, co zrobiło na Skaggsie największe wrażenie, wcale nie były sukcesy w szkole, trzeźwość czy nowy udany chłopak, lecz to, że Jessica zaczęła uprawiać sport. Trenowała kick-boxing, co doskonale wpisywało się w zasady zdrowego życia wyznawane przez Skaggsa.

Jessica weszła do sali w czarnym ubraniu z długimi rękawami, na szpilkach i ze złotym łańcuchem na szyi. Nie nosiła już pasemek, długie czarne włosy spłotła w prosty warkocz. Ta fryzura i starannie wymodelowane brwi ostro, niemal ascetycznie, kontrastowały z jej jasną cerą. Zająwszy miejsce dla świadków, ciężko westchnęła, podniosła ramiona i opuściła je powoli. Potem pochyliła się do mikrofonu, poważna i smutna. Tym razem nie pozwalała, by ukryta seksualna energia wyprowadzała ją z równowagi, jak działało się to podczas procesu wstępnego: w ogóle nie patrzyła w stronę Starksa. Stirling zaczął.

Jessica spokojnie odpowiadała na kolejne pytania prokuratora. Nie uciekała się do dramatycznych gestów z poprzedniego przesłuchania, nie pozwalała sobie na łzy ani histeryczne odruchy. Z powagą, lekko marszcząc brwi, opowiadała swoją historię. Co jakiś czas robiła krótką przerwę, podnosiła wzrok do sufitu lub ściągała usta, próbując przypomnieć sobie szczegóły, które zatarły się już w jej pamięci. Gdy nie potrafiła sobie czegoś przypomnieć, od razu się do tego przyznawała. Powoli, metodycznie Stirling wydobył od niej wszystkie informacje, które podała Skaggsowi w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej podczas pierwszego przesłuchania, gdy sprawa Tannellego „ruszyła z miejsca”. Naśladując rzeczowy ton Stirlinga, Midkiff relacjonowała kolejne wypadki. Wydawała się całkowitym przeciwieństwem zapłakanej i pretensjonalnej dziewczyny, którą Skaggs poznał w grudniu 2007 roku. Olitha Starks, siedząca na tyłach sali, przysłuchiwała się jej zeznaniom, krzywiąc twarz w grymasie niesmaku i niedowierzania. Tego dnia towarzyszyła jej kobieta, która patrzyła na Midkiff z nieskrywaną wrogością. Jessica nie zwracała na nią uwagi.

Skaggs zaciskał dłonie lub bawił się piórem. W pewnym momencie Jessica przechyliła głowę, by spojrzeć na jakiś punkt na mapie, i odsłoniła kark, mimowolnie ukazując przysięgłym swój tatuaż. Gdy przesłuchanie się

przeciągało, ściągnęła ramiona i nieco się przygarbiła, jakby było jej zimno. Nadal jednak spokojnie i wyczerpująco odpowiadała na wszystkie pytania.

Być może chwilami za mocno eksponowała swój nowy, ugrzecziony wizerunek (niepotrzebnie się zawstydziła, gdy Stirling spytał, czy „utrzymywała intymne kontakty” ze Starksem), lecz poza tym oskarżyciel nie mógłby sobie wymarzyć lepszego świadka. W końcu Stirling usiadł i przygotował się wewnętrznym do ataku obrony.

Jednak ani Applebaum, ani Perlo nie próbowali zdyskredytować Midkiff. Przepytywali ją w pobieżny, ostrożny sposób. Perlo starał się udowodnić, że Midkiff znała również kuzyna mężczyzny na wózku, dwudziestosześcioletniego Bobby’ego Raya Johnsona, nazywanego „Gutta”, który w 2008 roku został zasztyletowany, najprawdopodobniej przez jednego ze swych towarzyszy z Blocs. Perlo zamierzał później przypisać zabójstwo Tannellego właśnie Johnsonowi.

Applebaumowi udało się nieco rozdrażnić Midkiff i obudzić jej dawną wojowniczą naturę, gdy spytał, dlaczego początkowo ukrywała się przed policją.

– Nie chciałaś, żeby cię złapano?

– Nie – warknęła Midkiff. – A kto by chciał?

Poza tym jednak obrona nawet nie próbowała brać Jessiki w krzyżowy ogień pytań, czego obawiał się Stirling. Dobrzy adwokaci wiedzą, że jeśli świadek mówi prawdę, zbytnia natarczywość może tylko pogorszyć sytuację oskarżonego. Midkiff opuściła miejsce dla świadków równie spokojna i pewna siebie, jak w chwili, gdy tam wchodziła. Kiedy zmierzając do wyjścia, mijała ławkę zajmowaną przez Tannellego, ten wyszeptał do niej:

– Dziękuję.

W dzień, w którym mieli składać zeznania ostatni świadkowie, doszło do trzęsienia ziemi. O 4.30 rano wszystkich mieszkańców regionu obudziły wstrząsy o sile 4,4 stopnia w skali Richtera z epicentrum pod Pico Rivera.

John Skaggs oczywiście nie spał o tej porze. Trzęsienie tylko nasiliło strach Arielle Walker, którą już wcześniej przeraziły samochody

z przyciemnianymi szybami parkujące pod jej domem. Skarżyła się Skaggsowi, że stoją tam, odkąd złożyła zeznania w sądzie, i że z pewnością jest to próba zastraszenia. Detektyw nie był tego taki pewien.

Wydawało się, że co najmniej połowa przysięgłych kaszle i kicha. Harmonogram przesłuchań zaplanowanych na ten dzień nie pozwalał im jednak ani na chwilę wytchnienia: najpierw zeznawał śledczy z biura koronera, a potem Rubin, kryminalistyk. Musieli wysłuchać nużącego wykładu o „kacie wzniosu lufy” i „ołowianych rdzeniach”. Później głos zabrał policjant drogówki, który aresztował Starksa po wypadku w suburbanie. Po nim nadeszła kolej „eksperta od gangów”, detektywa Daniela Leona z komisariatu Lennox, krótko ostrzyżonego mężczyzny w jasnobieżowym garniturze, z aktówką w dłoni.

Leon mówił z przekonaniem o dozgonnej wzajemnej nienawiści gangów, opisywał obraźliwe tatuaże na ich twarzach z takim przejęciem, jakby mówił o jakichś egzotycznych plemionach. Przemówienie Leona miało wzmocnić oskarżenie i nakłonić sędziego do zastosowania specjalnych przepisów prawa dotyczących gangów. Kiedy jednak Stirling pokazał mu graffiti przedstawiające strzałkę skierowaną w dół – chyba najpopularniejszy gangsterski symbol w Los Angeles, oznaczający tyle, co „to jest nasze terytorium” – Leon nie potrafił go rozszyfrować. Skaggs przyglądał się temu ze zboląłą miną. Później Leon nie wiedział, co oznacza skrót „S. C.” zastosowany w innym graffiti, więc Stirling musiał mu podać dość proste i oczywiste wyjaśnienie: „South Central”.

Ze względu na narzuconą przez państwo jednodniową przerwę – skutek cięć budżetowych – proces przeciągnął się o jeszcze jeden dzień. Obrona czuła, że ma coraz mniejsze pole manewru. Przybity Zeke Perlo podsumował drugi tydzień procesu, mówiąc, że prokuratura „buduje potężne oskarżenie”.

Lecz Phil Stirling wciąż nie był pewny swego. Najważniejszy problem – udowodnienie winy Starksa – pozostawał nierozwiązany. Wszystko, łącznie z zeznaniem Midkiff, poszło najlepiej, jak tylko mogło. Nikt nie potrafił jednak powiedzieć, co myśleli o tym przysięgli. Stirlinga, podobnie jak Skaggsa, niepokoiły ich kamienne twarze. Jeśli uważali, że Jessica była

zamieszana w tę sprawę w większym stopniu, niż chciała to ujawnić, lub że Davis zabił Tannellego z własnej inicjatywy, orzeczenie w kwestii winy Starksa pozostawało wielką niewiadomą. Długi, gorący dzień przerwy, który przypadł w środę, przedłużał tylko okres napięcia i niepewności.

W czwartek, gdy wznowiono proces, Devin Davis początkowo w ogóle nie chciał opuścić swojej celi. Był przygnębiony. Do sali posiedzeń przydzielono pięciu dodatkowych strażników, którzy mieli go uspokoić, gdyby się źle zachowywał.

Potem wstał Perlo i kompletnie wszystkich zaskoczył, mówiąc:

– Obrona powołuje na świadka Derricka Starksa.

Przez cały poprzedni dzień i wieczór Perlo próbował przekonać swojego klienta, by nie składał zeznań. Miał plan. Nie zamierzał podważać oskarżenia – dokładnie przejrzał dokumentację śledztwa Skaggsa i nie znalazł tam żadnych słabych punktów – chciał stworzyć alternatywną historię zbrodni, na tyle wiarygodną, by zdezorientować przysięgłych i zasiał w ich umysłach wątpliwości. Gdyby udało się zakwestionować zeznania Jessiki, można by również wymyślić wiele innych scenariuszy, które łączyłyby samochód, broń i Bryanta Tannellego – ale nie Derricka Starksa. Ogólnie rzecz biorąc, Perlo zamierzał dowieść, że Bobby Ray Johnson, kuzyn mężczyzny na wózku, miał dostęp do każdego z tych elementów. Nie chciał, by pojawiły się jakiegokolwiek nowe informacje i fakty, które przeczyłyby tej teorii, a byłoby to bardzo prawdopodobne, gdyby prokurator miał sposobność przesłuchać Starksa.

Perlo dostrzegał też inne zagrożenie: zeznania Starksa mogły doprowadzić do uznania dowodów, które sędzia wcześniej odrzucił. Do tej pory nie miał zbyt wielkich nadziei na wygranie sprawy, ale przynajmniej miał linię obrony. Zeznania Starksa mogły go pozbawić nawet tego.

Okazało się jednak, że to nieoczekiwane przesłuchanie niczego nie zmieniło. Widząc, jak oskarżenie nabiera coraz wyraźniejszych kształtów, Starks uznał, że jego obrońca jest niekompetentny. Wszedł więc na miejsce dla świadków, poprawił się na krześle i wziął głęboki oddech. Perlo

przystąpił do przesłuchania, starając się ukryć przed ławą przysięgłych niesmak, jaki budziła w nim ta rozmowa.

Podczas procesu Starks zapuszczał kozią bródkę. Była brązowa i starannie przystrzyżona, zwieńczona cienkim paskiem, który ciągnął się w górę podbródka. Tego dnia Starks włożył brązową koszulę i rdzawy krawat. Podczas przesłuchania uśmiechał się lekko z niezachwianą pewnością siebie. Wąsy zakrywały kąciki jego ust, kołnierz sterczał nieco do góry, wokół oczu utworzyły się ciemne obwódki. Z miejsca, gdzie siedzieli przysięgli, tatuaż pod okiem Starksa wyglądał jak znamię. Jego twarz nieco złagodniała, gdy spojrzał na matkę.

– Jest pan członkiem gangu Blocc Crips? – spytał Perlo.

– Tak – potwierdził Starks, rozpoczynając przesłuchanie.

Starks przyjął strategię: „Nie jestem aniołem, ale nie zrobiłem tego”. Przyznał, że pasują do niego wszystkie określenia, których używali „eksperci” od gangów, ale w dniu morderstwa przebywał poza Los Angeles, w Karolinie Północnej. Wyjechał tydzień przed śmiercią Bryanta i dowiedział się o niej po powrocie. W tym czasie pomagał kuzynce w przeprowadzce. Mieszkała w pobliżu Charlestonu, była w ciąży i potrzebowała jego samochodu. Nie było go w suburbanie, gdy Jessica miała wypadek. Przybiegł tam, by zobaczyć, co się stało, i został aresztowany.

Perlo zadawał pytania bez pośpiechu, z beznamiętnym wyrazem twarzy. Starks kołysał się na krześle, udzielając mu odpowiedzi. Gdy ogłoszono przerwę na lunch, oskarżony zszedł z podium lekkim, niemal tanecznym krokiem.

Po przerwie na sali pojawił się Devin Davis. Miał koszulę wypuszczoną na spodnie, żartował z urzędnikiem sądowym Hardym i z Applebaumem. Perlo wrócił do przesłuchania, a Starks przedstawił wersję wydarzeń, która wydawała się Perlowi prawdopodobna: Johnson sprzedał broń swojemu kuzynowi. Johnson był z Jessicą w dniu morderstwa. Starks wciąż lekko się kołysał, jakby słyszał w swojej głowie muzykę. Wydawał się rozluźniony, co jakiś czas od niechcenia zerkał na zegar. Perlo skończył i uklonił się przed sądem.

Wstał Phil Stirling. Zmiał w dłoni kartkę papieru i rzucił ją teatralnym gestem w dół.

Potem ruszył do ataku.

Nie miał zbyt trudnego zadania. Przypomniał ostatnie wyczyny Starksa – rabunek, próbę włamania – a potem zajął się jego historią. Zmusił go, by opisał każdy szczegół podróży do Karoliny Północnej, by opowiedział, co robił każdego dnia, co jadł, z kim przebywał. Starks zrobił się spięty. Między odpowiedziami mocno zaciskał usta, przestał się kołysać na krześle.

Stirling sprawdził wszystkie odległości i obliczył, w jakim czasie można je pokonać. Pytał Starksa, ile paliwa mieści się w baku jego samochodu, a także kiedy i gdzie tankował. Starks musiał utrzymywać, że przez całą drogę do Baton Rouge w Luizjanie jechał z prędkością co najmniej stu dwudziestu kilometrów na godzinę, prawie w ogóle się nie zatrzymywał i walczył z sennością, popijając nieustannie napoje energetyczne, nim potem ruszył w stronę Karoliny Północnej. Stirling pytał go także o ludzi, których widział po drodze. Starks wspomniał o kilku krewnych, twierdził jednak, że pozostałych nie pamięta.

Przesłuchanie układało się dokładnie tak, jak zaplanował to sobie Stirling. Właściwie nawet nie zaglądał do notatek. Nie mówił też głośno o tym, że Charleston leży w Karolinie Południowej, że nikt nie mógłby jechać tak szybko przez tak długi czas i że człowiek oskarżony o współudział w morderstwie starałby się znaleźć jakieś potwierdzenie dla swojego alibi. Uważał, że każdy sam dostrzega te oczywistości.

Starks utrzymywał, że z Luizjany zabrała go kuzynka, więc nie musiał prowadzić. Stirling drażył temat. Starks powiedział, że nie pamięta marki samochodu, którym jechali. Wspominał o innym pasażerze. Prokurator pytał dalej.

– Nie pamiętam, jak się nazywał – odpowiedział Starks.

– Przebywa pan w więzieniu już dwa i pół roku. Nie próbował pan w tym czasie dowiedzieć się, jak miała na imię ta osoba? – spytał ze zdziwieniem Stirling.

Pod koniec przesłuchania Starks mówił, że spał w domach i miejscach, których nie pamięta, zamieszkałych przez ludzi o nieznanych mu imionach i nazwiskach. Nie pamiętał, z kim jechał samochodem, bo „przez całą drogę był otumaniony”, pił koniak Courvoisier i palił marihuanę. Nie pamiętał nawet, czy wyjechał nocą, czy za dnia.

Starks był ogromnie spięty, ale patrzył Stirlingowi prosto w oczy. W pewnej chwili, między kolejnymi odpowiedziami, przeciągnął dłonią po czole w geście znużenia. Perlo cierpiał w milczeniu – trzymając palec na ustach i kołysząc lekko nogą, obserwował, jak jego klient coraz bardziej się pogrąża.

Davis, który oglądał przesłuchanie zza stołu obrony, wydawał się rozluźniony i wesoły, jakby pogodził się już ze swoim losem. Skaggs wyszedł na moment, by odebrać telefon, a po powrocie uśmiechał się lekko pod nosem. Do sali weszło kilku prokuratorów. Zanosilo się na jakąś niespodziankę.

Najpierw jednak Stirling postanowił wypytać Starksa o rozmowy nagrane w więzieniu, których wcześniej nie mógł wykorzystać. Teraz wszyscy mogli usłyszeć, jak Starks beszta Davisa, mówiąc, że „powinien był trzymać gębę na kłódkę”, i jak zapewnia, że „ta suka jeszcze zawyje”, odnosząc się do Midkiff.

– Mówiłem o kimś innym – bronił się Starks, robił to jednak słabym, zrezygnowanym głosem.

W końcu Stirling przedstawił groźby Starksa pod adresem Skaggsa nagrane w więzieniu. Pokazał zapis tej rozmowy i poprosił Starksa, by ten potwierdził, że powiedział: „Gdybym miał zabić gliniarza, byłby to detektyw Skaggs”, „wysoki biały facet”, który zgodnie z opisem oskarżonego nosił koszulę z krawatem, ale nie marynarkę.

– Nie pamiętam tego – oznajmił Starks.

Podczas przesłuchania Olitha Starks uparcie wpatrywała się w sufit, a na jej ustach błędził słaby uśmiech.

Wśród przysięgłych w sprawie Starksa dało się w końcu dostrzec ślad jakichś emocji: zniecierpliwienie jego kłamstwami. Perlo to zauważył. Klęska obrony była niemal całkowita.



Stirling powrócił do alibi Starksa, a ten ponownie potwierdził, że wieczorem poprzedzającym dzień morderstwa był poza miastem, a nie, jak twierdziła Midkiff, w motelu Desert Inn.

Potem Stirling bez słowa i bez triumfalnych gestów wyświetlił na projektorze mały niebieski kwitek.

Był to prostokątny liniowany paragon z motelu. Widniało na nim logo Desert Inn – napis wykonany czcionką w stylu retro z rysunkiem palmy – data „10.05.2007”, a także wydrukowane nazwisko Starksa, numer jego prawa jazdy oraz podpis.

Przysięgli wpatrywali się w powiększony paragon. Wypytywany przez Stirlinga Starks musiał przyznać, że to numer jego prawa jazdy i że „podpis wygląda jak mój”.

– Nie mam więcej pytań – oznajmił Stirling i usiadł.

Gdy sędzia zamknął posiedzenie, John Colello nie mógł się dłużej powstrzymać.

– To koniec! – zawołał, wstając ze swego miejsca i odwracając się do innych prokuratorów.

Na korytarzu Stirling właśnie zamknął Skaggsa w niezdarnym uścisku.

– Nawet siedmiolatek mógłby to zrobić – powiedział. – Siedmiolatek mógłby osądzić tę sprawę!

Paragon z motelu był kolejnym – i ostatnim – wkładem Skaggsa w ten proces. Sprowokowany zeznaniem Starksa, podczas przerwy wysłał Matta Garesa, młodego detektywa z Olympic, do Desert Inn. Gares pojechał na drugą stronę miasta, by szukać paragonu. Skaggs nie udzielił mu szczegółowej instrukcji, jak zwykle powiedział tylko: „Rób, co trzeba”.

Gares zrobił, co trzeba, czyli przejrzał na zapleczu motelu masę maleńkich paragonów.

Kierownik motelu układał paragony w małe pliki, za każdy dzień oddzielnie. Jednak gdy Gares zaczął je przeglądać, okazało się, że nie ma pliku z 10 maja 2007 roku.

Przejrzał więc paragony z następnego dnia, a potem z kolejnego. Bez rezultatu. Sprawdził wcześniejsze daty. Zachowywał się jak Skaggs, który

po wielokroć pukał do tych samych drzwi, uparcie do nich wracał. Nie poddawał się, bądź kroplą drążącą skałę, a drzwi wreszcie się otworzą. W końcu Gares porzucił chronologię i zaczął przeglądać losowo wybrane pliki.

Jego upór został wynagrodzony – znalazł zaginione paragony, które omyłkowo umieszczono pod datą 27 maja. Gares wyciągnął spośród nich to, czego szukał: małą niebieską karteczkę podpisaną „D. Starks”.

Sąd zebrał się ponownie w piątek 19 marca, w pochmurny i chłodny dzień. Stirling założył lśniący żółty krawat, który wyglądał jak lamówka z sukni druhny. Colello wreszcie był zdrowy. Po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu obaj wyglądali na zrelaksowanych. W czasie, gdy Starks składał zeznania, Devin Davis raz po raz szturczał Applebauma i dopytywał, czy jego kumpel rzeczywiście radzi sobie tak źle, jak mu się wydaje:

– Kiepsko mu idzie, nie?

Teraz i on wydawał się zrelaksowany, gotów na zakończenie tego smutnego spektaklu. Nawet Starks był spokojniejszy niż zwykle, uśmiechał się do swojej rodziny, jakby i on czuł ulgę.

Wezwano Skaggsa na świadka, by potwierdził, że prawdopodobnie to on jest tym „wysokim białym facetem” w koszuli z krawatem, ale bez marynarki, o którym wspominał Starks. Detektyw przyznał, że właśnie tak ubiera się do pracy. Owszem, czasem nosił też marynarkę: w sądzie i zawsze na miejscu zbrodni. Skaggs mówił o tym z powagą – strój podczas oglądania miejsc zabójstw był dla niego naprawdę ważną sprawą.

O 10.45 przesłuchania dobiegły końca, zostały jeszcze tylko mowy końcowe. Yadira Tennelle wyglądała na wyczerpaną.

Mowy końcowe ciągnęły się przez ponad dwa dni, bo obie ławy przysięgłych musiały wysłuchać oddzielnych wystąpień. John Colello zamknął oskarżenie przeciwko Davisowi. Lekko zaczerwieniony na policzkach i szyi, niesiony emocjami, raz jeszcze przypomniał przysięgłym wszystkie zarzuty i dowody skierowane przeciwko oskarżonemu. W jego wystąpienie wkradło się nieco patosu, prokuratorskich komunałów

i teatralnych gestów – w pewnym momencie podniósł wyimaginowaną broń i wrzasnął „bam, bam, bam”, odtwarzając ruchy Davisa.

Applebaum wstał, pogładził brodę i oparł się na swojej ukochanej mównicy. Zaczął przemowę, stojąc w luźnej pozie, z rękami w kieszeniach, pobrzękując ukrytymi w jednej z nich kluczami lub monetami. Odnosił się do emocji związanych ze sprawą, przyznając, że trudno bronić Devina Davisa w takich okolicznościach. Starał się zręcznie zneutralizować skutki najbardziej poruszającego momentu procesu.

– To było naprawdę trudne – mówił. – John Colello omal się nie rozplakał. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Łącznie ze mną! Nie ma nic gorszego niż widok zaprawionego w bojach detektywa z RHD... któremu ciekną po policzkach strumienie łez.

Błagał jednak przysięgłych, by podeszli do sprawy bez emocji. Jego zdaniem ze względu na motywy należało uznać Davisa za winnego morderstwa drugiego stopnia. Applebaum twierdził, że Starks od początku myślał o morderstwie, a Davis aż do ostatniego momentu nie miał pojęcia, w co się pakuje. Przytoczył wszystkie argumenty potwierdzające tę tezę. Nie było ich wiele: zeznanie Midkiff, w którym mówiła o dominującej roli Starksa, brak dowodów świadczących o tym, że podczas strzelaniny Davis był szczególnie skupiony i dążył do konkretnego celu, zeznania i dowody sugerujące, że był otumaniony narkotykami i nieświadomy swoich czynów, że panicznie bał się Starksa i że działał w stanie napięcia nerwowego.

Applebaum wspomniał, że podczas przesłuchania „Devin się posmarkał”, że płakał i chciał się widzieć ze swoją mamą. Ten obraz skutecznie przypomniał przysięgłym o wieku Davisa. Applebaum wykorzystał nieustępliwość Skaggsa przeciwko niemu samemu.

– Ponieważ zabity był synem policjanta, nie mieli litości – mówił.

W końcu zaatakował Stirlinga, a konkretnie zamiłowanie do pokazów slajdów, z których korzystał podczas procesu. Wiedział, że ta uwaga przypadnie do gustu przysięgłym, którzy przez dwa tygodnie musieli znosić wyrafinowaną torturę dokonywaną za pomocą PowerPointa.

– Nie muszę pokazywać wam slajdów – mówił Applebaum drwiącym tonem. – Wolałbym raczej *porozmawiać* z wami o tej sprawie.

Umiejętnie wykorzystał wszystkie dostępne racje zawarte w materiale dowodowym, lecz najbardziej przekonujący argument siedział przy stole obrony. Przysięgli mieli dość czasu, by przyjrzeć się Devinowi Davisowi, otyłemu podrostkowi o wielkich oczach i okrągłej głowie, który przez cały proces kręcił się nerwowo, grymasił, ziewał i chichotał. Oskarżenie próbowało go przedstawić jako człowieka „bystrego i wyrachowanego”, mówił Applebaum. Kiedy wypowiadał te słowa, Davis opadł na oparcie krzesła i wyciągnął przed siebie wyprostowane nogi, wystawiając stopy przed stół niczym znudzony uczeń. Applebaum wskazał na niego raz czy dwa.

– Skoro jest taki bystry, to dlaczego zrobił sobie tatuaże już po aresztowaniu? – pytał. Stwierdził, że prawdopodobnie robił to tylko po to, by przeżyć.

Wniosek, choć niewypowiedziany wprost, był oczywisty – twierdzenie, że Davis to wyrachowany zbrodniarz zdolny do morderstwa pierwszego stopnia, to absurd: „spójrzcie tylko na tego dzieciaka”.

Mowa końcowa Phila Stirlinga była tak bardzo wtórna – po raz kolejny odegrał strzelaninę, krzycząc „bum, bum, bum” – że sędzia skarcił go za powtórzenia.

Tyle zbędnej gadaniny. John Skaggs miał przecież pracę. Wysłuchiwanie tych absurdalnie długich mów końcowych było dla niego najgorszą karą, jaką mógł sobie wyobrazić. W miarę upływu czasu narastająca w nim irytacja przechodziła we wściekłość, choć nie dawał tego po sobie poznać – jedynie coraz mocniej zaciskał usta. Wydawało się, że poczucie bezsensu, za jaki uważał przesadywanie w sądzie, wpływa nawet na jego krążenie – jego skóra zrobiła się zauważalnie bledsza.

Następnego dnia mów końcowych wysłuchali przysięgli Starksa. Stirling wstał i przemówił zachrypniętym głosem. Poprawił marynarkę, odstawił krzesło i oznajmił, że postara się nie powtarzać, po czym właśnie to zrobił, ponownie przytaczając wszystkie argumenty oskarżenia. Szczególną uwagę zwrócił na, jak to nazywał, „chwilę rodem z powieści o Perrym Masonie”, kiedy to na ekranie pojawił się paragon z motelu podpisany przez „D. Starksa”.

Potem głos zabrał Zeke Perlo, by wygłosić ostatnią mowę końcową w swojej karierze, i to w okolicznościach, które można było opisać tylko jako klęskę obrony. Przez cały ranek był dziwnie milczący.

Być może przysięgli wczuli się w jego sytuację, słuchali go bowiem ze szczególną uwagą. Podobnie jak Applebaum, Perlo był rozluźniony, dojrzały, przyjazny. Trzymając w jednej dłoni pióro, a w drugiej złożone okulary, podkreślał swe słowa naturalnymi gestami. Zaczął wystąpienie od próby ograniczenia strat, mówiąc:

– Nie spodziewam się, że uwierzycie w zeznania Derricka Starksa, ale nie podejmujcie decyzji jedynie na tej podstawie.

Twierdził, że przysięgli powinni ocenić, jaka część ogromnego materiału dowodowego, który im przedstawiono, odnosi się do rzeczywistego udziału Starksa w morderstwie. Główny punkt oskarżenia, jak dowodził, opierał się na nikłych podstawach. Mężczyzna na wózku miał powody, by kłamać. Midkiff wcale nie była takim niewiniątkiem, jakie udawała. Czy była współsprawcą? Krok po kroku przeanalizował jej zeznanie, wytykając niespójności. Applebaum słuchał go z miną wyrażającą bezradne współczucie. Perlo robił, co mógł.

Wygłosiwszy swą ostatnią mowę, wyszedł z sali sądowej w przytłumiony blask słońca. I tak zakończył czterdziestosześcioletnią karierę prawniczą.

Przez cały proces prokuratorzy obawiali się przede wszystkim o wyrok w sprawie Starksa. Ostatecznie jednak ta sprawa zakończyła się szybciej niż w przypadku Davisa. Przysięgli obradowali tylko przez dwa dni. Podczas gdy przysięgli Davisa wciąż się naradzali, ci pierwsi wrócili w czwartek o 15.25 z gotowym werdyktem.

To było chłodne i wilgotne popołudnie. Tego dnia Wally Tennelle uczestniczył w szkoleniu. Gdy poinformowano go telefonicznie o ogłoszeniu werdyktu, pojawił się w sądzie ubrany w hawajską koszulę, jako jedyny przedstawiciel rodziny ofiary. Na sali zasiadło również szesnastu detektywów z RHD.

– Ciekawe, kto patroluje ulice Los Angeles – mruknął Perlo, spoglądając na policjantów w garniturach.

Choć współpracownicy Wally’ego Tannellego chcieli służyć mu wsparciem, detektyw usiadł oddzielnie, jakby otoczony niewidzialną ścianą. Ułożył rękę na oparciu sąsiedniego krzesła, przyjmując swobodną pozę, której przeczyło napięcie malujące się na jego twarzy. Gdy sędzia otworzył posiedzenie, prokuratorzy siedzieli zbici w ciasną grupkę, zaczerwienieni z emocji. Colello zatykał usta dłonią zaciśniętą w pięść. Skaggsa nie było, zastępował go Farell. Skaggs z zasady nie pojawiał się na ogłoszeniu wyroku – to nie należało do jego pracy. Uważałby to za stratę czasu.

Przysięgli zajęli miejsca. Gdy sędzia Bowers zaczął odczytywać wyrok, Tennale z trudem uniósł głowę.

– Winny – oznajmił Bowers – morderstwa pierwszego stopnia...

Starks patrzył prosto przed siebie. Wziął głęboki wdech, a potem głośno wypuścił powietrze. Tennale przełknął ślinę. Oczy mu poczerwieniały. Wyglądał tak, jakby nagle ogarnęło go ogromne znużenie, z trudem trzymał się prosto, zmęczony, smutny i wypalony. Przysięgli zachowywali głęboką powagę, nie okazywali ulgi ani triumfu. Żaden z nich nawet nie zerknął w stronę Wally’ego Tannellego.

Olitha Starks nie zdążyła na ogłoszenie wyroku. Wraz ze swym mężem pojawiła się pod drzwiami sądu tuż po tym, jak pozostali uczestnicy procesu wyszli. Dowiedziawszy się, że jej syn został uznany za winnego, skinęła tylko głową, zrezygnowana i zniesmaczona.

Corey Farell wysłał Skaggsowi esemes, informując go o werdykcie. Niemal natychmiast otrzymał odpowiedź – jedno słowo, którym Skaggs tak chętnie się posługiwał: „Cudownie”.

Przysięgli Davisa wrócili z werdyktem następnego ranka. Tym razem sala była niemal pusta, pojawiła się tylko grupka prokuratorów, znajomych Stirlinga i Colella. Wally Tennale nie przyszedł. Davis z przejęciem obserwował kopertę, którą urzędnik sądowy przeniósł od ławy przysięgłych do sędziego. Gdy ogłoszono, że został uznany za winnego, zakrył usta dłonią, odchylił głowę do tyłu i wpatrywał się w sufit, słuchając długiego

uzasadnienia. Kiedy sędzia zamknął posiedzenie, Davis jeszcze przez chwilę siedział na swoim miejscu, kręcąc głową.

Corey Farell nie przyjechał na ogłoszenie wyroku, bo wczesnym rankiem wezwano go do nowej pracy w komisariacie Foothill w San Fernando Valley. W ciągu ostatniego tygodnia na terenie podległym temu komisariatowi popełniono dwa morderstwa, których ofiarami padli Latynos i młoda czarnoskóra kobieta. Obie sprawy zapowiadały się na trudne: żaden ze świadków nie chciał zeznawać. Farell śledził jednak rozwój wydarzeń w sądzie przez telefon i powiadomił Skaggsa o werdykcie. Tym razem odpowiedź policjanta w koszuli i krawacie, ale bez marynarki, była jeszcze bardziej lakoniczna: „Rog”, napisał Skaggs, skracając do minimum frazę „*roger that*”, czyli „przyjąłem”.

## Ci, których zabrakło

Przysięgli donosili, że są wyczerpani fizycznie i emocjonalnie. Kilkoro z nich bało się zemsty gangsterów. Jeden z czekających na eskortę, która miała go zaprowadzić do sali sądowej na odczytanie wyroku, przyznał, że trzęsą mu się ręce. Choć z powodzeniem zachowywali pozory stoickiego spokoju, po procesie mówili, że z trudem panowali nad emocjami i ledwie powstrzymywali się od płaczu.

Niektórzy uważali, że obrona była sprawna i kompetentna, inni uznali ją za beznadziejnie bierną i zastanawiali się, dlaczego adwokaci nie byli bardziej agresywni wobec Midkiff. Niektórzy twierdzili, że emocjonalne reakcje prokuratorów podczas procesu były przesadne i niepotrzebne. Dwaj przysięgli otwarcie przyznali, że było im żal Zeke Perla.

Kilkoro uznało, że szczegółowe przesłuchanie, któremu poddał Starksa Stirling, oraz mowa końcowa oskarżenia również grzeszyły przesadą: nie trzeba było aż tak obszernie analizować i roztrząsać kłamstw Starksa. Spektakl, którego centralnym punktem był paragon z motelu, robił wrażenie, ale nie zmieniał zasadniczo obrazu sprawy. Odniesienie do chwili „rodem z powieści o Perrym Masonie” wywołało jednak ożywioną dyskusję wśród przysięgłych, gdy okazało się, że jeden z nich nie ma pojęcia, kim był Perry Mason.

Przysięgli Davisa stoczyli dłuższą dyskusję i byli bardziej podzieleni w swoich poglądach. Dokładnie przeanalizowali dowody i ostatecznie doszli do wniosku, że Davis nie strzelał na oślep. Wszyscy też zapewniali, że traktowali swoje obowiązki bardzo poważnie.

– Nigdy nie zapomnę żadnego z tych dni – powiedział jeden z nich.

Obrońcy zastanawiali się, czy przysięgli, w większości biali, będą w stanie należycie ocenić okoliczności tej sprawy. Jednak co najmniej jeden



z nich znał świat strefy getta znacznie lepiej, niż im się wydawało. Był to przewodniczący ławy przysięgłych, czterdziestoczteroletni biały mężczyzna o jasnych włosach i niebieskich oczach, który pracował jako menadżer w lokalnej sieci barów fast food. Ze względu na obowiązki służbowe często musiał jeździć do Compton i innych dzielnic położonych na południe od autostrady 10. Mieszkał na przedmieściach, ale wychował się na wojskowym osiedlu w Waszyngtonie i chodził do szkół, w których uczyło się również sporo dzieci z czarnych dzielnic. Wiele razy brał udział w ulicznych bójkach. Jako nastolatek poznał zasady obowiązujące w czarnych społecznościach – dobrze wiedział, że w miejscach, w których króluje bezprawie, „jeśli ustąpisz raz, będziesz ustępował zawsze”, jak sam to wyjaśniał.

Komentując sprawę Tannellego, ten przysięgły wykazał się większym zrozumieniem realiów strefy getta niż wielu spośród policjantów, którzy przewijali się przez salę sądową. Wiedział, że Midkiff była kiedyś prostytutką. Choć nigdy nie wspomniano o tym podczas procesu, przypuszczał, że Starks był jej alfonsem. Zdumiewały go reakcje przysięgłych, którzy nie mogli zrozumieć, dlaczego Bryant nosił „tę głupią czapkę”.

– Żeby czuć się bezpiecznie w tej okolicy! – tłumaczył.

Wydawało się, że przewodniczący ławy przysięgłych rozumiał też dobrze, jakie miejsce zajmował wśród swoich przyjaciół ten spokojny osiemnastolatek. Gdy powiedziano mu, że przyjaciele Bryanta prowokowali go i bili się z nim na żarty, ze zrozumieniem skinął głową. Musieli go nauczyć, jak się bić, by móc się z nim publicznie pokazywać. Przyjaźniąc się z człowiekiem uważanym za mięczaka, mieszkaniiec strefy getta mógł stracić szacunek innych i dotychczasową pozycję, a tym samym narazić się na niebezpieczeństwo.

Jak wielu mieszkańców Los Angeles przewodniczący składu przysięgłych wiedział, że morderstwa wśród czarnych na południe od autostrady 10 to zjawisko głęboko zakorzenione w tej społeczności. Zwrócił uwagę na to, że Tennale postanowił mieszkać na terenie kontrolowanym przez komisariat przy Siedemdziesiątej Siódmej, „starając

się czynić dobro i być wzorem dla innych”, był jednak świadom, że zabójstwo jego syna nie przyciągnęło uwagi opinii publicznej. Martwiła go ta obojętność.

– Ludzie uważają, że czarni robią to innym czarnym, a skoro jestem biały, to mnie ten problem nie dotyczy – mówił biały przysięgły. Nagle w jego oczach pojawił się gniewny błysk. – Cóż, czas zrozumieć, że to nieprawda. To także *nasz* problem.

Opowieść o życiu tych dwóch fachowców ze strefy getta – Tannellego i Skaggsa – których zetknęła ze sobą śmierć syna jednego z nich, zapewne zasługuje na spektakularne zakończenie. Jednak prawdę mówiąc, proces Derricka Starksa i Devina Davisa nie był szczególnie ekscytujący. Sprawa, która przez tak długi czas pozostawała nierozwiązana, ostatecznie okazała się zaskakująco prosta i jednoznaczna. Trzeba było tylko nieustępliwości Skaggsa, by skruszyć otaczający ją mur niemocy i obojętności.

Od lat politycy z lewa i z prawa budują w świadomości społeczeństwa pojęcie gangsterskiej przemocy jako swego rodzaju choroby społecznej, groźnej i nieuleczalnej, wyrastającej z głębokiego kryzysu moralnego lub ze skomplikowanej patologii rodzinnej, gospodarczej lub kulturowej.

Proces Tannellego pokazał jednak, że prawda może wyglądać inaczej – że wcale nie byłoby tak trudno wprowadzić porządku prawnego do chaosu bezprawnej przemocy panującej wśród młodych mężczyzn z South Central i że ustanowienie państwowego monopolu na przemoc jest w gruncie rzeczy łatwiejsze, niż się wydaje.

Taka zmiana wymaga jednak określonych kosztów i wysiłku. Aby wprowadzić ją w życie, trzeba być *bardzo wytrwałym*.

Sprawa Tannellego była nie tylko stosunkowo prosta. Była wręcz banalna, pod koniec procesu otworzyła się do tego stopnia, że – jak ujął to Stirling – mógłby ją osądzić nawet siedmiolatek. Wielu ludzi słyszało o tym, co zrobili Devin Davis i Derrick Starks. Plotki krążyły po całej dzielnicy. Sami podejrzani rozmawiali o tym otwarciu. Nie próbowali nawet zacierać śladów. Wplątali w morderstwo młodą kobietę i zakładali, że podporządkuje się ona ich regułom, zachowa milczenie – że zabraknie jej

odwagi, że nie ośmieli się im przeciwstawić, że nie znajdzie dość sił, by odmienić swoje życie i, jak sama to później ujęła, by „być świadectwem”. Myśleli, że ich atak będzie kolejnym ledwie zauważonym, pobieżnie zbadanym incydentem w South Central – krótko mówiąc, typowym przykładem „gangsterskich porachunków” – aż po jakimś czasie dowiedzieli się, że zabili syna policjanta. Sprawę można było łatwo rozwiązać – wystarczyło wywrzeć odpowiedni nacisk na kilka osób. Lyle Prideaux nazwał Skaggsa twardym facetem. Ale Skaggs nie był typowym twardzielem. Był po prostu nieprzejejdany. W jego rękach morderstwa na powrót przybierały właściwy im rozmiar, na powrót stawały się tym, za co uznaje je prawo – zbrodniami, które zawsze należy odpowiednio ukarać.

Świat nie zwracał na to uwagi. Opinia publiczna, znacząca część myślących obywateli kraju i zwierzchnicy Skaggsa nie dostrzegali walki, której Skaggs poświęcił życie. Ale detektyw się tym nie przejmował – odwrócił się plecami do parady.

I tak jak trudno sobie wyobrazić, by rzeczywistość South Central nie wyglądała inaczej, gdyby inaczej funkcjonował tam system prawny – gdyby na przykład aparat sprawiedliwości przypisywał życiu czarnych odpowiednią wartość i odpowiednio reagował na ich śmierć – tak trudno przypuszczać, by tysiące młodych ludzi zmarłych na ulicach hrabstwa Los Angeles w czasie kariery Johna Skaggsa skończyło w taki właśnie sposób, gdyby ich zabójcy wiedzieli, że za każdym razem mogą się spodziewać „specjalności Johna Skaggsa”.

Gdyby każde morderstwo i każdą napaść skierowane przeciwko czarnym badano z determinacją i energią właściwą Skaggsowi – gdyby prowadzono śledztwo tak, jakby ofiarą było dziecko detektywa, albo gdybyśmy wszyscy jako społeczeństwo uznali, że nie możemy tracić tych ludzi – świat strefy getta wyglądałby zupełnie inaczej. Gdyby odsetek rozwiązanych spraw od lat był tak wysoki, jak mógł być zdaniem Skaggsa – gdyby nie funkcjonował na poziomie czterdziestu procent – przemoc nie byłaby zjawiskiem tak powszechnym. Ofiary nie byłyby anonimowe, a Bryant Tennelle nie zginąłby w sposób tak banalny, ledwie zauważalny na tle innych zbrodni.

Sprawa Tannellego była odzwierciedleniem wszystkich innych zbrodni ze strefy getta. Owszem, czasami, jak mawiali detektywi, sprawy „były takie, jakie były” – kilka łusek na ziemi i żadnych świadków. Jednak przypadek Tannellego jednoznacznie dowodził, że można rozwiązać dużo więcej spraw, niż sugerują przerażające statystyki, zarówno napaści, jak i morderstw, i że Potwora, którego Skaggs ścigał przez całą swoją karierę, można pokonać.

To było „coś złego”, jak powiedział pastor. Potwór zrodził się z tego, co najgorsze i najpodlejsze w ludzkiej naturze. Jednak cierpienie, którym dotknął wiele pokoleń czarnych Amerykanów, było jedynie cieniem na ścianie, mroczną plamą wielokrotnie większą od swego źródła, która rozrosła się ze względu na niezrozumienie problemu morderstw wśród czarnych – problemu ludzkiego nieszczęścia wywołanego nieobecnością państwowego monopolu na przemoc.

Tym, co zrodziło Potwora, nie było powszechne zepsucie dręczonego przezeń społeczeństwa. Tym źródłem była raczej słabość aparatu państwowego, który od wielu dziesięcioleci nie potrafił należycie zareagować na krzywdę czarnych i na śmierć w obrębie ich społeczności, nie potrafił uruchomić mechanizmów prawnych najpierw na Południu, a potem w dotkniętych segregacją miastach. Sprawy pozostawały nierozwiązane, z roku na rok gromadziło się ich coraz więcej, czarnych okaleczano i zabijano, nikt za to nie odpowiadał i mało kogo to obchodziło.

Adwokat Starksa Ezekiel Perlo nie słyszał o Skaggsie przed procesem w sprawie Tannellego. Ostatniego dnia swojej kariery prawniczej wyszedł z sądu z poczuciem kompletnej klęski, przytłoczony ze wszystkich stron materiałem dowodowym, który zgromadzono w sprawie przeciwko jego klientowi. Był wtedy przekonany, że Skaggs należy do elity detektywów RHD i że odesłano go stamtąd specjalnie do tej sprawy.

Później, gdy poznał prawdę – gdy dowiedział się, że Skaggs to zwykły detektyw z miejscowego komisariatu, który niemal całą karierę spędził na ulicach Watts, a jego dokonania w ogóle nie są znane dowódcy wydziału zabójstw z komendy – kręcił głową ze zdumienia. Powiedział też, że gdyby

dowództwo policji miało trochę oleju w głowie, Skaggs „już dawno szkoliłby detektywów”.

Później, z własnej inicjatywy, Perlo dorzucił komentarz, który stanowi clou tej historii:

– Gdyby wszystkie śledztwa prowadzono tak jak w przypadku Tennellego, nie byłoby nierozwiązanych spraw.

Zarówno Starks, jak i Davis zostali skazani na dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego.

Korzystając z prawa, które pozwala krewnym ofiary przemawiać w sądzie, Yadira Tennelle zabrała głos podczas ogłoszenia wyroku dla Devina Davisa.

Zmusiła Davisa, by na nią spojrzał.

A potem mu wybaczyła.

Lecz symbolicznym obrazem tych wydarzeń była nie Yadira stojąca naprzeciwko Davisa, lecz osamotniony Wally Tennelle, który po odczytaniu wyroku dla Starksa nie potrafił powstrzymać łez.

Tamtego dnia koledzy detektywa wyszli z sądu bez niego. Tennelle celowo został dłużej na miejscu, uprzejmie podziękował obu prokuratorom, a potem ociągał się jeszcze przez chwilę, aż sala i sądowe korytarze niemal całkowicie opustoszały. Upewniwszy się, że ma wolną drogę, przeszedł do niemrawej, skrzypiącej windy, zjechał na dół i wyszedł w chłodne, wilgotne popołudnie.

W centrum Los Angeles zerwał się wiatr, nad ziemią zbierała się mgła. Z biurowców wychodziły grupki ludzi, którzy właśnie skończyli pracę i wracali do domu.

Maszerując wzdłuż Spring Street w chłodnym wiosennym powietrzu, Tennelle starał się wrócić na dobre do teraźniejszości. Z jego twarzy zniknęły ślady łez. W oczach wciąż kryła się udręka, ten charakterystyczny znak cierpienia właściwy wszystkim, którzy stracili kogoś bliskiego w wyniku zabójstwa, poza tym jednak był równie rzeczowy i spokojny, jak zawsze, profesjonalista w każdym calu. Nie tracąc ani chwili więcej, wrócił

na szkolenie poświęcone antyterroryzmowi, wypełniając jeden z wielu obowiązków związanych z pracą „detektywa policji w Los Angeles”.

Smagane wilgotnym wiatrem miasto było niekompletne. Brakowało mu syna – bo Bryant Tennelle był nieodrodnym synem tej metropolii, uosobieniem jej najlepszych cech, jej piękna, ducha pracowitości i przedsiębiorczości, hojności i artystycznej swobody. Był członkiem rodziny pracowników miejskich, w połowie Murzynem, w połowie Latynosem, który wytatuował sobie na plecach jej imię: „Los Angeles”. Bryant Tennelle miałby udane życie, gdyby przeszedł tylko przez trudny okres dorastania, w którym zabrała go śmierć. Było w nim zbyt dużo dobra, zbyt dużo uczciwości i siły właściwych rodzinie Tennelle, by mogło stać się inaczej. Powinien być częścią tego miejskiego wieczora, kręcić się gdzieś w zapadającym zmroku, realizować kolejny plan – powinien śmiało kroczyć przez życie. Fakt, że jednak go tam nie było, wydawał się widomym wyrzutem sumienia.

Gdy Wally Tennelle zniknął między murami miasta pozbawionego Bryanta, chmury zbierające się pod niebem i porywisty wiatr wypełniły metropolię niesamowitą, upiorną atmosferą. Wydawało się, że podobnie jak Joyce Cook nie chcą widzieć na ulicach Los Angeles kolejnych świateł, bo i tak krąży tu zbyt wiele duchów zamordowanych. Tennelle wrócił do pracy, służąc miastu, które na niego nie zasługiwało. Miasto żyło swoim rytmem, obojętne na losy tych, których zabrakło wśród jego mieszkańców.

Nawet jeśli w przyszłości ktoś wyciągnie naukę ze sprawy morderstwa Bryanta, jeśli ktoś spożytkuje wkład, jaki wniósł do tego śledztwa John Skaggs, tych ludzi wciąż będzie brakować. Straty pozostaną nieoszacowane. Już nigdy nie będziemy tacy, jacy moglibyśmy być.

„Wszyscy ci niewinni ludzie!”, biadał kiedyś John Skaggs. Było ich bardzo wielu, to prawda. Zamordowano Bryanta Tennellego i wielu, wielu innych. Zginęło tak wielu czarnych mężczyzn.

## EPILOG

Derrick Starks był dwukrotnie przenoszony do innego więzienia, spędził też jakiś czas w więziennej izolatce, a ostatecznie trafił do Pelican Bay State Prison niedaleko granicy z Oregonem, miejsca tak odległego, że nawet jego matka przyjeżdżała doń w odwiedziny tylko raz na kilka miesięcy. Węzienie znajduje się nad odludną, smaganą wiatrem laguną nazywaną Lake Earl, około piętnastu kilometrów na północny wschód od miasteczka Crescent City. Dla mieszkańców Los Angeles, przywykłych do ciepłego klimatu, to miejsce jest chłodne i surowe. Starks całymi dniami siedział samotnie w celi i patrzył na betonowy mur. Pod murem kwitły żółte mleczce. Kwiaty fascynowały Starksa. Zamykały się na noc, otwierały rankiem i przez cały dzień odwracały główki do słońca. Jak one to robiły? Nagle przyszła mu do głowy prosta odpowiedź.

– One żyją! – Jego głos był pełen zdumienia i podziwu.

Starks większość czasu był w celi sam, bez współwięźniów, uważano go bowiem za niebezpiecznego. Wcześniej wdawał się w różne bójki i awantury z innymi osadzonymi. Mówił, że lubi być sam – lubił nawet przebywać w więziennej izolatce – bo było to lepsze niż przebywanie w towarzystwie. Współwięźniowie tylko go irytowali. Zgodnie z polityką kierownictwa więzienia przetrzymywano go w tym samym miejscu co innych członków gangu Blocc Crips, wśród których znajdowali się również jego byli znajomi z dzielnicy. Nie podobało mu się to. Zauważył, że bójki między członkami tego samego gangu zazwyczaj były brutalniejsze niż walki między gangsterami z różnych dzielnic. Bardziej obawiał się tych pierwszych.

Często myślał o tym, że wolałby umrzeć, niż żyć w takich warunkach. Niemniej jednak, spoglądając na szare niebo za oknami więzienia, dodawał,

że często myślał w podobny sposób, gdy był jeszcze wolny: życie na zewnątrz również wydawało się swego rodzaju więzieniem. Nie mógł się zapuszczać do różnych części miasta, nie mógł też uciec od swoich gangsterskich powiązań. Nauczył się grać twardziela bez względu na to, czy miał ochotę strzelać, czy nie.

– Robisz wszystko, żeby to dobrze wyglądało – mówił.

Opowiadał, jak na początku jego przestępczej kariery pewien starszy gangster wcisnął mu pistolet w dłoń i nakierował lufę na cel, wypowiadając tylko jedno słowo: „Masz”. Uwielbiał swój rodzinny dom w pobliżu Baton Rouge. Był spokojny, odległy od ulicznych porachunków i przemocy, ale krewni z tamtej okolicy nie chcieli go zaakceptować. Mówili, że jest zbyt brutalny, zbyt „gangsterski”, jak sam to ujął. Wrócił do swojej dzielnicy.

Starks bez większych oporów przyznał, że kłamał w sądzie. Mówił, że zrobił to w akcie desperacji. Z uporem twierdził, że jest niewinny. Powtarzał, że Devin Davis dopuścił się morderstwa z Bobbym Rayem Johnsonem, „Guttą”, kuzynem mężczyzny na wózku inwalidzkim, że była tam również Jessica Midkiff i że później wszyscy zawiązali spisek, by fałszywie go oskarżyć. Mówił, że kręcił się w tym czasie po dzielnicy, ale nie pamięta, co dokładnie robił. Dodawał też, że chce wyjść z więzienia, że musi się z niego wydostać – jakoś. Powtarzał to kilkakrotnie. „Wyjdę stąd”. Wyrażał współczucie dla Tannellego, choć nie mógł sobie przypomnieć jego imienia.

– Wallace? – spytał.

Był zły na Skaggsa. Wydawało się jednak, że nie ma żadnych pretensji do Phila Stirlinga, prokuratora, który go uwięził. Przyznał nawet, że zdążył go polubić.

Nieco lepiej powiodło się Devinowi Davisowi. Odsiadywał dożywotni wyrok w California State Prison w Lancaster, zakładzie karnym położonym najbliżej Los Angeles. Zdecydował się skorzystać ze specjalnego programu ochronnego i zerwać powiązania z gangiem (podobny status wybrał później również Starks). Opisywał swoje środowisko więzienne jako spokojne i bezpieczne. Davis został muzułmaninem i wyglądał w więzieniu znacznie zdrowiej niż podczas procesu. Wyszczupłał, ważył trochę ponad



siedemdziesiąt kilogramów. Wcale nie narzekał na uwięzienie, wydawał się zadbany, energiczny i spokojny. Mówił, że regularnie zażywa lekarstwa na swoje różne dolegliwości, między innymi zaburzenia afektywne dwubiegunowe. Wciąż jednak nieustannie wodził dokoła oczami, gwałtownie się poruszał i szybko mówił. Podczas spotkania twarzą w twarz wydawał się bardziej zdenerwowany i nieprzewidywalny niż Starks, wypowiadał się również znacznie mniej składnie.

Davis opowiadał o walkach między gangami, w których brał udział, nim trafił do więzienia. Bronił swojej roli.

– Sami musimy pilnować porządku – tłumaczył.

W reakcji na uwagę, że członkowie gangów nie są najlepszymi kandydatami na stróżów prawa, roześmiał się.

– Tak, gangi strzelają do wszystkich – powiedział. – Jeśli jesteś czarny.

On także zaprzeczał, jakoby był zamieszany w morderstwo Tannellego, przedstawiał jednak inną wersję wydarzeń niż Starks. Mówił, że Starks, Midkiff i Bobby Ray Johnson zabrali go ze sobą do samochodu, ale nie znał ich planów i w ogóle nie wysiadał po drodze. Tylko w jednym względzie jego relacja zgadzała się z tym, co opowiadał Starks: podobnie jak on Davis twierdził, że w samochodzie był również Johnson i że to właśnie on dokonał morderstwa. Poza tym oba opisy wydarzeń miały ze sobą niewiele wspólnego. Davis powiedział, że celowo przyznał się do winy podczas przesłuchania prowadzonego przez Skaggsa. Utrzymywał, że wcześniej zgodził się wziąć na siebie winę Johnsona, myślał bowiem, że jako nieletni otrzyma łagodny wyrok. Lecz pomimo tych deklaracji nie robił nic, by zmienić wyrok i wyjść na wolność. Mówił, że nie wie, co robiłby po wyjściu z więzienia – jak by przeżył. „Tak jest dobrze”, powtarzał, wypytany o tę bierność. Wspominał też o rodzinie Tannelle.

– Oni stracili jego życie, ja straciłem swoje. Tak jest sprawiedliwie.

Skaggs nadal pracuje dla LAPD jako detektyw prowadzący sprawy morderstw, czasami umawia się na lunch z Jessicą Midkiff, która pracuje na pełny etat i konsekwentnie osiąga swoje cele; całkowicie zerwała z dawnym stylem życia. Sfrustrowany zsyłką do komisariatu Olympic, Skaggs po zakończeniu procesu w sprawie Tannellego próbował wrócić do

South Bureau. Nim jednak zdołał dopiąć swego, dał wyraz irytacji na niewydolną, jak uważał, strukturę administracyjną w swoim nowym wydziale. Postrzegał ją jako wadliwą, nieskuteczną i szkodliwą dla pewnych istotnych praktyk śledczych.

Nie zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami tego kroku, wysłał do swego dowódcy ostrą notę służbową, w której krytykował organizację pracy wydziału i sugerował, że ze względu na małą liczbę spraw działalność śledcza West Bureau dotycząca morderstw powinna zostać scentralizowana. Opisał też z grubsza, jak działałaby taka scentralizowana jednostka. Dowodził, że prócz wielu innych korzyści taka struktura zapewniłaby młodemu detektywowi odpowiednie i stałe obciążenie pracą. Pisał, że dzięki temu uczyliby się lepiej i szybciej. Zapewnienie odpowiedniej liczby spraw nigdy nie stanowiło problemu w South Bureau, ale w West Bureau zdarzało się, że detektywi całymi miesiącami nie mieli co robić.

Dowódcy spodobał się ten pomysł. Nim Skaggs zrozumiał, co się dzieje, poproszono go, by pokierował nowym, scentralizowanym wydziałem zabójstw w West Bureau zgodnie z wytycznymi, które sam zaproponował. Skaggs uświadomił sobie poniewczasie, że nie może się już wycofać. Nadal pracuje w West Bureau. Teraz jest nieco bardziej znaną postacią. Mówi jednak, że tempo nadal jest wolne. Tęskni za pracą w południowych dzielnicach. Zbliża się jednak do emerytury, więc raczej już tam nie wróci.

Gdy młodszy brat Barbary Pritchett był bliski ukończenia szkoły średniej, Barbara mogła się cieszyć myślą, że po raz pierwszy od czasów wczesnej młodości nie będzie musiała opiekować się dziećmi. Potem jedna z jej sióstr umarła podczas porodu. Dziecko przeżyło. Pritchett zabrała malca do domu, nakarmiła go i zaopiekowała się nim. Wychowuje więc od początku kolejne dziecko, choć zbliża się już do pięćdziesiątki. Wciąż płacze podczas rozmów o Dovonie. Nadal mieszka w Watts. Niedawno zamordowano jednego z jej kuzynów.

Sam Marullo doszedł do wniosku, że dłużej nie zniesie pracy w jednostce do walki z gangami. Zrzucił niebieski mundur i wrócił do wydziału zabójstw. Ponownie przydzielono go do South Bureau, gdzie

znów jest jednym z najskuteczniejszych śledczych. W końcu otrzymał rangę detektywa najniższego stopnia, D-1. Christine Jackson, ciotka Charlesa Williamsa, ofiary w jego pierwszej sprawie, oznajmiła niedawno:

– Jestem z niego bardzo dumna.

Nathan Kouri pracuje w tym samym wydziale. Pritchett opisała go słowami, które chyba najlepiej charakteryzują jego obecny status:

– Nate to zawsze Nate.

Jego szefem jest Rick Gordon, który nazywa Kouriego jednym z najsilniejszych śledczych w grupie. Sal La Barbera zmieniał posady w obrębie wydziału zabójstw, obecnie pracuje u boku porucznika i myśli już o emeryturze. „Cykl odwetów” między członkami Main Street Crips i Hoovers, który zaczął się w tym samym tygodniu, gdy zginął Da’Quawn Allen, trwał do czasu powstawania tej książki. Kolejną ofiarą był dwudziestojednoletni Harold Germany, jeden z młodych mężczyzn, którzy brali udział w opisywanym tu czuwaniu przy trumnie Da’Quawna. Jego sprawa nie została rozwiązana. Niedawno w wyniku tego samego konfliktu zginął Jarret Crump, dwudziestojednoletni dozorca. Zastrzelono go, gdy jechał na kolację samochodem, który omyłkowo wzięto za własność gangstera Main Street Crips.

Wally Tennelle nadal pracuje w RHD i z podziwu godną regularnością rozwiązuje kolejne sprawy. Państwo Tennelle mają już kilkoro wnuków i są bardzo mocno zaangażowani w życie rodzinne. Mieszkają w tym samym domu, w którym wychował się Bryant.

Motyw zabójstwa Bryanta pozostaje niewyjaśniony. Skaggs uważa, że Starks i Davis mogli polować na znajomych Bryanta z tej samej dzielnicy i że Bryant zginął przez pomyłkę, jako swego rodzaju kozioł ofiarny. Skaggs utrzymuje również, że okoliczności zabójstwa wskazują na jakąś osobistą urazę, a nie tylko walkę gangów. Zwraca uwagę na to, że zeznania zarówno Midkiff, jak i Davisa dowodzą, iż Starks chciał trafić w konkretne, wcześniej zapamiętane miejsce – właśnie na tę, a nie inną ulicę. Jeśli Skaggs się nie myli, można uznać, że to zabójstwo – podobnie jak wiele innych „gangsterskich porachunków” – było konsekwencją jakiejś kłótni, może bójk. Oznaczałoby to, że Skaggs ma rację w jeszcze innej kwestii:

czapka Bryanta nie miała tu większego znaczenia. Davis zabił go tylko dlatego, że znalazł się w tym konkretnym miejscu.

W odmiennych zeznaniach Davisa i Starksa trudno się doszukać informacji, które pozwoliłyby lepiej zrozumieć tę sprawę. Ten ostatni powiedział jednak coś, co – choć trudne do zweryfikowania i służące głównie podkreśleniu jego niewielkiej roli w zabójstwie – wydaje się bliskie prawdy.

Starks powiedział, że Bobby Ray Johnson, choć przez wielu lubiany i kochany, był w tym czasie okropnym pijakiem. Jakiś czas przed śmiercią Bryanta pijany Johnson uderzył starszego, powszechnie szanowanego członka Bloccs. Kilku ważnych przywódców gangu planowało go zabić w akcie zemsty. Jak twierdził Starks, Johnson musiał dowieść swojej lojalności. Właśnie to było przyczyną morderstwa. Spytny, czy Johnson zginął kilka miesięcy później z tego powodu, Starks pokręcił głową. Mówił, że to całkiem osobna historia – związana z kobietą. W odpowiedzi na pytania dotyczące zabójcy Bobby'ego Raya Johnsona skrzywił się tylko lekceważąco.

– Wszyscy wiedzą, wszyscy wiedzą! – odparł.

W czasie, gdy powstawała ta książka, liczba morderstw w Los Angeles spadła do poziomu, który na przełomie wieków, gdy Skaggs trafił do Southeast, wydawałby mu się niewyobrażalnie niski. W 2010 roku, kiedy sądzono Starksa i Davisa, odsetek zabójstw wśród czarnoskórych mężczyzn w wieku dwudziestu–dwudziestu czterech lat zmalał do około stu pięćdziesięciu ośmiu na sto tysięcy, czyli wartości o ponad połowę mniejszej niż w Grubych Latach, choć oczywiście i tak nadal jest dwadzieścia–trzydzieści razy większy niż średnia krajowa. Od tamtej pory wspomniany odsetek wciąż systematycznie maleje. Szczególnie duży spadek zanotowano w Los Angeles. W 2011 roku w mieście popełniono dwieście dziewięćdziesiąt siedem morderstw. W 2013 roku było ich dwieście pięćdziesiąt jeden, co stanowi zdumiewającą różnicę. Wciąż jednak można tu zaobserwować tendencje znane z wcześniejszych lat: na terenach o szczególnie wysokim poziomie przestępczości, kontrolowanych

przez trzy komisariaty – Southeast, Southwest i przy Siedemdziesiątej Siódmej – popełniono sto dziewięć zabójstw, czyli czterdzieści trzy procent wszystkich morderstw odnotowanych w całym mieście. Niemal wszystkie ofiary były mężczyznami, ponad trzy czwarte stanowili czarni (dwa razy więcej niż odsetek czarnych mieszkańców tego obszaru), a osiemdziesiąt cztery procent zabójstw, w których ustalono podejrzanych, dotyczyło wyłącznie tej rasy (czarni byli zarówno sprawcy, jak i ofiary). Mimo to ogólny spadek liczby morderstw pozwolił wydziałom śledczym LAPD nieco odetchnąć – uporządkować archiwa, a przy tym rozwiązać zarówno więcej nowych spraw, jak i część starych. Detektywi mają mniej pracy i więcej czasu, wzrasta wykrywalność. Barak z dokumentacją ustawiony za komisariatem Southeast jest już niepotrzebny – policja wreszcie wprowadza te sprawy do komputerowych baz danych. Laboratorium badające broń palną niedawno wprowadziło nowe metody, które pozwalają szybciej i precyzyjniej dopasować pociski do rewolwerów.

Do spadku liczby morderstw przyczyniło się kilka neutralnych czynników, kilka pozytywnych i przynajmniej jeden negatywny. W przypadku Los Angeles jedną z oczywistych przyczyn są zmiany demograficzne. Czarnoskóra część populacji miasta szybko znika: kiedyś czarni stanowili jedną piątą mieszkańców Los Angeles, a w spisie powszechnym z 2010 roku było ich zaledwie dziewięć procent. Liczba ta maleje z roku na rok, ponieważ czarni mieszkańcy miasta przenoszą się do podmiejskich osiedli i miejscowości. Do pewnego stopnia wraz z nimi przenosi się duży odsetek zabójstw. Jednak z tą zmianą zbiegło się również – tak długo wyczekiwane – osłabienie zjawiska segregacji rasowej<sup>145</sup>, która przyczyniała się do olbrzymiej liczby morderstw. Gdy czarni mieszkańcy zaczęli się w końcu integrować z mobilnymi, mieszanymi rasowo społecznościami, Potwór został zmuszony do odwrotu.

Być może tę zmianę wspomógł, przynajmniej w części, rozwój pewnych mechanizmów społecznych – wzrost zasiłków wypłacanych najbiedniejszym z czarnoskórych mieszkańców, szczególnie mężczyznom, zwłaszcza w formie SSI (Supplemental Security Income – Uzupełniającej Zapomogi Rządowej, zasiłku przeznaczonego dla niepełnosprawnych).

Jedną z przyczyn tych zmian są reformy więziennictwa. Federalna *Second Chance Act* (ustawa drugiej szansy) przyjęta w 2005 roku umożliwiła przyznawanie SSI więźniom wracającym do społeczeństwa: wielu ma prawo do tej zapomogi, ponieważ u jednej trzeciej z nich diagnozuje się choroby psychiczne. Jak już zauważyliśmy wcześniej, niezależność – również finansowa – to czynnik sprzyjający ograniczeniu liczby zabójstw. Żywa gotówka wypłacana konkretnym ludziom to potężna broń – autorka tej książki obserwowała, jak w ciągu dekady SSI zmienia wiele wymiarów życia w South Central. Zmiany te były szczególnie znaczące w przypadku ubogich czarnoskórych mieszkańców. Potwierdzenie tych obserwacji można znaleźć również w danych statystycznych: w 2009 roku odsetek Afroamerykanów w wieku produkcyjnym objętych SSI<sup>146</sup> był dwukrotnie większy od całkowitego procentowego udziału czarnych w społeczeństwie, a dzieci Afroamerykanów stanowiły niemal jedną trzecią beneficjentów SSI w wieku piętnastu–siedemnastu lat. Czarnoskórzy odbiorcy SSI są zwykle biedniejsi i gorzej wykształceni niż ogół beneficjentów tego zasiłku, co dowodzi, że te pieniądze rzeczywiście trafiają w ręce biedoty miejskiej – w tym dorosłych mężczyzn, których do tej pory z zasady wykluczano z programów opieki społecznej.

Pieniądze przekładają się na niezależność. Niezależność finansowa przypomina niezależność prawną. Pomaga likwidować enklawy dotknięte wysokim poziomem przestępczości, ograniczając wpływy środowisk kryminalistycznych i zmniejszając ryzyko konfliktu. Duża liczba biednych Afroamerykanów, którzy, jak sami to określają, „są na zasiłku” – wielu z nich cierpi na zaburzenia psychiczne takie jak ADHD i choroba afektywna dwubiegunowa – otrzymuje wsparcie finansowe, na jakie nigdy dotąd nie mogła liczyć grupa społeczna skazana do tej pory na niemal całkowitą marginalizację gospodarczą. Osiemset dolarów miesięcznie z pewnością odmienia życie bezrobotnego byłego więźnia. Dzięki temu wsparciu postrzega z innej perspektywy różne zagrożenia, korzyści i ryzykowne przedsięwzięcia. Może się przeprowadzić, porzucić towarzystwo gangsterów, popełniać mniej przestępstw, unikać większej liczby konfliktów. Wielu ludzi bez wątpienia będzie krytykować ten trend

i wskazywać na ogromne koszty SSI. Jednak autorka tej książki nie może potępiać programu, który prawdopodobnie ocalił wiele ludzkich istnień, a innym oszczędził ogromnych cierpień.

Tym, których nie przekonują względy czysto humanitarne, warto przypomnieć, że morderstwa również są kosztowne. Ubezpieczenie zdrowotne, które mogą uzyskać ci sami biedni Afroamerykanie dzięki nowej ustawie *Affordable Care Act* (ustawa o przystępnej opiece zdrowotnej), w jeszcze większym stopniu zmieni obecną sytuację.

Inny czynnik, który przyczynił się do zmniejszenia odsetka morderstw wśród czarnej społeczności, z pewnością nie należy do pozytywnych zjawisk – jest nim to, że duża liczba czarnych mężczyzn przebywa w zakładach karnych. Uwięzienie ogranicza liczbę morderstw, bo czarnoskórzy mężczyźni są tam bezpieczni – znacznie większe zagrożenia czekają na nich poza murami więzień niż w ich obrębie. W latach 1972–2000 odsetek uwięzionych obywateli zwiększył się w Kalifornii pięciokrotnie. W tej ogromnej społeczności, złożonej z dziesiątek tysięcy więźniów, głównie Latynosów i czarnych, bardzo rzadko dochodzi do morderstw. Jednak chyba nikogo nie trzeba przekonywać, że to kiepski – i bardzo kosztowny – sposób na rozwiązanie problemu omawianego w tej książce. Prawdopodobnie liczą się także inne czynniki, takie jak: sprzedaż narkotyków za pośrednictwem telefonii komórkowej, nadużywanie ogólnie dostępnych farmaceutyków, gry komputerowe, które zatrzymują młodych ludzi w domu, czy też lepsze zachowanie policji (co w dużej mierze jest zasługą byłego komendanta LAPD Bernarda Parksa).

Ogólnie rzecz biorąc, mieszkańcy Ameryki są teraz znacznie bezpieczniejsi niż dawniej, z czego oczywiście należy się cieszyć. Jednak każdy, kto zajmuje się zagadnieniem morderstw w hrabstwie Los Angeles i gdzie indziej, nie może uciec od oczywistych wniosków: czarnoskórzy mężczyźni stanowią nieproporcjonalnie duży odsetek ofiar. Rozwiązanie tej kwestii wymaga podjęcia wszelkich możliwych wysiłków. Ludzie mogą mieć różne zdania co do środków zaradczych – szczególnie proporcji zapobiegania do reagowania – wszyscy jednak powinni przyznać, że problem jest naglący.

W okresie, gdy doszło do wydarzeń opisywanych w tej książce, problem morderstw stracił dwóch spośród swoich wielkich intelektualnych orędowników – byli nimi William J. Stuntz i Eric Monkkonen. Obaj ci uczeni uważali, że zrozumienie kwestii przemocy musi wynikać z badań nad strukturą prawa i działaniem instytucji prawnych. Obaj zmarli młodo, na raka. Inni muszą ich zastąpić i wykonać trudną pracę niezbędną do zatrzymania tej zarazy. Stuntz zmarł w 2011 roku. Podsumowanie tego zagadnienia, którym zajmował się przed laty, pozostaje aktualne: „W biednych czarnych dzielnicach wciąż jest zbyt mało takich działań policji i takich kar, które przynoszą najwięcej korzyści, i wciąż zbyt dużo takich, które najbardziej szkodzą”. Monkkonen, nauczyciel akademicki z UCLA, zmarł w 2005 roku. Niestety nie mógł być świadkiem zdumiewającego spadku przestępczości w Los Angeles. Zostawił jednak na przyszłość to przesłanie: „Najważniejsze zadanie dla XXI wieku to dążenie do obniżania poziomu przestępczości, nawet jeśli wydaje się, że takie zjawisko zachodzi bez naszej pomocy”.



## OD AUTORKI

Niniejsza książka jest owocem reportaży o zabójstwach w Los Angeles, które zaczęłam pisać pod koniec 2001 roku, gdy „Los Angeles Times” przydzielił mnie do policyjnego patrolu, a zakończyłam w 2012 roku, gdy zebrałam materiały.

Po roku lub dwóch latach wspólnego patrolowania ulic poprosiłam dowództwo LAPD, by pozwolono mi osiąść w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Dostałam swoje biurko w pokoju detektywów na pierwszym piętrze komisariatu. Od tamtej pory skupiałam się na ulicach South Bureau, policyjnych radiowozach i wezwaniach docierających do komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej i sąsiednich jednostek. Pisałam reportaże o morderstwach, rozmawiałam ze świadkami, z gapiami, podejrzanymi, rodzinami ofiar. W tym okresie poznałam Salę La Barberę, a także Johna Skaggsa i Chrisa Barlinga. Mniej więcej w owym czasie zaczęłam też gromadzić dane, które spożytkowałam w tej pracy. Korzystałam przy tym z pomocy analityków z LAPD, epidemiologów z Programu Przeciwdziałania Przemocy i Urazom przy Departamencie Służby Zdrowia Hrabstwa Los Angeles oraz pracowników Biura Koronera Hrabstwa Los Angeles.

Pod koniec 2006 roku uruchomiłam „Kronikę zabójstw” na stronie internetowej „Los Angeles Times”. Chciałam w ten sposób zapewnić zainteresowanym wyczerpujące, codziennie aktualizowane informacje o wszystkich zabójstwach popełnianych na terenie hrabstwa. W ciągu następnych dwóch lat opisałam około tysiąca morderstw, pracując głównie w samochodzie – fordzie escorcie z 2001 roku. Woziłam ze sobą policyjne radio, jeździłam na miejsca zbrodni, rozmawiałam z ludźmi spotkanymi na ulicy, poznawałam policjantów. Nim uruchomiłam swojego bloga,

zdążyłam już opisać wiele morderstw, dobrze znałam też statystyki dotyczące tego tematu. Mimo to uważałam, że jest to bardzo kształcące i odkrywcze przedsięwzięcie. Nagle zobaczyłam, jak statystyki tworzą się w rzeczywistości – dotknęłam żywych danych, a nie tylko je odczytywałam. Każda ofiara, każdy zrozpaczony krewny, każdy zapracowany detektyw łączyli się z jakimś punktem na moim twardym dysku, jakbym – przemierzając bez ustanku ponad dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych hrabstwa – prowadziła swojego escorta przez olbrzymi plik Excela. Dostrzegałam schematy, których nie widziałam wcześniej, tworzyłam nowe kategorie, by zachować porządek w swoich tabelach. „Dom gangu”. „Impreza”. „*Hangfire*” (w żargonie szeryfów przypadki, gdy ofiary przez dłuższy czas przebywają w szpitalach lub domach opieki). Już nigdy nie spojrzę na statystyki w ten sam sposób. W 2007 roku pokrótce opisałam sprawy Bryanta Tannellego oraz Dovona Harrisa – poznałam Barbarę Pritchett, matkę Dovona, gdy kilka dni po śmierci chłopca zapukałam do drzwi jej domu.

W połowie 2008 roku „Times” zawiesił działanie „Kroniki zabójstw”, a ja zaczęłam pracować nad tą książką. Przez następne pięć lat, w przerwach między innymi zadaniami i zobowiązaniami osobistymi, zbierałam dane i pisałam. W czerwcu 2008 roku ponownie zajęłam miejsce w komisariacie przy Siedemdziesiątej Siódmej, by obserwować pracę detektywów, tak jak to robiłam na początku dekady. Podczas mojej nieobecności do jednostki La Barbery dołączyli Sam Marullo i Nathan Kouri, którzy pracowali teraz pod tym samym dachem co wydziały z komisariatu przy Siedemdziesiątej Siódmej i Southwest. Przez ponad rok towarzyszyłam detektywom z Southeast podczas wyjazdów na miejsca zbrodni, chodziłam z nimi na posiedzenia sądu i obserwowałam przesłuchania, a wieczorami i w weekendy odwiedzałam rodziny ofiar, uczestniczyłam w pogrzebach lub spacerowałam po ulicach. Kolejne miesiące poświęcałam na wywiady i pracę w bibliotece.

Wszystkie wydarzenia, miejsca i szczegóły opisane w tej książce całkowicie odpowiadają prawdzie, ponieważ albo obserwowałam je osobiście, albo zrekonstruowałam po fakcie na podstawie rozmów

z uczestnikami zdarzenia. Tam, gdzie było to możliwe, weryfikowałam informacje jeszcze na podstawie dokumentów sądowych, policyjnych raportów i innych oficjalnych materiałów. Wszystkie nazwiska są prawdziwe – niektóre pominęłam ze względów bezpieczeństwa, szczególnie w przypadku świadków, którzy mogli się obawiać odwetu.

Duży problem sprawiało mi pogodzenie oficjalnych danych dotyczących morderstw z danymi, które zbierałam sama, przygotowując reportaże. Jak wspomniano w książce, oficjalne informacje o wykrywalności często mijają się z tym, co mówią detektywi zapytani wprost: „Czy sprawcom postawiono zarzuty?”. Jednak zdumiewająco często pojawiają się także różnice w bezpośrednich relacjach. Określanie wykrywalności niesie ze sobą wiele złożonych i niezrozumiałych problemów, które nieraz przyprawiały mnie o ból głowy.

Przygotowując tę książkę, posiłkowałam się w dużej mierze listami morderstw zgromadzonymi przez biuro koronera, które potem porównywałam z danymi policyjnymi, relacjami detektywów i własnymi obserwacjami, jest to bowiem najbardziej wiarygodne i wyczerpujące źródło informacji, na jakie mogłam liczyć. Przygotowane przeze mnie tabele zawierają nazwiska ofiar, okoliczności śmierci, a w wielu przypadkach także obserwacje poczynione na miejscu zbrodni czy pogrzebie oraz informacje dostarczone przez rodziny i detektywów. Próbując uzyskać wiarygodne dane o wykrywalności, przez lata potwierdzałam oficjalne informacje – kontaktowałam się z detektywami przydzielonymi do danych spraw lub ich przełożonymi i pytałam o rzeczywisty obraz sytuacji.

Od wielu lat próbuję zgłębić tajemnicę nieproporcjonalnie dużej liczby zabójstw wśród czarnych. Współzależność nie jest przyczyną. Chciałam wiedzieć, co dokładnie się dzieje i dlaczego. Szukałam odpowiedzi w faktach i obserwacjach, próbowałam unikać łatwych spekulacji i stereotypów. Opierałam się głównie na tym, co sama widziałam lub słyszałam od tych, którzy byli bezpośrednio powiązani z morderstwami. Starałam się bardzo uważnie wysłuchiwać krewnych ofiar – szukałam rodziców, rodzeństwa, małżonków i dzieci zamordowanych

Afroamerykanów, ludzi, których opinie są niedoceniane i zbyt rzadko w ogóle brane pod uwagę w ogólnokrajowych debatach dotyczących sądownictwa karnego. Choć wymagało to ode mnie dużego wysiłku i samozaparcia, szukałam osób dotkniętych wielkim cierpieniem, przekonana, że ludzie uciekają od tego problemu ze względu na jego smutną i poruszającą naturę. Te właśnie rozmowy sprawiły, że zajęłam się kwestią morderstw wśród czarnych również od strony naukowej, zapoznałam się z historią tego zagadnienia oraz polityką władz odpowiedzialnych za rozwiązanie problemu. Choć więc statystyki są ważne – duży odsetek zabójstw wśród czarnych był przecież powodem, dla którego napisałam tę książkę – podobnie jak John Skaggs uważam, że ważniejsze są praca w terenie i prawdziwe bezpośrednie doświadczenia. Ta książka jest próbą opisanie wszystkiego, czego się dowiedziałam – wiem, że to jedynie poszlaki, ale takie, które widziałam na własne oczy.

## PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstałaby bez wytrwałego i inteligentnego wsparcia mojego brata Stevena Leovy'ego, który czytał wszystkie szkice i wstępne wersje, sprawdzał fakty, dyskutował ze mną i doradzał mi na każdym etapie, choć sam pracuje na pełny etat i ma swoje obowiązki. Wydawało się, że jako inżynier nie będzie miał zbyt wiele do powiedzenia w kwestiach literackich, brał jednak udział w tworzeniu tej pracy na każdym poziomie, od najważniejszych zagadnień pisarskich po szczegóły dotyczące slangu, wspierał mnie również moralnie i udzielał praktycznej pomocy. Nie znajduję słów wdzięczności, które mogłyby się równać jego zaangażowaniu. Mogę tylko powtórzyć, że nie byłoby tej książki, gdyby nie on.

Wielu innych ludzi pomagało mi na różne sposoby, w mniejszym lub większym stopniu. Nie zdołam wymienić tutaj wszystkich, należą jednak do nich moi redaktorzy i współpracownicy z „Los Angeles Times”, którzy uruchomili projekty będące podstawą tej książki. Byli to między innymi: John Spano, Sam Enriquez, Miriam Pawel, Doug Smith, Sandi Poindexter oraz w szczególności Gale Holland, jedyna w swoim rodzaju redaktorka i przyjaciółka, która pomagała mi tworzyć „Kronikę zabójstw” i również czytała wstępne tej książki. Winna jestem wyrazy wdzięczności całej rzeszy ludzi z LAPD – wielu z nich, także tych, którzy nie zostali tu wymienieni z nazwiska, cierpliwie znosiło moją natarczywość, starając się, bym wszystko należycie zrozumiała i opisała. Na krótkiej liście moich dobroczyńców muszą się znaleźć: Matt Mahoney, Glenn Krejci, Pat Gannon, Dorayya Dasari, Gerry Pantoja, Roger Allen, Rick Gordon, David Garrido, Carlos Velasquez, Kyle Jackson, Paul Vernon, Mike Owens, Brent Josephson oraz przede wszystkim Kerri Potter i Mark Hahn. Szczególnie

dziękuję Tomowi Eimanowi, o którym wspominam tu tylko pobieżnie, a który służył mi licznymi radami i przemyśleniami. Dziękuję również ludziom takim jak: William Bratton, Charlie Beck, Earl Paysinger, Andy Smith, Rick Jacobs, Jim McDonnell i Willie Pannell – za przychyłność, liczne rozmowy i ogólne wsparcie, a także pracownikom Wydziału Zabójstw South Bureau. Jestem szczególnie wdzięczna Bernardowi C. Parksowi, który od wielu lat dzieli się ze mną swą niezrównaną wiedzą o LAPD. Nie mogę także pominąć Kennetha O. Garnera, który zmarł w czasie, gdy pisałam tę książkę. Garner wierzył w siłę i znaczenie otwartych instytucji publicznych i był mi bardzo pomocny.

Ogromne dzięki dla Farleya Chase’a, który widział potencjał tej pracy nawet wtedy, gdy nie było ku temu żadnych powodów, oraz dla Cindy Spiegel, Julie Grau i ich współpracowników ze Spiegel & Grau, którzy pomagali mi rozwiązywać wszystkie zawiłości techniczne i wspierali ten projekt w trudnych chwilach. Mojego genialnego redaktora Chrisa Jacksona, który odmienił tę książkę, darzę nie tylko wdzięcznością, ale i podziwem. Chciałabym też podziękować innym osobom, a są to: W. Fitzhugh Brundage, który zechciał przejrzeć historyczną część tej pracy, Grace Rai, La Wanda Hawkins, Douglas Lee Eckberg, Carter Spikes i Butch Lemon z Businessmen, Steven E. Clark, specjalista od kontaktów ze świadkami, który pomógł mi w zbieraniu danych, Ben Adair, Brian Vander Brug, Jill Connelly, Craig Harvey, Tom Dotan, Jeffrey Adler, Douglas Massey, Luis Montes oraz jego współpracownicy z ośrodka resocjalizacji Rancho Los Amigos National Rehabilitation Center, Timothy Tyson oraz personel L. A. City Street Trees, Monique Jordan, Ferroll Robins z Loved Ones Victims Services oraz wielu innych krewnych ofiar, którzy mieli dość odwagi, by głośno mówić o swoim nieszczęściu. Przepraszam setki tych, którzy nie znaleźli tutaj nazwisk swoich najbliższych zamordowanych na ulicach Los Angeles – to Wy jesteście powodem, dla którego powstała ta książka. Ogromnie dziękuję moim przyjaciółom i krewnym, którzy pomagali mi przez długie lata trudnej pracy – rodzicom, którzy zmarli w czasie, gdy realizowałam to

przedsięwzięcie, oddanym siostróm oraz mojemu mężowi Marcowi,  
niezrównanemu dziennikarzowi, redaktorowi i przyjacielowi.

## WYBRANA BIBLIOGRAFIA

- Alexander Michelle, *The New Jim Crow. Mass Incarceration in the Age of Color Blindness*, New York: New Press, 2010
- Anderson Elijah, *Code of the Street*, New York: W. W. Norton, 1999
- Ayers Edward L., *Vengeance and Justice. Crime and Punishment in the 19th Century American South*, New York: Oxford University Press, 1984
- Berg Manfred, *Popular Justice. A History of Lynching in America*, Lanham, MD: Ivan R. Dee, 2011
- Berg Manfred, Wendt Simon (eds.), *Globalizing Lynching History. Vigilantism and Extralegal Punishment from an International Perspective*, New York: Palgrave Macmillan, 2011
- Black Donald, *The Behavior of Law*, New York: Academic Press, 1976
- Blackmon Douglas A., *Slavery by Another Name. The Re-Enslavement of Black Americans from the Civil War to World War II*, New York: Doubleday, 2008
- Bodenhamer David J., Ely James W. Jr. (eds.), *Ambivalent Legacy. A Legal History of the South*, Jackson: University Press of Mississippi, 1984
- Brearely H.C., *Homicide in the United States*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 1932
- Brundage W. Fitzhugh, *Lynching in the New South. Georgia and Virginia, 1880–1930*, Urbana–Chicago: University of Illinois Press, 1993
- Brundage W. Fitzhugh (ed.), *Under Sentence of Death. Lynching in the South*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 1997
- Butterfield Fox, *All God's Children*, New York: Alfred A. Knopf, 1995
- Davis Allison, Gardner Burleigh B., Gardner Mary R., *Deep South. A Social Anthropological Study of Caste and Class*, Chicago: The University of Chicago Press, 1941
- Dollard John, *Caste and Class in a Southern Town*, Garden City, NY: Doubleday Anchor, 1937
- Dubber Markus Dirk, *Victims in the War on Crime. The Use and Abuse of Victims' Rights*, New York: New York University Press, 2002
- Flamming Douglas, *Bound for Freedom. Black Los Angeles in Jim Crow America*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 2005
- Foner Eric, *Reconstruction. America's Unfinished Revolution, 1863–1877*, New York:



- Harper and Row, 1988
- Frank Stephen P., *Crime, Cultural Conflict, and Justice in Rural Russia, 1856–1914*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 1999
- Grossman Dave, *O zabijaniu. Psychologiczny koszt kształtowania gotowości do zabijania w czasach wojny i pokoju*, przeł. Dorota Konowrocka, Warszawa: Mayfly, 2010
- Hahn Harlan, Jeffries Judson L., *Urban America and its Police. From the Postcolonial Era Through the Turbulent 1960s*, Boulder: University Press of Colorado, 2003
- Hawkins Darnell F. (ed.), *Homicide Among Black Americans*, Lanham, MD: University Press of America, 1986
- Johnson Charles S., *Shadow of the Plantation*, Chicago: University of Chicago Press, 1934
- Kennedy Randall, *Race, Crime, and the Law*, New York: Vintage Books, 1998
- Kleiman Mark A., *When Brute Force Fails. How to Have Less Crime and Less Punishment*, Princeton, NJ: Princeton University Press, 2009
- Knox Colin, Monaghan Rachel, *Informal Justice in Divided Societies. Northern Ireland and South Africa*, New York: Palgrave Macmillan, 2002
- Lane Roger, *Murder in America. A History*, Columbus: Ohio State University Press, 1997
- , *Roots of Violence in Black Philadelphia, 1860–1900*, Cambridge: Harvard University Press, 1986
- Langer Lawrence L., *Admitting the Holocaust. Collected Essays*, New York: Oxford University Press, 1995
- Lemann Nicholas, *The Promised Land. The Great Black Migration and How it Changed America*, New York: Alfred A. Knopf, 1991
- Litwack Leon F., *Been in the Storm So Long. The Aftermath of Slavery*, New York: Alfred A. Knopf, 1979
- , *Trouble in Mind. Black Southerners in the Age of Jim Crow*, New York: Alfred A. Knopf, 1998
- Martinez Ramiro Jr., *Latino Homicide. Immigration, Violence, and Community*, New York: Routledge, 2002
- Massey Douglas S., Denton Nancy A., *American Apartheid. Segregation and the Making of the Underclass*, Cambridge: Harvard University Press, 1993
- Monkkonen Eric H., *Murder in New York City*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 2001
- Myrdal Gunnar, *An American Dilemma. The Negro Problem and Modern Democracy*, New York: Harper and Row, 1944
- Nieman Donald G. (ed.), *Black Southerners and the Law, 1865–1900*, African-American Life in the Post-Emancipation South, t. 12, New York: Garland Publishing, 1994
- Powdermaker Hortense, *After Freedom. A Cultural Study in the Deep South*, New York: Viking Press, 1939
- , *Stranger and Friend. The Way of an Anthropologist*, New York: W. W. Norton, 1966

- Redfield H. V., *Homicide, North and South. Being a Comparative View of Crime Against the Person in Several Parts of the United States*, 1889, Ithaca, NY: Cornell University Law Library, 1893
- Report of the National Advisory Commission on Civil Disorders*, New York: Bantam Books, 1968
- Roth Randolph, *American Homicide*, Cambridge: The Belknap Press, 2009
- Rubinstein Jonathan, *City Police*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 1973; reprint 1985
- Schatzberg Rufus, Kelly Robert J., *African-American Organized Crime. A Social History*, New York: Garland Publishing, 1996; reprint New Brunswick, NJ: Rutgers University Press, 1997
- Schultz Mark, *The Rural Face of White Supremacy. Beyond Jim Crow*, Urbana–Chicago: University of Illinois Press, 2005
- Sides Josh, L. A. *City Limits. African American Los Angeles from the Great Depression to the Present*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 2003
- Skaggs William H., *The Southern Oligarchy*, New York: The Devin-Adair Company, 1924
- Steinberg Allen, *The Transformation of Criminal Justice. Philadelphia, 1800–1880*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 1989
- Stuntz William J., *The Collapse of American Criminal Justice*, Cambridge: The Belknap Press, 2011
- Tolnay Stewart E., Beck E. M., *A Festival of Violence. An Analysis of Southern Lynchings, 1882–1930*, Urbana–Chicago: University of Illinois Press, 1995
- Vandal Gilles, *Rethinking Southern Violence*, Columbus: Ohio State University Press, 2000
- Venkatesh Sudhir Alladi, *Off the Books. The Underground Economy of the Urban Poor*, Cambridge: Harvard University Press, 2006
- Waldrep Christopher, *Roots of Disorder. Race and Criminal Justice in the American South, 1817–80*, Urbana–Chicago: University of Illinois Press, 1998
- Weber Max, *The Vocation Lectures. Science as a Vocation, Politics as a Vocation*, Indianapolis: Hackett Publishing Company, 2004
- Whitman James Q., *Harsh Justice. Criminal Punishment and the Widening Divide Between America and Europe*, New York: Oxford University Press, 2003
- , *The Origins of Reasonable Doubt. Theological Roots of the Criminal Trial*, New Haven: Yale University Press, 2008
- Wolfgang Marvin E., *Patterns in Criminal Homicide*, Philadelphia: University of Pennsylvania, 1958; reprint Montclair, NJ: Patterson Smith, 1975
- Woodward C. Vann, *The Strange Career of Jim Crow*, New York: Oxford University Press, 1955

# PRZYPISY KOŃCOWE

## Część I Plaga

- <sup>1</sup> Podtytuł ten jest nawiązaniem do *Dżumy* Alberta Camus, podobnie jak wiele innych tematów w tej publikacji. Cytat wprowadzający oraz kolejne również pochodzą z tej książki.

### 1. Krąg rozpacz

- <sup>2</sup> Analiza autorki, dane policji w Los Angeles. Dane dotyczące 16 435 ofiar zabitych w Los Angeles od 1986 roku do pierwszego kwartału 2009 roku zostały dostarczone przez LAPD na prośbę autorki. Do takiego wniosku doprowadziła autorkę analiza 3333 morderstw czarnych mężczyzn popełnionych w latach 1991–2006. W tym okresie aresztowano sprawców 38 procent czynów. Podaną tu wykrywalność wyliczano inaczej, niż robi się to w państwowych statystykach. Brano pod uwagę wyniki każdego śledztwa, a nie sumę wszystkich spraw rozwiązanych w danym roku w stosunku do nowych morderstw, nie uwzględniano również „spraw rozwiązanych wyjątkowymi środkami”, czyli zamkniętych śledztw, w których nie dokonano żadnych aresztowań. (W ostatnich latach policja w Los Angeles zrezygnowała z podawania tych danych i zapowiedziała, że nie będzie więcej uaktualniać statusu spraw ani przekazywać informacji starszych niż pół roku). Podobnie jak w innych częściach kraju, do morderstw dochodzi tam głównie między ludźmi tej samej rasy. Np. w 2006 roku tylko 22 z 236 zabójstw badanych przez South Bureau – innymi słowy, niecałe 10 procent – dotyczyły przedstawicieli różnych ras.
- <sup>3</sup> Leon F. Litwack, *Been in the Storm So Long. The Aftermath of Slavery*, New York: Vintage Books, 1980, s. 275.
- <sup>4</sup> Gilles Vandal, *Rethinking Southern Violence*, Columbus: Ohio State University Press, 2000, s. 180
- <sup>5</sup> Tamże, s. 159.
- <sup>6</sup> Douglas A. Blackmon, *Slavery by Another Name. The Re-Enslavement of Black Americans from the Civil War to World War II*, New York: Doubleday, 2008, s. 305.

Gubernator Cole Blease dodał słowa do tej „piosenki”, tłumacząc: „Gorąca kolacja; trunek; martwy czarnuch”.

<sup>7</sup> Hortense Powdermaker, *After Freedom. A Cultural Study in the Deep South*, New York: Viking Press, 1939, s. 173.

<sup>8</sup> Edward L. Ayers, *Vengeance & Justice. Crime and Punishment in the 19th Century American South*, New York: Oxford University Press, 1984, s. 231. Cała wypowiedź autorstwa anonimowego policjanta z Południa brzmi: „Jeśli czarnuch zabije białego człowieka, to morderstwo. Jeśli biały zabije czarnucha, to usprawiedliwione zabójstwo. Jeśli czarnuch zabije czarnucha, to po prostu jednego czarnucha mniej”. Wydaje się, że te słowa nabrały charakteru ludowego porzekadła. Czarni mieszkańcy Los Angeles powtarzali je w różnych wersjach, m.in.: „Jeszcze jeden z głowy” i „Jednego gangstera mniej”.

<sup>9</sup> *Report of the National Advisory Commission on Civil Disorders*, New York: Bantam Books, 1968, s. 308.

<sup>10</sup> Max Weber, *The Vocation Lectures. Science as a Vocation, Politics as a Vocation*, Indianapolis: Hackett Publishing Company, 2004, s. 33.

Zarówno tutaj, jak i w wielu innych miejscach książki czerpię z dorobku specjalisty w dziedzinie prawa Markusa Dirka Dubbera, który w klarowny sposób opisuje problemy teorii prawa dotyczące prewencyjnych działań policji. Pełniejsze wyjaśnienie związków między niezależnością prawną, przemocą a podejściem do przestępstw nazywanych przez Dubbera nieokreślonymi, czyli takimi, które nie zostały jeszcze popełnione, można znaleźć w książce: Markus Dirk Dubber, *Victims in the War on Crime. The Use and Abuse of Victims' Rights*, New York: New York University Press, 2002.

<sup>11</sup> Dane dotyczące Missisipi zaczerpnięte z książki: Powdermaker, *After Freedom*, s. 173, 395. Dane dotyczące Los Angeles oparte na artykułach: Fredric N. Tulsy, Ted Rohrlich, *And Justice for Some. Solving Murders in L. A. County*, „Los Angeles Times”, 1 grudnia 1996 i 3 grudnia 1996.

Dogłębna analiza 9442 spraw przeprowadzona przez Tulsy’ego i Rohrlicha wykazała, że mniej niż jedna trzecia śledztw w sprawach morderstw lub nieumyślnego spowodowania śmierci zakończyła się skazaniem sprawcy i że w przypadkach, gdy ofiarami byli czarni lub Latynosi, prawdopodobieństwo skazania było mniejsze, a kary łagodniejsze niż w przypadku zabójstw białych. (Analiza dowiodła również, że prawdopodobieństwo rozwiązania spraw dotyczących białych było o 40 procent większe niż w sprawach, w których ofiarami byli czarni lub Latynosi). Tulsy i Rohrlich nie uwzględnili jednak w swych badaniach 7 procent spraw, które czekają na rozstrzygnięcie. Przedstawione tu dane dotyczące czarnych na początku lat dziewięćdziesiątych są więc szacunkami autorki. Uwzględniają mniejszą wykrywalność

w przypadku czarnych ofiar, ale dodają do rachunku sprawy oczekujące na wyrok, szacowany według średniej w takich procesach. Autorka porównuje ten odsetek z własną analizą danych policji w Los Angeles dotyczących wspomnianych lat oraz z informacjami o wyrokach skazujących publikowanymi przez Departament Sprawiedliwości Stanu Kalifornia, które przedstawiają zbliżone wartości. Zob. także: Catherine Lee, *The Value of Life in Death. Multiple Regression and Event History Analysis of Homicide Clearance in Los Angeles County*, „Journal of Criminal Justice”, nr 2(33) (listopad–grudzień 2005), s. 527–534. Lee przeanalizowała dane z „Timesa” i doszła do podobnych wniosków.

- <sup>12</sup> Powdermaker, *After Freedom*, s. 173. Rozwija ten wątek gdzie indziej, pisząc: „Ponieważ żaden Murzyn nie może liczyć, że doczeka się sprawiedliwości w wyniku odpowiednich działań systemu prawnego, woli raczej cierpieć w milczeniu – lub przystosować się do nowej sytuacji. Mając to na uwadze, można powiedzieć, że Murzyni nie tyle »nie szanują prawa«, co czasem się im przypisuje, ile »biorą prawo w swoje ręce«” – s. 126.

- <sup>13</sup> Czarnoskórzy stanowią około 12 procent populacji USA, a zarazem niemal połowę ofiar morderstw. Informacje te pochodzą z kilku źródeł, m.in. z danych FBI oraz pracy: James Alan Fox, Marianne W. Zawitz, *Homicide Trends in the United States*, „Bureau of Justice Statistics” 2007; zob.: *Trends by Race, 1976–2005*. Według Foxa i Zawitz w latach 1995–2005 w Stanach Zjednoczonych zamordowano 186 807 osób. Wśród nich było około 89 991 czarnych, co stanowi mniej więcej 48 procent.

Dane dotyczące morderstw przedstawiane przez amerykańskie Centra Kontroli i Prewencji Chorób zawierają zawsze nieco wyższe liczby niż dane FBI, pochodzą bowiem z innego źródła – statystyki śmiertelności. Jednak dysproporcja między rasami jest podobna. Np. w latach 2005–2010 organizacja ta donosiła, że około 47 procent osób zamordowanych w USA stanowili czarni (zob.: *Fatal Injury Reports*).

- <sup>14</sup> Np. historyk Eric Henry Monkkenon w swojej pracy o Nowym Jorku zauważył, że dane o nieproporcjonalnie dużej liczbie czarnoskórych ofiar pojawiły się w ostatnich dekadach XIX wieku – Eric H. Monkkenon, *Murder in New York City*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 2001, s. 164. Vandal dostrzegł tę samą prawidłowość w swoich badaniach dotyczących Luizjany, a Lane w swojej pracy opisującej Filadelfię – Roger Lane, *Roots of Violence in Black Philadelphia 1860–1900*, Cambridge: Harvard University Press, 1986. Tłumacząc, dlaczego nie należy przypisywać dużej liczby morderstw wśród czarnych rozwojowi przemysłowych dzielnic w XX wieku zamieszkałych przez Afroamerykanów, Vandal pisał: „Pierwsze oznaki tego zjawiska poprzedzały wielką migrację [...]. Źródeł afroamerykańskiej przemocy można się doszukiwać w politycznych i gospodarczych warunkach okresu rekonstrukcji” – Vandal, *Rethinking Southern Violence*, s. 208. Monkkenon zauważył, że statystyczne różnice między przestępczością wśród białych i czarnych w Nowym

Jorku były już wyraźnie widoczne pod koniec lat osiemdziesiątych XIX wieku. Później tylko się powiększały, a w latach trzydziestych ubiegłego stulecia zamieniły się w prawdziwą przepaść. „Dwudziestowieczna różnica między przestępczością wśród czarnych i białych jest tak duża, że aż prosi się o wyjaśnienie i zrozumienie”, pisał – s. 139.

Historycy mówili kiedyś o krzywej w kształcie U opisującej liczbę morderstw w ciągu danego czasu. Opierali tę hipotezę na badaniach sugerujących, że liczba morderstw w Stanach Zjednoczonych spadła do stosunkowo niskiego poziomu pod koniec XIX i na początku XX wieku, a potem gwałtownie wzrosła. To nieprawda. Prace Douglasa Lee Eckberga i innych wykazały, że niemal z całą pewnością zaniżono statystyki zabójstw z dekad umiejscowionych w dolnej części krzywej U. Przyczyną tego błędu było pominięcie morderstw z Południa oraz wielu zabójstw uznanych za usprawiedliwione – w niektórych miastach ten odsetek sięgał 50 procent. Teraz wiemy, że na przełomie wieków nie doszło do żadnej zaskakującej odmiany w statystykach przestępczości i że Amerykanie dopuszczali się w tym czasie takiej samej liczby morderstw co w innych dziesięcioleciach. Zob.: Douglas Lee Eckberg, *Estimates of Early Twentieth Century U. S. Homicide Rates. An Econometric Forecasting Approach*, „Demography”, vol. 32, nr 1, s. 1–16.

<sup>15</sup> H. C. Brearley, *The Negro and Homicide*, „Social Forces” 1930, nr 2(9), s. 247–253.

<sup>16</sup> O tym zjawisku pisali wszyscy wielcy socjolodzy z Południa tamtych czasów: Hortense Powdermaker, Charles S. Johnson, John Dollard oraz Allison Davis, Burleigh B. Gardner i Mary R. Gardner. Późniejsze badania potwierdzają ich wnioski. W jednym z nich napisano, że 85 procent ofiar morderstw w miejscowości Birmingham w stanie Alabama stanowili czarni, choć miasto było w większości zamieszkane przez białych. Howard Harlan, *Five Hundred Homicides*, „Journal of Criminal Law and Criminology” 1950, nr 6(40), s. 736–752.

<sup>17</sup> Marvin E. Wolfgang, *Patterns in Criminal Homicide*, Philadelphia: University of Pennsylvania Press, 1958; reprint 1975), s. 33, 223, 84. Co ciekawe, Wolfgang ustalił również, że czarni mieszkańcy Filadelfii znacznie częściej niż pistoletów używali noży, szpikulców do lodu i innych tępych narzędzi, a mimo to odsetek ofiar śmiertelnych w ich społeczności był bliski dzisiejszych wartości. To potwierdza hipotezę, że broń palna nie jest najważniejszą przyczyną wysokiej śmiertelności wśród Afroamerykanów. Wolfgang zbadał dane z lat 1948–1952 i ustalił, że zabójstwa bez użycia broni palnej stanowiły 61 procent wszystkich morderstw wśród czarnych mieszkańców Filadelfii w tym okresie i że za sprawą różnego rodzaju broni odsetek śmierci w wyniku zabójstwa wśród czarnych wynosił 23 na 100 000 rocznie. Na terenie całego kraju około 67 procent morderstw zostało dokonanych przy użyciu broni palnej, a odsetek zamordowanych Afroamerykanów wynosił około 21 na 100 000 – Raport FBI: „FBI Uniform Crime Reports” oraz prezentacja przy użyciu programu PowerPoint autorstwa

Mary-Ann Hunt, „2007 Homicide Analysis”, Los Angeles Police Department Robbery-Homicide Division, slajdy 13, 15.

<sup>18</sup> *Health, United States*, National Center for Health Statistics, Hyattsville, MD 2005, etc., tabele dot. tendencji śmiertelności. Zob. także: Henry Allan Bullock, *Urban Homicide in Theory and Fact*, „The Journal of Criminal Law, Criminology, and Police Science” 1955, nr 5(45), s. 565–575; dane spisu powszechnego w USA; A. Joan Klebba, *Homicide Trends in the United States 1900–1974*, „Public Health Reports” 1975, nr 3(90), s. 195–204.

<sup>19</sup> Fox, Zawitz, *Homicide Trends in the United States*. Ich zdaniem w 1980 roku odsetek ofiar zabójstw wśród czarnych był sześciokrotnie większy niż wśród białych; w 1985 roku proporcje te wynosiły pięć do jednego, w 1990 siedem do jednego, niemal tyle samo w 1995, sześć do jednego w 2000 roku i tyle samo w 2005 roku. Nowsze dane dotyczące przestępczości są niedostępne, ale informacje Krajowego Centrum Statystyk Zdrowia świadczą o tym, że odsetek zmarłych wśród czarnych jest ośmiokrotnie większy niż wśród białych, choć jak wspomniano wcześniej, nie można porównywać tej wartości z poprzednimi.

<sup>20</sup> Na prośbę autorki dane dotyczące śmiertelności zostały przeanalizowane przez pracowników Programu Zapobiegania Przemocy i Urazom (prowadzonego przez służbę zdrowia hrabstwa Los Angeles) oraz przez Wydział Gromadzenia i Analizy Danych Departamentu Zdrowia Publicznego hrabstwa Los Angeles. Wielkie dzięki dla epidemiolożki Isabelle Sternfeld, która przez lata pomagała mi w pracy przy tych danych.

<sup>21</sup> W 1992 roku na terenie całego kraju zanotowano 2113 morderstw, w 2006 roku liczba ta spadła do 1085. Dane te pochodzą z dokumentacji, którą na prośbę autorki przedstawił Craig Harvey z Biura Koronera Hrabstwa Los Angeles. Później oczywiście przestępczość jeszcze się zmniejszyła.

<sup>22</sup> James Forman Jr., *Racial Critiques of Mass Incarceration. Beyond the New Jim Crow*, „Faculty Scholarship Series” 2012, nr 3599, s. 128.

<sup>23</sup> Randall Kennedy, *Race, Crime, and the Law*, New York: Vintage, 1998, s. 145.

## 2. Zabójstwo

<sup>24</sup> W 2007 roku na terenie kontrolowanym przez South Bureau podczas strzelanin zginęło 835 osób, a w 2006 aż 1016 – dane policji w Los Angeles, „Crime and Arrests Weekly Statistics”, 31 grudnia 2007.

## 3. Strefa getta

- <sup>25</sup> Przez większą część kariery Johna Skaggsa funkcjonowało 18 rejonów. W 2014 roku było ich już 21. W tym punkcie opowieści działał już dziewiętnasty komisariat LAPD, Mission, w San Fernando Valley.
- <sup>26</sup> Detektyw Roger Allen.

## 4. Szkoła tragedii

- <sup>27</sup> Różne źródła, m.in.: Fox, Zawitz, *Homicide Trends in the United States*; Alexa Cooper, Erica L. Smith, *Homicide Trends in the United States*, Bureau of Justice Statistics, 2011; FBI Uniform Crime Reports.
- <sup>28</sup> Dane o śmiertelności zapewnione przez władze hrabstwa. Dane dotyczące Iraku pochodzą z artykułu: Samuel H. Preston, Emily Buzzell, *Service in Iraq. Just How Risky*, „The Washington Post”, 26 sierpnia 2006. Preston i Buzzell obliczyli, że śmiertelność w Armii USA wynosiła około 392 zabitych na 100 000 amerykańskich żołnierzy służących w Iraku w latach 2003–2006. Z ich danych wynika, że gdyby brać pod uwagę tylko śmierć w walce, odsetek żołnierzy zabitych w Iraku wynosiłby około 309 na 100 000. W przypadku czarnych mężczyzn w wieku 20–24 lat odsetek zabitych w hrabstwie Los Angeles sięgnął w 1993 roku 368 na 100 000.
- <sup>29</sup> Zabójstwo Stephanie Smith, 7 grudnia 2008, 546 W. 102nd St. Smith miała 37 lat.
- <sup>30</sup> Carol S. Steiker, *The Limits of the Preventive State*, „The Journal of Criminal Law and Criminology” 1988, nr 3(88), s. 771–808.
- <sup>31</sup> To określenie zasadniczo stosowano w LAPD w odniesieniu do detektywów trzeciego stopnia (D-3) pracujących w RHD. W South Bureau było naprawdę niewielu detektywów o tej randze, choć bardzo ich tam potrzebowano ze względu na stałą przewagę niedoświadczonych pracowników. Jednak Skaggs i inni policjanci z południowych dzielnic, którzy awansowali do stopnia D-3, lubili to określenie i go używali. Powód jest oczywisty: bez wątpienia byli specjalistami od morderstw. Przez długi czas Skaggs miał nadzieję, że stworzy w South Bureau stałą podgrupę detektywów D-3 – którzy będą rozwiązywać sprawy, a nie nadzorować innych pracowników – ale prócz krótkiego okresu w Southwest taka jednostka nigdy nie funkcjonowała.
- <sup>32</sup> June Nash, *Death as a Way of Life. The Increasing Resort to Homicide in a Maya Indian Community*, „American Anthropologist” 1969, nr 5(69), s. 462.
- <sup>33</sup> E. Adamson Hoebel, *Law-Ways of the Primitive Eskimos*, „Journal of Criminal Law and Criminology” 1941, nr 6(31), s. 677; M. A. O. Malik, *A Profile of Homicide in the Sudan*, „Forensic Science” 1976, nr 7, s. 143; Powdermaker, *After Freedom*, s. 164. Zob. także: John Dollard, *Caste and Class in a Southern Town*, Garden City, New York: Doubleday Anchor, 1937; reprint 1949, s. 278.



- <sup>34</sup> Zob.: Rachel Monaghan, *Not Quite Lynching. Informal Justice in Northern Ireland* [w:] Manfred Berg, Simon Wendt (eds.), *Globalizing Lynching History. Vigilantism and Extralegal Punishment from an International Perspective*, New York: Palgrave Macmillan, 2011, s. 157, 158; także: Colin Knox, Rachel Monaghan, *Informal Justice in Divided Societies. Northern Ireland and South Africa*, New York: Palgrave Macmillan, 2002.
- <sup>35</sup> Mensah Adinkrah, *Vigilante Homicides in Contemporary Ghana*, „Journal of Criminal Justice” 2005, nr 33, s. 423.
- <sup>36</sup> Lars Buur, *Democracy and its Discontents. Vigilantism, Sovereignty and Human Rights in South Africa*, „Review of African Political Economy” 2008, nr 35(118), s. 580.
- <sup>37</sup> Omawiając agresywne, chępliwe zachowania czarnoskórych mężczyzn z epoki Jima Crowa, John Dollard porównał je do „podziwu, jakim obdarza się w ekstremalnych warunkach człowieka, który jest fizycznie i moralnie zdolny zatroszczyć się o siebie”. Źródłem tego zjawiska było jego zdaniem to, że „machina prawa zajmuje się skargami Murzynów ze znacznie mniejszą pilnością niż skargami białych, a Murzyni w znacznie większym stopniu są zmuszeni do stosowania własnego prawa w stosunku do innych Murzynów” – Dollard, *Caste and Class in Southern Town*, s. 274.
- <sup>38</sup> Np. Stephen P. Frank, *Crime, Cultural Conflict, and Justice in Rural Russia 1856–1914*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 1999, s. 19; Michael Schwaiger, *Salmon, Sagebrush, and Safaris. Alaska’s Territorial Judicial System and the Adventures of the Floating Court, 1901–1915*, „Alaska Law Review”, czerwiec 2009, nr 1(26), s. 97; E. M. Beck, Stewart E. Tolnay, *When Race Didn’t Matter. Black and White Mob Violence Against Their Own Color* [w:] W. Fitzhugh Brundage (ed.), *Under Sentence of Death. Lynching in the South*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 1997, s. 140; Manfred Berg, *Popular Justice. A History of Lynching in America*, Lanham, MD: Ivan R. Dee, 2011, s. 113.
- Zob. także: Julia Eichenberg, *The Dark Side of Independence. Paramilitary Violence in Ireland and Poland after the First World War*, „Contemporary European History”, sierpień 2010, nr 3(19), s. 231–248.
- <sup>39</sup> Monkkonen, *Murder in New York City*, s. 164.
- <sup>40</sup> E. Adamson Hoebel, *Law-Ways of the Primitive Eskimos*, „Journal of Criminal Law and Criminology” 1941, nr 6(31), s. 662–683; Bruce M. Knauft, *Reconsidering Violence in Simple Human Societies. Homicide Among the Gebusi of New Guinea*, „Current Anthropology” 1987, nr 4(28), s. 457–500, 458; Richard Borshay Lee, *The !Kung San. Men, Women, and Work in a Foraging Society*, Cambridge: Cambridge University Press, 1979; reprint 1984, s. 398; Wilfred T. Masumura, *Law and Violence. A Cross-Cultural Study*, „Journal of Anthropological Research” 1977, nr 4(33), s. 388–399.

- <sup>41</sup> Anthony N. Doob, Michelle G. Grossman, Raymond P. Auger, *Aboriginal Homicides in Ontario*, „Canadian Journal of Criminology” 1994, nr 29(36), s. 29–35; Steven W. Perry, *American Indians and Crime. A BJS Statistical Profile*, U. S. Department of Justice, Office of Justice Programs, Bureau of Justice Statistics, *BJS Profiles 1992–2002* NCJ 203097, grudzień 2004.
- <sup>42</sup> Zob.: Roberta Belli, William Parkin, *Immigration and Homicide in Contemporary Europe*, s. 253; Nora Markwalker, Martin Killias, *Homicide in Switzerland*, s. 351 [w:] Marieke C. A. Liem, William Alex Pridemore (eds.), *Handbook of European Homicide Research. Patterns, Explanations, and Country Studies*, New York: Springer, 2012. Zob. także: Patsy Richards, „Homicide Statistics, Research Paper 99/56”, Biblioteka Izby Gmin, 27 maja 1999, s. 20–21. (W pracy tej znajduje się również spostrzeżenie, że tylko w 40 procentach takich spraw dotyczących czarnych w Anglii i Walii ustalono sprawcę, podczas gdy w przypadku białych ta wartość wynosiła 90 procent).
- <sup>43</sup> Soenita M. Ganpat, Marieke C. A. Liem, *Homicide in the Netherlands* [w:] Liem, Pridemore, *Handbook of European Homicide Research*, s. 329, 336.
- <sup>44</sup> Randolph Roth, *American Homicide*, Cambridge: The Belknap Press, 2009, s. 162. Odsetek ten wśród czarnych zamieszkujących południowe Los Angeles sięgał 20–40 na 100 000 w okresie omawianym w tej książce, a przynajmniej tak wynika z analizy przeprowadzonej przez Wydział Gromadzenia i Analizy Danych Departamentu Zdrowia Publicznego Hrabstwa Los Angeles. Roth pisze, że odsetek ofiar morderstw wśród białych dorosłych wynosił 25–30 na 100 000, od Georgia Piedmont do Ohio River Valley, 1760–1812.
- <sup>45</sup> Edmund Sanders, *Arab Citizens Call for More Israeli Police*, „Los Angeles Times”, 30 października 2012. Szacunkowe porównanie danych dokonane przez autorkę.
- <sup>46</sup> Ajschylos, *Eumenidy*. W sztuce tej Atena przekonuje eumenidy (Erynie), by oddały swą władzę rozstrzygania sporów jej sądowi. Tak „pęta prymitywnej zemsty oddały swą siłę trwałym więzom prawa”, stwierdzili filolodzy klasyczni Robert Fagles i W. B. Stanford we wstępie do angielskiego przekładu tej sztuki, s. 22 (*The Oresteia: Agamemnon, the Libation Bearers, the Eumenides*, przeł. Robert Fagles).

## 5. Początki

- <sup>47</sup> Monkkonen, *Murder in New York City*, s. 167.
- <sup>48</sup> Dane dotyczące Chicago z lat 1875–1920 dostarczył na prośbę autorki Jeffrey S. Adler z University of Florida. Adler ustalił, że około 41 procent morderstw wśród czarnych mężczyzn kończyło się skazaniem, w innych grupach notowano podobny odsetek. Dane dotyczące Filadelfii pochodzą z pracy: Roger Lane, *Roots of Violence*, s. 89. Lane zauważa, że mniej niż połowa podejrzanych o morderstwo została skazana; liczba

wyroków skazujących w odniesieniu do wszystkich popełnionych morderstw była zapewne jeszcze mniejsza. Zob. także: William J. Stuntz, *The Collapse of American Criminal Justice*, Cambridge: The Belknap Press, 2011, s. 137.

- <sup>49</sup> Szacunki autorki oparte na corocznych raportach LAPD. Raporty te potwierdzają wnioski Eckberga dotyczące nieuwzględnionych morderstw, wspomniane powyżej. Np. w roku budżetowym 1932–1933 miasto odnotowało 107 ofiar morderstw, ale uznało 8 z tych morderstw za usprawiedliwione, a 21 za „popełnione podczas innego przestępstwa”. Kolejnych 20 spraw uznano za zamknięte, bo podejrzani popełnili samobójstwo – odsetek ten był znacznie większy niż w dzisiejszych czasach. W 6 przypadkach podejrzani uciekli, ale – co zastanawiające – sprawy te włączono do innej kategorii niż nierozwiązane śledztwa.

W kolejnych 42 przypadkach policja uznała śledztwa za zamknięte, bo podejrzani zostali „aresztowani lub zabici” – nie podano jednak konkretnie, która z tych sytuacji się wydarzyła. Dzięki tak dużej liczbie usprawiedliwionych zabójstw, podejrzanych zaginionych w tajemniczych okolicznościach oraz śmierci innych sprawców statystyki wykrywalności LAPD wyglądały tego roku bardzo dobrze: Departament stwierdził, że tylko 10 spraw „nie zostało rozwiązanych”. Raporty z końca lat dwudziestych i z trzydziestych wspominają również o grupie zabójstw sklasyfikowanych jako „akt miłosierdzia”. Nie wyjaśniono, co miało to oznaczać.

- <sup>50</sup> 17 czerwca 1925, *Screen Writer Bandit Killed*, „Los Angeles Times”. Ofiarą był czarnoskóry mężczyzna.

- <sup>51</sup> Proporcje te wyliczyła autorka, opierając się na danych dotyczących morderstw z całego stanu podawanych przez Departament Sprawiedliwości Stanu Kalifornia oraz historycznych statystykach publikowanych przez instytucję nazywającą się obecnie Departament Więziennictwa i Resocjalizacji Stanu Kalifornia. Odpowiednie tabele zawierają informacje o liczbie przestępców, którzy trafili do kalifornijskich więzień. Uwzględniają kobiety i młodocianych przestępców, ale nie obejmują sprawców śmiertelnych wypadków drogowych. Celem analizy było zbadanie, ile czasu potrzebuje policja, by złapać morderców, a sądy, by ich skazać. Zob.: California Department of Corrections, *Summary Statistics of Felon Prisoners and Parolees, California Prisoners* oraz *California Prisoners and Parolees*, a także powiązane raporty; tabele są opatrzone tytułem *Felons Newly Received from Court*. Zob. także: California Department of Justice, *Homicide Crimes in California 2004*, s. 14.

Oczywiście lepszym sposobem pomiaru tempa działań sądownictwa karnego byłoby zbadanie poszczególnych przypadków i zebranie oraz analiza danych. Jednak w stanowym Departamencie Sprawiedliwości istnieją pewne problemy z uzyskaniem tych danych, użyto więc raportów z więzień. Wadą takiego rozwiązania jest to, że nie można w żaden sposób rozróżnić spraw dotyczących pojedynczej ofiary i pojedynczego zabójcy od spraw dotyczących wielu ofiar i wielu zabójców. Badania wskazują jednak,

że w przypadku morderstw przeważają sprawy jeden do jednego i że częściej na jedną ofiarę przypada kilku podejrzanych niż odwrotnie. Biorąc to pod uwagę, można przypuszczać, że te wyniki zaniżają liczbę zabójstw, których sprawcy nie trafili do więzienia.

<sup>52</sup> Tulsy i Rohrich.

<sup>53</sup> David C. Baldus, *Equal Justice and the Death Penalty. A Legal and Empirical Analysis*, Boston: Northeastern University Press, 1990, s. 185, 401.

<sup>54</sup> Obliczenia autorki na podstawie dokumentów LAPD, jak powyżej.

<sup>55</sup> Podejrzani przebywali w areszcie jeszcze pół roku później tylko w 38 procentach przypadków zabójstw czarnych na terenie całego hrabstwa w 2007 roku. Ten wynik dotyczący całego hrabstwa, które ma ponad dwa razy więcej mieszkańców niż samo Los Angeles, opiera się na rozmowach autorki z detektywami prowadzącymi 710 śledztw we wszystkich najważniejszych instytucjach policyjnych w hrabstwie, z wyjątkiem miasta Pomona. Badanie nie uwzględniało morderstw, w których sprawca sam się potem zabijał, a podwójne i potrójne zabójstwa traktowano jako pojedyncze sprawy. Sprawy, które nie zostały jeszcze rozstrzygnięte, a podejrzany przebywał w areszcie, zostały uznane za rozwiązane, ponieważ śledztwo było już na zaawansowanym etapie.

<sup>56</sup> Jill Leovy, Doug Smith, *Getting Away with Murder in South L.A.'s Killing Zone*, „Los Angeles Times”, 1 stycznia 2004. Analizę przeprowadził Smith, współpracownik autorki, która jest mu ogromnie wdzięczna za lata uważnej pracy przy statystykach morderstw.

<sup>57</sup> Różne źródła, w tym: Los Angeles Police Department, „Weekly Crime and Arrest Comparison Report”, 25 grudnia 2004. Liczba „ofiarn strzelanin”, którymi zajmowała się policja, przewyższała o cztery i pół razy liczbę zabitych w latach 2002, 2003 i 2004. Centra kontroli i prewencji chorób zakładają, że stosunek rannych w wyniku strzelanin do zabitych wynosi około pięciu do jednego.

<sup>58</sup> Detektyw Gerry Pantoja.

<sup>59</sup> W rejonie Southeast w latach 2002, 2003 i 2004 na każdy miesiąc przypadały średnio 32 sprawy postrzałów. Los Angeles Police Department, „Weekly Crime and Arrest Comparison Report”, 25 grudnia 2004.

<sup>60</sup> Oficjalne dane pochodzą z przeglądów statystycznych LAPD. Odsetek skazanych to wynik obliczeń, które na prośbę autorki przeprowadził detektyw Lou Leiker z komisariatu Southeast. Leiker brał pod uwagę 234 przypadki napaści pierwszego stopnia, którymi jego detektywi zajmowali się w 2004 roku. Kategoria pierwsza obejmuje sprawy, w których ofiara odniosła poważne obrażenia, a tropy są obiecujące.

<sup>61</sup> Les Wilkerson, śledczy straży pożarnej w Los Angeles podczas rozmowy z autorką 31 sierpnia 2009. Wilkerson powiedział, że mniej więcej połowa tych podpałów to sprawka

gangów posługujących się koktajlami Mołotowa – „podpalenia ostrzegawcze”, jak je nazywał, miały zastraszać ludzi, a sprawy takie były bardzo trudne do rozwiązania. „Nikt nie chce rozmawiać”, powiedział.

<sup>62</sup> Dalej stwierdził, że „pobłażliwość wobec czarnoskórych oskarżonych w sprawach dotyczących innych Murzynów jest w istocie formą dyskryminacji”. Gunnar Myrdal, *An American Dilemma. The Negro Problem and Modern Democracy*, New York: Harper and Row, 1944; reprint 1962, s. 542, 551.

<sup>63</sup> Kennedy, *Race, Crime and the Law*, s. 19.

## 6. Sprawa poszlakowa

<sup>64</sup> W komunikacie prasowym z 2001 roku policja w Los Angeles informowała, że 23 procent funkcjonariuszy mieszka w mieście. Uznano to za postęp i wspomniano o zachętach mieszkaniowych. Komunikat prasowy LAPD, 8 marca 2001.

## 7. Dobrzy ludzie i tępaki

<sup>65</sup> Wydział Planowania Miejskiego Los Angeles, badanie populacji i warunków mieszkaniowych południowego Los Angeles.

<sup>66</sup> Douglas Flamming, *Bound for Freedom. Black Los Angeles in Jim Crow America*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 2005, s. 264.

<sup>67</sup> Theodore H. White, *Lesson of Los Angeles. A Call for New Thinking About Race Relations in the Big City*, „Los Angeles Times”, 22 sierpnia 1965.

<sup>68</sup> James Q. Wilson, George L. Kelling, *Broken Windows. The Police and Neighborhood Safety*, „The Atlantic” marzec 1982, s. 29–38.

<sup>69</sup> Dane LAPD: podział na rasy według analizy detektywów Southeast.

<sup>70</sup> Instytucje policyjne podlegają cywilnej kontroli, a w czasach Skaggsa komendant policji w Los Angeles odpowiadał przed burmistrzem miasta. Kierownictwo policji nie mogło więc wprowadzić żadnych większych zmian w strukturze finansowania bez społecznego poparcia, nawet jeśli dostrzegało taką potrzebę, co też zdarzało się dość często. Krytycy systemu sądownictwa kryminalnego chętnie obwiniają policjantów o błędy i braki, o które powinni mieć raczej pretensje do przywódców politycznych i ludzi, którzy ich wybrali.

## 8. Świadkowie i niepisane prawo

<sup>71</sup> Halim Dhanidina, obecnie sędzia sądu okręgowego w Los Angeles.

- <sup>72</sup> Badanie przeprowadzone przez autorkę. Wyniki są oparte na rozmowach ze śledczymi prowadzącymi 381 spraw dotyczących morderstw popełnionych w Los Angeles w 2008 roku. Detektywów poproszono, by podali szczegóły spraw i powody, dla których pozostały one nierozwiązane.
- <sup>73</sup> Dane dotyczące zabitych świadków opierają się na liczbie oskarżeń o zamordowanie świadka – PC 190.2(a)(10) – wniesionych do Sądu Okręgowego Hrabstwa Los Angeles w latach 1999–2004. „Znane” sprawy obejmują te, w których zabójca świadka został oskarżony, a nie uwzględniają spraw nierozwiązanych. Raport przygotowali pracownicy Biura Prokuratora Okręgowego Hrabstwa Los Angeles na prośbę autorki. Szczególne podziękowania dla Sandi Gibbons.
- <sup>74</sup> Zob. Susannah Rosenblatt, *Crime Rewards Net Few Payoffs*, „Los Angeles Times”, 23 listopada 2007; Jill Leovy, *Rewards Fail to Lure Witnesses*, „Los Angeles Times”, 25 sierpnia 2003; Nicholas Riccardi, *Rewards for Crime Tips Rarely Help*, „Los Angeles Times”, 18 października 1995; Hugo Martin, *Most Rewards for Crimes Go Unclaimed*, „Los Angeles Times”, 29 maja 1994.
- <sup>75</sup> Te informacje i sformułowania – trafne w odniesieniu zarówno do Chicago, jak i do Los Angeles – zawdzięczam Sudhirowi Alladiemu Venkateshowi, a w szczególności jego przełomowej pracy: *Off the Books. The Underground Economy of the Urban Poor*, Cambridge: Harvard University Press, 2006.
- <sup>76</sup> Nazwa tego gangu odnosi się podobno do starej umownej granicy ciągnącej się wzdłuż Main Street, a nie do wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. „East Coast” to upoetyczniona wersja nazwy „eastside”, czyli wschodniej strony Main Street, na którą zepchnięto czarnoskórych mieszkańców w połowie wieku. Main Street biegnie z północy na południe, za komisariatem przy Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy.
- <sup>77</sup> Frank, *Crime, Cultural Conflict, and Justice...*, s. 124, 126; Lane, *Roots of Violence in Black Philadelphia*, s. 9; Monkkonen, *Murder in New York City*, s. 73; W. Fitzhugh Brundage, *Lynching in the New South. Georgia and Virginia, 1880–1930*, Urbana–Chicago: University of Illinois Press, 1993, s. 23.
- <sup>78</sup> Cytat z *Federalisty*, zamieszczony w: Cass R. Sunstein, *The Enlarged Republic – Then and Now*, „The New York Review of Books”, 26 marca 2009.
- <sup>79</sup> Później badania prowadzone przez ośrodki kontroli i prewencji chorób potwierdziły to, co detektywi z wydziałów zabójstw LAPD wiedzieli już od dawna – że bardzo niewiele ulicznych zabójstw ma bezpośredni związek z handlem narkotykami. Z badań tych wynika, że takie podłoże miało niecałe 5 procent morderstw w Los Angeles i Long Beach. Zob.: Arlen Egley Jr i in., *Gang Homicides, Five U. S. Cities, 2003–2008*, „Morbidity and Mortality Weekly Report”, 27 stycznia 2012. Fascynujące omówienie hipotezy, że gangi to agencje ochrony, można znaleźć w: Russell S. Sobel, Brian J. Osoba, *Youth Gangs as Pseudo-Governments. Implications for Violent Crime*,

„Southern Economic Journal” 2009, nr 4(75), s. 996–1018. Autorzy twierdzą, że gangi mogły powstać w reakcji na brak państwowego monopolu na przemoc, ponieważ zapewniały ludziom alternatywne środki ochrony, a tym samym mogły się przysłużyć *zmniejszeniu* przestępczości, a nie jej zwiększeniu.

<sup>80</sup> Porras jest teraz sędzią Sądu Okręgowego Hrabstwa Los Angeles.

<sup>81</sup> Ten świadek zeznawał na procesie w sprawie zabójstwa dwudziestoczteroletniego Rendella Woodsa, do którego doszło 24 kwietnia 2008 roku, 1471 E. 109th St. Woods był znajomym Barbary Pritchett.

<sup>82</sup> Powdermaker, *After Freedom*, s. 190.

<sup>83</sup> James Q. Whitman, *The Origins of Reasonable Doubt. Theological Roots of the Criminal Trial*, New Haven: Yale University Press, 2008.

## 9. Powiadomienie

<sup>84</sup> Monkkonen, *Murder in New York City*, s. 56.

<sup>85</sup> Kalifornijskie Stowarzyszenie Śledczych z Wydziałów Zabójstw, 35. Coroczna Konferencja i Turniej Golfa, 3–5 marca 2004, program, s. 7.

## Część II Sprawa Bryanta Tannellego

### 10. Syn miasta

<sup>86</sup> Centra Kontroli i Prewencji Chorób, Krajowe Centrum Statystyk Zdrowotnych, skompresowany plik dot. śmiertelności 1999–2010 w bazie danych CDC Wonder Online Database, styczeń 2013.

### 14. Zadanie

<sup>87</sup> Stuntz, *Collapse of American Criminal Justice*, s. 270, 269–274.

<sup>88</sup> Akkeli Hollie, 29 lat, zabity 4 lipca 2003 roku na Sto Czternastej Ulicy.

<sup>89</sup> Systemem NIBIN administruje Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives, w skrócie ATF (Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych). W rozmowie z autorką rzeczniczcy ATF Tim Graden i Chris Amon powiedzieli, że choć nie znają szczegółów wydarzeń opisanych w tej relacji, nie mają powodów, by w nią nie wierzyć. Potwierdzili, że NIBIN ma problemy z identyfikacją

pocisków rewolwerowych właśnie z wyżej opisanych powodów i że głównie dopasowuje łuski do pistoletów półautomatycznych. Nie byłoby więc dla nich zaskoczeniem, że policja Los Angeles, choć używa tego systemu na dużą skalę, do 2007 roku nie zidentyfikowała jeszcze żadnego pocisku rewolwerowego.

<sup>90</sup> Za Stuntzem: „Egzekwowanie prawa jest jednym z najważniejszych zadań państwa, ale i jednym z najniebezpieczniejszych”. Stuntz, *Collapse of American Criminal Justice*, s. 63.

<sup>91</sup> Nazwy tego typu są związane z topografią Los Angeles, a konkretnie z siatką ulic. Słowo „Rollin’” odnosi się do gangów działających w kwartałach położonych na północ i na południe od ulic noszących ten numer. I tak Rollin’ Thirties działają na ulicach od Trzydziestej do Trzydziestej Dziewiętej, Sixties na ulicach od Sześćdziesiątej do Sześćdziesiątej Dziewiętej i tak dalej. To, że numery te rosną, w miarę jak ulice oddalają się na południe, sprawiało, że każdego roku jesienią i latem dopisywano kilka ofiar do oficjalnej listy. Gangi numeryczne świętowały swoje „urodziny” w odpowiednie dni roku. Np. 8–9 Family Bloods z Osiemdziesiątej Dziewiętej Ulicy spotykali się 9 sierpnia, 9–7 Gangster Crips z Dziewięćdziesiątej Siódmej Ulicy świętowali 7 września i tak dalej. Takie zebrania nierzadko prowadziły do aktów przemocy.

<sup>92</sup> Niezwykle skrupulatny opis przemocy w Ameryce przed wojną o niepodległość i po niej można znaleźć w pracy: Randolph Roth, *American Homicide*, Cambridge: The Belknap Press, 2009, zob. także: Stuntz, *Collapse of American Criminal Justice*, s. 68; Monkkonen, *Murder in New York City*, s. 162, 167; Berg, *Popular Justice*.

<sup>93</sup> Monkkonen cytuje popularne powiedzenie: „Więcej sprawiedliwości w policyjnej pałce niż w zbiorze ustaw”. Monkkonen, *Murder in New York City*, s. 166.

<sup>94</sup> Jeszcze w 1956 roku policja w Los Angeles aresztowała ponad 200 000 ludzi rocznie za „pijaństwo” i naruszenie różnych przepisów miejskich, co równało się niemal jednej dziesiątej ówczesnej populacji miasta. Obecnie policja nie aresztuje aż tylu ludzi – dane z przeglądu statystycznego policji w Los Angeles (dane o liczbie mieszkańców pochodzą ze spisu powszechnego z lat 1950 i 1960).

<sup>95</sup> Nieprzypadkowo zostało tu podkreślone znaczenie kontrewolucji na Południu. Najpierw konserwatyści sprzeciwiali się rekonstrukcji; potem kolejnym władzom stawiali opór – częściej bierny niż czynny – czarni oraz niezadowoleni biali. Ostatecznie doprowadziło to do drugiej rekonstrukcji. Śledząc wszystkie te wstrząsy, w jakie obfitowały czasy po wojnie secesyjnej, autorka doszła do wniosku, że legalność władzy państwowej nigdy nie była na Południu kwestią jednoznacznie rozstrzygniętą, co doprowadziło do sytuacji, która nieuchronnie wpływa na wysoki poziom przestępczości. Wojny domowe i rewolucje są pożywką dla zbrodni, jak powiedział historyk zajmujący się morderstwami Randolph Roth. Do eksplozji morderstw doszło



więc po wojnie secesyjnej, zauważa Roth, wśród Francuzów po rewolucji francuskiej, wśród Niemców w okresie Republiki Weimarskiej, a wśród Belgów i Włochów po II wojnie światowej. Nic nie napędza fali morderstw tak bardzo jak zjawisko, które Roth nazywa „niekończącą się serią rewolucji i kontrrewolucji” (Roth, *American Homicide*, s. 243, 146, 436–443). Świetna analiza mechanizmów przemocy w obrębie jednej rasy i między różnymi rasami po rekonstrukcji i w późniejszych okresach w: Vandal, *Rethinking Southern Violence*.

<sup>96</sup> Poruszający opis tych okropieństw daje Blackmon w *Slavery by Another Name*, historii wypaczonego prawa. Blackmon zauważył, że na początku XX wieku czarni byli czasami surowo karani za zabicie innych czarnych, a morderstwo jednej czarnoskórej osoby mogło skutkować aresztowaniem wielu innych (s. 334). Zaprzecza to obserwacjom innych socjologów i antropologów badających okres praw Jima Crowa, którzy podkreślali pobłażliwość południowego systemu dla przemocy wśród czarnych. Jednak autorce te dwa obrazy nie wydają się sprzeczne. Nikt nie twierdzi, że czarnych nie karano za morderstwa – wciąż znacząca część czarnych zabójców zostaje osądzona i skazana. Jednak sytuacja opisana przez Blackmona, w której zepsuty system stara się zaprząć czarnoskórych do pracy, pasuje do ogólniejszego obrazu prawa sztucznego i bezsensownego, o czym pisało również wielu ówczesnych komentatorów. Bez względu na to, czy było zbyt surowe, czy zbyt pobłażliwe, prawo na Południu kształtowało tak, by służyło nieformalnemu państwu: to, że częściowo jednak funkcjonowało – że czasami aresztowano niektórych zabójców – nadawało całemu systemowi pozory wiarygodności i pozwalało mu utrzymać władzę, co zapewne nie byłoby możliwe, gdyby władze Południa nie ścigały żadnych zabójców czarnych. Sytuacja, w której prawo stanowi jedynie grę pozorów, prawdopodobnie sprzyja wzrostowi przestępczości w większym stopniu niż całkowite bezprawie.

<sup>97</sup> Np. Leon F. Litwack, *Trouble in Mind. Black Southerners in the Age of Jim Crow*, New York: Alfred A. Knopf, 1998, s. 278.

<sup>98</sup> Mark Schultz, *The Rural Face of White Supremacy. Beyond Jim Crow*, Urbana and Chicago: University of Illinois Press, 2005, s. 135.

<sup>99</sup> Ta część książki w dużej mierze opiera się na pracy: Christopher Waldrep, *Roots of Disorder. Race and Criminal Justice in the American South, 1817–80*, Urbana–Chicago: University of Illinois Press, 1998.

<sup>100</sup> Schultz, *Rural Face of White Supremacy*, s. 37. Zob. także: Kennedy, *Race, Crime, and the Law*; Litwack, *Trouble in Mind*; Eric Foner, *Reconstruction. America's Unfinished Revolution, 1863–1877*, New York: Harper and Row, 1988; 1989 Perennial Library edition; Vandal, *Rethinking Southern Violence*.

<sup>101</sup> Relacja czarnoskórego dzierżawcy z Missisipi z 1899 roku przytoczona w pracy: Terence Finnegan, *Lynching and Political Power in Mississippi and South Carolina*

[w:] Brundage (ed.), *Under Sentence of Death. Lynching in the South*, s. 205.

<sup>102</sup> Charles S. Johnson, *Shadow of the Plantation*, Chicago: University of Chicago Press, 1934; 1966 Phoenix Books edition, s. 190.

<sup>103</sup> „Mortality Statistics reports, 1921 and 1920, Twenty-First Annual Report”, Departament Spisów Ludności USA. Wyrazy wdzięczności dla Douglasa Eckberga. To szokująco duże wartości – znacznie większe niż na niebezpiecznych ulicach Los Angeles w rejonie South Bureau – głównie dlatego, że dane zawyżają kobiety i dzieci. Można zakładać, że liczby dotyczące dorosłych mężczyzn, którzy zawsze stanowią większość ofiar morderstw, były jeszcze większe. Nie wiadomo, co dokładnie działo się w tych miejscach, musiało to być jednak straszne dla wszystkich, którzy tam wówczas mieszkali.

<sup>104</sup> Znamy szczegóły takich wypadków dzięki świetnej pracy: Stewart E. Tolnay, E. M. Beck, *Festival of Violence. An Analysis of Southern Lynchings, 1882–1930*, Urbana–Chicago: University of Illinois Press, 1995.

<sup>105</sup> Np. „mieli prawo” w: Litwack, *Trouble in Mind*, s. 278. Czarnoskóry dzierżawca z hrabstwa County w stanie Georgia, cytowany w pracy Schultza, mówił: „Cokolwiek uda ci się zebrać, oni to zabiorą [...]. Powtarzają, że mają prawo” – Schultz, *Rural Face of White Supremacy*, s. 34.

<sup>106</sup> Dollard, *Caste and Class in a Southern Town*, s. 280.

<sup>107</sup> Antropolog Bruce M. Knaft sugerował, że wbrew popularnym opiniom w egalitarnych społecznościach, których członkowie dzielą się władzą po równo, może częściej, a nie rzadziej, dochodzić do morderstw. Knaft, badacz ludu Gebusi, w którym wyjątkowo często dochodziło do morderstw, stwierdził, że temu zjawisku sprzyja m.in. podział władzy, czyli brak wodza lub rady starszych. Nie należy jednak wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków – zabójstwa wśród Gebusi często były powiązane z czarami, a liczba morderstw znacząco spadła, odkąd pisał o tym Knaft. Hipoteza, że równość sprzyja rozprzestrzenianiu się przemocy wśród jednostek, a tym samym prowadzi do większej liczby konfliktów i morderstw, pozostaje jednak w mocy. Czarni z okresu praw Jima Crowa również nie mieli przywódców i byli zdezorganizowani, wrzuceni w sytuację chaotycznej równości. Zostali poddani ograniczeniom społecznym, które nie pozwalały nawet na minimalne rozwarstwienie i powstanie struktury społecznej. Knaft, *Reconsidering Violence*, s. 476. O braku rozróżnień klasowych wśród czarnych mieszkańców Południa: Allison Davis, Burleigh B. Gardner, Mary R. Gardner, *Deep South. A Social Anthropological Study of Caste and Class*, Chicago: University of Chicago Press, 1941; reprint University of South Carolina Press, 2009, s. 241.

<sup>108</sup> Wzmianki o szpiegach i informatorach wśród czarnych pojawiają się w wielu pracach dotyczących Południa z okresu praw Jima Crowa; np. Powdermaker pisze o „Mulacie, który jest pośrednikiem między białymi a czarnymi, zachowuje się jak szpieg i ma

kiepską reputację” (Powdermaker, *After Freedom*, s. 184). Gunnar Myrdal wspomina, że policja wykorzystywała czarnych jako „informatorów, obserwatorów i kapusiów” (Myrdal, *An American Dilemma*, s. 541). Lecz jeden z najbarwniejszych przykładów przedstawił autorce Ray Knox, emerytowany psycholog pracujący z młodocianymi przestępcami, urodzony w 1951 roku. Knox jest czarny, a jako dziecko często był w swojej rodzinnej miejscowości McComb w stanie Missisipi. „Jeśli ktoś został zlinczowany, zastrzelony, zaszytyłowany itd.... i jeśli wiedziałeś, co się stało, nie mogłeś o tym mówić przy innych czarnych – opowiadał. – Zawsze znalazł się tam ktoś, kto dostawał coś za informacje od ludzi przy władzy: białych”.

<sup>109</sup> Dollard, *Caste and Class in a Southern Town*, s. 283. W historii Południa można znaleźć wiele przykładów sytuacji, gdy biali mecenasi i protektorzy traktowali w uprzywilejowany sposób niektórych czarnych, szczególnie w kwestiach dotyczących interesów i przestępczości, m.in. zapewniali bezkarność pracującym dla nich czarnym kryminalistom. Dollard pisze: „Jeśli biały człowiek wybroni Murzyna od zarzutów o morderstwo, bo potrzebuje go do pracy na plantacji, ten Murzyn jest jego dłużnikiem”. Co ciekawe, Dollard porównuje ten nieoficjalny system do systemów prawnych sprzed czasów nowożytnych. Nazywa je relacjami feudalnymi – s. 282–285. Zob. także: Davis, Gardner, Gardner, *Deep South*, s. 520–523; Schultz, *Rural Face of White Supremacy*, s. 152.

<sup>110</sup> Warto tu wspomnieć o licznych wypadkach, kiedy biała policja Południa, a czasami biali cywile walczyli z tłumem, próbując obronić czarnych przed linczem. Dzięki takim interwencjom udaremniono przynajmniej połowę linczów. To, że – jak pisze Brundage – lincze urządzano często potajemnie, jakby sprawcy obawiali się braku poparcia ze strony innych białych, świadczy również o podziałach wśród białej społeczności na Południu. Czasami podczas procesów zdarzało się, że biali wspierali swoich ulubionych czarnych przeciwko białym, których nie lubili. Zob.: Larry J. Griffin, Paula Clark, Joanne C. Sandberg, *Narrative and Event. Lynching and Historical Sociology* [w:] Brundage, *Under Sentence of Death*, s. 26, 24–47. Zob. także: Davis, Gardner, Gardner, *Deep South*, s. 524–526 – opisują przypadek, gdy czarna kobieta, uważana za „dobrą Murzynkę, grzeczną i pracowitą”, wygrała w sądzie sprawę przeciwko białemu „młodzieńcowi z miasta”, którego miejscowi nie lubili i uważali za aroganckiego.

<sup>111</sup> Nie bez powodu ta fraza znalazła się w podtytule historii rekonstrukcji autorstwa Erica Foner – Foner, *Reconstruction. America's Unfinished Revolution 1863–1877*.

<sup>112</sup> Np. w *Trouble in Mind* Litwacka: „Gdy po rekonstrukcji biali natarli na wszystkich frontach, by umocnić swoją supremację, powrót władzy białych nad czarnymi był najbardziej widoczny w działaniach maszyny policji i sądownictwa kryminalnego” – s. 247.

<sup>113</sup> Howard N. Rabinowitz, *The Conflict Between Blacks and the Police in the Urban South 1865–1900* [w:] Donald G. Nieman (ed.), *Black Southerners and the Law, 1865–1900*, t. 12: *African-American Life in the Post-Emancipation South*, New York: Garland Publishing, 1994, s. 292.

<sup>114</sup> Rabinowitz, *Conflict Between Blacks and the Police...*, s. 292–298.

<sup>115</sup> Tamże, s. 297.

<sup>116</sup> Myrdal, *An American Dilemma*, s. 1341.

<sup>117</sup> Harlan Hahn, Judson L. Jeffries, *Urban America and Its Police. From the Postcolonial Era Through the Turbulent 1960s*, Boulder: University Press of Colorado, 2003, s. 125.

<sup>118</sup> W Los Angeles problem zabójstw wśród czarnych pojawił się bez wątpienia wcześniej niż handel kokainą i współczesne gangi takie jak Crips i Bloods. Już w 1941 roku ofiarami zabójstw byli w 21 procentach czarni, choć stanowili tylko 5 procent całej populacji miasta. Do tego w tych wszystkich sprawach – prócz dosłownie jednej – zabójca również był czarny. Podobnie w 1952 roku, w zamieszkanym głównie przez czarnych rejonie Newton – pierwotnym South Central, bo znajduje się przy South Central Avenue – odsetek zabójstw był szokująco wysoki: ponad 80 morderstw na 100 000. Większość ludzi nie kojarzy lat pięćdziesiątych z wysokim poziomem przestępczości, ale ten odsetek zabójstw w grupie nazywanej później Murzyńską Społecznością Los Angeles był znacznie większy niż odsetek zabójstw wśród wszystkich czarnych mieszkańców miasta w XXI wieku (roczne raporty LAPD i dane ze spisów powszechnych USA).

Starsi czarnoskórzy mieszkańcy Los Angeles to często najzagorzalsi zwolennicy tezy, że zabójstwa wśród czarnych są nowym zjawiskiem wywołanym przez młode nowobogackie pokolenie. Uparcie twierdzą, że walczyli na pięści, a nie z użyciem pistoletów, i że nowe gangi są brutalniejsze niż stare. Statystyki pokazują jednak coś innego, a jak dowodzi wspomniane wcześniej badanie z Filadelfii, wielu ludzi ginęło nawet wtedy, gdy używano innych narzędzi niż broni palnej. Shane Stringer, członek starego gangu z Los Angeles nazywanego Businessmen, który działał w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, przedstawia typowy pogląd w tej kwestii: „Za moich czasów w 90 procentach to były bójki na pięści – twierdzi. – Bardzo rzadko dochodziło do strzelanin. Noże, tak. Walczyliśmy normalnie na noże”. Oczywiście przyznawał, że „bójki na pięści” obejmowały również napaści przy użyciu „łyżek do opon i pałek – można tym było nieźle kogoś urządzić”.

<sup>119</sup> Policja Los Angeles, *1961 Annual Report*, obliczenia autorki.

<sup>120</sup> Sformułowanie to zawdzięczam Jamesowi Q. Whitmanowi.

<sup>121</sup> Potwór rozrósł się wkrótce do takich rozmiarów, że realizacja przepisów o liczbie zatrudnionych proporcjonalnej do poziomowi przestępczości stała się niemożliwa. W 1975 roku w zamieszkanym głównie przez czarnych rejonie Southwest popełniano

sześciokrotnie więcej morderstw niż w rejonie zachodniego Los Angeles, ale pracowało tam tylko o półtora raza więcej policjantów niż średnio w innych dzielnicach miasta (LAPD, *Statistical Digest* 1975).

- <sup>122</sup> Mark A. Kleiman, *When Brute Force Fails. How to Have Less Crime and Less Punishment*, Princeton, NJ: Princeton University Press, 2009, s. 8–15; Stuntz, *Collapse of American Criminal Justice*, s. 2, 34, 246.
- <sup>123</sup> *California Prisoners, 1977 and 1978. Summary Statistics of Felon Prisoners and Parolees*, „State of California Health and Welfare Agency, Department of Corrections” (tabela 30a), s. 79.
- <sup>124</sup> Dwa niedawne wyjątki: cytowany powyżej Forman oraz Alexandra Natapoff, *Underenforcement*, „Fordham Law Review” 2006, nr 75; „Loyola Law School Los Angeles Legal Studies Paper No. 2006–44”.
- <sup>125</sup> California State Department of Corrections and Rehabilitation, *Prisoners and Parolees*, 2007, s. 3. Wychodzili z więzienia i wracali do niego, co sprawiało, że w końcu stanowili jedną szóstą wszystkich więźniów.
- <sup>126</sup> Z 79 do 62 procent w skali całego kraju w latach 1976–2005 – za: Fox, Zawitz, *Homicide Trends in the United States*.
- <sup>127</sup> Kleiman, *When Brute Force Fails*, s. 23.
- <sup>128</sup> Aki Roberts, *Predictors of Homicide Clearance by Arrest. An Event History Analysis of NIBRS Incidents*, „Homicide Studies” 2007, nr 11, s. 82.

## 17. Baby Man

- <sup>129</sup> Skaggs może i nie miał nic przeciwko wszystkim tym reformom przepisów, ale Stuntz pisał prowokacyjnie o nieuzasadnionym nacisku, jaki kładzie się na nie w Ameryce. Miał za złe sędziemu Sądu Najwyższego Earlowi Warrenowi, że nie postrzega ciężkich zbrodni w kontekście praw obywatelskich, i uznał za niesprawiedliwość, że czarni cierpią nieproporcjonalnie w stosunku do białych. Zasugerował, że 14. poprawkę można interpretować w inny sposób – że „równa ochrona” może oznaczać prawo do równego stopnia bezpieczeństwa. W brutalnych czasach po wprowadzeniu tej poprawki, pisał Stuntz, taka interpretacja mogła sprowokować intensywniejsze działania prokuratury, a nawet ustanowienie federalnego prawa dotyczącego morderstw (Stuntz, *Collapse of American Criminal Justice*, s. 104–122, 232, 233).

## 18. Gangsterskie porachunki

- <sup>130</sup> Bill Ritsch.

## 19. Dobro świadka

- <sup>131</sup> California Department of Justice, *Crime in California 2007*, s. 149. Dane departamentu dotyczące aresztowań dorosłych podejrzanych o ciężkie przestępstwa pokazują, że w 1975 roku 48,4 procent spraw skończyło się skazaniem aresztowanych, a w kolejnych 5 latach wartość ta wynosiła średnio 56 procent. W 2005 roku odsetek skazanych wynosił 71 procent.

## 20. Utracone dusze

- <sup>132</sup> Jill Leovy, *A Complex Portrait of Rampart's Redemption*, „Los Angeles Times”, 13 czerwca 2006.
- <sup>133</sup> Monkkonen bardzo mocno podkreśla tę tezę. Uważa ją za jedną z najważniejszych lekcji płynących z badania historii morderstw. „W niektórych okresach największego ubóstwa w Nowym Jorku odsetek zabójstw był najmniejszy” (Monkkonen, *Murder in New York City*, s. 8). Nie odnotowano też wzrostu przestępczości w okresie wielkiego kryzysu.
- <sup>134</sup> Dane z Departamentu Planowania Miejskiego Los Angeles opierające się na spisie powszechnym z 2000 roku.
- <sup>135</sup> Ramiro Martinez Jr., *Latino Homicide. Immigration, Violence, and Community*, New York: Routledge, 2002, s. 105–108.
- <sup>136</sup> Badania demograficzne dowodzące, że Latynosi rozpraszają się na większych obszarach – zob.: Philip J. Ethington, William H. Frey, Dowell Myers, *The Racial Resegregation of Los Angeles County*, Public Research Report 2001–2004, *Race Contours 2000 Study*, University of Southern California–University of Michigan, 2001.
- <sup>137</sup> Josh Sides, *L. A. City Limits. African American Los Angeles from the Great Depression to the Present*, Berkeley–Los Angeles: University of California Press, 2003, s. 4, 6, 14, 25, 33, 60, 65–74, 80–88, 94.
- <sup>138</sup> Douglas S. Massey w rozmowie z autorką, 8 marca 2012.
- <sup>139</sup> Douglas S. Massey, Nancy A. Denton, *American Apartheid. Segregation and the Making of the Underclass*, Cambridge: Harvard University Press, 1993.
- <sup>140</sup> Ethington, Frey, Myers, *The Racial Resegregation of Los Angeles County*, s. 8, 14.
- <sup>141</sup> Np. Ruth D. Peterson, Lauren J. Krivo, *Racial Segregation and Black Urban Homicide*, „Social Forces”, czerwiec 1993, nr 4(71), s. 1001–1026; Matthew R. Lee, *Concentrated Poverty, Race, and Homicide*, „The Sociological Quarterly”, wiosna 2000, nr 2(41), s. 189–206.

<sup>142</sup> Całkowity odsetek dorosłych ofiar morderstw wśród czarnych, białych i Latynosów w Kalifornii w latach 2009–2010 był dwa i pół razy większy od odsetka ofiar w więzieniach. Mężczyźni przebywający na wolności znacznie częściej padają ofiarą zabójstw, choć średnia wieku jest tu wyższa niż w więzieniach, a więc zagrożenie teoretycznie powinno być mniejsze.

Poziom bezpieczeństwa w więzieniu w przypadku grupy największego ryzyka – młodych czarnych mężczyzn – jest prawdopodobnie jeszcze wyższy, niż sugerują to dane. Ofiarami zabójstw w więzieniach padają niemal wyłącznie starsi mężczyźni. W komunikatach prasowych dotyczących ofiar zabójstw we wspomnianym powyżej roku, w których podany jest także wiek ofiar, znalazły się dane tylko jednego więźnia poniżej trzydziestki (dwudziestosześcioletek), a niemal wszyscy pozostali mieli powyżej 40, a nawet 60 lat. Ponieważ odsetek ofiar morderstw wśród mężczyzn poniżej 25 lat żyjących na wolności jest bardzo duży, brak ofiar w tej kategorii wiekowej w więzieniach jest szczególnie godny uwagi. Nie oznacza to, że w więzieniach nie dochodzi do licznych napaści innego rodzaju, które kończą się zgonem poszkodowanych – bóje na pięści, noże itd. – a jedynie tyle, że liczba ofiar śmiertelnych jest tutaj znacznie mniejsza niż na zewnątrz. (Obliczenia autorki. Statystyki dotyczące liczby więźniów i informacje o morderstwach dokonywanych w zakładach karnych pochodzą z dokumentów publikowanych przez Kalifornijski Departament Więziennictwa i Rehabilitacji. Na prośbę autorki departament dostarczył szczegółowe dane o liczbie morderstw, co pozwoliło zweryfikować omawiane tu obliczenia – podziękowania dla Billa Sessy’ego. Dane dotyczące morderstw dorosłych mężczyzn mieszkających w Kalifornii pochodzą z dokumentów takich instytucji jak: Centra Kontroli i Prewencji Chorób oraz Centra Kontroli i Prewencji Urazów – Raporty o urazach śmiertelnych. Dane demograficzne dotyczące wieku poszkodowanych dostarczył na prośbę autorki Jonathan Buttle – Centrum Danych Ludności Stanu Kalifornia, Wydział Badań Demograficznych, Departament Finansów Stanu Kalifornia).

<sup>143</sup> *The 1997 Chances of Lifetime Murder Victimization*, ustęp 5 [w:] *Crime in the United States, 1999*, znormalizowane sprawozdania o przestępczości, U. S. Department of Justice, Washington, DC. Przytoczona tu wartość dotyczy czarnoskórych więźniów. W przypadku białych mężczyzn prawdopodobieństwo wynosi 1 do 251.

## 21. Ze strony ofiary

<sup>144</sup> Dokumenty dostarczone przez Biuro Koronera Hrabstwa Los Angeles. Dziękuję Craigowi Harveyowi za wieloletnią pomoc przy analizie tych danych.

## Epilog

<sup>145</sup> Dziękuję demografowi Williamowi H. Freyowi za pomoc w interpretacji danych o segregacji.

<sup>146</sup> Zob.: Patricia P. Martin, John L. Murphy, „Research and Statistics Note, No. 2014–01. African Americans. Description of Social Security and Supplemental Security Income Participation and Benefit Levels Using the American Community Survey”, Social Security Administration, Office of Retirement and Disability Policy, Office of Research, Evaluation and Statistics, styczeń 2014, s. 13.



## PRZYPISY

[1] Historyczna nazwa okresu odbudowy Stanów Zjednoczonych po wojnie secesyjnej, w latach 1865–1877 (wszystkie przypisy dolne pochodzą od tłumacza).

[2] Regulacje prawne wprowadzane na szczeblu hrabstw lub stanów po wojnie secesyjnej, które ograniczały prawa byłych niewolników i pogłębiały separację między czarną i białą ludnością.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.  
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice  
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75  
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,  
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa  
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa  
tel./fax +48 22 621 10 48  
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,  
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl,  
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl,  
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl,  
malgorzata.wietecha@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl  
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków  
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017  
Wydanie I